

ARCYDZIEŁA CZARNEGO KRYMINAŁU

RAYMOND CHANDLER
ROSS McDONALD
DASHIELL HAMMETT
MICKEY SPILLANE
QUENTIN TARANTINO
JAMES ELLROY
ELMORE LEONARD
STEPHEN KING
I INNI

Photograph by S. Lee



Antologia

Arcydzieła czarnego kryminału

RAYMOND CHANDLER

ROSS MacDONALD

DASHIELL HAMMETT

MICKEY SPILLANE

QUENTIN TARANTINO

JAMES ELLROY

ELMORE LEONARD

STEPHEN KING

I INNI

POD REDAKCJĄ PETERA HAININGA

Przełożył Dariusz Wojtowicz

Tytuł oryginału PULP FRICTIONS

Wprowadzenie

Na pierwszy rzut oka niewiele łączy tandetne biurowce, obskurne hotele i tonące w półmroku bary w centrum Los Angeles ze spokojnym, skąpanym w zieleni przedmieściem Dulwich w południowej części Londynu. A jednak barwna historia literatury kryminalnej nierozzerwalnie połączyła ze sobą te miejsca. Bo to właśnie filolog klasyczny z Dulwich College był tym, który zamknął w literackiej formie cięty, potoczny język mieszkańców Los Angeles i dał literaturze kryminalnej jej najslynniejszego prywatnego detektywa. Nazywał się Raymond Chandler, a jego bohater to Philip Marlowe.

Choć Chandler był urodzonym w Chicago Amerykaninem, jako dziecko przybył do Anglii, tam też później studiował w Dulwich College, w rezultacie czego - pomimo całej sławy, jaką zdobył w swej amerykańskiej ojczyźnie - do końca życia pozostał anglofilem. Ten człowiek, który potrafił rozkoszować się greckim i łacińskim heksametrem, został zapamiętany jako twórca metafor uważanych obecnie za charakterystyczną cechę gatunkową czarnego kryminału.

„Obmacywał wzrokiem moje biuro” - oznajmia przy jakiejś okazji Philip Marlowe, by następnie powiedzieć o swym gościu: „Prawdopodobnie zawiązywał krawat obcęgami”. A ktoś cieszyłby się na spotkanie osobnika tak oto po chandlerowsku opisanego: „Jego uśmiech był sztywny jak mrożona ryba”?

Przez lata niewiele wiedziano o powiązaniach Chandlera z Dulwich College. On sam jednak zachował ciepłe wspomnienia o tej założonej ponad trzysta pięćdziesiąt lat temu prywatnej szkole, do której uczęszczał w latach 1900-1905, a której władze nawet nie wpisały „ucznia numer 5724” (pod takim numerem Chandler figurował w rejestrach szkoły) do księgi sławnych absolwentów. Ten błąd został do pewnego stopnia naprawiony w 1988 roku, kiedy grupa entuzjastów jego twórczości, świadomych związku autora ze szkołą, postanowiła uczcić stulecie jego urodzin wystawą pamiątek po pisarzu. Dopiero wtedy dostrzeżono, jak dalece klasyczne wykształcenie Chandlera wpłynęło na osobowość wykreowanego przezeń Philipa Marlowe’a. Gdzież indziej prywatny detektyw posiadłby znajomość autorów klasycznych, których zwykł cytować? Jeszcze bardziej uderzające okazało się odkrycie, że nazwisko słynnego wywiadowcy, tak bardzo angielsko brzmiące, również związane jest z tą właśnie szkołą - po roku 1900, kiedy uczył się tu Chandler, szkoła szczyciła się posiadaniem sześciu budynków o następujących nazwach: Drake, Greville, Raleigh, Sidney, Spencer i... Marlowe.

Całkiem niedawno pojawił się dowód - pisany na maszynie list, wystawiony na sprzedaż jako część spuścizny po innym twórcy kryminalnej prozy - potwierdzający wielką miłość, jaką Chandler darzył Anglię, i jego gotowość powrotu do Albionu po śmierci ukochanej żony w grudniu 1954 roku. List został napisany przez angielskiego autora powieści sensacyjnych, Nicholasa Bentleya, zaraz po wysunięciu kandydatury Chandlera na członka

ekskluzywnego Garrick Club w Londynie. Adresowany jest do niejakiego pana George'a z rzeczzonego klubu i datowany na czerwiec 1955 roku:

Byłbym niezwykle zobowiązany, gdyby zechciał Pan złożyć swój podpis w księdze w Garrick Club z poparciem dla Raymonda Chandlera, którego kandydaturę na członka klubu wniosłem, mając poplecznika w osobie Malcolma Muggeridge'a. Chandler właśnie zatrzymał się w naszym kraju na czas nieokreślony z zamiarem, jak mi nie mam, pozostania w nim na zawsze, i byłby niezmiernie rad, mogąc należeć do naszego klubu. Niestety, pan Chandler osobiście znany jest tylko nielicznym członkom, gdyby więc był Pan skłonny głosować na jego korzyść, jestem pewien, iż pomogłoby to sprawie niepomierne.

Niewiele może być bardziej poruszających listów niż ten mówiący o samotnym, wciąż pogrążonym w żałobie Chandlerze, z zawartą w nim sugestią, jakoby pisarz zamierzał opuścić kraj, który uczynił go sławnym, by resztę życia spędzić w Anglii. Ale skąd taka decyzja? Pismo Nicholasa Bentleya więcej sugeruje, niż wyjaśnia; proponuje zagadkę do rozwiązania, z pewnością godną talentu Philipa Marlowe'a.

Przekaz i legenda na temat literatury kryminalnej obfitują w niewyjaśnione zagadki, i nadal wiele nieznanymi historii czeka, by je wydobyć na światło dzienne - historii nie tylko o autorach, ale i o czasopiśmie, w których publikowali swe utwory. Czasopisma te nazywane były po angielsku *pulp magazines*, ponieważ drukowano je na tanim, niepowlekanym papierze ze ścieru drzewnego (*pulp*), w formacie oktawy, wszytym w gładkie okładki w krzykliwych kolorach. Przetrwowało niewiele egzemplarzy, gdyż kiepskiej jakości papier gwałtownie żółkł i wnet się rozsypywał; po wielu autorach pozostały jedynie nic niemówiące nazwiska, podczas gdy oni sami zniknęli z pola widzenia, zrzędzeniem losu lub z własnego wyboru, zwłaszcza w latach pięćdziesiątych, gdy nastąpiło załamanie się całej branży. Niektórzy, jak Chandler, przetrwali, by zacząć wydawać swe teksty w trwalszej, książkowej formie i zdobyć uznanie, które przyszło, kiedy rozpoznano rzeczywisty zakres ich osiągnięć: stworzenie pierwszego prawdziwie oryginalnego amerykańskiego stylu w prozie detektywistycznej. To ci pisarze, wspierani przez ducha ich zapomnianych kolegów, zainspirowali współczesny renesans zainteresowania czarnym kryminałem i stali się natchnieniem dla nowych jego twórców.

Nieugięty detektyw, w równym stopniu jak kowboj czy osadnik z Dzikiego Zachodu, stał się częścią amerykańskiego folkloru i, jak to bywa z większością bohaterów, pogłoski o jego dokonaniach są mocno przesadzone. W rzeczy samej, jego nieograniczona, wydawałoby

się, możliwość pochłaniania alkoholu i zadziwiająca zdolność odzyskiwania sił po bójkach, ciosach w głowę, ranach od noża oraz broni palnej, połączone z potrzebą zaledwie jednej lub dwu godzin snu na dobę, czynią go istotą nadludzką. Z pewnością żaden zwyczajny śmiertelnik nie mógłby się z nim mierzyć. Podobny opis pasowałby do niektórych niezłomnych gliniarzy i bezwzględnych gangsterów, postaci równie charakterystycznych dla gatunku.

Skąd zatem tak wielka popularność tych niemal karykaturalnych osobników? Wydaje mi się, że odpowiedź nietrudno znaleźć. Pierwsi detektywi-twardziele pojawili się w Ameryce czasu rozczarowań, który nastąpił po pierwszej wojnie światowej, kiedy wielu ludzi ogamęła frustracja na myśl o łatwości, z jaką zorganizowana przestępczość, reprezentowana przez wpływowych mafiosów i oprychów, przejmując kontrolę nad wielkimi miastami, nad politykami i miejskimi oficjelnymi, podczas gdy na ulicach wyrastają jak grzyby po deszczu nielegalne lokale z wyszynkiem i hazardem, tudzież pełne społecznych mętłów miejsca występku. Prywatny detektyw, który pojawił się w kryminalnych tekstach z tanich czasopism, był postacią niemal romantyczną - wyruszając na krucjatę przeciwko zwyrodnieniom społeczeństwa, w kwestii języka dalekim będąc od subtelności, podejmował natychmiastowe, zwykle brutalne działania i z oddaniem stawał po stronie sprawiedliwości. Bez względu na szkody wyrządzone jego własnym - bądź cudzym - kończył, skoro już o tym mowa!

Wyjaśnienie obecnej nowej fali zainteresowania tym rodzajem fikcji literackiej jest podobne, jak mniemam: wielu ludzi, szczególnie przedstawicieli młodszej generacji, odczuwa podobną frustrację, rozczarowanie społeczeństwem i swoimi mamymi szansami na przyszłość. Jak niedawno pisał Ian Penman w „The Independent” o Jimie Thompsonie, swym ulubieńcu wśród kryminalnych autorów: „Potrafił pobudzić naszą moralną wyobraźnię: przedstawiając - i rozpalając - silne namiętności w tchórzliwych czasach, w których żyjąc, skłonni jesteśmy sądzić, iż naiwny idealizm zmyje winę z naszych rąk, skoro na ucieczkę przed wszechobecnym złem nie widać szans”.

W innym artykule, tym razem z amerykańskiego czasopisma „New Republic”, autor próbuje zdefiniować współczesny wariant gatunku - nazywany przezeń amerykańskim noirem - którego głównymi eksponentami są Elmore Leonard, James Ellroy i Quentin Tarantino. Dochodzi do wniosku, że jest to „moralna fenomenologia zdeprawowanej lub zrujnowanej klasy średniej”.

Nie jest jednak moją intencją oddawać się socjologicznym studiom nad literaturą kryminalną, a jedynie poprzedzić kilkoma uwagami ten reprezentatywny, jak ośmielę się twierdzić, zbiór opowiadań autorstwa najbardziej wpływowych twórców gatunku, których działalność obejmuje w sumie trzy czwarte stulecia. Wertując, w celu wyszukania niewznawianych do tej pory lub z jakiegoś powodu niedostępnych utworów, te nieliczne, drogie egzemplarze starych czasopism, które oparły się działaniu czasu, odbyłem podróż sentymentalną do skrzyni pełnej skarbów, już raz przeze mnie odkrytej w czasach poprzedzających dzisiejszy rozkwit prozy kryminalnej. Dwadzieścia lat temu ogłosiłem drukiem pierwszą w Wielkiej Brytanii kolekcję materiałów z owych czasopism, zatytułowaną „The Fantastic Pulp” (1975), której nakład jest obecnie wyczerpany, a rok później wydałem

faksymilowy reprint opowiadań z jednego z moich ulubionych czasopism, „Weird Tales”, z pełnym tekstem i ilustracjami oryginału. Tylko jakość papieru i twarde okładki różniły to wydawnictwo od oryginału. W 1976 skompilowałem zbiór „Terror! A History of Horror Illustrations from the Pulp Magazines”, a w 1977 „Mystery! An Illustrated History of Crime and Detective Fiction”, w których znalazły się rozliczne ilustracje z okładek i ryciny śródtekstowe z czasopism kryminalnych, takich jak „Black Mask”, „Detective Fiction Weekly”, „Dime Mystery” i innych. To wydawca tych dwóch ostatnich tomów zachęcił mnie do przygotowania nowej antologii.

Dzięki kolekcjonerom i entuzjastom prozy kryminalnej po obu stronach Atlantyku - którzy szczerze wspierali mnie przy pracy nad wcześniejszymi książkami i jeszcze raz podjęli wyzwanie, gdy powstawał niniejszy tom - znacząca liczba opowiadań autorstwa wczesnych przedstawicieli gatunku została uratowana od zapomnienia, w które niewątpliwie by popadły, gdyby pozostawić je na kartach oryginalnych czasopism. A jakże byłaby to strata - te unikalne opowieści, wypełnione mieszanką szybkiej niczym burza ogniowa akcji, przemocy i cynicznego humoru, suto zaprawione zjadliwym dowcipem, z którego Raymond Chandler, Dashiell Hammett i ich koledzy po piórze uczynili formę sztuki. Doprawdy, zawsze będę pamiętał słowa jednego z fanów Chandlera, który przedstawił mi pod rozważkę kilka unikatowych opowiadań swojego ulubionego pisarza.

- Nie czytam Chandlera dla opowieści - powiedział z uśmiechem, który świadczył o wielu rozkosznych godzinach spędzonych na lekturze - czytam go dla dowcipów!

Peter Haining Boxford, Suffolk, 1996

I. TWARDZIELE

SPRAWA DLA PRYWATNEGO DETEKTYWA

Carroll John Daly

„Egipska Pokusa”

„Praojcem” wszystkich detektywów-twardzieli był Race Williams - nieustraszony, cyniczny, niecierpliwy, agresywny, czasami wręcz brutalny osobnik, który niemal natychmiast stał się archetypem bohatera detektywistycznej opowieści. Ów około trzydziestoletni, jak wynikało z opisów, mężczyzna o brązowych włosach, czarnych oczach i ponad stu osiemdziesięciu centymetrach wzrostu pracował kolejno jako dziennikarz, śledczy w firmie ubezpieczeniowej, tajny agent komisji wyścigów konnych i policyjny detektyw w Nowym Jorku, Chicago i Kalifornii, aż w końcu zajął się tropieniem zbrodni na własny rachunek. Uważany pierwotnie za kogoś w rodzaju „samotnego miejskiego kowboja”, Race potrafił być też uczuciowy, zwłaszcza w stosunku do kobiet w tarapatkach. Mimo iż w

walce przeciw gangsterom, skorumpowanym politykom i kryminalistom wszelkiej maści (włączając w to niegodziwych obcokrajowców, których uważał za zagrożenie dla politycznego ładu Ameryki) zawsze stał po stronie prawa, jego stosunki z policją nie były łatwe. Przez cały czas trwania jego kariery stróże porządku przestrzegali go przed nadmierną dezynwolturą w traktowaniu podejrzanych - zwykł bowiem strzelać do nich bez zastanowienia. A trzeba dodać, że władał bronią palną z zabójczą precyzją - pewnego razu wypalił równocześnie z dwóch pistoletów i trafił tak celnie, że jego przeciwnik miał dwie kule w mózgu, a tylko jedną dziurę w czole. Williams debiutował w maju 1923 roku na łamach czasopisma „Black Mask”, pierwszej ostoi czarnego kryminału - zajmował się wówczas sprawą pod kryptonimem „Knights of the Open Plain” („Rycerze otwartych przestrzeni”), a ściganymi przezeń złoczyńcami byli członkowie Ku-Klux-Klanu. Wkrótce jednak zaczęły działać na bardziej sobie znanym terytorium - na ulicach miasta... a proza detektywistyczna już nigdy nie będzie taka sama.

Carroll John Daly (1889-1958) nie sprawiał wrażenia osoby, która miała w przyszłości położyć kamień milowy na drodze rozwoju literatury kryminalnej. Ów łagodnie usposobiony miłośnik teatru wspinał się po szczeblach kariery od operatora kinowego do właściciela pierwszego kina w Atlantic City, a pisarstwo uprawiał wyłącznie dla rozrywki. W swym podmiejskim domu w White Plains w stanie Nowy Jork zaczął produkować historie kryminalne o wartkiej akcji, pełne przemocy i niemal całkowicie pozbawione opisów. W niczym nie przypominały tego, co wówczas pisano, i były skwapliwie rozchwytywane przez czytelników poszukujących nowego rodzaju emocji w prozie kryminalnej. Wśród bohaterów zrodzonych w wyobraźni Daly'ego najwcześniej - a wszyscy oni opowiadali o swych przeżyciach tym samym, zwięzłym i dosadnym językiem, który miał się stać znakiem rozpoznawczym gatunku - byli tacy twardziele jak Vee Brown, mściciel-rewolwerowiec, z upodobaniem komponujący muzykę, czy przerażający Terry Mack Trzy Spluwy. Ale to nie kto inny, tylko Race Williams zawładnął zbiorową wyobraźnię. I chociaż Daly produkował swoje dzieła w nonszalanckim pośpiechu, przez co wydawcy regularnie krytykowali go za niechlujność i brak wykończenia, nigdy nie odrzucano jego rękopisów. W rzeczy samej, z upływem czasu w kręgach wydawniczych zrodził się mit, jakoby umieszczenie nazwiska „Race Williams” na okładce pisma pomagało zwiększyć sprzedaż nawet o dwadzieścia procent, w konsekwencji czego Daly nie tylko stał się jednym z najlepiej opłacanych pisarzy swoich czasów, lecz także zdobył uznanie jako twórca nieprzemijającego pierwowzoru. „Egipska Pokusa” opisuje jedną z typowych przygód Race'a Williamsa i pochodzi z marcowego wydania „Black Mask” z roku 1928. Od tamtej pory nie była wznawiana.

*

Tej nocy temperatura spadła do prawie minus dwudziestu; podmuchy kąsającego wichru omiatały wąskie ulice dolnego Manhattanu. Ale nie niosły ze sobą kurzu ani brudu, ani smrodu brudnych ulic; wszystko to uwięzło pod grubym, czarnym lodem, wypełniającym

rynsztoki. Zapierający dech w piersiach wiatr, czysty, rześki i szczypiący - całkiem jak wiejskie powietrze - ciął mnie prosto w twarz. Od czasu do czasu jakaś skulona postać przemknęła drobnymi kroczkami z bramy do bramy albo ruszała przed siebie, niepewnie stąpając po chodniku.

Raz, w słabym świetle lampy, rewirowy łypnął na mnie spod zażawionych powiek. Już robił krok do przodu, by zastąpić mi drogę, ale po głębszym zastanowieniu pognął dalej trasą swojego obchodu, wymachując dla rozgrzewki ramionami. Doskonale wiedziałem, jaka myśl zaświtała mu przed chwilą w głowie - gdyby zgarnął jakiegoś pijaczka, miałby okazję ogrzać się, spisując gościa na posterunku. Nie mogłem go za to winić. Była w końcu między nami istotna różnica: ja miałem interes do zrobienia - przynajmniej tak mi się zdawało - i rtec musiałyby całkiem wyskoczyć z małego zbiorniczka na dnie termometru, nim spróbowałbym wymigać się od roboty. Nazwisko Race Williams zobowiązuje.

Niecałą godzinę temu chłopak przyniósł mi kopertę pełną pieniędzy; był też liścik z prośbą, bym zjawił się w pewnym podłym nocnym klubie - tak szybko, jak to tylko możliwe. List pachniał kłopotami i niósł wyraźne przesłanie, że od tej chwili moje życie spoczywa w moich rękach - miał wszelkie cechy ogłoszenia w dziale zgonów, brakowało tylko miejsca pochówku. Napisano go na maszynie i nie był sygnowany żadnym nazwiskiem. Ale że i pieniąż potrafi przemówić, pomykałem oto nocną porą w stronę „Egipskiej Pokusy”.

Ustalmy to od razu - nie jestem małym dzieckiem i wiem, że jest paręset niefrasobliwych rewolwerowców, którzy byliby bardzo radzi, mogąc potrenować na mnie strzelanie do celu z niewielkiej odległości. Zatem myśl, że to pułapka, nie była mi całkiem obca. Ale nie potrafiłbym rozczarować chłopców, tak czy owak. Jeśli ktoś chce płacić za możliwość postrzelania sobie do mnie, czemuż miałbym zniechęcać go do tych praktyk? Poza tym nie ma skutecznego sposobu, by z góry trafnie ocenić, czy interes jest korzystny, czy nie. Ci, którzy mnie potrzebują, zwykle nie przedstawiają referencji. Sam fakt, iż pomyśleli o mnie, dowodzi, że są w poważnych tarapatkach. Ja jestem bowiem sądem najwyższej instancji, ostatnią deską ratunku. Niezupełnie prywatnym detektywem, choć moja licencja tak mnie właśnie określa. Połączany napis na drzwiach mojego biura głosi: SPRAWY POUFNE.

Ale powróćmy na nowojorską ulicę w tamtą zimową noc, gdy temperatura zamierzała pobić wszelkie rekordy. Znalazłem „Egipską Pokusę”. Zlokalizowanie prowadzących do niej malutkich drzwiczek nie było trudne: doskonale znałem półświatek ze wszystkimi jego spelunami, a do tego miejsca i ślepy by trafił. Gdzieś poniżej poziomu ulicy, na tle uporczywego rytmu perkusji, brzęczało stareńkie pianino. Moje oczy przyzwyczajone są do szybkiej oceny sytuacji; to, co właśnie ujrzałem, kazało mi wsunąć prawą dłoń do kieszeni

płaszcz, gdy tylko znalazłem się w ciemnej, brzydsko pachnącej sieni, przez którą wchodziło się do tak zwanego nocnego klubu. Wszystko przez to, że jakaś postać wślizgnęła się do sąsiedniej bramy, a dwie inne zniknęły w wąskiej alejce po przeciwnej stronie ulicy.

Może nie było w tym nic alarmującego, a może i było. Mogła to być po prostu wielkodusza, chłopięca niefrasobliwość jakiegoś gangstera, który zaczął się na drugiego, by dla zabawy podłożyć mu nogę, ale równie dobrze mógł to być mój komitet powitalny. Lecz jeśli kryjąc się tak w mroku, zamierzali mnie kropnąć, stracili swoją szansę niemal w tej samej sekundzie, kiedy ją dostali. Wślizgnąłem się przez zewnętrzne drzwi do pograżonego w absolutnej ciemności korytarza „Egipskiej Pokusy”. W następnej sekundzie byłem już przy drzwiach wewnętrznych: puk-puk-puk-puk puk-puk-puk puk - cztery, trzy, jeden - sygnał rozpoznawczy frajerów z listy uprzywilejowanych gości. A jeśli nie znałeś umówionego sygnału, otwierało się małe okienko i obserwowano cię od stóp do głów. Jednej rzeczy nie znosili w tym lokalu: zmarnować okazję zarobienia choćby dolara. Łatwo było wejść, jeśli miałeś pieniądze - trudniej było wyjść, jeśli *jeszcze* jakieś miałeś. Gdy potrzebowaleś zaproszenia, większość taksówkarzy była w stanie załatwić je od ręki.

Drzwi uchyliły się nieco, więc szybko wstawiłem między nie stopę. Miałem przewagę, stojąc w przyćmionym świetle. Stary przy wejściu nie wydał mi się znajomy.

- Pan tak sam, w pojedynkę - mamrotał, gdy wsuwałem mu banknot w dłoń. - Pewnie się pan przyłączy do towarzystwa? - Próbował zlustrować moją twarz, osłoniętą przez opuszczone rondo kapelusza i podniesiony kołnierz.

- W pojedynkę - przytaknąłem mu. - Ale zanim wyjdę, mam nadzieję rozbawić całe towarzystwo. - Zadumał się nad tym, co powiedziałem, a ja tymczasem wepchnąłem się do szatni, przerzuciłem broń z kieszeni płaszcza do kieszeni spodni i zostawiłem płaszcz szatniarzowi. Następnie odwróciłem się, wyprostowałem i zszedłem po trzech schodkach, prowadzących do sali tanecznej.

Właściciel, wielki obleśny Grek, znany jako Nick, rozpoznał mnie natychmiast. Wydał policzki, wybałuszył oczy i poprzewracawszy nimi trochę, spróbował się uśmiechnąć, gdy w końcu poprowadził mnie do niewielkiego stolika w mrocznym kącie sali.

Jeśli już o tym mowa, to całe to wnętrze robiło przygnębiające wrażenie. Przyciemnione, brudne lampy, które miały wywołać efekt cichej egipskiej nocy, zapewne odpowiadały tej całej zebranej tu zgrai. Ale moim zdaniem, wszystko razem przypominało bardziej brudną, obskurną piwnicę w starej Madison Square Garden w tych dniach, kiedy w mieście gościł cyrk. Malowidła na ścianach były komiczne. Wychudzone wielbłądki ocierały się o wyliniałe lwy, ciemnoskóry wojownik górował nad piramidami, a mały pekińczyk w tle

przy bliższej inspekcji okazał się sfinksem. Panująca tu atmosfera i zapachy były niewiele lepsze od menażerii na ścianie, ale najwidoczniej nie przeszkadzały tłumnie zgromadzonym gościom. Być może po prostu nie znam się na geografii i zapachach Egiptu.

Właściciel pochylił się nade mną.

- Przyszedł się pan rozerwać, panie Williams? - Starał się, by jego głos zabrzmiał po prostu życzliwie, ale jakaś niepokojąca, budząca czujność nuta zadźwięczała w tym zwyczajnym przecież pytaniu. - Jeśli nie - dodał znacząco - będę musiał porozmawiać z Joem. - I szybkim ruchem grubego kciuka wskazał wielkie cielsko wykidajły, rozwalone w fotelu za orkiestrą.

Roześmiałem się - jakoś nie mogłem się powstrzymać. Gdybym powiedział, że przyszedłem w interesach, odpuściłby. Ten ptaszek widział mnie już raz w akcji, kiedy był kelnerem przy Alei. Wiedział, że jeśli Joe spróbowałby mnie wyrzucić z takiej nory jak ta, byłby z tego niezły dym. Ale może to pycha przeze mnie przemawia. Jednakowoż zostać stąd wywalonym wcale nie pomogłoby sprawie ani mojej reputacji. Nie jestem zadymiarzem, rozumiecie - ale też i nie podkładał mi się, by mi deptano po twarzy. Jedna rada dla koleś, który ze mną zaczyna: musi wiedzieć, jak skończyć. Bo jeśli w coś wchodzi, to nie dla zabawy.

Ale teraz stał nade mną Nick, właściciel, i czekał, by przyjąć zamówienie - a kiedy już je składałem, jego twarz wydłużała się stopniowo, aż podbródek opadł mu do piersi.

- Poproszę małą butelkę wody mineralnej White Rock - powiedziałem. - Tylko żeby kapsel mocno siedział na szyjce. Przyniosłem własny otwieracz.

Urażona mina pojawiła się na jego tłustej twarzy, gdy zrozumiał, że kwestionuje uczciwość lokalu, i zaraz zniknęła, kiedy wsunąłem mu w dłoń piąta - co było niezłą sumą za zwykłą wodę, ale niezbyt wygórowaną, jeśli kapsel tkwił pewnie na swoim miejscu. Nie, nie miałem podejrzeń co do lokalu, ale nie znoszę narażać kogoś na pokusę.

- A teraz - zmykaj pan stąd. Zasłania mi pan widok na estradę, a mam wielką ochotę na fantastyczny, beztroski wieczór. - Machnąłem ręką, by się odsunął.

A na estradzie trwało przedstawienie - czy coś w tym stylu. Pięć albo sześć dziewcząt, płasząc na niewielkim podium, usiłowało zrzucić z siebie szatki. Gwiazdą wieczoru była pewna dama, która swe najlepsze lata miała jeszcze przed zabójstwem McKinleya. Ale jej ramię przypominało konar porządnego dębu - potrafiłaby więc niezłe powywijać krzesłem przeciętnej wielkości, gdyby zaczęły się kłopoty. Ponadto jej zdolność pochłaniania wielkich ilości lichego alkoholu mierzono chyba w cysternach. Co było dużą zaletą. Ośmielę się stwierdzić, że jej pobielona pudrem twarz, oglądana oczyma zamglonymi przez dzin, mogła

wyglądać jak twarz madonny.

Młodsze były starannie wyselekcjonowane i... nieudolne. Ale twarze i figury robiły wrażenie nawet na pijącym wodę White Rock. Poważne twarzyczki małych kombinatorek, być może, niemniej wcale ładne. To znaczy, ładne pewnym złowieszczym rodzajem urody.

Wtedy zobaczyłem tę małą na samym końcu podestu.

Była dwa kroki za pozostałymi i ton lub pół tonu poza tonacją piosenki. Rzęsy miała przyciemnione, policzki uróżowane, a na głowie złote kędziory peruki najtańszego sortu. A jednak się wyróżniała. Zaciskała ze strachu wargi, a kąciki ust rozciągnęły się w czymś na kształt wymuszonego uśmiechu, nadając twarzy upiorny wyraz. Robiła wrażenie nieobecnej; jej oczy błędziły badawczo po całej sali w pomieszaniu strachu i nadziei. Śmiertelna trwoga w jednym momencie, w następnym - błysk nadziei. Oczy zdały się opowiadać całą historię jej życia - i nic w tym nadzwyczajnego. Nie jestem zbyt biegły w czytaniu twarzy, ale ta twarz była jak otwarta księga.

Lecz nie znalazłem się tam po to, żeby się ekscytować panienkami. Spojrzałem po gościach lokalu, a był to tłum dziwaczny. Zaraz koło sceny siedziało pół tuzina chłoptasiów z college'u. Przy sąsiednim stoliku drobny kieszonkowiec z Alei nie przestawał uśmiechać się do Nicka, próbując wywołać wrażenie, że bynajmniej nie sprowadziły go tu sprawy zawodowe. Dalej - odstrzelone towarzystwo ze śródmieścia, z aurą wyższych sfer, bijącą od ich smokingowych koszul, i z piętnem klasy średniej na ich głośnych i niewyparzonych ustach. Było paru speców od napadów rabunkowych, przepuszczających zyski z ostatniego skoku - rozdawali szczerze napiwki i pokazywali wszem wobec, jacy to hojni z nich goście. Nie było trudno ich wskazać. Niektórych znałem, inni byli po prostu w tym typie - niepodobna takich przeoczyć.

Ujrzałem też dwóch mężczyzn, którzy zjawili się niebawem po moim przyjściu - śniadoskórzy, ciemnowłosi kolesie z nich byli. Ubrani w sposób nierzucający się w oczy, ale i nie obdartusy. Cisi, uważni, i też pili wodę White Rock, przyglądając się artystkom z pełnym skupieniem zainteresowaniem i poczuciem zadowolenia, jakie trudno osiągnąć po zwykłej wodzie sodowej. Ani nie klaskali, ani nie machali do dziewczyn, szeptali tylko od czasu do czasu między sobą i kiwali głowami, zgadzając się ze sobą w jakiejś kwestii. Instynktownie wyczułem, że moja misja ma związek z tymi mężczyznami.

Skończył się numer taneczny, więc dziewczęta zeskoczyły z podium i zaczęły krążyć po sali - pozdrawiając przyjaciół i nieznajomych w jednaki sposób. Atmosfera była swobodna, niewymuszona. Dziewczyna tańcząca z tyłu, ta w dziwacznej blond peruce, zeskoczyła ze sceny ostatnia. Niepewnie rozejrzała się po wypełnionej dymem sali, po czym

ruszyła wąskim przejściem między rzędami stolików. Nie przypatrywałem się jej z jakąś szczególną uwagą - obserwowałem ciemnowłosych mężczyzn, którzy siedzieli teraz z głowami blisko siebie i oczami wbitymi w stół, jakby chcieli w ten sposób zakomunikować tancerkom, że nie pragną ich towarzystwa.

To stało się błyskawicznie - wątpię, by ktokolwiek z sali dostrzegł jakikolwiek ruch. Nawet ja, choć widziałem wszystko z bliska, nie byłem do końca pewien. Wyglądało to tak, jakby panienka w blond peruce, mijając tych dwóch mężczyzn, odskoczyła w stronę stolików stojących po przeciwnej stronie przejścia. I wyglądało to też tak, jakby wielka, śniada dłoń wystrzeliła w jej kierunku, zacisnęła się na nadgarstku dziewczyny i przyciągnęła ją do stolika. Jedno jest pewne: znalazła się na krześle pomiędzy tamtymi mężczyznami; powaga w ich zachowaniu ustąpiła miejsca śmiechom, rozmowom i głośnym nawoływaniom o coś do picia. Dziewczyna siedziała między nimi - oszołomiona, niepewna, zahipnotyzowana.

A ja miałem nowy kłopot na głowie. Jakaś tancereczka o ostrych rysach klapnęła nagle na fotel koło mnie.

- Co powiesz na małego drinka, kochasiu? - Jej dłoń spoczęła na moim nadgarstku.

Strząsnąłem ją.

- Spadaj, mała - powiedziałem do dziewczyny. - Czekam na inną Moll. Jest zazdrosna i ma długie pazury. - Ten tekst to w celu uniknięcia dłuższej dyskusji i by nie zostać oskarżonym o sknerstwo. Znam ja te speluny i znam te kobiety.

Parsknęła chrapliwym śmiechem i odsunęła się nieco.

- Race Williams - usłyszałem jej szept.

Teraz była moja kolej chwycić jej nadgarstek. Zaraz bowiem cała sprawa miała się wyjaśnić, a banknoty w kopercie znaleźć wytłumaczenie.

Nigdy nie zapominam twarzy, a facjata tej panny nic mi nie mówiła. Ona też nie była pewna, czy ja to ja, i dlatego wyszeptała moje nazwisko.

- O mnie ci chodzi? - Przyciągnąłem ją bliżej siebie. - To ja jestem Race Williams. Czy to ty posłałaś po mnie?

- Nie ja! Tamta. - Żywo skinęła głową w stronę, gdzie pomiędzy dwoma mężczyznami siedziała dziewczyna w blond peruce. - Ta, która siedzi z makaroniarzami. - Jeśli nawet słowo, jakiego użyła, nie było eleganckie, to z pewnością wyraziście. Tamci chłopcy pasowali do tego lapidarnego określenia jak ulał.

- Ona pana nie zna - nie śmiała pytać, kim pan jest. Zabrałam ją z ulicy trzy noce temu. Czegoś bardzo się boi, więc powiedziałam jej o panu. Ma kupę kasy i sądzę, że te typki chcą dostać z tego swoją dolę. Tak czy owak, chce z panem pomówić, obawia się tylko, że ci

makaroniarze spróbują ją powstrzymać... O mój Boże! Zabierają ją!

Rzeczywiście. Poderwali się nagle na równe nogi, dziewczyna znalazła się między nimi. Ani jej tak naprawdę nie wlekli, ani nie szła całkiem dobrowolnie. Na przemian unosiła stopy i nimi powłóczyła. Ale nie wzbudziło to niczyjego zainteresowania, ponieważ mężczyźni wspierali się na niej po obu stronach, śmiali się i rozmawiali, zasłaniając jej twarz swymi czarnymi, podrygującymi głowami.

Nie krzyczała ani się nie opierała, a jeśli nawet tak robiła, to nie było to zauważalne. Ja jednak miałem jasność - oto dwóch nieznanym wlecze gdzieś mój plik banknotów.

- Jak ona się nazywa? - pośpiesznie spytałem siedzącą przy mnie dziewczynę.

- Bernie... - Wahala się przez chwilę. - Po prostu Bernie, tak mi się wydaje. To dobra dziewczyna i...

Ale już jej nie słuchałem. Bernie po mnie posłała, Bernie zapłaciła za działanie - i Bernie będzie je miała. Zerwałem się z fotela i zwróciłem kroki w stronę schodków prowadzących do szatni.

*

Byłem akurat na czas, bo dwaj mężczyźni z dziewczyną pośrodku zignorowali szatnię i zamierzali bez płaszczy stawić czoło mroźnej nocy. Trochę nierozważnie, zważywszy, że zwiewna, koronkowa sukienka dziewczyny zaprojektowana była do tańców nad brzegami Nilu. Szatniarz, rzecz jasna, nie zrobił nic, by ich zatrzymać. Czasy, gdy coś było w stanie go zadziwić, minęły bezpowrotnie.

Szybkie spojrzenie za siebie, i już ruszałem w ślad za tamtymi; przemknąłem obok nich i odwracając się, stanąłem przed całym tym triem w słabym świetle holu, pomiędzy szatnią a wewnętrznymi drzwiami.

- Hej, Bernie. - Puściłem oko do dziewczyny i odegrałem zawianego gościa. - Tak mi się zdawało, że to twój kark widzę. Nigdzie nie pójdziesz, dopóki się nie napijesz ze starym przyjacielem. - Spojrzała na mnie nieobecny wzrokiem, a ja, widząc konsternację w tym jej spojrzeniu, dodałem: - Myślałem, że chciałaś się tu ze mną widzieć dziś wieczór - mówiłaś mi o tym albo pisałaś, albo sam już nie wiem.

Tym razem chyba nawet odwzajemniła moje mrugnięcie. W każdym razie strach zniknął z jej oczu - na krótką chwilę znów rozbłyły w nich iskierki nadziei, które widziałem już u niej na podium. Próbowwała coś powiedzieć, ale nie wydobyła z siebie żadnego słowa - jej wargi rozwarły się i zamknęły z suchym pyknięciem.

- Pan wybaczy, drogi kolego. - Duży, smagły facio próbował odepchnąć mnie na bok. Ale szanse miał niewielkie. Korytarz był na to zbyt wąski, a poza tym mnie nie tak łatwo

odepchnąć. - Jesteśmy przyjaciółmi tej młodej damy. Poczula się nie najlepiej, więc zabieramy ją do domu.

- Co! Mała Bernie źle się czuje? - Nadal blokowałem przejście. - Musi więc zażyć lekarstwo - tak się składa, że mam coś naprawdę znakomitego i sprawdzonego - bełkotałem dalej, sięgając do kieszeni na biodrze. To była twarda gra. Żaden z koleś mnie nie znał i to dawało mi przewagę, jeśli nadal brali mnie za pijaka. Z drugiej strony - jeśli gra toczyła się o wystarczająco dużą stawkę, smagłolicy zaś byli wystarczająco zdesperowani, i gdyby w dodatku zaczęli podejrzewać, że tylko tak gadam, a wcale nie jestem zawiany - atak mógł nastąpić w każdej chwili. Przeleciało mi przez myśl, by wcisnąć każdemu z nich pistolet w żebra i zrobić pa-pa. Gdyby pojawił się cień podejrzenia w ich twarzach, zrobiłbym tak na pewno. Ale gra się dopiero zaczęła, a ja nie chciałem źle rozegrać swoich kart.

Wtedy mniejszy z dwójki odezwał się po raz pierwszy: - Zejdź mi z drogi. - I chociaż nie było podejrzliwości w jego twarzy, w głosie wyczuwało się groźbę, podobnie w ruchu dłoni, która wsunęła się pod marynarkę.

- Mała Bernie... wychodzi na taki ziab... bez ciepłych ciuszków. - Jąkałem się dalej, ale nie przestawałem obserwować tamtej dłoni i... nóż ujrzałem, jeszcze zanim tamten zdołał go unieść. Nie wiem, czy zamierzał wsadzić mi go między żebra, czy tylko mnie nim postraszyć. I nie czekałem, by poznać jego zamiar w tym względzie. Moja dłoń wystrzeliła do góry; metal trzasnął o wystający podbródek i, jak to mówią w filmach, „zgasło włoskie słoneczko”. Korytarz był wąski; tamten stał blisko ściany i zachował się jak dżentelmen, osuwając się swobodnie i miękko na podłogę.

Po tym nie było już sensu rżnąć głupa. Jakimś cudem cała ta akcja dała Bernie impuls do działania; strach? nadzieja? czy tylko trafny osąd sytuacji? Tak czy owak, ożywiła się, przestała odgrywać mechaniczną lalkę i szybkim ruchem oswobodziła się z rąk swego „przyjaciela”. Ptaszek zawahał się przez chwilę: gonić dziewczynę, pomóc koledze czy może rozprawić się ze mną? „Ten, kto się waha, przegrywa” - wiadomo - i może są wyjątki od tej reguły, ale ten chłoptaş do nich nie należał. Przez jego twarz przesunął się pełny zestaw min do pantomimy, nim nadeszła chwila, w której zdecydował się sięgnąć po broń. Ale wtedy ja zastosowałem na nim podwójny chwyt, połączony z obrotem ciała o sto osiemdziesiąt stopni, i już kolega wymachiwał nóżkami w powietrzu w najpiękniejszym stylu. Bywa, że lubię zapodać taki lekko komediowy nastrój. Z powodu rosnącej popularności nocnych klubów „wyrzucenie na pysk” znów staje się modne.

Odźwierny nie zawahał się. Może wziął mnie za wykidajkę i być może jego działanie było odruchowe, ale gdy tylko ujrzał nas zbliżających się do niego w ów charakterystyczny

sposób, wiedział, że może zrobić tylko jedno. I zrobił to. Otworzył drzwi na oścież, skinął z uznaniem głową przy moim końcowym pchnięciu, wymamrotał coś sam do siebie, po czym zatrzasnął drzwi i zaryglował zamek. Scena nie udałaby się lepiej, nawet gdybyśmy mieli próbę kostiumową.

Powróciłem do sieni. Był tam Nick, właściciel, i potrząsał Bernie za ramiona, żądając wyjaśnień w kwestii obecnego położenia ciała jednego z dobrze płacących klientów, leżącego oto na podłodze.

- Zostaw tę małą w spokoju. - Szarpnięciem oderwałem dłoń Nicka od ramienia dziewczyny. - To moja przyjaciółka. Przyszedłem tu dziś wieczór, by z nią porozmawiać. Ten pajac - wskazałem na koleśia, któremu zafundowałem drzemkę - chciał się z nią ulotnić.

Śladowe oznaki inteligencji zamajaczyły na twarzy Nicka. Jakaś para wychodziła właśnie po schodkach prowadzących z sali tanecznej, a w tle pojawiła się buldogowata twarz Joego, wykidajły.

- Co to ma być? - wyszeptałem szybko do Nicka. - Cichy, spokojny wieczorek taneczny czy rozróżba? Decyduj pan. - Znacząco poklepałem się po kieszeni.

I Nick zaczął grać. Bezbłędny w swej roli. Jego twarz przeciął uśmiech, gdy wysuwał szybkim ruchem rękę, by przyciągnąć kotarę i leżącą na podłodze postać zasłonić przed wzrokiem zbliżających się gości.

- Tak to jest, panie Williams - powiedział w końcu. - Bernie to cudowna dziewczyna - dodał i uszczypnął ją w policzek. - Zapewne życzyłby pan sobie wypić z nią drinka w osobnym pomieszczeniu. - Potarł dłonie, poklepał mnie po plecach, zbliżył się do pary, która wkładała w tej chwili płaszcze, dał ukradkiem jakiś znak Joemu, wykidajle, i już śmiał się głośno z grubiańskiego żartu. W każdym razie zajmował gości rozmową przez cały czas potrzebny tamtemu, by wśliznąć się za kotarę.

Wyraźnie słyszałem szuranie po drewnianej podłodze i huk zatraskiwanych drzwi. Chwila ciszy, po czym kotary rozchyliły się i Joe znów był w holu. Spojrzał na mnie z nieskrywanym podziwem.

- Musiał mu pan nieźle przyładować. - Potrząsnął kilkakrotnie głową. - Jest sztywny jak makrela.

Przytaknąłem zdawkowo i uśmiechnąłem się, wsuwając mosiężny kastet z powrotem do kieszeni. Po co zaraz zdradzać tajniki zawodu?

Bernie, drżąc, stała oparta o ścianę; Nick, właściciel, przystanął koło niewielkich drzwi i trzymał je dla nas otwarte. Ująłem dziewczynę pod ramię, i na poły prowadziłem, na poły niosłem w kierunku wąskiej klatki schodowej za otwartymi właśnie drzwiczkami.

Uśmiechający się półgębkiem Nick mrugał do mnie porozumiewawczo i robił miny, gdy go mijaliśmy i powoli zaczynaliśmy wspinać się po schodach. Są rzeczy, których nie lubię, i pokusa, by smagnąć Nicka sierpowym po tych jego grubych wargach, była silna. Ale najpierw obowiązek, potem przyjemność; a poza tym, kto wie, mogę jeszcze potrzebować Nicka, nim ta noc dobiegnie kresu. W każdym razie drzwi się zamknęły i jego tłusta, zmysłowa twarz zniknęła nam z oczu.

- No już dobrze, Bernie - powiedziałem - weź się w garść, jesteś bezpieczna.

- Och, och - załkała dwa razy i... - och - załkała po raz trzeci. I chociaż za tym łkaniem kryło się głębokie przeżycie i silne emocje, jakoś nie zrobiło na mnie większego wrażenia.

Mimo iż nie mogła zbyt dobrze mówić ani chodzić, doprowadziła mnie ciemnym, wąskim korytarzem u szczytu schodów do obskurnego prywatnego pokoiku. Kilka minut trwało, zanim pozbierała się do kupy, ale w końcu odwróciła się na pięcie, podeszła bliżej i otworzyła swe serce. Jeśli przedtem nie potrafiła mówić, teraz wyrzucała z siebie wszystko.

- Przyszedł pan. - Z jej ust wydobył się istny galimatias słów.

- Znałam tych dwóch facetów - rozpoznałam ich, ale jak idiotka nie pomyślałam, że oni mogą znać mnie. Widzieli mnie tylko raz - a teraz z tą peruką i umalowana... Ale zjawił się pan akurat na czas. - Szczupłe dłonie sunęły po mojej szyi, a blond peruka opadła na moje ramię - mała Bernie dawała mi do zrozumienia, jaki to ze mnie niezły towar.

- Daruj sobie te seksualne podchody - powiedziałem i odsunąłem jej ramiona od mojej szyi. Wtedy niemal odskoczyła do tyłu, zrywając z głowy perukę. No i Bernie okazała się ładna. Trochę wody i mydła zaaplikowane jej buzi zrobiłoby z niej bóstwo. Chyba dostrzegła wyraz aprobaty na mej twarzy. Bo znowu zaczęła odgrywać wampa. Wysilek z gatunku żalonych, co gorsza - wspomagany tym upiornym uśmiechem, jaki zauważyłem już u niej na estradzie. Bernie nie była zła - przeciwnie, była dobrym stworzeniem. W jej oczach skrzyły się isierki młodości, których nie zdołał jeszcze zabić strach - isierki, których żaden doktor od urody nie potrafiłby wstawić w oczy złej istocie. Bernie po prostu spotykała się z niewłaściwymi chłopakami - to wszystko. Przywołałem ją więc do porządku, bo jedynie marnowała czas.

- Tak, jesteś ładna, Bernie. - Spojrzałem jej prosto w oczy. - Może i piękna i, ośmielam się stwierdzić, masz w zanadru mnóstwo świetnych sztuczek. Ale trzymaj je nadal w zanadru. Wysłałaś mi pieniądze, więc przybyłem ci pomóc. Mogłabyś być zezowata, mieć zajęczką wargę, a jedno ucho, albo nawet oba, odgryzione przez kochasia. Nie zrobiłoby to różnicy. Zapłaciłaś za usługę, więc ją otrzymasz. Mów, czego chcesz ode mnie?

Jej ręce zawisły w powietrzu i wisiały tak, dopóki nie skończyłem mówić. Potem

opadły wzdłuż boków; wargi przestały się trząść; czarne oczy rozszerzyły się nieco, kiedy ważyła moje słowa.

- I pomoże mi pan, bez względu na to? - spytała w końcu.

- Bez względu na co? Tych chłopców na dole?

Na wspomnienie o nich strach znów wypłynął na jej twarz.

- Pomoże mi pan? Da pan radę wydostać mnie stąd?

- Jak najbardziej - rzekłem i mówiłem poważnie.

- To są zdesperowani faceci... Zabraliby mnie dziś wieczór siłą... Zabiliby pana bez wahania. Zabiliby bez zastanowienia.

- Ale po pierwszej próbie na pewno się nad tym porządnie zastanowią. - Uśmiechnąłem się do niej. Następnie spytałem: - Dlaczego nie krzyczałaś, kiedy zabierali cię z sali dziś wieczór? Byłaś zbyt przerażona?

- Tak - powiedziała pośpiesznie i natychmiast (a jej policzki zbladły pod warstwą różu) dodała: - Po części tak. Poza tym obawiałam się...

- Czego?

Zawahała się, więc znowu jej pomogłem.

- Obawiałaś się policji, Bernie?

Cofnęła się tak gwałtownie, że wpadła na stojący za nią stół.

- Skąd... skąd pan wiedział? - wydukała.

Czytanie w cudzych myślach? Może. Ale uśmiechnąłem się tylko. Ludzie, którzy nie boją się policji z takiego czy innego powodu, nie potrzebują moich usług. Bernie miała wiele okazji, by wyzalić się jakiemuś gliniarzowi lub nawet dwóm, ale nie zrobiła tego. Wyłącznie dlatego, że nie chciała tego zrobić.

- To prawda. - Nieco prowokacyjnie zadarła w górę głowę. - Ale nie zrobiłam nic złego... A nawet jeżeli zrobiłam, to w słusznym celu... celu, co uświęca środki. Nie pomoże mi pan?

- Jest prawo i... prawo - wyjaśniłem. - Kieruję się własnymi zasadami i sam sobie jestem sędzią złego i dobrego. Zrobię to dla ciebie. Pomogę ci bezpiecznie się stąd wydostać. Nie pomogę ci łamać prawa, póki nie poznam faktów - ale pomogę ci pokonać tych gangsterów, których się boisz.

- Jak wiele musiałabym panu powiedzieć?

- Tylko tyle - lub aż tyle - ile zechcesz.

- Ile będę musiała panu zapłacić? - Znów się zawahała.

- Już zapłaciłaś za tę usługę. Jeśli wolisz odsłonić karty później, cóż...

- Chcę to powiedzieć teraz! - zawołała zniecierpliwiona. - Nie chcę, żeby pan źle o mnie myślał. Moja matka była Włoszką, ale ja jestem Amerykanką. Urodziłam się w tym kraju. Mój ojciec zmarł i matka zaczęła śpiewać na estradzie. Ojciec zostawił jakieś pieniądze, więc posłano mnie do klasztoru we Włoszech. Później od pewnego lekarza otrzymałam wiadomość, że moja matka jest chora i może rychło umrzeć. Miałam niewiele pieniędzy, ale wystarczyło - udałam się do Neapolu, aby stamtąd popłynąć do Nowego Jorku. Obrabowano mnie jednak... zostałam bez pieniędzy, bez biletu na statek... a matka była umierająca. - Otarła spływającą po jej policzku łzę - prawdziwą, i mówiła dalej: - W Neapolu spotkałam kobietę, której zwierzyłam się ze swych kłopotów. Pomogła mi - opłaciła podróż - ale musiałam coś za to dla niej zrobić. To właśnie wtedy uczyniłam rzecz naganną. Przeszmyklowałam kilka diamentów. Wiedziałam, że to nie w porządku; wiedziałam, że nie powinnam - a jednak to zrobiłam. Umierała moja matka... Oto cała moja zbrodnia. Cała moja tajemnica - za to, by się nie wydała, płacę teraz moimi pieniędzmi. Mój opiekun mi pomógł. Ale później zaczęłam się go obawiać i podejrzewać, że on sam wszystko zaaranżował. Korzystał z moich pieniędzy, jego oczy zapalały się, ilekroć na mnie patrzył, a pewnego razu, kiedy chciałam uciec... ale może wystarczy...

- Kto jest twoim opiekunem, Bernie? Jak się nazywa? - spytałem.

- Sadzę, że... nie powinnam mówić tego wszystkiego. Chcę tylko uciec i gdzieś się ukryć. Od czasu do czasu mogę posyłać mu pieniądze, może go to zadowoli i da mi spokój. Ale widziałam, jak rozmawiał z kimś, kogo uważam za mojego wroga - z jednym z tych mężczyzn, którzy przyjęli pieniądze za milczenie w mojej sprawie. To ten wysoki mężczyzna, z tych tam na dole, którego, jak słyszałam, zowią Ferganses - ten, którego wystawił pan za drzwi. Bo widzi pan, ja się go lękam; i lękam się mego opiekuna; i lękam się władz, bo ukarzą mnie za mój występki, nie rozumiejąc, jak silne było pragnienie, by jeszcze raz ujrzeć matkę. Lecz moja matka umarła, nim dotarłam do Nowego Jorku - powiedziała Bernie i już miała na nowo odkręcić te swoje wodotryski.

- Masz pieniądze, Bernie. Czy to dużo pieniędzy?

- Znaczna ilość. Nie mogłam tego dłużej znieść. Uciekłam, ale nie wiedziałam, dokąd pójść. Mój opiekun wysłał mnie do banku, a ja podjęłam dużą sumę pieniędzy i opuściłam dom. Ale dopadł mnie strach - i wtedy spotkałam dziewczynę, która była dla mnie miła i przyprowadziła mnie tutaj. Tamci jednak musieli coś podejrzewać - odnaleźli mnie. Dziewczyna wspomniała o panu, więc bez wahania po pana posłałam.

Mógłbym się roześmiać, ale nie zrobiłem tego. Twarz Bernie sprawiła, że wszystko to brzmiało bardzo szczerze. Biedna mała - nie ulegało wątpliwości, że opiekun stał za tym

wszystkim i podsycił jej wyobraźnię obawą przed władzami. Nie było to pewnie trudne - Bernie miała klasztor wypisany na twarzy. Dla niej to, co zrobiła, to była straszna zbrodnia. Miała oczywiście szczęście, że trafiła na mnie, a nie na jakiegoś prywatnego detektywa, który zerowałby na jej strachu i zgarnął większość pieniędzy za wyprostowanie spraw z prawnego punktu widzenia. Ale ja nie pogrywam w ten sposób. Zaraz wyjaśnię dziewczynie, że jej lęki są bezpodstawne. Znam się na rzeczy i znam się na ludziach, no i znam dobrego prawnika.

- Bernie - zacząłem i natychmiast przerwałem, obróciłem się na pięcie i gwałtownie otworzyłem drzwi. Nick, właściciel, musiał włożyć sporo wysiłku, by nie gruchnąć nosem o podłogę.

- Proszę, proszę! - Poderwałem go na nogi. - Cóż to, zabawa w małego szpiega?

- Żar...tuje pan - wybełkotał. Złapał oddech i popatrzył na mnie krzywo. - Powinienem pójść na policję - szczechnął nagle. - Gdybym wiedział, po co pan tu przyszedł, Race Williams, i jakie kłopoty sprowadzi pan na mój lokal... Ale teraz musicie natychmiast stąd iść. Pomogę wam.

- Dlaczego musimy iść? - Obserwowałem tę przebiegłą, nalaną twarz z podłymi, mrugającymi oczkami.

- Ponieważ wrócił ten, którego pan wyrzucił. Domaga się, by dziewczyna poszła razem z nim. Jest pańskiego usposobienia i też mi grozi. - Dlaczego by nie posłać po policję?
- Jedna rzecz była pewna, gdy szło o Nicka - w pierwszej kolejności zawsze troszczył się o siebie.

- Nie chcę tu policji. To porządny klub; ale ludzie opowiadają różne rzeczy i muszę dbać o reputację. Poza tym miałbym wówczas wrogów z trzech stron: policję, tych ludzi, którzy żądają wydania dziewczyny, no i pana.

Doskonale rozumiałem jego punkt widzenia. Było rzeczą oczywistą, że Nick i policja nie pasowali do siebie. Co do mnie, pewnie też miał rację. Ani Bernie, ani ja nie szukaliśmy towarzystwa glin. A tamci? Gdybym wyszedł z dziewczyną, nie byłiby zbyt przyjaźni dla Nicka. Jasno wyłożył ten punkt, zanim zdążyłem o to zapytać.

- Zrozum pan, ja nie pragnę wojny - wstrzelił się w moje myśli. - Wyprowadzi pan dziewczynę tylnym wyjściem. Nie chcę jej tu więcej oglądać. W ten sposób pan nie będzie żywił żalu do Nicka, a nieznajomi nabiorą przekonania, że ona nie została u mnie, tylko wyszła od razu. Ale teraz pośpieszmy się.

- Czy nikt nas nie zauważy, jeśli wyjdziemy tylnym wyjściem?

- Nikt. Ilekroć dostanę cynk o nalocie, tą właśnie alejką na tyłach wychodzą goście. Mam pokazać?

To wyglądało na dobry pomysł. Ci ludzie byli obcy w lokalu Nicka - mogli nie wiedzieć o tylnym wyjściu. A gdyby wiedzieli? Wzruszyłem ramionami. Bernie i ja ulotnimy się tylnym wyjściem. Następny ruch należy do nich. Jeśli ci kolesie są równie kiepscy w strzelaniu, jak w mówieniu, to pożałują swych braków w edukacji.

Nick poprowadził nas długim korytarzem na tyły budynku. Śpieszył się i był zdenerwowany. Musiał pamiętać - tak sędzę - tę małą strzelaninę przy Alei, w czasach gdy pracował tam jako kelner. Inna sprawa, że Nick był typem, który wyczuwał pięciocentówkę na milę, a teraz pomagał mi czmychnąć przed koleżkami Bernie i nie zażądał złamanego centa. To niepodobne do Nicka. Zachichotałem w duchu. To wszystko dowodziło tylko, jak bardzo pragnie się mnie pozbyć.

Zdażył już, mimo wszystkich swoich niepokojów, zadbać o to, byśmy nie tracili więcej czasu. Przez ramię miał przewieszoną ciężką pelerynę z kapturem - dla dziewczyny, przyniósł też mój płaszcz i kapelusz.

Przeszliśmy przez jakieś pomieszczenie za orkiestrą, potem szybki zwrot i już znajdowaliśmy się w ciemnym, zimnym przedsionku. Na zewnątrz gwizdał wiatr, mroźna noc wciskała się szczelinami do środka, a przez brudną, pociemniałą ze starości szybę nad drzwiami widać było zarys budynków - czynszowych kamienic dolnego Manhattanu. Tu i ówdzie na skrawku ciemno-błękitnego nieba lśniło z pół tuzina gwiazd. Noc była tak jasna i przejrzysta, jak tylko jasna i przejrzysta może być noc bez księżyca.

Wślizgnąłem się w swój płaszcz i włożyłem kapelusz. Nick zarzucił pelerynę na ramiona dziewczyny i dobrze naciągnął kaptur na jej głowę, tak by całkowicie skrywał twarz. Peleryna była na nią za duża o dwa, trzy numery, ale Nick i to wyjaśnił - jak gdyby wszystko miał dobrze przemyślane.

- Inni też wychodzą w pośpiechu przez te drzwi - powiedział. - Czasami czyjaś żona w towarzystwie detektywa przyjdzie szukać dowodów w sprawie rozwodowej - i mamy wówczas taką nagle wychodzącą parę. Gdyby nawet ktoś coś podejrzewał, pewności nie uzyska. Jeśli pan chce, proszę pójść sprawdzić, czy przejście jest bezpieczne - potem możecie ruszać śmiało.

Całkiem niezła rada. Odwróciłem się do Bernie.

- Stój tutaj. - Przyciągnąłem ją blisko drzwi, potem je ostrożnie otwarłem i wślizgnąłem się na kamienne podwórko. Przymknąłem drzwi na szerokość cala.

- Jeśli usłyszysz, że ktoś nadchodzi, lub przestraszysz się czegoś - wrzeszcz - poradziłem. - Nie bój się krzyczeć. Wychodzimy tak po cichutku tylko ze względu na starego Nicka. Będę niedaleko. - Uścisnąłem dłoń małej dla dodania jej odwagi. Dłoń była chłodna i

drżała w moim uścisku.

I rzeczywiście niedaleko odszedłem; mimo nocy było dość jasno, by widzieć, co trzeba. Tylko kilka kroków dzieliło mnie od wąskiego przejścia między dwoma parkanami, ta alejka z kolei prowadziła na następne podwórko. Nie byłem pewien, ale wydawało mi się, że dostrzegam drzwi z tyłu pomiędzy parkanami. Żywej duszy na widoku - żadnych też miejsc w alejce, w których ktoś mógłby się zaciąć. Co innego na kwadratowym podwórku; znajdowała się tam sterta wyrzuconych na śmieci beczek i pudeł. Zajrzenie za wszystkie pudła i beczki zabrałoby z pół godziny, a kiedy zagłądałbyś za jedno, ukryty wróg mógłby wypaść zza innego. Nie - nie miałem zamiaru tracić czasu. Bernie - ponaglana - pokona odległość do alejki w kilka sekund, a dalej będzie już chroniona z obu stron przez parkany. Niewątpliwie Nick celowo, dla wygody wychodzących nagle gości, wybudował to nadmiernie wysokie drewniane ogrodzenie.

Rzuciłem jeszcze jedno szybkie spojrzenie w głąb alejki - odwróciłem się i nasłuchiwałem. Nic nie było słyhać poza przytłumionym brzęczeniem muzyki i szuraniem stóp po parkiecie. Popatrzyłem w stronę drzwi - nadal były lekko uchylone - i właśnie ucichła muzyka. Żadnych odgłosów z przedsiönka. Zakończyłem więc swój „obchód”. Teren był czysty. Nie tracąc więcej czasu, wróciłem po Bernie.

Dziewczyna czekała oparta o ścianę w pobliżu drzwi - w półmroku ujrzałem jej postać trzykrotnie powiększoną przez pelerynę i kaptur, który zdołał skryć nawet bladość twarzy. A Nick nerwowo przebierał nogami i oddychał, głośno zasysając powietrze.

- Posłuchaj, Bernie - musisz się teraz wziąć w garść. Jesteś bezpieczna - dodałem odwagi dziewczynie, nadal nieruchomo opartej o ścianę. Wydawało mi się, że skinęła głową, ale było zbyt ciemno, bym mógł to stwierdzić z całą pewnością. Nie odezwała się ani słowem.

- Powiedz mi, czy możesz iść... - zacząłem, ale wnet przerwałem. Za nami w holu słyhać było kroki. Odezwał się gniewny głos, padło krótkie przekleństwo i zza ściany dobiegł nagły łomot - jak gdyby starło się ze sobą dwóch mężczyzn.

Ale nie usłyszałem już nic więcej. Nick otworzył szeroko tylne drzwi i Bernie znów się ożywiła. Złapała mnie raptownie za nadgarstek i pociągnęła za sobą w mrok nocy - nawet nie musiałem wskazywać jej drogi. Chyba naprawdę bardzo się bała tych ludzi; znała też drogę, bo ledwie zdążyłem wyciągnąć pistolet, a już byliśmy w alejce i przemierzaliśmy prosty odcinek pomiędzy parkanami. W taki oto sposób wychodzi na jaw, jak bardzo nie znasz się na kobietach. Jeszcze minutę temu gotów byłem iść o zakład, że mała pęknie i będę ją musiał nieść.

Trzymała mnie teraz za rękę, a jej dłoń wcale nie była zimna. Była ciepła i wilgotna. I

Bernie nie powłóczyła już nogami - przeciwnie, jej kończyny poruszały się naprawdę zwawo. Zdawała się też wiedzieć, gdzie jest furka i jak ją otworzyć, chociaż być może szła już kiedyś tą drogą - widocznie dziewczyna, z którą rozmawiałem przy stoliku, udzieliła jej wszelkich poufnych informacji na temat przybytku Nicka. Ale cóż w tym złego? Mieliśmy do pokonania już tylko ostatnią prostą, dzielącą nas od ulicy biegnącej z tyłu budynku. Nawet teraz nie wahała się ani przez moment. Przejeżdżała jakaś taksówka. Kierowca zobaczył, że wybiegamy na chodnik, otworzył drzwiczki - i już siedzieliśmy w środku. Z całą pewnością dziewczyna miała dużo szczęścia, o ile był to wyłącznie szczęśliwy traf.

Zjawienie się taksówki było czymś więcej niż przypadkiem - zwłaszcza o tej porze. Było niemal jak akt opatrności - a ja być może i wierzę w opatrność, jak wszyscy, ale nie wierzę w opatrność podsuwającą taksówkę o drugiej w nocy. Jeśli jednak taksówka znalazła się tam, by nas zwabić w sidła, na cóż zdałoby się to śniademu dżentelmenowi i życzliwie usposobionemu opiekunowi Bernie? W taksówce był tylko jeden mężczyzna na przednim siedzeniu, zwrócony w dodatku plecami do mnie. Chyba nie byłby na tyle dziecinny, by myśleć, że może mi wywinąć jakiś numer.

- Dokąd? - spytał kierowca, wrzucając drugi bieg. Po czym dodał: - Ma pan szczęście. Szybko dostałem pańską wiadomość. Zawsze może pan na mnie liczyć, szefie - zakończył z odcieniem dumy w głosie.

To nie brzmiało jak pułapka. Oczywiście, pojawienie się taksówki zostało zaaranżowane. Ale przez kogo? Przez Nicka? Tak mi się wydaje. Nick z pewnością załatwił sprawę szybko i do końca.

- Nick nieźle to zorganizował - udzielił mi się nastrój kierowcy gdy już mu powiedziałem, by pomykał w stronę północnych dzielnic.

- Nie wiem, czy to był Nick. - Kierowca potrząsnął głową. - Wróciłem z kursu i zaraz dostałem wiadomość.

I to wszystko. Odwróciłem się do dziewczyny, która znów zaczęła bawić się w wampa. Uczepiła się mojego boku jak pijak ulicznej latarni, gdy próbowałem odsunąć ją od siebie, a kiedy zapytałem, dokąd chce jechać, po prostu zamruczała. Tak, tak - "zamruczała" to dobre słowo.

- Jesteś teraz bezpieczna. - Położyłem dłoń na jej plecach i kazałem zaniechać tych parkingowych akcji, ale gdy zwróciłem ku niej głowę i poczułem jej oddech - zamurowało mnie. Cuchnęła whiskey! Nie zauważyłem tego wcześniej - pewnie z powodu zimna. I wtedy - o, stary! - doznałem szoku, bo nagle przypomniałem sobie, że Bernie uwiesiła się na mojej szyi w ciepłe prywatnej jadalni i wówczas bynajmniej nie krztusiłem się od jej oddechu. A z

całą pewnością nie zatankowała, kiedy ja... taaak, już wiedziałem wszystko. Odepchnąłem dziewczynę, brutalnie odsunąłem jej ramiona, a głowę zadarłem do góry. Mijaliśmy właśnie latarnię, ale wcale nie była mi potrzebna. Wiedziałem to, zanim jeszcze spojrzałem w ten pysk. Dziewczyna siedząca ze mną w taksówce to nie była Bernie. Dałem się wykołować jak dziecko.

*

Nigdy nie płaczę nad rozlanym dżinem - i nie drę się, kiedy ktoś mi dopiecze do żywego. Po prostu kazałem kierowcy zatrzymać się przy krawężniku i otwarłem gwałtownie drzwiczki.

- Wysiadaj! - A kiedy zobaczyłem, że się ociąga, wyniosłem ją i posadziłem na chodniku. Wiedziałem teraz, dlaczego dziewczyna tak ostro zasuwiała w alejce, dlaczego jej dłoń była ciepła, chociaż powinna być zimna. Czy nie powinienem już wcześniej nabrać podejrzeń? Powinienem. Wszakże miałem sposobność domyślić się, że coś jest nie tak: kiedy Nick nie poprosił o jałmużnę. Zawsze domagał się pieniędzy, za każdą najmniejszą rzecz - dlaczego więc nie zażądał nic tym razem? Za coś tak poważnego?

To było proste - tak proste, że omal nie wykipiałem ze złości. Była druga dziewczyna i druga peleryna. Wystarczyło położyć dłoń na ustach Bernie - i podstawić inną dziewczynę w jej miejsce. Kwestia kilku sekund. A przecież kiedy przyglądałem się alejce, upłynęło znacznie więcej czasu. To tylko pokazuje, jak bardzo mylimy się w ocenie ludzkich charakterów. Przez moment nie pomyślałbym, że Nick będzie miał odwagę wykiwać mnie w ten sposób. A ja jeszcze byłem dumny z faktu, że tak bardzo chce się mnie pozbyć. „Pycha do upadku wiedzie” było widać napisane specjalnie dla mnie.

Tymczasem dziewczyna na chodniku podniosła straszny wrzask i kierowca odwrócił się na siedzeniu, patrząc na mnie z wyrzutem.

- Ruszaj pan - powiedziałem i coś musiało być w moim głosie, co kazało mu od razu domyślić się, że nie żartuję. Także dziewczyna, zdaje się, zrozumiała to w lot, bo jej harda twarzyczka błyskawicznie zniknęła z pola widzenia, w chwili gdy zatrzaskiwałem drzwiczki samochodu. A gdyby nie zniknęła? Cóż, lubię uchodzić za dżentelmena, nie będziemy więc wdawać się w roztrząsanie kwestii, jak poważnemu uszkodzeniu uległaby taksówka, gdyby tak drzwiczki świsnęły w powietrzu i przypadkiem natrafiły na przeszkodę.

Gdy tym razem kierowca spytał mnie: „Dokąd?”, miałem sprecyzowany kierunek.

- Z powrotem do „Egipskiej Pokusy” - powiedziałem po prostu.

Często trąbię o swoim poczuciu humoru, ale tym razem nie było mi do śmiechu. Rozsiadłem się w taksówce i rozmyślałem, a moje myśli nie były przyjemne. W każdym razie

nie powinny być takie - ale sędzę, że przynajmniej mogłem mieć jaką taką satysfakcję z małej niespodzianki, którą w duchu obiecałem sprawić Nickowi.

Teraz Nick będzie opowiadał tę historię i Race Williams stanie się pośmiewiskiem całej Alei! Dobrze sobie. Mogą się pośmiać, jeśli chcą - to znaczy wszyscy z wyjątkiem Nicka. Stało się coś znacznie gorszego - zraniono moją dumę; pomyśleć, że nie tak dawno chełpiłem się przed Bernie odwagą, dyskrecją i umiejętnościami. Gdzie moje tak wychwalane usługi? Na domiar złego pieniądze Bernie wciąż były w mojej kieszeni.

Czy ona naprawdę była w niebezpieczeństwie? Może znalazła się już z powrotem u swego opiekuna? A może jest nadal u Nicka? W tę drugą ewentualność nie bardzo wierzyłem. Dlaczego więc tam jechałem? Klepnałem kierowcę w ramię.

- Zatrzymaj się pan na chwilę - powiedziałem. - I proszę mi nie przeszkadzać. Muszę się zastanowić. - Jeśli nawet rozśmieszył go ten żart, zachował to dla siebie.

Dlaczego jechałem do Nicka? To było pytanie, na które musiałem sobie odpowiedzieć. Jeśli tylko dla osobistej zemsty, robiłem błąd. Teraz bardziej niż kiedykolwiek moim obowiązkiem było pomóc Bernie. Nick wykiwał mnie. Ale dlaczego? Dla pieniędzy? Z pewnością. Czy zatem Nick siedział w tym od samego początku? Nie - byłby to zbyt wielki zbieg okoliczności. Nie znał przyczyny całego zamieszania i prawdopodobnie nie kojarzył też tamtych mężczyzn. Działał jak zawsze - w ciemno, wedle rozmiaru zwitka banknotów. Ale mógł wiedzieć, gdzie jest Bernie. Och, nie powiedzieliby mu tego, ale w każdym wypadku zaprzeczyłby, że wie. Ja jednak dobrze znałem Nicka - dopatrywałby się w tym wszystkim jakiegoś zysku i prawdopodobnie próbowałby śledzić samochód, którym odjechała Bernie. A jeśli mu się to udało, to mi powie - będzie mu się wydawało, że nie powie, ale powie. I nie będzie miał z tego ani centa. Mam bardziej przekonujące metody. Zaciśnąłem zęby ze złości - dziesięć minut temu pyszniłem się przed Bernie jak paw, a teraz... poklepałem swój pistolet. Znajdę Nicka i wepchnę mu tę czterdziestkęczwórkę do gardła, nawet jeśli Joe, wykidajło, i wszyscy kelnerzy w lokalu czekają już tam na mnie.

- Jedź pan - powiedziałem do szofera, a cel jazdy nie zmienił, się zbyt. Nadal zdążałem do „Egipskiej Pokusy”, ale miałem zamiar zatrzymać się i wysiąść za rogiem. Nick oszukał mnie jak dziecko - cóż, podejmę tę dziecianną zabawę i zgotuję mu przyjęcie-niespodziankę.

- Posłuchaj, stary - zwróciłem się do kierowcy, wsuwając mu kilka dolców do ręki. - To za opowiadanie bajek na dobranoc - jakich sobie tylko zażyczysz. Chcę wiedzieć, czy Nick jest w klubie. Jeśli go nie ma, dowiedz się, kiedy wróci. Gdyby o mnie pytał, wyciągnij od niego napiwek i powiedz mu, że wysiadłem z taksówki, wszcząłem rwetes i poszedłem

sobie. Będę czekał w bramie za rogiem.

- Zamarznie pan na śmierć. - Potrząsnął z niedowierzaniem głową.

- Nie ja - odparłem. Ale gdybym dodał, że jest mi tak gorąco, iż pot spływa ze mnie, nie uwierzyłyby. W każdym razie od gniewu aż się we mnie gotowało.

Nie groziłem chłopakowi, nie mówiłem, co mu zrobię, jeśli spróbuje mnie wykiwać. To nie był ten typ. Po prostu obiecałem dorzucić sporą garść mamony, jeśli się dobrze spisze. Nie widziałem potrzeby, żeby iść do „Egipskiej Pokusy”, jeśli nie ma tam Nicka. A jeśli wyszedł szpiegować kolegów Bernie, postawiłbym dziesięć do jednego, że zanim wróci, zadzwoni spytać, czy przypadkiem się nie zjawilem.

Wiem, Bernie mogła mnie potrzebować natychmiast. Mogło jej zagrażać poważne niebezpieczeństwo. Nie byłem jednak w stanie przyspieszyć biegu spraw. Musiałem dać Nickowi szansę na zdobycie informacji, jakich potrzebowałem. Oczywiście można też było pracować jawnie - wytropić tych dwóch smagłych, co dorwali Bernie w restauracji, i w ten sposób ją odnaleźć. Ale to wymagałoby czasu. Nie - na razie muszę postępować ostrożnie - aż do chwili, gdy będę miał całkowitą pewność. I wtedy uderzę. Zacisnąłem mocno zęby. Jakim osłem się okazałem!

Taksówka odjechała. Wąska uliczka była pusta, a sień, do której się schroniłem, dygocząc z zimna - ponura, wychłodzona i wilgotna. Dwa razy wyjrzałem na zewnątrz, ale po taksówce ani śladu; jednakże za trzecim razem - uliczka nie była całkiem pusta. Kilka domów dalej jakaś postać wybiegła z bocznej alejki, rozglądając się w prawo i w lewo - następnie odwróciła się i pobiegła szybko chodnikiem w przeciwnym kierunku niż moja kryjówka.

Przez chwilę stałem tak, patrząc za oddalającą się sylwetką. Lecz nie było w tym widoku nic dziwnego. Kryminalista? Być może. Pełno ich na dolnym Manhattanie. A może jakiś wyrzutek - biedne, bezdomne nocne stworzenie? Prawdopodobnie wypłoszony z noclegu gdzieś na stercie śmieci. I wtedy, gdy ów osobnik mijał uliczną latarnię, ujrzałem jego szerokie bary i umykający obraz twarzy.

Z wrażenia wyprostowałem się i wyskoczyłem z bramy. Wyobraźnia. Kto wie? Myślałem o tym wszystkim cały czas, rzecz jasna. Ale mężczyzna uciekający w dół ulicy był dziwnie podobny do tego śniadego, któremu nieco wcześniej pomogłem wyjść od Nicka; do mężczyzny, którego Bernie nazwała Ferganses. Jak mówię, to mógł być wytwór imaginacji; z pewnością niewiele więcej zaprzętało me myśli w tamtej chwili. W każdym razie nie stałem dłużej w bramie, tylko popędziłem w ślad za tamtym.

Czy był to mój człowiek, czy nie - nie robiło wielkiej różnicy. Niemal natychmiast mnie usłyszał albo zobaczył, bo odwrócił błyskawicznie głowę, spozierając przez ramię. W

ciemnościach dostrzegłem brązowo-białą twarz; jej właściciel przyśpieszył kroku. Jakikolwiek były jego zamiary, z pewnością nie były uczciwe.

Pościg był skazany na porażkę od samego początku. Mężczyzna zniknął już za rogiem, gdy ja dotarłem zaledwie do połowy kwartału. Usłyszałem warkot wyścigowego silnika - zgrzytanie skrzyni biegów - kiedy dobiegłem do zakrętu, ulica zdążyła opustoszeć. Może wsiadł do czekającego na niego samochodu, może zniknął w którejś z rozlicznych czynszówek, a może to wcale nie był mój człowiek. Ale jeśli to rzeczywiście był on, cóż za interes miał w alejce kilka domów dalej od sieni, w której się zacząłem?

Zawróciłem. Bieg dobrze mi zrobił; rozgrzał ciało i ostudził głowę. Należało teraz przeprowadzić rekonesans w alejce, z której tamten wybiegł. Wyglądała jak większość bocznych uliczek w tej części miasta. Kubły na śmieci ustawione wzdłuż ścian i małe podwórko z tyłu - kubły te mogły tam tak stać, aż jakiś czuły nos z wydziału zdrowia zajrzy przypadkiem w te strony.

Od frontu mieściła się drukarnia, a podwórko na tyłach pełne było pudeł. Spojrzałem na okna mieszkań czynszowych nade mną - wszędzie ciemno. Nie odważyłem się jednak użyć latarki, a noc była bezksiężycowa. Potknąłem się o coś, jeszcze zanim to ujrzałem. O stopę - ludzką stopę, w półbucie, wystającą spod kilku pudeł.

Nielatwo mną wstrząsnąć ani mnie zaszokować, i wolny jestem od nerwów - ale muszę przyznać, że ta noga dała mi lekkiego kopa. Nie było dość światła, by rozstrzygnąć, czy to stopa męska, czy kobieca - tylko niewyraźny zarys buta i coś, co - gdy to trąciłem - wydało mi się kostką u nogi. A moje serce aż podskoczyło - nie ze strachu czy zgrozy - był to raczej wyrzut sumienia. Pomyślałem bowiem o Bernie i o lęku, jaki czuła.

Uklęknąłem i usunąłem pudła przykrywające ciało. To nie była Bernie. Sylwetka zbyt potężna, a ubranie męskie - czarne, z wyjątkiem białej plamy koszuli. Rzuciłem szybkie spojrzenie na okna w górze i wyjąłem latarkę. Na mgnienie oka jasne promienie oświetliły sztywny, biały tors koszuli i czerwoną plamę ze sterzącą pośrodku rękojeścią noża. I jeszcze pulchną dłoń zaciśniętą w pięść przy samym ciele. Następnie snop ostrego światła spoczął na twarzy - tłustej, ziemistobladej, o szeroko otwartych, pozbawionych życia oczach. Co wystarczy, to wystarczy, a czasem i tego za wiele. Zerwałem się na równe nogi; wiedziałem, że nie wydobędę już żadnej informacji z ust Nicka. Planowałem zemstę na tym żalonym, łasym na pieniądze Greku, ale teraz wszystko poszło w niepamięć. Nick mnie zdradził. Do starego przysłowia „ciężka jest droga zdrajcy” należałoby jeszcze dopisać: „i krótka”. Słowa nie mniej celne niż cios zadany Nickowi.

Nie czułem żadnej satysfakcji z faktu, że Nick zapłacił za swe czyny. Zrozumiałem

tylko, jak bardzo się myliłem - jak realne jest zagrożenie, którego obawia się Bernie - i w jak wielkim to biedne dziecko musi być teraz niebezpieczeństwie. Ale dlaczego zabili Nicka? Czego się dowiedział? Czy odgadł, kim jest ów opiekun? Czy śledził tamtego mężczyznę i rozwiązał zagadkę? Ale na to wszystko potrzebowaliby czasu. Czy wobec tego opiekun przybył osobiście do „Egipskiej Pokusy”? A może już wcześniej tego wieczoru skontaktował się z Nickiem? Były to wyłącznie moje domysły. Tylko jedna rzecz pozostawała pewna. Nick próbował ich śledzić, złapali go więc i zabili, a potem zaciągnęli na tylne podwórko.

Czy zdobył jakieś informacje? Czy zdobył?... Ponownie zapaliłem latarkę, bo przypomniałem sobie dłoń Nicka, mocno zaciśniętą w pięść. Potrzeba było niemałej siły, by rozewrzeć palce, ale udało mi się tego dokonać i wydobyć kawałek papieru. Był ciasno zwinięty w kulkę. Wsunąłem ją do kieszeni. Szybko odwróciłem się i opuściłem alejkę.

Nie czekałem, aż wróci mój taksówkarz. Nie potrzebowałem już informacji, że Nicka nie ma w „Egipskiej Pokusie”, i nie obawiałem się, że taksówkarz wmiesza mnie w to zabójstwo, kiedy już zostanie odkryte. Nie on. Tacy jak on nie gadają. Jego życie nie było bynajmniej otwartą księgą, nie wytrzymałoby śledztwa. A jeśli policja powiąże go z Nickiem i jego zadaniem w noc morderstwa - no cóż - wzruszyłem tylko ramionami. Nie pierwszy raz musiałbym przejść oficjalne dochodzenie, i podejrzewam, że nie ostatni.

Pięć kwartałów dalej rozprostowałem zwitek papieru. Coś na nim było napisane. Wróg nie mylił się, podejrzewając, że Grek celowo podążył za nimi; ale mylił się, zakładając, że zaufał swojej pamięci. Nick nigdy nie miał głowy do liczb. A właśnie liczby były zapisane na tym świstku papieru. I nie potrzebowałem Sherlocka Holmesa, by mi wyjaśnił, że to numer rejestracyjny samochodu - samochodu, którym uwięziono Bernie. Poczuję się nieco lepiej, gdy już wsunąłem kartkę z powrotem do kieszeni. Jeszcze będę się pysznił przed Bernie - ale tym razem naprawdę przechodzimy do działania.

Nie było raczej obawy, że numer rejestracyjny może być fałszywy. Nie wiedzieli przecież o moim zaangażowaniu w sprawę, dopóki Nick im o tym nie powiedział - jeśli w ogóle powiedział. Wróg po prostu wytropił Bernie i zamierzał wyciągnąć ją z kryjówki. Nie podejrzewał, że porozumiała się z kimś wcześniej, i nie miał powodu obawiać się, że będzie obserwowany i śledzony. To wszystko nastąpiło później. Ci dżentelmeni stawili więc czoło niespodziewanym trudnościom - w sposób skuteczny i dokładny. Świadkiem ich skuteczności było zimne, martwe ciało Nicka, rozciągnięte na ziemi na podwórku u wylotu bocznej uliczki.

*

Następnego dnia otrzymałem żądane informacje na temat numeru rejestracyjnego. Cudzoziemsko brzmiące personalia człowieka, który był posiadaczem samochodu, sprawiły

mi prawdziwą frajdę. Doktor Antonio Maderia. Zacierałem dłonie z radości. Nazwisko pasowało do historii Bernie i do tamtych dwóch, którzy próbowali wywlec ją z nocnego klubu. A więc teraz kurs na ptaszka o śmiesznym nazwisku; zobaczymy, czy potrafi nas nauczyć jakichś przydatnych sztuczek z użyciem noża.

Doktor Antonio Maderia mieszkał w jednym z tych domów z frontonem z brunatnego piaskowca w eleganckiej dzielnicy w północnej części miasta. W oknie miał wywieszkę skromnie określającą jego profesję i wyjaśniającą, że pacjentów przyjmuje się tylko na umówione wizyty. Cóż, moja wizyta nie była umówiona, ale nie zamierzałem przecież zostać pacjentem.

Drzwi się otwały i jakaś kobieta zaszczębiotała:

- Jest pan umówiony z doktorem?

Przeżyłem mały wstrząs na widok schludnej, niewysokiej służącej, która stała w otwartych drzwiach. Nie spodziewałem się wprawdzie, że powita mnie chłopisko z pałką w jednej dłoni, pistoletem w drugiej i nożem w zębach. Ale spodziewałem się przynajmniej takiego, co to potrafiłby wyjść na swoje w bójce.

Zmarszczyła brwi; powiedziała, że doktor jest zajęty; w końcu, gdy nalegałem, zgodziła się przyjąć moją wizytówkę. Nie robiłem ceregieli z wizytówką - nie było potrzeby zmuszać doktora Maderię, by zaglądał przez dziurkę od klucza w celu sprawdzenia, kto chce z nim rozmawiać. Nie wstydzę się swojego nazwiska, a na środku białego kartonika stało jak byk: RACE WILLIAMS. Doktor rzucił na to okiem, bez dwóch zdań.

Czekałem zaledwie minutę lub dwie, nim się pojawił. Był wysokim, smukłym osobnikiem o ostrych rysach i niewyraźnych oczach, głęboko osadzonych w twarzy. Były matowe z wyjątkiem stalowych punkcików w samym środku każdego. Wychylił tak jakoś głowę do przodu i przyglądał mi się, nerwowo uderzając o dłoń moją wizytówką.

- Panie Williams - powiedział w końcu - proszę, tutaj porozmawiamy. - Wprowadził mnie do niedużego pokoju, do którego wchodziło się wprost z holu. Zanim zamknął za nami drzwi, podniósł wszystkie rolety w oknach, zalewając pomieszczenie światłem dnia. Następnie odwrócił się, spojrzał na mnie i jeszcze raz na wizytówkę.

- „Tajny agent” - powiedział po chwili. - Jest pan więc detektywem. Chyba nie zamierza mi pan powiedzieć, że coś złego przytrafiło się Bernie?

Cóż, przyznacie, że to było dobre zagranie na początek - pierwsze słowa człowieka, który niczego się nie obawia. Ale jeśli próbował pomieszać mi szyki, to chybił celu. Przypatrywałem mu się spokojnie.

- Tak... - Spojrzałem mu prosto w oczy. - Pan jest jej opiekunem, jak mniemam.

- Poniekąd, poniekąd. - Palcami wybijał rytm na oparciu fotela. - Nie w sensie prawnym, pan rozumie. Była samotna i przybyła z zagranicy. Jej matka - no cóż, znałem tę kobietę. Pochodziła z mojego kraju i niedługo przed śmiercią poprosiła mnie, bym zaopiekował się jej córką. Ta jest oczywiście pełnoletnia. Kilkakrotnie próbowałem doradzać jej w różnych sprawach.

- Czy mieszkała tu z panem?

- Tak, zgadza się - powiedział po chwili wahania. - Mieszkała tu ze mną.

- I pan pomógł uporządkować sprawy związane z majątkiem jej matki?

- Niewiele było do uporządkowania. - Uśmiechnął się. - Akcje, obligacje i rachunek oszczędnościowy w banku.

- Oczywiście pobrał pan honorarium za swoje usługi.

- Ależ skąd. - Potrząsnął głową. - Tam naprawdę nie było nic do zrobienia. Posiadam dość pieniędzy na własne potrzeby - a odziedziczony majątek był znikomy.

- Mówiła mi, że znaczny - wypaliłem mu prosto w twarz.

- Cóż... - Poglądził podbródek długimi, cienkimi palcami. - Może był taki dla niej. A teraz - wtrącił, zanim zdążyłem zadać kolejne pytanie - przyszedł pan tutaj, zabiera mój czas i wypytuje o różne rzeczy. Czy mógłbym się dowiedzieć, czemu zawdzięczam pańską wizytę?

- Przyszedłem zobaczyć się z Bernie - odparłem. - Gdzie ona jest?

Podniósł się natychmiast.

- Ach... - Jego oczy błysnęły z głębi oczodołów. - Więc marnuje pan mój czas. Tolerowałem pańską obecność ze względu na dziewczynę. Myślałem, że ma pan jakieś informacje. Tymczasem zadaje pan tylko pytania. Pomagałem jej, doradzałem, a ona zrewanżowała się, opuszczając mój dom bez uprzedzenia - trzy dni temu. Co, jeśli wolno spytać, wie pan o niej? Przestałem owijać w bawełnę.

- Wiem wystarczająco dużo, by mieć pewność, że jest w opałach. Wiem też wystarczająco dużo, by mieć pewność, że się pana boi. I wiem, że groził pan ujawnieniem jej sekretu. Wiem i to, że opuściła pański dom ze strachu i że pan ją śledził, odnalazł i uprowadził. Wiem... - Przerwałem nagle i uniosłem dłoń zanurzoną głęboko w kieszeni płaszcza. - Wiem też - powiedziałem bardzo wolno - że jeśli koleś, który tak ostrożnie otwiera drzwi z tyłu za panem, nie zamknie ich z powrotem, ten dywan może się pobrudzić.

Drzwi zamknęły się z lekkim trzaśnięciem - twarz doktora Maderii zbieleła. Przyjął mój pierwszy cios.

- Pokojówka... - powiedział, ruszając w stronę drzwi. Wyciągnąłem rękę, by go zatrzymać.

- To się na nic nie zda, doktorze. - Wykorzystałem przewagę, jaką dało mi pierwsze uderzenie, i kontynuowałem. - Nie znam wszystkich szczegółów gry, ale wiem dość dużo. Dziewczyna źle postąpiła, fakt, lecz prawdopodobnie została wrobiona. Jak wyglądał pański udział, to nie moja sprawa. Jak to panu udowodnić - nie mój interes. Jestem tutaj tylko dla dobra Bernie. Proszę oddać dziewczynę i poniechać szantażu, a martwym ciałem Nicka będzie kłopotać się wyłącznie policja. W przeciwnym razie... - skończyłem, wzruszając ramionami - ...w tym stanie dla morderców mają krzesło.

Lekarz zatrzymał się w półobrocie, plecami zwrócony do mnie, ale widziałem bok jego twarzy - zdawał się rozważać wszelkie możliwości. W końcu odwrócił się - bladeść ustąpiła z jego policzków. Znow był tym samym pełnym opanowania i godności lekarzem, który wszedł do pokoju kilka minut temu.

- Wprawia mnie pan w zakłopotanie, panie Williams. - Jego długie, delikatne palce ponownie przesunęły się po twarzy. - I nie wiem, jak mam panu odpowiedzieć. Pańskich oskarżeń nie sposób zignorować. Waham się - niezdecydowany, czy przypadkiem nie powinienem pokazać panu drzwi i pozwolić policji zająć się tym całym bałaganem. - Przerwał na chwilę, po czym mówił dalej: - Chciałbym jednak przedyskutować nieco obszerniej tę sprawę. Spotkał pan dziewczynę i ona zwierzyła się panu. Czy wolno mi wiedzieć, co takiego panu powiedziała? Z całą pewnością dziewczyna popadła w tarapaty - a my musimy być wyrozumiali. Odkrył pan sekret Bernie i życzy pan sobie zapłaty za milczenie.

Wyśmiałem go. Ale jeśli chce, bym wyłożył karty na stół, mogę to zrobić dla niego. Tak też uczyniłem. Powiedziałem mu, że widziałem dziewczynę. Powiedziałem, że wiem o szmuglowaniu kamieni. Powiedziałem o śmierci Nicka i o kawałku papieru w jego dłoni. A on słuchał tych zeznań jak uczony sędzia.

- Przygotował pan poważną sprawę przeciwko mnie, panie Williams. - Uśmiechnął się. - Ale opartą na faktach, które nie są niepodważalne. Gdyby policja znalazła numer rejestracyjny, pewnie musiałbym to i owo wyjaśnić. I jeśli dziewczyna miałaby powtórzyć swoją opowieść, też byłoby co nieco do wyjaśnienia. Ale skoro to nie policja znalazła papier, a dziewczyna nie pokazuje się, by potwierdzić swą historię, pańska sprawa wygląda dość niezręcznie.

Bernie popełniła przestępstwo. Pomogłem jej to zataić. Ktoś inny również posiadał jej sekret. Szantażysta został opłacony - i wtedy ona uciekła. Taka jest moja opowieść dla pana i moja opowieść dla policji. Niezbyt przyjemna - przyznaję, że byłem głupcem.

- I zaprzecza pan, że dziewczyna jest tutaj lub że wie pan, gdzie ona się znajduje?

- Zdecydowanie.

- A gdybym zechciał przeszukać dom? Zmarszczył nieznacznie czoło i powiedział:

- Nie sądzę, bym w zaistniałych okolicznościach mógł panu tego odmówić. Uważam również, że powinienem przedstawić kilka faktów. Może wówczas uwierzy pan, jak krzywdzące dla mnie są pańskie oskarżenia. Bernie ma słaby charakter. Kiedy umierała jej matka, dziewczyna - o tym jestem przekonany - była we Włoszech bez pieniędzy. Świeżo poznana młoda Włoszka zaoferowała jej opłacenie podróży w zamian za przemyt diamentów, na co Bernie, jak wiemy, przystała. Powinniśmy docenić tę szczerą chęć ujrzenia matki przed śmiercią. Sekret został jednak odkryty. Jakiś mężczyzna przyjechał za nią do kraju i zaczął ją szantażować. Zwierzyła mi się. Poradziłem, by szukała pomocy prawników - ale nie. Wołała zapłacić szantażystom, a ja jej w tym pomogłem. Byłem przynajmniej w stanie kontrolować wysokość ich żądań, strasząc wyjawieniem wszystkiego policji. Osobiście nie miałem się czego obawiać. Bernie odniosła jednak wrażenie, że pomagam szantażystom. Ha! - pan mi nie wierzy. Uciekła. Nie widziałem jej od tamtego czasu. A samochód, którego numery pan zna, zabrała ze sobą.

Bzdury? Prawdopodobnie. Ale miał nade mną przewagę. Moje groźby były bezużyteczne. Jeśli pójdę na policję, co stanie się z dziewczyną? Posądzenie o przemyt to małe piwo. Umiałbym się z tym uporać. Ale doktor wiedział, gdzie jest dziewczyna, i to on ją więził. Cóż zatem? Cała ta afera była dla niego wystarczająco poważna, by posunąć się do morderstwa. Skoro nie można posadzić na elektrycznym krześle tego samego człowieka dwa razy, czemu miałby się zawahać przed wykończeniem Bernie? Mogła okazać się poważnym świadkiem przeciwko niemu. Jednakowoż moim zadaniem nie było usmażenie tego ptaszka, moim zadaniem było ratować dziewczynę.

Przeleciało mi przez myśl, żeby wetknąć mu lufę między zęby i zagrozić, że go rozwalę, jeśli nie powie, gdzie jest dziewczyna. Ale to by mogło nie zadziałać. Miałem niejasne przeczucie, że siedzę na beczce dynamitu, a wokół lontu grupa dzieciaków bawi się zapalkami. I jeszcze to jego zaproszenie do przeszukania domu. Czy Bernie jest tutaj? Nie! Gdybym sądził, że jest, na pewno przeszukałbym dom, nawet spodziewając się spotkać na piętrze pół tuzina mężczyzn pod bronią. Ale to nie pomoże Bernie, jeśli wyjdę na górę i dam sobie odstrzelić łeb na najwyższym schodku.

Nie - pomyślałem, że lepiej dopasować się do jego stanu ducha i spróbować podstawić mu nogę; wykonać zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i przyjąć postawę, jakby mimo wszystko opinie o tym człowieku były wielce krzywdzące. Tak też uczyniłem.

- Wiem tylko to, co mi mówią, doktorze - powiedziałem raptownie. - Nie może mnie

pan potępiać za to, że prowadzę śledztwo w sprawie dziewczyny - zwłaszcza teraz, gdy zniknęła. Zatem - jej matka nie żyje; czy przypadkiem nie zajmował się pan nią na gruncie medycznym?

I to było zagranie, którego się nie spodziewał. Znowu punkt dla mnie. Jego twarz w szybkim tempie zmieniała kilka razy barwę, ale odpowiedział bez wahania:

- Zostałem do niej wezwany przez jej lekarza.

- Jak się nazywa ów lekarz? - Wyciągnąłem mały notesik, jakim posługują się detektywi na scenie teatralnej.

- Doktor Robinfall. - Jego oczy zwężyły się coraz bardziej.

- A kto podpisał świadectwo zgonu?

- Dosyć! - Teraz to była bez wątpienia jego prawdziwa postawa. Puściły mu nerwy; po dotychczasowym opanowaniu nie pozostał ślad; jego długie palce drżały. Był mordercą i oszustem; miał to wszystko wypisane na swej podłej twarzy. Już wcześniej nie miałem co do tego większych wątpliwości, teraz byłem pewien. Och, zazdrościłem w tej chwili detektywom z Biura Centralnego. Przyszedłby czas na oficjalne zeznania. Oficer policji ma obowiązki wobec prawa, i nie musiałby przejmować się losem dziewczyny. Ja miałem obowiązki wobec dziewczyny i musiałem się o nią zatroszczyć.

Podążyłem za doktorem, który na chwiejnych nogach przeszedł do holu. Ostateczny cios zadałem mu, gdy stanął, trzęsąc się i wskazując na duże drzwi wejściowe. Zbrodnia była w jego sercu, malowała się na obliczu - ale ja obserwowałem jego ręce i doradziłem mu, by prawą trzymał dalej od kieszeni. Wydał mi się odrażający i lepki - lęk, nagi strach, czaił się w jego oczach. Odgadłem jego sekret - pierwszą zbrodnię, przez którą związał się z całą resztą bandy. Pod osłoną zawodu lekarza zabił matkę Bernie.

- Co pan zamierza zrobić... co pan zamierza zrobić? - powtarzał w kółko, gdy tak staliśmy przy drzwiach.

- Musi pan przyprowadzić dziewczynę do mojego biura dziś wieczór o osiemnastej.

- A... a co ze mną?

- Jeśli ona będzie bezpieczna - i wszystkie sprawy zostaną załatwione jak należy - pan dostanie dwadzieścia cztery godziny, żeby się ulotnić.

- Ona umrze... umrze... umrze - ślinił się jak bełkoczący idiota - jeśli pan... jeśli wezwie pan policję.

Uśmiechnąłem się tylko do niego.

- O osiemnastej - przypomniałem, wychodząc.

- A jeśli nie przyjdę?

- Zdobę nakaz ekshumacji zwłok jej matki. - Gdy to powiedziałem, drzwi zamknęły się za mną. Ale jego biała twarz, z zapadniętymi policzkami i oczami tonącymi w oczodołach, nadal przyglądała mi się przez szybę. Musicie przyznać, że czasem stary łeb równie dobrze działa jak ołów. Ale nie pyszniłem się i nie poklepywałem po plecach. Poczekajmy na rezultaty.

No dobrze, moje metody podlegają krytyce i ktoś mógłby mi zarzucić, że nie uczepliłem się mocno tego drania i nie zmusiłem, by zaprowadził mnie do dziewczyny. Prawdę mówiąc, myślałem i o tym, ale rozważywszy wszystkie za i przeciw, zdecydowałem się tego nie robić. Bo on nie był sam w tej grze. Było jeszcze tamtych dwóch śniadych dżentelmenów o dziwnych nazwiskach, z których jeden skasował Nicka. Na pewno będą mieli coś do powiedzenia w kwestii puszczenia dziewczyny wolno. Jeden z nich popełnił morderstwo - obaj tkwili w tej sprawie zbyt głęboko, by nie obawiać się usmażenia w Sing-Singu. Tak jak martwe ciało mogło stać się dowodem przeciwko doktorowi, tak samo żywa Bernie była dowodem przeciwko nim.

Poza tym zawsze istniało ryzyko pułapki. Oczywiście dziewczyny nie było w domu. Doktor Maderia nie wiedział, że Bernie nie podała mi jego nazwiska ani adresu. Mógł się spodziewać mojej wizyty, ale na pewno nie spodziewał się tego, co wyjawię na temat matki dziewczyny. To był szczęśliwy traf. Zabił ją i zamierzał osuszyć konto bankowe córki. Niezła robota - godna faceta odważniejszego niż doktor Maderia. Kiedy doszło do odsłonięcia kart, po prostu pękł. Myślał tylko o sobie. Mnie zaś chodziło wyłącznie o dziewczynę. Doktor mógłby więc przedstawić swym koleżkom opowieść, która przy odrobinie szczęścia przyniesie pożądane efekty.

A co do groźby ewentualnej ucieczki doktora - nie zrobi tego. Dwóch najbystrzejszych szpicli w Nowym Jorku będzie mu deptać po piętach. Wkrótce poczuje strach i zrozumie, co znaczy być tropionym kryminalistą. Będzie musiał przyprowadzić dziewczynę. Tylko kilka godzin dzieliło go od początku drogi, na której końcu znajduje się krzesło elektryczne.

*

O osiemnastej, prawie co do minuty, wszedł do mojego biura. Był sam - i wyglądał jak wrak człowieka. Pomyślałem, że warto by go zabrać w objazd po całym kraju jako żywy dowód, że zbrodnia nie popłaca.

- Oszukał mnie pan... zdradził mnie pan. Oni są teraz pod drzwiami na dole. Śledzili mnie.

- Więc chciał pan uciec. Gdzie dziewczyna?

- Tamci mężczyźni nie są policjantami?

- W żadnym razie. - Pokręciłem głową. - Nic o panu nie wiedzą; po prostu wykonują moje rozkazy. A teraz - co z dziewczyną?

- Nie mogłem jej przyprowadzić - powiedział. - Nie... niech pan tego nie robi! - zawołał, gdy sięgnąłem po telefon. - Wszystko, o co pan mnie oskarżył, jest prawdą, z jednym wyjątkiem - jestem tylko narzędziem. Ferganses wszystko zaplanował. Ja ukradłem pieniądze. Byłem zdesperowany. Miałem długi. Ta dziewczyna jest jednak bardzo bogata. Ale zaprowadzę pana do nich - do niej. Gdy pan przyszedł do mojego domu, był tam kolega Fergansesa, Farro. Zaplanowali ostatnie posunięcie. Ja miałem zrealizować czek, ponieważ znają mnie w banku. Będą torturować Bernie, żeby podpisała czek, ale ja pana zaprowadzę do tego domu - do nich - do niej.

Czy miałem mu wierzyć? Czy był świetnym aktorem, czy tak nisko upadł? Musiałem zaryzykować. Nie ulegało wątpliwości, że dziewczynie grozi poważne niebezpieczeństwo. Jednakowoż nie zamierzałem odgrywać Złotowłosej ku uciesze tych trzech niedźwiedzi. Jeśli facio potrafił zdradzić swoich koleśków, zdradzi i mnie, choćby w ostatniej sekundzie. Istniała tylko jedna osoba, wobec której grał uczciwie - on sam. Znałem ten typ. Przypominał zawodnika - zarozumiałego, póki wygrywa, ale zaraz gotowego wrzeszczeć: „Faul!”, gdyby coś nie poszło po jego myśli. Taki był doktor. Gdy go zranić, pisał.

- Jaki jest plan? - zapytałem.

- Niech pan posłucha... - rzekł, pocierając dłonią o dłoń. - Byłem ze wszech miar ostrożny. Powiedziałem im o pańskich podejrzaniach i żądaniu wydania dziewczyny. Ale chyba nie wyszło mi to nazbyt dobrze. Zorientowałem się, że zaczęli coś podejrzewać. Z Fergansesem rozmawiałem telefonicznie. Z Farro - u mnie w domu. Dla nich to żadna korzyść, oddać dziewczynę. Kazali przekazać, że dziewczyna umrze, jeśli zawiadomi pan policję, ale jeśli pozwoli jej pan wypłacić dla nich pieniądze, może odejść.

- Jak zaaranżują pobranie pieniędzy? Bank będzie podejrzliwy, skoro kwota jest wysoka. - Przyglądałem mu się uważnie.

- Tym ja mam się zająć. - Przełknął ślinę. - W banku mnie znają. Jestem w stanie to załatwić. Nie sądzi pan, że tak będzie najlepiej?

- Nie. To chyba nie jest najlepsze rozwiązanie. - Stałem nad nim, skulonym w fotelu. - Dziewczyna będzie wolna dziś wieczór - albo pan się usmaży. Wiedział pan o tym - co jeszcze pan zaplanował? Co to za pomysł z tym zaprowadzeniem mnie do nich?

- To się da zrobić - przytaknął gorliwie. - Mam zobaczyć się z nimi dziś w nocy - by odebrać czek od dziewczyny. Mogę więc tam pana zaprowadzić. Ale to zdesperowani ludzie - może będzie pan musiał zabić Fergansesa.

- To się da zrobić - powiedziałem.

- A ja... mnie pan puści wolno. Pamięta pan obietnicę? Oni nie zasługują na względy z mojej strony. Nie ufali mi. Dziewczyna darzyła mnie zaufaniem, dopóki ich nie zobaczyła. To był błąd z ich strony. Gdyby grali uczciwie, nie zrobiłbym...

- Zgadza się - przytaknąłem tym jego próbom udowodnienia samemu sobie, jaki to z niego prawdziwy mężczyzna.

Wstał i chwycił mnie za ramię.

- Nie każe pan mnie aresztować? Dostanę szansę na opuszczenie kraju, jeśli zrobię to, czego pan żąda? Jest pan odważnym człowiekiem - szybko pan strzela. Znajdzie ich pan od tyłu. Będą walczyć, a pan ich zabije. - I znowu zaczął zacierać dłonie.

- Gdzie trzymają dziewczynę?

- W Jersey. Pokażę panu to miejsce - pojedziemy tam razem.

- Gdzie dokładnie w Jersey?

Uśmiechnął się w sposób, który pewnie uważał za znaczący.

- Gdzie? - Wyciągnąłem rękę i chwyciłem go za gardło. - Nie myślisz chyba, że możesz nadal robić ze mnie głupca? - Rzeczywiście zaczynałem się niecierpliwić. Myślałem o Bernie; o jej młodym wieku; o dziecięcej prostoduszności; o jej klasztorным wychowaniu i wreszcie o tym, że jest teraz w łapach tych dwóch bandziorów.

- Nie odważę się powiedzieć tego w tej chwili - boję się, że wyda mnie pan policji. Nie... nie! - wrzasnął, gdy moje palce zacisnęły się mocniej na jego cienkiej szyi. Zaraz dodał: - Powiem!

I powiedział. Trzymają dziewczynę w pobliżu Newark. Czy mu uwierzyłem? Nie wiem - nie dbałem o to. Miałem już serdecznie dość tej detektywistycznej babraniny. To nie moja działka. Potrzebuję działania, akcji. Tak jest od zawsze - gdzie tylko się ruszę, coś się dzieje. Jeśli to pułapka, bardzo dobrze - moje pistolety są naoliwione i naładowane. Jeśli chłopcy chcą strzelaniny - będą ją mieli.

Ktoś może zakwestionować - z moralnego punktu widzenia - moje prawo puszczenia doktora wolno po uratowaniu dziewczyny. Przyznam, że jest tu miejsce na polemikę. Ale muszę grać takimi kartami, jakie rozdano. W końcu to ja firmuję ten interes i podług własnych prowadzę go zasad. Poza tym istniała możliwość, że doktor nie działa uczciwie i że będę musiał posłać kawałek ołowiu w to żalosne ścierwo. I to była myśl, którą warto było podzielić się z tym skulonym psem, zdającym się dbać wyłącznie o własne bezpieczeństwo.

- Rozumie pan doskonale sytuację - powiedziałem do niego poważnie, bo wcale nie żartowałem. - Ma mnie pan zaprowadzić do dziewczyny. Co więcej, ma mnie pan

zaprowadzić w taki sposób, aby moje przybycie było kompletnym zaskoczeniem dla pańskich koleśków. Cały czas będzie pan szedł przede mną - nigdy za moimi plecami, więc cały czas będę miał pana na muszce. Być może zaciągnie mnie pan w pułapkę i zostanę zabity. To możliwe, ale mało prawdopodobne. Ale całkiem niemożliwe jest, by pan to przeżył. Przy pierwszym podejrzeniu pošę panu kulkę w plecy.

I proszę się nie łudzić, że jestem zbyt prawy i szlachetny, by zastrzelić człowieka z zimną krwią. Słyszał pan o mnie co nieco. A zatem - rozumiemy się.

Gdy przytaknął, policzki zbiełaly mu jeszcze bardziej, a oczy zapadły się jeszcze głębiej, ale gdzieś w jego głowie mógł pozostawać cień nadziei, że zdoła mnie wykiwać. Liczył pewnie na jeszcze jedną szansę. Może się spodziewał, że Ferganses nie zostanie wzięty żywcem - będziemy więc do siebie strzelać, a wtedy on skorzysta z okazji. Uśmiechnąłem się w duchu. Zanim zaczniesz się jakakolwiek strzelanina, pocisk z mojej broni zrobi dobremu doktorowi „pa-pa”. Niezbyt piękna myśl, możliwe - ale w końcu nie zajmuję się pięknymi myślami.

Gdy tak czekaliśmy na właściwą porę, by wyruszyć, samopoczucie doktora poprawiło się nieco, zaczął nawet widzieć we mnie swego współnika i zwierzył mi się. Zdaje się, nie ufał pozostałym, w każdym razie nie zamierzał być na dłuższą metę wobec nich lojalny. Z jego opowieści wynikało, że wyciągnęli już od dziewczyny kilka tysięcy. To był jego pomysł, by brać pieniądze partiami, w umiarkowanych kwotach, ale jego przyjaciele optowali za szybką akcją. Nie przyznał się wprost do zabicia matki Bernie, podpisania świadectwa zgonu i wrobienia Bernie w przemyt. Nie potrzebował się przyznawać. Był zepsuty do szpiku kości - i więcej niż raz napomknął o kupie szmalu, jaka przypadłaby mi w udziale, gdybym mu pomógł się z tego wywinąć. Nie byłem o to zły i nie naskoczyłem na niego. Uśmiechałem się tylko w duchu. Gdyby zrobił fałszywy ruch i musiałbym go rąbnąć, miałbym spokojne sumienie. Pozwoliłem mu myśleć, jaki to bystry z niego chłopak, i zachęciłem, by mówił dalej - wkrótce wiedziałem, jak oberwał Nick. Otóż Grek został już wcześniej tego wieczoru opłacony, by pozwolił dwóm śniadym koleśkom uprowadzić Bernie. Wtedy nic więcej nie wiedział i nie podejrzewał, że ja też biorę udział w tej grze, dopóki nie ujrzał jednego z Włochów leżącego na podłodze w holu. Ale Nick wykiwał mnie nie tylko za pieniądze, które wtedy otrzymał, lecz i dla tych, których spodziewał się po dokonaniu zaplanowanego na później szantażu. Biegnie zatem szybko za róg, by zobaczyć samochód doktora, z nim we własnej osobie w środku i jeszcze z zachloroformowaną dziewczyną oraz zamroczonym faciem, któremu wcześniej przywaliłem. Lecz nie widzi tam smagłego Fergansesa, bo ten pozostał w tyle, na wypadek gdyby Nick spróbował ich śledzić.

I ta część historii, jak mniemam, była prawdziwa. Doktor Maderia powiedział, że Nick sięgnął po broń i wywiązała się walka, i że on pojechał dalej, by chwilę później zabrać Fergansesa z ulicy za rogiem. Wtedy dopiero się dowiedział, że Nick nie żyje. Czy istotnie doszło do walki, czy nie - nie miało znaczenia. Nick z całą pewnością był martwy.

Pojechali do Jersey, zostawili tam dziewczynę z Fergansesem, a doktor wrócił do Nowego Jorku z drugim typkiem, zwanym Farro. Tak brzmiała jego opowieść - i wydała mi się dość wiarygodna. Przynajmniej niezbyt odległa od takiej prawdy, jaką w ogóle kiedykolwiek udałoby się odkryć. Ale im dalej doktor wtajemniczał mnie w swoje sprawy, tym mniej mu ufałem. Czy próbował uspić moją czujność? Mówiąc mi wszystko, a tak naprawdę nie mówiąc mi nic, czego bym wcześniej i tak nie wiedział?

Oczywiście poznałem nazwisko Bernie i usłyszałem sporo o jej matce i ojcu, ale na co mi ta cała wiedza? I tak nie zdradziłbym prawdziwego imienia dziewczyny, więc nadal będziemy nazywać ją Bernie. O tym, że przeszukałem doktora i zarekwirowałem jego spluwę, chyba nie muszę wspominać. Ale dokładnie tak zrobiłem.

Doktor miał być w tamtym domu w Jersey o pierwszej w nocy; Farro udał się tam już wcześniej w ciągu dnia. Doktor powinien zgodnie z planem wyruszyć o północy, a zatem lepiej będzie - pomyślałem sobie - jeśli wyjedziemy o dwudziestej trzeciej.

- Pan prowadzi - powiedziałem do niego, gdy wsiadaliśmy do samochodu.
- Ale nie wiem jak. Daję panu słowo, że nie spróbuję...
- A zatem rączki do tyłu - zakomenderowałem, obracając go wokół własnej osi.
- Co... co pan zamierza zrobić?
- Założyć panu kajdanki. Dalej! Ruszaj się.

To wystarczyło. Nie spodobało mu się, że będzie miał ręce skute na plecach, i błyskawicznie nauczył się prowadzić samochód.

- Trochę prowadzę, ale nie za dobrze - wymamrotał.
- Nie jestem wymagający - wskakuj pan. - Otwarłem przed nim drzwiczki samochodu.

*

I tak oto wyruszyliśmy. To była pierwsza próba ze strony doktora, by mnie wyrolować. Ale czy na pewno? Nieważne. W końcu nie wybierałem się na przejażdżkę dla przyjemności. Byłem przygotowany na wszystko. Bernie skorzysta niebawem z moich opóźnionych usług.

Doktor planował przeprawę przez Hudson przy Czterdziestej Drugiej, zdecydowałem więc, że przekroczymy rzekę u wylotu Sto Dwudziestej Piątej. Nie żebym robił trudności - uznałem tylko, że wybór własnej trasy sprzyja długiemu życiu i umiłowaniu wolności.

Opuściliśmy więc prom przy Fort Lee i ruszyliśmy drogą pnącą się ostro pod górę. Doktor zapomniał, że jest nowicjuszem, i prowadził samochód zaskakująco sprawnie.

Lecz kiedy pomknęliśmy w kierunku Newark, zrobił się nerwowy - dwa razy zmieniał biegi na górce, którą samochód taki jak mój wziąłby przy sześćdziesiątce. Coś siedziało mu na głowie oprócz kapelusza, i niebawem się z tym ujawnił.

- Panie Williams - powiedział nagle, oddając tym „panie” przed nazwiskiem należny szacunek mojemu wiekowi i godności. - Nie powiedziałem całej prawdy - dom nie znajduje się w pobliżu Newark - raczej koło Englewood.

- Taaak? - Wskazałem palcem na pistolet. - Jest pan pewien tym razem?

Przytaknął.

- Ponieważ - kontynuowałem - musimy dotrzeć na miejsce przed północą. Jeśli nie... - Wzruszyłem ramionami. - No cóż, doktorze, będą z pana niezwykle niepokojące zwłoki.

Jeśli to był żart, umknął jego uwadze, bo właśnie zawracał i nieomal wylądowaliśmy w rowie.

- Nie próbuję pana wykiwać - przełknął ślinę. - Kłamałem, bo bałem się, że poznawszy całą prawdę, może pan nie dotrzymać umowy i zaaranżuje pan przybycie policji. Teraz zawiozę pana prosto na miejsce.

- Jak panu pasuje - powiedziałem chłodno i postukałem palcem w szkiełko zegarka. - Ma pan czas do dwunastej. - Nie powiedziałem nic więcej. Nie musiałem; rozumiał mnie doskonale. Poza tym mimo wszystko miał trochę racji, okłamując mnie za pierwszym razem. Pomyślałem o policji, rzecz jasna. Nigdy ich nie wzywam, jeśli sam daję sobie radę, ale wezwałbym, jeśli uważałbym to za korzystne dla mojego klienta. Ale w tym przypadku - gdyby wmixowała się policja, Bernie pofrunęłaby. Popelnienie jednego morderstwa więcej nie stanowiłoby większego problemu dla tych chłopaków. Niestety, na krześle elektrycznym można posadzić mordercę tylko raz.

Minęliśmy Englewood, wracając w kierunku Hudsonu. Na wysokości Palisades wjechaliśmy na całkiem niezłą drogę szybkiego ruchu, potem skręciliśmy w boczną uliczkę i tu się zatrzymaliśmy.

- To tylko kilkaset jardów stąd. - Jego wargi dygotały, a słowa rozedrgane były jak w popularnej piosence „mammy”.

- Sugeruje pan, byśmy szli na piechotę? - zapytałem.

- Tak będzie najlepiej. - Trzymał się blisko mnie, gdy opuściliśmy samochód. - Ten Ferganses to zabójca. Musi go pan zastrzelić bez wahania - najlepiej strzałem w plecy.

- Dobrze - poprosimy go, żeby się odwrócił. - Ale moja niefrasobliwość nie poprawiła

doktorowi nastroju. Nogi mu drżały i szcząkał zębami. Może to z zimna, a może i nie. Ale przytknąłem mu pistolet do pleców, co sprawiło, że wyprostował się nagłym ruchem; kazałem mu ruszać przed siebie. Ruszyliśmy więc. Moje własne bezpieczeństwo zależało teraz od jego umiłowania życia. Dla niego był to spacer ze śmiercią, i wiedział o tym.

Zabawne, swoją drogą, jaki wpływ na fizyczną i moralną postawę człowieka potrafi wyrzucić przytknięty do pleców pistolet. Kiedy doktor zaczynał powłóczyć nogami i pochylać ciało ku ziemi, wystarczyło, że przycisnąłem mocniej lufę, a natychmiast podrywał się do dalszego marszu.

Zeszliśmy z dróżki i - z doktorem nadal reagującym jak pajacyk na sprężynce na każde dźgnięcie lufą pistoletu - przeszliśmy przez zadrzewioną parcelę, prześlizgnęliśmy się przez dziurę w ogrodzeniu z drutu kolczastego i wreszcie zobaczyliśmy bryłę domu.

Wielka i czarna, złowieszczo rysowała się w blasku księżyca. Wtedy ujrzałem światełko - rozedrgane, migocące światło latarki w pokoju na piętrze. Zniknęło niemal tak szybko, jak się pojawiło.

Byliśmy już całkiem blisko budynku.

- Jak dostaniemy się do środka? - spytałem.

- Możemy skorzystać z okna w piwnicy - chyba że chce pan, bym wszedł sam przez drzwi i zajął ich rozmową, a pan wtedy wślizgnie się niepostrzeżenie.

Śmiechu warte.

- Spróbujemy z tym oknem w piwnicy - powiedziałem. - Z której strony będzie najlepiej?

- Jest jedno na tej ścianie i jeszcze na przeciwległej. Ale oni mogą być właśnie w pokoju nad okienkiem po tej stronie. Nie widać światła, bo mają tu solidne żaluzje. Oba okienka w piwnicy są zamknięte - trzeba będzie jedno z nich wybić.

- Spróbujemy z tamtej strony - prowadź, Macduffie. Gdy dotarliśmy na tył budynku, doktor stanął jak wryty.

- Nie mogę... nie dam rady iść dalej z... z tą lufą... przytkniętą do... pleców. - Jego zęby, hałasując jak cyrkularka, wypunktowały każde wypowiedziane przez niego słowo.

Rzeczywiście wydawał się w kiepskiej formie. Na szczęście trawa była miękka i tłumiła odgłosy potknięć. Przycisnąłem pistolet do jego pleców wyłącznie dla moralnego i fizycznego wsparcia. Cóż, jeśli przestało to już działać - w porządku. Dałem mu kilka cali luzu. Nie robiło mi to różnicy. Ołów wystrzelony z odległości piętnastu centymetrów nie traci wiele ze swego impetu.

Ruszyliśmy dalej - najpierw doktor, pochylony, ja zaraz za nim. Obeszliśmy róg domu

i wtedy zobaczyłem plamę światła. Zbliżaliśmy się bowiem do okna, w którym żaluzja opuszczona była tylko do połowy. Raczej ryzykowne posunięcie z ich strony. Ci chłopcy albo czuli się całkiem bezpieczni w swojej kryjówce, albo... Potarłem podbródek. Jasność w oknie nie była jedynym światłem w tym momencie. Paliło się też małe światełko, przenikające ciemności mojego umysłu. Skinąłem głową. Tak, będziemy mieli akcję, pomyślałem.

Skręciliśmy w stronę oświetlonego okna, znajdującego się niecały metr nad ziemią - doktor jeszcze bardziej skulony, wymachując do przodu i do tyłu tymi swoimi długimi, cienkimi rękami o białych, rozczapierzonych palcach. Dotarłszy do okna, zatrzymał się i odwrócił do mnie.

- Są w środku. Może pan zajrzeć, jeśli pan chce.

Prostota tej sugestii była porażająca. Gdy będę zaglądał do tego okna, stanę dokładnie w smudze światła. Oczywiście, nie byłbym widziany przez tych w budynku, ale jeśli jest ktoś także na zewnątrz... Gdybym mógł mieć pewność, że nie oczekują tu mojej wizyty, nie przejmowałbym się. Lecz prawdę powiedziawszy, nawet gdyby doktor był czarującym gościem, nie pokładałbym w nim całej swojej ufności.

- Pan zajrzy do środka i powie mi, co się tam dzieje - rzekłem na poły sarkastycznie. I przyznam, że zdziwiłem się, widząc, jak doktor staje wyprostowany w pełnym świetle. Nadal nic się nie działo. Ale zauważyłem jedną rzecz: zanim zaglądnął do okna, zdjął kapelusz. Taki nawyk? Może tak, a może nie.

- Są tam - obaj - razem z dziewczyną. Teraz ma pan szansę. Nie będziemy musieli wchodzić przez piwnicę. Niech pan zajrzy. - Był podniecony i zaciekawiony jak dziecko.

Nic nie odpowiedziałem. Może mimo wszystko doktor był w porządku w stosunku do mnie. A jednak, wciąż stojąc w ciemności, zdjąłem własny kapelusz i wyciągnąwszy raptownie rękę w przód, umieściłem go na głowie doktora.

Kapelusz ledwo wylądował na jego głowie; moja ręka wciąż pozostawała poza zasięgiem światła; biała twarz doktora wykonała nie więcej niż pół obrotu w zaskoczeniu, zwątpieniu i strachu - kiedy to się stało. Huk wystrzału, zduszony krzyk, dziura w białym czole - i doktor pada na twarz. Pułapka zadziałała - a czy z sukcesem, czy nie, zależy wyłącznie od punktu widzenia, jaki się przyjmie.

Sprawa była oczywiście dość prosta. Facet czekał ukryty w ciemnościach i obserwował oświetlone okno. Miał nie strzelać do gołej głowy, tylko do takiej w kapeluszu. Mój mały eksperyment z kapeluszem wyglądał z jego pozycji, jakby w miejsce jednej głowy w polu widzenia pojawiła się druga. Popełnił, rzecz jasna, błąd, ale życie pełne jest pomyłek - właśnie zbliżał się do mnie, by zapłacić za swoją. Tak, tak - pędził przez ciemność w

kierunku oświetlonego okna i leżącej na ziemi postaci. Myślał, że oberwałem. Jak to miło i prostodusznie z jego strony! Zawsze uważałem, że gangsterzy są jak dzieci.

- Już dobrze, już dobrze! - wołał, zbliżając się. Obdarzony był tą jakże typową dla młodego wieku ufnością. Gdy dotarł do okna, otworzyło się i rozpoznałem w nim śniadą twarz Fergansesa; rozpoznałem też duży samopowtarzalny pistolet w jego prawej dłoni.

- Załatwiłeś go, co, Farro? - Było coś w jego głosie, co nie do końca brzmiało jak wyrazy uznania. Farro też to zauważył, ale zbyt późno. Stał już w smudze światła bijącego od okna, tak iż mogłem rozpoznać jego twarz. Farro nie miał szans - nawet by unieść broń, którą trzymał w dłoni; Ferganses natychmiast, stojąc w oknie, otworzył ogień. Farro bez jednego krzyku osunął się na ciało doktora.

- Załatwione, he, doktorze? - Ferganses wychylił się przez okno, jego zmrużone oczy próbowały uchwycić mój wizerunek w ciemności. - No dobrze już - mówił dalej, biorąc mnie za doktora - Williams nie żyje, a Farro już nie będzie się dopominał o swój udział. Musimy teraz wycisnąć forsę z dziewczyny, bo się opiera. Podejź no pan tu!

Mówisz „podejź no”? Czemu nie? Ferganses wisiał, do połowy wychylony z okna, pistolet luźno trzymał w dłoni. Podeszedłem więc. Zrobiłem krok do przodu i zamachnąłem się dłonią z pistoletem. Słysząc było tępy odgłos ciosu i jego podbródek z hukiem uderzył o parapet okna. Ferganses leżał tam bezwładnie, aż wyciągnąłem go na zewnątrz i rzuciłem na trawę.

Może i trzeba było go zastrzelić i mieć to z głowy. Ale nie zrobiłem tego. To nie wielkoduszność ani nie wzdraganie się przed odebraniem ludzkiego życia. Uświadomiłem sobie, że tak będzie lepiej dla mnie. Lepiej, jeśli on będzie żył. Pod oknem panował bałagan, który trudno byłoby ukryć przed policyjnym dochodzeniem. Będą potrzebowali kozła ofiarnego i całkiem śmiało mógłby nim zostać Ferganses. Władze zidentyfikują doktora, przesłuchają dziewczynę i wciągną mnie w to, tak czy siak. Choć raz stawię czoło przesłuchaniom niewinny jak nowo narodzone dziecko.

A co z dziewczyną? Miała się dobrze. Znalazłem ją w pokoju na piętrze, tam gdzie wcześniej dostrzegłem światło latarki. Straszliwie przerażona, rzecz jasna, jednak fizycznie, poza zdrętwieniem związanych kończyn, była w dobrej kondycji.

I czegoś tu jeszcze chcieć, poza tym może, bym przespacerował się po twarzy Fergansesa? Właściwie już to zrobiłem, wdrapując się przez okno. Koniec końców, Bernie została wcale nieźle obsłużona.

Dashiell Hammett

Nie tylko podpalenie

Pomimo znaczenia, jakie Race Williams zyskał jako pierwszy niezłomny detektyw, jego sława z biegiem lat przygasła, przesłonięta przez dwóch innych pionierów w tym fachu - bezimiennego wywiadowcę, znanego jako Continental Op, oraz Sama Spade'a - obu powołanych do życia przez Dashiella Hammetta. Choć Hammett, podobnie jak Carroll John Daly, preferował szybką i szorstką narrację, wkładał sporo wysiłku w charakteryzację swych protagonistów i opowiadał znacznie bardziej realistyczne historie. Pierwszy z jego prywatnych detektywów, Continental Op, był raczej przeciwieństwem Race'a Williamsa: w średnim wieku, potężnie zbudowany, twardy i sardoniczny, używał broni, ale potrafił równie skutecznie, jeśli zaszła potrzeba, rozprawić się z przestępcą gołymi rękami. Pracował dla Kontynentalnej Agencji Detektywistycznej w San Francisco i swoją długotrwałą karierą udowodnił, że jest lojalny, oddany sprawie i absolutnie nieprzekupny. Op, tak samo jak Williams, pomógł wyjść z opresji niejednej kobiecie, różnił się jednak zdecydowanie od swego poprzednika tym, że zawsze współpracował z policją i że większość swoich spraw rozwiązał dzięki rzetelnej dociekliwości i skrupulatnej dbałości o szczegóły. Nie był z tych, co to chełpią się swoimi możliwościami, i wszystkie sprawy relacjonował w bezstronnym stylu, co wywoływało u czytelników wrażenie obcowania ze stuprocentowym profesjonalistą. Także i on po raz pierwszy pojawił się na kartach „Black Mask”, niecałe pięć tygodni po debiucie Williamsa, w opowiadaniu „Nie tylko podpalenie”, podpisanym przez niejakiego „Petera Collinsona”. Choć niektórzy czytelnicy z pewnością mieli świadomość, że pojawiła się oto nowa ważna postać, tylko nieliczni mogli przeczuwać, jak ważna - a jeszcze mniej liczni domyślali się, jak wysoką pozycję napołu literatury kryminalnej osiągnie kiedyś ukrywający się pod pseudonimem autor opowiadania.

„Peter Collinson” było dość dziwnym nazwiskiem jak na literacki pseudonim, obrany przez Samuella Dashiella Hammetta (1894-1961). Pochodziło ono od określenia „Peter Collins”, obecnego w przestępczym żargonie, i znaczącego tyle, co „nikt”; a zatem Peter Collinson w swym pełnym brzmieniu to ni mniej, ni więcej, tylko „niczyj syn”. Pomimo tak powściągliwego pseudonimu autora, pierwszemu opowiadaniu o wywiadowcy znanym jako Continental Op ani całej długiej serii opowiadań, którą ono otwierało, nie można było odmówić znamion autentyzmu, co w dużej mierze wynikało z faktu, iż sam Hammett pracował swego czasu jako prywatny detektyw. Urodzony w Marylandzie, w wieku trzynastu lat porzucił szkołę na dobre, aby w końcu znaleźć zatrudnienie w słynnej Agencji Detektywistycznej Pinkertona w Baltimore. Przez osiem lat zajmował się sprawami kryminalnymi w wielu miastach - przede wszystkim w San Francisco - wszedł w konszachty z gangsterem Nickiem Arnsteinem oraz dał się wplątać w niesławną sprawę Fatty'ego Arbuckle'a, oskarżonego o gwałt. Po tych ośmiu latach Hammett zaczął „krzywo patrzeć na zawód detektywa”, by użyć jego własnych słów, i zdecydował zamiast tego spróbować sił jako autor opowiadań pisanych do tanich czasopism. Można się było spodziewać, że czerpiąc obficie z bogatych doświadczeń zdobytych w pracy dla Pinkertona, prędzej czy później zdoła odcisnąć własne piętno na prozie kryminalnej,

jednak dopiero wymyślając kolejnego detektywa, Sama Spade'a - po raz pierwszy w akcji w „Sokole Maltańskim” („The Maltese Falcon”, 1930) - dał gatunkowi postać przez wielu uważaną za najsłynniejszego detektywa dwudziestego wieku. Przed nami jednak historia, która ponad siedemdziesiąt lat temu dała początek legendzie Hammetta - i wywiadowcy znanego jako Continental Op.

*

Jim Tarr przyjął cygaro, poturlał nim po blacie biurka, spojrzął na banderolę, odgryzł koniuszek i sięgnął po zapalnik.

- Trzy sztuki za dolca - powiedział. - Pewnie tym razem chcesz, żebym złamał dla ciebie aż kilka paragrafów.

Współpracowałem z tym grubym szeryfem hrabstwa Sacramento od czterech, może pięciu lat - to jest od czasu, gdy przeniosłem się do biura Kontynentalnej Agencji Detektywistycznej w San Francisco - i nigdy nie zauważyłem, by przepuścił okazję do powiedzenia jakiegoś cierpkiego żartu; ale to nie miało znaczenia.

- Dwa razy pudło - odrzekłem. - Cygara kupuję po dwadzieścia pięć centów za sztukę i jestem tu, by wam oddać przysługę, zamiast o nią prosić. Towarzystwo, które ubezpieczyło dom Thornburgha, podejrzewa, że ktoś naumyślnie wywołał pożar.

- To by się zgadzało, tak przynajmniej twierdzi straż pożarna. Mówią, że dolna kondygnacja aż ociekała benzyną, ale Bóg jeden wie, jak na to wpadli - nie pozostał tam kamień na kamieniu. Zleciłem to zadanie McClumpowi, ale jak na razie nic ekscytującego nie odkrył.

- Jakie były okoliczności zdarzenia? Wiem tylko, że był pożar. Tarr rozparł się w fotelu, zwrócił swą czerwoną twarz ku sufitowi i ryknął:

- Hej, Mac!

Perłowe przyciski na biurku były - gdyby ktoś go pytał o zdanie - wyłącznie dla ozdoby. Trzej zastępcy szeryfa: McHale, McClump i Macklin, równocześnie pojawili się w drzwiach - MacNab był widocznie poza zasięgiem głosu szeryfa.

- Cóż to za pomysł? - zapytał szeryf McClumpa. - Chodzisz z ochroną?

W ten oto sposób pozostali zastępcy zorientowali się, że tym razem szło o McClumpa, i wrócili do przerwanej gry w karty.

- Mamy tu jednego mieszcza, który chce dla nas złapać podpalacza - rzekł Tarr do swego zastępcy. - Ale najpierw musimy powiedzieć mu, o co w tym wszystkim chodzi.

Pracowałem już z McClumpem kilka miesięcy temu, wspólnie zajmowaliśmy się sprawą napadu na ekspres. Smukły młodzieniec o zmierzwionych włosach,

dwudziestopięcio-, może - sześćoletni, mistrz świata w trzymaniu nerwów, na wodzy - i wicemistrz w lenistwie.

- Czyż Bóg nam nie sprzyja? - powiedział.

Zdążył już wygodnie rozsiąść się w fotelu, co zawsze było jego pierwszym celem, ilekroć wszedł do jakiegoś pomieszczenia.

- Więc sprawy tak się mają: dom tego gościa, Thornburgha, znajdował się kilka mil za miastem, przy starej lokalnej drodze - taki staroświecki drewniany dom. Przedwczoraj koło północy Jeff Pringle - najbliższy sąsiad, mieszkający jakieś pół mili na wschód - zobaczył lunę na niebie i zadzwonił na alarm. Lecz nim wozy strażackie dotarły na miejsce, z domu zostało zbyt mało, by zawracać nim sobie głowę. Pringle był pierwszym z sąsiadów, którzy tam się zjawili, lecz dach już zdążył się zapaść.

Nikt nie widział nic podejrzanego - żadnych obcych kręcących się po okolicy, nic. Służący Thornburgha zdołali wyjść cało z pożaru, i to wszystko. Nie pamiętają wiele - zbyt byli przerażeni, jak sądzę. Ale widzieli Thornburgha w oknie na moment przedtem, nim ogień go dopadł. Jest jeszcze jeden facet w mieście - nazwiskiem Henderson - który też widział co nieco. Wracał samochodem z Wayton i dotarł do domu Thornburgha, zanim zawalił się dach.

Faceci ze straży pożarnej mówią, że znaleźli ślady benzyny. Państwo Coons, którzy prowadzili dom Thornburgha, twierdzą, że nie trzymano tam żadnego paliwa. To wszystko, co mamy.

- Thornburgh miał jakichś krewnych?

- Uhm. Siostrzenicę w San Francisco - panią Evelyn Trowbridge. Pokazała się tu wczoraj, ale nie miała nic do roboty, niewiele też mogła nam powiedzieć, więc wróciła do domu.

- A gdzie są teraz służący?

- Tu, w mieście. Zatrzymali się w hotelu przy Pierwszej. Kazałem im pozostać w okolicy przez kilka dni.

- Czy Thornburgh był właścicielem domu?

- Aha. Kupił go od agencji Newning & Weed kilka miesięcy temu.

- Masz coś teraz do roboty?

- Tylko tę sprawę.

- Świetnie. Chodźmy więc trochę powęszyć.

Państwa Coons znaleźliśmy w ich pokoju w hotelu przy Pierwszej Ulicy. Pan Coons był niewysokim, pulchnym mężczyzną o gładkiej twarzy, pozbawionej wyrazu, i o uprzejmych manierach, typowych dla służącego.

Pani Coons była kobietą wysoką i żyłastą, starszą o jakieś pięć lat od męża - powiedzmy, czterdziestoletnią - o ustach i podbródku, które wydawały się wręcz stworzone do plotkowania. Ale to on opowiadał, podczas gdy ona potakiwała co dwa, trzy słowa.

- Podjęliśmy pracę u pana Thornburgha gdzieś w połowie czerwca, jak mi się zdaje - rzekł w odpowiedzi na moje pytanie. - Przybyliśmy do Sacramento koło pierwszego i zaraz złożyliśmy nasze podania w biurze zatrudnienia pana Allisa. Kilka tygodni później wysłali nas na spotkanie z panem Thornburghiem, a on nas zatrudnił.

- Gdzie państwo mieszkali przed przyjazdem w te strony?

- W Seattle, proszę pana, u pani Comerford; ale tamtejszy klimat nie odpowiadał mojej żonie - ma kłopoty z oskrzelami - więc postanowiliśmy przenieść się do Kalifornii. Najprawdopodobniej pozostalibyśmy jednak w Seattle, gdyby pani Comerford nie zrzekła się domu.

- Co wiedzą państwo o Thornburghu?

- Bardzo mało, proszę pana. Nie był rozmownym jegomościem. O ile mi wiadomo, nie prowadził żadnych interesów. Sądzę, że był emerytowanym marynarzem. Nigdy nie powiedział wprost, że nim był, ale wskazywały na to jego zachowanie i wygląd. Nigdzie nie wychodził ani nie podejmował gości; z pewnym wyjątkiem - raz jeden odwiedziła go siostrzenica. Do nikogo nie pisywał ani nie otrzymywał poczty. Obok sypialni miał pokój urządzone jak pracownia lub warsztat. Spędzał w nim większość czasu. Zawsze wydawało mi się, że pracuje nad jakimś wynalazkiem, ale trzymał drzwi od tego pomieszczenia stale zamknięte na klucz i nie pozwalał się do niego zbliżyć.

- Żadnego pomysłu, co to mogło być?

- Nie, proszę pana. Nigdy nie słyszeliśmy żadnego stukania młotkiem ani innych hałasów, nigdy też nie wyczuliśmy żadnych zapachów. I nie zdarzyło się, by któreś z jego ubrań było w najmniejszym choćby stopniu poplamione, nawet gdy już szło do prania. Z pewnością nie byłyby takie czyste, gdyby pracował nad jakimś urządzeniem.

- Czy był starym człowiekiem?

- Mógł mieć najwyżej pięćdziesiątkę. Zawsze trzymał się prosto, a jego włosy i broda były gęste, bez śladu siwizny.

- Czy kiedykolwiek mieliście z nim jakieś problemy?

- O nie, proszę pana. Był na swój sposób, jeśli mogę tak powiedzieć, bardzo szczególnym typem dżentelmena; zależało mu wyłącznie na tym, by posiłki podawano o właściwej porze, by zadbano o jego ubrania - przywiązywał wielką wagę do ubioru - i żeby mu nie przeszkadzano. Z wyjątkiem wczesnych poranków i nocnej pory, rzadko kiedy

widywaliśmy go w ciągu dnia.

- A teraz na temat pożaru. Proszę nam wszystko opowiedzieć, cokolwiek pan pamięta.

- Cóż, żona i ja położyliśmy się około dziesiątej, o naszej zwykłej porze, i szybko zapadliśmy w sen. Nasz pokój znajdował się na drugim piętrze, na tyłach domu. Nieco później - nie wiem dokładnie, która to była godzina - obudziłem się, kaszląc. Dym wypełniał pokój, a moja żona zaczęła się dusić. Wskoczyłem z łóżka i wyciągnąłem ją z pokoju, potem na dół tylnymi schodami i na zewnątrz przez tylne drzwi, nie zastanawiając się nad niczym, byle tylko ją stamtąd zabrać.

Gdy już była bezpieczna na podwórzu, pomyślałem o panu Thornburghu i próbowałem wejść na powrót do domu; lecz cały parter stał już wówczas w płomieniach. Obiegnąłem dom od frontu, by sprawdzić, czy zdołał się wydostać, ale nigdzie nie zobaczyłem po nim ani śladu. Na całym podwórzu do tego czasu było już jasno jak w dzień. Wtedy usłyszałem krzyk - przerażający krzyk, proszę pana - wciąż go słyszę! Spojrzałem do góry na jego okno - to był pokój na drugim piętrze od frontu - i tam go ujrzałem, jak próbował wydostać się na zewnątrz. Ale paliła się cała drewniana rama okienna, i on jeszcze raz krzyknął i upadł do tyłu, a zaraz potem zawalił się dach nad jego pokojem.

Nie było żadnej drabiny ani nic, co mógłbym przystawić do okna - nie mogłem mu w żaden sposób pomóc.

Tymczasem jakiś pan zatrzymał samochód na szosie i podszedł do miejsca, w którym stałem; nic jednak nie dało się już zrobić - dom płonął ze wszystkich stron, zapadając się to tu, to tam. Wróciłem więc na podwórze, gdzie zostawiłem uprzednio żonę, i odciągnąłem ją dalej od ognia - była nieprzytomna. I to wszystko, co wiem na ten temat, proszę pana.

- Czy wcześniej tamtej nocy słyszał pan jakieś hałasy? Lub widział kogoś kręcącego się w pobliżu?

- Nie, proszę pana.

- Czy trzymaliście w domu benzynę?

- Nie, proszę pana. Pan Thornburgh nie miał samochodu.

- A benzynę do czyszczenia?

- Nie, nic takiego nie było, proszę pana, chyba że pan Thornburgh miał to w swojej pracowni. Gdy jego odzież należało oddać do czyszczenia chemicznego, zawoziłem ją do miasta, a wszystkie rzeczy do prania zabierał człowiek ze sklepu spożywczego, kiedy przyjeżdżał do nas z zaopatrzeniem.

- Czy wie pan o czymś, co mogłoby mieć związek z pożarem?

- Nie, proszę pana. Byłem zaskoczony, słysząc, że ktoś naumyślnie podłożył ogień. Z

trudem mogę w to uwierzyć. Nie wiem, dlaczego ktoś miałby tak uczynić...

- Co o nich sądzisz? - spytał McClumpa, gdy wyszliśmy z hotelu.

- Może byliby w stanie zawyżać rachunki czy nawet uciec ze srebrami na Południe, ale na morderców mi nie wyglądają.

Byłem tego samego zdania; jednakże Coonsowie byli jedynymi osobami, o których wiadomo było, iż znajdowali się na miejscu zdarzenia w chwili wybuchu pożaru; nie licząc, rzecz jasna, zmarłego. Udaliśmy się do biura zatrudnienia Allisa, by porozmawiać z kierownikiem.

Powiedział nam, że drugiego czerwca państwo Coons przyszli do biura w poszukiwaniu pracy i podali adres pani Edwardowej Comerford: Woodmansee Terrace 45 w Seattle, w stanie Waszyngton, jako swoje referencje. W odpowiedzi na list Allisa - zawsze sprawdza referencje służby domowej - pani Comerford napisała, że Coonsowie byli u niej zatrudnieni przez kilka lat i polecała ich jako „szalenie zadowolających pod każdym względem”. Trzynastego czerwca Thornburgh zatelefonował do biura z prośbą o przysłanie mu mężczyzny z żoną do prowadzenia domu i Allis wysłał dwa małżeństwa ze swojej listy kandydatów. Żadne z nich nie znalazło zatrudnienia u Thornburgha, chociaż Allisowi ci ludzie wydawali się zdecydowanie bardziej godni uwagi niż państwo Coons, którzy ostatecznie dostali tę pracę.

Wszystko to z całą pewnością wykluczało świadomy zabieg ze strony Coonsów, by znaleźć się w tamtym domu, chyba że byli największymi szczęściarzami na świecie - detektywowi jednak nie przystoi wierzyć w łut szczęścia ani w działanie serii nadzwyczaj pomyślnych zbiegów okoliczności, o ile nie ma na to niezbitych dowodów.

W biurze agentów handlu nieruchomościami - Newning & Weed - za których pośrednictwem Thornburgh nabył swój dom, powiedziano nam, że Thornburgh przyszedł do nich dziewiętnastego czerwca, wiedząc, jak przyznał, o wystawieniu domu na sprzedaż - zdążył go nawet obejrzeć - chciałby zatem poznać cenę. Następnego ranka dokonano transakcji. Zapłacił czekiem na 14 500 dolarów, wystawionym przez Bank Morski w San Francisco. Dom był umeblowany.

Po lunchu wpadliśmy, McClump i ja, z wizytą do Howarda Hendersona - człowieka, który wracając z Wayton, widział pożar. Miał biuro w Empire Building, z tabliczką na drzwiach z nazwiskiem i napisem:

Firma „Chrupiące Chrupki”

Przedstawiciel na Północną Kalifornię

*

Był postawnym, beztrąsko wyglądającym mężczyzną w wieku około czterdziestu pięciu lat, z zawodowo jowialnym uśmiechem na twarzy, tak charakterystycznym dla komiwojażerów.

W dniu pożaru, oświadczył, był w Wayton w interesach i zabawił tam raczej do późna, spożywając obiad, a następnie grając w bilard w towarzystwie sklepikarza nazwiskiem Hammersmith - jednego z klientów. Opuścił Wayton swoim samochodem o mniej więcej dziesiątej trzydziści i skierował się w stronę Sacramento. W Tavender zatrzymał się w warsztacie po olej oraz paliwo i żeby dopompować powietrza do jednej z opon.

Już miał odjeżdżać, gdy właściciel warsztatu zwrócił jego uwagę na czerwoną łunę na niebie i poinformował, że to prawdopodobnie od pożaru gdzieś przy starej lokalnej drodze, biegnącej równolegle do drogi stanowej do Sacramento; Henderson zdecydował się więc pojechać drogą lokalną i dokładnie w chwili, gdy przybył do płonącego domu, ujrzał Thornburgha próbującego wydostać się z płomieni.

Było za późno na podjęcie jakiegokolwiek próby ugaznienia pożaru, a mężczyzna na piętrze nie miał żadnych szans na uratowanie - najprawdopodobniej martwy w chwili zawalenia się dachu; Henderson pomógł więc Coonsowi ocucić żonę i został tam, patrząc na pożar, aż wszystko się doszczętnie wypaliło. Nikogo nie widział na lokalnej drodze, kiedy jechał w stronę pożaru...

- Co wiesz o Hendersonie? - spytałem McClumpa, gdy wyszliśmy na ulicę.

- Przyjechał tu ze Wschodu, gdzieś tak na początku lata, by otworzyć przedstawicielstwo firmy produkującej płatki śniadaniowe. Mieszka w „Grand Hotelu”. Dokąd teraz?

- Weźmiemy samochód i zobaczymy, co zostało z domu Thornburgha.

*

Rzutki podpalacz w całym okręgu nie znalazłby cudowniejszego miejsca, by rozwinąć skrzydła swej namiętności. Trzy wzgórza z trzech stron skrywały je przed resztą świata; z czwartej strony rozległa równina opadała ku rzece. Lokalna droga była raczej omijana przez kierowców, tak twierdził McClump, na korzyść leżącej nieco na północ, przelotowej drogi stanowej.

Tam gdzie niegdyś stał dom, piętrzyła się teraz sterta szerniałych zgliszczy. Grzebaliśmy w popiołach przez kilka minut - nie żebyśmy spodziewali się coś znaleźć, lecz dlatego, że w naturze człowieka leży grzebanie w zgliszczykach.

Garaż na tyłach, którego wnętrze nie nosiło śladów użytkowania w ostatnim czasie, miał mocno nadpalony dach i fronton, ale poza tym był niezniszczony. Szopa za garażem,

schowek na siekiere, łopate i różne narzędzia ogrodnicze, w ogóle nie ucierpiały od ognia. Trawnik przed domem i ogród za szopą - w sumie o powierzchni około jednego akra - były zajeżdżone kołami wozu i zdeptane stopami strażaków i gapiów.

Doprowadziwszy do opłakanego stanu nasze pięknie wypastowane buty, wróciliśmy - McClump i ja - do auta i ruszyliśmy pokręcić się po okolicy. Odwiedziliśmy wszystkie domy w promieniu mili; nie na wiele opłacił się nasz trud, jedynie mocno nas wytrzęsło na wybojach.

Najbliższy dom należał do Pringle'a, mężczyzny który wszczął alarm; ale on nic nie wiedział o zmarłym, nigdy, jak twierdził, go nie spotkał. W rzeczywistości żaden z sąsiadów nie widział Thornburgha na oczy z wyjątkiem jednej tylko pani Jabine, zamieszkałej około mili na południe.

To ona opiekowała się kluczami od tamtego domu, kiedy jeszcze stał pusty; dzień lub dwa przed nabyciem posesji Thornburgh przyszedł do niej i wypytywał o dom wystawiony na sprzedaż. Udała się tam razem z nim, a gdy już pokazała mu wszystko co trzeba, oznajmił, że zamierza go kupić, o ile cena, której żadne z nich wówczas nie znało, nie będzie zbyt wysoka.

Był wtedy sam, jeśli nie liczyć szofera wynajętego samochodu, który przywiózł go z Sacramento, i poza tym, że nie ma rodziny, nic jej o sobie nie powiedział.

Dowiedziawszy się, że się wprowadził, poszła odwiedzić go kilka dni później - „ze zwykłą sąsiedzką wizytą” - ale pani Coons oznajmiła jej, że Thornburgha nie ma w domu. Większość sąsiadów rozmawiała z Coonsami; domyślając się niechęci Thornburgha do utrzymywania dobrosąsiedzkich stosunków, zostawili go w spokoju. Coonsów opisywano jako „dość sympatycznych w rozmowie, gdy się ich już poznało”, ale odzwierciedlających równocześnie pragnienie ich pracodawcy, by nie zawierać przyjaźni.

Kiedy jechaliśmy w kierunku Tavender, McClump podsumował wszystko, czego dowiedzieliśmy się tego popołudnia:

- Teoretycznie każda z tych osób mogła podpalić dom, ale nie mamy nic, co by wskazywało, że którakolwiek z nich znała Thornburgha, a tym bardziej że miała z nim na pieńku.

Tavender okazało się niewielką osadą przy skrzyżowaniu dróg, oddaloną od domu Thornburgha o mniej więcej dwie mile: wielobranżowy sklep połączony z pocztą, warsztat samochodowy, kościół i sześć budynków mieszkalnych. McClump znał sklepikarza i kierownika poczty w jednej osobie, kościstego człowieczka nazwiskiem Philo, który mówiąc, jękał się i ślinał okrutnie.

- N-n-n-nigdy n-n-nie widzi-dzi-działem Th-thornburgha - powiedział - i n-n-nigdy n-

nie m-m-miałem dla n-n-niego żadnej p-p-p-p-poczty. Co-coons - zabrzmiało to jak nazwa tej rzeczy, z której wyłazą młode motyle - p-p-przyjeżdżał raz w t-tygodniu, b-b-by zamówić żywność - n-n-nie mieli telefonu. P-przychodził pieszo, a ja p-p-posyłałem im t-towar samochodem. P-poza tym widywałem go cz-czasem, jak cz-czekał na autobus d-do Sacramento.

- Kto zawoził towar do Thornburgha?

- M-m-mój syn. Chcecie p-porozmawiać z nim?

Chłopak był niepełnoletnią wersją starego, tyle że się nie jękał. Nigdy podczas swych wizyt w domu Thornburgha nie spotkał właściciela, ale jego zajęcie nie upoważniało go do wchodzenia dalej niż do kuchni. Nie zauważył nic szczególnego, jeśli idzie o tamto miejsce.

- Kto jest nocą w warsztacie samochodowym? - spytałem.

- Billy Luce. Sądzę, że możecie go tam teraz złapać. Widziałem, jak wchodził kilka minut temu.

Przeszliśmy przez jezdnię i znaleźliśmy Luce'a.

- Czy przedwczoraj w nocy - nocy, kiedy wydarzył się ten pożar - był tu z panem jakiś mężczyzna, w chwili gdy po raz pierwszy zobaczył pan, że coś się stało?

Podniósł wzrok ku górze, z tym pustym spojrzeniem, jakim ludzie próbują pomóc swojej pamięci.

- Tak, teraz sobie przypominam! Kierował się do miasta, a ja mu powiedziałem, że jeśli pojedzie drogą lokalną zamiast stanową, to po drodze zobaczy ten pożar.

- Jak wyglądał?

- W średnim wieku - duży, ale trochę przygarbiony. Chyba miał na sobie brązowy garnitur, pomięty i workowaty.

- Śniada cera?

- Tak.

- Uśmiechał się, gdy mówił?

- Tak, dość miły gość.

- Brązowe włosy?

- Tak, ale zlitujcie się - zaśmiał się Luce - nie oglądałem go pod lupą.

Z Tavender udaliśmy się do Wayton. Opis Luce'a pasował do Hendersona jak ulał. Ale skoro już tak daleko zaszliśmy, przyszło nam na myśl, że nie zaszkodzi się upewnić, czy naprawdę wracał z Wayton.

W Wayton spędziliśmy dokładnie dwadzieścia pięć minut; dziesięć zajęło nam znalezienie Hammersmitha, sklepikarza, z którym Henderson, wedle własnych słów, zjadł

obiad i grał w bilard; pięć - znalezienie właściciela sali z bilardem; dziesięć kolejnych - zweryfikowanie opowieści Hendersona...

- Co teraz o tym myślisz, Mac? - spytałem, gdy toczyliśmy się z powrotem do Sacramento.

Mac jest zbyt leniwy, by wyrazić swą opinię czy choćby jakąś sformułować, o ile się go do tego nie nakłoni; nie znaczy to jednak, że jego opinie nie są warte wysłuchania.

- Co tu dużo myśleć - odpowiedział wesoło. - Henderson jest poza podejrzeniem, jeśli w ogóle kiedykolwiek był brany pod uwagę. Nic nie wskazuje na to, by ktoś jeszcze, poza Coonsami i Thornburghiem, był na miejscu zdarzenia w chwili wybuchu pożaru - ale równie dobrze mógł tam być pułk kawalerii. Ci Coonsowie na zbyt uczciwych mi nie wyglądają, jednak to nie zabójcy, no, chyba że się mylę. Faktem jednak jest, że tylko ich na razie mamy. Może powinniśmy dowiedzieć się czegoś na ich temat?

- W porządku - zgodziłem się. - Jak tylko dotrzemy do miasta, wyślę telegram do naszego biura w Seattle z prośbą, by wypyтали o nich panią Comerford. Następnie złapię pociąg do San Francisco i jutro rano spotkam się z siostrzenicą Thornburgha.

*

Następnego ranka pod wskazanym przez McClumpa adresem - w dość osobliwym apartamentowcu przy California Street - musiałem czekać aż trzy kwadranse, nim pani Evelyn Trowbridge zdążyła się ubrać. Gdybym był młodszy lub przybył tam w celach towarzyskich, sądzę, że moje oczekiwanie zostałoby w pełni wynagrodzone w momencie, gdy owa pani wreszcie się zjawiała: wysoka, szczupła kobieta przed trzydziestką, odziana w coś czarnego i obcisłego, z burzą czarnych włosów ponad uderzająco białą twarzą, z małymi czerwonymi ustami i wielkimi, migdałowymi oczyma, które wydawały się czarne, dopóki nie przyjrzałeś im się z bliska.

Ale byłem zapracowanym detektywem w średnim wieku, wściekłym z powodu marnowania mojego czasu; i bardziej niż niewieścią urodą zainteresowany byłem znalezieniem tamtego ptaszka, który potarł zapalkę. Jednakowoż poskromiłem niezadowolenie, przeprosiłem za to, iż niepokoję o tak wczesnej porze, i przeszedłem do rzeczy.

- Chciałbym, aby opowiedziała mi pani wszystko, co wie o swoim wuju - o jego rodzinie, przyjaciółach, wrogach, interesach, powiązaniach - słowem, wszystko.

Informację o tym, czym się zajmuję, nagryzmoiliłem już wcześniej na odwrocie przesłanej do pani Trowbridge wizytówki.

- Nie miał żadnej rodziny - powiedziała - chyba że ja mogę za taką uchodzić. Był

bratem mojej matki, a ja jestem jedyną pozostałą przy życiu osobą w tej rodzinie.

- Gdzie się urodził?

- Tutaj, w San Francisco. Nie znam daty, ale miał około pięćdziesiątki, jak sędzę - był trzy lata starszy od mojej matki.

- Czym się zajmował?

- Wypłynął na morze, gdy był chłopcem i, o ile mi wiadomo, z morzem zawsze wiązało się jego zajęcie; dopiero kilka miesięcy temu przestał się tym trudnić.

- Był kapitanem?

- Nie wiem. Bywało, że nie widywałam go ani nie miałam o nim żadnych wieści przez kilka lat z rzędu. Nigdy nie rozmawiał o tym, czym się zajmuje, choć wspominał niektóre z miejsc, jakie odwiedził - Rio de Janeiro, Madagaskar, Tobago, Christiania. Wreszcie, mniej więcej trzy miesiące temu - pewnego majowego dnia - przyszedł tu i oznajmił, że dość ma włości, że zamierza znaleźć dom w jakiejś cichej okolicy, gdzie mógłby w spokoju pracować nad wynalazkiem, którym się interesował.

Na czas pobytu w San Francisco zamieszkał w hotelu „Francisco”. Po paru tygodniach nieoczekiwanie zniknął. Później, jakiś miesiąc temu, otrzymałam od niego telegram z prośbą, bym przyjechała odwiedzić go w nowym domu niedaleko Sacramento. Pojechałam zaraz następnego dnia i zauważyłam, że wuj zachowuje się dziwnie - wydawał się czymś bardzo podniecony. Wręczył mi swój świeżo spisany testament i kilka polis ubezpieczeniowych na życie, których ja miałam być beneficjentką.

Natychmiast po tym nalegał, bym wracała do domu, i czynił czytelne aluzje, iż nie życzy sobie więcej moich odwiedzin ani korespondencji, o ile on pierwszy się nie odezwie. Wydało mi się to wszystko raczej dziwne, ponieważ zawsze zdawał się mnie lubić. Nie ujrzałam go już nigdy.

- Co to był za wynalazek, nad którym pracował?

- Naprawdę nie wiem. Spytałam go raz, ale moje pytanie tak go wzburzyło - zrodziło wręcz podejrzenia co do czystości moich intencji - że zmieniłam temat i nie wspominałam o tym już nigdy więcej.

- Jest pani pewna, że przez te wszystkie lata był na morzu?

- Nie, pewna nie jestem. Po prostu nie zadawałam sobie takiego pytania. Mógł równie dobrze robić coś innego.

- Czy był kiedykolwiek żonaty?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Zna pani jakichś jego przyjaciół lub wrogów?

- Nie, żadnego.

- Czy pamięta pani, by kiedyś podczas rozmowy padło z jego ust czyjeś nazwisko?

- Nie.

- Nie chciałbym, aby następne pytanie zabrzmiało obraźliwie, choć przyznam, że z pewnością takim się wyda. Muszę je jednak zadać. Gdzie była pani tamtej nocy?

- W domu; miałam kilku przyjaciół na obiedzie, którzy zabawili u mnie do północy. Państwo Kellogg, pani Johnowa Dupree i pan Killmer, prawnik. Mogę panu podać ich adresy albo znajdzie je pan w książce telefonicznej, gdyby zapragnął ich pan przesłuchać.

Z mieszkania pani Trowbridge udałem się do hotelu „Francisco”. Thornburgh był tam zameldowany od dziesiątego maja do trzynastego czerwca i nie wzbudził niczyjego zainteresowania. Wysoki, wyprostowany, szeroki w ramionach mężczyzna koło pięćdziesiątki, z dość długimi brązowymi włosami, zaczesanymi do tyłu, krótką brązową bródką w szpic i zdrową, rumianą cerą - poważny, cichy, pedantyczny w sprawach ubioru i dobrych manier; wszystko robił o regularnych porach, a obsługa hotelowa nie pamięta, by ktokolwiek go odwiedzał.

W Banku Morskim - którego czekiem posłużył się Thornburgh, płacąc za dom - powiedziano mi, że otwarł tam rachunek piętnastego maja, a rekomendowany był przez W.W. Jeffers & Sons - lokalne biuro maklerskie. Po zrealizowaniu czeku na jego koncie pozostało saldo dodatnie w wysokości nieco powyżej czterystu dolarów. Czeki na okaziciela zostały zrealizowane przez różne firmy ubezpieczeniowe; jeśli były to składki, to sądząc z wysokości wpłat, polisy opiewały na raczej wysokie kwoty. Zanotowałem nazwy tych firm i udałem się do biura maklerskiego W.W. Jeffers & Sons.

Thornburgh przyszedł do nich, jak utrzymywali, dziesiątego maja z akcjami o łącznej wartości 15 000 dolarów, zamierzając je sprzedać. Podczas jednej z rozmów poprosił maklera, by wskazał mu jakiś bank, i Jeffers dał mu list polecający do Banku Morskiego.

To było wszystko, co Jeffers wiedział o tamtym. Podał mi numery akcji, ale prześledzenie losów papierów wartościowych nie zawsze jest najłatwiejszą rzeczą na świecie.

Odpowiedź na mój telegram do Seattle czekała na mnie w Kontynentalnej Agencji Detektywistycznej.

DWUDZIESTEGO PIĄTEGO MAJA PANI EDWARDOWA COMER-FORD WYNAJEŁA APARTAMENT POD WSKAZANYM ADRESEM. WYPROWADZIŁA SIĘ SZÓSTEGO CZERWCA. KUFRY WYSŁANO DO SAN FRANCISCO TEGO SAMEGO DNIA. NUMERY KONTROLNE GN CZTERY PIĘĆ DWA PIĘĆ OSIEM SIEDEM

ŁAMANE PRZEZ OSIEM ŁAMANE PRZEZ DZIEWIĘĆ.

Prześledzenie losów bagażu to z kolei nic trudnego, jeśli zna się, na początek, daty i numery kontrolne - niejeden uciekający ptaszek ci to powie, który ma na piersi i plecach cokolwiek podobne numery, ponieważ przeoczył ten szczegół, planując ucieczkę; dwadzieścia pięć minut w bagażowni promu, a następnie pół godziny w biurze firmy przewozowej dało mi odpowiedź.

Kufry zostały dostarczone do apartamentu pani Evelyn Trowbridge!

Skontaktowałem się telefonicznie z Jimem Tarrem.

- Strzał w dziesiątkę! - powiedział, zapominając ten jeden raz pofolgować swojemu poczuciu humoru. - Przyskrzynimy Coonsów tutaj, a panią Trowbridge tam, i oto koniec kolejnej zagadki.

- Chwileczkę! - powstrzymałem go. - Nie wszystko zostało wyjaśnione - wciąż jest kilka niejasnych miejsc w tej historii.

- Dla mnie wszystko jest wystarczająco jasne. Jestem usatysfakcjonowany.

- Ty jesteś szefem, ale moim zdaniem, za bardzo ci się śpieszy. Pójdę jeszcze raz porozmawiać z jego siostrzenicą. Daj mi trochę czasu, zanim zawiadomisz tutejszą policję, by ją aresztowali. Przypilnuję jej, zanim oni tam dotrą.

*

Tym razem, zamiast służącej, która otworzyła drzwi rano, sama Evelyn Trowbridge wpuściła mnie do środka i zaprowadziła do tego samego pomieszczenia, w którym odbyliśmy naszą poprzednią rozmowę. Poczekalem, aż wybierze sobie krzesło, i wówczas sam zająłem takie miejsce, by być bliżej drzwi niż ona.

Przed chwilą, na klatce schodowej, zamierzałem zadać mnóstwo niewinnie brzmiących pytań, licząc na to, że ona sama zacznie się plątać, ale kiedy przyjrzałem się tej kobiecie siedzącej przede mną, wygodnie rozpartej na krześle, ze spokojem oczekującej, aż powiem, co mam do powiedzenia, porzuciłem wszelkie sztuczki i zacząłem prosto z mostu:

- Czy kiedykolwiek używała pani nazwiska Comerford?

- O tak. - Było to tak zwyczajne, jak skinienie głową znajomemu na ulicy.

- Kiedy?

- Często. Widzi pan, tak się złożyło, że jeszcze niedawno byłam żoną pana Edwarda Comerforda. Nie ma zatem nic dziwnego w fakcie używania jego nazwiska.

- Czy także ostatnio w Seattle?

- Pozwolę sobie zasugerować - powiedziała słodko - że jeśli zmierza pan do referencji,

jakich udzieliłam Coonsowi i jego żonie, zaoszczędzilibyśmy sporo czasu, gdyby zechciał pan od razu przejść do sedna.

- Bardzo słusznie - odrzekłam. - Tak właśnie uczynimy.

Nic w jej głosie, manierach, wyrazie twarzy nie wskazywało, by mówiła o czymś choćby w połowie tak poważnym i istotnym, jak możliwość bycia posądzoną o dokonanie morderstwa. Równie dobrze mogłaby mówić o pogodzie lub o księżce, która nieszczególnie ją zainteresowała.

- Podczas mojego małżeństwa z panem Comerfordem mieszkaliśmy w Seattle, gdzie, nawiasem mówiąc, on nadal przebywa. Po rozwodzie opuściłam Seattle i powróciłam do panieńskiego nazwiska. Coonsowie rzeczywiście byli u nas zatrudnieni, jak zapewne już panu wiadomo, jeśli zadał sobie pan trud, by to sprawdzić. Mojego męża - mojego byłego męża - znajdzie pan w apartamentach „Chelsea”.

Zeszłego lata albo późną wiosną postanowiłam powrócić do Seattle. Łudziłam się, to fakt - teraz i tak wszystkie moje osobiste sprawy wyjdą na jaw - że Edward i ja możemy jakoś załagodzić nasz konflikt. Wróciłam więc i wynajęłam mieszkanie przy Woodmansee Terrace. Ponieważ w Seattle byłam znana jako pani Edwardowa Comerford i ponieważ wydawało mi się, że w ten sposób mogę wpłynąć na postępowanie męża, używałam jego nazwiska przez cały czas pobytu w mieście.

Zatelefonowałam też do Coonsów, by poczynić niezobowiązujące ustalenia, na wypadek gdybyśmy wraz z Edwardem ponownie otworzyli wspólny dom; Coonsowie powiedzieli mi jednak, że jadą do Kalifornii, a zatem, gdy kilka dni później z biura pośrednictwa pracy w Sacramento otrzymałam list z zapytaniem w ich sprawie, miałam przyjemność wystawić im znakomite referencje. Po niespełna dwóch tygodniach pobytu w Seattle zmieniłam zdanie na temat ewentualnego pogodzenia się z mężem - zainteresowania Edwarda zogniskowane już były, jak się dowiedziałam, całkiem gdzie indziej; wróciłam przeto do San Francisco...

- Bardzo ładnie, ale...

- Jeśli pozwoli mi pan skończyć... - weszła mi w słowo. - Kiedy w odpowiedzi na telegram wuja pojechałam go odwiedzić, wielce zaskoczyła mnie obecność Coonsów w tamtym domu. Widząc, że znane mi już wcześniej dziwactwa w ostatnim czasie znacznie się u wuja nasiliły, i pamiętając, z jaką pieczołowitością ukrywał wszystko, co związane było z jego tajemniczym wynalazkiem, ostrzegłam Coonsów, by nie wspominali o wcześniejszym zatrudnieniu w moim domu.

Z pewnością by ich zwolnił, a ze mną poróżniłby się, podejrzewając, że go śledzę.

Gdy zaś Coonsowie zatelefonowali do mnie po pożarze, zrozumiałam, że w zaistniałej sytuacji ich ewentualne przyznanie się do tego, iż wcześniej pracowali dla mnie - jedynej spadkobierczyni wuja - rzuciłoby podejrzenie na całą naszą trójkę. Postanowiliśmy więc - bardzo nierozsądnie - nic o tym nie mówić i kontynuować mistyfikację.

Nie brzmiało to całkiem źle - ale i nie brzmiało całkiem dobrze. Wolałbym, żeby Tarr nie śpieszył się tak bardzo i pozwolił nam zdobyć więcej informacji na temat tych ludzi, zanim ich zapuszkuje.

- Fakt, że Coonsowie całkiem przypadkowo trafili do domu mojego wuja, to już, wyobrażam sobie, zbyt wiele dla pańskiego instynktu detektywa - kontynuowała, gdyż ja nie odezwałem się ani słowem. - Czy mam się uważać za aresztowaną?

Oj, ta dziewczyna zaczyna mi się podobać; miła i opanowana - naprawdę niezła.

- Jeszcze nie - odpowiedziałem. - Ale obawiam się, że to niebawem nastąpi.

Na jej twarzy pojawił się lekki, ironiczny uśmiech, a za chwilę następny, gdy odezwał się dzwonek u drzwi.

Był to O'Hara z komendy głównej policji. Przewróciliśmy mieszkanie do góry nogami, lecz nie znaleźliśmy nic interesującego, z wyjątkiem testamentu, o którym mówiła Evelyn Trowbridge, datowanym na ósmego lipca, oraz polis ubezpieczeniowych jej wuja. Wszystkie zostały wystawione pomiędzy piętnastym maja a dziesiątym czerwca i opiewały na łączną sumę ponad 200 000 dolarów.

Gdy O'Hara zabrał panią domu, przez dobrą godzinę maglowałem służącą, ale ta nie wiedziała więcej niż ja sam. Potwierdziła jednak, podobnie jak dozorca, administrator budynku i osoby, których nazwiska pani Trowbridge sama mi podała, że ta ostatnia istotnie podejmowała przyjaciół w noc pożaru - byli u niej przynajmniej do godziny jedenastej z minutami - a to już wystarczająco późna pora, by zapewnić jej alibi.

Pół godziny później wracałem autobusem Short Line do Sacramento. Stawałem się jednym z najwierniejszych klientów tej linii, a moja anatomia była w coraz bliższych stosunkach z każdym wybojem na drodze!

Pomiędzy wstrząsami próbowałem dopasować do siebie poszczególne elementy układanki Thornburgha. Siostrzenica i Coonsowie jakoś do niej pasowali, ale nie do miejsca, które im przypisaliliśmy. Praca nad tą sprawą przebiegała w trochę pokręcony sposób, nic lepszego jednak nie dało się zrobić. Na początku zwróciliśmy uwagę na Coonsów i Evelyn Trowbridge, ponieważ był to jedyny słuszny kierunek; teraz mieliśmy na nich co nieco - ale dobry prawnik mógłby to wszystko rozbić w pył. Coonsowie byli już w więzieniu okręgowym, gdy dotarłem do Sacramento. Po krótkim przesłuchaniu przyznali się do

powiązań z siostrzenicą zmarłego i opowiedzieli historię, która zgadzała się w każdym szczególe z jej wersją wydarzeń.

Tarr, McClump i ja siedzieliśmy wokół biurka szeryfa i spieraliśmy się.

- Te wasze rewelacje to mrzonki - powiedział szeryf. - Dorwaliśmy całą trójkę bez zbędnych ceregieli, i to wszystko. Można ich uważać za skazanych.

McClump uśmiechnął się kpiąco i popatrzył na mnie.

- Dalej, ty mu powiedz o lukach w tej sprawie. Nie jest twoim szefem, więc nie odegra się później na tobie za to, że byłeś bystrzejszy od niego!

Tarr patrzył raz na mnie, raz na McClumpa.

- Wyrzucicie to z siebie, mądrale! - rozkazał.

- Nasze informacje - powiedziałem, zakładając, że pogląd McClumpa na sprawę jest taki sam jak mój - są następujące: po pierwsze, nic nie wskazuje na to, by przed dziesiątym czerwca Thornburgh wiedział, gdzie i jaki dom kupi, Coonsowie zaś byli w mieście w poszukiwaniu pracy już drugiego czerwca. Po drugie, tylko szczęśliwym trafem dostali tę posesję. Biuro zatrudnienia wysłało tam przed nimi dwie inne pary.

- Damy więc szansę sędziom przysięgłym, by na to wpadli.

- Tak? Czy dasz im szansę, by wpadli i na to, że Thornburgh, który, jak się zdaje, był świrem, być może sam podpalił swój dom? Mamy co nieco na tych ludzi, Jim, ale nie dość, by iść z tym do sądu. Jak zamierzasz udowodnić, że już w chwili, gdy Coonsowie instalowali się w domu Thornburgha, zarówno oni, jak i ta Trowbridge wiedzieli o jego zamiarze wykupienia polisy na życie, nawet jeśli uda ci się udowodnić, że w ogóle o tym wiedzieli?

Szeryf splunął z odrazą.

- Dostyc tego, panowie! Gonicie w piętękę; potraficie spod ziemi wydobyć informacje obciążające tych ludzi, a kiedy już zbierzecie ich wystarczająco dużo, by wszystkich powiesić, szukacie dziury w całym! Co się z wami dzieje?

Pod moją czaszką kawałki układanki zaczęły się nagle łączyć w piękną całość.

- Idziemy jeszcze trochę pogonić w piętękę - rzuciłem w odpowiedzi na jego pytanie, będąc już w połowie drogi ku drzwiom. - Ruszaj się, Mac!

Po drodze odbyliśmy z McClumpem szybką naradę, następnie wynająłem samochód w najbliższym warsztacie i skierowałem się do Tavender. Dobrze, że nie ociążaliśmy się z wyjściem od szeryfa, bo zdołałem dotrzeć na miejsce na moment przed zamknięciem na noc sklepu wielobranżowego. Jąkała Philo oddalił się od dwóch mężczyzn, z którymi rozmawiał, i poszedł ze mną na zaplecze.

- Czy prowadzi pan listę rzeczy przyjętych do pralni?

- T-t-tylko ilość, na sztuki.

- Spójrzmy na listę Thornburgha.

Wyciągnął mocno poplamioną i wymiętą książkę rachunkową, z której wydobyliśmy to, czego chciałem - tygodniowe zestawienia: 2 dolary 50 centów; 3,10; 2,25 i tak dalej.

- Czy ma pan gdzieś tutaj ostatnią partię rzeczy oddanych do prania?

- T-tak - powiedział. - D-d-dopiero co w-wróciły dzisiaj z m-m-miasta.

Rozerwałem paczkę - jakieś prześcieradła, poszewki, obrusy, ręczniki, serwetki; kilka sztuk damskiej odzieży; kilka koszul, kołnierzyków, jakaś bielizna i skarpetki, niewątpliwie należące do Coonsa. Podziękowałem panu Philo, biegnąc z powrotem do auta.

W Sacramento McClump czekał na mnie przy tym samym warsztacie, w którym wynająłem samochód.

- W hotelu zameldował się piętnastego czerwca, biuro wynajął szesnastego. Sądzę, że jest teraz w hotelu - powitał mnie McClump.

Pognaliśmy do hotelu „Garden”, który mieścił się przy następnej przecznicy.

- Pan Henderson wyszedł przed minutą lub dwiema - poinformował nas nocny portier.

- Wyglądało, jakby bardzo się śpieszył.

- Gdzie trzyma samochód?

- W hotelowym garażu za rogiem.

Byliśmy kilka metrów od garażu, gdy samochód Hendersona wystrzelił na ulicę.

- Panie Henderson! - zawołałem, starając się zachować normalny ton głosu.

W odpowiedzi wcisnął pedał gazu i pomknął w dal.

- Chcesz go dorwać? - spytał McClump; skinąłem głową, a on zatrzymał przejeżdżającego roadstera, ot, tak po prostu wkraczając przed nim na jezdnię.

Wskoczyliśmy do auta, McClump błysnął przerażonemu kierowcy gwiazdą szeryfa i wskazał na niknące tylne światła wozu Hendersona. Gdy zarekwirowany przez nas wraz z autem kierowca już się upewnił, że nie został napadnięty przez dwóch bandytów, dał z siebie wszystko; dwie lub trzy przecznice dalej widzieliśmy tylne światła Hendersona, a wnet byliśmy całkiem blisko jego auta, mimo że umykał z niemałą prędkością.

Zanim minęliśmy roгатki miasta, zbliżyliśmy się na odległość strzału, posłałem więc kulę w stronę głowy uciekającego mężczyzny. Zachęcony tym do działania, zdołał wydusić jeszcze trochę prędkości ze swej maszyny, ale my zdecydowanie go doganialiśmy.

W niewłaściwym momencie Henderson odwrócił się, by spojrzeć na nas przez ramię; nierówność w nawierzchni drogi spowodowała niekontrolowany skręt kół, jego samochód zakołysał się, wpadł w poślizg i przewrócił się na bok. Niemal natychmiast w środku tej

gmatwaniny błysnął niewielki płomień i pocisk jęknął koło mojego ucha. I jeszcze jeden. W czasie gdy ja wciąż próbowałem namierzyć jakiś konkretny cel pośród kupy złomu, do której się zbliżaliśmy, koło mojego ucha ryknął wysłużony, staroświecki rewolwer McClumpa.

Henderson był martwy, gdy do niego podeszliśmy - kula przeszła mu oko.

McClump, stojąc nad ciałem, powiedział:

- Nie jestem ciekawski, ale mam nadzieję, że mi wyjaśnisz, dlaczego zastrzeliłem tego gościa.

- Ponieważ to był... Thornburgh.

Przez pięć minut nie odezwał się ani słowem. Wreszcie przemówił:

- Myślę, że to prawda. Jak na to wpadłeś?

Siedzieliśmy teraz z tyłu za wrakiem, czekając na przybycie policji - posłaliśmy uprowadzonego przez nas szofera, by z najbliższego telefonu zadzwonił do biura szeryfa.

- Musiał nim być - powiedziałem - jeśli dobrze się nad tym wszystkim zastanowić. Zabawne, że nie wpadliśmy na to wcześniej! Wszystko, co nam powiedziano o Thornburghu, brzmiało podejrzenie. Bokobrody i nieznana nikomu profesja, nienaganne maniery i praca nad zagadkowym wynalazkiem, on sam - bardzo tajemniczy, w dodatku urodzony w San Francisco, gdzie pożar strawił niegdyś wszystkie stare rejestry i dokumenty. Taki życiorys nietrudno sfabrykować.

Weźmy teraz Hendersona. Mówiłeś, że przybył do Sacramento na początku lata - a uzyskane dzisiaj daty potwierdzają, że nastąpiło to dopiero po kupnie domu przez Thornburgha. No i dobrze! Porównajmy teraz Hendersona z opisem Thornburgha, jaki nam przedstawiono.

Obaj byli mniej więcej w tym samym wieku i tego samego wzrostu, o takim samym kolorze włosów. Wszelkie różnice sprowadzały się do rzeczy, które można z łatwością sfingować - ubrania, lekka opalenizna, miesięczny zarost w połączeniu z niewielką dozą aktorstwa załatwią sprawę. Dziś wieczorem udałem się do Tavender i rzuciłem okiem na ostatnią partię prania - nie było tam nic, co nie należałoby do Coonsów! I żaden z rachunków wstecz nie był dość wysoki jak na Thornburgha rzekomo tak dbałego o strój.

- To wspaniała rzecz być detektywem! - McClump uśmiechnął się, kiedy policyjna furgonetka podjechała i zaczęli z niej wysiadać mundurowi. - Ktoś musiał dać cynk Hendersonowi, że pytałem o niego dziś wieczór. A więc nie będziemy wieszać towarzystwa za morderstwo - dodał z żalem.

- Nie, ale ze skazaniem nie powinno być trudności, bo udowodnimy im nie tylko podpalenie, ale i współudział w oszustwie, a jeśli prokurator dobrze się zastanowi, to może

jeszcze coś się znajdzie.

Raymond Chandler

Człowiek, który lubił psy

Wśród wielu autorów, którzy zachęceni przykładem Dashiella Hammetta, zaczęli pisać do czasopism w kolorowych okładkach, znalazł się Raymond Chandler, twórca następnego w szeregu najświetniejszych detektywów-twardzieli, Philipa Marlowe'a. Marlowe, mężczyzna po czterdziestce, wysoki, o szarych oczach i „kamiennej szczęce”, był, podobnie jak jego poprzednicy, nieugięty, lakoniczny i obdarzony celnym dowcipem - ale był też szalenie inteligentnym (miał wyższe wykształcenie), refleksyjnym człowiekiem i nieustraszonym sędzią ludzkich charakterów. Chociaż sprawy, którymi się zajmował, zlecali mu zamożni (na ogół) i skorumpowani (czasem) klienci, niezmiennie brakowało mu gotówki. Marlowe prowadził swoją jednoosobową firmę w Los Angeles, mieście sławnym ze swej urody - i ze swych plugastw; tu mieszkał w zaniedbanym mieszkaniu i tu pracował w równie obskurnym biurze. Powodowało nim poczucie sprawiedliwości; współpracował z policją, o ile jej funkcjonariusze nie byli skorumpowani. Dla takich bowiem żywił jedynie pogardę. O swoim prywatnym detektywie Chandler pisał: „Dla mnie jest on uosobieniem amerykańskiego ducha: duży ładunek surowego realizmu, kropla solidnego, twardego grubiaństwa, silna nuta przenikliwego poczucia humoru, i równie silna - czystego sentymentalizmu; do tego ocean przekleństw i całkiem nieoczekiwane - bezmiar wrażliwości”.

Philip Marlowe jednak nie od razu był tworem w pełni ukształtowanym. Gdy Chandler zaczynał pisać swe pierwsze mroczne historie w 1933 roku, detektywi w jego opowiadaniach nosili różne nazwiska, jak John Dalmas (który pojawia się w „Nefrycie Mandaryna” („Mandarin's Jade”) i w „Czystej robocie” („Smart-Aleck Kill”), albo byli zwięźle przedstawiani jako Carmody, Malvern i Mallory. Niektórych, podobnie jak jego mentor uczynił to ze swym Continental Op, Chandler pozostawiał bez nazwisk - podsuwali przed oczy lub wręczali potencjalnemu klientowi swoje wizytówki bez jednego słowa. Jednakże, po dobrze przyjętej debiutanckiej powieści z Philipem Marlowe'em „Wielki sen” („The Big Sleep”, 1939), Chandler zużył kilka własnych wcześniejszych opowiadań na potrzeby następnych książek albo wydał je ponownie, zmieniając nazwisko detektywa na Marlowe. Dzięki olbrzymiemu sukcesowi kolejnych powieści, między innymi „Żegnaj, laleczko” („Farewell, My Lovely”, 1940), „Tajemnica jeziora” („The Lady in the Lake”, 1943) oraz „Długie pożegnanie” („The Long Goodbye”, 1953), a także wielu filmów z Dickiem Powellem, Humphreym Bogartem, Robertem Mitchumem i innymi gwiazdami w rolach głównych, twór Chandlera zasłużył zaczął być postrzegany jako najlepszy wzorzec prywatnego detektywa w prozie kryminalnej.

Raymond Chandler (1888-1959) urodził się w Chicago, ale wykształcenie zdobył w Anglii, gdzie pracował też jako dziennikarz dla kilku angielskich czasopism, zanim powrócił do Ameryki. Przez pewien czas zatrudniony był jako korespondent „Daily Express” w Los Angeles, a następnie

jako menedżer w branży naftowej, aż trudna sytuacja w czasie wielkiego kryzysu spowodowała, iż zaczął pisać do popularnych czasopism. Sława przyszła jednak dopiero po opublikowaniu „Wielkiego snu”, wtedy to skusiło go pisanie scenariuszy dla Hollywood, gdzie pracował nad kilkoma bardzo dobrze przyjętymi filmami; w tej liczbie było „Podwójne ubezpieczenie” („Double Indemnity”, 1944), za które otrzymał nominację do Oscara. Choroba żony sprawiła, że opiekując się nią, zaniedbał pracę, a gdy zmarła, zaczął dużo pić i zrujnował własne zdrowie. Sława Chandlera znacznie urosła po jego śmierci i wielu krytyków uważa jego książki bardziej za dzieła literackie niż za kryminalne czytadła. „Człowiek, który lubił psy” jest jednym z wczesnych opowiadań, napisanym dla „Black Mask” w 1936 roku, i występuje w nim bezimienny detektyw, który jest niewątpliwie prototypem Marlowe’a. Historia ta zasługuje na szczególną uwagę także dlatego, że została później przerobiona przez autora, poszerzona i przemieszana z innymi wątkami, tworząc jądro bodaj najświetniejszej z wszystkich powieści o kalifornijskim detektywie - „Żegnaj, laleczko”.

*

Przed domem stała nowiutka, metalicznie szara limuzyna DeSoto. Obszedłem ją, wspiąłem się po trzech schodkach, minąłem oszklone drzwi i pokonałem jeszcze trzy pokryte dywanem stopnie. Nacisnąłem przycisk dzwonka.

W jednej chwili dachem budynku wstrząsnął jazgot tuzina psich głosów. Szczekały, wyły, ujadaly, a ja tymczasem przyglądałem się niewielkiej wnęce, mieszczącej gabinet z sekretarzykiem, oraz poczekalni ze skórzanymi fotelami i trzema dyplomami na ścianie; w końcu wzrok mój spoczął na stole zasłanym egzemplarzami „Gazety Hodowcy Psów”.

Ktoś na tyłach domu uciszył niespokojne psy, po czym wewnętrzne drzwi otwarły się, ukazując drobnego mężczyznę o ładnej twarzy, w jasnobrązowym kitlu i butach na gumowych podeszwach, i z troskliwym uśmiechem pod dwiema kreszczkami cienkiego wąsika. Rozejrzał się wokół mnie, wokół moich stóp - nigdzie nie zobaczył psa. Jego uśmiech był już zaledwie zdawkowy.

- Chciałbym ich tego oduczyć, ale nie potrafię - rzekł. - Ilekroć usłyszą dzwonek, zaczynają harce. Są znudzone, a wiedzą, że dzwonek oznacza przybycie gości.

- Aha - skwitowałem tę informację i wręczyłem mu wizytówkę. Przeczytał ją, odwrócił i popatrzył na drugą stronę, odwrócił z powrotem i jeszcze raz przeczytał.

- Prywatny detektyw - powiedział cicho, oblizując wilgotne wargi. - A zatem... Nazywam się Sharp. Czym mogę służyć?

- Szukam skradzionego psa.

Posłał mi piorunujące spojrzenie. Jego miękkie, drobne usta zacisnęły się. Bardzo wolno rumieniec zalał całą twarz. Pośpieszyłem z wyjaśnieniami:

- Nie sugeruję, że pan ukradł psa. Niemal każdy mógłby umieścić psa w takim miejscu

jak to, a pan nawet nie pomyślałby, że ta osoba może nie być prawowitym właścicielem czworonoga, czyż nie mam racji?

- Już sama myśl o tym może budzić wstręt - odparł chłodno. - Jaki to pies?

- Policyjny.

Przez chwilę grzebał czubkiem buta w grubym dywanie i patrzył w kąt sufitu. Rumieniec odpłynął z jego twarzy, pozostawiając lśniąca bladość. Po długiej chwili powiedział:

- Mam tu tylko jednego policyjnego psa, ale znam jego właścicieli. A zatem obawiam się, że...

- Nie będzie miał pan więc nic przeciwko temu, bym mu się przyjrzał? - Wpadłem mu w słowo i ruszyłem w stronę wewnętrznych drzwi. Sharp nie poruszył się. Pogrzebał jeszcze trochę butem w dywanie.

- Nie jestem pewien, czy pora jest stosowna - powiedział cicho. - Może przełożmy to na późniejszą godzinę.

- Wolałbym teraz - odparłem i chwyciłem za gałkę przy drzwiach.

Potruchtał przez poczekalnię do swego sekretarzyka. Jego mała dłoń opadła na stojący tam telefon.

- Ja... ja zaraz zadzwonię na policję, jeśli zamierza pan obstawać przy swoim żądaniu - powiedział pośpiesznie.

- Niech pan prosi z komisarzem Fulwiderem. Właśnie od niego wracam.

Sharp oderwał dłoń od telefonu. Uśmiechnąłem się do niego szeroko, obracając w palcach papierosa.

- Chodźmy - zachęciłem. - Głowa do góry. Niech pan będzie miły, to może opowiem całą historię.

Przygryzł kolejno obie wargi, pogapił się na leżący na sekretarzyku brązowy terminarz, pobawił się jego narożnikiem, wstał, przeszedł przez pokój i otworzył przede mną drzwi. Szliśmy wąskim szarym korytarzem, aż dotarliśmy do nieumeblowanego pomieszczenia z betonową podłogą, gazowym piecykiem w kącie i miską wody zaraz obok niego. Wzdłuż jednej ze ścian stały w dwóch rzędach klatki o drzwiczkach zabezpieczonych grubą drucianą siatką.

Za siatki psy i koty patrzyły na nas w milczeniu, wyczekująco. Malutki chihuahua węszył pod wielkim rudym persem w szerokim futrzanym kołnierzu wokół szyi. Był tam owczarek szkocki z kwaśną miną, kundel z całkowicie zdartą skórą z jednej łapy, kot angorski o szarym, jedwabistym futerku i ostry jak brzytwa foksterier o beczułkowatym pysku,

prawidłowo obwisłym w dwóch ostatnich calach.

Miały wilgotne nosy i błyszczące oczy; chciały wiedzieć, do którego z nich przyszedłem.

Przyjrzałem im się pobieżnie.

- To są psy do zabawy - mruknąłem. - Chodziło mi o psa policyjnego. Szaroczarny, nie brązowy. Samiec. Dziewięcioletni. Doskonały pod każdym względem, z wyjątkiem trochę zbyt krótkiego ogona. Czy ja pana zanudzam?

Spojrzał na mnie i wykonał taki gest, jakby chciał pokazać, jak bardzo jest nieszczęśliwy.

- Tak, ale... - wymamrotał. - No dobrze, proszę tędy. Opuściliśmy pomieszczenie z klatkami. Zwierzęta wyglądały na rozczarowane, zwłaszcza chihuahua - próbował przecisnąć się przez oczko siatki i prawie mu się to udało. Tylne drzwi prowadziły na betonowe podwórko, zamknięte na przeciwległym boku przez dwa garaże. Jeden z nich był pusty. Drzwi drugiego były uchylone na szerokość stopy, a w głębi mrocznego wnętrza duży pies podzwaniał łańcuchem, złożonywsky pysk na starej kołdrze, służącej mu za legowisko.

- Ostrożnie - powiedział Sharp. - Potrafi być agresywny. Trzymałem go w domu, ale inne zwierzęta się go bały.

Wszedłem do garażu. Pies warknął. Zbliżyłem się, a on napiął łańcuch, mocno, aż szczęknęły ogniwa.

- Cześć, Voss - odezwałem się. - Podaj łapę.

Położył z powrotem pysk na kołdrze. Uszy przesunęły mu się lekko do przodu. Znieruchomiał. Oczy miał jak wilk, w czarnych obwódkach. Po chwili jego zgięty, zbyt krótki ogon zaczął wolno uderzać o podłogę.

- No, podaj łapę, mały - powiedziałem, wyciągając ku niemu dłoń. Stojąc przy wejściu do garażu, za moimi plecami, filigranowy weterynarz nie przestawał nalegać, bym zachował ostrożność. Pies podszedł do mnie pomału na swych wielkich, mocnych nogach, położył uszy po sobie i uniósł lewą łapę. Uścisnąłem ją.

Mały weterynarz był zawiedziony.

- To dla mnie wielkie zaskoczenie...

- Bez wątpienia.

Pogłaskałem psa po głowie i wyszedłem z garażu.

Wróciliśmy do domu, do poczekalni. Odsunąłem czasopisma i przysiadłem na rogu stołu, przypatrując się uważnie przystojniaczce.

- No dobrze - powiedziałem. - Niech mi pan zdradzi, kim są właściciele tego psa i

gdzie mieszkają.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę z ponurą miną.

- Nazywają się Voss. Właśnie przeprowadzili się na wschód i mają przysłać po psa, kiedy się tam zadomowią.

- O, jak ślicznie - zachwyciłem się. - Pies otrzymał imię po niemieckim asie lotnictwa, a później jego właściciele nazwali się tak jak pies.

- Pan myśli, że ja kłamię - odparł z pasją człowieczek.

- Skądże znowu. Jak na oszusta zbyt szybko wpada pan w panikę. Sądzę, że ktoś chciał pozbyć się tego psa. Oto obiecana historyjka. Pewna dziewczyna, Isobel Snare, zniknęła przed dwoma tygodniami ze swego domu w San Angelo. Mieszkała tam z ciotecznią babką, miłą starszą panią w szarych jedwabkach, do tego wcale niegłupią. Dziewczyna wypuszczała się na eskapady do nocnych klubów i salonów hazardu w raczej podejrzanym towarzystwie. Kiedy zniknęła na dobre, starsza pani zwiertżyła skandal i nie poszła z tym na policję. Nigdzie nie poszła aż do chwili, gdy koleżanka panny Snare przypadkiem zauważyła psa w pańskim zakładzie. Powiedziała o tym starszej pani. A starsza pani wynajęła mnie - bo tak się złożyło, że jej podopieczna, odjeżdżając swym roadsterem w siną dal, miała psa ze sobą.

Zgasilem papierosa na obcasie buta i zapaliłem następnego. Twarzyczka Sharpa była biała jak mąka. Kropelki potu zamigotały na jego ślicznych wąsikach.

Dodałem więc łagodniej:

- To wciąż jeszcze nie jest robota dla policji. Nabrałem pana z tym komisarzem Fulwiderem.

- Czego pan... czego pan ode mnie oczekuje? - wydukał człowieczek.

- Myśli pan, że ktoś się jeszcze zainteresuje losem tego psa?

- Tak - odrzekł pośpiesznie. - Ten człowiek zdawał się bardzo go lubić. Prawdziwy miłośnik psów. Pies był przy nim wyjątkowo łagodny.

- Wobec tego skontaktuje się z panem - zauważyłem. - Kiedy to uczyni, proszę mi dać znać. Jak wygląda ten człowiek?

- Wysoki i szczupły, o bardzo przenikliwych czarnych oczach. Także jego żona jest wysoka i szczupła. Dobrze ubrani, spokojni państwo.

- Panna Snare jest malutka - oznajmiłem. - Proszę mi wyjawić, z czego wynika pańska dyskrecja w sprawie tego psa?

Gapił się tylko na swą stopę i nic nie odpowiedział.

- Niech panu będzie - rzekłem. - Biznes to biznes. Niech pan gra ze mną uczciwie, a

nie będzie się pan musiał obawiać fatalnego w skutkach rozgłosu. Umowa stoi? - Wyciągnąłem ku niemu dłoń.

- Będę grał uczciwie - odparł cicho i podał mi swoją wilgotną jak ryba łapę.

Uścisnąłem ją delikatnie, żeby jej nie złamać.

Podyktowałem mu adres, pod którym się zatrzymałem, i wyszedłem na skąpaną w słońcu ulicę, by po chwili zniknąć za rogiem, tam gdzie zostawiłem swojego chryslera. Wsiadłem i podjechałem nieco do przodu, wysuwając się na tyle zza zakrętu, by mieć na oku fronton domu Sharpa i jego samochód.

Czekałem tak przez pół godziny, aż w końcu Sharp wyszedł z budynku i wsiadł do swego deSoto. Ruszył, by zaraz skręcić w boczną uliczkę, przylegającą do jego ogrodu.

Po niedługim czasie wóz wycofał się z uliczki; w samochodzie siedział teraz duży policyjny pies w kagańcu, przypięty łańcuchem do tylnego siedzenia. Widać było tylko jego głowę, napinającą krępujący ją łańcuch.

Ruszyłem w ślad za autem.

*

Carolina Street znajdowała się daleko od centrum miasta, na skraju osiedla przy samej plaży. Przy końcu ulicy stały tylko dwa domy. Ukryłem się za pierwszym z nich, położonym na narożnej parceli, porośniętej zachwaszczoną trawą; na frontowej ścianie budynku pnąca się wysoko lantana o czerwono-żółtych kwiatach i pokrytych meszkiem liśćmi toczyła bój z pędami wiciokrzewu.

Dalej stał ruderowaty bungalow w kolorze wyschniętego błota, ogrodzony drucianą siatką. To przed nim zatrzymał się deSoto.

Drzwiczki otworzyły się z trzaskiem i Sharp z tylnego siedzenia wyciągnął psa w kagańcu. Zmagał się z nim przez chwilę, by ten zechciał przejść przez furtkę i dał się poprowadzić chodnikiem w stronę domu.

Położyłem się na brzuchu pośród wysokich chwastów i czekałem, obserwując bungalow. W popołudniowe powietrze wdarło się coraz donośniejsze, głęboko brzmiące ujadanie policyjnego psa.

Przez piętnaście minut nic się nie działo, tylko pies nadal czekał. Nagle jego głos stał się donośniejszy i bardziej chrapliwy. Ktoś krzyknął. Jakiś mężczyzna zaczął wyć.

Poderwałem się i pognałem w stronę bungalowu. Gdy byłem blisko, usłyszałem gniewne, basowe warczenie zaniepokojonego czymś psa, a w tle - urywane trajkotanie kobiecego głosu, bardziej gniewnego niż wystraszonego.

Minąłem furtkę; moje kroki zadudniły na drewnianych schodkach, gdy wbiegałem na

zapadający się ganek. Załomotałem pięścią w drzwi.

Po drugiej stronie pies nadal warczał, ale ucichło zrzęczenie kobiety. Nikt nie podchodził, by mnie wpuścić. Spróbowałem nacisnąć klamkę, drzwi ustąpiły, wszedłem więc do środka. We wnętrzu unosił się ciężki zapach chloroformu.

Na środku podłogi, na pozwijanym w bezładzie dywaniku, leżał Sharp, na wznak, z rozrzuconymi ramionami, a z boku szyi wypływała mu krew. Zdążyła już utworzyć wokół jego głowy gęstą, lśniąca kałużę. Pies stał nad kałużą, odchylając głowę do tyłu i opierając ciało na zgiętych przednich nogach; położył uszy po sobie. Z karku zwisały mu strzępy kagańca. Sierść na szyi i grzbiecie z jeżyła się, a z głębi gardła wydobywało się niskie, pulsujące warczenie.

Z tyłu za psem zobaczyłem schowek na sprzęty domowe, którego drzwiczki otwarto z takim impetem, że teraz potrzaskane opierały się o ścianę. Na podłodze schowka leżał spory kłębek waty i napełniał powietrze mdlącą wonią chloroformu.

Przystojna, ciemnowłosa kobieta w podomce z zadrukowanego materiału trzymała w rękach wielki samopowtarzalny pistolet wycelowany w psa, ale nie strzelała.

Łypnęła na mnie przez ramię i zaczęła odwracać się w moją stronę. Pies obserwował ją zwężonymi, czarno obwiedzionymi oczyma. Wyciągnąłem lugera i trzymałem go lufą w dół, blisko ciała.

Coś skrzyknęło i wysoki, czarnooki mężczyzna w wypłowiałym błękitnym kombinezonie i błękitnej koszuli roboczej wszedł przez wahadłowe drzwi w głębi pokoju, z dwulufowym obrzynem w dłoniach. Celował we mnie.

- Hej, ty! Rzuć tę spluwę! - powiedział gniewnym głosem. Poruszyłem szczęką, zamierzając coś powiedzieć. Mężczyzna zacisnął palec na przednim spuście. Mój pistolet wystrzelił - właściwie bez mojego udziału. Kula uderzyła w kolbę strzelby i wytrąciła broń z rąk mężczyzny. Ta z hukiem uderzyła o podłogę, a pies uskoczył jakieś siedem stóp w bok i znów przykucnął.

Z wyrazem niewysłowionego zdumienia na twarzy mężczyzna podniósł ręce do góry.

Teraz już nie mogłem stracić przewagi.

- Pani też rzuci broń - poleciłem kobiecie.

Przesunęła językiem po wargach, opuściła dłoń z pistoletem i odsunęła się od leżącego na podłodze ciała. Wtedy mężczyzna odezwał się:

- Do cholery, niech pan do niego nie strzela. Potrafię się nim zająć. Zmrużyłem oczy i po chwili zrozumiałem. Obawiał się, że zamierzam zastrzelić psa. Nie dbał o siebie.

Opuściłem nieco lufę lugera.

- Co tu się stało?

- Tamten... próbował go uspić chloroformem... jego, psa obronnego!

- Aha - odparłem. - Jeśli macie tu telefon, lepiej wezwij karetkę. Sharp nie wytrzyma długo z rozszarpaną szyją.

Kobieta, idąc wzdłuż ściany, podeszła do umieszczonej w okiennej wnęce ławy, zasłanej pomiętymi gazetami, i sięgnęła po stojący na jednym końcu telefon. Spojrzałem na małego weterynarza. Jego twarz była najbielszym obliczem, jakie kiedykolwiek widziałem.

- Nie potrzeba karetki - zwróciłem się do kobiety. - Proszę zadzwonić na komendę policji.

Mężczyzna w kombinezonie opuścił ręce, klęknął na jedno kolano i uderzając dłonią w podłogę, jął przemawiać uspokajająco do psa.

- Spokojnie, staruszkule, spokojnie. Tu są sami przyjaciele - tylko przyjaciele. Spokojnie, Voss.

Pies warczał i poruszał nieznacznie tyłem ciała. Mężczyzna mówił cały czas. Pies przestał warczeć, a sierść stercząca na jego grzbiecie opadła. Mężczyzna w kombinezonie nadal coś mrucał do zwierzęcia.

Kobieta siedząca na ławie okiennej odłożyła słuchawkę i powiedziała:

- Już jadą. Dasz sobie radę, Jerry?

- Jasne - odparł mężczyzna, nie odrywając oczu od psa. Pies przywarł brzuchem do podłogi, otworzył pysk i wywalił jęzor. Język ociekał śliną różową od krwi. Krwią poplamiona była też sierść po jednej stronie pyska.

Mężczyzna zwany Jerryem znów przemówił do psa:

- Hej, Voss. Hej, Voss, piesku. Już dobrze, wszystko dobrze.

Pies sapał, nie poruszał się. Mężczyzna wstał i podszedł całkiem blisko do zwierzęcia, pociągnął go za ucho. Pies przechylił głowę na bok, pozwalając na tę pieszczotę. Mężczyzna pogłaskał go i odpiął pogryziony kaganiec.

Wstał, trzymając koniec urwanego łańcucha, a pies podniósł się posłusznie. Przez wahadłowe drzwi przeszli - mężczyzna z psem przy nodze - do tylnej części domu.

Przesunąłem się nieco, by nie stać na wprost tamtych drzwi. Jerry mógł mieć więcej strzelb. Coś w jego twarzy niepokoiło mnie. Jakbym widział go już kiedyś - albo dość dawno temu, albo na zdjęciu w gazecie.

Popatrzyłem na kobietę. Była przystojną brunetką po trzydziestce. Jej podomka z zadrukowanego materiału nie pasowała do pięknie zarysowanych brwi i gładkich dłoni o długich palcach.

- Jak to się stało? - spytałem obojętnym głosem, jak gdyby to nie miało większego znaczenia.

Jej głos zaatakował mnie - wyglądało to tak, jakby nie mogła doczekać się chwili, gdy go będzie mogła z siebie wyrzucić.

- Mieszkamy w tym domu od tygodnia. Wynajęliśmy umeblowany. Byłam w kuchni, Jerry na podwórzu. Jakiś samochód zatrzymał się przed domem i ten mały facecik wmaszerował do środka, jakby był u siebie. Pewnie drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz. Uchyliłam wahadłowe drzwi z sąsiedniego pokoju i przez szczelinę zobaczyłam, jak wpycha psa do schowka w ścianie. Potem poczułam zapach chloroformu. I sprawy potoczyły się bardzo szybko; poszłam po broń i zwołałam Jerry'ego.

- I było po wszystkim? - spytałem. - Sharp już leżał pogryziony na podłodze?

- Tak... jeśli on nazywa się Sharp.

- Nie znaliście go?

- Nigdy wcześniej go nie widziałam. Ani psa. Ale Jerry kocha psy.

- Niech pani lepiej trochę zmieni swoją opowieść - zasugerowałem. - Jerry znał imię psa. Voss.

Jej oczy zwęziły się, a usta przybrały zacięty wyraz.

- Sądzę, że pan się myli - powiedziała zduszonym głosem.

- Kim jest Jerry? - zapytałem. - Gdzieś go już widziałem. Skąd ma obrzyna? Chce go pani pokazać glinom?

Przygryzła wargę, po chwili podniosła się nagle i podeszła do upuszczonej strzelby. Pozwoliłem jej podnieść broń z podłogi, bo widziałem, że trzyma ręce z dala od spustu. Powróciła na ławę pod oknem i wepchnęła strzelbę pod stertę gazet.

Spojrzała mi prosto w oczy.

- No dobra, ile pan chce? - spytała ponuro.

- Pies został skradziony - powiedziałem powoli. - A jego właścicielka, młoda dziewczyna, zaginęła. Wynajęto mnie, bym ją odnalazł. Sharp opisał mi ludzi, którzy zostawili psa. To mogła być pani i Jerry. Według niego, nazywali się Voss. Wyprowadzili się na wschód. Słyszała pani o Isobel Snare?

- Nie - odpowiedziała matowym głosem, patrząc na koniuszek mojego podbródka.

Mężczyzna w kombinezonie wrócił przez wahadłowe drzwi, ocierając twarz rękawem koszuli. Nie miał przy sobie żadnej broni. Popatrzył na mnie bez większego zainteresowania.

Zapisały opony samochodu biorącego gdzieś w oddali zakręt.

- Och, wyluzujcie! - rzuciłem pośpiesznie. - Sharp był przestraszony. Przyprowadził

psa tam, skąd go wziął. Myślał chyba, że dom jest pusty. Pomysł z chloroformem nie był najszcześniejszy, ale mały człowieczek był cały roztrzęsiony.

Żadne z nich się nie odezwało. Gapili się tylko na mnie.

- Dobrze - powiedziałem i przeszedłem w kąt pokoju. - Myślę, że oboje jesteście zbiegami. Jeśli to nie policja się zjawi, zacznę strzelać. Nawet nie myślcie, że tego nie zrobię.

- Jak panu pasuje - odrzekła kobieta bardzo spokojnie. Samochód przemknął przez dzielnicę i ostro zahamował przed domem. Dwóch osiłków w cywilnych ubraniach wyskoczyło z auta. Trzasnęła furтка i za chwilę mężczyźni wbiegli po schodkach na ganek.

Drzwi otworzyły się szeroko i dwóch policyjnych detektywów wpadło do środka z bronią w ręku.

Na widok ciała na podłodze stanęli jak wryci. Wycelowali rewolwery w Jerry'ego i we mnie. Ten, który mierzył do mnie, miał czerwoną twarz i ubrany był w workowaty szary garnitur.

- Rzuć broń i ręce do góry! - zawołał mocnym, nieprzyjemnym głosem.

Podniosłem ręce, ale nie wypuściłem lugera z dłoni.

- Spokojnie - powiedziałem - to pies go zabił, nie pistolet. Jestem prywatnym detektywem. Zlecono mi tu pewną sprawę.

- Ta-ak? - Podszedł bardzo blisko i przytknął rewolwer do mojego brzucha. - Może i tak, kolego. Dowiemy się wszystkiego w swoim czasie.

Sięgnął po mój pistolet, wyszarpnął mi go z dłoni i powąchał, wciąż przyciskając lufę swojej broni do mego brzucha.

- Strzelałeś z niego, ha? Cudownie! Odwróć się.

- Posłuchaj...

- Odwracaj się, koleś.

Odwróciłem się powoli. Gdy to robiłem, wsunął swój rewolwer do bocznej kieszeni i sięgnął do pasa.

Powinienem być się domyślić. Ale się nie domyśliłem. Chyba nawet usłyszałem świst pałki. A już na pewno poczułem jej cios. U moich stóp otwarła się nagle ciemna otchłań; dałem w nią nura.

*

Pokój, w którym odzyskałem przytomność, wypełniony był dymem. Cienkie pionowe smugi wisiały w powietrzu jak zasłonka z koralików nanizanych na sznurki. Nigdy wcześniej nie byłem w tym pomieszczeniu.

Leżałem chwilę, rozmyślając, po czym otwarłem usta i wrzasnąłem z całych sił:

- Pożar!

Opadłem na łóżko i zacząłem się śmiać. Nie podobało mi się brzmienie mojego śmiechu. Było w nim coś kretyńskiego, nawet dla mnie.

Usłyszałem odgłos kroków - ktoś biegł - po chwili przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. Zajrzał przez nie mężczyzna w białej bluzie i popatrzył na mnie srogim wzrokiem. Odwróciłem nieco głowę i powiedziałem:

- Nie bierz tego na serio, chłopcze. Wyrwało mi się. Zmarszczył gniewnie brwi. Miał małą, surową twarz i oczy jak koraliki. Nie znałem go.

- Może chcesz jeszcze trochę ponosić kaftan bezpieczeństwa? - zadrwił.

- Nic mi nie jest, chłopcze - zapewniłem. - Wszystko gra. Utnę sobie teraz krótką drzemkę.

- Więc lepiej tak zrób - warknął.

Drzwi się zamknęły, klucz się przekręcił, kroki się oddaliły.

Leżałem nieruchomo i patrzyłem na dym. Już wiedziałem, że nie ma tam w rzeczywistości żadnego dymu. I że pewnie jest noc, bo z porcelanowej miski zawieszanej u sufitu na trzech łańcuchach wylewało się światło.

Chwyciłem róg szorstkiego prześcieradła i otarłem nim pot z czoła. Usiadłem i opuściłem stopy na podłogę. Były bose. Na sobie miałem jedynie flanelową piżamę. Kiedy postawiłem stopy na podłodze, nie było w nich czucia. Po chwili zaczęło się delikatne mrowienie, a w końcu silne ciarki i klucie.

Wtedy dopiero poczułem podłogę pod stopami. Wstałem, opierając się na krawędzi łóżka, i zrobiłem kilka kroków.

Jakiś głos - prawdopodobnie mój własny - powtarzał: - Masz delirium tremens... masz delirium tremens... masz delirium tremens...

Na małym białym stoliku pomiędzy dwoma oknami ujrzałem butelkę whisky. Ruszyłem w tę stronę. To był Johnnie Walker, do połowy pełny. Wypiłem duży łyk wprost z butelki. Odstawiłem ją na miejsce.

Whisky miała śmieszny smak. Gdy ten fakt docierał do mojej świadomości, zobaczyłem miednicę w kącie pokoju. Udało mi się do niej dotrzeć, nim zwymiotowałem.

Wróciłem do łóżka i leżałem przez chwilę. Torsje bardzo mnie osłabiły, ale pokój wydawał się teraz nieco bardziej realny, nieco mniej fantastyczny. Widziałem kraty w obu oknach, ciężkie drewniane krzesło i żadnych innych mebli poza białym stolikiem ze stojącą na nim, nafaszerowaną narkotykami whisky. Były jeszcze drzwi schowka w ścianie - zamknięte, prawdopodobnie na klucz.

Łóżko, na którym leżałem, było łóżkiem szpitalnym, po bokach miało przypięte dwa skórzane pasy, mniej więcej tam, gdzie powinny się znaleźć przeguby dorosłego mężczyzny. A zatem to jakiś więzienny oddział szpitalny.

Nagle zaczęło mnie boleć lewe ramię. Podwinąłem luźny rękaw i powyżej łokcia zobaczyłem pół tuzina śladów po nakłuciach, każdy obwiedziony niebieskoczarnym sińcem.

Nafaszerowano mnie sporą ilością narkotyków, żeby mnie uspokoić, i dlatego teraz miałem omamy. To by tłumaczyło obecność dymu w pokoju. A ta zaprawiona whisky była raczej częścią kuracji innego pacjenta.

Wstałem ponownie i zrobiłem kilka kroków, i jeszcze kilka, i już nie przestawałem chodzić. Po jakimś czasie wypilem trochę wody z kranu, a gdy udało mi się jej nie wymiotować, wypilem jeszcze trochę. Pół godziny takich zabiegów i czułem, że jestem w stanie rozmawiać.

Drzwi schowka były zamknięte na klucz, a krzesło okazało się dla mnie za ciężkie. Zdjąłem z łóżka pościel i przesunąłem na bok materac. Pod materacem znajdowała się drucziana siatka, przyczepiona do krótszych końców ramy łóżka za pomocą ciężkich sprężyn, niemal ćwierćmetrowej długości. Uwolnienie jednej z nich zajęło mi pół godziny i kosztowało niemało wysiłku.

Odpocząłem nieco, znów napiłem się zimnej wody i stanąłem koło drzwi, po stronie zawiasów.

- Pożar! - zawołałem kilka razy całą mocą płuc.

Czekałem chwilę, ale niezbyt długą. Odgłos szybko zbliżających się kroków dobiegł z korytarza. Ktoś wsunął do dziurki klucz i szczerknął mechanizm zamka. Człowieczek o srogim spojrzeniu wpadł jak burza, ze wzrokiem skierowanym na łóżko.

Zaprawiłem go sprężyną w kant szczęki, a potem, gdy upadał, jeszcze raz - w tył głowy. Złapałem go za gardło. Walczył dzielnie. Użyłem kolana przeciw jego twarzy. Zaboląło mnie od siły kopnięcia.

Co poczuła jego twarz, nie powiedział. Z jego prawej kieszeni zabrałem pałkę, przełożyłem klucz w zamku do wewnątrz i przekręciłem go. Na kółku były jeszcze inne klucze. Jeden z nich pasował do zamka w szafie. Zajrzałem do środka i zobaczyłem moje własne ubranie.

Włożyłem je powoli, drżącymi rękami. Ziewałem przy tym okrutnie. Mężczyzna na podłodze ani drgnął.

Zamknąłem go od zewnątrz i poszedłem sobie.

Szeroki, wyłożony parkietem, pogrążony w ciszy korytarz, przez którego środek biegł

dywanowy chodnik, prowadził do szczytu schodów. Dalej płaskie balustrady z białego dębu opadały szerokimi łukami do holu przy wejściu do budynku. Wszystkie drzwi - wysokie, ciężkie i staroświeckie - były zamknięte. Żaden dźwięk zza nich nie dochodził. Szedłem na palcach, stąpając cały czas po dywanie.

Drzwi z holu do przedsionka ozdobione były witrażowymi szybami; za nimi jeszcze jedne drzwi prowadziły na zewnątrz budynku. Właśnie do nich dotarłem, gdy zadzwonił telefon. Odpowiedział męski głos - dochodził zza półprzymkniętych drzwi, przez które światło sączyło się do pogrążonego w półmroku holu.

Zawróciłem, zerknąłem ukradkiem do tamtego pomieszczenia i zobaczyłem mężczyznę siedzącego za biurkiem i rozmawiającego przez telefon. Poczekalem, aż odłoży słuchawkę. Wtedy wszedłem do środka.

Miał czaszkę o wydatnych kościach i wysokim bladym czole, do którego przylepiony był cienki, zakręcony kosmyk brązowych włosów. Twarz miał równie bladą jak czoło, smutną i pociągłą. Obrzucił mnie zdumionym spojrzeniem. Jego dłoń rzuciła się w stronę przycisku na biurku.

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu i warknąłem:

- Lepiej nie, szefie. Jestem zdesperowanym człowiekiem. - pokazałem mu pałkę.

Jego uśmiech był sztywny jak mrożona ryba. Długie dłonie zatrzepotały nad biurkiem jak śnięte motyle. Jedna z nich podryfowała w kierunku bocznej szuflady.

Z trudem odzyskał mowę.

- Jest pan bardzo chorym człowiekiem. Bardzo chorym. Nie radziłbym...

Machnąłem pałką w kierunku wędrującej dłoni. Skuliła się jak ślimak na nagrzanym kamieniu.

- Nie chory, panie naczelniku, tylko nafaszerowany narkotykami do granic obłądu. Wszystko, czego chcę, to wydostać się stąd... ale najpierw poproszę trochę niedoprawionej whisky. Dawaj pan!

Wykonał palcami kilka niezdecydowanych gestów.

- Jestem doktor Sundstrand - przedstawił się. - Nie jestem naczelnikiem. To prywatna klinika - nie więzienie.

- Whisky! - zaskrzeczałem. - Wszystko jasne. Prywatne wariatkowo. Niezły interes. Whisky!

Westchnął z rezygnacją i powiedział:

- W apteczce.

- Ręce za głowę.

- Obawiam się, że będzie pan tego żałował. - Założył ręce za głowę.

Podszedłem do drugiego końca biurka, otwarłem szufladę, której jego ręka próbowała dosięgnąć, i wydobyłem z niej pistolet. Schowałem pałkę, obszedłem z powrotem biurko i zbliżyłem się do wiszącej na ścianie apteczki. Znalazłem w niej półlitrową butelkę legalnego bourbona i trzy szklanki. Wziąłem dwie.

Nalałem do nich whisky.

- Najpierw pan, naczelniku.

- Ja... ja nie piję. Jestem całkowitym abstynentem - wymamrotał, wciąż trzymając ręce za głowę.

Ponownie wyjąłem pałkę. Szybko opuścił ręce i pociągnął łyk z jednej ze szklanek. Obserwowałem go. Nie wydawało się, że mu zaszkodziło. Powąchałem zawartość mojej szklanki i wlałem ją sobie do gardła. Działo, wypilem więc jeszcze jedną szklaneczkę, a następnie wsunąłem butelkę do kieszeni marynarki.

- No dobrze - powiedziałem. - Kto mnie tu wsadził? Wyrzuć pan to z siebie. Śpieszy mi się.

Skulił się w fotelu. Wyglądał, jakby zbierało mu się na wymioty.

- Człowiek nazwiskiem Galbraith, występujący w charakterze poszkodowanego i świadka. Wszystko zgodnie z prawem, zapewniam pana. To oficer policji.

- Od kiedy gliniarz może występować w roli poszkodowanego świadka w sprawie dotyczącej psychola? Nic nie odpowiedział.

- Po pierwsze, kto dał mi narkotyki?

- Tego nie wiem. Domyślałem się, że trwa to już od dłuższego czasu.

Potarłem dłonią podbródek.

- Całe dwa dni - powiedziałem. - Powinni mnie byli zastrzelić. Na dłuższą metę to się bardziej opłaca. No to na razie, naczelniku.

Gdy wychodziłem, wciąż trzymał ręce za głowę.

*

Komisarz Fulwider był zmordowanym, tłuścawym mężczyzną wagi ciężkiej, o niespokojnych oczach i rudych włosach w tym odcieniu, który jest niemal różowy. Nosił je bardzo krótko przystrzyżone, tak że między różowymi włosami prześwitywała różowa skóra. Miał na sobie płowy flanelowy garnitur z naszywanymi kieszeniami i szwami ukrytymi w zakładkach, skrojony tak, jak mało który krawiec potrafi skroić.

Uścisnął mi dłoń. Obrócił fotel bokiem do biurka i skrzyżował nogi. To pozwoliło dostrzec bawełniane skarpetki po trzy lub cztery dolary za parę i ciemnobrązowe angielskie

półbuty ręcznej roboty, które teraz, w dobie kryzysu, osiągały cenę od piętnastu do osiemnastu dolarów.

Pomyślałem sobie, że pewnie jego żona ma pieniądze.

- Ach - rzekł, przesuając po szklanym blacie biurka moją wizytówkę. - Sprowadzają tu pana sprawy zawodowe?

- Małe kłopoty - odparłem. - Może pan pomóc mi się z nimi uporać, jeśli pan zechce.

Wypiął pierś, machnął różową dłonią i obniżył głos o kilka tonów.

- Kłopoty - powiedział - to coś, czego nasze małe miasteczko nie ma w nadmiarze. Nasze miasteczko jest małe, ale bardzo, bardzo czyste. Wyglądam przez zachodnie okno i widzę Ocean Spokojny. Nic odeń czystsze. Od strony północnej - bulwar Arguello i niewielkie wzgórza. Na wschodzie - najśliczniejsza mała dzielnica przemysłowa, jaką można sobie wymarzyć, a za nią raj dobrze utrzymanych domów i ogródków. Na południu - gdybym miał południowe okno, którego nie mam - widziałbym małą przystań jachtową, najśliczniejsza na świecie w kategorii małych przystani jachtowych.

- Moje kłopoty przyjechały tu ze mną - powiedziałem - to znaczy, część z nich. Reszta przysłała sama. Dziewczyna nazwiskiem Isobel Snare uciekła z domu w mieście, a jej psa widziano właśnie tutaj u was. Odnalazłem psa, ale ludzie, u których przebywał, zadali sobie wiele trudu, by mnie powstrzymać.

- Doprawdy? - spytał komisarz, lecz myślami błdził gdzie indziej. Brwi pełzały po jego czole jak dwie włochate gąsienice. Nie byłem pewien, czy to ja go robię w konia, czy on mnie. Postawił na biurku porządnie wyglądającą butelkę, dwie szklaneczki i garść nasion kardamonu.

Wypiliśmy po drinku. Komisarz pokruszył trzy czy cztery nasiona kardamonu; żuliśmy je, przyglądając się sobie nawzajem.

- Niech pan opowiada - rzekł komisarz po chwili. - Teraz mogę tego wysłuchać.

- Czy słyszał pan kiedyś o człowieku, którego nazywają Farmer Saint?

- Czy słyszałem? - Uderzył w blat biurka tak mocno, że aż podskoczyły nasiona kardamonu. - Za tego ptaszka jest tysiąc dolarów nagrody. Napady na banki, he?

Przytaknąłem, próbując niepostrzeżenie przeniknąć jego myśli.

- Pracuje razem z siostrą, Dianą. Przebierają się za wieśniaków i obrabiają banki w małych miasteczkach, banki stanowe. Dlatego nazywają go Farmerem. Za jego siostrę też dają patola.

- Z pewnością chciałbym tej dwójce nałożyć bransoletki - oświadczył stanowczo komisarz.

- Więc dlaczego pan tego nie zrobił, do diabła? - spytałem.

Nie uderzył z wrażenia głową w sufit, ale usta otworzył tak szeroko, że bałem się, iż dolna szczęka opadnie mu na kolana. Oczy wylazły mu z orbit niczym dwa obrane ze skorupki jajka. Zamknął usta z wdziękiem parowej koparki. Jeśli grał, było to znakomite aktorstwo.

- Niech pan to powie jeszcze raz - wyszeptał.

Otwarłem złożoną we dwoje gazetę, którą przyniosłem ze sobą, i wskazałem na odpowiednią kolumnę.

- Proszę popatrzeć na wzmiankę o zabójstwie Sharpa. Wasza lokalna gazeta nie popisała się. Donosi, że ktoś anonimowo powiadomił policję oraz że pańscy chłopcy pojechali na miejsce i znaleźli martwe ciało w pustym domu. To stek bzdur. Byłem tam. Farmer Saint i jego siostra też tam byli. Pańscy policjanci byli tam razem z nami.

- Zdrada! - zawołał nagle. - Zdrajcy w policji. - Jego twarz stała się szara jak nasączony arsenikiem lep na muchy. Drżącą ręką po raz drugi napełnił szklaneczkę. Teraz była moja kolej na rozgniatanie nasion kardamonu.

Jednym haustem wlał w siebie drinka, po czym rzucił się na mahoniową skrzyneczkę interkomu, stojącą na biurku. Usłyszałem nazwisko Galbraith.

Nie czekaliśmy bardzo długo, ale wystarczająco długo, by komisarz zdążył wypić kolejne dwa drinki. Jego twarz nabrała lepszych kolorów.

Wtedy drzwi otworzyły się i wtoczył się przez nie, z fajką w ustach i rękami w kieszeni, wielki policyjny detektyw o czerwonej twarzy, ten sam, który wtedy zaprawił mnie pałką. Barkiem zatrzęsął drzwi i opierając się o nie, przyjął niewymuszoną pozę.

- Witaj, sierżancie - powiedziałem.

Popatrzył na mnie tak, jakby chciał mnie kopnąć w twarz, ale nie musiał się z tym śpieszyć.

- Odznaka! - wrzasnął tłusty komisarz. - Odznaka! Połóż ją na biurku. Jesteś zwolniony!

Galbraith podszedł powoli do biurka i oparł o nie łokieć, przysuwając twarz na odległość stopy od nosa komisarza.

- Powód? - wycedził przez zęby.

- Miałeś w rękach Farmera Sainta i puściłeś go wolno! - wrzasnął komisarz. - Przystawił ci strzelbę do brzucha i zwiął. A ty na to pozwoliłeś. Ty i ten matole Duncan. To koniec. Zwalniam cię. Masz tu tyle do roboty, co ostryga w puszcze. Dawaj odznakę!

Na tamtym nie zrobiło to większego wrażenia.

- Któż to jest, do cholery, ten Farmer Saint? - spytał, wypuszczając dym prosto w twarz komisarza.

- Nie wie! - jęknął komisarz w moim kierunku - On nie wie. Z takimi właśnie muszę pracować.

- Pan powiedział: pracować? - spytał bezczelnie Galbraith.

Tłusty komisarz podskoczył, jakby pszczoła użądliła go w czubek nosa. Złożył mięsistą dłoń w pięść i uderzył policjanta w szczękę, z dużą, wydawało się, siłą. Głowa Galbraitha przesunęła się o jakieś pół cala.

- Niech pan tego nie robi - powiedział. - Uszkodzi pan sobie coś i co się wtedy stanie z naszym komisariatem?

Fulwider spojrzał na mnie, by sprawdzić, jak odbieram to przedstawienie. Miałem otwarte usta i głupi wyraz twarzy, jak parobek na lekcji łaciny.

Galbraith oparł muskularną nogę o róg biurka, opróżnił fajkę, nalał sobie drinka do szklanki komisarza. Otarł wargi i uśmiechnął się. Kiedy się uśmiechał, otwierał szeroko usta, a usta miał takie, że dentysta mógłby w nie włożyć obie ręce po łokcie.

Zaczął mi opowiadać spokojnym głosem:

- Kiedy ja i Dunc wpadliśmy do tamtej nory, leżałeś pan sztywny na podłodze, a nad panem stał jakiś chudzielec z pałką. Kobitka siedziała na ławce pod oknem, z kupą gazet dookoła. No i pięknie. Chudy zaczyna wciskać nam kit, a tu pies wyje na tyłach domu, no to patrzymy się w tamtą stronę, a kobitka wyciąga spod tych gazet kaliber dwanaście z obciętą lufą i pokazuje go nam. Cóż mieliśmy robić? Trzeba było być miłym. Nie mogła spudłować, a my owszem. Więc facio wyciąga jeszcze jedną spluwę ze spodni i wiążą nas, wpychają do schowka w ścianie, gdzie było tyle chloroformu, że siedzielibyśmy cicho i bez sznura. Po chwili słyszymy, jak się zmywają - dwoma autami. Gdy się jakoś wyswobodziliśmy, tamten sztywniak miał se już całą chatę wyłącznie dla siebie. No to wcisnęliśmy trochę kitu pismakom, a sami nadal nic nie mamy. I jak to się ma do pańskiej opowieści?

- Całkiem nieźle - odparłem. - O ile pamiętam, kobieta sama zadzwoniła na policję. Ale mogę się mylić. Reszta pasuje jak ulał, bo przecież leżałem na podłodze uderzony pałką i nie wiedziałem, co się dzieje.

Galbraith spojrzał na mnie krzywo. Komisarz popatrzył na swój kciuk.

- Kiedy odzyskałem przytomność - mówiłem dalej - znajdowałem się w prywatnej klinice odwykowej prowadzonej przez człowieka nazwiskiem Sundstrand. Musiałem być naprawdę nieźle nafaszerowany prochami, bo wydawało mi się, że jestem dziesięciocentówką, która sama sobą gra w orła i reszkę.

- Ten Sundstrand - rzekł znużonym głosem Galbraith. - Facet od dawna jest dla nas jak wrzód na dupie. Czy mamy jechać i wycisnąć go troszeczkę, szefie?

Komisarz popatrzył na butelkę whisky. Powiedział ostrożnie:

- Dają po tysiącu za Santa i jego siostrę. Jeśli ich zgarniemy, to jak się dzielimy?

- Mnie nie bierzcie pod uwagę - rzuciłem. - Pracuję za czystą pensję i zwrot kosztów.

Galbraith wyszczerzył zęby. Kołysał się przez chwilę na piętach, uśmiechając się z fałszywą serdecznością.

- Super - rzekł i zaraz dodał: - Przyprowadziliśmy pański samochód. Użyjemy go teraz, by dotrzeć na miejsce - tylko my dwaj, pan i ja.

- Możecie potrzebować wsparcia, Gal - powiedział niepewnie komisarz.

- Nie sądzę. Wystarczy on i ja. Twarda z niego sztuka - inaczej nie chodziłby teraz o własnych siłach.

- No to wszystko gra - rozweselił się Fulwider. - Wypijmy jeszcze kropelkę za powodzenie akcji.

Jednak nadal był roztrzęsiony. Zapomniał o nasionach kardamonu.

*

W świetle dnia było to urocze miejsce. Pod oknami od frontu różowe begonie tworzyły wielką zwartą bryłę, a bratki kolistym kobiercem otaczały pień akacji. Szkarłatna pnąca róża przykryła całą drewnianą kratę, opartą o boczną elewację domu, a rudo-zielony koliber delikatnie trącał zbite w gęstą masę kwiaty słodkiego groszku, wijącego się po ścianie garażu.

Przypominało to dom dobrze sytuowanego małżeństwa w starszym wieku, które przeprowadziło się nad ocean, by na stare lata nacieszyć się słońcem.

Galbraith splunął na nadproże mojego samochodu, wytrząsał fajkę, pchnął palcem furtkę, poczłapał po ścieżce prowadzącej do domu i rozpląszczył swój kciuk na ładnym, miedzianym przycisku dzwonka.

Czekaliśmy. Zakratowane okienko w drzwiach otwarło się i wyjrzała przez nie pociągła twarz o ziemistej cerze, zwieńczona nakrochmalonym pielęgniarzkim czepkiem.

- Otwierać. Policja! - ryknął duży gliniarz.

Zagrzechotał łańcuch i odskoczyła zasuwka. Pielęgniarka miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, długie ręce i wielkie dłonie - idealna asystentka w sali tortur.

Coś działo się z jej twarzą i dopiero po chwili zorientowałem się, że to uśmiech.

- Cóż to? Pan Galbraith - zaszczębiotała. Jej głos był równocześnie wysoki i gardłowy.
- Chciałby się pan pewnie zobaczyć z doktorem?

- Aha, i to natychmiast - warknął Galbraith, przeciskając się obok niej.

Drzwi biura były zamknięte. Galbraith otworzył je kopniakiem; wszedłem zaraz za nim, a za mną - ciągle szczebiocząc - wielka pielęgniarka.

Doktor Sundstrand, całkowity abstynent, wzmacniał się właśnie poranną whisky ze świeżo napoczętej butelki. Na kościstej masce jego twarzy pojawiły się linie zmarszczek, których, jak mi się zdawało, nie było tam zeszłej nocy.

Odsunął pośpiesznie dłoń od butelki i obdarzył nas swym sztywnym jak mrożona ryba uśmiechem.

- Co to ma znaczyć? - prychnął poirytowany. - Co to ma znaczyć? Chyba mówiłem wyraźnie, żeby...

- Ech, uspokój się pan - powiedział Galbraith, przysuwając sobie krzesło blisko biurka. - Spadaj, siostrze.

Siostra zaszcebiotała raz jeszcze i wyszła z pokoju. Drzwi zamknęły się za nią. Doktor Sundstrand wodził oczyma po mojej twarzy i nie wyglądał na szczęśliwego.

Galbraith oparł łokcie o blat biurka; obiema pięściami podparł swą masywną szczękę. Wpatrywał się nieruchomym, jadowitym wzrokiem w wijącego się niby w ukropie doktora. Po bardzo długiej, jak się wydawało, chwili powiedział prawie bezgłośnie:

- Gdzie jest Farmer Saint?

Oczy doktora rozszerzyły się. Ich zielonkawe tęczówki zaszyły żółcią.

- Nie utrudniać! - ryknął Galbraith. - Wiemy wszystko o pańskiej lewej klinice, o ukrywaniu przestępców, narkotykach i kobietach. Zrobiłeś pan jeden błąd za dużo, zgarniając tego tajniaka z wielkiego miasta. No, jazda, gdzie jest Saint? I dziewczyna.

Przypomniałem sobie mimochodem, że nie mówiłem w obecności Galbraitha o Isobel Snare - jeśli tę właśnie „dziewczynę” miał na myśli.

Dłoń doktora Sundstranda opadła bezwładnie na blat biurka. Wyglądało to tak, jak gdyby zaskoczenie spotęgowało jego niepokój aż do granic paraliżu.

- Gdzie oni są?! - wrzasnął znowu Galbraith.

Otworzyły się drzwi i pielęgniarka wmieszała się ponownie:

- Tu są pacjenci, panie Galbraith, pacjenci. Proszę pamiętać o pacjentach, panie Galbraith.

- Na drzewo! - rzucił przez ramię Galbraith. Pielęgniarka zatrzymała się w drzwiach. Sundstrand wreszcie odzyskał głos. A właściwie dalekie echo jego głosu, które odpowiedziało znużone:

- Pytasz, jakbyś nie wiedział.

Jego szybka jak błyskawica dłoń wślizgnęła się za połą kitła i wynurzyła z powrotem, dzierżąc lśniący rewolwer. Galbraith rzucił się w bok, spadając z krzesła. Doktor strzelił do niego dwa razy i dwa razy chybił. Moja dłoń spoczęła na rękojeści pistoletu, ale nie wydobyła go z kieszeni. Galbraith zaśmiał się, leżąc na podłodze, a jego wielka prawica powędrowała pod pachę i wróciła, ściskając lugera, takiego samego jak mój. Wystrzelił - tylko raz.

Nic nie zmieniło się na pociągłej twarzy doktora. Nie widziałem, gdzie ugodziła go kula. Jego głowa opadła i uderzyła o blat biurka, a rewolwer huknął o podłogę. Doktor leżał z twarzą na biurku, nie ruszał się.

Galbraith wycelował pistolet we mnie i wstał z podłogi. Przyjrzałem się jego broni ponownie. Byłem pewien, że to mój luger.

- Świetny sposób zdobywania informacji - powiedziałem machinalnie. - Przypuszczam, że cała ta scenka została wyreżyserowana, by napędzić stracha doktorkowi.

- Strzelił pierwszy, czyż nie?

- Taaa - potwierdziłem bez przekonania. - Strzelił pierwszy. Pod ścianą pielęgniarka przesuwała się w moim kierunku.

Nie wydała żadnego dźwięku, odkąd Sundstrand zakończył swój występ. Była już niemal przy moim boku. Nagle, niestety, zbyt późno, zobaczyłem błysk kastetu i włosy porastające grzbiet jej dłoni.

Uchyliłem się, ale za mało. Miażdżący cios spadł na moją głowę; zdawało się, że rozłupał mi ją na dwoje. Stałem oparty o ścianę, na nogach jak z waty. Galbraith łypnął na mnie okiem.

- Niezbyt sprytnie - powiedziałem. - Masz ciągle w ręce mojego lugera. To ci trochę miesza szyki, co nie?

- Widzę, że chwytasz koncept, tajniaku.

Pielęgniarka o szczebiotliwym głosie odezwała się po chwili milczenia:

- Rany, facet ma szczękę jak stopa słonia. Niech mnie cholera, jeśli kastet nie pękł na nim. Czy mam mu poprawić?

- Po co? Nie sięgnął po spluwę i jest dla ciebie za twardy, dziecinko. Ołów - to jest na niego sposób.

- Powinnaś się golić dwa razy dziennie przy tej robocie, dziecinko - powiedziałem.

Pielęgniarka uśmiechnęła się, przekrzywiła nakrochmalony czepek i sznurowatą blond perukę na swej podobnej do pocisku głowie. Wyciągnęła, a właściwie - wyciągnął pistolet spod pielęgniarskiego kitła.

- To było w obronie własnej, nie? - rzekł Galbraith. - Wdałeś się w bójkę z doktorem,

ale on strzelił pierwszy. Bądź grzeczny, a my obaj - ja i Dunc - tak właśnie zapamiętamy te wydarzenia.

Potarłem dłonią obolałą szczękę.

- Posłuchaj, sierzancie. Znam się na żartach jak każdy. To ty zaprawiłeś mnie pałką w tamtym domu przy Carolina Street i nie przyznałeś się do tego. Ja też milczałem. Zrozumiałem, że masz swoje powody, które wyjawisz mi we właściwym czasie. Mogę chyba odgadnąć, jakie to powody. Uważam, że wiesz, gdzie ukrywa się Saint, albo przynajmniej możesz się tego dowiedzieć. Saint natomiast wie, gdzie jest panna Snare, gdyż ma jej psa. Dodajmy więc aneks do naszej umowy - korzystny dla obu stron.

- My już załatwiliśmy nasze sprawy, palancie. Obiecałem doktorowi, że cię przyprowadzę z powrotem i że będzie mógł się jeszcze z tobą pobawić. Kazałem Duncanowi przebrać się w strój pielęgniarki, by pomógł doktorowi zająć się tobą. Ale to *nim* tak naprawdę chcieliśmy się zająć.

- W porządku - powiedziałem. - A co ja mam z tego?

- Może jeszcze trochę pożyjesz.

- Aha - odparłem. - Pewnie pomyślisz, że cię nabieram, ale spójrz na to małe okienko w ścianie za tobą.

Galbraith nie poruszył się, nie spuszczał ze mnie wzroku. Szyderczy uśmieszek wykrzywił mu wargi.

Duncan, odtwórca roli żeńskiej, odwrócił się - i wrzasnął.

Małe, kwadratowe okienko z barwionego szkła, wysoko na tylnej ścianie, w samym rogu pokoju, uchyliło się bezszelestnie. Mój wzrok, minąwszy ucho Galbraitha, napotkał czarny wylot lufy opartego o parapet pistoletu maszynowego Thompsona, a nad nim parę surowych, czarnych oczu.

Głos, który - gdy go ostatnim razem słyszałem - uspokajał psa, powiedział teraz:

- Może by tak siostra rzuciła tę spluwę. A ty, tam za biurkiem, łapki do góry!

*

Usta wielkiego gliniarza chciwie chwytały powietrze. Nagle jego twarz stężała, odwrócił się gwałtownie i luger w jego dłoni zakaszał - tylko raz, głośno i przenikliwie.

Rzuciłem się na podłogę dokładnie w chwili, gdy powietrze rozerwała krótka seria z thompsona. Galbraith skulił się za biurkiem, potem upadł na wznak z podkurczonymi nogami. Krew trysnęła z jego nozdrzy i ust.

Twarc gliniarza w pielęgniarskim kitlu zrobiła się biała jak jego nakrochmalony czepek. Rzucił pistolet na podłogę i podniósł ręce tak wysoko, jakby próbował palcami

uczepić się sufitu.

Zapadła dziwna, paralizująca cisza.

Gdzieś w budynku otwarły się i zamknęły jakieś drzwi, odgłos szybkich kroków rozległ się na korytarzu. Drzwi naszego pokoju stanęły otworem od jednego pchnięcia. Weszła przez nie Diana Saint z dwoma pistoletami w dłoniach.

Wstałem z podłogi, trzymając ręce na widoku. Nie patrząc w stronę okienka, powiedziała spokojnie:

- W porządku, Jerry. Pilnuję ich.

Głowa, ramiona i pistolet maszynowy Santa zniknęły z ramy okiennej; pozostał w niej jedynie błękit nieba i cienkie gałązki jakiegoś wysokiego drzewa w oddali.

Byliśmy teraz jak grupa pięciu posągów, z których dwa leży powalone.

Ktoś musiał wykonać pierwszy ruch. Sytuacja domagała się jeszcze dwóch trupów. Z punktu widzenia Santa nie było innego wyjścia. Należało oczyścić teren.

Nie udała mi się sztuczka wtedy, gdy wcale sztuczką nie była. Czas spróbować ponownie. Spojrzałem ponad barkiem kobiety, zmusiłem się do uśmiechu i powiedziałem szorstko:

- Cześć, Mike. W samą porę.

Oczywiście, nie nabrała się na to, ale się wściekła. Zesztywniała na moment i wypaliła do mnie z pistoletu trzymanego w prawej ręce. Był za duży jak na kobietę i siła wystrzału poderwała go do góry. Drugi podskoczył razem z nim. Nie zauważyłem, gdzie poszła kula.

Nie zachowałem się nazbyt szarmancko, wytrącając pistolety z jej dłoni. Kopnięciem zamknąłem drzwi, przekręciłem klucz w zamku i uchyliłem się przed butem na wysokim obcasie, który dokładał wszelkich starań, by rozkwasić mi nos.

Duncan dał nura po swój pistolet, leżący na podłodze.

- Obserwuj okienko, jeśli ci życie miłe! - warknąłem do niego. I już byłem za biurkiem. Odciągnąłem telefon tak daleko od drzwi, na ile kabel pozwalał. Położyłem się na podłodze i trzymając telefon na brzuchu, zacząłem wykრęcać numer.

Na widok telefonu oczy Diany ożywiły się. Zaczęła piszczeć:

- Mają mnie, Jerry! Dorwali mnie!

Pistolet maszynowy zaczął rozpruwać drzwi od zewnątrz, gdy ja darłem się do ucha znużonego dyżurnego policjanta.

Kawałki tynku i drewna młóciły powietrze jak pięści na irlandzkim weselu. Kule wstrząsały ciałem Sundstranda, jak gdyby pośród drgawek wracało doń życie. Chwyciłem pistolet Diany i przymierzyłem się do drzwi od naszej strony. Przez jakąś większą szparę

ujrzałem fragment tkaniny. Strzeliłem.

Nie widziałem, co robi Duncan. Wnet się dowiedziałem. Pocisk, który nie mógł przyjść zza drzwi, trafił Dianę Saint prosto w koniuszek brody.

Kobieta upadła i już nie wstała.

Kolejny strzał, który nie dobiegł zza drzwi, poderwał mój kapelusz. Przeturlałem się po podłodze i wrzasnąłem na Duncana. Przesunął pistolet po linii łuku, śledząc mój ruch. Warczał jak zwierzę.

Krzyknąłem ponownie.

Cztery okrągłe plamy czerwieni utworzyły skośną linię na torsie pielęgniarskiego kitla. Zdążyły powiększyć się w tym krótkim czasie, jaki zajęło Duncanowi osunięcie się na podłogę.

Gdzieś w oddali słyhać było syrenę. To była moja syrena, przybywała do mnie, coraz głośniejsza. Saint musiał uciekać. Usłyszałem jego szybko oddalające się korytarzem kroki. Trzasnęły drzwi. W alejce z tyłu domu zastartował samochód.

Podczołgałem się do kobiety, zobaczyłem krew na jej twarzy i włosach i przesiąknięte krwią miejsca na przedniej części płaszcza. Dotknąłem jej twarzy. Otworła oczy powoli, jakby powieki nazbyt jej ciążyły.

- Jerry... - wyszeptła.

- Nie żyje - skłamałem obrzydliwie. - Gdzie jest Isobel Snare, Diano?

Zamknęła oczy. Zalśniły w nich łzy - łzy przedśmiertne.

- Gdzie jest Isobel, Diano? - Teraz już błagałem. - Bądź w porządku i powiedz. Nie jestem gliną. Jestem jej przyjacielem. Powiedz mi, Diano.

Włożyłem w te słowa całą czułość i melancholię, jakie w sobie odnajdywałem.

Uniosła powieki. Z jej ust znów wydobył się szept: - Jerry...

Wargi poruszyły się jeszcze raz i wraz z wydechem doleciało do mnie jakieś słowo, coś jakby: „Monty”. To było wszystko. Umarła.

Powoli podniosłem się i słuchałem głosu syren.

*

Robiło się późno, więc tu i ówdzie w wysokim biurowcu po drugiej stronie ulicy zapalały się światła. Spędziłem w biurze Fulwidera całe popołudnie. Dwadzieścia razy opowiedziałem całą historię. Wszystko zgodnie z prawdą - wszystko to, co im powiedziałem.

Tłusty komisarz był spocony i podejrzliwy. Zdjął marynarkę; na koszuli miał pod pachami ciemne plamy, a jego krótkie rude włosy były tak poskręcane, jakby je sobie gdzieś przypalił. Nie mając pojęcia, czy wiem dużo, czy tylko trochę, nie odważył się nic

insynuować. Mógł jedynie na przemian wrzeszczeć na mnie i użalać się na swój los, w przerwach próbując mnie upić.

Byłem więc coraz bardziej pijany i podobał mi się ten stan.

Komisarz złapał się za szczękę, którą przekręcił nieco, jakby chciał ją wyjąć ze stawów.

- Cholernie zabawne - szydził. - Cztery trupy na podłodze, a pan nawet niedraśnięty.

- Byłem jedynym - odparłem - który położył się na podłodze, będąc jeszcze w nienaruszonym stanie.

Złapał się za prawe ucho i zaczął je tarmosić.

- Jest pan tu od trzech dni - zawył. - Przez te trzy dni popełniono u nas więcej przestępstw niż w ciągu trzech lat przed pana przyjazdem. To nieludzkie.

- Nie może pan mnie o to obwiniać, komisarzu - dąsałem się. - Przyjechałem szukać zaginionej dziewczyny. Nadal jej szukam.

Nie kazałem Saintowi ani jego siostrze ukrywać się w pańskim mieście. To nie ja zastrzeliłem doktora, zanim udało się cokolwiek z niego wydobyć. Nadal nie mam bladego pojęcia, dlaczego umieszczono tam fałszywą pielęgniarkę.

- Ani ja! - wrzasnął Fulwider. - Ale to moja kariera wisi na włosku. Biorąc pod uwagę wszelkie szanse na wyjście z tego obronną ręką, mogę równie dobrze od razu iść na ryby.

Wypiłem jeszcze jednego drinka i czknałem radośnie.

- Niech pan tak nie mówi, komisarzu - zaoponowałem. - Już raz pan oczyścił miasto z brudów, może pan to zrobić ponownie.

Obszedł biuro dookoła i spróbował wybić pięścią dziurę w tylnej ścianie, po czym opadł z powrotem na fotel.

- Chcę zawrzeć z panem układ - mruknął. - Pan wróci do San Angelo, a ja zapomnę, że to z pańskiej broni rąbnięto Sundstranda.

- To nieładnie tak mówić do kogoś, kto próbuje zarobić na życie, komisarzu. Wie pan przecież, jak to się stało, że użyto mojej broni.

Jego twarz poszarzała znów na moment. Zmierzył mnie wzrokiem, jakby szacował wymiary trumny dla mnie. Potem zmienił mu się nastrój, palnął dłonią w blat biurka i powiedział serdecznie:

- Ma pan rację. Nie mógłbym panu tego zrobić, prawda? Pan musi odnaleźć tę dziewczynę, prawda? No dobrze, niech pan biegnie teraz do hotelu i wypocznie nieco. Popracuję nad tym dziś wieczorem i spotkam się z panem jutro przed południem.

Wypiłem jeszcze jednego małego drinka, bo tylko tyle zostało w butelce. Czułem się

znakomicie. Dwa razy uścisnąłem komisarzowi dłoń i chwiejnym krokiem opuściłem jego biuro.

Bocznymi uliczkami dotarłem nad brzeg oceanu i betonowym chodnikiem ruszyłem ku dwóm molom, przeznaczonym na miejsca rozrywki.

Zapadał zmierzch. Na molach zajaśniały latarnie. Lampy zapalono też na masztach małych jachtów, zakotwiczonych za portowym falochronem. Mężczyzna w białej budce szturchał końcem długiego widelca parówki skwierczące na ruszcie i zawodził monotonnym głosem:

- Hej, głodni ludzie! Pyszne hot dogi, tylko u mnie. Hej, głodni ludzie!

Zapaliłem papierosa i stałem, patrząc na ocean. Nagle, daleko od brzegu, rozbłysły światła wielkiego statku. Obserwowałem je przez chwilę. Nie poruszyły się.

Podszedłem do sprzedawcy hot dogów.

- Na kotwicy? - spytałem, wskazując statek. Wyrżał zza rogu swej budki, zmarszczył nos z pogardą.

- Do diabła z nim. To statek-kasyno. Rejs Donikąd - tak na to mówią. No bo on nigdzie nie płynie. Tak, tak, proszę pana, to statek „Montecito”. Może smaczną, ciepłą paróweczkę?

Położyłem na ladzie ćwierć dolara.

- Niech się pan sam poczęstuje - powiedziałem cicho.

Nie miałem przy sobie broni. Wróciłem do hotelu po zapasowy pistolet.

Diana Saint, umierając, wymówiła słowo „Monty”. Może śmierć przyszła za szybko i nie pozwoliła jej dokończyć: „Montecito”.

Gdy wyszedłem z hotelu, ktoś mnie śledził, ale nie trwało to długo. W tym czystym miasteczku było zbyt mało przestępstw, by policyjni detektywi nauczyli się szpiegować...

*

Dość długo trwała ta przejażdżka, jak na kurs za czterdzieści centów. Taksówka wodna - stara, nigdy chyba nieremontowana motorówka - prześlizgnęła się między jachtami i okrążyła falochron. Uderzyła w nas fala przyboju. Za całe towarzystwo, oprócz wyglądającego na twardziela osobnika przy sterze, miałem dwie zakochane pary, które zaczęły cmokać się po pyszczkach, jak tylko ogarnął nas mrok.

Iluminatory „Montecito” stawały się coraz większe i motorówka weszła w łagodny zakręt, przechyliła się o czterdzieści pięć stopni, po czym zgrabnie przycumowała do krawędzi jasno oświetlonego pomostu. Chłopak o śliwkowych oczach i twarzy gangstera, ubrany w błękitny uniform stewarda, podał dłoń wysiadającym z motorówki kobietom,

obrzucał ich towarzyszy baczny spojrzeniem i pozwolił im wejść po trapie na pokład. Sposób, w jaki na mnie popatrzył, powiedział mi o nim co nieco. Sposób, w jaki niby przypadkiem zawadził ręką o moją kaburę, powiedział mi znacznie więcej.

- Nic z tego - oświadczył łagodnie. - Nic z tego.

Skinął brodą na taksówkarza. Ten zarzucił pętlę na poler, przekręcił nieznacznie koło steru i wspiął się na pomost. Stał za moimi plecami.

- Nic z tego - mruknął ten w uniformie. - Żadnych spluw na pokładzie, drogi panie. Przykro mi.

- Pistolet to nieodłączna część mojego ubioru. Jestem prywatnym detektywem - wyjaśniłem mu. - Ale mogę zostawić go w szatni.

Taksówkarz zacisnął dłoń na moim ramieniu. Wzruszyłem ramionami.

- Niech pan wraca na łódkę - mruknął taksówkarz. - Jestem panu winien czterdzieści centów. Chodź pan.

Wsiadłem do motorówki.

Olśniewający, niemy uśmiech stewarda był ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłem, gdy taksówka odbiła i gnana falą pomknęła ku brzegowi. Szkoda mi było zostawiać taki piękny uśmiech.

Dłużyła mi się ta powrotna droga. Nie odzywałem się do taksówkarza, a i on nie odzywał się do mnie. Gdy wysiadłem na unoszący się na falach, przycumowany do mola ponton, zawołał za mną drwiąco:

- Innym razem, kiedy nie będzie takiego ruchu, tajniaku. Gapiło się na mnie jakieś pół tuzina klientów czekających na przejazd. Minąłem ich, przeszedłem przez drzwi zbudowanej na pontonie poczekalni i skierowałem się ku schodkom od strony lądu.

Wielki rudowłosy osiłek w brudnych tenisówkach, powalanych smołą spodniach i podartym niebieskim swetrze, stojący dotychczas spokojnie przy barierce, wyprostował się nagle i wpadł na mnie jakby nigdy nic. Zatrzymałem się, gotów do walki.

- Co jest, tajniak? - spytał tamten łagodnie. - Bez szans na diabelskiej łajbie?

- Czy muszę ci odpowiadać?

- Należę do tych, co potrafią słuchać.

- Kim jesteś?

- Mów mi Rudy.

- No to zejdz mi z drogi, Rudy. Jestem zajęty. Uśmiechnął się ponuro i dotknął mojej marynarki.

- Ta spluwa jest deczko za wielgachna pod taki cieniutki garniturek - powiedział. -

Chcesz na pokład? Da się zrobić, jeśli masz dobry powód.

- Ile wynosi dobry powód? - spytałem.

- Pięćdziesiąt dolców. Plus dziesięć ekstra, jeśli zakrwawisz mi łódź.

Ruszyłem przed siebie.

- Dwadzieścia pięć. Może przyprorowadzisz kolegów, co?

Zrobiłem jeszcze cztery kroki, zanim obejrzałem się za siebie i rzuciłem na odchodne:

- Biorę.

W miejscu, gdzie molo dotykało lądu, mieścił się tętniący życiem salon gier „Tango”, zatłoczony mimo wczesnej pory. Wszedłem do środka i oparłem się o ścianę.

Obok mnie pojawiła się duża niebieska bryła, pachnąca smołą. Łagodny, smutny i niski głos zapytał:

- Będzie ci tam potrzebna pomoc?

- Szukam pewnej dziewczyny, ale sam ją znajdę. A ty czym się zajmujesz? - Nie popatrzyłem na niego.

- Dolar tu, dolar tam. Lubię mieć coś do jedzenia. Byłem gliniarzem, ale mnie wylali.

Spodobało mi się, że to powiedział.

- Musiałeś być za uczciwy - zauważyłem, obserwując, jak podstawiony gracz przesuwając kciukiem kartę na niewłaściwy numer, a za chwilę krupier kładzie swój kciuk w to samo miejsce i podnosi kartę.

Wyczułem uśmiech Rudego.

- Widzę, że zwiedzasz sobie nasze miasteczko. Wyciągnąłem portfel i wyjąłem z niego dwudziestkę i piątaka, zwinąłem razem i podałem Rudemu. Zniknęły w pobrudzonej smołą kieszeni.

- Dzięki - powiedział cicho i odszedł.

Dałem mu trochę czasu i ruszyłem za nim. Był łatwy do śledzenia, nawet w tłumie, przez swoje gabaryty.

Minęliśmy przystań jachtów i drugie molo; za nim było już mniej światła, a tłum rozrzedzał się, aż zrobiło się całkiem pusto. Krótki czarny pomost z przycumowanymi na całej długości łodziami wcinał się w wodę.

Rudy przeszedł niemal do końca pomostu i zatrzymał się u szczytu drewnianej drabinki.

- Przyprorowadzę tutaj łódkę - oznajmił.

- Posłuchaj - powiedziałem niecierpliwie. - Muszę zadzwonić do jednego gościa.

Zupełnie o tym zapomniałem.

- Da się zrobić. Chodź.

Poprowadził mnie na skraj pomostu, przyklęknął, zabrzączał kluczami na łańcuszku i otworzył jakąś kłódkę. Podniósł niewielką klapę, wyciągnął telefon i trzymał przez chwilę słuchawkę przy uchu.

- Wciąż działa - powiedział, znów się uśmiechając. - Chyba należy do jakichś cwaniaków. Nie zapomnij później zatrzasać kłódki.

Bezszelestnie zanurzył się w ciemność. Słuchałem fal uderzających o pale, na których osadzone było molo, i furkotu mew od czasu do czasu przelatujących w ciemności. Gdzieś daleko ryknął silnik i jego warkot narastał.

Wybrałem numer, poprosiłem z komisarzem Fulwiderem. Okazało się, że poszedł już do domu. Wykręciłem inny numer, odebrała kobieta, powiedziałem jej, że jestem z komendy głównej i że chcę mówić z komisarzem.

Czekałem. Po chwili usłyszałem głos grubego komisarza. Brzmiał, jakby Fulwider miał usta pełne pieczonych ziemniaków.

- Halo! Człowiek nie może nawet zjeść w spokoju? Kto mówi?

- To ja, komisarzu. Saint jest na „Montecito”. Szkoda, że to poza pańskim terenem.

Zaczął wrzeszczeć jak dzikus. Odwiesiłem bezczelnie słuchawkę, włożyłem telefon do ocynkowanej skrzynki i zatrzasałem kłódkę. Zszedłem po drabinie do łodzi Rudego.

*

Od strony morza statek był nieoświetlony.

Rudy zredukował moc silnika prawie do zera, skręcił, by płynąć pod wystającą część rufy, po czym przysunął łódź do pokrytych smarem płyt kadłuba, poruszając się tak dyskretnie, jak wytworny dżentelmen w hotelowym lobby.

Wysoko nad nami majaczyły w ciemności podwójne żelazne wrota, umieszczone tuż przed oślizgłymi ogniwami łańcucha kotwicznego. Motorówka ocierała się o zardzewiałe płyty poszycia „Montecito”, a morska woda uderzała w nieregularnych odstępach czasu o dno pod naszymi stopami. Cień wielkiego byłego policjanta wyrósł nade mną. Zwinięta lina poszybowała w mrok nocy, zaczepiła o coś i wpadła z powrotem do łódki. Rudy naprężył ją mocno, a koniec owinął wokół obudowy silnika.

Przejąłem ster i zbliżyłem dziób motorówki do śliskiego kadłuba statku, a wówczas Rudy sięgnął do żeliwnej drabinki, przylegającej do burty, i podźwignął się w ciemność.

Po chwili coś u góry zgrzytnęło i słabe żółte światelko zamigotało w zamglonym powietrzu. Ukazał się zarys ciężkich drzwi i głowa Rudego majająca na tle światła. Wspiąłem się po drabinie w ślad za nim. To była ciężka robota. Dysząc, dotarłem w

końcu do brudnej, zagraconej ładowni, pełnej skrzyń i beczek. Szczury, uciekając przed światłem, znikają w ciemnych kątach. Potężny rudzielec zbliżył usta do mego ucha:

- Stąd bez trudu dostaniemy się do pomostu w maszynowni. Jak tam będziemy, pokażę ci, w którym wentylatorze nie ma krat. Prowadzi na pokład statku. Dalej to już twoja działka. Wrócisz szybko?

- Pewnie usłyszysz wielki plusk, gdy skoczę z pokładu. - Wyłowilem z portfela jeszcze kilka banknotów i wyciągnąłem je w jego stronę. - Trzymaj.

Potrząsnął rudą głową.

- Nie, nie. Zatrzymaj to na bilet powrotny.

- Płacę za niego z góry - powiedziałem. - Nawet jeśli go nie wykorzystam. Zabieraj ten szmal, bo się zaraz rozplacę.

- Cóż... dzięki, kolego. Jesteś równy gość.

Przeszliśmy między skrzyniami i beczkami. Żółte światło dochodziło z korytarza z tyłu ładowni, którym dotarliśmy do wąskich żelaznych drzwi. Za nimi był już nasz pomost. Przemknęliśmy nim, zeszliśmy po śliskiej od oleju stalowej drabince i usłyszeliśmy flegmatyczne posykiwanie palników olejowych. Mijając góry żelastwa, ruszyliśmy ku źródłu tego dźwięku.

Za załomem korytarza niski, umorusany Włoch w fioletowej jedwabnej koszuli siedział pod gołą żarówką na powiązanym drutami biurowym krześle i z pomocą okularów w drucianych oprawkach oraz czarnego palca wskazującego czytał gazetę.

Rudy przemówił do niego uprzejmie:

- Cześć, kurdupel. Jak się mają twoje małe bambinos? Włoch otworzył usta, a wtedy Rudy go uderzył. Położyliśmy go na podłodze, następnie podarliśmy jego fioletową koszulę na pasy, którymi związaliśmy mu ręce i nogi i zakneblowaliśmy usta.

- Nie powinno się bić facia w okularach - powiedział Rudy. - Ale pomyślałem, że wspinając się wentylatorem, narobisz kupę hałasu - a to słyhać tu na dole jak diabli. Tamci na górze nic nie usłyszą.

Zapewniłem go, że moim zdaniem, zrobił, co należało, po czym zostawiliśmy związanego Włocha na podłodze i odszukaliśmy ów wentylator, w którym nie było krat. Ucisnąłem dłoń Rudego, powiedziałem mu, że mam nadzieję go znów zobaczyć, i ruszyłem w górę po drabince wewnątrz wentylatora.

Było tu ciemno i zimno, a wilgotne od mgły powietrze pędziło z góry na dół, przeto wspinaczka wydała mi się niemiłosiernie długa. Po trzech minutach, które zdały się godziną, dotarłem do wylotu i wychyliłem ostrożnie głowę.

Nasłuchiwałem, ale nie usłyszałem policyjnych syren. Wydostałem się z wentylatora i zeskoczyłem na pokład.

Doleciały mnie szepty całującej się pary, która pod jedną z szalup znalazła intymne schronienie. Nie zwrócili na mnie uwagi. Minąłem wychodzące na pokład drzwi trzech czy czterech kajut. Zza żaluzji z okien dwóch z nich sączyło się słabe światło. Znów nasłuchiwałem, ale nie usłyszałem nic poza wesołym rozgardiaszem, jaki panował niżej - na głównym pokładzie, na którym bawili się klienci.

Stałem w zaciemnionym miejscu, nabrałem powietrza w płuca i wypuszczając je, wydałem z siebie skowyt - przeciągły skowyt szarego wilka, samotnego, głodnego i zagubionego, smutnego jak siedem nieszczęść.

Odpowiedziało mi niskie ujadanie policyjnego psa.

Wyprostowałem się, wyjąłem z kabury pistolet i pobiegłem tam, skąd dochodziło szczekanie. A dochodziło z kajuty po drugiej stronie pokładu.

Przyłożyłem ucho do drzwi i usłyszałem głos mężczyzny, próbującego uspokoić psa. Pies przestał szczekać, warknął raz i drugi, w końcu zamilkł. Ktoś przekręcił klucz w drzwiach, za którymi stałem.

Odsunąłem się nieco i przyklęknąłem na jedno kolano. Drzwi otwały się na szerokość stopy i zza ich krawędzi wysunęła się przylizana głowa. Światło z osłoniętej kloszem lampy pokładowej zaśniło na czarnych włosach. Wstałem i zdzieliłem tę głowę lufą pistoletu. Mężczyzna wypadł zza drzwi i osunął się łagodnie w moje ramiona. Wciągnąłem go z powrotem do kajuty i ułożyłem na zaścielonej koi.

Zatrzasnąłem drzwi i przekręciłem klucz w zamku. Na drugiej koi przycupnęła drobna dziewczyna o szeroko otwartych oczach.

- Witam, panno Snare - powiedziałem. - Znalezienie pani kosztowało mnie wiele trudu. Chce pani do domu?

Farmer Saint odwrócił się na wznak i usiadł, trzymając się za głowę. Siedział nieruchomo, wpatrując się we mnie swymi przenikliwymi czarnymi oczyma. Na jego ustach zagościł wymuszony, niemal wesoły uśmiech.

Obrzuciłem spojrzeniem kajutę i nie zobaczyłem psa, ale dostrzegłem wewnętrzne drzwi, za którymi mogli go trzymać. Popatrzyłem znowu na dziewczynę.

Podobnie jak większość ludzi sprawiających najwięcej kłopotów, nie wyróżniała się niczym szczególnym. Siedziała skulona na koi, z kolanami pod brodą i włosami opadającymi na jedno oko. Miała na sobie trykotową sukienkę, skarpetki do gry w golfa i sportowe buty z szerokimi, opadającymi jęczyczkami. Spod brzeżka sukienki wystawały nagie, kościste kolana.

Wyglądała jak uczennica.

Przeszukałem Sainta, ale nie znalazłem broni. Uśmiechnął się do mnie.

Dziewczyna uniosła dłoń i odrzuciła do tyłu włosy. Patrzyła na mnie tak, jakbym stał o kilka przecznic dalej. Nagle jej oddech stał się płytki i zaczęła płakać.

- To moja żona - powiedział cicho Saint. - Myślisz, że masz zamiar podziurawić mnie jak sito. To był sprytny pomysł z tym wyciem wilka.

Nic nie powiedziałem. Nasłuchiwałem. Żadnych hałasów na zewnątrz.

- Skąd wiedziałeś, gdzie jesteśmy? - spytał Saint.

- Diana mi powiedziała, zanim zmarła - oznajmiłem brutalnie.

W jego oczach pojawił się ból.

- Nie wierzę ci, tajniaku.

- Uciekłeś, zostawiając ją na lodzie. Czego się spodziewałeś?

- Pomyślałem, że przecież gliny nie rozwalą kobiety i że potem się jakoś z nimi dogadam, jeśli będę na wolności. Kto ją sprzątnął?

- Jeden z gliniarzy Fulwidera. Zdażyłeś go załatwić. Odrzucił głowę do tyłu i dziki wyraz pojawił się na moment na jego obliczu. Spojrzał w bok i uśmiechnął się do płaczącej dziewczyny.

- Hej, skarbie. Wyciągnę cię z tego. - Znow popatrzył na mnie. - Przypuśćmy, że poddam się bez walki. Czy jest sposób, by ona się z tego wywinęła?

- Ty ją w to wpakowałeś - powiedziałem. - Nie możesz więc jej z tego wyciągnąć. To część rachunku do wyrównania.

Pokiwał powoli głową i wlepił wzrok w kawałek podłogi między swoimi stopami. Dziewczyna przestała szlochać na chwilę dość długą, by przetrzeć policzki, i znow wybuchnęła płaczem.

- Fulwider wie, że tu jestem?

- Uhm.

Wzruszył ramionami.

- Z twojego punktu widzenia, prawidłowo. Jasne. Tyle że ja nie zdążę nic powiedzieć, jeśli przytknie mnie Fulwider. Gdybym mógł porozmawiać z prokuratorem okręgowym, może byłbym w stanie przekonać go, że dziewczyna nie ma nic wspólnego z moimi sprawkami.

- Trzeba było i o tym myśleć wcześniej - powiedziałem z powagą. - Nie musiałeś wracać do domu Sundstranda i pruć do wszystkich z tego twojego rozpylacza.

Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Nie? Przypuśćmy, że zapłaciłeś facetowi z dziesięć patoli za ochronę, a on cię wykiwał, porywając ci żonę i umieszczając ją w lipnej klinice odwykowej, i jeszcze mówi ci, abys zmykał jak najdalej i był grzeczny, bo jak nie, to pewnego dnia przyływ wyrzuci ją na plażę. Co byś zrobił - uśmiechnąłbyś się grzecznie czy poleciał do gościa z ciężkim sprzętem, by mu przemówić do rozsądku?

- Nie było jej tam wtedy - powiedziałem. - Wpadłeś po prostu w szal zabijania. A gdybyś tak nie uczepił się tego psa i nie czekał, aż zagryzie człowieka, twój opiekun nie przestraszyłby się i nie próbowałby cię wystawić.

- Lubię psy - rzekł cicho Saint. - Poza pracą jestem miłym facetem, ale można mną pomiatać tylko do pewnych granic.

Nasłuchiwałem. Wciąż żadnych hałasów na pokładzie.

- Posłuchaj - powiedziałem pośpiesznie. - Jeśli chcesz grać ze mną uczciwie, mam łódkę przy tylnym wyjściu i spróbuję zabrać dziewczynę do domu, zanim tamci się o nią upomną. Co się stanie z tobą, to nie moja sprawa.

Dziewczyna odezwała się nagle piskliwym głosem małej dziewczynki:

- Ja nie chcę do domu! Nie wrócę do domu!

- Już za rok będziesz mi dziękować - warknąłem na nią.

- On ma rację, skarbie - powiedział Saint. - Lepiej zmykaj razem z nim.

- Nie! - zapiszczała gniewnie. - Nie i już!

Ciszę panującą na pokładzie przerwało nagłe łomotanie do drzwi kajuty. Jakiś groźny głos zawołał:

- Otwierać! Policja.

Nie spuszczając Sainta z oka, błyskawicznie znalazłem się przy drzwiach.

- Jest tam Fulwider? - spytałem przez ramię, stojąc tyłem do drzwi.

- Aha - warknął gruby głos komisarza.

- Słuchaj, szefie. Jest tutaj Saint i chce się poddać. Jest też z nim dziewczyna, ta, o której panu mówiłem. Więc wchodźcie ostrożnie, dobra?

- W porządku - zgodził się komisarz. - Otwieraj pan. Przekręciłem klucz, skokiem znalazłem się po drugiej stronie kajuty i oparłem plecy o przepierzenie, zaraz obok drzwi, za którymi, powarkując, krążył pies.

Drzwi wejściowe otwały się z hukiem. Do środka wpadło z bronią w rękę dwóch nieznanych mi mężczyzn. Gruby komisarz wszedł zaraz za nimi. Nim zamknął drzwi, zauważyłem na pokładzie ludzi w marynarskich mundurach.

Dwaj detektywi przypadli do Sainta i nim go skuli, dali mu wycisk. Po chwili znów

stali obok komisarza. Saint uśmiechnął się do nich; krew sączyła się z jego dolnej wargi.

Fulwider patrzył na mnie z wyrzutem i obracał trzymany w ustach cygarem. Nikt nie wydawał się zainteresowany dziewczyną.

Jeden z detektywów odezwał się ochryplym głosem:

- Odłóż spluwę, tajniaku.

- Spróbuj mnie zmusić - odparowałem.

Ruszył w moją stronę, ale komisarz gestem kazał mu wrócić. Drugi detektyw obserwował Sainta, nie patrzył na nic innego.

- No i jak go pan znalazł? - zainteresował się Fulwider.

- Nie brałem od niego pieniędzy za pomoc w ukrywaniu się - odparłem.

Nic nie zmieniło się na twarzy Fulwidera. Jego głos stał się niemal leniwy.

- Oj, oj, szpiegowało się troszeczkę - powiedział łagodnie.

- Za jakiego matola uważał mnie pan i pański gang? - spytałem zniesmaczony. - Wasze czyste małe miasteczko cuchnie. Wszyscy wiedzą, że jest pobielanym grobem. Azylem dla oszustów, gdzie każdy, komu pali się grunt pod nogami, może znaleźć przystań - jeśli dobrze zapłaci i nie będzie nic kombinował na miejscu - a kiedy ktoś go mimo wszystko wypatrzy, może czmychnąć szybką motorówką prosto do Meksyku.

- Jeszcze coś? - spytał ostrożnie komisarz.

- Jasne! - krzyknąłem. - Wstrzymywałem się z tym cholernie długo. To pan kazał mnie naszprycować narkotykami do granic obłędu i zamknąć w prywatnym więzieniu. Gdy i to nie poskutkowało, umyśliliście z Galbraithem i Duncanem zastrzelić z mojego pistoletu waszego pomagiera, doktora Sundstranda, a następnie zabić mnie pod pozorem stawiania oporu przy aresztowaniu. Saint popsuł wam zabawę i uratował mi życie. Pewnie tego nie planował, ale tak właśnie zrobił. Cały czas wiedział pan, gdzie jest mała Snare. Wiedział pan, że jest żoną Sainta, i przetrzymywał ją, by zmusić go do uległości. Jedyne, jakiej pan nie wiedział, to powód, dla którego dałem panu znać, że on tu jest.

Detektyw, który próbował zmusić mnie do odłożenia broni, powiedział:

- Wystarczy, szefie. Lepiej się pośpieszmy. Federalni...

Fulwiderowi zadrzała szczeka. Twarz mu poszarzała, a oczy zapadły się głęboko w oczodołach. Cygaro dygotało między jego grubymi wargami.

- Poczekaj - powiedział bełkotliwie. Następnie zwrócił się do mnie: - No więc, dlaczego dał mi pan znać?

- Aby zwabić pana tam, gdzie nie jest pan bardziej przedstawicielem prawa niż Billy Kid - odparłem - i żeby zobaczyć, czy ma pan dość odwagi, by dopuścić się morderstwa poza

wodami terytorialnymi.

Saint roześmiał się. Spomiędzy jego zębów wydobył się niski, wibrujący gwizd. Odpowiedziało mu rozdzierające warczenie psa. Drzwi obok mnie otwarły się z hukiem, jakby kopnął je muł. Wypadł przez nie wielki policyjny pies i jednym długim skokiem pokonał szerokość kajuty. Jego szary tułów obrócił się w locie. Choć huknął strzał, kula nie wyrządziła psu żadnej krzywdy.

- Bierz ich, Voss! - darł się Saint. - Pożryj ich żywcem, piesku!

Ogień z broni palnej wypełnił kajutę. Warczenie psa przemieszało się ze stłumionym, niewyraźnym jękiem. Fulwider i jeden z policjantów już leżeli na podłodze, pysk psa zawisł nad gardłem komisarza.

Dziewczyna wrzasnęła i wcisnęła twarz w poduszkę. Saint zsunął się miękko z koi i leżał teraz na podłodze, a krew powoli spływała po jego szyi.

Detektyw - ten, który nie znalazł się na podłodze - omal nie runął głową w dół na koję dziewczyny, złapał jednak równowagę i pakował kulę po kuli w długi, szary korpus psa - strzelał na oślep, nie troszcząc się o cel.

Drugi detektyw, leżąc na podłodze, odepchnął psa. Zwierzę omal nie odgryzło mu ręki. Mężczyzna zawył z bólu. Czyjeś stopy zadudniły o pokład. Usłyszałem okrzyki na zewnątrz. Coś spływało po mojej twarzy, łaskocząc. Czulem dziwny ucisk w głowie, ale nie wiedziałem, co mnie uderzyło.

Odciągnąłem psa od Fulwidera i zobaczyłem, że zabłąkana kula ugodziła komisarza między oczy, z doskonałą precyzją ślepego trafu.

W pistolecie stojącego detektywa trzasnęła sucho iglica, trafiając na wystrzelony nabój. Zaklął i zaczął gorączkowo ładować broń.

Dotknąłem krwi na mej twarzy i przyjrzałem się jej. Wydała mi się bardzo czarna. Światło w kajucie zdawało się słabnąć.

Następnie wszystkie światła zgasły bardzo powoli, jak w teatrze, gdy kurtyna idzie w górę. Kiedy było już całkiem ciemno, zaboląła mnie głowa, ale jeszcze wtedy nie wiedziałem, że to kula otarła się o moją czaszkę.

*

Obudziłem się dwa dni później, w szpitalu. Zostałem tam przez trzy tygodnie. Saint nie żył wystarczająco długo, by mogli go powiesić, ale przed śmiercią zdążył opowiedzieć im całą swoją historię. Musiał to zrobić dobrze, bo pozwolono pani (Farmerowej) Saint wrócić razem z psem do domu ciotki. Nigdy więcej jej nie spotkałem.

Słyszałem, że w kręgach zbliżonych do miejskiego ratusza pojawiło się sporo nowych

twarży. Jedna z nich należała do rosłego, rudowłosego sierżanta detektywa, który utrzymywał, że co prawda, winien mi jest dwadzieścia pięć dolarów, ale musiał je wydać na zakup nowego garnituru, gdy z powrotem dostał swoją posadę. Obiecał oddać mi forszę po pierwszej wypłacie. Powiedziałem, że spróbuję być cierpliwy.

Robert Leslie Bellem

Głowa umarlaka

Los Angeles jest terenem działania kolejnego bezkompromisowego detektywa, Dana Turnera, znanego jako Hollywoodzki Detektyw. W sprawy, którymi się zajmował, rozgrywane się na tle hollywoodzkich studiów filmowych, zamieszani byli głównie ludzie z branży - od filmowych potentatów po śliczne, młode gwiazdki - uwikłani we wszelkie możliwe zbrodnie, począwszy od kradzieży, na szantażu, a nawet morderstwach skończywszy. Wszystkie historie z Danem w roli głównej, opowiedziane w pierwszej osobie, ukazywały go jako nonszalanckiego i nieugiętego człowieka czynu, podatnego na wdzięki niewieście, choć traktującego kobiety z taką samą zdawkową brutalnością, jaką miał dla każdego, kto mu wszedł w drogę lub zagroził. Hollywoodzki Detektyw debiutował w 1934 roku, w czerwcowej edycji „Spicy Detective Stories”, taniego czasopisma z jeszcze bardziej krzykliwą i sugestywną okładką niż inne jemu współczesne. Tekst opisujący pełne przemocy przygody Dana ilustrowany był rysunkami pięknych dziewcząt, dzielnie walczących, by za wszelką cenę utrzymać na sobie swoje i tak liche wdzianka, w rezultacie czego opowiadania te osiągnęły taką popularność, że w szczytowym okresie ukazywały się w przynajmniej trzech pisemkach, a także w miesięczniku „Dan Turner, Hollywoodzki Detektyw”, poświęconym wyłącznie ukazywaniu seksu i przemocy w show-biznesie. Żaden inny prywatny detektyw nie cieszył się podobną sławą.

Soczyste dialogi i podniecająca aura opowiadań z Danem Turnerem przyciągnęły szereg nieoczekiwanych admiratorów, łącznie ze słynnym humorystą S.J. Perelmanem, który zamieścił w „New Yorkerze” artykuł o naszym bohaterze, przedstawiając go jako „apoteozę wszystkich detektywów”. Perelman - który później napisał znakomitą parodię całego gatunku, zatytułowaną „Farewell, My Lovely Appetizer” („Żegnaj, szklaneczko”), z detektywem Mike’em Noonanem w roli głównej - nie należał do tych, co to, błędnie zakładając, iż winny być brane na serio, gardzili tego typu historiami. Podzielał tym samym wcale nieodosobniony pogląd, wyrażony między innymi przez historyka gatunku, Stephena Mertza, w jego epitafium dla całej sagi z Danem Turnerem, napisanym latem 1950 roku. „Ta seria - pisał Mertz - dała Bellemowi niewyczerpane możliwości ukazywania wywodzącej się od Hammetta i Chandlera tradycji we wciąż zaskakującym, przewrotnym i zabawnym ujęciu”.

Robert Leslie Bellem (1894-1968) najprawdopodobniej poznał Los Angeles jeszcze lepiej niż Chandler, mieszkając w nim od wczesnych lat dwudziestych i pracując jako reporter gazety, prezen-

radiowy, a od czasu do czasu - statysta filmowy. Ta dogłębna wiedza oraz ograniczanie do minimum opisów miejsc na korzyść akcji rozwijającej się z szybkością karabinu maszynowego spowodowały, że autentyczność otoczenia, które opisywał, nigdy nie budziła wątpliwości. Podobnie jak wielu innych autorów kryminalnych, Bellem był szalenie płodnym pisarzem - bywało, iż pisał wszystkie opowiadania do jakiegoś numeru „Dana Turnera, Hollywoodzkiego Detektywa”, publikowane później pod różnymi nazwiskami, znajdując przy tym czas na zasilanie innych czasopism, poświęconych zbrodni i zagadkom kryminalnym. Gdy nastał zmierzch tanich pisemek, w naturalny sposób przerzucił się na pisanie scenariuszy dla telewizji, by zostać autorem takich produkcji, jak „Dick Tracy, 77 Sunset Strip” czy „Superman”. (Nawiasem mówiąc, gdy pisałem te słowa, Fries Distribution Co. ogłosiła w Los Angeles plany nakręcenia serialu telewizyjnego o Danie Turnerze). Obecnie sława Hollywoodzkiego Detektywa zapewne już nieco przyblakła, ale jego wkład w rozwój gatunku został potwierdzony przez kilka autorytetów, łącznie z historykiem prozy kryminalnej, Ronem Goulartem, który w 1988 roku nazwał Turnera „wylobzonym wersją Race’a Williama i zapowiedzią Mike’a Hammera, którego miał dać światu Mickey Spillane”. Przerazająca scena początkowa opowiadania „Głowa umarlaka”, z numeru „Spicy Detective Stories” z sierpnia 1935 roku, może natomiast uchodzić za zapowiedź całego szeregu podobnych scen - zwłaszcza tej z drugiej części „Ojca chrzestnego”, będącej jednym z najokropniejszych momentów w tym klasycznym filmie o świecie przestępczym lat trzydziestych.

*

Otworzyłem paczkę i na moje kolana wypadła ludzka głowa. Głowa mężczyzny z dziurą po kuli między oczyma.

Zdarzyło się to późną nocą, w moim mieszkaniu. Byłem tego wieczoru w „Chinese” na najnowszym filmie z Chaplinem i kiedy dotarłem z powrotem do domu, pod drzwiami leżała paczka owinięta w brązowy papier. Podniosłem ją i zabrałem do środka.

Nie było na niej żadnych znaczków pocztowych. Żadnych nalepek poczty kurierskiej także. Najwyraźniej ktoś dostarczył ją osobiście. Na wierzchu widniał napis drukowanymi literami: „Dla Dana Turnera, prywatnego detektywa”. I to wszystko. Bez nazwiska nadawcy, bez adresu zwrotnego.

Przeciąłem sznurek i rozpakowałem zawiniątko. I wtedy właśnie odcięta głowa wytoczyła się na moje kolana.

Wystraszyła mnie nie na żarty.

- Co jest, do cholery! - wrzasnąłem i skoczyłem na równe nogi. Głowa uderzyła o podłogę z makabrycznym tąpnięciem i potoczyła się kawałek po dywaniku w moim salonie. Następnie zatrzymała się twarzą do góry. Paskudny widok.

Przez chwilę trząsałem się jak diabli. Sięgnąłem po butelkę Vat 69 i wychyliłem spory

łyk. Poczulem się po tym trochę lepiej, ale nie za bardzo. Podszedłem bliżej i uniosłem obciętą głowę do góry.

Wokół dziury na czole nie było krwi. Ani na szyi. Wszystko zostało elegancko oczyszczone. Wystarczył rzut oka na białe, zimne rysy twarzy, by rozpoznać, do kogo należała.

*

To była głowa Chudego Arkle'a. Może go pamiętacie. Był gwiazdą filmowej komedii w czasach niemego kina. Chudy Arkle był jeszcze bardziej zabawny niż jego nazwisko. W prastarej kategorii obrzucania się tortami był pierwszorzędny. A sposób, w jaki wyciągał sobie z ust sztuczną szczękę i zasysając policzki, marszczył twarz, rozśmieszał naród do łez. Lecz będąc u szczytu popularności, Chudy Arkle wpakował się w niezłe tarapaty.

Raz w San Diego poszedł na popijawę w towarzystwie tajemniczej przyjaciółki nazwiskiem Nancy Norward. Oboje spili się - i panna kopnęła w kalendarz. Próbowano rzucić odpowiedzialność za tę śmierć na Arkle'a, ale sędziowie przysięgli zdecydowali ostatecznie, że dziewczyna wykitowała z powodu ostrego alkoholizmu, połączonego z chorobą gardła, czy coś w tym stylu. Tak czy owak, puścili Chudego wolno.

Niemniej skandal załatwił go na amen. We wszystkich studiach filmowych znalazł się na czarnej liście; sprawa mocno śmierdziała. Kompromitowała przy tym całe Hollywood, więc Chudy musiał dostać po łapach - potrzebny był kozioł ofiarny.

Zniknął z ekranu; od czasu awantury nie pojawił się w ani jednym filmie. Na moment wyjechał do ojczystej Jugosławii, potem wrócił do Hollywood i ożenił się ze śliczną dziewczuszką nazwiskiem Kitty Calvert - rudowłosą dzierlatką o kształtach jak siedem milionów dolców. Była gwiazdką wytwórni Altamount i co tydzień przynosiła w kopercie z wypłatą dość szmalu, by oboje mogli uważać się za dobrze ustawionych. Skoro o tym mowa, krążyły plotki, że i Arkle miał odłożoną sporą sumkę, jeszcze z czasów, gdy niezłe mu się wiodło.

To była historia Chudego Arkle'a, tak jak ją zapamiętałem. A teraz jego obcięta głowa szczyrzyła się do mnie z podłogi mojego salonu - w dodatku z kulą w mózgu.

Podniosłem ją i położyłem na stoliku do czytania. Chwyciłem za telefon. Wykręciłem numer Dave'a Donaldsona, mojego znajomego z wydziału zabójstw. Gdy odebrał, odezwałem się:

- Tu Dan Turner. Posłuchaj, Dave, zdarzyło się coś dziwnego. - I opowiedziałem mu o wszystkim.

On na to:

- Na miłość boską! Chyba jesteś pijany. Nie masz tam przypadkiem różowych słoni?

- Nie, do diabła. To wszystko prawda - odparłem. A on:

- Rany! Spotkajmy się przed komisariatem za piętnaście minut. Weź głowę ze sobą.

Powiedziałem: „W porządku” i rozłączyłem się. Wtem wydało mi się, że słyszę jakiś hałas za drzwiami prowadzącymi na korytarz.

Tak czy owak, byłem dosyć zdenerwowany. Nieźle mną telepało. Wyciągnąłem samopowtarzalny pistolet kaliber.32, który zawsze noszę w kaburze pod pachą, i skoczyłem ku drzwiom.

*

Na korytarzu stała wysoka, posągowa blondyna. Tkwiła tam już od paru chwil. Wyglądała na cholernie przestraszona, gdy nagle zjawiłem się przed nią.

- O-och! - powiedziała i zabrzmiało to jak stłumione westchnienie.

- Kim jesteś, do cholery? Czego chcesz? - zapytałem.

- Ja... szukam Dana Turnera - odparła.

Przyjrzałem się jej dokładnie. Wydała mi się czymś mocno zaniepokojona, bez dwóch zdań. Ale była przepiękna - w taki trochę wyzywający sposób. Jej blond głowa sięgała powyżej mojego barku, a mam prawie sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Tak na oko, powiedziałbym, zbliżała się do trzydziestki, ale miała piekielnie dobry makijaż, który sprawiał, że wyglądała znacznie młodziej. A jej figura zapadała w pamięć.

Nie była chuda, w przeciwieństwie do wielu wysokich lasek. Nie była też zbyt muskularna. Po prostu świetne proporcje, stosowne do jej wzrostu. Piękna i zmysłowa! Wszystkie krzywizny ciała idealnie wyprofilowane.

- Słuchaj, dziecko - odezwałem się. - Przykro mi, że masz zmartwienie, ale ja nie mam teraz czasu rozmawiać z tobą. Przyjdź jutro do mojego biura.

- Ależ nie! - ona na to. - Musi mnie pan wysłuchać natychmiast, panie Turner! Musi pan!

Pomyślałem o spotkaniu z Donaldsonem za piętnaście minut przed komisariatem i powiedziałem:

- Przykro mi, siostrzyczko. Będziesz mi musiała wybaczyć.

- Pan... pan nie chce mnie wysłuchać?

- Oczywiście, że cię wysłucham. Jutro. Jej oczy przybrały jakiś dziki wyraz.

- Zmuszę pana, by mnie pan wysłuchał!

I zanim zdołałem ją powstrzymać, zmierzwiła swoje blond włosy i rozerwała przód sukienki.

- Zaczę krzyczeć i powiem wszystkim, że pan mnie zaatakował!

- Do diabła! - zawołałem. - Jeśli to aż tak ważne, to dawaj, wyrzuć z siebie tę historię. Ale zasłoń się, bo zaraz możesz rzeczywiście mieć powód do krzyku.

Wyciągnąłem ku niej dłoń i poprawiłem jej sukienkę. Poczulem mrowienie w palcach od tak bliskiego kontaktu z tym ciałem.

Dziewczyna odezwała się:

- Ja... nazywam się Constance Calvert. Jestem siostrą Kitty Calvert. *Tej* Kitty Calvert - gwiazdy Altamount. Żony Chudego Arkle'a.

Zesztywniałem.

- Ta-ak?

- Tak. I bardzo martwię się o Kitty. Boję się o nią. Pokłóciła się strasznie z Chudym Arkle'em. Po sprzeczce Chudy wyszedł z domu. To było trzy dni temu. Wychodząc, zagroził, że wróci i z-z-zamorduje Kitty. Nie widzieliśmy go od tamtej pory, ale jestem przerażona. Chcę, żeby pan go odnalazł... Ująłem ją za ramię i powiedziałem:

- Wejdz. Chcę ci coś pokazać. Nie będziesz się musiała już więcej przejmować Chudym Arkle'em.

*

Poprowadziłem ją do salonu. Na stole ujrzała odciętą głowę Chudego Arkle'a. Pobladła.

- O mój Boże! - wykrztusiła i, niech mnie, zemdląca. Osunęła się bezwładnie na ziemię, a rozerwany przód sukienki rozchylił się i poprzez rozdarcie wyzierała biała skóra.

- Do diaska! - powiedziałem, pochylając się nad dziewczyną. Podźwignąłem ją z podłogi, zaniósłem do sąsiedniego pokoju i położyłem na tapczanie. Była nieprzytomna. Nie wiem, ile zajęłoby mi ocucenie jej, ale właśnie w tym momencie nie miałem na to czasu. Musiałem pędzić na komisariat, by nie spóźnić się na spotkanie z Donaldsonem.

Z drugiej strony, przyszło mi na myśl, że ten blond kociak, Constance Calvert, może być kluczem do całej afery.

Myśleć, że całkiem przypadkowo zjawiła się u mnie tej samej nocy, kiedy otrzymałem odciętą makówkę Arkle'a, byłoby grubym naciąganiem teorii zdarzeń losowych. W jakiś sposób była zamieszana w tę sprawę. Może to ona przyniosła paczkę i zostawiła ją pod moimi drzwiami?

Cóż, nie mogłem zabrać jej ze sobą na komisariat. Przynajmniej póki była nieprzytomna. Ale nie chciałem też, by uciekła. Użyłem więc wypróbowanej sztuczki.

Zdjąłem z jej bezwładnego ciała sukienkę, następnie buty i szyfonowe pończochy.

Krew we mnie zawrzała od tego zajęcia, ale trzymałem się zadania i niebawem dziewczyna miała na sobie już tylko czarną koronkową bieliznę.

Była piekielnie słodkim stworzeniem. Miała skórę gładką i ciepłą jak świeża śmietanka, i jeszcze w sobie to coś, co sprawia, że facet wariuje. Lecz ja nie miałem czasu na wariowanie, więc przykryłem ją kocem i wyszedłem.

Zabrałem ze sobą jej łachy. Podniosłem głowę Chudego, zawinałem w brązowy papier i zszedłem do mojego gruchota. Chwilę później pędziłem jak diabli.

Dave Donaldson czekał przed komisariatem. Weszliśmy do jego biura, a gdy pokazałem mu głowę, zawołał:

- Na miłość boską! To Arkle, jak żywy! Kto, u licha?... Ja na to:

- Poczekaj chwilę. Nie wyskakuj z mnóstwem wariackich pytań. Nie pytaj mnie, dlaczego to cholera została dostarczona do mojego mieszkania. Nie rozumiem tego i nie będę udawał, że jest inaczej. Ale mam teorię na temat śmierci Chudego Arkle'a.

- Teorię? - spytał Donaldson.

- Tak. A teraz słuchaj. Arkle był żonaty z dziewczyną nazwiskiem Kitty Calvert. Kitty ma siostrę, Constance Calvert. I właśnie gdy miałem jechać do miasta, by spotkać się z tobą, Constance znalazła się pod moimi drzwiami. Jest wysoką blond cizią z ogromną ilością seksapilu...

- Do diabła z tym - mruknął Donaldson. - Czego chciała?

- Twierdziła, że boi się o siostrę - odparłem. - Powiedziała, że Kitty i Chudy Arkle bardzo się pokłócili trzy dni temu. Chudy groził żonie śmiercią. Potem zniknął i nie widziano go od tamtej pory.

- I co z tego? - zachrypiał Donaldson.

- Otóż to. Może opowieść Constance Calvert została sfabrykowana. Jej siostra rzeczywiście mogła mieć sprzeczkę z Chudym; może Kitty zastrzeliła biedaka, a następnie wysłała siostrę, by ta zobaczyła się ze mną.

- Po co?

- By ukryć morderstwo. By wyglądało na to, że nie wiedzą, gdzie jest Chudy.

Donaldson spytał:

- Gdzie jest teraz siostra Kitty Calvert?

- W moim mieszkaniu. Nie ucieknie.

- Poczekaj, zaniósę głowę do koronera - powiedział. - Potem złożymy wizytę Kitty.

Nie było go przez jakieś dwie minuty. Po wyjściu z budynku załadowaliśmy się do mojego grata. Ja prowadziłem - i nie oszczędzałem prędkościomierza. Niebawem

zaparkowaliśmy przed domem Arkle'a w Westwood.

Zauważyłem inny samochód, stojący przy krawężniku kilka domów dalej. Był to duży, kasztanowy cadillac, i wydał mi się skądś znajomy. Ale nie byłem pewien, a nie było sensu sprawdzać właśnie teraz. Weszliśmy, Donaldson i ja, na ganek przy wejściu do domu Arkle'a i nacisnęliśmy dzwonek.

Drzwi otworzyła śliczna, mała skośnooka służąca.

- Chcemy się widzieć z panią Arkle - powiedziałem. Skośnooka mówiła biegle po angielsku. Zapewne urodzona w Ameryce.

- Panna Kitty Calvert udała się na spoczynek, proszę pana. Będą panowie łaskawi przyjść jutro rano.

Dave Donaldson odsunął mnie na bok i błysnął policyjną odznaką.

- Zobaczymy się z nią teraz! - warknął. Skośne oczka rozszerzyły się na moment.

- Ależ - ktoś jest z... - zaczęła mówić. Przerwała, rumieniąc się nieznacznie.

Spytałem więc:

- Ktoś z nią jest, hę? Mężczyzna?

- Nic o tym nie wiem - odparła skośnooka dama. Widać było, że kłamie. Jej lewa ręka jakby pofrunęła w stronę serca i spoczęła na piersi skrytej pod uniformem.

Donaldson nie tracił więcej czasu. Odepchnął wschodnią piękność na bok i powiedział:

- Ruszaj się, Turner.

Wbiegł po schodach na piętro. Ja za nim. I wtedy - dokładnie w chwili, gdy dotarliśmy na piętro - rozległ się strzał.

- Co, do diabła!... - zawołałem i rzuciłem się na zamknięte drzwi. To właśnie zza tych drzwi usłyszeliśmy huk wystrzału. Naparłem na nie ramieniem. Rozwarły się na oścież. Z trzydziestką dwójką w dłoni wskoczyłem do wnętrza, a zaraz za mną Donaldson.

Pokój zrobiony był cały na różowo. W rogu świeciła przykryta różowym abażurem lampa. Doleciał mnie zapach drogich perfum. Ale w powietrzu dało się wyczuć coś jeszcze. Cierpką woń strzelniczego prochu.

W jednej sekundzie mój wzrok zarejestrował całą scenę. Na łóżku leżała prawie naga kobieta - a raczej dziewczyna. Dziewczyna o rudych włosach i najpiękniejszych kształtach, jakie widziałem; i najpiękniejszych nogach. Absolutnie powalająca. To była Kitty Calvert - żona Chudego Arkle'a.

Była martwa jak wędzona ryba.

W jej piersi widniała dziura po kuli, zaraz nad sercem. Została trafiona niemal

dokładnie w sam środek klatki piersiowej.

I tam gdzie ją trafiono, widniała teraz okrągła, czerwona dziura, a z niej sączyła się krew.

Zaraz za łóżkiem stał mężczyzna, bez płaszcza i kamizelki, blady jak ściana. Ze spluwą w łapie.

*

Rozpoznałem go. Był to Billy Sanston - wzięty reżyser ze studia Altamount. To właśnie on reżyserował filmy z Kitty Calvert. Teraz przypomniałem sobie, gdzie już widziałem kasztanowego cadillaca - tego zaparkowanego na zewnątrz. To był samochód Sanstona. Nieraz widziałem go za kółkiem.

- Ty zawszony szczurze! - huknął Donaldson i wycelował broń w Sanstona. - Rzuć, gnoju, pistolet!

Sanston posłuchał. Jego pistolet uderzył o podłogę.

- Dobry Boże! Chyba nie myśli pan, że ja?... Donaldson odrzekł:

- Ja nic nie myślę. Jeśli ma pan coś do powiedzenia, proszę zachować to dla swojego adwokata. A teraz rączki poproszę - nałożymy bransoletki.

Reżyser zachwiał się lekko.

- Ale... ale nie możecie mnie aresztować za coś, czego nie zrobiłem! Mój Boże, będę zrujnowany! Zona rozwiedzie się ze mną... stracę pracę...

- Trzeba było o tym pomyśleć wcześniej. Zabawiał się pan z Kitty Calvert, może nie? Sanston zarumienił się.

- T-tak, ale nie zabiłem jej. Przysięgam, nie zrobiłem tego! Byłem tu z nią dziś wieczór. Przyznaję. I-i tylko wyszedłem na chwilę do drugiego pokoju. Wtedy usłyszałem strzał. Przybiegłem tu i zobaczyłem Kitty leżącą na łóżku. Była martwa; obok niej leżał pistolet. Pod-podniosłem go i wtedy wy wtargnęliście do pokoju. Ona - ona musiała się sama zastrzelić...

- Idiota! - warknął Donaldson. - Ruszysz się wreszcie czy mam cię walnąć w łeb miększym końcem mojej spluwę?

Sanston pochylił się w naszą stronę, wyciągając ręce do bransoletek. Nagle zaskoczył nas niebywałą sztuczką. Lewą ręką wytrącił służbową trzydziestkę ósemkę Donaldsona. Następnie jemu samemu zadał nokautujący cios w szczękę. Dave upadł.

Skoczyłem na Sanstona, ale zdołał mi się wyrwać. Złowił spluwę - tę samą, którą wcześniej upuścił. Wziąłem go na cel i nacisnąłem spust. Ale jak ostatni głupiec zapomniałem odbezpieczyć pistolet. Gdy pociągnąłem za spust, po prostu nic się nie stało.

Tymczasem Billy Sanston wybiegł z pokoju i pędził na złamanie karku schodami na dół.

*

Rzuciłem się za nim w pościg. Biegając, usłyszałem, jak Donaldson staje na nogi. Przeklinając, pokuśtykał moim śladem. Dopadłem do schodów i pognałem na dół. Ale Sanston miał lepszy start. Nim dotarłem do połowy schodów, trzasnęły drzwi wejściowe. Grzmotnęły tak mocno, że zatrzęsły się szyby w oknach. Wiedziałem aż za dobrze, że Sanstona nie ma już w domu.

- Ty wszawy szczurze! - wrzasnąłem i pokonałem ostatnie pięć stopni jednym długim skokiem. Szarpnięciem otwarłem frontowe drzwi i wybiegłem na zewnątrz. Ujrzałem Sanstona za kierownicą cadillaca. Wtem dwa wystrzały huknęły pośród nocy.

Zrobiłem unik, myśląc, że to Sanston strzela do mnie. Ale nie usłyszałem świstu pocisków. I wtedy stała się rzecz dziwna. Sanston nie próbował uruchomić samochodu i odjechać. Wyglądało to tak, jakby osunął się na kierownicę.

Dave Donaldson dogonił mnie i obaj doskoczyliśmy do kasztanowego cadillaca. Szarpnięciem otworzyłem przednie drzwi i...

- Co to, do cholery?!...

Krew wypływała z ust Sanstona - wprost wylewał z siebie potoki karmazynowej krwi. Zakaszłał. Przykry dźwięk, taki krwawy kaszel umierającego człowieka. Po chwili zadrżał, zeszywniał i zwiotczał.

Donaldson spojrzał na pistolet w otwartej dłoni, spoczywającej na wyściełanym siedzeniu. Ten sam, który Sanston zabrał ze sobą, wychodząc z buduaru Kitty Calvert. Nad wylotem lufy wiła się smużka dymu. Donaldson wystękał:

- Boże! Zastrzelił się! Ja na to:

- Taaa. Być może.

- Jak to być może?

- Cóż, może nie popełnił samobójstwa. Może ktoś go zamordował.

*

Donaldson spojrzał na mnie.

- Zwariowałaś?

- Nie, nie sądzę. Próbuję tylko poukładać sobie kilka rzeczy.

Posłuchaj - załóżmy, że Sanston mówił prawdę. Załóżmy, że był w domu Kitty i zabawiał się z nią. Załóżmy, że opuścił ją na chwilę, by napić się wody lub odcedzić kartofelki. Może właśnie wtedy, kiedy jego nie było w pokoju, Kitty została zastrzelona?

- Chodzi ci o to, że mogła faktycznie sama się zastrzelić, a on wszedł i po prostu podniósł spluwę, którą ona upuściła?

- Nie bądź tępy, Dave - odparłem. - Nie widziałeś przecież śladów prochu na jej ciele.

- Nie. Jak teraz o tym pomyślę, to nie widziałem.

- A zatem nie zastrzeliła się sama.

- Dobra, dobra - powiedział Donaldson. - To Sanston ją zabił. A teraz sam siebie załatwił, bo zdał sobie sprawę, że złapaliśmy go na gorącym uczynku.

A ja na to:

- Nie tak prędko. Słyszałeś, że Sanston mówił coś o swojej żonie. Nie chciał zostać aresztowany, ponieważ jego żona rozwiodłaby się z nim, a skandal spowodowałby utratę pracy w filmie.

Oczy Dave'a zwęziły się.

- Na Boga! Sądziysz, że to jego żona?... Wskazałem na boczną ścianę domu.

- Spójrz. Drabina oparta o mur. Dokładnie pod oknem buduaru Kitty Calvert.

Donaldson spojrzał i zawołał:

- Mam! Pani Sanston przyjechała tu za swym mężulkiem, zobaczyła go z Kitty Calvert i zastrzeliła dziewczynę. Nie zdołała jednak zastrzelić również męża, bo ten wyszedł na chwilę z pokoju, a kiedy wrócił, my wpadliśmy do środka. Zaczaiła się więc na niego tu na zewnątrz, koło samochodu. I co ty na to?

- To już jest przynajmniej jakaś teoria - odparłem. - Pasuje do drabiny przystawionej do okna.

- A zatem musimy dorwać panią Sanston, na Boga! Może jeszcze jest gdzieś tutaj. Dawaj - poszukajmy jej!

Właśnie gdy wypowiadał te słowa, usłyszałem ryk motoru gdzieś zza rogu sąsiedniego domu. Powiedziałem więc:

- Jeśli to pani Sanston, to akurat w tym momencie nam zwiewa. Prawdopodobnie pojedzie do domu, by załatwić sobie jakieś alibi.

- Alibi, psiakrew! - ryknął Donaldson. - Dorwę ją! Przymknę ją i wyduszę z niej całą prawdę!

- Ruszaj. Weź moją brykę. Ja wrócę do budynku i zadzwonię na komisariat, żeby przyjechali zabrać stąd dwa ciała.

I tak Dave wsiadł do mojego coupe i ruszył w drogę.

*

Wróciłem do budynku. Znalazłem telefon i powiadomiłem komisariat o tym, co się

zdarzyło. Gdy odwieszałem słuchawkę, wydało mi się, że słyszę kogoś stąpającego na palcach w pokoju za moimi plecami. Zabawna sprawa z tymi ludźmi, którzy skradają się, próbując nie robić żadnego hałasu. Usłyszysz ich wcześniej, niż usłyszałbyś zwyczajny odgłos kroków.

Jednym susem znalazłem się w jadalni, bo stąd dochodził rzeczony hałas. Spostrzegłem skośnooka. Próbowała wymknąć się przez przeszklone drzwi, prowadzące na taras.

Rzuciłem się w jej stronę. Gdy ją pochwyciłem, próbowała wepchnąć sobie coś za dekolt. Wsadziłem palce za wcięcie jej uniformy i szarpnąłem. Roztargałem przód jej stroju, aż coś sfrunęło na podłogę. Sięgnąłem po to. Był to prostokątny kawałek żółtego papieru.

Skośnooka próbowała mi go wyrwać. Uderzyłem ją w twarz, zaciskając drugą dłoń na obu jej szczupłych nadgarstkach. Następnie przyjrzałem się kawałkowi żółtego papieru. Był to czek. Wystawiony na pannę Violet Chang i podpisany: „Rodney Arkle”. Rodney to było prawdziwe imię Chudego Arkle’a. Czek opiewał na pięćset dolców.

- Skąd masz ten czek, do cholery?

- Pan Arkle d-dał mi go trzy d-dni temu - zakwiliła. Wyglądała na przestraszoną jak diabli.

- Po co?

Zamknęła się jak ostryga. Zacisnęła swe czerwone usta. Wiedziałem, że będę musiał zastosować metodę „na jaskiniowca”, by czegoś się od niej dowiedzieć. Chwyciłem ją więc za ramiona i potrząsałem, aż zagrzechotała zębami. Powiedziałem:

- A teraz słuchaj, panno Violet Chang. Jeśli nie chcesz zostać poturbowana do nieprzytomności, zacznij gadać. Co powiesz na porządnego strzała w szczękę?

- Nie... nie! Nie bij mnie!

- No dobrze. Więc odpowiadaj. Dlaczego próbowałaś uciec przez to okno?

- P-ponieważ - odpowiedziała - się boję! Nie chcę być zamieszana w tę sprawę.

Przesunąłem palcami po jej barku, udając, że chcę ścisnąć ją z całej siły. Przyznam, że to dotykanie sprawiło mi niemałą frajdę.

- Dlaczego obawiasz się, że zostaniesz zamieszana w tę sprawę? - spytałem.

Nagle skośnooka ślicznotka przylgnęła do mnie ciałem i owinęła ramiona wokół mojej szyi, mówiąc:

- Błagam, panie detektywie, zrobię wszystko, o co pan poprosi, jeśli pomoże mi pan wypłatać się z tego. Mam... mam brata, który przedostał się do kraju nielegalnie. Jeśli zostanę zamieszana w tę strzelaninę, policja zacznie mnie przesłuchiwać, przyglądać się rodzinie.

Mogą odkryć mojego brata i deportować go...

*

Przylegała do mnie jak bibułka. Ciepłe, miękkie krzywizny jej ciała dotykały mojej klatki piersiowej; wysunęła usta do pocałunku...

Cóż, jestem przecież człowiekiem. Pochyliłem się więc i pocałowałem... poczułem, jak jej wargi rozwierają się pod moimi. Krew galopowała w mych żyłach, całkiem poza kontrolą...

*

Jakiś czas później odezwałem się:

- Dobra, mała. Teraz, gdy już wiesz, że jestem twoim przyjacielem, może odpowiesz mi na parę pytań, co?

- Na przykład jakich? - spytała.

- No więc, po pierwsze, jak długo Billy Sanston miał romans z twoją panią Kitty Calvert? Od jak dawna ją odwiedzał?

- D-długo. Prawie od roku. T-teraz pozwól mi iść, proszę...

- Chwila. Powiedz mi jeszcze: czy Kitty знаła żonę Billy'ego?

- T-tak. Trochę. Nie były dobrymi przyjaciółkami. Czasem odnosiłam wrażenie, że pani Sanston podejrzewa męża o romans z panną Calvert. Oczywiście, nie mogłam mieć pewności. Teraz proszę, pozwól mi odejść, zanim nadjedzie policja!

Na zewnątrz, z oddali, słychać było zawodzenie syren.

- Pewnie, dziecinko. Włóż płaszcz, by się okryć, i zmykaj przez drzwi na taras.

Potrzymałem dla niej płaszcz, gdy go wkładała. Trochę się nawet przy tym grzebałem, by zyskać na czasie. W końcu pomogłem jej wydostać się przez przeszklone drzwi w jadalni - dokładnie w chwili, gdy ludzie z komisariatu zadzwonili do drzwi frontowych. Pognałem do holu i zawołałem przez rozbitą szybę w drzwiach:- Szybko, z drugiej strony! Skośnooka dziewczyna zwiewa! Łapcie ją!

Ci gliniarze potrafili się szybko poruszać. Słyszałem, jak biegli wokół domu. Dokładnie tego chciałem.

Przez chwilę byłem sam. Zapaliłem peta i wszedłem na górę. Nie wiedziałem, czego szukam, ale liczyłem na to, że może coś znajdę. Już trzy morderstwa nie dawały mi spokoju: Chudego Arkle'a, jego żony i Billy'ego Sanstona. Byłem przekonany, że to morderstwa; i coś mi mówiło, że są ze sobą powiązane w taki czy inny sposób.

Najpierw zerknąłem na buduar, w którym znajdowały się zwłoki Kitty Calvert. Następnie przeszedłem do sąsiedniej sypialni. Był to pokój Chudego Arkle'a. Spostrzegłem

otwartą szufladę biurka.

W szufladzie leżał stary album z wyblakłymi wycinkami z prasy z czasów, gdy Chudy wciąż coś znaczył w komedii filmowej. Były tam jego zdjęcia w kostiumach i w prywatnym ubraniu. Nawet jedno zdjęcie z czasów dzieciństwa, z rodziną, zrobione jeszcze w Jugosławii, a na nim matka, ojciec, dziadkowie, brat dokładnie w tym samym wieku co Chudy, dwie starsze siostry i garść wujków i ciotek. Nie zabrałem jednak albumu ze sobą. Był zbyt duży, zbyt nieporęczny.

Chwilę później znalazłem pustą książeczkę czekową, z samymi odcinkami kontrolnymi. Spojrzałem na trzy ostatnie. Z pierwszego z nich dowiedziałem się, że został wypisany czek na pięć stówek dla chińskiej służącej, Violet Chang. Drugi głosił: „Szpital w Pasadenie, 250 000 dolarów, płatne w całości”. Trzeci był gotówkowy - na pięćdziesiąt tysiąków!

*

Zanim zdołałem rozglądnąć się jeszcze trochę, usłyszałem sakramencką wrzawę na dole. Policjanci przyskrzynili Chinkę. Nie chciałem, by widzieli, że myszkuję wśród rzeczy Chudego Arkle'a, więc raz-dwa zszedłem na dół. I powiedziałem:

- Lepiej zrobicie, chłopaki, jeśli zapuszczajecie tę dziewczynę. Zdaje się, że ona coś wie. A nie pożyczylibyście mi auta na chwilę? Dave Donaldson zabrał moją brykę.

Jeden z detektywów odpowiedział:

- W porządku. Niech pan weźmie czerwonego roadstera, panie Turner. Jeśli już nie będzie potrzebny, proszę odstawić go do komisariatu.

Opuściłem ich i wsiadłem do czerwonego kabrioletu. Wróciłem do swojego mieszkania. Jak tylko zaparkowałem przed budynkiem, ujrzałem kogoś w drzwiach wejściowych. Kogoś w garniturze, który wydał mi się znajomy.

To był jeden z moich garniturów!

- Co, u licha! - zawołałem i skoczyłem w stronę gościa. Złapałem go. Tylko że to nie był on; to była ona. Ta blond cizia, Constance Calvert.

Szamotała się, krzycząc:

- Przeklęty draniu! Puszczaj mnie!

- Jasne! - odparłem. - Dawno wyszłaś z mieszkania?

- Przed... przed chwilą. Znalazłam twój garnitur i go włożyłam. Dlaczego zabrałeś mi ubranie?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, usłyszałem pisk hamulców. Odwróciłem się. To był Dave Donaldson w mojej gablocie. Wyskoczył, zobaczył mnie z blondyną i zapytał:

- Co jest?

- Załóż jej bransoletki, Dave - powiedziałem. - Trudno ją utrzymać.

Dave założył jej kajdanki. Po czym rzekł:

- Turner, mam nowinę!

- Jaką nowinę? - ja na to.

- No więc, po pierwsze - burknął Donaldson z obrzydzeniem - pani Sanston ma doskonałe alibi. Cały wieczór grała w brydża z przyjaciółmi. Nie wychodziła. To ją eliminuje z listy podejrzanych. Ale na komisariacie znalazłem coś cholernie interesującego. Billy Sanston był już wcześniej żonaty. Jego pierwsza żona nazywała się Nancy Norward. Słyszałeś o takiej?

- Dobry Boże! - odparłem. - Nancy Norward była tą dziewczyną, która zmarła na przyjęciu w San Diego, będąc tam w towarzystwie Chudego Arkle'a.

A Dave na to:

- Uhm. Teraz łapiesz sytuację? Sanston musiał żywić urazę do Arkle'a przez te wszystkie lata. Dla wyrównania rachunków zabawiał się z Kitty Calvert, jego żoną. W końcu załatwił samego Arkle'a i uciął mu głowę. Być może Kitty dowiedziała się o tym, musiał więc zabić i ją. Następnie, gdy wpadliśmy na niego w buduarze Kitty, popełnił samobójstwo. Nie miał wyjścia.

- Może masz rację, Dave - powiedziałem. - To wszystko się pięknie zgadza. Z wyjątkiem jednej rzeczy. Dlaczego ucięta głowa Arkle'a trafiła do mnie?

- Tego nie wiem - mruknął Donaldson. - I jest jeszcze jeden dziwny szczegół. Lekarz medycyny sądowej stwierdził w raporcie, że kula znalazła się w makowie Arkle'a po jego śmierci! Stan tkanki czy coś takiego. O - tu jest ten raport.

*

Wręczył mi kartkę papieru. Dałem mu Constance do potrzymania, a sam przyjrzałem się świstkowi w świetle ulicznej latarni. Był to zwyczajny urzędowy raport koronera: opis rany postrzałowej, stan zwłok, kolor włosów i oczu, tyle i tyle wypełnionych ubytków w zębach, i sposób, w jaki najprawdopodobniej odcięto głowę od reszty ciała. Przeczytałem to wszystko tylko raz. I już miałem odpowiedź.

Skoczyłem z powrotem ku Donaldsonowi, mówiąc:

- Szybko! Do wozu! Zabieramy panienkę ze sobą. I musimy naprawdę zasuwać!

- Dokąd to tak nam pilno? - dopytywał się Dave. I ja mu odpowiedziałem:

- Do Pasadeny! Do szpitala w Pasadenie!

Podróż zabrała nam zaledwie trzydzieści minut, a ja zignorowałem jakiś tuzin znaków

stopu po drodze. Zdarłem cały bieżnik z opon, zatrzymując się z piskiem przed budynkiem szpitala w Pasadenie. Złapałem Donaldsona za ramię.

- Ruszaj się! - zawołałem.

- A co z tą damą? - Wskazał na Constance Calvert.

- Zostaw ją w aucie. Jest w kajdankach. - Popchnąłem Donaldsona w stronę szpitala i po chwili staliśmy przed biurkiem recepcjonistki.

Dyżur miała jakaś starsza kobieta.

- Chcę zobaczyć listę zgonów, jakie miały tu miejsce w ciągu ostatnich trzech dni. - Dave Donaldson błysnął blachą dla nadania mi słowom urzędowej mocy.

Kobieta pogrzebała w kartotece i wręczyła mi cztery albo pięć kart. Znalazłem tę, której potrzebowałem. Było w niej napisane: „Rodney Arkellmeister. Wiek 48 lat. Mężczyzna. Biały. Przyjęty do szpitala w stanie krytycznym. Zapalenie płuc. Całkowity zanik zdolności mowy. Zgon nastąpił dwa dni później...” - potem była jeszcze data śmierci i cała reszta.

Odwróciłem się do Donaldsona.

- Łapiesz? - spytałem. - Rodney Arkellmeister! To było prawdziwe nazwisko Chudego Arkle'a, zanim przyjechał z Jugosławii do Ameryki.

Dave odparł:

- Twierdzisz, że Chudy zmarł śmiercią naturalną? To kto, u diabła, odciął mu głowę i wpakował w nią kulę? Kto wysłał głowę do ciebie?

*

Zanim zdołałem mu odpowiedzieć, usłyszałem krzyk na zewnątrz. Krzyk kobiety.

- Co, u licha! - zawołałem i skoczyłem ku drzwiom. Zobaczyłem samochód zaparkowany zaraz za moim coupé. Nad moją bryką pochylał się jakiś facet. Próbował udusić Constance Calvert.

- Cholera! - zawołałem. - Musiał przycząć się gdzieś koło mojego bloku! Podśluchał, jak mówiłem, że tu jedziemy! Przyjechał za nami! - I rzuciłem się na faceta.

Usłyszał mnie. Odwrócił się. W zaciśniętej dłoni trzymał splotkę. Plunęła ogniem. Kula świsnęła koło mojej czaszki. Wyszarpnąłem swój pistolet, odbezpieczyłem kciukiem i nacisnąłem spust. Posłałem w brzuch gościa trzy pociski.

Jeszcze nim upadł, zawołałem do Donaldsona:

- To twój zabójca. To Chudy Arkle!

- Zwariowałaś? - powiedział Dave. - Bezgłowe zwłoki nie mogą po prostu wstać i chodzić sobie...

Lecz ja już klęczałem przy leżącym mężczyźnie. Odwróciłem go na wznak. To był Chudy Arkle. Wszędzie rozpoznałbym tę twarz. Zwłaszcza po tym, jak dziś w nocy, we własnym mieszkaniu i na własnych kolanach, ujrzałem jego odciętą głowę.

Donaldson gapił się osłupiały..

- Dobry Boże! - powiedział.

Pochyliłem się i włożyłem palce do ust Chudego Arkle'a. Pokręciłem nimi i wyciągnąłem sztuczną szczękę. Powiedziałem:

- A oto i dowód, Chudzielcu.

Arkle rzucił mi zabójcze spojrzenie. Jego oczy zrobiły się szkliste.

- A niech cię!... - powiedział. Ja na to:

- Rozumiem teraz wszystko. Ty byłeś mordercą, Arkle. Wiedziałeś, że twoja żona, Kitty Calvert, ma romans ze swoim reżyserem, Billym Sanstonem. Dowodu na potwierdzenie twych podejrzeń dostarczyła ci Violet Chang, chińska służąca twojej żony. Dałeś jej czek na pięćset papierów za te rewelacje.

W gardle Chudego Arkle'a zagulgotało i wypuł trochę krwi z podziurawionych bebeczków. A ja kontynuowałem:

- Traf chciał, że twój brat przyjechał do ciebie z Jugosławii. Twój brat bliźniak! Byliście identycznymi bliźniakami; wyglądaliście dokładnie tak samo. Parę chwil temu widziałem wasze zdjęcie w albumie z wycinkami. Zrobiono je, gdy byliście dziećmi, jeszcze w starym kraju i jesteście na nim obaj - ty i twój brat. Wyglądaliście identycznie nawet wtedy.

- A niech mnie! - powiedział Dave Donaldson. Mówiłem dalej do Chudego Arkle'a:

- Kiedy twój brat przybył do Hollywood, chorował już na zapalenie płuc. Wiedziałeś, że umrze. Dostrzegłeś w tej śmierci doskonałą szansę zamordowania własnej wiarołomnej żony i jej kochanka, i to w taki sposób, że sam byłbyś poza wszelkim podejrzeniem. Załatwiłeś więc przyjęcie brata do szpitala w Pasadenie. Tutaj zmarł. Zorganizowałeś mu gdzieś pogrzeb - później ekshumowałeś zwłoki i odciąłeś głowę. Wpakowałeś w nią kulę dla zmyły. I to właśnie była głowa, którą mi przysłałeś!

- Ar-r-r-r-gh! - powiedział Arkle.

- Tak. Przysłałeś mi odciętą głowę swojego brata po to, bym wezwał gliny i zawiadomił ich, że zostałeś zamordowany. Następnie, nocą, przystawiłeś drabinę do okna buduaru swojej żony i wdrapałeś się na górę. Zastrzeliłeś ją i rzuciłeś pistolet na łóżko obok niej, by wyglądało to na samobójstwo. Być może zastrzeliłbyś i Billy'ego Sanstona za jednym zamachem, ale akurat wyszedł do innego pomieszczenia.

Gdy Donaldson i ja wpadliśmy do środka, wiedziałeś, że Sanston zostanie oskarżony o

morderstwo - i prawdopodobnie skazany. Usatysfakcjonowany takim stanem rzeczy, wymknąłeś się po drabinie na dół. Ale chwilę później Billy Sanston uciekł. Więc zastrzeliłeś go z drugiego pistoletu, który miałeś przy sobie. Zastrzeliłeś go, kiedy wsiadał do swojego cadillaca. To też miało wyglądać na samobójstwo.

Donaldson gapił się na mnie:

- Jak, u licha, na to wpadłeś?

- Wiedziałem to w chwili, gdy pokazałeś mi raport koronera na temat uciętej głowy. Wspomniał o plombach w kilku zębach. A wiedziałem, że prawdziwy Chudy Arkle ma sztuczną szczękę!

W filmach wyciągał ją i zapadały mu się policzki! Potem przypomniałem sobie ten odcinek kontrolny w książeczce czekowej Arkle'a - pozostałość po czeku wystawionym na szpital w Pasadenie. Zrozumiałem wszystko. Arkle dokonał zabójstw i teraz prawdopodobnie próbowałby uciec, wracając do Jugosławii z paszportem swojego zmarłego brata.

Dave Donaldson pochylał się nad Chudym Arkle'em i pogrzebał w jego kieszeniach. Wyciągnął paszport i bilet na parowiec. To była kropka nad i.

Chudy Arkle zatrzepotał rzesami. Wymamrotał:

- Cóż, Turner... nie powiesz mi... już ty się... o to postarałeś... niech cię diabli...

Karmazynowy strumień trysnął mu z paszczy, jego policzki zapadły się. Taki był koniec Chudego Arkle'a.

*

Wtedy przypomniałem sobie o Constance Calvert. Leżała bezwładnie w mojej bryce. Arkle musiał jechać za nami i być może ona go zauważyła. Tak czy owak, próbował zabić ją po cichu; prawdopodobnie zamyślał załatwić też mnie i Donaldsona, kiedy będziemy wychodzić ze szpitala. Musiał wiedzieć, że skończyła się zabawa. Ale ja nie myślałem już więcej o Chudym Arkle'u. Myślałem o jasnowłosym ptaszku nazwiskiem Calvert.

Przyduszona straciła przytomność, ale nie była ranna. Zwróciłem się do Dave'a Donaldsona:

- Dave, ty zostań tutaj i zawiadom policję z Pasadeny - niech zabiorą zwłoki Chudego.

- A ty dokąd? - spytał Dave.

- Dziś w nocy zostawiłem w swoim mieszkaniu ubrania tej dziewczyny. Teraz więc zawiozę ją tam z powrotem, by jej to wszystko oddać.

- Do diabła! - warknął Donaldson. - Założę się, że nie będziesz się z tym śpieszył.

- Pochlebiasz mi, Dave - powiedziałem. Ale okazało się, że miał rację. Przynajmniej w tym jednym.

Ross Macdonald

Śpiewający gołąbek

Lew Archer to były policjant z Long Beach w Kalifornii, zwolniony ze służby, ponieważ nie tolerował skorumpowanej policyjnej administracji, dla której musiał pracować, i zamiast tego działający jako prywatny detektyw - najsłynniejszy w swoim rodzaju w literaturze lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Ceni sobie prywatność i pozostając w cieniu, działa najskuteczniej, a mimo to często bywa „bynajmniej nie mimowolnym katalizatorem kłopotów”. Pracuje w swoim ciasnym, ponurym biurze, zaskakująco pełnym książek (które czyta łakomie, gdy nie zajmuje się jakąś sprawą), i ze ścianami obwieszonymi dobrym nowoczesnym malarstwem (do jego ulubionych należą dzieła japońskiego artysty nazwiskiem Kuniyoshi). Różni się od innych detektywów twardzieli tym, że nie pozwala sobie na przypadkowy seks i żywi autentyczną sympatię dla młodych ludzi. Wyjątkowe jest u niego i to, że zabiera głos w kampaniach na rzecz ochrony środowiska. Unieśmiertelniony na srebrnym ekranie przez Paula Newmana w „Ruchomym celu” („The Moving Target”, 1966), gdzie z niewyjaśnionych powodów zmieniono mu nazwisko na Harper, i w „Basenie topielców” („The Drowning Pool”, 1975), Archer pojawił się też w osiemnastu powieściach i serialu telewizyjnym z 1975 roku z Brianem Keithem w roli głównej.

Twórcą tej postaci - gliniarza, który został prywatnym detektywem - był Ross Macdonald (1915-1983), właściwie Kenneth Miller, uznany przez niektórych krytyków za następcę Dashiella Hammetta i Raymonda Chandlera. Miller, chociaż urodził się w Kalifornii, dorastał w Kanadzie, pod opieką matki pozostającej w separacji z mężem. Przez jakiś czas podróżował po Europie, następnie zarabiał na życie jako nauczyciel, zanim poznał i poślubił pisarkę Margaret Strum i nim ta wciągnęła go w świat literatury kryminalnej. Choć już jego wczesne opowiadania i powieści były popularne, dopiero pojawienie się Lew Archera sprawiło, że nazwisko autora stało się powszechnie rozpoznawalne. Anthony Boucher, krytyk literacki „New York Timesa”, jeden z pierwszych, którzy dostrzegli wartość prozy Macdonalda, uznał go za w gruncie rzeczy lepszego zarówno od Hammetta, jak i od Chandlera, i uważał, że jego książki przekształciły powieść o niezłomnym prywatnym detektywie w medium zaludniane przez „postaci wystarczająco uczuciowe, by dać się zranić, i dość skomplikowane, by popełniać błędy”. Co prawda, Macdonald przyznawał się do czytania powieści detektywistycznych wielu współczesnych mu autorów, utrzymywał jednak, że w stworzonej przezeń postaci prywatnego detektywa więcej jest samego autora niż obcych naleciałości. W „Śpiewającym gołąbku” z 1953 roku spotykamy Archera w chwili, gdy zmordowany po bezowocnym pościgu aż do meksykańskiej granicy, w przydrożnym motelu próbuje znaleźć chwilę wytchnienia - i zamiast tego angażuje się w polowanie na zabójcę mężczyzny, którego ciało odkrywa w samochodzie porzuconym na pobliskiej plaży.

*

Był piątkowy wieczór. W jasnoniebieskim kabriolecticie i w mrocznym nastroju pędziłem znad granicy z Meksykiem w kierunku domu. Śledziłem pewnego faceta od Fresno aż do San Diego, lecz tam zgubiłem go w labiryncie uliczek Starego Miasta. Zbyt późno odzyskałem trop. Facet przekroczył granicę, a dyspozycje, jakie otrzymałem, dotyczyły jedynie obszaru Stanów Zjednoczonych.

W połowie drogi do domu, dokładnie nad Szmaragdową Zatoką, wyprzedzałem najgorszego kierowcę na świecie. Czarnego cadillaca z „rybim ogonem” prowadził tak, jakby halsował żaglówką. Ciężki samochód zjeżdżał raz w prawo, raz w lewo, zajmując dwa, a czasem nawet trzy z czterech pasów autostrady. Było już późno, ponadto śpieszyło mi się, by urwać trochę snu. Kiedy tamten przecinał podwójną ciągłą linię, postanowiłem wyminąć go z prawej strony. Lecz cadillac podryfował w moim kierunku jak niekontrolowany pocisk, spychając mnie z piskiem opon z asfaltowej nawierzchni.

Przyśpieszyłem, by wyprzedzić go z lewej. Lecz równocześnie dodał gazu także kierowca cadillaca. A pod względem przyśpieszenia mój samochód nie mógł się równać z jego wozem. Mknęliśmy łeb w łeb środkiem jezdni. Zastanawiałem się, czy facet jest pijany, czy zwariował, czy może po prostu z jakiegoś powodu się mnie obawia. Wtedy skończyła się autostrada. Jechałem sto trzydzieści na godzinę po złej stronie szosy, a przede mną, jak dwie ogniste komety, wynurzyły się z ciemności przednie światła ciężarówki. Wcisnąłem gaz do dechy i skręciłem ostro w prawo, zagrażając nie tylko błotnikom, ale i życiu kierowcy cadillaca. W świetle reflektorów nadjeżdżającej z przeciwka ciężarówki ujrzałem jego pozbawioną wyrazu i białą niczym kartka papieru twarz z oczodołami czarnymi jak sadza. Barki mężczyzny były nagie.

Dosłownie w ostatniej sekundzie zwolnił, przepuszczając mnie przodem. Ciężarówka zjechała na pobocze, trąbiąc nieludzko. Przyhamowałem stopniowo w nadziei, że zmuszę cadillaca do zatrzymania się. Ominął mnie, jadąc po obłąkańczym łuku, i pomknął na ślizgających się oponach, aż wessała go ciemność.

Gdy w końcu się zatrzymałem, musiałem siłą odrywać palce od kierownicy. Moje kolana były słabe i bezwolne. Wypaliwszy część papierosa, zawróciłem i bardzo ostrożnie potoczyłem się z powrotem w stronę Szmaragdowej Zatoki. Już dawno wyrosłem z zabaw w ściganie się podrasowanymi autami i bardzo potrzebowałem odpoczynku.

Pierwszy motel, do którego dotarłem, nazywał się „Sjesta”. Przyozdabiał go napis „wolne pokoje” i neonowy Meksykanin, śpiący smacznie w świetlistym sombrero na głowie. Pozazdrościłem mu snu i zaparkowałem na żwirowym podejździe przed biurem motelu. Wewnątrz paliło się światło. Przeszklone drzwi stały otworem. Wszedłem do środka.

Niewielki pokój był przyjemnie urządzone meblami z rattanu i perkalu. Kilkakrotnie zabręczałem dzwonkiem na kontuarze. Nikt się nie zjawił, usiadłem więc, by czekając, zapalić papierosa. Elektryczny zegar na ścianie pokazywał za kwadrans pierwszą.

Musiałem zdrzemnąć się na kilka minut, bo sen z delikatnym hałasem wtargnął przez próg mej świadomości. Śmierć była w tym śnie. Prowadziła czarnego cadillaca pełnego kwiatów. Gdy obudziłem się, papieros właśnie zaczynał parzyć mnie w palce. Chudy mężczyzna w szarej flanelowej koszuli stał nade mną z niepewnym wyrazem twarzy.

Miał duży nos i mały podbródek i sprawiał wrażenie młodszego, niż był w rzeczywistości. Zęby miał popsute, a przerzedzone włosy w kolorze piasku odsłaniały wysokie półkole na czole. Typowy podstarzały młodzieniec, utrzymujący się z tego, co wyłudzi lub wyprosi w przeróżnych motelach, hotelach czy restauracjach, i desperacko czepiający się postrzępionych krawędzi życia innych ludzi.

- Czego pan chce? - zapytał. - Kim pan jest? Czego pan chce? Jego głos był piskliwy i chwiejny jak głos nastolatka.

- Szukam noclegu.

- Czy to wszystko, czego pan sobie życzy?

Z miejsca, na którym siedziałem, brzmiało to jak oskarżenie. Puściłem je mimo uszu.

- A co jeszcze tu macie? Czerkieskie tancerki? Darmowy popcorn?

Próbował uśmiechnąć się w taki sposób, by nie pokazać swych zepsutych zębów. Uśmiech okazał się ponurą porażką, podobnie jak mój żart.

- Przepraszam - powiedział. - Wyrwał mnie pan ze snu. Zawsze gadam od rzeczy zaraz po przebudzeniu.

- Przyśnił się panu koszmar?

Jego niewyraźne oczy powiększyły się jak dwa błękitne balony z gumy do żucia.

- Dlaczego pan o to pyta?

- Ponieważ sam właśnie miałem koszmarny sen. Ale zostawmy to. Macie wolne pokoje czy nie?

- Tak jest. Proszę mi wybaczyć. - Przełknął jakiś gorzki smak, który miał w ustach, i przyjął bezosobowy, służalczy ton:

- Czy ma pan bagaże?

- Żadnego bagażu.

Poruszając się w butach do tenisa bezszelestnie jak duch chłopca, którym był niegdyś, mężczyzna wszedł za kontuar, zapisał moje nazwisko, adres i numer rejestracyjny samochodu, i przyjął pięć dolarów. W zamian wręczył mi klucz z numerem czternaście i

wyjaśnił, gdzie go mogę użyć. Najwyraźniej stracił nadzieję na napiwek.

Pokój numer czternaście wyglądał jak wszystkie pokoje w motelach średniej klasy, dotkniętych kalif ornijsko-hiszpańskim szaleństwem. Sztucznie schropowacony tynk, pomalowany na kolor suszonej na słońcu cegły, zasłony w kolorze czerwonego wilczomlecza, abażur z imitacji pergaminu na czarnym stojaku z giętego żelaza. Na ścianie nad łóżkiem reprodukcja obrazu ze śpiącym Meksykaninem pędzla Rivery. Natychmiast poddałem się tej malarskiej sugestii; śniły mi się czerkieskie tancerki.

Bliżej poranka jedna z nich przestraszyła się czegoś, nie z mojej winy, i wrzeszczała całą mocą swych czerkieskich płucek. Usiadłem na łóżku, wydając z siebie uspokajające dźwięki, i obudziłem się. Na moim zegarku była prawie dziewiąta. Wrzask ucichł na chwilę i wnet rozległ się ponownie, mącąc spokój poranka niczym syrena strażacka za oknem. Wciągnąłem spodnie na bieliznę, w której spałem, i wyszedłem z pokoju.

Młoda kobieta stała na chodniku prowadzącym do sąsiedniego pokoju. W jednej dłoni trzymała klucz, a w drugiej - garść krwi. Miała na sobie marszczoną kolorową spódnicę i głęboko wciętą cygańską bluzkę; bluzka rozděła się na niej jak balon. Kobieta stała z szeroko otwartymi ustami i darła się na całą buzię. To była ładna buzia w otoczeniu ciemnych włosów, jednak znieawidziłem ją za mój zmarnowany poranek.

Chwyciłem dziewczynę za ramię.

- Przestań - powiedziałem.

Wrzask ucichł. Spojrzała sennym wzrokiem na krew na swej dłoni. Była gęsta jak smar do łożysk i niemal równie ciemnej barwy.

- Skąd to masz?

- Poślizgnęłam się i wpadłam w to. Nic nie widziałam.

Upuściła klucz na ziemię i czystą ręką uniosła spódnicę z jednej strony. Jej nogi były nagie i brązowe. Tył spódnicy był poplamiony tą samą gęstą cieczą co dłoń.

- Gdzie? W tym pokoju? Zawahała się.

- Tak.

Drzwi wzdłuż podjazdu raz po raz otwierały się i zamykały. Niebawem zgromadziło się wokół nas z pół tuzina ludzi. Mężczyzna o ciemnej twarzy i niecałych stu czterdziestu centymetrach wzrostu przytruchtał od strony biura; jego spiczaste buciki tańczyły na żwirze.

- Wejźmy do środka. Pokażesz mi, gdzie to było - zwróciłem się do dziewczyny.

- Nie mogę. Nie wejść tam. - Jej oczy były bardzo smutne i otaczała je wywołana przez szok sinawa błądź.

Mały człowieczek, wyhamowawszy z lekkim poślizgiem, znalazł się między mną a

dziewczyną, po czym sięgnął ku górze i chwycił ją za ramię.

- Co się dzieje, Ella? Oszalałaś? Czemu niepokoisz gości?

- Krew - powiedziała i oparła się o mnie, zamykając oczy. Mężczyzna przenikliwym spojrzeniem czarnych oczu szybko ocenił sytuację. Odwrócił się do pozostałych gości, którzy uformowali wokół nas szepczący półokrąg.

- Wszystko gra. Proszę państwa, nie ma się czym przejmować. Moja córka troszkę się skaleczyła. Wszystko jest w doskonałym porządku.

Obejmując kibić dziewczyny długim i owłosionym ramieniem, popchnął ją ku otwartym drzwiom. Gdy weszli, spróbował zatrzasać za sobą drzwi, ale przytrzymałem je stopą i wszedłem za nimi do środka.

Pokój był bliźniaczo podobny do mojego, łącznie z reprodukcjami nad niezasłanym łóżkiem, tyle że wszystko było odwrócone, jak w lustrzanym odbiciu. Dziewczyna wykonała samodzielnie kilka niepewnych kroków i usiadła na skraju łóżka. Wówczas ujrzała krwawe plamy na pościeli. Podniosła się natychmiast. Otworzyła usta, ukazując krąg śnieżnobiałych zębów.

- Proszę tego nie robić - ostrzegłem. - Wszyscy wiemy, że ma pani parę znakomitych płuc.

Mały człowieczek odwrócił się do mnie.

- A panu się wydaje, że kim pan jest?

- Nazywam się Archer. Wynajmowałem sąsiedni pokój.

- Więc proszę wrócić do siebie.

- Raczej tego nie zrobię.

Pochylił wypomadowaną głowę, jakby miał zamiar mnie pobóść. Pod marynarką ze sztucznego jedwabiu sterczał mu na plecach garb jak przemieszczony łokieć. Porzucił jednak myśl o ataku głową na korzyść dyplomacji.

- Wyciąga pan pochopne wnioski. Sprawa nie jest aż tak poważna, jak się wydaje. Mieliśmy tu mały wypadek ubiegłej nocy.

- Pewnie, córka się skaleczyła. Zdrowieje zaskakująco szybko.

- Nic podobnego. - Zatrzepotał długą ręką. - Powiedziałem ludziom na zewnątrz pierwszą rzecz, jaka mi przyszła do głowy. W rzeczywistości doszło tu do małej przepychanki. Jeden z gości dostał krwotoku z nosa.

Dziewczyna jak lunatyczka przeszła do łazienki i zapaliła światło. Na linoleum w czarno-białą szachownicę krzepła kałuża krwi, rozmazana w miejscu, gdzie Ella pośliznęła się i upadła.

- Trochę krwi z nosa - powiedziałem do małego człowieczka. - Czy to pan prowadzi ten interes?

- Tak, jestem właścicielem „Sjesty”, hotelu dla zmotoryzowanych. Nazywam się Salanda. Tamten pan ma skłonności do krwotoków z nosa. Tak przynajmniej twierdzi.

- Gdzie jest teraz?

- Wyprowadził się wcześniej dziś rano.

- W dobrym zdrowiu?

- W jak najlepszym zdrowiu.

Rozejrzałem się po pokoju. Z wyjątkiem niezasałanego łóżka z brunatnymi plamami na pościeli nie było w nim śladów niczyjej bytności. Ktoś stracił pół litra krwi i zniknął.

Człowieczek otworzył drzwi na oścież i zamaszystym ruchem ramienia zachęcił, bym opuścił pomieszczenie.

- Zechce pan wybaczyć, ale chciałbym, by posprzątano tu możliwie najszybciej. Ella, czy możesz powiedzieć Lorraine, żeby zabrała się migiem do tego? Potem może lepiej położyć się na chwilę.

- Nic mi nie jest, ojczy. Nie martw się o mnie.

Kiedy kilka minut później wyprowadzałem się z motelu, siedziała za kontuarem w recepcji, blada, ale opanowana. Rzuciłem klucz na blat przed nią.

- Czujesz się lepiej, Ella?

- Och. Nie poznałam pana w kompletnym ubraniu.

- Niezła odzywka. Mogę jej używać? Spuściła oczy i zarumieniła się.

- Nabija się pan ze mnie. Wiem, że zachowałam się głupio dziś rano.

- Nie jestem tego taki pewien. Co, pani zdaniem, zdarzyło się w trzynastce tej nocy?

- Mój ojciec przecież wyjaśnił to panu.

- Przedstawił mi pewną wersję wydarzeń; a właściwie dwie wersje. Wątpię, by był to już ostateczny wariant scenopisu.

Jej ręka przesunęła się w kierunku wycięcia w cygańskiej bluzce. Jej barki i ramiona były szczupłe i opalone, paznokcie pomalowane na karminowy kolor.

- Scenopisu?

- To termin z branży filmowej - odparłem. - Tu rzeczywiście mogła mieć miejsce scena strzelaniny jak w filmie. Nie sądzi pani?

Górnymi zębami przygryzła dolną wargę. Wyglądała jak czyjś ulubiony króliczek. Poskromiłem odruchową chęć pogłaskania jej po jedwabistej, brązowej głowce.

- To śmieszne. Nasz motel cieszy się dobrą renomą. Tak czy owak, ojciec zabronił mi

rozmawiać o tym z kimkolwiek.

- Dlaczego miałby to robić?

- Kocha to miejsce, oto dlaczego. Nie chce, żeby jakaś błażostka wywołała skandal. Gdybyśmy stracili nasze dobre imię, złamałoby to serce mojego ojca.

- Nie wydał mi się sentymentalnym osobnikiem. Wstała, wygładzając spódnice. Zauważyłem, że ją zmieniła.

- Niech pan go zostawi w spokoju. To kochany mały człowieczek. Nawet nie zdaje sobie pan sprawy, co pan robi, próbując wywołać kłopoty tam, gdzie ich nie ma.

Wycofałem się z powodu jej słusznego oburzenia - kobiece oburzenie jest bowiem zawsze słuszne - i wsiadłem do samochodu. Wczesnowiosenne słońce oślepiało. Po drugiej stronie autostrady, za pasem ruchomych wydm, podobnych do gór cukru, rozciągała się zatoka w kolorze pruskiego błękitu. Szosa wcinała się w ląd u podstawy półwyspu i zawracała w stronę morza kilka mil na północ od miasta. Tutaj szeroki asfaltowy parking po lewej stronie jezdni opadał ku białej plaży i jeszcze bielszym morskim falom. Znaki ustawione na obu końcach parkingu informowały, że to

Park Okręgowy

Zabrania się palenia ognisk na plaży

Plaża i wyasfaltowany plac nad nią były całkiem puste, z wyjątkiem jednego samochodu, który wyglądał tu bardzo samotnie. Długi, czarny cadillac stał, dotykając przednim zderzakiem sznurowego ogrodzenia na skraju plaży. Zwolniłem, zjechałem z autostrady i wysiadłem z auta. Mężczyzna na siedzeniu kierowcy cadillaca nie odwrócił głowy, kiedy się zbliżyłem. Oparł podbródek o kierownicę i wpatrywał się w przestrzeń nad bezkresnym błękitem morza.

Otwarłem drzwiczki i spojrzałem na jego twarz. Była biała jak papier. Ciemnobrązowe oczy pozbawione wyrazu. Jego nagiego ciała nie okrywało nic, z wyjątkiem zmierzwionych kudłów na piersi i niechlujnego opatrunku wokół talii. Opatrunek wykonano z kilku poplamionych krwią ręczników, przewiązanych kawałkiem nylonowej tkaniny, której pochodzenia nie rozpoznałem od razu. Przyglądając się jej bliżej, zauważyłem, że to damska halka. Na lewej piersi koszuli wyhaftowano fioletowe serce z napisem „Fern” pochyłym pismem. Ciekawe, kim była ta Fern.

Mężczyzna, który nosił jej fioletowe serce, miał ciemne kędzierzawe włosy, gęste czarne brwi, masywny podbródek z kiełkującym czarnym zarostem. Wyglądał na twardziela

pomimo swej anemii i szminki rozmazanej na ustach.

Nie było dowodu rejestracyjnego na kolumnie kierownicy, pusty był także schowek, poza do połowy opróżnionym pudełkiem z nabojami do samopowtarzalnej trzydziestki ósemki. Zapłon był ciągle włączony. Podobnie oświetlenie tablicy rozdzielczej i reflektory. Te świeciły jednak słabo. Wskaźnik poziomu paliwa pokazywał „pusty”. Kędzierzawy musiał zjechać z szosy zaraz po tym, jak mnie minął, i przez resztę nocy jechał, stojąc w miejscu.

Rozsuplałem węzeł z halki - nie wydawało się, aby materiał, z jakiego została uszyta, zatrzymywał odciski palców - i poszukałem metki. Była. *Gretchen, Palm Springs*. Przyszło mi na myśl, że jest właśnie sobotni ranek, a ja przez całą zimę nie spędziłem ani jednego weekendu na pustyni. Zawiązałem halkę tak, jak ją znalazłem, i pojechałem z powrotem do motelu „Sjesta”.

Powitanie Elli miało temperaturę o kilka stopni niższą od zera absolutnego.

- Proszę, proszę! - Spojrzała na mnie znad swego ślicznego króliczego noska. - Myślałam, że się pana pozbyliśmy.

- Ja też. Ale tego miejsca wręcz nie sposób opuścić.

Posłała mi spojrzenie szczególnego rodzaju, ani harde, ani łagodne - takie mieszane. Jej ręka uniosła się do włosów, po czym sięgnęła po rejestr gości.

- Przypuszczam, że jeśli zechce pan wynająć pokój, nie będę w stanie pana powstrzymać. Tylko proszę sobie nie wyobrażać, że robi pan na mnie wrażenie. Pozostanę niewzruszona, panie...

- Archer - powiedziałem. - Lew Archer. Daj sobie spokój z rejestrem. Wróciłem, by skorzystać z telefonu.

- Czy nie ma innych telefonów? - Przepchnęła aparat na moją stronę lady. - Myślę, że może pan skorzystać. O ile to nie jest rozmowa zamiejscowa.

- Dzwonię po patrol autostradowy. Znasz ich lokalny numer?

- Nie pamiętam. - Wręczyła mi książkę telefoniczną.

- Miał miejsce wypadek - poinformowałem, wykręcając numer.

- Wypadek na autostradzie? W którym miejscu?

- Tutaj, siostrzyczko. Dokładnie tutaj. W pokoju numer trzynastym. Ale nie powiedziałem tego tym z patrolu. Przekazałem im tylko, że znalazłem martwego mężczyznę w samochodzie stojącym na parkingu nad lokalną plażą. Dziewczyna słuchała, a jej oczy i nozdrza otwierały się coraz szerzej. Nim skończyłem, zerwała się w popłochu i opuściła biuro przez tylne drzwi.

Wróciła w towarzystwie właściciela. Jego oczy były czarne i błyszczące jak główki

ćwieków, a stopy wykonywały drobne taneczne pas jak oszalałe.

- O co chodzi?

- Natknąłem się na zwłoki mężczyzny niedaleko stąd przy autostradzie.

- Dlaczego więc, by zatelefonować, wrócił pan akurat tutaj? - Jego głowa była w pozycji do bodzenia, ręce rozstawione szeroko mocno ścisnęły za narożniki kontuaru. - Czy my mamy z tym coś wspólnego?

- Trup ma na sobie kilka waszych ręczników. - Co?

- I mocno krwawił, zanim zmarł. Sądzę, że ktoś postrzelił go w brzuch. Może pan.

- Jest pan stuknięty - odrzekł, ale bez szczególnej afektacji. - Takie wariackie oskarżenia wpędzą pana w kłopoty. Czym się pan zajmuje?

- Jestem prywatnym detektywem.

- Śledził go pan aż do tego miejsca, czy tak? Zamierzał go pan aresztować, a on się zastrzelił, tak?

- Dwa razy pudło - powiedziałem. - Przyjechałem tu przenocować. Poza tym oni nie strzelają sobie w brzuch. Zbyt niepewne i powolne. Żaden samobójca nie chce umrzeć na zapalenie otrzewnej.

- Więc co pan tu teraz robi? Próbuje pan wywołać skandal, który zaszkodzi moim interesom?

- Tak, jeśli w imię pańskich interesów podejmie pan próbę zatajenia morderstwa.

- Tamten mężczyzna sam strzelił do siebie - upierał się mały człowieczek.

- Skąd pan wie?

- Donny. Właśnie z nim rozmawiałem.

- A skąd Donny wie?

- Facet mu powiedział.

- Czy Donny to pański nocny portier?

- Był nim. Zamierzam go zwolnić - za głupotę. Nawet mi nie powiedział o tym zamieszaniu. Sam się domyśliłem. Z trudem.

- Donny chciał dobrze - wtrąciła dziewczyna ponad jego ramieniem. - Jestem pewna, że nie zdawał sobie sprawy z tego, co zaszło.

- Jak wszyscy - powiedziałem. - Chcę porozmawiać z Donnym. Ale najpierw spójrzmy na rejestr gości.

Wyciągnął plik kart z szuflady i grzebał w nich przez chwilę. Jego duże, owłosione na grzbietach dłonie były wprawne i opanowane, jak zwierzęta żyjące własnym, spokojnym życiem, niezależnym od emocji właściciela. Podały mi ponad ladą jedną z kart. Widniał na

niej napis drukowanymi literami: Richard Rove, Detroit, Mich.

- Była z nim kobieta - powiedziałem.

- Niemożliwe.

- Albo był z transwestytą.

Przyglądał mi się z obojętnym wyrazem twarzy, rozmyślając o czymś innym.

- A ten patrol - powiedział im pan, by tu przyjechali? Wiedzą, że to się tutaj stało?

- Jeszcze nie. Ale znajdują pańskie ręczniki. Użył ich do zabandażowania rany.

- Rozumiem. Tak. Oczywiście. - Uderzył się pięścią w skroń. Zabrzmiało to tak, jakby ktoś znęcał się nad dynią. - Mówi pan, że jest prywatnym detektywem. A gdyby tak poinformował pan policję, że był na tropie zbiega, kogoś uciekającego przed wymiarem sprawiedliwości. I że ów zbieg wolał zastrzelić się, niż dać aresztować. Za pięćset dolarów?

- Nie jestem aż tak prywatny - odparłem. - Mam pewne zobowiązania wobec społeczeństwa. Poza tym gliniarze sprawdziliby to i owo i przyłapałoby mnie.

- Niekoniecznie. On *był* zbiegiem. Pan to wie.

- Właśnie mi pan o tym mówi.

- Niech mi pan da trochę czasu, a mogę dostarczyć panu jego akta.

Dziewczyna odchyliła się nieco do tyłu, w jej oczach zamigotały rozwiane złudzenia.

- Tato - powiedziała cicho.

Nie usłyszał jej. Cała jego czarna, błyszcząca czujność skupiona była na mnie.

- Siedemset dolarów?

- Nie jestem na sprzedaż. Im wyższą proponuje pan cenę, tym bardziej zdaje się pan przyznawać do winy. Czy był pan tutaj ubiegłej nocy?

- Staje się pan niedorzeczny - oświadczył. - Spędziłem cały wieczór z moją żoną. Pojechaliśmy do Los Angeles na przedstawienie baletowe. - Jakby na poparcie swych słów zanucił kilka taktów z Czajkowskiego. - Wróciliśmy tu, do Szmaragdowej Zatoki, nie wcześniej niż prawie o drugiej.

- Każdy może sobie zapewnić alibi.

- Przestępca, owszem - odparł. - Ja nie jestem przestępcą. Dziewczyna położyła dłoń na jego ramieniu. Mężczyzna skulił się, zwierzęca furia wykrzywiła mu twarz - lecz dziewczyna nie widziała jego twarzy.

- Tato - odezwała się - czy on został zamordowany, jak sądzisz?

- Skąd mam wiedzieć? - Jego głos stał się dziki i wysoki, jakby córka dotknęła mocno napiętej struny jego emocji. - Nie było mnie przy tym. Wiem tyle, ile powiedział mi Donny.

Dziewczyna przyglądała mi się badawczo zwięzonymi oczyma, jakby odkryła właśnie

nowy gatunek zwierzęcia i zastanawiała się nad jakimś praktycznym zastosowaniem dla niego.

- Ten pan jest detektywem - powiedziała - a przynajmniej za takiego się podaje.

Wyciągnąłem fotokopię mojej licencji i rzuciłem na ladę. Mały człowieczek wziął ją do ręki i spojrzał znad kartki na moją twarz.

- Czy będzie pan pracował dla mnie?

- A co miałbym robić? Opowiadać małe, niewinne kłamstewka?

Dziewczyna odpowiedziała za niego:

- Niech pan dowie się wszystkiego, czego można... o tej śmierci. Daję panu słowo honoru, że ojciec nie miał z tym nic wspólnego.

Podjąłem pochopną decyzję, z gatunku tych, których później żałuje się przez całe życie.

- Zgoda. Biorę pięćdziesiąt dolarów zaliczki. To znacznie mniej niż pięćset. Moją pierwszą radą jest powiedzieć policji wszystko, co pan wie. Pod warunkiem że jest pan niewinny.

- Obraża mnie pan - powiedział.

Ale wysupłał pięćdziesięciodolarowy banknot z szuflady na gotówkę i wcisnął go w moją dłoń z takim zapalem, jakby to był dowód miłości. Miałem nieprzyjemne poczucie, że zostałem wmanewrowany w przyjęcie tych pieniędzy. Niedużych, ale zawsze. Wrażenie to pogłębiło się, gdy tamten nadal nie chciał mówić. Musiałem użyć całej swojej sztuki perswazji, po to tylko, żeby wydobyć od niego adres Donny'ego.

Portier mieszkał w ruderze na skraju bezludnego pasa wydm. Domyślałem się, że niegdyś był to czyjś domek plażowy - zanim niesiony wiatrem piach, niczym nigdy nietopniejący śnieg, wypełnił załamania muru, a zimowe sztormy pokruszyły dachówki i łamanymi liniami pęknięć zarysowały betonowe fundamenty. Wielkie bryły betonu piętrzyły się chaotycznie w miejscu niegdysiejszego tarasu z widokiem na morze.

Na jednej z przechylonych płyt Donny wyciągnął się w słońcu jak długa jaszczurka albinos. Wiejący od brzegu wiatr przyniósł do jego uszu hałas samochodowego silnika. Usiadł, zmrużył oczy i rozpoznał mnie za kierownicą auta, wbiegł do domu.

Zszedłem po stopniach z płyt chodnikowych i zastukałem w wypaczone drzwi.

- Otwieraj, Donny.

- Odejdź - odpowiedział chrapliwym głosem. W szczelinie między deskami jego oczy lśniły niczym grzbiet ślimaka.

- Pracuję dla pana Salandy. Chce, bym z tobą porozmawiał.

- Weźcie się obaj i spadajcie.

- Otwieraj albo wyważę drzwi.

Czekałem przez chwilę. Odciągnął zasuwę. Drzwi, skrzypiąc, otwały się wolno. Wychylił się przez próg, przyglądając mi się badawczo; jego pozbawione owłosienia ciało trzęsło się od wewnętrznego chłodu. Przecisnąłem się obok niego i przeszedłem przez niewielką kuchnię, nieopisanie brudną, zaśmieconą resztkami dawnych posiłków i wypełnioną ich fetorem. Podążył za mną bosy, w milczeniu, do większego pomieszczenia, w którym sprężynujące deski podłogowe falowały pod stopami. Szybę w widokowym oknie dawno temu ktoś wybił, a otwór wypełniono tekturą. Kamienny kominek zapchano śmieciami. Jedynym meblem było polowe łóżko w kącie, na którym najwidoczniej sypiał Donny.

- Ładnie i przytulnie tu u ciebie. Od razu widać, że ktoś tutaj mieszka. Wydawał się brać to za komplement i przez chwilę się zastanawiałem, czy nie mam przypadkiem do czynienia z kretynem.

- Pasuje mi. Nigdy nie byłem z tych, co to muszą mieć fantastyczną kwaterę. Podoba mi się tu, gdzie nocą słycać ocean.

- Co jeszcze słycać nocą, Donny?

Nie rozumiał pytania albo tylko udawał.

- Różne rzeczy. Duże ciężarówki, przejeżdżające szosą. Lubię słycać tych nocnych hałasów. Dłużej chyba nie będę mógł tu zostać. Pan Salanda jest właścicielem, pozwalał mi mieszkać za friko. Teraz na pewno mnie stąd wywali.

- Z powodu tego, co zdarzyło się zeszłej nocy?

- Aha. - Opadł na łóżko, opierając posępną głowę na dłoniach.

Stałem nad nim.

- A co się zdarzyło zeszłej nocy, Donny?

- Coś niedobrego - powiedział. - Ten facio wprowadził się koło dziesiątej...

- Mężczyzna o ciemnych, kręconych włosach?

- Ten sam. Wziął więc pokój mniej więcej o dziesiątej; dałem mu numer trzynastie. Gdzieś koło północy wydało mi się, że słycać dochodzący stamtąd wystrzał z broni palnej. Zajął mi chwilę, żeby dojść do ładu z nerwami, i wtedy poszedłem sprawdzić, co się dzieje. Facio wyszedł z pokoju kompletnie nagi. Tylko obandażowany czymś wokół talii. Wyglądał jak jakiś walnięty Indianin czy coś w tym stylu. W dłoni miał rewolwer, zataczał się i widać było, że krwawi. Zbliżył się do mnie, wepchnął mi lufę w bebechy i kazał trzymać głowę na kłódce. Obiecałem, że nikomu nie zdradzę, że go widziałem, ani teraz, ani nigdy. Powiedział,

że jeśli komuś szepnę o tym choćby słówko, wróci i mnie zabije. Ale on już nie żyje, prawda?

- Nie żyje.

Węchem wyczuwałem u Donny'ego strach: nie potrafię tego wyjaśnić, ale to coś psiego w moich chromosomach. Włosy zjeżyły mi się na karku; zastanawiałem się tylko, czy Donny lęka się przeszłości, czy tego, co przyniesie przyszłość. Pryszczki wyglądały na jego bladej, ponurej twarzy jak relief.

- Myślę, że został zamordowany. Kłamiesz, Donny, no nie?

- Ja kłamię? - Jego reakcja była jednak powolna i niezdecydowana.

- Nieboszczyk nie zameldował się sam. Była z nim kobieta.

- Jaka kobieta? - zapytał z wystudiowanym wyrazem zaskoczenia.

- Ty mi powiesz. Na imię ma Fern. Myślę, że to ona strzelała, a ty przyłapałeś ją na gorącym uczynku. Ranny mężczyzna wyszedł z pokoju, wsiadł do samochodu i odjechał. Kobieta została, by pogadać z tobą. Prawdopodobnie zapłaciła ci, byś pozbył się jego ubrań i spreparował nową kartę meldunkową dla tamtego pokoju. Ale oboje przeoczyliście plamę krwi na podłodze łazienki. Mam rację?

- Nie mógłby się pan bardziej mylić. Czy jest pan gliną?

- Prywatnym detektywem. Znalazłeś się w poważnych tarapatach, Donny. Jeśli możesz, to lepiej wyrzucić wszystko z siebie, zanim gliny się do ciebie dobiorą.

- Ja nic nie zrobiłem. - Głos mu się załamał jak u chłopca. Dziwne to robiło wrażenie w połączeniu z pasemkami siwizny w jego włosach.

- Fałszowanie kart meldunkowych to już jest poważne wykroczenie, nawet jeśli nie dolożą ci współdziałania w zabójstwie.

Próbował protestować w nieskładnych zdaniach. Równocześnie jego dłoń przesuwiała się po brudnym szarym kocu. Dała nura pod poduszkę i wyciągnęła stamtąd zmiętą kartkę papieru. Próbował wepchnąć ją sobie do ust i połknąć. Wyszarpnąłem ją spomiędzy jego przebarwionych zębów.

To była karta meldunkowa z motelu, zapisana chłopciami gryzmołami: pan i pani Richard Rowe, Detroit, stan Michigan.

Donny trząsł się gwałtownie. Poniżej krawędzi tanich bawełnianych szortów kościste kolana wibrowały jak widelki kamertonu.

- To nie moja wina! - krzyknął. - Przystawiła mi rewolwer.

- Co zrobiłeś z ubraniami mężczyzny?

- Nic. Ona nawet nie pozwoliła mi wejść do pokoju. Związała je w tobolek i zabrała ze sobą.

- Dokąd poszła?

- Szosą w stronę miasta. Szła pieszo poboczem drogi i tam widziałem ją po raz ostatni.

- Ile ci zapłaciła, Donny?

- Nic, ani centa. Już panu mówiłem, przystawiła mi rewolwer.

- I tak się bałeś, że nie pisnąłeś słówka aż do rana.

- To prawda. Bałem się. Kto by się nie bał?

- Ona już sobie poszła - przypomniałem. - Teraz możesz mi ją opisać.

- Uhm. - Dokonał widocznego wysiłku, by zebrać swe mętne myśli do kupy. Jedno z jego oczu zezowało nieco, nadając twarzy niewyraźny, pijacki wygląd.

- To była duża, wysoka kobieta o blond włosach.

- Farbowanych?

- Może, nie wiem. Miała jakby warkocz, upięty na czubku głowy. Była dość tęga, zbudowana jak zapaśniczka, z olbrzymimi melonami. Wielkie nogi.

- Jak była ubrana?

- Prawie nie zwróciłem uwagi, tak byłem przestraszony. Myślę, że miała na sobie coś w rodzaju fioletowego płaszcza, z czarnym futrem wokół szyi. Dużo pierścionków na palcach i takie tam.

- He miała lat?

- Dość stara, powiedziałbym. Starsza ode mnie, a ja będę miał trzydzieści dziewięć.

- I to ona strzelała?

- Tak mi się wydaje. Gdyby ktoś pytał, kazała mi mówić, że to pan Rowe sam się zastrzelił.

- Łatwo ulegasz sugestii, prawda, Donny? To niebezpieczny sposób na życie, zwłaszcza gdy ludzie pomiatają tak sobą nawzajem.

- Nie rozumiem. Może pan powiedzieć to jeszcze raz? - Zamrugał do mnie swymi bladobłękitnymi oczyma, uśmiechając się wyczekująco.

- Nieważne - rzuciłem i wyszedłem.

Kilkaset jardów dalej, jadąc autostradą, ujrzałem wóz patrolowy z dwoma mundurowymi o ponurym wyglądzie na przednim siedzeniu. Donny będzie miał teraz z nimi do czynienia. Usunąłem go z mych myśli i pomknąłem w stronę Palm Springs.

Palm Springs wciąż jest małym, prowincjonalnym miasteczkiem - dziurą zabita dechami, tyle że obecnie dechy są mahoniowe, a gwoździe ze szczerego złota. „Szczerozłote” są też w Palm Springs dziewczęta. Główna ulica wygląda jak przekrój przez Hollywood i Vine, przeniesiony na pustynię przez jakąś nieziemską potęgę i przebrany dla niepoznaki w

westernowy kostium, który nikogo nie jest w stanie zmylić. Nawet mnie.

Znalazłem firmowany przez Gretchen sklep z bielizną, skryty pod elegancko wyglądającymi arkadami, okalającymi patio wyłożone imitacją kostki brukowej. Pośrodku patio niewielka fontanna bulgotała przyjemnie, rozsiewając orzeźwiające nitki drobnych kropelek. Był późny marzec i sezon miał się ku końcowi. Większość sklepów, łącznie z tym, do którego właśnie wszedłem, była opustoszała, jeśli nie liczyć najemnej siły roboczej.

Znalazłem się w małym chłodnym sklepiku, wypełnionym delikatnym zapachem perfum tych wszystkich kobiet, które kiedyś tu zawitały. Pończochy, suknie i inne fragmenty garderoby leżały pozwijane na szklanym kontuarze albo zwisały niczym fantastyczne węże drzewne ze stojaków ustawionych pod ścianami wąskiego pomieszczenia. Kobieta o włosach ufarbowanych henną wynurzyła się z szeleszczących zakamarków na zapleczu i podbiegła do mnie wdzięcznie, na paluszkach.

- Szuka pan prezentu? - zawołała z nieco przywiedłą wesołością. Pod maską makijażu kryła się zmęczona twarz starzejącej się kobiety; na domiar złego była sobota po południu i wszyscy ci, którzy generalnie mieli więcej szczęścia od niej, moczyli się właśnie w swych basenach w kształcie nerki, ukrytych za zbyt wysokimi jak dla niej murami.

- Niezupełnie. Prawdę mówiąc, wcale. Zeszłej nocy przydarzyło mi się coś niezwykłego. Chciałbym pani o tym opowiedzieć, ale to trochę skomplikowane.

Spojrzała na mnie pytająco i doszła do wniosku, że ja także należę do tych, którzy muszą pracować na swe utrzymanie. Nieszczery uśmiech spelzł z jej twarzy. W jego miejsce pojawił się inny uśmiech, który podobał mi się o wiele bardziej.

- Wyglądasz, jakbyś miał za sobą ciężką noc. I nie zaszkodziłoby się ogolić.

- Poznałem dziewczynę - powiedziałem. - A właściwie dojrzałą kobietę, postawną blondynę, gwoli ścisłości. Poderwałem ją na plaży w Laguna, jeśli mam być brutalnie szczery.

- Nie zniosłabym, gdybyś nie był. Do czego zmierzamy, bracie?

- Poczekaj. Psujesz mi opowieść. Coś zaiskrzyło, gdy się spotkaliśmy w promieniach zachodzącego słońca, na skraju ciepłego oceanu.

- Kiedy ja do niego wchodzę, jest zawsze zimny jak cholera.

- To nie było zeszłej nocy. Pływaliśmy w świetle księżycy, wesoło spędzaliśmy czas i w ogóle. Potem ona odeszła. Gdy już jej nie było, zdałem sobie sprawę, że nie znam jej numeru telefonu ani nawet nazwiska.

- Zameżna kobieta, co? I myślisz sobie, że ja jestem klubem samotnych serc? - Nadal jednak była zainteresowana, choć najprawdopodobniej mi nie wierzyła. - Wspominała o mnie

- czy o to chodzi? Jak miała na imię?

- Fern.

- Rzadkie imię. Mówisz, że była dużą blondynką?

- O doskonale wyważonych proporcjach - odparłem. - Gdybym miał klasyczne wykształcenie, powiedziałbym: istna Junona.

- Nabierasz mnie, prawda?

- Troszeczkę.

- Osobiście nie mam nic przeciwko odrobinie nabierania. Co mówiła o mnie?

- Same superlatywy. Prawdę mówiąc, skomentowałem jej, eee... odzienie.

- Rozumiem. - Dawno minęły czasy, kiedy rumieniła się w podobnych sytuacjach. - Zeszłej jesieni mieliśmy tu raz klientkę imieniem Fern. Fern Dee. Miała jakąś pracę w „Joshua Club”. Tak sądzę. Ale w ogóle nie pasuje do twojego opisu. Tamta była brunetką, średniego wzrostu, dość młodą. Zapamiętałam imię Fern, ponieważ chciała je mieć wyszyte na wszystkim, co kupowała. Banalny pomysł, moim zdaniem, ale takie było jej dziewczęce pragnienie, a kimże ja jestem, by polemizować z dziewczęcymi pragnieniami?

- Czy nadal jest w mieście?

- Nie widuję jej ostatnio, już od kilku miesięcy. Ale to nie mogła być kobieta, której szukasz. A może jednak?

- Jak dawno temu była tutaj? Zastanowiła się nad tym przez chwilę.

- Wczesną jesienią zeszłego roku, gdzieś tak na początku sezonu. Przyszła tylko raz i zrobiła duże zakupy: pończochy, nocne koszule, bieliznę. Wszystko, co trzeba. Pamiętam - pomyślałam wówczas, że dziewczę dorwało się nagle do forsy, i to dużej.

- Mogła przybrać na wadze od tamtego czasu i ufarbować włosy. Dziwne rzeczy dzieją się czasem z kobiecą figurą.

- Mnie to mówisz? - rzuciła. - Ile lat miała ta... twoja przyjaciółka?

- Około czterdziestki. Tak sądzę, możesz dodać lub odjąć parę lat.

- W takim razie to na pewno nie ta sama. Dziewczyna, o której mówię, miała na oko dwadzieścia pięć, a ja się nie mylę, gdy idzie o wiek kobiety. Zbyt wiele ich widziałam. Od małaolat po stare wiedźmy, prawdziwe stare wiedźmy.

- Nie wątpię.

Lustrowała mnie swymi oczami cienistymi od maskary i życiowych doświadczeń.

- Jesteś policjantem?

- Byłem kiedyś.

- Powiesz mamusi, o co chodzi?

- Innym razem. Gdzie jest „Joshua Club”?

- Będzie jeszcze zamknięty. - Spróbuję mimo to.

Wzruszyła ramionami i wskazała drogę. Podziękowałem jej.

Był to jednopiętrowy budynek o prostej fasadzie, przy jednej z przecznicy odchodzących od głównej ulicy. Pchnąłem obite skórą drzwi; otwały się do wewnątrz. Przeszedłem przez recepcję, w której pod uchylanym dachem rosła mała dżungla bananowców. Przestronna sala główna udekorowana była monochromatycznymi fototapetami, przedstawiającymi pustynne pejzaże. Za rattanowym barem, pod baldachimem z sieci rybackiej, odziany na biało osobnik o karaibskich rysach wycierał kieliszki brudnym ręcznikiem. Z twarzy nie wyglądał na rozmownego.

Na podium dla orkiestry, usytuowanym z tyłu za ułożonymi w stertę krzesłami w części jadalnianej, młody mężczyzna w koszuli z krótkim rękawem grał bebop na fortepianie. Jego palce podążały za melodią, obiegały ją dookoła, przeskakiwały nad nią wielkimi susami, nigdy w gruncie rzeczy w nią nie trafiając. Stałem za nim przez chwilę i słuchałem, jak wymiata. W końcu podniósł głowę, nadal od niechcienia podgrywając linię basu lewą ręką. Miał lekko zbieżnego zęza, świszczące usta, a jego nozdrza wyglądały na odmrożone.

- Ładny fortepian - powiedziałem.

- Też tak sądzę.

- Pięćdziesiąta Druga Ulica?

- Ta ulica mnie zachwyca, bo nigdy nie traci oblicza. - Jego lewa ręka uderzyła trzy razy ten sam akord i oderwała się od klawiszy. - Szukasz kogoś, przyjaciela?

- Fern Dee. Prosiła mnie, bym wpadł kiedyś przy okazji.

- Niedobrze. Jeszcze jedna zmarnowana przejażdżka. Odeszła z lokalu tego z końcem roku ubiegłego, przykro mi, drogi kolego.

To nie był zły słowiczek, ale mimo wszystko nie była profesjonalistką. Coś tam w jej serduszku na pewno się tliło, lecz wyjść z tym do ludzi dziewczę nie potrafiło. I chociaż ta mała bardzo się starała, wieczór był stracony, gdy zaćwierkała.

- Dokąd dała nogę, jeśli spytać mogę, nim sam ruszę w drogę? Uśmiechnął się jak zwłoki pod wprawnymi palcami doświadczonego przedsiębiorcy pogrzebowego.

- Słyszałem, że szef oddelegował ją do swego prywatnego życia. Zabrał ją do domu, by go z nim dzieliła. Tyle słyszałem. Nie zadaję się ze starym towarzyszko, więc nie mam wieści, czy ją zbezczeszczył, czy tylko pieścił. Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie?

- Niewielkie, a poza tym ona skończyła już dwadzieścia jeden lat.

- Całkiem niedawno. - Jego oczy pociemniały, a wąskie usta rozciągnęły się gniewnie

na boki. - Nie znoszę, jak to przytrafia się takiej lasce jak Fern, nie żebym w sercu miał cierń, ale...

Przerwałem mu w połowie kolejnego absurdałnego rymu.

- Kto to jest ten szef, o którym wspomniałeś. Ten, z którym odeszła Fern?

- Angel. Któż by inny?

- Jakże niebiosy zamieszkuje ten aniołek?

- Musisz być nowy w tych stronach... - Oderwał wzrok od mojej twarzy i skoncentrował go na czymś ponad moim barkiem. Jego usta otworzyły się i zamknęły.

Za swymi plecami usłyszałem chrapliwy tenor:

- Jakieś pytanko bez odpowiedzi, koleś?

Pianista powrócił do gry na fortepianie, jak gdyby brzydki tenor wymazał mnie z jego świadomości, anulował całkowicie moją egzystencję. Odwróciłem się w stronę źródła głosu. Stał w wąskich drzwiach za perkusją. Mężczyzna po trzydziestce z gęstymi, czarnymi, kręconymi włosami i masywną szczęką z sinym cieniem dokładnie ogolonego zarostu. Był niemal wierną żywą kopią trupa w cadillacu. Podobieństwo było wstrząsające. Widok ciężkiego pistoletu w jego dłoni także.

Zbliżył się do mnie, obchodząc dookoła perkusję. Miał bary jak byk, wciśnięte w marynarkę z luźno tkanego tweedu, i trzymał przed sobą broń jak niebezpieczny podarunek. Pianista zaczął wyczyniać zabawne rzeczy z marszem pogrzebowym z „Saula” w przyśpieszonym tempie. Taki żart.

Prawie sobowtór zmarłego skinął swym okrutnym podbródkiem, w unisonie z jeszcze okrutniejszą bronią.

- Do środka, chyba że pracujesz dla rządu. Jeśli tak, chcę zobaczyć twoje papiery.

- Jestem wolnym strzelcem.

- W takim razie do środka.

Lufa pistoletu dotykała mnie na wysokości splotu słonecznego jak żelazny palec wskazujący. Posłuszny jej wskazaniom, przeszedłem pomiędzy stojakami na nuty i dalej przez wąskie drzwi za perkusją. Żelazny palec, opukując moje plecy, poprowadził mnie pozbawionym oświetlenia korytarzem do małego, kwadratowego biura z metalowym biurkiem, sejfem i szafką na segregatory. Nie było okien, światło sączyło się z jarzeniówek pod sufitem. W ich bezlitosnym blasku twarz nad pistoletem jeszcze bardziej przypominała twarz zmarłego. Ciekawe, czy pomyliłem się co do jego śmierci, czy to słońce pustyni wypaliło mi mózg.

- Jestem tu kierownikiem - powiedział, stojąc tak blisko mnie, iż mogłem poczuć

zapach czegoś sosnowego, czego używał na swoje ciemne, kędzierzawe włosy. - Masz jakieś pytania na temat personelu, pytaj mnie.

- Dostanę odpowiedź?

- Spróbuj, zobaczymy.

- Nazywam się Archer - powiedziałem. - Jestem prywatnym detektywem.

- Dla kogo pracujesz?

- Nie zaciekawiloby cię to.

- Wprost przeciwnie, jestem bardzo zainteresowany. - Pistolet wyskoczył do przodu jak ropucha i ponownie wbił się w mój żołądek, z całym ciężarem barku jego właściciela.

- To mówisz, że dla kogo pracujesz?

Przelknąłem gniew i mdłości, oceniając możliwość odtrącenia jego broni na bok i dobrania się do faceta gołymi rękami. Szanse wydawały się raczej niewielkie. Był ode mnie cięższy i trzymał pistolet tak, jakby wyrastał mu na końcu ręki. Naoglądałem się za dużo filmów, powiedziałem do siebie w duchu. Odpowiedziałem na jego pytanie:

- Właściciel motelu na wybrzeżu. W jednym z pokoi zastrzelono zeszłej nocy mężczyznę. Przypadkiem kilka minut wcześniej zatrzymałem się tam na nocleg. Stary wynajął mnie, abym przyjrzał się sprawie zabójstwa.

- Kogo rąbnęli?

- Mógł być twoim bratem - powiedziałem. - Masz brata? Zbladł. Ciężar jego uwagi przeniósł się z pistoletu na moją twarz. Opuścił nieco broń. Odtrąciłem ją na bok, nieco ku górze, mocnym lewym hakiem. Wypaliła, osmalając mi twarz i robiąc dziurę w ścianie. Moja prawa ręka spadła na gardło faceta. Pistolet uderzył o korkową podłogę.

Kędzierzawy upadł, ale nie ustępował. Jego rozczapierzona dłoń po omacku szukała pistoletu i po chwili się na nim zacisnęła. Nadepnałem mu na nadgarstek. Stęknął, ale nie wypuścił broni. Zadałem mu szybki cios w krótko przycięte włosy na karku. Przyjął uderzenie i podniósł się z pistoletem w dłoni, potrząsając głową na boki niczym byk.

- A teraz ręce do góry - wymamrotał. Był jednym z tych, których głos stawał się miękki i łagodny, kiedy byli w nastroju do zabijania. Miał nieprzeniknione, szkliste oczy zabójcy.

- Czy Bart nie żyje?

- Zabity na śmierć. Postrzelono go w brzuch.

- Kto go zastrzelił?

- Oto jest pytanie.

- Kto go zastrzelił? - powiedział cicho z twarzą pobladłą od gniewu. Cyklopie oko lufy

wpatrywało się pustym spojrzeniem w moją przeponę. - Może ci się zaraz przytrafić to samo, koleś.

- Była z nim kobieta. Szybko się ulotniła, gdy to się stało.

- Słyszałem, jak podałeś Alfiemu, pianiście, jej imię. Czy to była Fern?

- To mogła być ona.

- Co znaczy mogła?

- Najprawdopodobniej była w tamtym pokoju. Gdybyś mi ją opisał...

Jego harde brązowe oczy spojrzały poza mnie.

- Mam lepszy pomysł. Na ścianie za tobą jest jej zdjęcie. Rzuć na nie okiem. Trzymając ręce wysoko nad głową.

Przestąpiłem z nogi na nogę i obróciłem się z trudem. Ściana była pusta. Usłyszałem, jak robi wdech i wykonuje jakiś ruch; spróbowałem uniknąć ciosu. Na próżno. Dostałem w tył głowy. Runąłem do przodu, na ścianę, i osunąłem się w trójwymiarową pustkę.

*

Pustka powoli gęstniała, wyłaniając z siebie wielobarwne kształty. Kształty były na poły ludzkie, na poły zwierzęce, rozmywały się i formowały na nowo, tańcząc na obrzeżach nieświadomości do skocznej muzyki z nocnego koszmaru. Martwy mężczyzna z owłosioną klatką piersiową wyszedł z dołu i podzielił się na dwóch, po chwili na czterech identycznych osobników. Uciekałem przed nimi krętym tunelem, prowadzącym do komory pogłosowej. Pod ryczącą falą upiornej muzyki słychać było chrapliwy tenor:

- Wyobrażam sobie, że to było tak: wskazówki, jakich udzielił Vario, były dobre; Bart znalazł ją w Acapulco i wiozł do nas. Skusiła go, by zatrzymali się w tamtym motelu na noc. Bart zawsze na nią leciał.

- Nie wiedziałem o tym - wtrącił oschły, starczy głos. - To bardzo ciekawa nowina na temat Barta i Fern. Powinieneś być powiedzieć mi o tym wcześniej; nie posłałbym go wówczas po nią i to by się nie zdarzyło. Prawda, Gino?

Mój umysł był wciąż częściowo nieobecny, błąkał się po podziemnych, wypełnionych echem jaskiniach. Nie rozpoznawałem głosów ani nie pojmowałem, o czym mówią. Ledwie starczało mi rozsądku, by trzymać oczy zamknięte i słuchać dalej. Leżałem na plecach na twardym podłożu. Głosy rozbrzmiewały nade mną.

Tenor powiedział:

- Nie możesz winić Bartolomea. To jej wina - tej małej, puszczańskiej, kłamliwej, podstępnej suki.

- Uspokój się, Gino. Nie winię nikogo. Ale teraz bardziej niż kiedykolwiek

chcielibyśmy się z nią zobaczyć, czyż nie tak?

- Zabiję ją. - Wymówił te słowa miękko, prawie ze smutkiem.

- Kto wie. Ale może to nie będzie już potrzebne. Nie lubię bezcelowego zabijania.

- Od kiedy, Angel?

- Nie przerywaj, to niegrzecznie. Nauczyłem się robić wszystko po kolei: najpierw rzeczy najważniejsze. A co teraz jest najważniejszą sprawą? Dlaczego przede wszystkim chcieliśmy jej powrotu? Powiem ci: by zamknąć jej jadaczkę. Rządowi dowiedzieli się, że odeszła, i chcą, by zeznawała na temat moich dochodów. Postanowiliśmy więc znaleźć ją pierwsi i zamknąć jej jadaczkę, czyż nie tak było?

- Wiem, jak zamknąć jej usta - powiedział młodszy bardzo cicho.

- Najpierw wypróbujemy lepszy sposób - mój. Człowiek w moim wieku wie, że we wszystkim można znaleźć jakąś korzyść, że niczego nie wolno zmarnować. Nawet cudzej krwi. Zastrzeliła twojego brata, tak? Więc teraz mamy coś na nią, coś wystarczająco mocnego, by zamknąć jej usta na dobre. Dostałaby zabójstwo drugiego stopnia za to, co zrobiła, ale nawet to oznaczałoby pięć do dziesięciu lat w Tehachapi. Sądzę, że wszystko, co powinienem zrobić, to powiedzieć jej o tym. Lecz najpierw trzeba ją znaleźć, czyż nie?

- Znajdę ją. Bart nie miał żadnego problemu z odszukaniem jej.

- Nie miał, wskazówka Varia okazała się bardzo pomocna. Ale myślę, że zatrzymam cię tu przy sobie, Gino. Jesteś w gorącej wodzie kąpany, tak jak twój brat. Chcę ją mieć żywą. Wtedy z nią porozmawiam i zobaczymy, co dalej.

- Stajesz się miękki na stare lata, Angel.

- Naprawdę? - Rozległ się chlaszczący dźwięk, odgłos ciosu spadającego na ciało. - Zabiłem wielu ludzi, nigdy bez powodu. Sądzę przeto, że odwołasz to, co powiedziałeś.

- Odwołuję.

- I zwracaj się do mnie: panie Funk. Skoro jestem taki stary, moim siwym włosom należy się szacunek. Zwracaj się do mnie: panie Funk.

- Panie Funk.

- W porządku, a ten twój przyjaciel, czy on wie, gdzie jest Fern?

- Nie sądzę.

- Panie Funk.

- Panie Funk. - Głos Gina brzmiał jak psi skowyt.

- Zdaje się, że wraca do siebie. Zamrugął powiekami.

Czubek buta dźgnął mnie w bok. Ktoś wymierzył mi kilka policzków. Otworzyłem oczy i usiadłem. Tył mojej głowy wibrował jak motor napędzany strachem. Gino podniósł się

z kucek i stanął nade mną.

- Wstawaj.

Trzęsąc się, stanąłem na nogi. Znajdowałem się w wysokim pokoju o kamiennych ścianach, z sufitem z belek, zastawionym z rzadka stołami i starymi, czarnymi krzesłami z dębowego drewna. Pokój i meble wyglądały, jakby zbudowano je dla rasy gigantów.

Mężczyzna stojący za Ginem był mały, stary i znużony. Mógłby być jakimś niefortunnym sklepikarzem lub emerytowanym barmanem, który przybył do Kalifornii dla podratowania zdrowia. Jego zdrowie z pewnością nie było w najlepszym stanie. Nawet w dusznej spiekocie był blady i wyglądał na zmarzniętego, jak gdyby od którejś ze swoich ofiar zaraził się chronicznym umieraniem. Zbliżył się do mnie, powłócząc niepewnie nogami w wymiętych błękitnych spodniach z wypchanymi kolanami. Jego przykurczony tułów otulony był grubym niebieskim golfem. Na brodzie widniał dwudniowy zarost, przypominający szary, wygryziony przez mole plusz.

- Gino poinformował mnie, że bada pan sprawę strzelaniny. - Mówił ze środkowoeuropejskim akcentem, tak słabo wyczuwalnym, jakby mówiący sam już nie pamiętał, skąd pochodzi. - Gdzie to się właściwie stało?

- Nie sądzę, bym miał zamiar to panu powiedzieć. Przeczyta pan o tym w jutrzejszych gazetach, jeśli nadal będzie pan zainteresowany.

- Nie jestem przygotowany na taką zwłokę. Jestem z natury niecierpliwy. Czy wie pan, gdzie przebywa Fern?

- Nie byłoby mnie tutaj, gdybym wiedział.

- Ale wie pan, gdzie była zeszłej nocy.

- Tego nie jestem pewien.

- Niemniej jednak proszę mi powiedzieć tyle, ile pan wie.

- Nie sądzę, bym miał taki zamiar.

- Nie sądzi, by miał taki zamiar - zwrócił się stary do Gina.

- Lepiej mnie stąd wypuście. Porwanie to poważny zarzut. Nie chce pan chyba umierać w pudle.

Uśmiechnął się do mnie z wyrozumiałością jeszcze straszniejszą niż gniew. Jego oczy wyglądały jak wąskie rany klute, wypełnione rozwodnioną krwią. Poczłapał niespiesznie do szczytu stojącego za nim mahoniowego stołu i czubkiem filcowego pantofla nacisnął jakiś punkt na dywanie. Do pokoju weszli dwaj mężczyźni w serżowych garniturach i szybkim krokiem zbliżyli się do mnie. Należeli do owej rasy gigantów, dla której to wszystko zbudowano.

Gino stanął za moimi plecami, by przygwoździć mi ramiona. Obróciłem się wokół własnej osi i zadałem jeden krótki cios pięścią; odebrałem bardzo mocną ripostę poniżej pasa. Coś z tyłu walnęło mnie w nerki, coś masywnego jak zderzak wielotonowej ciężarówki z naczepą. Odwróciłem się na wiotczących nogach i trafiłem łokciem w czyjś podbródek. Pięść Gina - a może belka z sufitu - wylądowała na moim karku. W głowie usłyszałem dźwięk gongu. Przenikał go miły, grzeczny głos Angela:

- A zatem gdzie była Fern zeszłej nocy?

Nie odpowiedziałem. Faceci w niebieskiej serży trzymali mnie prosto pod ramiona, podczas gdy Gino użył mojej głowy w charakterze worka treningowego. Robiłem, co mogłem, by uchylać się przed ciosami z prawa i lewa, ale z upływem czasu poprawiało się wyczucie rytmu u bijącego, a u mnie gasło. Twarz Gina zamigotała i poczęła się oddalać. W przerwach Angel zapytywał uprzejmie, czy jestem już chętny służyć mu pomocą. W pomieszczeniu, pod gradem ciosów, zadawałem sam sobie pytanie, w imię czego ja to wszystko znoszę, kogo chcę ochronić. Prawdopodobnie znosiłem to dla samego siebie. Wydawało mi się rzeczą ważną nie ulec przemocy. Ale moja jaźń roztopiała się i zanikała, jak twarz przede mną.

Skoncentrowałem się na nienawiści do twarzy Gina. To pozwoliło utrzymać ją nieruchomą i wyraźną przez dłuższą chwilę: głupia gęba o kwadratowej szczęce, ogrodzona pojedynczą czarną brwią, z parą blisko osadzonych brązowych oczu o szklistym spojrzeniu. Jego pięści grzmociły mnie niczym młot pneumatyczny.

W końcu Angel położył szponiastą dłoń na jego barku i skinął na moich opiekunów. Złożyli mnie na krześle. A ono, podwieszone na niewidzialnej linie do sufitu, zataczało wielkie, coraz większe kręgi - po całym pokoju, poza ściany pomieszczenia, szerokim łukiem ponad pustynią, daleko poza blady horyzont, w ciemność.

Odzyskałem przytomność, klnąc. Gino znów stał nade mną. W dłoni trzymał pustą szklankę, a moja twarz ociekała wodą. Angel przemówił za jego plecami z odcieniem rozdrażnienia w głosie:

- Pięknie znosi pan kary cielesne. Ale na cóż te wszystkie kłopoty? Potrzebuję tylko jednej małej informacji, i tyle. Moja przyjaciółka, moja mała przyjaciółeczka uciekła. Niecierpliwie się, by znów ją ujrzeć.

- Zabiera się pan do tego w niewłaściwy sposób.

Gino pochylił się niżej i zaśmiał chrapliwie. Roztrzaskał szklankę na poręcz mojego krzesła i zbliżył postrzępioną podstawę ku moim oczom. Strach przemknął przez moje żyły, chłodny i lekki. Oczy były mostem łączącym mnie ze światem. Ślepotą oznaczałaby dla mnie

koniec. Zacisnąłem powieki, uciekając przed widokiem okrutnej krawędzi rozbitego szkła w jego dłoni.

- Zostaw, Gino - powiedział stary. - Mam lepszy pomysł, jak zwykle. Pamiętaj, że czas nagli.

Przeszli do odległego krańca stołu i konferowali tam półgłosem. Młodszy wyszedł z pokoju. Stary wrócił do mnie. Jego szturmowcy stali po moich obu bokach, patrząc na niego z góry z bezmyślną trwogą.

- Jak się nazywasz, młodzieńcze?

Powiedziałem mu. Sepleniąc. Miałem spuchnięte wargi i język skrępowany sznurami krwi.

- Podobają mi się młodzi ludzie, którzy tyle potrafią wytrzymać, panie Archer. Mówi pan, że jest detektywem. Zarabia pan na utrzymanie, znajdując ludzi, czyż nie tak?

- Już mam klienta - odparłem.

- Teraz ma pan drugiego. Kimkolwiek jest tamten, mogę go kupić i sprzedać, niech mi pan wierzy. Mogę dać pięćdziesiąt razy więcej. - Jego szczupłe, sine dłonie potarły jedna o drugą.

- Narkotyki? - spytałem. - To pan jest tą szychą w handlu heroiną, prawda? Słyszałem o panu.

Jego wodniste oczy przymknęły się jak oczy ptaka.

- Proszę nie zadawać głupich pytań albo całkowicie stracę dla pana szacunek.

- To by mi złamało serce.

- Niech więc zadowolili się pan tym. - Z kieszeni na biodrze wyciągnął staroświecką portmonetkę, wysupłał pomięty banknot i wygładził go na moim kolanie. Był to banknot pięćsetdolarowy.

- Ta moja dziewczyna, którą pan dla mnie odszuka, jest młoda i głupia. Ja jestem stary i głupi, głupi - bo jej zaufałem. Nieważne. Pan ją znajdzie i przyprowadzi z powrotem do mnie, a ja panu dam drugi taki banknot. Proszę go przyjąć.

- Weź to - powtórzył za nim jeden z moich strażników. - Pan Funk powiedział, że masz to przyjąć.

Przyjąłem.

- Marnuje pan swoje pieniądze. Nawet nie wiem, jak ona wygląda. Nic o niej nie wiem.

- Gino zaraz przyniesie zdjęcie. Natknął się na nią ubiegłej jesieni w studiu nagraniowym w Hollywood, gdzie Alfie miał umówione spotkanie. Przesłuchał ją i zabrał do

klubu. Bardziej dla jej wyglądu niż talentu. Jako piosenkarka się nie sprawdziła. Ale jest ślicznym małym, pięć stóp cztery cale wzrostu, ładna figura, ciemnobrązowe włosy, duże, migdałowe oczy. Znalazłem więc dla niej zastosowanie. - Lubieżność zamigotała na moment w jego oczach i zgasła.

- Dla wszystkiego znajduje pan zastosowanie.

- To po prostu ekonomiczne. Myślę, że gdybym nie był, kim jestem, mógłbym zostać niezłym ekonomistą. Nic się nie zmarnuje. - Przerwał, po czym z trudem przepchnął swój stary umysł z powrotem na właściwe tory. - Była tu przez kilka miesięcy, potem zwała ode mnie. Głupia dziewczyna. W zeszłym tygodniu dowiedziałem się, że jest w Acapulco, a federalny sąd przysięgłych chce ją powołać na świadka. Mam problemy podatkowe, panie Archer, całe życie mam problemy podatkowe. Niefortunnie dla siebie, pozwalałem, by Fern pomagała mi co nieco w prowadzeniu ksiąg. Mogłaby mi wyrządzić wielką krzywdę. Posłałem więc Barta do Meksyku, by sprowadził ją z powrotem. Nie zamierzałem zrobić jej nic złego. Nadal nie zamierzam, nawet teraz. Mała rozmowa, zwykła rozsądna pogawędka z Fern to wszystko, co będzie konieczne. A zatem nawet zastrzelenie mojego dobrego kompana przysłużyło się sprawie. A tak na marginesie, gdzie to się stało?

Pytanie wystrzeliło jak haczyk na końcu długiej linki.

- W San Diego - powiedziałem - w pobliżu lotniska: motel „Mission”.

Uśmiechnął się po ojcowsku.

- Teraz okazuje pan zdrowy rozsądek.

Gino wrócił, niosąc fotografię w srebrnej ramce. Wręczył ją Angelowi, a ten przekazał mnie. Była to typowa fotografia studyjna, w rodzaju tych reklamowych, z półnagimi dziewczętami. Na czarnym aksamitnym tapczanie, pod sztucznym, rozgwieżdżonym niebem, leżała młoda kobieta w zwiewnej sukience, rozciętej, by ukazać zgiętą nogę. Cienie podkreślały linie jej ciała i ładne kości twarzy. Pod mocnym makijażem, który poszerzał usta i przyciemniał półprzymknięte powieki, rozpoznałem Ellę Salanda. Fotografia była podpisana białym pismem w prawym dolnym rogu: „Mojemu Angelowi z całą miłością, Fern”.

Ogarnęły mnie mdłości, gorsze od mdłości wywołanych pięściami Gina. Angel wysapał mi w twarz:

- Fern Dee to jej sceniczny pseudonim. Prawdziwego nazwiska nigdy nie poznałem. Powiedziała mi kiedyś, że gdyby jej rodzina wiedziała, gdzie ona jest, wszyscy umarliby ze wstydu. - Zachichotał. - Nie będzie chciała, by się dowiedzieli, że zabiła człowieka.

Odsunąłem się poza zasięg jego trupiego oddechu. Moi strażnicy wyprowadzili mnie na zewnątrz. Gino ruszył moim śladem, ale Angel go odwołał.

- Nie czekaj na wiadomość ode mnie - powiedział w moją stronę stary. - Oczekuję wiadomości od ciebie.

Budynek stał na wzniesieniu, gdzieś na pustyni. Był olbrzymi i przyozdobiony wieżyczkami, jak czyjeś mętne wyobrazenie o zamku w Hiszpanii. Ostatnie promienie słońca oblały jego mury purpurowym światłem i rzucały długie cienie na przyległym do budynku, jałowym gruncie. Teren otoczony był murem chroniącym od wiatru, wysokim na dziesięć stóp i zwieńczonym trzema nićmi kolczastego drutu.

Palm Springs wyglądało jak garść białych kamyków, rzuconych w oddali, jak diamenty raz po raz odbijające przypadkowy promień światła. Ciemnoczerwone niczym rozżarzony koniuszek cygara słońce balansowało na krawędzi gór nad miastem. Mężczyzna z pękata kaburą pod brązową zamszową wiatrówką wiózł mnie w jego kierunku. Słońce zniknęło z pola widzenia i zapadała ciemność, jakby strzepnięty z cygara niematerialny popiół przykrył pustynię, a w niebo wzbijała się kolumna błękitnoszarego dymu.

Gdy dotarłem do Szmaragdowej Zatoki, niebo było granatowoczarne i usiane gwiazdami. Czarny cadillac jechał za mną od Palm Springs. Zgubiłem go na krętych uliczkach Pasadeny. O ile mogłem to ocenić, zgubiłem go na dobre.

Neonowy Meksykanin leżał spokojnie pod gwiazdami. Mniejszy napis u jego stóp zapewniał, iż WOLNYCH MIEJSC BRAK. Za nim ciągnęły się rzędy jasno oświetlonych okien w niskich otynkowanych budynkach. Drzwi do biura były otwarte, przesłonięte jedynie ekranem z siatki, i rzucały zakratowany prostokąt światła na żwir na podjeździe. Zajrzałem do środka i... stanąłem jak wryty.

Za kontuarem jakaś kobieta czytała zachłannie czasopismo. Jej barki i pierś były masywne. Blond włosy nosiła upięte w formie zwiniętego na czubku głowy warkocza. Na palcach miała pierścionki, a na grubej białej szyi - potrójny sznur hodowlanych pereł. To była kobieta, którą opisał mi Donny.

Otworzyłem siateczkowe drzwi i spytałem opryskliwie:

- Kim pani jest?

Podniosła wzrok znad pisemka, a jej usta wygięły się w cierpkim grymasie.

- Hola, hola! Byłabym zobowiązana, gdyby zechciał pan nie zapominać o dobrych manierach.

- Przepraszam. Wydawało mi się, że gdzieś już panią widziałem.

- Nie widział pan. - Przyjrzała mi się chłodno. - A przy okazji, co się stało z pańską twarzą?

- Przeszedłem małą operację plastyczną. W wykonaniu chirurga amatora.

Cmoknęła z dezaprobatą.

- Jeśli szuka pan pokoju, mamy komplet. Nie sądzę, bym wynajęła panu pokój, nawet gdyby był jakiś wolny. Proszę spojrzeć na swoje ubranie.

- Aha. Gdzie jest pan Salanda?

- Czy to powinno pana obchodzić?

- Chce się zobaczyć ze mną. Pracuję dla niego.

- Jakiego rodzaju pracę wykonuje pan dla niego?

- Czy to powinno panią obchodzić? - Sparodiowałem ją. Irytowała mnie. Pod zwałami ciała skrywała osobowość cienką, twardą i szorstką jak pilnik do drewna.

- Uważaj, z kim zadzierasza, synku. - Wstała, a jej olbrzymi cień groźnie zamajaczył na tylnych drzwiach pokoju. Czasopismo zamknęło się, upadając na ladę: były to „Wyznania nastolatek”. - Jestem pani Salanda. Czy pan jest nowym pracownikiem fizycznym?

- W pewnym sensie - powiedziałem. - Zajmuję się usuwaniem nieczystości w moralnym sensie tego słowa. Pani, zdaje się, może mnie potrzebować.

Ta ostatnia złośliwość przepelniła miarę.

- Myli się pan. I nie sądzę, by mój mąż pana zatrudnił. To porządny motel.

- Aha. Czy pani jest matką Elli?

- Nie powiedziałabym. To zero nie jest moją córką.

- Jej macochą?

- Nie pański interes. Lepiej niech pan stąd wyjdzie. A gdyby planował pan jakieś sztuczki, proszę pamiętać, że dziś w nocy policja bacznie przygląda się temu miejscu.

- Gdzie jest teraz Ella?

- Nie wiem i nie obchodzi mnie to. Pewnie włóczy się gdzieś po okolicy. Tylko do tego się nadaje. Jeden dzień w domu w ciągu ostatnich sześciu miesięcy - niezły wynik jak na młodą, niezamężną dziewczynę. - Jej nalana twarz rozdęła się ze złości na pasierbicę. Mówiła dalej bez namysłu, jak gdyby całkowicie zapomniała o moim istnieniu: - Powiedziałam jej ojcu, że jest starym głupcem, skoro przyjął ją z powrotem. Kto może wiedzieć, czym ona się zajmowała? Niech się mała niewdzięcznica zabiera stąd i radzi sobie sama.

- Czy takie jest twoje zdanie, Mabel? - Salanda delikatnie otworzył drzwi za jej plecami. Zrobił kilka kroków w głąb pokoju; wydawał się w dwójnasób karłowaty przy blond rozmiarach swojej żony. - Moim zdaniem, to przede wszystkim z twojego powodu Ella zmuszona była opuścić dom rodzinny.

Odwróciła się do niego, szlochając z wściekłości. Wyciągnął się na całą długość swego ciała, by strzelić jej palcami pod nosem.

- Wracaj do domu. Hańbisz kobiety, hańbisz macierzyństwo.
- Nie jestem jej matką, dzięki Bogu.
- Dzięki Bogu - powtórzył niby echo, potrząsając w jej stronę pięścią.

Wycofała się jak szkuner pod pełnymi żaglami, zagrożony przez kanonierkę. Drzwi zamknęły się za nią i Salanda zwrócił się do mnie:

- Pan wybaczy, panie Archer. Wstyd mi o tym mówić, ale mam pewne problemy z moją żoną. Postąpiłem jak kretyn, żeniąc się ponownie. Dostałem bezrozumną stertę miecha i straciłem córkę. Stary kretyn! - pomstował sam na siebie, ze smutkiem kiwając wielką głową.

- Ożeniłem się w porywie namiętności. Pożądanie płci przeciwnej zawsze było moją zgubą. To w mojej rodzinie dziedziczne, ten szalony pociąg do wszystkiego, co jasnowłose, głupie i duże. - Rozpostarł ręce w szerokim, a daremnym geście, obejmując pustkę.

- Nie powinien się pan tym zadrećzać.

- Gdybym mógł. - Podeszedł bliżej i przyjrzał się mojej twarzy. - Pan jest ranny, panie Archer. Ma pan uszkodzoną wargę. I krew na brodzie.

- Brałem udział w małej potyczce.

- Z mojego powodu?

- Z mojego własnego. Ale sądzę, że czas pogadać otwarcie.

- Otwarcie?

- Czas, by powiedział mi pan prawdę. Pan wie, kto tu został wczoraj zastrzelony, przez kogo i dlaczego.

Dotknął mego ramienia, szybko i z nutką niepewności.

- Mam tylko jedną córkę, panie Archer, tylko to jedno dziecko. Było moim obowiązkiem chronić ją najlepiej, jak mogłem.

- Chronić przed czym?

- Przed wstydem, policją, więzieniem. - Wyrzucił w bok jedno ramię dla zobrazowania rozmiaru ludzkiego nieszczęścia. - Jestem człowiekiem honoru, panie Archer. Ale honor w sferze prywatnej stawiam wyżej niż honor w sferze publicznej. Tamten mężczyzna porwał moją córkę. Przywiodła go tutaj w nadziei, że zostanie uratowana. To była jej ostatnia nadzieja.

- Myślę, że to prawda. Powinien pan mi to powiedzieć już wcześniej.

- Byłem zaniepokojony, zdenerwowany. Nie byłem pewien pańskich intencji. W każdej chwili mogła zjawić się policja.

- Ale miał pan prawo go zastrzelić. To nie była nawet zbrodnia. Zbrodnią było to, co on uczynił.

- Wówczas tego nie wiedziałem. Prawda dotarła do mnie stopniowo. Bałem się, że Ella jest z nim związana emocjonalnie. - Matowe spojrzenie jego czarnych oczu odnalazło moją twarz i spoczęło na niej. - Nie ja go jednak zastrzeliłem, panie Archer. Nawet mnie tutaj wtedy nie było. Powiedziałem to panu dziś rano i ma pan na to moje słowo.

- Czy pani Salanda tu była?

- Nie, nie było jej tutaj. Dlaczego pan o to pyta?

- Donny opisał kobietę, która zameldowała się razem ze zmarłym. Rysopis pasuje do pańskiej żony.

- Donny kłamał. Kazałem mu podać fałszywy rysopis tamtej kobiety. Widocznie wymyślenie czegoś oryginalnego przekraczało jego możliwości.

- Czy może pan udowodnić, że żona była z panem?

- Oczywiście. Mieliśmy zarezerwowane miejsca w teatrze. Ci, którzy siedzieli wokół nas, mogą potwierdzić, że nasze fotele nie były puste. Pani Salanda i ja nie jesteśmy mało rzucającą się w oczy parą. - Uśmiechnął się cierpko.

- Zatem to Ella go zabiła.

Ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył.

- Miałem nadzieję, że jest pan po mojej stronie, mojej i Elli. Czyżbym się omylił?

- Muszę z nią porozmawiać, zanim sam poznam odpowiedź na pańskie pytanie. Gdzie ona jest?

- Nie wiem, panie Archer, naprawdę nie wiem. Odeszła dziś po południu, jak tylko policja ją przesłuchała. Byli podejrzliwi, ale udało nam się uspokoić ich podejrzania. Nie wiedzieli, że Ella dopiero co wróciła do domu z innego życia, a ja im tego nie wyjawilem. Mabel chciała im powiedzieć, ale ją uciszyłem. - Jego białe zęby uderzyły jedno o drugie.

- A co z Donnym?

- Zabrali go na komisariat na przesłuchanie. Nie ujawnił nic, co mogłoby nam zaszkodzić. Donny potrafi sprawiać wrażenie bardzo głupiego, kiedy chce. Ma reputację idioty, ale nie taki znowu z niego tępak. Donny jest u mnie od wielu lat. Zdaje się głęboko oddany mojej córce. Zwolniłem go dziś wieczorem.

- Powinien pan posłuchać mej rady - powiedziałem - i wyjawić wszystko policji. Nic by się panu nie stało. Zabity był członkiem mafii, a to, co zrobił, kwalifikuje się jako porwanie. Pańska córka miała być świadkiem w sprawie przeciw jego szefowi.

- Powiedziała mi o tym. Cieszę się, że to prawda. Ella nie zawsze mówi mi prawdę. Niełatwo było ją wychować z braku dobrej matki, która świeciłaby przykładem. Gdzie ona była przez te sześć miesięcy, panie Archer?

- Śpiewała w nocnym klubie w Palm Springs. Jej szefem był gangster.

- Gangster? - Wykrzywił usta i zmarszczył nos, tak jakby poczuł smród moralnego rozkładu.

- To, gdzie była przedtem, nie ma takiego znaczenia jak to, gdzie jest teraz. Jej szef wciąż ją ściga. Wynajął mnie, bym ją odnalazł.

Salanda spojrział na mnie ze strachem i niechęcią, jak gdyby rzeczony odór pochodził ode mnie.

- Dał mu się pan wynająć?

- To był najlepszy sposób, by wydostać się stamtąd żywym. Nie jestem jego człowiekiem, jeśli o to panu chodzi.

- I chce pan, bym w to wierzył?

- Zapewniam pana. Ella jest w niebezpieczeństwie. Prawdę mówiąc, wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie. - Nie powiedziałem mu o drugim czarnym cadillacu. Gino zapewne właśnie nim jedzie, błakając się po nocnych drogach, z rewolwerem gotowym do strzału pod pachą i zemstą zzerającą mu serce.

- Moja córka jest świadoma tego zagrożenia - powiedział Salanda. - Ostrzegła mnie przed tym.

- Musiała panu powiedzieć, dokąd się udaje.

- Nie. Ale być może jest w domku na plaży. W tym, w którym mieszka Donny. Pójdę tam z panem.

- Pan zostanie tutaj. Proszę pozamykać wszystkie drzwi. Jeśli pojawią się jacyś nieznajomi i zaczną tu węszyć, proszę zawiadomić policję.

Zaryglował drzwi za mną, gdy opuściłem biuro. Żółte światła drogowe rzucały blade refleksy na asfalcie. Sznury samochodów ciągnęły na północ i na południe. Od strony zachodniej, tam gdzie rozciągał się ocean, wielka czarna pustka otwierała się pod gwiazdami. Domek plażowy przysiadł na jego białym obrzeżu, niewiele ponad milę od motelu.

Po raz drugi tego dnia zapukałem w wypaczone drzwi kuchenne. Przez pęknięcia w deskach dochodziło światło. Nagle przesłonił je jakiś cień.

- Kto to? - spytał Donny. Strach - lub inne emocje - wypełnił mu usta kamykami.

- Znasz mnie, Donny.

Drzwi zajęczały na zawiasach. Milcząc, pokazał mi gestem, abym wszedł; jego twarz była białą plamą. Gdy odwrócił głowę i światło z saloniku rozjaśniło mu twarz, zobaczyłem, że to smutek był uczuciem, które ją naznaczyło. Jego oczy były spuchnięte jak od płaczu. Bardziej niż kiedykolwiek przypominał znekatego chłopca, jakby cierpienia wieku dorastania

nigdy nie zostały uśmierzone w wieku męskim.

- Ktoś jest u ciebie?

Odgłos ruchu w saloniku był odpowiedzią na moje pytanie. Odsunąłem Donny'ego na bok i wszedłem. Ella stała, pochylając się nad otwartą walizką, rozłożoną na polowym łóżku. Wyprostowała się. Miała zaciśnięte usta, oczy szeroko otwarte i mroczne. Samopowtarzalny pistolet kaliber.38 w jej ręce lśnił matowym blaskiem pod nagą żarówką, podwieszoną u sufitu.

- Wynoszę się stąd - powiedziała - i pan mnie nie powstrzyma.

- Nie jestem pewien, czy będę próbował. Dokąd się wybierasz, Fern?

Donny przemówił za moimi plecami pogrubionym od smutku głosem:

- Ona odchodzi ode mnie. Obiecała, że tu zostanie, jeśli zrobię, co mi każe. Obiecała, że będzie moją dziewczyną...

- Zamknij się, głupku. - Jej głos ciął niczym pejcz, a Donny stęknął, jakby ten pejcz spadł na jego plecy.

- Co ci kazała zrobić, Donny? Powiedz, co zrobiłeś.

- Kiedy się meldowała wczoraj wieczorem z tym facetem z Detroit, dała mi znak, bym nie zdradził się, że ją znam. Później zostawiła mi wiadomość. Zapisała ją szminką na kawałku papierowego ręcznika. Wciąż go mam, schowałem go w kuchni.

- Co tam napisała?

Zawahał się, stojąc za moimi plecami. Bał się broni w rękę dziewczyny, a jeszcze bardziej jej gniewu. Za to ona się odezwała:

- Nie bądź idiotą, Donny. On nic nie wie, absolutnie nic. Nic nie może zrobić żadnemu z nas.

- Nie dbam o to, co stanie się ze mną czy z kimkolwiek - odezwał się udręczony głos za moimi plecami. - Ty odchodzisz ode mnie, łamiesz obietnicę, którą mi dałaś. Zawsze wiedziałem, że to byłoby zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Teraz już po prostu nic mnie nie obchodzi.

- Ale mnie obchodzi - powiedziała. - Obchodzi mnie, co się stanie ze mną. - Jej migdałowe oczy przeniosły się ponad nieporuszonym pistoletem i spoglądały na mnie. - Nie zostanę tutaj. Zastrzelę pana, jeśli będę musiała.

- To raczej nie będzie konieczne. Odłóż broń, Fern. To pistolet Bartolomea, prawda? W schowku na rękawiczki jego auta znalazłem pasujące do niego naboje.

- Skąd pan tyle wie?

- Rozmawiałem z Anielem.

- Czy on tutaj jest? - Panika zaskomlała w jej głosie.

- Nie. Przyjechałem sam.

- Więc niech pan lepiej wyjedzie w taki sam sposób, póki może pan to zrobić o własnych siłach.

- Zostanę. Ty potrzebujesz ochrony, czy sobie zdajesz z tego sprawę, czy nie. A ja potrzebuję informacji. Donny, idź do kuchni i przynieś mi tę notatkę.

- Nie rób tego, Donny. Ostrzegam cię.

Jego stopy w tenisówkach wydawały delikatne, niezdecydowane dźwięki. Zbliżyłem się do dziewczyny, mówiąc cicho i stanowczo.

- Namawiałaś do morderstwa, ale nie musisz się obawiać. Należało mu się. Opowiedz całą historię glinom, a jestem pewien, że nawet cię nie przymkną. Do diabła, może nawet zostaniesz sławna. Władze potrzebują cię jako świadka w sprawie podatkowej.

- Jakiej sprawie?

- Sprawie podatkowej przeciw Angelowi. To prawdopodobnie jedyny zarzut, jaki mogą mu postawić. Możesz posłać go za kratki na resztę życia, jak to się stało z Alem Capone. Będziesz bohaterką, Fern.

- Nie nazywaj mnie Fern. Nienawidzę tego imienia. - Łzy nagle napłynęły do jej oczu.

- Nienawidzę wszystkiego, co wiąże się z tym imieniem. Nienawidzę samej siebie.

- Znienawidzisz się jeszcze bardziej, jeśli - nie odłożysz broni. Zastrzelisz mnie i wszystko zacznie się od nowa. Gliny będą deptać ci po piętach, bandziory Angela będą na ciebie polować.

Teraz dzieliło nas tylko łóżko, łóżko i pistolet nieruchomo wycelowany we mnie.

- To jest punkt zwrotny tej historii - powiedziałem. - Podjęłaś już dość marnych decyzji i niemal zrujnowałaś sobie życie. Grałaś w berka z najgorszymi ludźmi, jacy istnieją. Możesz albo dalej iść tą drogą, zanurzać się w to coraz głębiej, aż skończysz w szufladzie chłodni, albo próbować wyrwać się z tego teraz i powrócić do uczciwego życia.

- Uczciwego życia? Tutaj? Z Mabel w charakterze żony mojego ojca?

- Myślę, że dni Mabel w tym domu są policzone. Zresztą ja nie jestem Mabel. Stoję po twojej stronie.

Ella podjęła decyzję. Mógłbym odgadnąć z odległości mili, co zamierza teraz uczynić. Upuściła pistolet na koc przykrywający łóżko polowe. Podniosłem go i skierowałem w stronę Donny'ego.

- Pokaż mi notatkę.

Zniknął za kuchennymi drzwiami, z głową i ramionami obwisłymi na długim,

badylastym ciele.

- Cóż mogłam zrobić? - odezwała się dziewczyna. - Odnalazł mnie. Wiedziałam, że teraz albo on, albo ja. Całą drogę z Acapulco planowałam, jak mu uciec. Kiedy przekraczaliśmy granicę, przystawił mi pistolet do boku, tak samo, ilekroć zatrzymywaliśmy się, by zatankować lub zjeść coś w przydrożnych restauracjach. Zdałam sobie sprawę, że trzeba go zabić. Motel mojego ojca wydawał się moją jedyną szansą. Namówiłam więc Barta, by zatrzymał się tu ze mną na noc. Nie miał pojęcia, do kogo należy to miejsce. A ja nie wiedziałam, co zrobić. Wiedziałam jedynie, że to musi być coś drastycznego. Gdybym znalazła się z powrotem z Angelem na pustyni, to byłby mój koniec. Nawet gdyby mnie nie zabił, musiałabym nadal z nim żyć. Wszystko wydawało się lepsze niż to. W łazience napisałam wiadomość dla Donny'ego i wyrzuciłam przez okno. Zawsze szalał na moim punkcie.

Jej wargi nie były już takie napięte. Wyglądała bardzo młodo i niewinnie. Bładobłękitne wgłębienia pod oczami zwilgotniały.

- Donny zastrzelił Barta z jego własnej broni. Miał więcej zimnej krwi niż ja. Całkowicie straciłam nerwy, gdy wróciłam dziś rano do pokoju. Nie wiedziałam o krwi w łazience. Tego było już za wiele.

Lecz miało być jeszcze więcej. Coś trzasnęło w kuchni. Zimny powiew omiółł salonik. Dwa razy odezwał się pistolet, poza zasięgiem wzroku. Donny runął na plecy, wpadając do pokoju przez otwarte drzwi, z kawałkiem jasnobrązowego papieru w zaciśniętej dłoni. Krew lśniła na jego barku jak czerwona odznaka.

Zrobiłem krok za łóżko i pociągnąłem dziewczynę na podłogę. Gino wszedł do pokoju, stąpając swymi dwukolorowymi sportowymi butami po z trudem poruszającej się klatce piersiowej Donny'ego. Wystrzałem wytrąciłem mu broń z ręki. Runął w tył na ścianę za jego plecami, ściskając się za nadgarstek.

Dobrze przymierzyłem się do drugiego strzału, czekając, aż czarna linia jego złączonych brwi znieruchomieje na celowniku mojej trzydziestki ósemki. Otwór, jaki zrobiła kula, nie był nawet widoczny. Gino osunął się bezwładnie w przód, padając na brzuch obok mężczyzny, którego zabił.

Ella Salanda przebiegła przez pokój. Przyklękła i utuliła w ramionach głowę Donny'ego. On zaś odezwał się niewiarygodnie mocnym głosem:

- Nie odejdziesz znowu, Ella, prawda? Zrobiłem, co kazałaś. Obiecałaś.
- Jasne, że obiecałam. Nie opuszczę cię, Donny. Ty głupi wariacie.
- Lubisz mnie teraz bardziej? Bardziej niż przedtem?

- Lubię cię, Donny. Jesteś najlepszym facetem, jakiego znam. Trzymała biedną, nieznaczającą głowę w swych ramionach.

Westchnął i jego życie uleciało z rozpogodzoną twarzą. Tym razem to Donny odchodził, nie ona. Jego palce rozluźniły się, przeczytałem więc słowa skreślone szminką na kawałku porowatej bibuły:

„Donny. Ten mężczyzna zabije mnie, jeśli ty nie zabijesz go pierwszy. Broń będzie w jego ubraniu na krześle przy łóżku. Przyjdź o północy i weź ją. Strzelaj, by zabić. Powodzenia. Jeśli to zrobisz, zostanę i będę twoją dziewczyną, tak jak zawsze chciałeś. Całuję. Ella”.

Spojrzałem na parę na podłodze. Dziewczyna kołysała martwą głowę Donny'ego przyciśniętą do piersi. Obok nich Gino - wydawał się bardzo mały i samotny, jak kukła, a z jego brwi sączyła się ciemność.

Spełniło się życzenie Donny'ego, spełniło się i moje. Zastanawiałem się, czego życzy sobie Ella.

II. GLINY

OPOWIEŚCI O STRÓŻACH PRAWA

MacKinlay Kantor

Łowy Hemingwaya

Człowiekiem, który odegrał czołową rolę we wprowadzeniu na karty literatury kryminalnej pierwszoplanowej postaci niezłomnego policjanta, był William J. Flynn, sam przez szereg lat jako szef Tajnych Służb Stanów Zjednoczonych stojący na straży prawa. Tak jak Joseph T. Shaw przyznał prywatnym detektywom szczególne miejsce na kartach pisma „Black Mask”, tak samo zwalisty i zadziorny Flynn zachęcił autorów opowiadań zamieszczanych w jego czasopiśmie (które zaczęło się ukazywać w 1924 roku jako „Flynn's”, a w 1928 zostało przemianowane na „Detective Fiction Weekly”), by pisali o stróżach prawa, godnych przeciwnikach gangsterów i nie mniejszych twardzielach niż prywatni detektywi. Były to rejony, które penetrował już w 1922 roku, w serii zatytułowanej „Peabody Smith, the Famous Investigator of the US Secret Service” („Peabody Smith, sławny wywiadowca Tajnych Służb USA”), w oczywisty sposób opartej na jego własnych doświadczeniach, i był to zarazem temat jasno przemawiający do wyobraźni paru pisarzy, którzy niebawem zaczęli składać na jego biurku własne prace tego typu. Znaleźli się wśród nich: Max Brand, Arthur B. Reeve (twórca Naukowego Detektywa Craiga Kennedy'ego), Cornell Woolrich (do którego jeszcze wrócimy) i MacKinlay Kantor.

„Mac” Kantor, który miał w przyszłości zdobyć nagrodę Pulitzera za swoją powieść z czasów wojny secesyjnej, zatytułowaną „Anderson-ville” (1955), i uznanie jako hollywoodzki scenarzysta, wyznacza też punkt zwrotny w historii gatunku, będąc autorem jednej z pierwszych policyjnych serii w tanich czasopismach. Były to opowieści o dwóch braciach, Nicku i Dave’em Glennanach, zatrudnionych w nowojorskiej policji. Starszy z nich, Dave, był trzeźwo myślącym detektywem, skutecznym, choć raczej mało elastycznym w działaniu, podczas gdy piętnaście lat odeń młodszy Nick - człowiekiem bardziej błyskotliwym i bezpośrednim. Opowieści o tej dwójce i ich śledztwach w sprawie morderstw, rabunków i wszelakiej działalności miejskich kryminalistów ukazywały się w „Detective Fiction Weekly” we wczesnych latach trzydziestych i - pomimo popularności - rzadko były później przedrukowywane.

MacKinlay Kantor (1904-1977) urodził się w stanie Iowa. Tam też rozpoczął karierę dziennikarską w „Daily News” w Webster City, by później zostać na jakiś czas felietonistą „Des Moines Tribune”. W 1930 roku przeprowadził się do Nowego Jorku, gdzie pracował nad swymi wczesnymi powieściami i z rosnącym powodzeniem pisywał do „Detective Fiction Weekly”. Kilka razy miał osobiście do czynienia z policjantami, których opisywał. Po raz pierwszy zdarzyło się to, gdy jechał swym samochodem, wciąż na numerach stanu Iowa, i został zatrzymany przez grupę gliniarzy z New Jersey, ścigających zbiegłych gangsterów ze Środkowego Zachodu z niesławnym Johnem Dillingerem włącznie. Rok później zdarzyło się dokładnie to samo - choć tym razem Kantor przyznał się do przekroczenia prędkości - i stanął twarzą w twarz z dwoma spośród tychże policjantów, których poznał za pierwszym razem. Szczęśliwym trafem rozpoznali go - nie byli też nieświadomi faktu, że jest autorem opowiadań czytanych przez nich z zapalem w „Detective Fiction Weekly”. Zamiast mandatu otrzymał zaproszenie na komisariat, gdzie cała grupa uraczyła go materiałem do przyszłych opowieści. Za trzecim razem, gdy rzeczywiście szukał inspiracji do jednego z opowiadań o braciach Glennan, okazało się to dużo mniej przyjemne, jak sam później wyjaśniał: „Gdy byłem już na peryferiach Westfield, zaparkowałem w cichej uliczce opodal opuszczonej rezydencji i bez reszty oddałem się rozmyślaniom, usiłując sklecić fabułę kolejnego opowiadania dla »Weekly«. Następną rzeczą, jaką ujrzałem, byli gliniarze stojący z wyciągniętymi rewolwerami po obu stronach mojego auta. Chcieli wiedzieć, co tam robię, więc powiedziałem im zgodnie z prawdą: »Próbuję wymyślić unikalny sposób na zamordowanie człowieka«, i miałem niezły ubaw, nim wyjaśniłem całą rzecz do końca”.

Kantor zwrócił się później, jak wiadomo, ku powieściom z dziedziny fikcji historycznej, stając się jednym z najbardziej poczytnych pisarzy amerykańskich, ze swymi klasycznymi już pozycjami, takimi jak „The Voice of Bugle Ann” (1935), „Gettysburg” (1952) oraz „Story Teller” (1967); w uznaniu zasług na tym polu został konsultantem do spraw literatury amerykańskiej przy Bibliotece Kongresu w Waszyngtonie. Nigdy jednak nie stracił sympatii dla swych policyjnych opowieści o braciach Glennan, które cechowała, jak sam twierdził, „swego rodzaju dosadność i wyrazistość”. Oto jedna z najlepszych, w której prawdopodobnie wykorzystał własne przeżycia ze

stróżami prawa, by zrelacjonować historię pościgu obu braci za zdesperowanym gangsterem.

*

Inspektor Bourse wyglądał na bardzo zmęczonego. Nie spał całą noc, a nie był już tak młody jak za dawnych dobrych dni, kiedy chodził w szarym hełmie i nosił sumiaste wąsy.

Siedział skulony w głębokim, obitym jaskrawą tkaniną fotelu, a towarzystwo złożone z dwóch młodych mężczyzn i dwóch rumianych, przesadnie wystrojonych kobiet otaczało go ciasnym kręgiem.

- Jak z twoim zegarkiem, Ricardi? - zapytał Bourse. - I z twoim, Glennan?

Podciągnięte w górę rękawy futer z szopów odsłoniły mocne nadgarstki i w pokoju na chwilę zaległa cisza.

- Ósma osiem, szefie.

- U mnie to samo, inspektorze. Ósma osiem.

- A wy, drogie panie - ostatnie słowo wypowiedział szybko i niewyraźnie - czy włożyłyście broń do torebek?

- Tak jest.

- No to co was tu jeszcze zatrzymuje? - spytał stary inspektor Bourse. - Do dzieła. Nie dajcie im szans. Oni nigdy, jak żyją, nie dali nikomu szansy, zwłaszcza Hemingway. I pamiętajcie o tych cholernych kamizelkach. Celować w łeb.

Jedna z kobiet, nazwiskiem Cohen, powiedziała:

- To mi przypomniało o...

- Strzelać po gaciach - przytaknął stary dowódca. - Chcę mieć jego płaszcz i kamizelkę. To tyle, panowie.

Wyszli przez kuchnię; mundurowy otworzył im tylne drzwi. Zeszli ponurą klatką schodową dwa piętra w dół i wcisnęli się do czarno-czerwonej taksówki, czekającej z zapuszczonym silnikiem przy wejściu od strony alei. Nikt nie powiedział ani słowa. Kierowca wydawał się zbyt potężny jak na taksówkarza - mógłby z całą pewnością wykonywać zawód bardziej odpowiedni dla mężczyzny ważącego prawie dziewięćdziesiąt pięć kilogramów i o barkach jak ze stali.

Przy końcu alei od strony ulicy Balmoral taksówka skręciła w lewo i jeszcze raz w lewo, w Dorchester Avenue; jechała teraz na wschód aleją równoległą do tej, przy której chwilę temu parkowała. Ten kwartał był bardzo ciasno zabudowany domami mieszkalnymi nie najwyższej klasy, choć tu i ówdzie stała niewzruszenie jakaś stara rezydencja, opierając się naporowi murów z czerwonej i żółtej cegły.

- Tutaj - powiedział najmłodszy i najprzystojniejszy z mężczyzn i taksówka

zatrzymała się przy krawężniku przed numerem 1441.

Ulica wyglądała dość niewinnie. Był to normalny poranek w środku tygodnia, godzina mniej więcej ósma trzynaste, i jeśli istnieje coś takiego, jak zwyczajna ulica w środku tygodnia, to w tym momencie z pewnością była nią Dorchester Avenue. Taksówka zaparkowała zaraz za ciężarówką z mleczarni; po drugiej stronie ulicy stała furgonetka firmy kurierskiej. Z pobliskiej drogi dostawczej wystawał tył ciężarówki należącej do pralni „Zaćmienie”, ale jej kierowcy nie było w zasięgu wzroku. Najwidoczniej wziął swój niewielki składany wózek i zniknął w najbliższym budynku, by pozbierać sterty brudnej bielizny lub rozwieźć całą różnorodność wypranych rzeczy. Zza cienkich, nieprzejrzystych firanek w oknie mieszkania po przeciwnej stronie ulicy inspektor Bourse spoglądał w dół na to wszystko i wiedział, że to jest dobre.

Wiedział też, że z tyłu za budynkiem przy Dorchester Avenue numer 1441 handlarz starzyzną jedzie główną aleją i że za chwilę wybuchnie kłótnia między nim a kierowcą blokującej mu drogę ciężarówki z miejskiego zakładu wywozu śmieci. Inspektor był świadom i tego, że nie wszyscy lokatorzy spod numeru 1441 śpią albo siedzą nad wczesnym śniadaniem. Nie, przynajmniej kilkunastu wprowadziło się w ciąg minionej doby - ukradkiem, po cichu, ostrożnie - i ci właśnie mieli w tej chwili pod ręką broń gotową do strzału.

*

W tym idiotycznym trzyipółpiętrowym budynku pod numerem 1441, w niewielkiej słonecznej lodzii, należącej do mieszkania numer 327, siedział młody mężczyzna. Z pewnością niezmiernie zainteresowałby go fakt, że inspektor Bourse w tejże chwili obserwuje jego okna. Nie był miłym młodzieńcem. Miał twarz w kolorze papieru, w jaki w sklepie rzeźniczym zawija się mięso, kształt ust zaś odziedziczył w prostej linii po odległym przodku, specjalście od tortur na dworze któregoś z Ludwików.

Miał dwadzieścia siedem lat; zabijał ludzi w Chicago, Dallas, Saginaw, Fort Wayne, Kansas City, Tulsa i tutaj, w mieście, gdzie się teraz zatrzymał. Pocztove ciężarówki i banki płaciły mu daninę. Kobiety zmuszano do obsypywania go pieszczotami; niektórych, rzecz dziwna, nawet nie trzeba było do tego zmuszać. Nazywał się Chester Hemingway, a jego osobiste zasoby gotówki sięgały trzystu piętnastu tysięcy dolarów.

Młodzieniec coś przeżuwał. Jego szczęki pracowały z okrutną precyzją, w której nie było z miłą bez troski kogoś zwyczajnie żującego gumę. Poruszały się w górę i w dół, lśniąco białymi zębami miażdżąc, rozdrabniając w proch jakiś tajemniczy pokarm. To było straszne i fascynujące zarazem, obserwować, jak Chet Hemingway przeżuwa. A przeżuwał

zawsze.

- Chet - dobiegł głos z sąsiedniego pomieszczenia. Nie odwracając głowy, Hemingway powiedział:

- Taa? - Zawsze, gdy się odzywał, na jego twarz wypełzał grymas niezadowolenia.

- Co tam się dzieje na dole?

- Taksówka. Dwie dziwki i dwóch studenciaków w futrach z szopów.

- Strasznie hałasują. Zastanawiałem się...

- Ja tu jestem od zastanawiania się - wyjaśnił koledze Chet Hemingway. - Pewnie, że strasznie hałasują. Każdy robi wiele hałasu, jak jest ubzdryngolony. A to towarzystwo jest ululane na cacy - zwłaszcza oba kaszaloty. - Przysunął się o cal bliżej okna i jego lodowato zielone oczy spojrzały w dół na wesołe towarzystwo, zbliżające się do wejścia od podwórza, w prostej linii pod jego oknem. - Taa, kaszalot to dobre słowo - wymamrotał sam do siebie. - Osobiście wolę szczuplejsze.

Pomyślał o Lily.

- Tomsk! - zawołał. - Gdzie jest Lily?

- Chyba jeszcze śpi.

- Chciałbym, żeby wstała, do cholery, wstała i dała nam jakieś śniadanie. Powiedz jej, żeby wstała.

Usłyszał, jak Tomsk szepcze coś do Herasa i jak Heras, ciężko stąpając, idzie krótkim korytarzem, by zapukać w drzwi sypialni.

- Hej, Lii, wstawaj. Chet mówi, że masz wstać. Po chwili dał się słyszeć rozdrażniony głos Lii:

- Och, na litość boską! - Ziewnęła. - No dobra, powiedz mu, że idę.

Hemingway uśmiechnął się. Gdyby któryś z tych małpisonów kiedykolwiek spróbował dostawiać się do Lii, odstrzeliłby mu uzębienie, tak że wyleciałoby przez uszy. Chyba zaczyna naprawdę lubić Lii, i to bardziej niż kogokolwiek do tej pory. Niczego dobrego to nie wróży. Pewnego dnia będzie musiał się jej pozbyć, w taki czy inny sposób. Ale w chwili obecnej...

Usłyszał, jak zawiane towarzystwo - chłoptasie z college'u w futrach z szopów i tłuste, wymalowane kobiety - wspinają się ociężale po schodach. Jego dłoń przysunęła się w stronę rewolweru z krótką lufą, który miał przy sobie, lecz po chwili znów się oddaliła. Pijani. Uciążliwe gnojki z parą ulicznic poderwanych podczas nocnej hulanki. Nie ma powodów do alarmu... Dwóch dostawców z Railway Express przeszło przez jezdnię, dźwigając pomiędzy sobą ciężkie pudło. Daleko w głębi korytarza mleczarz pobrzękiwał butelkami. Bliżej słychać

było szmer gumowych opon - to mężczyzna z pralni szedł korytarzem, pukając do kolejnych drzwi.

Radio zawodziło: „Ostaaatni bydła spęd...”.

Chet przeżuwał i przelykał, przelykał i przeżuwał.

- Hej, Tomsk! - zawołał do sąsiedniego pokoju. - Słysząc faceta z pralni. Powiedz Lii, żeby była gotowa podejść do drzwi. Ty i Heras znikacie. - Znudzony i markotny spojrzął na sufit nad swoją głową. Jak długo jeszcze, jak długo będą musieli siedzieć w tym cholernym domu, w tym cholernym mieście? Ale wciąż było za gorąco, by spróbować przeskoczyć do Ameryki Południowej. Może w przyszłym miesiącu...

W tej właśnie chwili w jego umyśle po raz pierwszy pojawiło się pragnienie, by zabrać Lii ze sobą. Do tej pory zamierzał porzucić ją w Nowym Orleanie; dać jej kupę szmalu, ale jednak porzucić - upewniwszy się wpierw, że nie stanowi dla niego zagrożenia. Gdyby nie był jej pewien, zawsze mógł zrobić w niej dziurę na wylot i zrzucić ją z mostu ze starym żeliwnym kaloryferem przywiązany do nóg i szyi. I takie rzeczy już się zdarzały. Nie z Lii, oczywiście. Tak było z Jenny. Więcej się nie pokazała - grząski muł, głębokie dno rzeki, już o to zadbał. O tę jedną rzecz nigdy nie będą w stanie go oskarżyć.

Prawdę mówiąc, Chet Hemingway zakochał się w Lii i nie zdawał sobie z tego sprawy. Zabawne: po tych wszystkich tygodniach spędzonych razem zakochał się w niej akurat w dzień, kiedy miała zginąć.

„Ruszaj żwawo, mój cielaczku, ruszaj żwawo, mój cielaczku...”

Gdy dotarli do krótkiego biegu schodów, łączącego pierwsze i drugie piętro, detektyw Glennan powiedział do detektywa Pete'a Ricardiego:

- Okej. Dave będzie naprzeciwko tych małych drzwi dla służby w bocznym korytarzu. Horn pójdzie tam, jak tylko wyciągniemy Thompsona.

Jedna z kobiet, ta nazwiskiem Cohen, zaśmiała się piskliwie, po pijacku. Tak, Benny Cohen co roku robił furorę w policyjnych przedstawieniach wodewilowych. Druga kobieta, której nazwisko brzmiało detektyw Barney Flynn, rechotała jeszcze głośniej. Ale był to raczej chrapliwy ryk; Flynn nie potrafił naśladować kobiety tak dobrze jak Cohen.

- Zaraz ich tu ściągniesz, uzbrojonych po zęby - wymamrotał Nick Glennan. - Śmiejesz się jak hipopotam, Barney. W porządku - odezwał się ponownie, gdy dotarli na drugie piętro. Nick nie był jeszcze sierżantem, ale to on dowodził tym oddziałem; jeśli wszystko pójdzie dobrze, może mieć szansę na szybki awans.

Nadszedł detektyw Horn, pchając korytarzem swój wózek z praniem. Posłał zapijaczonym studentom i ich lafiryndom całkiem poważnie mrugnięcie okiem; twarz miał

dość bladą. Ricardi schylił się i spod sterty miękkich, błękitnych worków, leżących na wózku, wyciągnął pistolet maszynowy Thompson. Płaszcz z szopów ześliznął się z jego ramion; szczupłe dłonie wprawnie przesunęły się od bębna magazynku do spustu i z powrotem; Ricardi był najlepszy w całym wydziale w strzelaniu z broni maszynowej.

Kobiety w tym czasie zajęły się sobą. Zniknęły płaszcze i peruki w kolorze henny - ich sukienki były krótkie i prowizoryczne, nie powinny im zbyt zawadzać, zrzuciły jednak w pośpiechu buty z klamerkami z kryształów górskich. Bez przebrania nie były podobne do żadnych ziemskich stworzeń, ale miały trzydziestki ósemki w dłoniach.

Całą tę rozmowę prowadzili szeptem, a przebieranie się i dobywanie broni wykonali w dwóch, trzech szybkich ruchach. Horn ruszył powoli przodem, ze swym wózkiem i betami, i zniknął w bocznym korytarzu, w którym, naprzeciwko wiadomego mieszkania, znajdowały się kuchenne drzwi, a za nimi gruby brat Nicka, sierżant Dave Glennan.

Wydawało się, że szanse Hemingwaya, Tomska i Mętnego Herasa są nikłe. Po drugiej stronie ulicy inspektor Bourse i dowódca grupy detektywów, Moore, byli mocno zdenerwowani. Jeszcze minuta, może dwie...

Dwaj mężczyźni z Railway Express rzucili pudło na podłogę w westybulu po drugiej stronie podwórza i odwracając się, dobyli broni. W alejce na tyłach domu trzech detektywi na cuchnącej śmieciarce i jeszcze dwaj na wozie handlarza starzyzną - wszyscy wdali się w pełną obelg kłótnię, co zmusiło ich do zejścia z pojazdów i zgromadzenia się naprzeciwko tylnej klatki schodowej.

Mleczarz nadszedł korytarzem. Ubrany był na białą i niósł książkę z rachunkami, ale nazywał się detektyw Kerry. Czterej inni oficerowie policji skradali się za nim w milczeniu. Zadzwoiły butelki w drucianym koszyku, niesionym przez Kerry'ego. „Ruszaj żwawo, mój cielaczk” - odezwało się radio Cheta Hemingwaya, „ruszaj żwawo...”.

Stali po obu stronach drzwi mieszkania numer 327. Nick Glennan nacisnął perłowy guziczek; Ricardi dał znak Kerry'emu, by jeszcze raz zadzwonił butelkami, i korzystając z tej dźwiękowej osłony, zarepetował swojego thompsona.

Usłyszeli daleki odgłos kuchennego gwizdka; to był Horn.

- Mleczarz! - zawołał śpiewnie detektyw Kerry.

- Praa-nie... - zabuczał detektyw Horn daleko za rogiem. „...Ostaaatni bydła spęd... ruszaj żwawo, mój cielaczk...”.

Gdzieś w mieszkaniu słyhać było kobiecy głos i odpowiedź mężczyzny.

- Kto tam?

- Mleee-czarz...

Drzwi otwarły się na szerokość szczeliny. Cohen popchnął je nogą. W środku, przy drzwiach, był Tomsk Dwie Twarze, i nawet gdyby naprawdę miał dwie twarze, nie wyglądałby na bardziej zdziwionego niż w tej chwili.

- Łapki do góry, Tomsk - wyszeptał Glennan. - Nie masz żadnych szans.

Usłyszeli głos sierżanta Dave'a Glennana zza kuchennych drzwi:

- Uważaj, Horn! - I rozległ się ostry dźwięk wystrzału z małego pistoletu. Lii musiała mieć przy sobie broń, kiedy podeszła do drzwi - ale jej szanse też były marne.

Tomsk Dwie Twarze dał nura przed siebie, szarpnięciem wydobywając swój rewolwer. Mętny Heras leżał płasko na kanapie z wysokim oparciem, poza widokiem, ale wnet pojawił się z czterdziestką piątką w każdej dłoni.

Tomsk strzelił raz; kula przeszła pomiędzy ramieniem i bokiem ciała Kerry'ego, a Tomsk runął na podłogę z dwiema pamiątkami po policyjnym kolcie młodego Nicka Glennana w głowie.

Mętny Heras sprawił więcej kłopotu. Kapuś nie kłamał, wspominając o kamizelkach kuloodpornych. Pistolet maszynowy Ricardiego porządnie przetrzepał kanapę w szybkim staccato, ale cała krzywdą, jaką wyrządził Herasowi, to kilka siniaków na żebrach. Do tego czasu jeden z pistoletów gangstera był już pusty; wystrzelona przezeń kula przeszła przez pierś Barneya Flynna, a pozostałe uderzały tak gęsto, że nikt nie mógł czuć się bezpiecznie.

Przez kuchenkę i niewielki przedpokój wpadli z rykiem, atakując z flanki, sierżant Dave Glennan i pracownik pralni Horn.

- Rzuć to, Mętny! - zabrzmiał okrzyk, ale Mętny nie przejął się tym nic a nic. Za plecami miał już tylko balkonowe drzwi, lecz walczył do końca. Garść piguł z Dave'owego obrzyna pchnęła go na szybę, a ta ustąpiła pod naporem - szkło rozsypało się z trzaskiem i ciało Herasa, obracając się i wijąc, runęło na brukowany dziedziniec dwa piętra niżej.

Ale gdzie jest pan Chester Hemingway, który zabijał ludzi w Chicago i Kansas, na wschodzie i zachodzie? Gdy ucichł przesywający huk wystrzałów, radio nadal zawodziło o samotności na prerii, Cheta Hemingwaya jednakowoż nie było nigdzie. Nick Glennan potknął się o przewrócone krzesło i pognał na przeszkloną łodzię, jego brat i Horn dali nura do sypialni, od strony klatek schodowych zaś doleciał grzmot kroków - to oddział zbiegał się do mieszkania numer 327. Ale Chet Hemingway nie mógł podjąć gości; nie było go w domu.

Nick ogarnął jednym zdumionym spojrzeniem całą łodzię. Stojące tam radio wciąż grało, rzucony na podłogę papieros Cheta zdążył wypalić dziurę w dywanie, a w suficie... Nick zaklął siarczyście. Wspiął się na stół, stamtąd na szczyt kaloryfera. W suficie piłą wyrżnięto kwadratowy otwór, a przez ten otwór - to było oczywiste - wyskoczył Hemingway

i uciekł.

- Dwa mieszkania - jęknął Nick sam do siebie. - Dwa! A nikt nawet o tym nie pomyślał - numer 327 i... numer 427, dokładnie piętro wyżej... do diabła z takim informatorem... Wsunął ręce w nierówny otwór i poczuł, że deski są wciąż ciepłe i wilgotne od mocnego uchwytu dłoni Cheta Hemingwaya. Podciągnął się do góry, do mieszkania pod numerem 427. Coś gdzieś zaszurało - i z pewnością dostałby kulkę w głowę, gdyby Hemingway zabawił dość długo, by mu ją posłać...

Mieszkanie było umeblowane, jak i to poniżej, ale na pierwszy rzut oka widziało się, że nikt w nim nie mieszka. Wynajęto je w jednym tylko celu - dokładnie w tym, do jakiego przed chwilą posłużyło. Gdyby tamci zostali w porę ostrzeżeni, cały gang zniknąłby, wyfruwając przez kwadratowy otwór w suficie.

Drzwi na korytarz było szeroko otwarte - Nick zazgrzytał zębami. W końcu korytarza stała oparta o ścianę drabina, a właz na dach był otwarty. I pomyśleć, że te diabły wszystko zaplanowały w najdrobniejszych szczegółach - łącznie z drabiną i całą resztą! Nick zatrzymał się tylko po to, by krzyknąć do swoich ludzi na dole, i jął piąć się po szczeblach.

Wyszedł na zimne, ostre światło słońca. Obok klapy włazu świsnęła kula. Nick warknął i uniósł broń. Dwa dachy dalej szczupła sylwetka w białej koszuli i czarnych spodniach przeskakiwała przez wysoką na metr przegrodę. Nick miał w magazynku jeden niewystrzelony nabój. Rozstawił szeroko stopy i dobrze wycelował; huknął strzał. Odległa postać zachwiała się, jakby miała upaść do przodu, lecz odzyskała równowagę i pognąła przed siebie, trzepocząc rozerwaną koszulą.

- Te kamizelki - westchnął Nick - wynalazek diabła... i pomyśleć, że nosi ją pod koszulą... - Przez cały czas pędził po dachach, przeskakiwał wąskie szczeliny między domami i przesadzał niskie murki jak uciekający wariat. Dotarł do ostatniego budynku w szeregu, wychylił się poza krawędź dachu i ujrzał szydzącą zeń postać, jak zeskakuje z ostatniego stopnia schodów przeciwpożarowych. Nick gwizdnął; zawołał i skinął ręką na pozostałych gliniarzy, wynurzających się z odległego teraz włazu na dach; cisnął swym doskonale sprawnym rewolwerem, który gruchnął o chodnik, minawszy głowę Cheta Hemingwaya o sześć cali.

Lecz na wszystko to było za późno. Hemingway wskoczył do taksówki; pokazał kierowcy broń... Detektywi ruszyli za nim minutę później, ale ta minuta oznaczała około mili różnicy. A na zatłoczonych ulicach miasta mila to jest mila. Wciąż przezuwając i przetykając, Chet Hemingway zniknął z życia detektywów. Na jakiś czas...

Przy całej dyskrecji, z jaką planowano tę akcję, gdzieś w wydziale był przeciek. Ktoś

zawiadomił prasę i prasa, przynajmniej raz, nie pokpiła sprawy. Faceci z „New Détail” i z „Tribune” garnęli się ochoczo do budynku od strony Dorchester Avenue; na mrocznych podwórkach i bocznych alejkach już błyskały lampy fotografów, a reporterzy przekrzykiwali się nawzajem.

Inspektor Bourse i szef detektywów Moore torowali sobie drogę przez tłum do mieszkania numer 327. Z ponurą satysfakcją przyjrzeni się leżącemu na brzuchu ciału Tomksa Dwie Twarze i strzaskanym drzwiom balkonowym, przez które Mętny Heras wykonał swe ostatnie salto. Pełni nadziei rozglądali się w poszukiwaniu trzecich zwłok - znaleźli je - i już nie byli tacy zadowoleni. Trzecie zwłoki należały do panny Lily Denardo.

- Cóż - rzekł stary inspektor. Spojrzał w dół na ładną, białą twarz i groteskowe fałdy poplamionej krepdeszyny, która spowijała szczupłą sylwetkę. - Jak to się stało?

Szczęki sierżanta Dave'a Glennana zadrżały niemal niezauważalnie.

- Nie wiem. Obawiam się, że to moja sprawka.

- Była uzbrojona, co? - Stopa Bourse'a dotknęła małego pistoletu, należącego do dziewczyny. - Nie sądzę, byśmy mieli cię o to obwiniać, mój chłopcze.

- To nie było tak - powiedział sierżant. - Wycelowała we mnie i w Horna, ale jej pistolet się zaciął czy jak? Oddała tylko jeden strzał. Stała tutaj... Mętny walił, gdzie popadło, więc podniosłem swoją strzelbę...

Bourse popatrzył na niego.

- I zastrzeliłem dziewczynę kulą kaliber.45? - spytał spokojnie.

Glennan zamrugał.

- Dzięki Bogu! Nie spostrzegłem tego. Tak, ta dziura wygląda na czterdziestkę piątkę. Już... myślałem...

- Nieważne, co myślałeś. Znajdźmy kulę.

- Jest tutaj, szefie - powiedział Horn.

Kula przeszła przez serce panny Lily Denardo z ponurą maestrią, do której zdolny jest ten kaliber przy niewielkim zasięgu, i utkwiała w ścianie pokoju. Wydłubali ją stamtąd.

- Kto strzelał z czterdziestki piątki? - warknął inspektor. Kerry podrapał się w rozerwany rękaw.

- Nikt z wyjątkiem Ricardiego z jego thompsonem. My wszyscy używaliśmy regulaminowej broni. Ale kule Ricardiego musiałyby pójść rykoszetem, by trafić w nią tam, gdzie stała. Nie, szefie - niech pan się raczej przyjrzy pistoletom Mętnego. Jeden leży tu na podłodze, a drugi - myślę, że zabrał go ze sobą, wylatując przez okno.

Później tego samego dnia ekspert od balistyki ustalił, że to Mętny Heras zastrzelił

Lily, naumyślnie lub przypadkowo. Nigdy się nie dowiedzieli, jak to się stało i dlaczego. Wszyscy detektywi ucieszyli się, że to nie oni zabili dziewczynę. Była zbyt ładna.

- Cóż więc - mruknął inspektor Bourse o trzeciej po południu - pozwoliliście mu uciec. Najpodlejszy diabeł po tej stronie piekła, a wy pozwalacie mu prześliznąć się wam przez palce.

Wszyscy uczestnicy akcji przy Dorchester Avenue - z wyjątkiem Flynn'a, który leżał w szpitalu - byli teraz w biurze inspektora Bourse'a.

- Zauważcie - powiedział - że nie winię żadnego z was z osobna, panowie. Wszyscy ciężko pracowaliście, nie tracąc przy tym zimnej krwi. Zwłaszcza młody Nick Glennan. Muszę to przyznać. Ryzykował bardzo, gdy poszybował przez tę dziurę w suficie.

Nick siedział, patrząc na swoje buty. Poczł, że płoną mu policzki.

- A jednak stało się tak, jak się stało. Mieliśmy tam dziś rano najlepszych strzelców w wydziale, mieliśmy nad gangiem przewagę. I pozwoliliśmy Hemingwayowi uciec. Jasne - nie wiedzieliśmy o mieszkaniu na górze. Nikt nie wiedział. Nawet kapuś. Ale naszym zadaniem było dorwać Hemingwaya, bardziej niż całą resztę. Nie dorwaliśmy go. Waszym zadaniem było go dostać. I wy go nie złapaliście. Tak to wygląda. Przetrawcie to sobie na spokojnie; mam nadzieję, że będziecie po tym rzygać.

Zabrzącał telefon na jego biurku. Powoli sięgnął po słuchawkę i podniósł ją do ucha.

- Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać - warknął do telefonistki. - Mówiłem... Co?... W porządku - powiedział - proszę łączyć.

Popatrzył po kilku rzędach twarzy po drugiej stronie biurka.

- Jakiś mężczyzna - wyjaśnił. - Twierdzi, że ma coś ważnego na temat dzisiejszego poranka.

Nowy głos pojawił się na linii. Oczy inspektora Bourse'a zastygły w chłodnym, nieruchomym spojrzeniu.

- Mówi - powiedział głos - Chet Hemingway...

- Tak - odparł Bourse, a słowo to zaskrzypiało w jego ustach.

Dłoń przykryła mikrofon, gdy rzucił do Ricardiego siedzącego naprzeciwko: - Do telefonu. Namierz tę rozmowę!...

- Nie dostałeś mnie dziś rano - ciągnął głos Hemingwaya - a ja wciąż jestem w mieście. Słuchaj, parszywy platfusie - musiałeś zabić tę małą kruszynkę - to był cudowny dzieciak, - ona...

- Posłuchaj, Hemingway - przerwał mu Bourse - nie my ją zabiliśmy. Mętny to zrobił.

- Taa? - warknął Chet. - To ty posłuchaj. Nie zamierzam ciągnąć tej rozmowy dość

długo, byście mogli mnie namierzyć. Ale czytam gazety. Każdy cholerny szmatławiec w tym mieście wyśpiewuje peany pochwalne na cześć detektywów, których tam posłałeś - i to wymienionych z nazwiska - czaisz? Z nazwiska. Zostanę w mieście tak długo, aż dorwę każdego, który był na akcji. I ciebie też! Dopadnę was wszystkich.

Trzask odkładanej słuchawki. Bourse zerwał się na równe nogi.

- Masz go? - wydarł się przez otwarte drzwi, za którymi zniknął Ricardi.

Nie, nie. Nie było dość czasu...

Krótko i treściwie Bourse przekazał swoim ludziom to, co mu powiedział Hemingway. Nie zrobiło to na nich dużego wrażenia; większość już nieraz słyszała podobne historie.

- Idźcie i dorwicie Hemingwaya - rzekł stary na odchodnym. I oni poszli, pełni nadziei.

Ale godzinę później już nie wyglądało to tak zabawnie. Szef detektywów bez ceregieli wparował do gabinetu.

- Ricardi nie żyje! - zawołał. - Przechodził przez jezdnię na skrzyżowaniu Comanche i Głównej, a jakiś samochód nadjechał i w niego uderzył. Czołowo. Ciągnął go za sobą przez prawie sto metrów.

Bourse zgniótł w palcach niedopałek cygara.

- To musiał być wypadek - wymamrotał. Ale w głębi serca wiedział, że to nie żaden wypadek. Odwrócił się i spojrzął na okno.

- Sprawca uciekł z miejsca zdarzenia? - spytał przez ramię.

- Uciekł - potwierdził Moore. - Dziesięć minut później znaleziono samochód. Kradziony. Ale kierowcy już nie było.

Inspektor siedział przez chwilę w milczeniu, bębniąc palcami po blacie biurka.

- Do jakiego miejsca udało się nam wytropić Hemingwaya?

- No cóż, zabrał taksówkarzowi kurtkę oraz czapkę i kazał mu wysiąść z auta na skrzyżowaniu Czwartej i Missisipi. Taksówkę znaleźli koło jedenastej przy Mulberry Street. Według taksometru, przejechano nią zaledwie dziewięć mil. Nie możemy powiedzieć, że wysledziliśmy go aż do Mulberry Street, bo nie wiemy, co działo się pomiędzy...

Bourse przytaknął.

- Sądzę, że powinienem pogadać z informatorem.

- To może go teraz kosztować życie - zauważył szef detektywów.

- No i niech go kosztuje. Nazywa się Adamie. Znasz go?

- Nie. Kto to?

- Właściciel lombardu i lichwiarz w Delcie. Przy Sage Street. Moore pokiwał głową.

- Przypominam sobie. George Adamie. Mały, siwy gość z czarnymi oczami.

- Tak. Zdaje się, znał Tomska Dwie Twarze od Bóg wie kiedy i pomógł mu upłynnić nieco obligacji po napadzie na Western Savings. Adamie milczał jak grób. Nigdy nie udało nam się nic z niego wydusić. Aż przyszedł do mnie z własnej woli i kazał przysiąc... - Twarz Bourse'a wykrzywiła się. - Obaj z Adamikiem jedziemy na tym samym wózku, i to jest też wózek, na którym ty jedziesz, Moore. A zatem kazał mi przysiąc, że go nie wydam.

- Dlaczego zaczął śpiewać na temat Hemingwaya? - spytał Moore.

- Wiedział, że są w mieszkaniu pod numerem 327 przy Dorchester Avenue numer 1441, i nic więcej, może poza tym jeszcze, że mają tam mały arsenał i noszą kamizelki kuloodporne. Hemingway, zdaje się, kropnął niejakiego Kolchaka w Chicago w zeszłym miesiącu. A ten Kolchak to był szwagier Adamica. Więzy rodzinne - sam rozumiesz. To jedyny powód, dla którego gość zaczął sypać.

- Lepiej zaraz pogadaj z Adamikiem. - Moore pokiwał głową. Bourse chwycił za telefon.

- Jeśli jeszcze żyje - dodał Moore łagodnie.

A ponieważ George Adamie nie odbierał telefonu, który długo i natarczywie dzwonił w jego ciasnym sklepiku, inspektor Bourse wysłał migiem w tamtym kierunku oddział szesnasty. Sierżant Dave Glennan oraz detektywi Horn i Kerry zastali sklep otwarty, i to był cud, że mieszkańcy tej nie najlepszej dzielnicy nie złupili go do ostatniej rzeczy. Tylko ich wrodzony lęk przed George'em Adamikiem i władza, jaką miał nad ich marnymi żywotami, powstrzymały ich przed splądrowaniem niestrzeżonego i pozbawionego opieki lokalu.

To detektyw Horn znalazł George'a Adamica w ciemnej łazience za rzędami wieszaków z używanym płaszczami. Adamie miał przestrzelone serce, a koroner oszacował, że zgon nastąpił mniej więcej o dziewiątej rano.

Przystojna twarz Nicka Glennana była nieco spięta. Surowe oskarżenia inspektora Bourse'a wciąż dźwięczały mu w uszach; czuł, że zawiódł w dość żalorny sposób, i to wtedy, gdy okoliczności wymagały, by dał z siebie wszystko. A teraz - wzywano go w sprawie osobistej i szczególnej wagi... Może inspektor każe mu złożyć broń i odznakę? I to akurat teraz, gdy zaledwie zeszłej jesieni awansował do rangi detektywa! Kiedy naprawdę zasłużył, niebiosa mogą zaświadczyć, na ten awans.

- Siadaj, Nick - powiedział stary inspektor.

- Proszę mi wybaczyć - wymamrotał Nick. - Wolę przyjąć to na stojąco.

W oczach starszego mężczyzny pojawił się nagły, mglisty błysk. Upewnił się, że

drzwi jego gabinetu są zamknięte na klucz i ciężka roleta w oknie zaciągnięta, po czym usiadł za biurkiem i spojrzął na Nicka. W oddali zegar wydzwonił godzinę piątą trzydzieści.

- Glennan - spytał Bourse - czy wiesz, po co cię wezwałem?

- Obawiam się, że wiem. Ale mam nadzieję, że się mylę. Bourse uśmiechnął się znużony.

- Phi! Czemuś taki zmartwiony? To był niefart. - Palił przez chwilę w milczeniu. - Nick, jesteś młody...

- Tak jest. Postaram się z tym skończyć tak prędko, jak to tylko możliwe.

- Masz mocne nerwy.

- Mam nadzieję, że to prawda, szefie.

- I głowę na karku.

- Cóż - powiedział Nick.

- Każdy w tym wydziale ma mocne nerwy i niezły łeb. Ale ty masz coś jeszcze. Pokazałeś to, kiedy byłeś jeszcze złotodziobem i pomogłeś oczyścić z gangu okolice Acola Street; i pokazałeś to coś jesienią, gdy pogoniłeś tych goryli z Kentucky, którzy wszystkich nas wykiwali. To dlatego jesteś detektywem i nosisz cywilne ubranie. Posiadasz, i nie ma w tym ani twojej winy, ani zasługi, tę dziwną i fortuną rzecz - instynkt, mój chłopcze. Masz nosa do tej roboty.

I dla zobrazowania tych słów Bourse zmarszczył swój własny perkaty nos.

- Twój starszy brat Dave jest dobrym sierżantem; nie mógłbym sobie życzyć lepszego. Ale nie ma takiego niucha jak ty - tej naturalnej, psiej cechy dobrego detektywa - zdolności wyniuchania każdej rzeczy. Nick, czy któryś z twoich przodków - niech spoczywają w pokoju - posiadał zdolność jasnowidzenia?

Nick poruszył się nerwowo.

- Słyszałem, że mój ojciec był siódmym synem siódmego syna, szefie. Ale ja jestem zaledwie drugim synem siódmego syna.

- Jakkolwiek sprawy się mają, co byś zrobił w sprawie Hemingwaya?

- Chciałbym go dorwać, szefie.

- Chcę, żebyś mi o tym opowiedział, synu. Nicholas Glennan stał przez chwilę, patrząc na dywan.

- Nie mamy zbyt wiele, szefie.

- Mulberry Street jest całkiem blisko sklepu Adamica. Wiesz już o Adamicu? Bardzo dobrze. Hemingway najprawdopodobniej porzucił taksówkę, by dalej pójść pieszo; zastrzelił Adamica i oddalił się również piechotą.

- Tak, szefie. Ale nie w ubraniu taryfiarza.

- Cóż zatem mógł zrobić?

- Przynajmniej włożyć dobrą marynarkę i kapelusz; może zabrał też walizkę lub torbę podróżną. Pełno tego było w sklepie Adamica, całkiem niezłe rzeczy. Hemingway zawsze lubił żyć wygodnie i na luzie, szefie, jak zresztą widać w jego aktach. Prawdopodobnie miał przy sobie pieniądze. Może pas z pieniędzmi, pod tą kuloodporną kamizelką.

Bourse skinął lekko głową.

- To wszystko wiemy. Tylko że on nie pokazałby twarzy w mieście - nie kiedy pełno jej we wszystkich gazetach, a milion ludzi aż dyszy, żeby dostać nagrodę.

- Nie miałby czasu na poważną charakteryzację, szefie. Żadnego rozjaśniania włosów, nic w tym stylu. To musiało być coś szybkiego i prostego.

- Zwykły zestaw? Okulary? Wąsy?

- Taka jest moja koncepcja, inspektorze. Ten właściciel lombardu miał skrzynie pełne różnych drobiazgów po niewypłacalnych dłużnikach - okulary wszelkiej maści, chyba nawet fałszywe bokobrody.

Bourse westchnął.

- Niebieskie gogle i zielone bokobrody! Miałem większe mniemanie o twojej przenikliwości, mój chłopcze.

- Miewa się dobrze, ta moja prze... jak pan powiedział? Bourse bawił się obsadką pióra.

- I co dalej?

- Świadek zabójstwa Ricardiego twierdzi, że samochód prowadził młody mężczyzna w okularach.

Bourse ściągnął ramiona, jak gdyby spodziewając się kuli zza okna.

- Myślisz, że spełni swoje pogrożki i zostanie w mieście tak długo, aż dorwie, jak obiecał, każdego z nas?

- Nie - odparł natychmiast Nick. - Kiedy opadną emocje, zrozumie, że rachunek prawdopodobieństwa jest przeciwko niemu. Ale może spróbować dorwać jeszcze jednego czy dwóch.

- Jesteś tego pewien?

- Mówią, że to narwaniec. Coś jak Samotny Wilk z opowiadań. Zawzięty zabójca - zawsze takim był. I jak oni wszyscy, jest typowym egoistą. Będzie dążył do tego, by zapisać swoje imię wielkimi literami, zanim opuści miasto.

Bourse wystrzelił z fotela.

- Obawiam się, że zmierzamy donikąd. Na co, według ciebie, najlepiej postawić? Co byś zrobił, gdybyś mógł decydować, gdybyś działał na własną rękę? Mam ludzi w całym mieście, robią naloty to tu, to tam; każdy gliniarz, stojący na rogu ulicy, ma za zadanie bacznie wszystko obserwować. Ale co *ty* byś zrobił?

- Proszę mi wybaczyć - wyszeptał Nick - ale ja trzymałbym się blisko człowieka, po którego najprawdopodobniej przyjdzie w następnej kolejności.

- Czyli kogo?

- Pana.

*

Chet Hemingway wyglądał na bardzo dystyngowanego i roztropnego człowieka. Nie wyglądał na narwańca, ale pasowałby do opisu egoisty, tak jak to przedstawił Nick.

- Zawieź mnie - powiedział do taksówkarza - pod numer 561 przy ulicy Alamo.

- Tak jest, proszę pana.

Ciche tykanie taksometru odmierzało upływające minuty. Zapadał zmierzch i słabe światła samochodów ze świstem przesuwały się po obu stronach jezdni. Ulica Alamo była wąskim zaułkiem, oddalonym o dobrą milę od serca miasta; to tutaj, pod numerem 558, mieszkał inspektor Bourse ze swą pulchną żoną i ze swą pulchną córką, starą panną.

Minęło niewiele czasu i już kierowca wysadzał Hemingwaya przed starym budynkiem mieszkalnym, oznaczonym numerem 561. Hemingway zapłacił. Napiwek wręczony taksówkarzowi nie był ani hojny, ani skąpy - po prostu zwyczajny; nie było wskazane, by kierowca miał zbyt wyraźne wspomnienie o swoim pasażerze. Hemingway wszedł do holu budynku i dopóki taksówkarz nie odjechał, udawał, że sprawdza skrzynki pocztowe.

Wrócił na zewnątrz, stanął na krawężniku i popatrzył na wschód i na zachód. Nie mogło być lepiej. W całym kwartale stały zaparkowane tylko dwa samochody; pomiędzy numerem 561 a następnym budynkiem biegł wąski pasaż, prowadzący do alei na tyłach domu - dostrzegł tam nawet światła aut, odbijające się w pokrywach kubłów na śmieci. Inspektor Bourse mieszkał dokładnie po przeciwnej stronie ulicy. Jeśli wrócił już do domu, to będzie musiał znowu wyjść. Usta Hemingwaya rozsunęły się w gorzkim - zabójczym - uśmiechu, gdy zastanowił się, jak głupi musiał być motyw, który skłonił inspektora do zamieszczenia swego adresu i numeru w książce telefonicznej.

Ukryty w cieniu Chet Hemingway oparł się o ścianę niedaleko wylotu pasażu między domami i czekał. Potrafił tak czekać bez nerwów i zniecierpliwienia; przez większą część życia czekał na przybycie różnych osób, na ciężarówki pocztowe, na strażników bankowych. Raz nawet, w zakładzie karnym, czekał na swą szansę przez osiemnaście miesięcy. Ale jeśli

już nadarzyła się okazja - taka, jakiej oczekiwał - nikt nie pochwyciłby jej szybciej niż on. Oto w jaki sposób doszedł do posiadania ponad trzystu tysięcy dolarów, pochowanych w różnych zakątkach kraju, i jakichś piętnastu tysięcy, przymocowanych bardzo blisko ciała pod drogą, jedwabną koszulą.

Ulicą przeszły dwie dziewczyny; jakiś starszy jegomość; korpulentna kobieta; samotny młody mężczyzna. Ludzie wracający do domów, na ciepłą kolację i spokojny wieczór w swoich mieszkaniach. Tylko jedna osoba weszła do budynku pod numerem

558, młoda dziewczyna - pewnie jakaś stenotypistka. Dla zabicia czasu Hemingway zaczął się zastanawiać, czy zna Bourse'a. Wsunął rękę do kieszeni płaszcza, wyjął swoje stałe pożywienie i zaczął rozłupywać je między zębami.

Pomyślał o Lily. Sentymentalny i przesądny, jak większość jemu podobnych, zaczął uważać ją - teraz, kiedy była martwa - za pierwszorzędną laskę, ba, może nawet świętą. „Dostanę tę plugawą wesz, mała” - przemawiał do niej. To będzie dobrze wyglądało w brukowcach: SAMOTNY WILK-ZABÓJCA MŚCI ŚMIERĆ UKOCHANEJ, ZABITEJ PRZEZ POLICJĘ. To byłoby naprawdę coś.

Nagle zeszytniał. Pojawił się gliniarz - duży, głupi rewirowy włókł się ulicą, wymachując leniwie pałką. Mógł poświecić latarką w głąb wąskiej ścieżki pomiędzy domami - nie było bezpiecznie tak się chować. Chet nie zamierzał przecież zabijać jakiegoś tam gliniarza. Zamierzał rąbnąć inspektora Bourse'a.

Schylił się więc i wpatrywał w mrok.

- Kici, kici - zaczął nawoływać łagodnie - tutaj, kotku, kici, kici.

Policjant zbliżył się. Hemingway wciąż wołał kota. Odgłos ciężkich kroków minął go i począł się oddalać.

- O, panie władzo - powiedział Chet. Tamten zatrzymał się.

- Taa?

- Jeśli zauważyłby pan czarnego kotka gdzieś w tej okolicy, czy byłby pan łaskaw podrzucić go na klatkę schodową pod 561? To kot mojego dziecka. Uciekł... Kici, kici, tutaj, kotku.

- Jasne. - Gliniarz poczłapał dalej.

Chet przez chwilę patrzył za nim zwężonymi oczyma. Tak jakby celował do niego. Miał nadzieję, że Bourse nie pojawi się na progu swego domu, zanim gliniarz znajdzie się za rogiem.

Ledwo zniknął rewirowy, wielki samochód, warkoczając, wjechał z alei w Alamo Street. Zapiszczały hamulce i pojazd zatrzymał się przed numerem 558... Służbowy wóz? Tak

- Hemingway spostrzegł dzwonek alarmowy nad nadprożem. Z auta wysiadł Bourse.

Chet przełknął ostatni kęs, jaki miał w ustach. Zza paska spodni wyciągnął broń - mały rewolwer z krótką lufą; miał teraz dwa - ten drugi zabrał dziś rano ze sklepu Adamica. Poczekać, aż samochód będzie przynajmniej w połowie drogi do następnej przecznicy. Stary piernik będzie się jeszcze mocował z zamkiem u drzwi, a potem stanie w sieni, wciąż wyraźnie widoczny z zewnątrz. Mężczyźni w aucie musieliby albo zawrócić, albo wysiąść i pobic w jego stronę; to dawało Hemingwayowi wystarczającą przewagę.

- Jutro o dziewiątej.

- Ma się rozumieć, szefie.

Od strony alei zbliżała się taksówka. Jechała powoli, jakby szukając adresu. Duży policyjny samochód odbił od krawężnika - zachrobotła skrzynia biegów, gdy kierowca wrzucił drugi bieg - i warkocząc, zaczął się oddalać. Lewa ręka Cheta sięgnęła po samopowtarzalny pistolet - broń Adamica. Będzie musiał zatrzymać taksówkę, zanim ta mu w czymś przeszkodzi - aczkolwiek doświadczenie nauczyło go, że w sytuacji takiej jak ta nie ma potrzeby obawiać się porażonych strachem gapiów.

Korpulentna sylwetka inspektora Bourse'a wyraźnie zaznaczała się w świetle lampy w sieni budynku. „O, ty stary Irlandcu” - rzekł w duchu bandyta - „widziałem cię już nieraz...”. Jego mniejszy rewolwer zakasłał. Bourse upadł, uderzając o drzwi. To były kule z miękkiego materiału, które każdemu potrafią niezłe zmasakrować klatkę piersiową. Hemingway skierował trzymany w lewej ręce pistolet w stronę zbliżającej się taksówki. Jeden strzał w chłodnicę albo przednią szybę - Chet nie był drobiazgowy...

Długa, jasna smuga pojawiła się z boku taksówki i coś rozerwało połę płaszcza Cheta Hemingwaya. Warknął i cofnął się o krok w stronę wąskiego podwórka między budynkami. Załatwił starego Bourse'a, to fakt, ale tego się nie spodziewał. Kule posypały się wokół niego, wgrzyzając się w ceglany mur. Wywalił cały magazynek w stronę taksówki, po czym odwrócił się i zaczął biec. W sercu przeklinał okrutnie. Te cholerne zmotoryzowane gliny - tamci byli już prawie przy następnej przecznicy, i poza widokiem. Ale ta taksówka... Któż to, do...

Kula jęknęła, ocierając się o beton tuż koło niego, a wciąż jeszcze czuł szarpnięcie, które rozerwało mu płaszcz. Tak blisko... Pomknął dwadzieścia jardów w dół alei, dał susa pomiędzy rząd garaży i wybiegł na chodnik za nimi. Była to przelotowa ulica i mknęło po niej pełno samochodów, wiele też stało zaparkowanych przy krawężniku. W pewnej odległości za sobą usłyszał krzyki i odgłos kroków. Wśliznął się do pierwszego wejścia, jakie napotkał... Fart. Dużo fartu. Potrzebuje go.

Był to biurowiec z holem w kształcie litery L, z wejściami zarówno od strony alei, jak

i z bocznej ulicy. Monotonny pomruk ruchu ulicznego zagłuszył całą awanturę na Alamo Street. Chet wyszedł spokojnym krokiem zza załomu korytarza, próbując zapanować nad walącym jak młot sercem. Jedyne windziarstwo na służbie tego wieczoru pozdrowił go skinieniem głowy.

Hemingway rzucił okiem na wywieszoną na ścianie listę użytkowników lokali. Drobne szeregi nazwisk zawirowały mu przed oczyma. Wybrał jedno... Rudolph Jacobson. Pokój numer 420. Zwrócił się do windziarza.

- Czy pan Jacobson już wyszedł? - Dyszące płuca pchały mu się przez gardło na zewnątrz, ale powstrzymał je siłą woli.

- Tak, proszę pana. Jest po szóstej. Większość już wyszła. - Aha.

Wyszedł przez drzwi prowadzące na aleję. Rząd oczekujących taksówek zamajaczył przed jego oczyma, a z oddali słychać było zawroźnienie syreny. Ci faceci pewnie myślą, że to straż pożarna. Cóż, to nie była żadna straż pożarna.

Wsiadł do pierwszej taksówki.

- Do centrum - powiedział.

- Tak jest, proszę pana.

Pojechali w kierunku mostu przez zatłoczone jak co wieczór ulice i Chet Hemingway miał przyjemność ujrzeć, jak kierujący ruchem gliniarze oczyszczają biegnący w kierunku północnym pas jezdni, by dać pierwszeństwo pędzącemu z jazgotem klaksonu samochodowi patrolowemu. Poszperał w kieszeni, szukając papierosów, i natrafił na rozerwany papierek z opakowania zapalek, wciśnięty w dziurę w płaszczu. Kula niedoszłego mściciela przeszła aż tak blisko. Zaklął. Ale znalazł też swoje pożywienie - trochę mu jeszcze zostało. Zaczął przeżuwać.

Teraz najlepiej wynieść się z miasta jak najszybciej. W taki czy inny sposób. Będą zatrzymywać ludzi na stacjach, a i drogi wylotowe mogą być niebezpieczne. Trzeba to przemyśleć.

W miarę spokojnie dotarł do hotelu i bez żadnych incydentów znalazł się w swoim pokoju. Ale w ciągu następnej godziny, gdy on sam siedział, przeżuwając, delektując się papierosem, może dwoma, i na chłodno odtwarzał w myślach żalony koniec inspektora Bourse'a, sytuacja na zewnątrz zmieniła się diametralnie - z jego rączego mózgu zostałyby galareta, gdyby tylko był w stanie wyobrazić sobie, jak ciasno stalowa sieć zaciska się wokół niego.

Bourse wziął głęboki wdech.

- Glennan - powiedział do Nicka - o co chodziło z tym siódmym synem siódmego

syna?

- To nie byłem ja. Chodziło o mojego starego.

- A jednak...

- Herasowi będzie w piekle gorąco jak nigdy, gdy się dowie, że miał pan na sobie jego kamizelkę kuloodporną.

Stary inspektor potarł dłonią obolałe ciało i przyjrzał się wystrzępionym dziurom w swojej koszuli.

- To wspaniała kamizelka, chłopcze. Nie rozumiem, czemu łobuzy zawsze mają te rzeczy lepsze niż gliniarze, ale tak właśnie jest. Przynajmniej nikt nigdy nie będzie mógł cię obwiniać, że tam na dachu nie położyłeś trupem Hemingwaya.

- Powiniennem był przestrzelić mu łeb na wylot, szefie. Bourse wskazał palcem na małutki skrawek miękkiej, połączonej tekturki, który Nick trzymał w dłoni.

- Przynajmniej przestrzeliłeś mu kieszeń i mamy to coś.

- Tak, ale to już drugi raz tego samego dnia, kiedy miałem faceta na muszce i pozwoliłem mu uciec.

Stali tam razem naprzeciwko świecącego mocnym światłem reflektora, podczas gdy w każdym zakamarku i zaułku wzdłuż Alamo Street roило się od funkcjonariuszy policji. Bourse zwrócił się do sierżanta Glennana:

- To na nic. Zwiął. Ale zostawił nam swoją wizytówkę. Gruby sierżant przyczłapał bliżej światła.

- Zabiorę cię, żółtodziobie - powiedział do swojego brata - na pierwszą lepszą strzelnicę w parku rozrywki „Palące”, jak go otworzą, gdy się zrobi ciepło.

- Idź do diabła - odszepnął Nick.

- Zamknij swoją wielką paszczę, Dave - dorzucił uprzejmie inspektor Bourse. - Nick strzelał z taksówki w ruchu, w ciemności, celując jedynie do rozbłysków z broni tamtego, a jednak - gdyby nie on, pucowałbyś teraz buty na pogrzeb pewnego inspektora policji.

Wręczył mu skrawek tekturki.

- Znaleźliśmy to, szukając śladów krwi w miejscu, gdzie stał - tam, po drugiej stronie ulicy.

Dave obrócił kartonik swoimi grubymi paluchami. Przeczytał na głos:

- Zapalki „Diamond” Spół... E... L... A to co? Wygląda jak tyłek pająka.

- Bo widzisz, Sokole Oko, to jest herb - burknął jego brat - i przypadkowo również godło miejsca, w którym tamten się zatrzymał. Ty się nie znasz na zapalkach dawanych na pamiątkę gościom drogich hoteli, ale inspektor owszem. Mówi, że to fragment opakowania

zapalek z hotelu „Aberdeen”.

- Tylko dlatego, że znalazłeś to w tamtym miejscu...

- Jeśli przyjrzesz się dokładniej, Sokole Oko, zobaczysz ślad ołowiu po jednej stronie. Fart Nicholasa Glennana zadziałał; otwieram strzałem jego kieszeń i wypada z niej połówka rozerwanego kartonika zapalek.

- Ależ - zawołał Dave - tu nic nie wskazuje na to, by on tam był!

- Zabrał garnitur ze sklepu Adamica, bo skąd miałby go wziąć. A czy ci od używanych towarów zostawiają zapalki w kieszeniach swoich garniturów? Nie, kochanieńki. On to zgarnął dzisiaj, kiedy już był na wolności. I to nie z podrzędnej restauracji, ale całkiem prawdopodobne, że z pokoju hotelowego.

Inspektor powiedział:

- Zbierz ludzi, Dave. I przekaz Rhineheimerowi, żeby zrobił to samo.

- Tak jest. Ale - na Boga - nie można zrobić nalotu na cały hotel. Tam jest dwa tysiące dwieście pokoi!

- Nie można. Ale zaraz dostaniemy listę gości, którzy zameldowali się w dniu dzisiejszym, wraz z numerami ich pokojów. A poza tym - na wypadek gdybyśmy natrafili na trudności - twój braciszek, który kiedyś był mundurowym w parku, ma pomysł. A jak zauważyłem, jego pomysły lubią się sprawdzać.

- Cóż to za pomysł, inspektorze?

W odpowiedzi Nick pokazał na swej dużej dłoni kilka małych, srebrzystych drobinek. Były jajowatego kształtu, pokryte jakimś dziwnym, podobnym do szronu nalotem, żadna nie dłuższa niż trzy czwarte cala.

- Tam na chodniku, przy alei - oznajmił uprzejmym głosem.

- A niech to! - parsknął Dave Glennan. - Niech to! Do diabła! I na co nam one? Nicholas, czemu nie zdasz broni i odznaki i nie zaciągniesz się do zamiataczy ulic? Ty śmieciarzu, ty!

- Cóż - powiedział Nick - już je gdzieś widziałem. I to dużo. - Wsunął drobiny do kieszeni w kamizelce.

- Tracimy czas - oznajmił inspektor Bourse.

Pokojówka numer siedemdziesiąt dwa w hotelu „Aberdeen” miała stalowe nerwy. Po prawdzie, nie musiała wcale mieć mocnych nerwów, gdyż nie zmuszono jej, by stanęła w zasięgu bezpośredniej wymiany ognia. Kiedy Nicholas Glennan zapukał delikatnie w drzwi pokoju numer 1661 i w odpowiedzi ze środka dobiegło warknięcie, kobieta znakomicie opanowała drżenie głosu.

Przykucnęła przytulona do grubej ściany i powiedziała:

- Tu pokojówka.

Mężczyzna w pokoju zdawał się na coś czekać.

- Nie jesteś mi potrzebna, kotku. Zmykaj stąd.

Przez śmiertelnie długą chwilę cisza panowała w holu i za drzwiami pokoju numer 1661.

- Chciałam tylko posprzątać pański pokój.

Tam, przy Dorchester Avenue, też byli ludzie na korytarzu - mleczarz, facet z pralni - otwarto drzwi i wkroczyli stróże prawa. Chet Hemingway drugi raz nie zaryzykuje, za nic w świecie.

- No już! - warknął. - Zasuwasz gdzie indziej!

Nick Glennan delikatnie odprowadził przerażoną dziewczynę za załom korytarza, poza grupę zgromadzonych tam hotelowych detektywów i oficerów o surowych twarzach, którzy przybyli z komendy głównej.

- To, co powiedział, to była dobra rada, proszę pani - wyszeptał. - Niech pani lepiej stąd idzie.

Z pokoju słychać było nerwowe szuranie po grubym dywaniku. Glennan spojrzał chłodno w oczy swego brata detektywa.

- To on?

- Jasne. To był jego głos. Byłem świadkiem na jego procesie w Kansas. Rozpoznałbym ten głos wszędzie.

- W porządku - odetchnął Nick Glennan i głośno powiedział: - Hemingway. Wyjdiesz sam czy wolisz, żeby cię wynieść? Zeszłej jesieni zaproponowaliśmy to samo kilku łobuzom i zdecydowali się zostać. Poszli do balsamowania. Co ty na to?

W pokoju numer 1661 Chet Hemingway wyciągnął swoje dwa pistolety i odwrócił się twarzą do drzwi. Wyobraził sobie, jak to będzie wyglądać w nagłówkach gazet.

- Ja na to: wejdźcie i weźcie mnie, jeśli starczy wam odwagi! Posłał ciężką pigułę przez drzwi.

- Mnie starczy - odparł Nick. - Wchodzę.

Ktoś podniósł do strzału karabin maszynowy, ale gest Nicka, powstrzymał gotowy do działania palec.

- Nie - powiedział cicho - chybiłem dwukrotnie. Tym razem albo on, albo ja.

Pierwszymi trzema kulami rozprawił się z zamkiem, a gdy kopnięciem próbował otworzyć uszkodzone drzwi, posypał się na nie grad ołowiu, wrywając całe paski forniru...

Wewnątrz dało się słyszeć odległe trzaśnięcie drzwiami, Glennan napał więc całym ciałem na zagradzający mu drogę kawał drewna. Runął na podłogę, a wyrwane zawiasy poleciały na boki. Drzwi od łazienki otwarły się na szerokość szczeliny i w tej szczelinie pojawiła się smuga tańczących płomieni... zgasił światło... a zatem jeden z nich, tu i teraz, w ciemności.

Leżąc płasko na podłodze, pod kulami rozrywającymi powietrze tuż obok jego uszu, wycelował w punkt ponad rozbłyskami i posłał tam trzy pozostałe w magazynku pociski. Zapadła cisza - usłyszał kaszlnięcie i odgłos ciała osuwającego się do wanny.

*

Zapalili światła i chwilę nasłuchiwali, stojąc w progu.

- Dorwał Glennana.

- Diabła tam dorwał Glennana - powiedział Nick. Wstał i popchnął drzwi do łazienki, tak iż otwarły się na oścież. Wanna była w sam raz miejscem dla kogoś, kto znalazł się w tak oplakany stanie jak obecnie Hemingway.

Inspektor Bourse spojrział na zwłoki.

- Ty musisz mieć dar jasnowidzenia - wymamrotał.

- Wcale nie, szefie. To skorupki.

Odnalazł je w kieszeni kamizelki i zaczął podrzucać w dłoni.

- Orzeszki pistacjowe - powiedział ktoś.

Nick Glennan przytaknął z powagą. W końcu Hemingway też był człowiekiem, a teraz jest niczym. Pokój jego duszy, jeśli to w ogóle możliwe...

- Tam, przy Dorchester Avenue, w lodzii, pełno było skorupek z orzechów pistacjowych - powiedział. - Były też rozsypane na chodniku, w miejscu gdzie dziś wieczór czekał na inspektora. Wygląda na to, że się nimi objadał. Goniec hotelowy powiedział, że mężczyzna spod numeru 1661 w tym hotelu dwa razy w ciągu dnia zamawiał pistacje - to musiał być Hemingway, nikt inny. Możliwe, że gdziekolwiek jest teraz, nadal się nimi pożywia.

- Ja wiem - powiedział jego brat ponuro. - Jeśli Hemingway zajada w tej chwili orzechy pistacjowe, to są to orzechy prażone.

Cornell Woolrich

Trup tańczy dalej

Cornell Woolrich - piszący, podobnie jak MacKinley Kantor, dla „Detective Fiction Weekly” - nie miał bezpośrednich kontaktów z przedstawicielami prawa, jakie były udziałem jego kolegi po

piórze. Całkowicie różnił się też od tamtego opinią na temat nowojorskich gliniarzy - powracającym motywem swego pisarstwa uczynił nadużycia ze strony policji: próby fałszowania dowodów, działanie na niekorzyść wymiaru sprawiedliwości i stosowanie brutalnej siły w celu zastraszenia niewinnych na równi ze sprawcami przestępstw. Tak o tym pisał biograf Woolricha, Francis M. Nevins: „Tworzy ogólne wrażenie, że ludzka władza jest równie wroga i brutalna, co ciemne moce nad nami, i że jest ich godnym ziemskim odpowiednikiem. Charakterystycznymi środkami, użytymi w tym celu, są opisy niewiarygodnej brutalności policji i akcentowanie powszechnego, nawet wśród ofiar, na nią przyzwolenia, jako na coś całkowicie naturalnego”. Wśród setek opowiadań napisanych przez Cornelia Woolricha dla tanich czasopism można istotnie znaleźć dziesiątki takich, które potwierdzają powyższą tezę - na przykład w „The Body Upstairs” kilku oficerów policji zapalonym papierosem przypala podejrzanego pod pachami; w „Graves For The Living” na przesłuchiwanego spadają krople kwasu; wreszcie w przerażającym „Detective William Brown” tytułowy bohater bije więźnia niemal do nieprzytomności, a potem drażni szklanką wody, którą po chwili ze złośliwą satysfakcją wylewa przed nim na podłogę. Podobnego rodzaju zwyczajną, banalną przemoc można znaleźć w „Pannie młodej w żałobie” („The Bride Wore Black”, 1940) - sprawcą jest tutaj policjant-zabójca, Lew Wanger. Nawet otoczenie, w jakim pracują ci wszyscy ludzie - puste najczęściej i obskurne pokoiki gdzieś na tyłach komisariatów - jest opisane w stylu niespotykanym u innych autorów prozy kryminalnej.

Życie Cornelia Woolricha (1903-1968) było równie dziwne, jak jego historie. Dzieciństwo spędził, podróżując tam i z powrotem między ojcem, inżynierem górnictwa w Ameryce Południowej, a matką brylującą na salonach Nowego Jorku. Zaczął pisać już w college’u, a jego pierwsza opublikowana praca, „Cover Charge” (1926), była próbą powieści z ery jazzu, napisaną w stylu typowym dla F. Scotta Fitzgeralda, literackiego idola Woolricha. Zapewniła mu wejście do Hollywood, gdzie na krótko poślubił córkę weterana przemysłu filmowego J. Stuarta Blacktona. Małżeństwo chyba nie przetrwało nawet dwóch tygodni i rzekomo nie zostało skonsumowane; z tego powodu Woolrich, który prawdopodobnie był homoseksualistą, uciekł z powrotem do Nowego Jorku. Miał tam spędzić resztę życia, kryjąc się wraz ze swą apodyktyczną matką w coraz to innych hotelowych pokojach. Choć ta dziwna więź niewątpliwie w dużym stopniu zaważyła na jego losach, czyniąc zeń prawdziwego odludka, piszący wybornie Woolrich zyskał rychło uznanie w oczach krytyków, a to dzięki temu, iż potrafił stworzyć „atmosferę zagrożenia, jakiej równać się mogła tylko ta spod znaku Edgara Allana Poe”. Po śmierci matki w 1958 roku sam zapadł na zdrowiu i przez ostatnie lata życia był równocześnie cukrzykiem i alkoholikiem. Zmarł jako samotny i zgorzkniały mężczyzna, przykuty przez swe dolegliwości do inwalidzkiego wózka, zostawiając majątek wartości ponad miliona dolarów.

Literacka renoma Woolricha rosła z każdym rokiem, a to dzięki filmowym, radiowym i telewizyjnym adaptacjom jego dzieł - wyreżyserowana przez Alfreda Hitchcocka filmowa wersja opowiadania „Okno na podwórze” („Rear Window”, 1954) już dawno zajęła poczesne miejsce wśród

najdoskonalszych dokonań w historii gatunku. Oto jedna z jego opowieści o brutalności policji, napisana w 1935 roku, w której twardy, niedoświadczony policjant o ciętym języku bada przyczynę śmierci dziewczyny, uczestniczki maratonu tańca, i okazuje cyniczny brak ludzkich uczuć zarówno w stosunku do ofiary, jak i jej pechowego partnera. Kontrast między Nickiem Glennanem a woolrichowskim młodym Smittym nie mógłby być bardziej uderzający.

*

- I jeszcze jedna rzecz nie podoba mi się w tych balangach non stop - przemawiał szef do swych lekko znudzonych słuchaczy - to, że wpuszczają niepełnoletnich i pozwalają im tańczyć całymi dniami, aż lądują z białą gorączką w szpitalu, a wszystko i tak jest ustawione od samego początku, dzieciaki nie mają żadnych szans na zgarnięcie wygranej. Ta facetka, Molly McGuire, wydzwania tu do nas co pół godziny przez cały dzień i drze mi się do ucha, omal mi bębny nie popękają, bo jej córki Toodles nie było w domu od ponad tygodnia i chce, żeby aresztować tego typa, Pasternacka. Pójdziecie więc tam i powiecie Pasternackowi, że daję mu czas do jutra rana na zakończenie konkursu i wysłanie uczestników do domu. I powiedzcie mu, że jak dla mnie, to te wszystkie swoje srebrne puchary małe i duże może sobie wsadzić...

Słuchacze ożywili się po raz pierwszy, ba, wydali się nawet zainteresowani - chcieli usłyszeć, gdzie pan P. ma sobie wsadzić swoje puchary, i liczyli na coś naprawdę ekstra.

- ...z powrotem do ślicznych pudełeczek - dokończył szef niewinnie, rozczarowując zebranych. - Na nic mu one. To jego ostatni maraton w naszej części lasu.

Zapadła cisza, nikt się nie poruszył.

- No i co tak stoicie i gapicie się na mnie? - spytał gniewnie szef. - Ty, Donnelly, jesteś najbliżej drzwi. Ruszaj.

Donnelly rzucił mu urażone spojrzenie.

- Ja, szefie? Dlaczego ja? Prowadzę to gorące śledztwo w sprawie listy płac, którym się pan tak interesował. Jeśli teraz odpuszczę, sprawa przycichnie.

- W porządku; wobec tego ty, Stevens!

- Ale ja muszę zaraz być w Yonkers - zaprotestował śmiało Stevens. - Znów widziano w okolicy Rosie Maszynowe; chciałbym zamienić z nią parę słów...

- Zostajesz więc ty, Doyle - rzucił szef głosem nieznaną litości.

- Rany, szefie - zaskamlał Doyle żałośnie - dałby pan człowiekowi odetchnąć. Moja żona spodziewa się... - Dokończył bardzo cicho pod nosem: - ...mnie wcześniej w domu dziś wieczór.

- Moje gratulacje. - Szef był wyraźnie rozdrażniony, nie dosłyszał drugiej części

zdania. Spojrzał gniewnie na zebranych. - Rozumiem! - ryknął. - To uwłacza waszej godności, prawda? Zbyt drobna sprawka! Nic niżej masakry w dniu świętego Walentego nie jest warte waszej fatygi, czy o to chodzi? Myślicie sobie pewnie, że to zadanie co najwyżej dla mundurowego. - Uderzył otwartą dłoń w blat biurka, zabrzmiało to jak wybuch petardy. Purpura stała się dominującą barwą na jego twarzy. - Wszyscy wróćcie tam, gdzie zaczynaliście, do obserwowania kieszonkowców w metrze, już moja w tym głowa! Już ja z was spuszczę trochę tej pary! Już ja wam!... Już ja was!... - Aż dziwne, że piana nie wystąpiła mu na usta.

Może było tak, że szef groźniej czekał, niż kąsał. W każdym razie żadna obawa nie pojawiła się na twarzach zgromadzonych przed nim winowajców. Jeden z nich odchrząknął dyskretnie i powiedział:

- Przy okazji, szefie, o ile mi wiadomo, ten żółtodziób Smith podkradał banany u Tony'ego na rogu i nazwał nasz oddział brzydkim słowem, kiedy kazał mu pan zapłacić.

Szef przerwał na moment, by to rozważyć. Inni, zdało się, podchwycili pomysł w lot.

- Mówią, że omal nie zdemolował, kurdebalans, chińskiej pralni, tylko dlatego, że żółtki oddały mu cudzą koszulę. Wrzaski słychać było na kilka mil.

Doyle zakończył po mistrzowsku:

- Podśledzałem, jak mówi, że wolałby umrzeć, niż włożyć takie skarpetki, jakie pan nosi, szefie. Spytał mnie, czy sądzę, że to chodziło o jakiś zakład, czy po prostu nic lepszego nie przyszło panu do głowy.

Szef zrobił się nagle niebezpiecznie milczący. Przytłumione bębnienie, dochodzące gdzieś spod biurka, kazało się domyślać, co robił z palcami.

- Tak powiedział? - rzekł, bardzo wolno i złowrogo.

W tej oto jakże niefortunnej chwili drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadł zniesławiony żółtodziób we własnej osobie. Wyglądał na zmęczonego, ale równocześnie przepełnionego entuzjazmem, jeśli w ogóle taką kombinację można sobie wyobrazić. Czerwień opasywała mu oczy, siny kolor ocieniał szczękę, ale mimo to jego twarz rozjaśniał wyraz triumfu: było to oblicze człowieka, który rzetelnie wykonał powierzone mu zadanie i spodziewa się za to dobrego słowa.

- A zatem, szefie - wystrzelił - skończone. Mam obu! Właśnie ich przyprowadziłem. Są w pokoju obok...

Odpowiedziała mu przytłaczająca cisza. Powiało przeszywającym chłodem. Nowo przybyły zamrugał i pytająco spojrzął na trzech kolegów, spodziewając się wyjaśnień.

Cisza nie trwała długo. Szef odchrząknął.

- Hrrrrmff. Naprawdę? - powiedział z obłudną łagodnością. - No więc, Smitty, póki twoje silniki się grzeją i działają na pełnych obrotach, skocz no na maraton tańca do Joego Pasternacka i zniszcz go. Odbywa się to w starej zbrojowni w zachodniej części miasta...

Twarz Smitty'ego była teraz obrazem rozpacz. Bez słowa spojrział na zegar na ścianie. Pokazywał czwartą - nad ranem, nie po południu. Szef, nie będąc z natury człowiekiem o zatwardziałym sercu, popatrzył przez chwilę na swoje skarpetki, jakby chciał w ten sposób wykrzesać z siebie odrobinę okrucieństwa. Podziałało znakomicie. „Przeegrany zakład!” - wymamrotał sam do siebie i zrobił się jeszcze bardziej czerwony niż przedtem.

- Rany, szefie - błagał żółtodziób - nie miałem nawet czasu ogolić się od wczorajszego ranka.

W tle rozpętało się niewidoczne dla niego szturchanie łokciami i milczące acz wymowne gesty, przypominające duszenie.

- Nie proszę cię, byś wziął udział w konkursie tańca, tylko żebyś założył im szlaban - uściślił szef posępnie. - Najpierw płacisz za wjazd, jak każdy inny, i przyglądasz się bacznie wszystkiemu; badasz, czy można się przyczepić do czegoś na gruncie obyczajowym. Potem odszukasz niejaką Toodles McGuire - tylko nie daj sobie wcisnąć, że jest pełnoletnia. Jej stara mówi, że córeczka ma szesnaście lat i powinna o tym pamiętać. Dasz jej klapsa i pošlesz do domu. Zapieczętujesz wszystko pięknie i powiesz Pasternackowi, czy kto tam jeszcze za tym stoi, że impreza została odwołana. I nie odchodź stamtąd. Zostań i sprawdź, czy wypłaci, co się komu należy, i zwinie interes na cacy. Jeśliby piszczał, że nie ma rozporządzenia zakazującego urządzania maratonów tańca, daj mi znać. Jak dobrze pogrzebać, znajdzie się zakaz na wszystko...

Kapelusz Smitty'ego zrobił zwrot z kierunku północno-wschodniego na południowo-zachodni i z ociąganiem popłynął, kolejny raz tej doby, w stronę drzwi wyjściowych.

- Ilekroć coś tak pokręconego, jak to, się zdarzy, zawsze pada na mnie - usłyszano jeszcze buntownicze mamrotanie. - Niezła robota, rozganianie konkursu tańca. Prawdopodobnie zostanę zbombardowany puszkami do pudru...

Szef sięgnął niespodziewanie po ciężki, mosiężny kałamarz, stojący na biurku: może chciał podpisać jakiś raport, a może chciał posłać go w ślad za Smittym - Smitty nie czekał, by się dowiedzieć. Czmychnął pośpiesznie za drzwi.

- A niech to - westchnął szef po głębokim namyśle - co za banda palantów. Czemu nie posłuchałem mojego starego i nie poszedłem do straży pożarnej!

Młody pan Smith, mrużąc pod nosem przekleństwa przez całą drogę, kazał się zawieźć do nieużywanej zbrojowni, gdzie owo szczególne przedsięwzięcie właśnie się

odbywało.

- Sześćdziesiąt centów - oznajmił taksówkarz.

Smitty wyciągnął kieszonkową książeczkę z rachunkami i zapisał: Opłata za taksówkę - 1 dolar 20 centów. „Będzie mnie wysyłał po nic o czwartej nad ranem!” - powiedział sam do siebie. I od razu poczuł się lepiej.

Na zewnątrz przy wejściu do zbrojowni znajdowała się kasa biletowa, teraz jednak ciemna i pusta. Smitty pchnął drzwi - nie były zamknięte na klucz - i znalazł siedzącego po ich wewnętrznej stronie czarnego dżentelmena, połączenie portiera z odźwiernym, który w zamian za pięćdziesiąt pięć centów wręczył mu kawałek z różowego kartonu, po czym szybko odebrał tenże świstek i przedarł na połowę.

- Jesteś, chłopcze - skomentował uprzejmie - albo tak strasznie wcześnie, albo tak okropnie późno.

- Jestem po prostu w samą porę - zauważył Smitty i rozejrzał się wokoło.

Godzina pozostawała do świtu i na parkiecie w zbrojowni, zbudowanej, by pomieścić dwa tysiące, zostało dwanaście osób. Sześć z nich tańczyło, ale na pierwszy rzut oka nie zorientowałbyś się, co robią. Ciągnęło się to od dziewięciu dni. Teraz nikt już ich nie oglądał. Ostatni z widzów, którzy kupili bilety, poszli do domów wiele godzin temu - nawet pijacy i nocne marki z Park Avenue. Wielkie, śnieżnobiałe lampy łukowe, podwieszane pod krokiewiami były - dla oszczędności - wyłączone, wszystkie z wyjątkiem jednej. W końcu Pasternack nie ze względów zdrowotnych zajmował się tym biznesem. Ta jedyna zapalona lampa, prychająca i skwiercząca wysoko na głowami, rzucała białoliliowe, widoczne nawet gołym okiem, promienie i nadawała wszystkiemu upiorny, nieziemski wygląd. Gramofon podłączony do wzmacniacza rzeźił przy końcu hali, masakrując jakąś taneczną melodię, dając jej wycisk, jakiego nigdy wcześniej nie zaznała. Za każdym razem kiedy igła docierała do końca płyty, coś na kształt prowadnicy zawieszanej nad talerzem przerzucało ją z powrotem na początek krążka.

Sześć strachów na wróble - trzy płci męskiej i trzy żeńskiej - tkwiło na środku parkietu w groteskowo ze sobą sczepionych parach. Nie tańczyli, nie spacerowali, chwiali się już tylko, przemieszczając się w takim jedynie stopniu, by nie stać całkiem bez ruchu. Każdy z mężczyzn nosił na plecach numer. Były to numery: 3, 8 i 14. Te oto „szczęśliwe” pary wytrzymały dłużej niż pozostałe, dłużej niż dziesiątki innych uczestników, startujących razem z nimi po wystrzale z pistoletu tydzień i dwa dni wcześniej. Żaden z mężczyzn nie miał na sobie marynarki ani kamizelki - nawet krawata. Dwaj z nich zamienili buty na kapcie, by ulżyć obolałym stopom. Trzeci miał na nogach parę płóciennych trampek.

Jedna z dziewcząt przykryła czoło mokrą chusteczką. Inna przebrała się w strój do ćwiczeń dla dziewcząt z chóru - szorty i bluzeczkę. Trzecia była drobniutka - dziecko po prostu - jej głowa bezwładnie opierała się na ramieniu partnera, a oczy szklily się ze zmęczenia.

Smitty obserwował ją przez chwilę. Nie było żadnych krągłości w jej ciele. Jeśli ktoś tu był niepełnoletni, to właśnie ona. Na pewno była tą Toodles McGuire, która zabijała się dla platerowanego pucharu, wzmianki w gazetach, kontraktu na występy w jakiejś taniej tancbudzie, no i dla tysiąca dolarów, którego i tak nie miała nigdy zobaczyć, zgodnie z tym, co mówił szef. Prawdopodobnie miał rację, zadumał się Smitty. W ogóle nie było w planie żadnego tysiąca dolarów, a tym bardziej nagród za drugie i trzecie miejsce. Pasternack pewnie zamierzał zgarnąć wszystkie spodziewane zyski i prysnąć. Żadni sławy frajerzy mogliby mu nagwizdać. Salonowe jaszczury i królowe potańcówek, jak ci tutaj, nie potrafiłyby nawet uciuć dość pieniędzy, by mu wytoczyć proces. Pora zamknąć ten parszywy interes.

*

Smitty przeszedł się po trybunach, gdzie siedziały lub leżały w niewymuszonych pozach cztery z pozostałych sześciu osób, jakie gościła w chwili obecnej dawna zbrojownia. Przyjrzał im się dokładnie. Był wśród nich leciwy babsztyl, pełniący rolę opiekunki żeńskiej części zawodników podczas krótkich, pięciominutowych przerw, jakie następowały co pół godziny. Starucha, opuściwszy swe odosobnione pomieszczenie, siedziała z ręcznikiem wątpliwej czystości, przewieszonym przez ramię i, zaabsorbowana rozwiązywaniem krzyżówki, mamrotała cały czas do siebie. By nikt jej nie przeszkadzał w tym zajęciu, wspięła się do połowy wysokości trybun.

Dwa lub trzy rzędy poniżej niej obleśnie wyglądający barman z trzeciorzędnej jadłodajni rozparł się wygodnie, pilnując tacy, na której obok sterty kubków z nawoskowanego papieru stał cynowy kubeł z parującą spod pokrywki kawą. Najwidoczniej zbliżała się kolejna przerwa na odpoczynek, a ten tylko czekał, by na tym zarobić.

Trzecią osobą na widowni była dziewczyna w sukience do tańca. Jej twarz wykrywał grymas bólu. Sądząc po niechlujnym wyglądzie i gorzkim, pogardliwym spojrzeniu, jakim obrzucała pozostałych tancerzy, musiała dopiero co zostać zdyskwalifikowana. Jedną stopę, bez pończochy, trzymała przed sobą i nacierała alkoholem spuchnięte śródstopie, przeklinając cicho pod nosem.

Czwarty i ostatni z widzów (piątym był mężczyzna przy drzwiach) okazał się zbyt zajęty swoimi rachunkami, by chociaż podnieść wzrok, gdy Smitty stanął przed nim. Był w samej koszuli. Nosił niebieskie elastyczne zarękawki i zielony celuloidowy daszek ochronny

nad oczami. Wystające z ust cygaro wyglądało na całkiem rozmiękłe. Na ławce obok niego leżał zegarek, megafon, gwizdek i pistolet na ślepe naboje. Wyglądało na to, że podlicza dzienne rachunki w kieszonkowym notatniku, z pamięci wypisując poszczególne pozycje.

- Odsuń się, zasłaniasz mi światło - zauważył niezbyt uprzejmie, gdy cień Smitty'ego legł na nim z ukosa.

- Ty jesteś Pasternack? - zapytał Smitty, nie przesuwając się ani o cal.

- Nie. Jest w biurze. Śpi.

- No to go tu przyprowadź. Mam dla niego nowinę.

- Nie jest zainteresowany - odparł przyjemniaczek na ławce. Smitty odwinął na moment klapę płaszcza, po czym pozwolił jej wrócić na poprzednie miejsce.

- O, pan władza - skomentował księgowy; dwa dziesiątaki opuściły plik banknotów z dziennego utargu i bez zbędnych ceregieli wylądowały w dłoni Smitty'ego.

- Masz, kup sobie kropelkę sznapsa - powiedział, nawet nie podnosząc wzroku. - Wpadnij jutro i przypomnij się, gdy będzie więcej w kasie...

Smitty chwycił bliższy zarekawek, naciągnął go tak, że opasałby nim fortepian, i puścił. Finansista zaskamlał. Smitty przysunął otwartą dłoń z dwiema dziesiątkami do twarzy tamtego, przycisnął je płasko między podbródkiem a grzbietem nosa i wykonując rotacyjne ruchy, wepchnął mu banknoty do ust.

- Pomyłka - powiedział i ruszył w ślad za nagle ożywionym rekinem finansjery do sanktuarium, gdzie Pasternack wypoczywał z ustami otwartymi jak do łowienia much.

- Joe - powiedział poniżony pomagier, wypluwając skrawki dziesięciodolarowego banknotu. - Przyszedł pan władza.

Pasternack znalazł się w pozycji pionowej tak szybko, jakby miał w sobie sprężynkę.

- Gdzie masz nakaz? - spytał, jeszcze nim otworzył oczy. - Szybko, Moe, dawaj mi tu telefon!

- Wyjdiesz teraz ze swoim gwizdkiem - powiedział Smitty - i odgwiżdżesz koniec tego dziadostwa... czy może mam wyrzucić to wszystko na ulicę? - Wykonał nagły zwrot, zawadził nogą o coś niewidocznego i zatoczył się przez połowę pomieszczenia. Telefon wyfrunął z dłoni Moego, a na drugim końcu kabla zawisło gniazdo, gwałtownie wyrwane z listwy na ścianie.

- O jo jo j, strasznie mi przykro - przeprosił nieszczerze Smitty. - I to akurat, kiedy był tak potrzebny!

Odwrócił się do mężczyzny zwanego Moem, złapał go za kark i jednym solidnym pchnięciem posłał w stronę audytorium.

- Teraz zrób, jak ci kazałem - polecił - a my poczekamy na przybycie majstra od telefonów. Przyślij mi tu wszystkich, gdy trochę ochłoną. Czarnego gościa i damę z łazienki też. - Zbliżył się do biurka. - Wyciągaj swoje małe metalowe pudełeczko, Pasternack. Ile tam masz pod ręką, żeby zapłacić tym ludziom?

Nie było metalowego pudełeczka, lecz neseser.

- Niech pan zamknie drzwi - powiedział Pasternack przymilnie. - Jest tego sporo, a będzie jeszcze więcej. Jaki udział pana zadowolili? Proszę samemu ustalić wysokość opłaty.

Smitty westchnął znużony.

- Czy dopiero jak ci przesunę przednie zęby na tył gardła, uwierzysz, że jestem jednym z tych staromodnych koleśków, co to wolą pracować za uczciwie zarobione pieniądze?

Na zewnątrz zadudnił głucho odgłos wystrzału i ustało skrzypienie gramofonu. Słychać było, jak Moe ogłasza coś przez megafon.

- Nie ujdzie ci to na sucho - pieklił się Pasternack. - Gdzie masz nakaz?

- Gdzie twoja koncesja - ripostował Smitty - skoro mamy być skrupulatni? Dalej, nie marnuj mojego czasu, przez ciebie wciąż jestem na nogach! Przygotuj szmal na wypłaty. - Zbliżył się do drzwi i zawołał w głąb audytorium. - Wszyscy tutaj. Zabierzcie swoje bety i ustawcie się w kolejce. - Dwie z trzech par rozłączyły się i tancerze jak lunatycy, z bólem, poczęli wlec się w stronę Smitty'ego, idąc zygzakiem, jakby cały ich metabolizm diabli wzięli.

Tancerze z trzeciej pary, tej z numerem 14, wciąż tkwili na parkiecie, wczepieni w siebie - mężczyzna zwrócony twarzą do Smitty'ego. Chyba nie zdawali sobie sprawy, że to już koniec. Wyglądali tak, jakby podtrzymywali się nawzajem przed upadkiem. Ich ciała tworzyły coś na kształt ludzkiego namiotu, ze stopami odsuniętymi na odległość około metra i z twarzami oraz barkami przyciśniętymi mocno do siebie. Żeńską połowę duetu stanowił ten chudzielec, ten skrawek dzieciaka, w którym już wcześniej Smitty rozpoznał Toodles McGuire. Czyżby miała zamiar zgrywać uparciucha? Policjant w bojowym nastroju zbliżył się do pary na parkiecie.

- No jazda! Nie słyszeliście? Kończyć to!

Mężczyzna rzucił mu lękliwe spojrzenie ponad ramieniem dziewczyny.

- Przyjacielu, zabierz ją ze mnie, proszę cię. Zemdląca, czy co, i jeśli ją puszcze, rozwali sobie łeb o podłogę. - Westchnął załośnie. - Nie utrzymam jej dłużej!

Smitty otoczył ramieniem kibić dziewczyny. Nie ważyła więcej niż puste palto. Biedak, który dźwigał ją w pozycji wyprostowanej przez mniej więcej dziewięć dni i nocy,

skulił się teraz, kucając u jej stóp jak wysuszony Budda.

- Pozwól mi chwilę zostać w takiej pozycji - jęknął. - Tak mi dobrze. - Tymczasem dziewczyna zaczęła powoli zginać się wół - składała się jak scyzoryk, przewieszona przez podtrzymujące ją w talii ramię Smitty'ego. Czyniła to ruchem przerywanym, opadając sztywno kawałek po kawałku, z makabryczną niemal konsekwencją, aż jej zwisająca w dół głowa dotknęła kolan. Była jak nakręcana chodząca lalka, w której wysiadła sprężyna.

Smitty odwrócił się i warknął przez ramię do łazienkowej wiedźmy:

- Hej, ty! Chono tu i pomóż mi z tą małą! Nie widzisz, że potrzebuje pomocy? Zabierz ją do środka i zobacz, co się da dla niej zrobić...

Starucha podeszła wolno, z lękiem, a kiedy Smitty próbował przekazać jej bezwładne ciało, cofnęła się pośpiesznie.

- Ja... ja nie mam dość siły, by ją udźwignąć - wybełkotała opornie. - Pan jesteś silny, pan ją zanieś i połóż...

- Nie wolno mi tam wchodzić - odburknął oburzony. - To nie jest miejsce dla mnie! Po co tu jesteś, jeśli nie możesz?...

Dziewczyna siedząca dotychczas z boku wstała nagle i podeszła do nich, utykając na jedną nogę - tę bez pończochy.

- Daj mi ją - powiedziała. - Ja ją tam dla was zaniosę. - Posłała starej długie, twarde spojrzenie, pod którym tamta zakwiliła i spuściła wzrok. - Trzymaj ją za stopy - rozkazała cichym głosem.

Babsko, nie zwlekając, pochyliło się posłusznie. Niosąc dziewczynę między sobą, przesuwały się powoli w stronę łazienki, aż zniknęły za podium dla orkiestry. Ich balast zwisał bezładnie, dotykając chwilami podłogi.

- Trzymaj ją. - Smitty'emu wydawało się, że słyszy młodszą z kobiet. - Nie ugryzie cię!

Drzwi łazienki zamknęły się z hukiem za tą dziwną, niewielką procesją. Smitty odwrócił się i pomógł wypompowanemu numerowi 14 podnieść się na nogi.

- Ruszaj się - ponaglił. - Do środka, ze wszystkimi!

Stanęli w szeregu pod ścianą w „biurze” Pasternacka, wszyscy tak wykończeni, że gdyby nagle usunąć tę ścianę, runęliby na ziemię jak domek z kart. Pasternack i jego naganiacz zaszyli się w przeciwległym kącie, dyskutując zawzięcie. Buczeli jak pszczoły w ulu.

- Wy dwaj pewnie wolelibyście zostać sami? - zapytał ich Smitty, ustawiając numer 14 wśród pozostałych, słaniających się na nogach osób.

Pasternak najwidoczniej wierzył w stare porzekadło: „Kto walczy i ucieka, dożyje... etc”. Gra, zdawał się sądzić, nie jest warta świeczki. Otworzył neseser, którego cały czas strzegł, trzymając pod pachą, powrócił z nim do biurka i gotów na oczyszczenie sumienia, rzekł wesoło:

- Kochani! Za radą tego oto dżentelmena - (szeroki, przyjacielski uśmiech w stronę Smitty'ego) - mój partner i ja odwołujemy konkurs. Chociaż nie mamy wobec was żadnych prawnych zobowiązań - (odchrząknięcie i poprawianie krawata) - postanowiliśmy honorowo zakończyć sprawę - chcemy bowiem uniknąć wszelkich kłopotów - dzieląc pieniądze przeznaczone na wygraną równo pomiędzy wszystkich pozostałych do tej pory uczestników konkursu. Po odjęciu opłaty za wynajem zbrojowni, rachunku za światło, kosztów druku biletów i ulotek reklamowych pozostaje...

- Nic z tego! - zaproponował Smitty. - To poszło z waszych zysków za pierwsze dziewięć dni. Wszystko, co macie pod ręką, idzie do podziału. Jakbyście liczyli po swojemu, wyszłoby na to, że oni wszyscy są wam jeszcze winni pieniądze! - Odwrócił się do odźwiernego. - Zapłacili ci, kolego?

- Nie, psze pana! Mam mieć pięć dolców na noc...

- Czterdzieści pięć dla ciebie - powiedział Smitty. Pasternack zerwał się nagle i podszedł do swojego współnika.

- To wszystko przez to, że cię posłuchałem, mądralo! Nowy Jork to frajerskie miasto, tak? Łatwy zarobek, co? Ha?

- Ależ, chłopcy - strofował ich Smitty, łokciami odsuwając jednego od drugiego.

- Kawalek sera by im rzucić. Szczury! - skomentowała dziewczyna w szortach.

Od strony drzwi do łazienki doleciał odgłos szamotaniny. Smitty odwrócił się i ujrzał utykającą dziewczynę i łazienkową matronę, z których każda próbowała wejść na salę przed tą drugą.

- Nie zostawiaj mnie tam samej!

- Ja z nią sama nie zostanę.

To nie moja sprawa! Wycofuję się! Ta kulejąca pierwsza dopadła Smitty'ego.

- Słuchaj pan. Lepiej sam pan wejdź do środka - wysapała. - Nie damy rady z nią nic zrobić. Ona chyba nie żyje.

- Jest zimna jak lód i jakaś taka sztywna - potwierdziła stara.

- O mój Boże! Zabiłem ją! - ktoś jęknął. Pod numerem 14 ugięły się kolana; zgasł jak zdmuchnięta świeca.

Ci, co stali po obu jego bokach, chwycili go za ramiona i pomogli mu miękko osunąć

się na podłogę, sami zbyt słabi, by go podtrzymać.

- Stop! Przerwać wszystko! - warknął Smitty. Złapał za bark odźwiernego, który stał z wybałuszonymi oczami.

- Wyrwyj stąd natychmiast i sprowadź gliny. Powiedz im, żeby wezwali ambulans, a potem niech się meldują do mnie. A jeśli spróbujesz się ulotnić, stracisz swoje czterdzieści pięć dolców i zarobisz krzesło elektryczne.

- Praktycznie to juzem jest z powrotem - zakwilił przerażony odźwierny i wybiegł.

- Reszta zostanie tam, gdzie stoi. Odpowiesz za to osobiście, Pasternack, jeśli ktoś się ulotni.

- Jakbyśmy mogli ruszyć się choćby o cal przy tych wyjących psach - wymamrotała dziewczyna w szortach.

Smitty pchnął przed sobą dziewczynę w jednym bucie.

- Ty pójdziesz tam ze mną i pokażesz mi - mruknął. Był kimś, kogo można by określić mianem „moralnego tchórza”; wkraczał na teren, na którym nigdy wcześniej nie był.

- Na wprost przed panem - skrzywiła się, przystając przed drzwiami. - Potrzebujesz pan mapy?

- Ruszaj się. Nie wejdę tam sam - powiedział i popchnął ją przez zakazane wrota.

*

Leżała rozciągnięta na podłodze, tak jak ją zostawiły. Obok stała odkorkowana butelka alkoholu do wcierania; tym razem wcieranie na nic się nie zdało. Poczuł, jak twarz robi mu się gorąca, gdy przykucnął, by się jej przyjrzeć. Była martwa, jasna sprawa. Tak jak mówiły tamte dwie - martwa i zimna, i z minuty na minutę sztywniała coraz bardziej.

- Prawdopodobnie nadwerżyła serce - mruknął. - Powinno się za to pociągnąć tego Pasternacka. Jest moralnie odpowiedzialny.

Jakiś gliniarz, nie tak dobrze wychowany jak Smitty, bez skrupułów wetknął głowę przez drzwi.

- Stań przy wejściu - poinstruował go Smitty. - Niech nikt nie wychodzi. - Następnie spytał swą towarzyszkę: - To była mała McGuire, co nie?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odpowiedziała dziewczyna nadąsana. - Pasternack mówił na nią Rose Lamont przez cały konkurs. Spytaj się pan tego facia, co z nią tańczył. Może postanowili zmienić nazwiska po tych dziewięciu dniach. Osobiście - powiedziała, kierując się w stronę drzwi - nie wiem, kim ona jest, i guzik mnie to obchodzi!

- Będiesz kiedyś doskonałą matką dla dzieci jakiegoś mężczyzny - skomentował Smitty, wychodząc za nią z łazienki. - Jest w środku - powiedział do lekarza z karetki

pogotowia, która właśnie przybyła - ale teraz to już kostnica, nie pierwsza pomoc. Niech pan sam zobaczy.

*

Smitty wrócił tam, gdzie zostawił resztę towarzystwa. Numer 14 nie mógł się uspokoić i wciąż obwiniał sam siebie.

- Nie chciałem tego, naprawdę nie chciałem! - jęczał nieustannie.

- Zamknij ten swój głupi dziób, matole. Pogarszasz tylko swoją sytuację - syknął ktoś w jego stronę.

- Pokaż mi listę uczestników - polecił Smitty Pasternackowi. Impresario wyłowił rejestr z szuflady w biurku i wręczył Smitty'emu.

- Wszystko, co mam z tego całego przedsięwzięcia, to kopniaki w tyłek! Czemu nie trzymałem się jakiegoś zadupia, gdzie nie umierają po kilku tańcach? No, powiedz mi, czemu?

- Czternaście - przeczytał Smitty. - Rose Lamont i Gene Monahan. To twoje prawdziwe nazwisko, koleś? Możesz to udowodnić?

Numer 14 zrzucił płaszcz, który ktoś nałożył mu na ramiona i wyrzucił wewnętrzną kieszeń na lewą stronę. Nazwisko było wypisane na naszywce. Adres też się zgadzał.

- A co z nią? Czy to jej autentyczne dane?

- Naprawdę nazywała się McGuire - przyznał Monahan. - Toodles McGuire. Ale wkrótce i tak zmieniłaby nazwisko, gdybyśmy zgarnęli ten tysiąc - zwiesił głowę - więc co za różnica.

- Dlaczego twierdzisz, że to ty zrobiłeś? Dlaczego w kółko powtarzasz, że niechący?

- Bo gdy ją obejmowałem w tańcu, czułem, że coś z nią jest nie tak. Wiedziałem, że powinna odpuścić, ale nie pozwoliłem jej. Błagałem, żeby jeszcze trochę wytrzymała, nawet wtedy, kiedy już przestała odpowiadać. Chyba mi odbiło od tego myślenia o tysiącu dolarów. Potrzebowaliśmy tych pieniędzy, żeby się pobrać. Cały czas się łudziłem, że pozostali odpadną lada moment; zostały jeszcze tylko dwie pary i nikt nas już nie oglądał. Podczas przerw rekreacyjnych zanosłem ją na rękach do łazienki, tak by nikt nie zauważył, że nie da rady iść o własnych siłach, i oddawałem ją tej starszej pani. Ona też nie potrafiła jej pomóc, ale błagałem ją, żeby nas nie wydała, i za każdym razem, kiedy rozlegał się gwizdek, zabierałem Toodles i zaczynałem od nowa...

- No to zatańczyłeś ją na śmierć - oznajmił cierpko Smitty. - Na twoim miejscu wyszedłbym stąd, wsadził stopy pod pierwszy trolejbus, jaki się pojawi, i trzymał tak długo, aż po nich przejedzie. Może to by zrobiło z ciebie mężczyznę!

Opuścił biuro i natknął się na lekarza, który właśnie zamierzał się oddalić.

- Co to było, serce?

Lekarz z pogotowia obdarzył go specyficznym spojrzeniem, poczynając od podłogi i na czubku głowy kończąc.

- Jakże by miało być inaczej? Niczyje serce nie będzie pracować z wbitym weń siedmio - czy ośmiocalowym metalowym ołówkiem.

Rozwinął zawiniątko z chusteczki, by pokazać wąski miedziany cylinder, z ostrym jak igła stożkiem końcówki piszącej. W rzeczywistości był aluminiowy - to zaschnięta krew nadawała mu połysk miedzi. Osłupiały z wrażenia Smitty omal nie wypuścił ołówka z rąk - nie dlatego, że zabito nim człowieka, ale dlatego, że go przeoczył.

- I jeszcze jedno - kontynuował lekarz. - Takie sprawy to dla ciebie nowość, prawda? Zatem mała przyjacielska rada. Bez obrazy, ale nie wzywaj karetki, kiedy ktoś jest od dawna martwy, nasz czas jest zbyt cen...

- Czegoś tu nie chwytam - zniecierpliwził się Smitty. - Potrzebowała pomocy - po kogo więc miałem zadzwonić? Po karawan z cmentarza dla ubogich i niezidentyfikowanych, by ją pochowali, zanim przestanie oddychać?

Spojrzenie, którym go teraz obdarowano, było miażdżące.

- Od wielu godzin za późno na jakąkolwiek pomoc dla niej. - Lekarz rzucił okiem na swój nadgarstek. - Teraz mamy piątą. Jest zatem martwa od trzeciej - co najmniej. Nie potrafię sprecyzować godziny, ale twój kolega koroner powie ci, czy mam rację, czy nie. Zbyt wiele ich już widziałem w mojej karierze. Tak czy inaczej, na pewno nie żyje od dwóch godzin.

*

Smitty cofnął się o krok, jakby przeląkł się tamtego.

- Przyszedłem tu o czwartej trzydzieści - wybełkotał w podnieceniu - a ona tańczyła tam na parkiecie - widziałem ją na własne oczy - piętnaście, dwadzieścia minut temu! - Jego twarz przybrała ziemisty kolor.

- Nie obchodzi mnie, czy widziałeś ją, jak tańczy, czy jak robi podwójne salto przez lewe ucho - była martwa! - ryknął poirytowany lekarz. - Świątowała swoją własną stypę, jeśli tak ci na tym zależy! - Spojrzał na przerażoną twarz Smitty'ego, uspokoił się, splunął wymownie kącikiem ust i dodał: - Ktoś tańczył z jej martwym ciałem, to wszystko. Miłych snów, synu!

W Smittym powoli zaczynało się gotować.

- Taaa, ktoś z nią tańczył - zgodził się, zgrzytając zębami. - I znam też tego ktosia.

Jeszcze przed chwilą był numerem czternastym. Teraz to będzie raczej pechowa trzynastka!

Wszedł do umywalni, by spojrzeć na nią raz jeszcze, a w ślad za nim lekarz, którego czas był tak cenny.

- Wbity w plecy, co? To dlatego go przeoczyłem. Leżała na plecach, kiedy wszedłem tu za pierwszym razem.

- Mało brakowało, a sam bym nie zauważył - przyznał lekarz. - W pierwszej chwili myślałem, że to czyrak. Widzisz ten tampon z gazy? Był nasączony alkoholem i leżał na ranie. Nie było wcale zewnętrznego krwotoku, a wbity na całą długość ołówek w ogóle nie wystawał z ciała. Prawdę mówiąc, musiałem użyć szczypców, by go wydostać. Zobacz sam, brakuje uchwytu do zakładania za brzeg kieszeni, który mógłby zatrzymać wbijany ołówek w połowie drogi. Prawdopodobnie odłamał się dawno temu.

- Nie rozumiem - powiedział Smitty. - Skoro wszedł na całą długość, jak ktoś, kto zadał cios, mógł utrzymać go w dłoni?

- Początkowo mógł wejść na cal lub dwa i tak zostać - zasugerował lekarz. - Prawdopodobnie zginęła, przewracając się na plecy - uderzyła o ścianę lub podłogę, w ten sposób wbijając do reszty wystającą część ołówka. - Pochylony nad zmarłą lekarz wyprostował się. - Cóż, cała przyjemność po twojej stronie. - Pożegnał się niedbale i wyszedł.

- Przyślij tu tę starą, która odpowiadała za umywalnię - polecił Smitty gliniarzowi.

Stara kobieta weszła, przebierając palcami, jakby dłonie świerbiły ją od siedmiu dni.

- Nazwisko?

- Josephine Falvey... Pani Josephine Falvey. - Nie mogła oderwać wzroku od kształtu na podłodze.

- Po czterdziestce to nie ma znaczenia - zapewnił ją Smitty oschle. - Po co opatrywałaś tę ranę? Wiesz, że to cię czyni współwinną zbrodni?

- Ja nie zrobiłam nic ta... - zaczęła zaprzeczać głosem niewiniątka.

Nagłym ruchem podsunął jej pod nos kawałek gazy wielkości znaczka pocztowego, z rdzawą plamą po jednej stronie. Zaskrzeczała i odskoczyła do tyłu. Cofała się, a on szedł za nią.

- Nie przykładałaś jej tego? Dalej, odpowiadaj!

- Taaa, przykładałam! - gdała, niemal podskakując. - Przykładałam, przykładałam... ale nie chciałam jej zrobić krzywdy. Naprawdę, uwierz pan, ja...

- Kiedy to zrobiłaś?

- Ostatni raz zrobiłam to, kiedy kazał pan mnie i dziewczynie wnieść ją tutaj. Do tamtej pory nacierałam ją alkoholem, za każdym razem, kiedy odstawił ją pod drzwi, ale nie

widać było, żeby jej to pomagało. Wiem, że trza było iść z tym do Pasternacka, ale on błagał mnie - no wie pan, ten facio - błagał mnie, żebym nie szła. Mówił, żeby dać im odpocząć, żeby tylko ich nie wykluczyli. I że to nic nie szkodzi, że ona jest taka cała zwiotczała, bo to tylko zwyczajne skołowacenie. Zresztą wtedy nie było już wielkiej różnicy między nią a całą resztą - wszyscy zachowywali się jak odurzeni. Potem, kiedy kazałeś pan ją tu wnieść, wsadziłam rękę pod plecy jej sukienki i wyczułam coś okrągłego i twardego, jak pryszcz lub guzek, więc położyłam na tym mały tampon z gazy. A potem ja i tamta zdecydowałyśmy, że skoro konkurs i tak jest zakończony, lepiej wyjść do pana i powiedzieć...

- Aha - rzekł drwiąco. - Podejrzewam, że gdybym się nie zjawił, nadal by tu tańczyła, aż trzeba by dezynfekować całe pomieszczenie! Kiedy po raz pierwszy zauważyłaś, że coś jest z nią nie tak?

- Gdzieś tak koło drugiej trzydzieści, może trzeciej - wybełkotała. - Wszystkie były tu w środku - wciąż był tłum - i wtedy ktoś zapukał do drzwi. To on stał tam z nią w ramionach pod drzwiami, podał mi ją i wyszeptał: „Zaopiekuj się nią, dobra?”. To wtedy błagał, by nic nikomu nie mówić. Powiedział, że... - Przerwała.

- Dalej! - warknął Smitty.

- Powiedział, że odpali mi z tego tysiąca, jak wygrają. Wtedy usłyszeliśmy gwizdek i one wszystkie wyszły dalej tańczyć; on czekał w progu, aż mu ją oddam w ramiona - i tak se z nią poszedł. Wszyscy potrzebowali już wtedy pomocy przy wychodzeniu na parkiet, więc nikt nie widział w tym nic nieprawidłowego. I odtąd tak było za każdym razem - aż pan żeś się zjawił. Ale do głowy mi nie przyszło, że ona nie żyje. - Przeżegnała się. - Gdybym tak pomyślała, nie dotkłabym jej za żadne skarby, nie zmusiłbyś mnie pan...

- Mam wątpliwości - powiedział jej Smitty - co do tej części o pieniądzech. Wyjdz stąd! I uważaj się za świadka.

Jeśli wierzyć starej jędzy, zdarzyło się to na parkiecie, w jasnym świetle lamp łukowych, a nie w umywalni. Tego punktu był niemal pewien. Monahan nie odważyłby się wejść tu na siłę. Wrzaski pozostałych uczestniczek spowodowałyby zarwanie się dachu. Po drugie, parkiet był wtedy nadal o wiele bardziej zatłoczony niż później, co pomogło zamaskować zdarzenie. Prawdopodobnie pokłócili się, gdy próbowała się wycofać. Wyszarpnął ołówek i wbił jej, gdy była do niego przytulona. Albo upadła i zabiła się, spadając na wystający koniec ołówka, a facet szybko ją podniósł, nim ktokolwiek to zauważył, albo ta Falvey nieostrożnie się z nią obeszła w umywalni i koniec ołówka dotarł do serca.

Smitty postanowił dowiedzieć się, czy widziano tego wieczoru, żeby któraś z

uczestniczek upadła na podłogę. Pasternack od dziesiątej przebywał w swoim biurze - najpierw wydawał materiały reklamowe, później uciął sobie drzemkę, i to go eliminowało. Moe jednak nadawał się znakomicie.

- Czy zauważyłem, że ktoś upadł? - powtórzył jak piskliwe echo. - A któż nie zauważył? Takiej awantury nie widział pan w całym swoim życiu. Około pół do trzeciej. To wtedy, kiedy nadawali nas w radiu.

- Dalej, zaczyna być ciekawe. I co on wtedy zrobił, podniósł ją?

- Podniósł ją! Nie wstałaby za żadne skarby. Nie można się było do niej zbliżyć! Po prostu siedziała tak, przeklinając, wrzeszcząc i rzucając, czym się dało. Już myślałem, że będziemy musieli wezwać policję. W końcu zakradli się do niej od tyłu i odciągnęli ją na zadku na trybuny; została zdyskwalifikowana...

- Za-a-araz! - Smitty'emu aż zaparło dech. - O kim ty mówisz? Moe popatrzył na niego zdziwiony.

- Ta mała Standish, a któż by inny? Widział ją pan; to ta z rozwaloną girą. To właśnie wtedy ją skręciła i nie mogła dłużej tańczyć. Nie chciała iść do domu. Pałętała się to tu, to tam, i gadała, że została wrobiona i okantowana; nie mogliśmy się jej pozbyć...

- Pudło - rzucił Smitty z niesmakiem. - Wracamy do punktu wyjścia. - A do policjanta rzucił: - Pora przejść do sedna sprawy. Bierzemy się za Monahana.

Kartkował swój notatnik z wystudiowanym skupieniem, kiedy wepchnięto kolesia przez drzwi do środka.

- Już się tobą zajmę - powiedział w roztargnieniu, klepiąc się po kieszeniach. - Tylko coś zanotuję... Możesz mi pożyczyć ołówek na sekundkę?

- Ja... ja miałem ołówek, ale go zgubiłem - powiedział wolno Monahan.

- Jak to możliwe? - zapytał spokojnie Smitty.

- Wypadł mi z kieszeni, tak myślę. Zaczepka była odłamana.

- Czy to ten?

Oczy chłopaka zrobiły się wielkie, kiedy ołówek prawie dotykał jego rzes, przetaczając się z prawej strony na lewą, z lewej na prawą.

- Uhm. Ale co się z nim stało, co jest na nim?

- Ty mnie o to pytasz? - skrzywił się Smitty. - No dalej, pokaż nam, jak to zrobiłeś!

Monahan skulił się pod ścianą, popatrzył na ciało na podłodze, na ołówek i znowu na ciało.

- O nie, nie - stęknął. - Czy to właśnie się jej przytrafiło? Nawet nie wiedziałem...

- Takie niewiniątka jak ty doprowadzają mnie do szału - oznajmił Smitty. Złapał

tamtego, wyciągnął na środek pomieszczenia i pchnął z powrotem do tyłu. Głowa chłopaka huknęła o drzwi. Stojący na zewnątrz gliniarz zajrzał do środka z pytającym wyrazem twarzy.

- Nie, nie pukałem - rzekł Smitty - to była jego makowa. - Odrobiną alkoholu spryskał twarz oszołomionego Monahan i maglował go dalej. - Pierwszą rzeczą, jaką zaćwierkałeś, było: „Zabiłem ją”. Potem zaraz wywinąłeś orła. Później znowu powtarzałeś w kółko: „To moja wina, to moja wina”. Dlaczego teraz próbujesz się wycofać?

- Ale nie chodziło o to, że coś jej naumyślnie zrobiłem - łkał Monahan. - Myślałem, że zabiłem ją, tańcząc do upadłego. Czowała się dobrze, kiedy pomogłem jej wejść tu do umywalni około drugiej w nocy. Kiedy po nią wróciłem, starsza pani wyszeptwała, że nie może jej dobudzić. Mówiła, że może ruch w tańcu pozwoli jej oprzytomnieć. Powiedziała: „Chcesz zdobyć ten tysiąc dolarów, co? Masz, trzymaj ją prosto i nikt się nie skapnie”. I ja posłuchałem jej jak głupiec; od tamtej chwili cały czas udawałem.

Smitty wykonał kolejny rzut Monahanem.

- Więc teraz okazuje się ni mniej, ni więcej, tylko że zdarzyło się to tu, w umywalni! Nie próbuj zrzucać z siebie odpowiedzialności!

Gliniarz, który, nawiasem mówiąc, nie wyglądał na zbyt bystrego, znów otworzył drzwi i Monahan rozłożył mu się u stóp.

- Jeny! Jaki twardy musi mieć łeb - zauważył.

- Idź na salę i włącz gramofon - polecił Smitty. - Będziemy mieli mały pokaz - wizję lokalną. Jeśli walenie głową o drzwi nie przywraca mu pamięci, może przywróci mu ją taniec z ukochaną. - Podniósł Monahana za kark. - W której kieszeni był ołówek?

Mężczyzna wykonał gest wskazujący na klatkę piersiową. Smitty wsunął mu ołówek do kieszonki końcówką piszącą w dół. Gliniarz umieścił igłę gramofonu w rowku płyty i przekreślił wyłącznik. Wzmacniacz ryknął całą mocą.

- Podnieś ją i trzymaj - polecił ochryplym głosem Smitty.

Zwierzęcy jęk był jedyną odpowiedzią, jaką otrzymał. Mężczyzna próbował się cofnąć. Gliniarz znów popchnął go do przodu.

- Więc nie będziesz tańczył, co?

- Nie będę - wysapał Monahan.

Kiedy obaj policjanci wspólnymi siłami pomogli mu wstać z podłogi, już chciał tańczyć.

- Trzymałeś ją tak samo martwą jak teraz przez bite dwie godziny - przypomniał mu Smitty. - Robi ci różnicę jeszcze pięć minut?

Jeden strach na wróble - poruszający się - kucnął przy drugim, bezwładnym strachu na

wróble. Powoli ramiona chłopaka otoczyły ciało dziewczyny. Dwa strasydła podniosły się na równe nogi i ruszyły, zataczając się, po pijacku sczepione ze sobą, a następnie przesunęły się w rytm muzyki od drzwi na środek sali. Gliniarz zaczął się pocić. Smitty powiedział:

- W każdej chwili możesz przestać, jeśli tylko zechcesz się przyznać, że ty to zrobiłeś.

- Oby Bóg ci to wybaczył - odezwał się grobowy głos.

- Wyciągnij ołówek z kieszeni - powiedział Smitty - nie wypuszczając jej z rąk - jak za pierwszym razem.

- To jest pierwszy raz - powiedział tamten dudniący głos. - Poprzednim razem sam wypadł. - Prawa dłoń powoli oderwała się od zwłok i zanurkowała w kieszeni.

*

Pozostali wyszli z biura Pasternacka, zwabieni makabryczną muzyką, i stanęli zbici w gromadkę, z wyrazem trwogi i niedowierzania na zmęczonych twarzach. Naroże trybuny skrywało przed ich wzrokiem zarówno Smitty'ego, jak i drugiego policjanta; wszystko, co ujrzeli, to tę przerażającą parę, wolno sunącą przez środek wielkiego parkietu, samotnie pod pogrzebowym, heliotropowym światłem lampy łukowej. Ręka Monahana, z czymś błyszczącym w zaciśniętej dłoni, poszła nagle w górę i runęła w dół, znikając za plecami partnerki. Wśród przyglądających się temu osób rozległo się nieludzkie wycie i dziewczyna ze skrzykniętą kostką upadła na twarz.

Smitty dał znak gliniarzowi; muzyka nagle ucichła. Monahan i jego partnerka znieruchomieli i stali w takiej samej pozycji jak wtedy, gdy ogłoszono zakończenie konkursu: wyprostowani, na kształt namiotu, ze stopami oddalonymi od siebie, z przyciśniętymi do siebie głowami. Obie pary oczu były teraz jednakowo szkliste.

- No dobrze już. Przerwij to, no, przerwij! - zawołał Smitty.

Monahan trzymał się kurczowo dziewczyny z milczącą, straszliwą intensywnością, jak gdyby już nigdy nie miał wypuścić jej ze swych ramion.

Panna Standish zdążyła tymczasem usiąść, lecz natychmiast skryła twarz w dłoniach i trzęsła się na całym ciele, jakby nagle dostała dreszczy.

- Chcę widzieć tutaj tę dziewczynę - powiedział Smitty. - I ciebie, Moe. I starszą panią.

Zamknął drzwi za całą trójką.

- Pokaż mi jeszcze raz rejestr uczestników. Moe wręczył mu książkę, cały w nerwach.

- Sylvia Standish, tak? - Dziewczyna przytaknęła, z powodu niedawnego przerażenia wciąż ciężko łapiąc powietrze.

- Toodles McGuire stała się Rose Lamont - teraz powiedz, jak ty się naprawdę

nazywasz. - Wskazał kciukiem starą. - Kim jesteście dla siebie?

Dziewczyna odwróciła wzrok.

- Ona jest moją matką, jeśli już musi pan wiedzieć - odparła.

- Pewnie i sam bym na to wpadł, tego rodzaju rzeczy łatwo wy badać - zgodził się. - Miałem przecucie, że musi w tym być jakiś związek. Zbyt chętnie pomogłaś wnieść ciało za pierwszym razem. - Odwrócił się do przestraszonego Moego. - Jak rozumiem z tego, co powiedziałaś, zachowywała się, jakby nikt inny się nie liczył; kiedy wypadła z gry, trzeba ją było siłą ściągać z parkietu i nie chciała pójść do domu. Nie potrafiła pogodzić się z porażką. Czy może skarżyła się na coś?

- Twierdziła, że ktoś to zrobił naumyślnie - powiedział Moe. - Jeśli o mnie idzie, mam pewne wątpliwości. To było tak. Ta dziewczyna, co ją tamten zabił, miała na sobie sznur szklanych koralików, rozumie pan? Więc sznur się zerwał i koraliki potoczyły się po parkiecie pod stopy wszystkich tańczących. No i ta tutaj poślizgnęła się na nich i upadła: skręciła nogę w kostce i już nie mogła dalej tańczyć. Potem zaczęła się drzeć wniebogłosy. - Wzruszył ramionami. - Co mieliśmy zrobić? Odwołać konkurs, bo jedna nie mogła już tańczyć?

- Ona to zrobiła naumyślnie - przerwała im dziewczyna gwałtownie - żeby samej zgarnąć nagrodę! Wiedziała, że mam większe szanse niż ktokolwiek inny...

- Przypuszczam, że to wtedy, gdy siedziałaś na podłodze, podniosłaś ołówek, który wypadł Monahanowi - rzucił od niechcienia Smitty.

- Tak, do cholery! Wpadł między trybuny, kiedy podszedł do mnie, by przepro... - Urwała gwałtownie. - Nie wiem, o jakim ołówku pan mówi.

- Nie martw się tą małą wpadką - pocieszył ją Smitty. - Siedzisz w tej sprawie po uszy i bez tego. Zwłaszcza po tym, jak wymiękłaś na widok Monahana tańczącego z trupem. Nie mówisz mi nic, o czym bym już nie wiedział.

- Każdemu zrobiłoby się słabo. Myślałam, że widzę ducha...

- Ale to nie wtedy się domyśliłem. Gdy zobaczyłem, jak Monahan odgrywa tę całą scenkę, zrozumiałem, że nigdy tego naprawdę nie zrobił. Bo to wcale nie zdarzyło się na parkiecie, pomimo bzdur, które twoja stara próbowała mi wcisnąć. Wiesz czemu? Ołówek nie przeszedł przez sukienkę. Nie ma dziury w plecach sukienki. Musiała więc ją zdjąć dla ochłody, nim to się stało. A mogło to mieć miejsce tylko tutaj, w pomieszczeniu rekreacyjnym. Żeby Monahan mógł to zrobić na zewnątrz, musiałby wpierw zdrzeć jej sukienkę niemal powyżej głowy, i to na oczach wszystkich - i co, może przeszłoby to niezauważone?

Nigdy też tu za nią nie wszedł; twoja matka pierwsza wrzeszczałaby o pomoc. A zatem ty to zrobiłaś. Toodles zabawiała tu chwilę dłużej niż inne. Weszłaś zaraz, jak tamte się zmyły, i dźgnęłaś ją tym ołówkiem. Zabiła się, upadając na plecy. Potem twoja stara próbowała cię kryć - przykładła na ranę tampon i podsunęła Monahanowi myśl, że dziewczyna jest otępiała ze zmęczenia. Kiedy zaczął wyczuwać u niej wyziębienie ciała, jeśli w ogóle cokolwiek wyczuwał, pewnie pomyślał, że to od nacierania alkoholem podczas każdej przerwy. Bystrzak to chyba z niego nie jest - taki facio, co to tańczy, żeby coś w życiu osiągnąć. On nie miał motywu. Nie zrobiłby tego, nawet gdyby chciała się poddać, pozwoliłby jej. Był potem zbyt skruszony, kiedy myślał, że zamęczył ją na śmierć. Ale ty miałaś motyw, jakiego tu potrzebujemy - rozsypane korale. Wyrównanie rachunków za to, co ona zrobiła, jak ci się zdawało, naumyślnie. Czy coś pominąłem?

- Aha - powiedziała krótko. - Zajrzyj mi w rękaw i powiedz, czy mój kapelusz dobrze leży!

Gdy wychodzili razem z obiema paniami Falvey, Pasternackiem, Moem i czterema tancerzami, maszerującymi przed nim w pojedynczym szeregu w stronę policyjnej suki, zaparkowanej tyłem przed drzwiami zbrojowni, Smitty zawołał do drugiego policjanta:

- A gdzie Monahan? Dawaj go tu! Gliniarz zbliżył się, ocierając czoło.

- W końcu oderwałem go od niej siłą - powiedział - kiedy przyszli zabrać ciało, ale nie mogę nic zrobić, żeby przestał się śmiać. Chyba postradał rozum. Włos się jeży. Niech pan spojrzy!

Monahan stał oparty o ścianę - samotna postać pod łukową lampą - ramiona miał wciąż wysunięte do przodu w uchwycie, którym obejmował przez ostatnie dziewięć dni i nocy swoją partnerkę, i raz po raz wyrzucał z siebie salwy makabrycznej wesołości, które wstrząsały nim od stóp do głów.

Peter Cheyney

Piękna robota

Minęło kilka lat, nim kryminalne opowiadania przekroczyły Atlantyk i znalazły godne naśladownictwo w Wielkiej Brytanii. Początkowo krzykliwe, brutalne okładki brukowych czasopism, z rysunkami spoglądających pożądliwie gangsterów i przerażonych kobiet, wydawały się niestosowne dla brytyjskiego czytelnika; te tytuły, które dotarły do kraju, zwykle przybywały jako balast na statkach towarowych i były następnie sprzedawane za pół ceny w sieciach tanich sklepów. Gdy jednak czołowi pisarze, tacy jak Daly, Hammett, Chandler czy Gardner, zostali zaszczytzeni pierwszymi wydaniem w twardych okładkach, ich proza nabrała nieco szacownego poloru i zaczęto ją publikować

także w Wielkiej Brytanii. Tutaj co wnikliwsi i mniej podatni na szok miłośnicy kryminału szybko zdali sobie sprawę, że gatunek przechodzi właśnie radykalne zmiany. W końcu kilku brytyjskich pisarzy zaczęło naśladować twardy styl Amerykanów, a najbardziej wyróżniał się wśród nich były autor piosenek, dziennikarz i właściciel agencji dochodzeniowej, Peter Cheyney, o którym historyk literatury detektywistycznej H.R.F. Keating napisze w swoim „Whodunit? A Guide to Crime Fiction” (1982): „Najbardziej znany ze swych książek z Lemmyem Cautionem, które w londyńskie realia wносиły aurę typową dla amerykańskiej powieści o nieustraszonym prywatnym detektywie, Cheyney został oskarżony o sadyzm, wtórność i faszystowskie poglądy. Jego książki z pewnością były mocne i ekscytująco odmienne od większości tego, co powstawało we współczesnej brytyjskiej literaturze kryminalnej”.

Lemmy Caution jest agentem federalnym z Nowego Jorku, wypowiada się w dosadnych, urywanych zdaniach, nigdy nie cofa się przed użyciem przemocy i walkę przeciw kryminalistom przenosi na ich własne terytorium. Z jednakowym wigorem zajmuje się sprawami przeciwko gangsterom, dilerom narkotyków, jak i przeciw tym, którzy zajmują się prostytutką lub wymuszaniem haraczy za ochronę. Brytyjscy krytycy natychmiast po jego debiucie w „This Man is Dangerous” we wrześniu 1936 roku uznali go za „naprawdę wielkiego twardziela”. Lemmy został stworzony przez Cheyneya częściowo na podstawie jego własnej wiedzy o działaniu londyńskiego podziemia kryminalnego, a częściowo zrodził się z entuzjazmu dla amerykańskich filmów gangsterskich, szczególnie tych opartych na dziełach W.R. Burnetta. Powstały jeszcze cztery powieści i garść opowiadań o gniewnym agencie, wkrótce czyniąc z Cheyneya pierwszego brytyjskiego gwiazdora czarnego kryminału. W 1938 roku w książce „Kat się niecierpliwi” („The Urgent Hangman”) wprowadza na scenę prywatnego detektywa, Slima Callaghana, i przez następną dekadę będzie jednym z najlepiej sprzedających się autorów kryminalnych w kraju. W 1940 roku Lemmy Caution stał się gwiazdą radiowego serialu w BBC, bardzo popularnego w latach wojny, po którym nastąpiła seria ośmiu filmów z Eddiem Constantine’em w roli głównej, z kulminacją w surrealistycznym „Alphaville” (1965), w reżyserii Jeana-Luca Godarda, przenoszącym Lemmy’ego do zmechanizowanego policyjnego państwa przyszłości.

Peter Reginald Evelyn Cheyney (1896-1951) pierwsze próby pisarskie podjął, będąc jeszcze w szkole - wspominał po latach, że już wtedy z upodobaniem używał „frazy jak z karabinu maszynowego”. Przez jakiś czas pracował jako urzędnik w biurze adwokackim i kompozytor muzyki teatralnej. Po odbyciu służby wojskowej w czasie pierwszej wojny światowej (kiedy to został postrzelony w brzuch w taki sam sposób, jak wielu przeciwników Lemmy’ego Cautiona) rozpoczął karierę dziennikarską i założył Biuro Dochodzeniowe Cheyneya, co zaowocowało kontaktami z kryminalnym półświatkiem Londynu i dostarczyło surowego materiału dla jego pisarstwa. Choć wielu było takich, którzy oponowali przeciw nadmiernemu, ich zdaniem, eksponowaniu przemocy, dzieła Cheyneya niewątpliwie stanowią kolejny kamień milowy na drodze rozwoju czarnego kryminału.

„Piękna robota” jest typową opowieścią o przygodach Lemmy’ego Cautiona i po raz pierwszy

ukazała się w 1936 roku.

*

Facet w brudnej szarej fedorze na głowie wyglądał, jakby właśnie wyszedł z kostnicy w Bellevue - wprost z katafalku. Był roslym mężczyzną, a jego mocna szczeka sterczała nad podniesionym kołnierzem płaszcza. Omiatał wzrokiem wszystko wokoło, jak gdyby czekał na kogoś, kogo lada chwila będzie mógł dopaść. Miał popękane buty, a wierzch jednego z nich zgnił od wilgoci. Przy każdym kroku słychać było chlupotanie.

Na twarzy miał czterodniowy zarost i trzymał się w cieniu, blisko murów. Jego palce, zanurzone w kieszeni płaszcza, zaciskały się na rękojeści policyjnego positive'a kaliber.38, będącego niegdyś na wyposażeniu gliniarza odznaczonego za odwagę podczas wykonywania obowiązków - dzień po jego pogrzebie.

Mężczyzna nie miał na sobie koszuli. Pod płaszczem nosił tylko bawełniany podkoszulek. Wystające spod płaszcza nogawki spodni były za krótkie, a ich mankiety zabrudzone od błota, jakiego nigdy nie widziano w Nowym Jorku.

Za każdym razem, gdy mijał sklep lub inne oświetlone miejsce, wciskał głowę głębiej w kołnierz. Kiedy ujrzał chłopca niosącego chleb, oblizal wargi jak głodny pies. Dokuczał mu katar. Nie miał chusteczki, a jego nos był obolały. Jeśli kiedykolwiek próbowałeś wydmuchać nos w gazetę, wiesz, co to znaczy.

Opuścił Bowery przy Kenmare. Utykał. Zrobił mu się pęcherz na prawej stopie, tam gdzie but był pęknięty. Z trudem przyśpieszał kroku. Na Mott zobaczył chłopaka z gazetami.

Chłopiec stał na krawędzi chodnika i rozglądał się wokoło. Widząc faceta w brudnej szarej fedorze, przeszedł na drugą stronę ulicy i przystanął w cieniu. Nieco dalej także i kulejący mężczyzna przeciął jezdnię i zwolnił. Rozejrzał się i niespiesznie podszedł do chłopca.

Chłopiec udawał, że sprzedaje mu gazetę. Mężczyzna wziął ją do ręki. Na pierwszej stronie zobaczył swoje własne zdjęcie, a u szczytu strony wielki napis: „Fremer uciekł z więzienia - zabił dwóch strażników”.

To o nim.

Rozmawiał z chłopcem półgębkiem. Nim przemówił, oblizal wargi.

- Gadaj szybko. Gdzie jest ta blondyna od Franchiniego? Chłopiec uśmiechnął się do niego.

- Masz farta, stary - powiedział. - Jest w spelunie u Moksiego. Stale tam przesiaduje. A chleje! Ja cię. Królowa żytniej z rumem. Pełny odjazd!

Kulejący facet zaklął cicho.

- Skąd ma szmal, mały? - spytał. Gazeciarz splunął znacząco.

- Nie ma - odpowiedział. - Moksie daje jej na krechę. - Zniżył głos. - Widziałeś to o tobie w gazecie? - wymamrotał. - Dają za ciebie pięć kawałków, żywego lub umarłego. Jak ci się to podoba, koleś?

Ale mężczyzny już nie było. Chłopiec patrzył chwilę w pustkę przed sobą, jakby tamten rozplynał się w mroku, i jeszcze raz splunął.

*

Mężczyzna pokuśtykał w stronę nabrzeża. Zatrzymał się pod lampą w alei i spojrzał na gazetę. Dzieciak mówił prawdę. Oferowali za niego - żywego lub umarłego - pięć tysiąków. Obliznął wargi i uśmiechnął się - jak wilk. Po chwili znów zaczął iść.

Była północ, gdy zwłóknął się schodami w dół do meliny Moksiego na nabrzeżu. W środku było niemal pusto. Moksie opierał się o bar i czytał gazetę. Utykający facet zbliżył się powoli i spojrzał na niego.

- Trzymaj gębę na kłódkę i lepiej niech ci się to spodoba, frajerze - powiedział. - W kieszeni mam niezawodną broń, która sama zacznie strzelać, gdyby komuś coś głupiego przyszło do głowy. Gdzie dziewczyna Franchiniego?

Moksie skinął głową w stronę najodleglejszego kąta sali. Mężczyzna popatrzył w tamtym kierunku i ujrzał dziewczynę. Przy łokciu Moksiego stała menzurka z żytnią. Mężczyzna podniósł ją, wychylił i pokuśtykał w stronę kobiety.

Skończyła dwadzieścia osiem lat i wciąż była ładna. Zdążyła się już nieźle wstawić, a na stole przed nią stało pół butelki bimbru z fałszywą etykietą bacardi. Jej wzrok był ciężki, a ostatnia fryzura, jaką sobie zrobiła, znajdowała się obecnie w stanie całkowitego rozpadu. Miała niezłą cerę i trzęsły się jej ręce. Przez cały czas czterocalowym obcasem stuknęła o podłogę.

Mężczyzna opadł na fotel naprzeciwko niej. Podniosła wzrok.

- No i co z tego? - powiedziała. Uśmiechnęła się cynicznie.

- Nie jesteś jedynym facetem wartym pięć kawałków - dodała.

- Zadowolony, bo udało ci się nawiać, co? Cóż... jeszcze cię mogą dopaść, frajerze. Wiesz, zazwyczaj ich łapią. No dobra, czego chcesz?

Pochylił się ku niej.

- Posłuchaj, mała - rzekł. - Będę mówił szybko, a ty będziesz słuchać. Od czterdziestu ośmiu godzin jestem na nogach - jeśli się gdzieś nie zadekuję, dorwą mnie i usmażą. Mam już dosyć. Jestem przemoczony i głodny. I napiłbym się. - Popchnęła bacardi w jego stronę, a on pociągnął spory łyk z butelki. - Ale muszę się skontaktować z Franchinim. Mówię ci, po

prostu muszę. I nie wciskaj mi kitu, że nie wiesz, gdzie jest. Znam tę gadkę. Za niego też dają pięć kawalków, co nie? A ty jego dziewczyna jesteś, he? Więc... ty musisz to wiedzieć.

Zadarła głowę do góry i przyjrzała mu się. Jakiś odblask słabego zainteresowania zamigotał w jej oczach.

- Skontaktowałem się dziś wieczór z Marellim - mówił dalej.

- Gada, że może zabrać mnie i Franchiniego daleko stąd, jeśli uda mi się zaszyć gdzieś na dwa dni. No dobra, gdzie się schował Franchini? Spiknij mnie z nim. Jeszcze dwie godziny i mnie dopadną. Marelli wyrwie nas z miasta za dwa dni, a ja mogę załatwić, że dostanie za to szmal, i on o tym wie. To... zwykła wymiana. Zaprowadź mnie do jego kryjówki. Nie mam szmalu - nic z wyjątkiem pustej spluwy. Skombinuj coś do żarcia i skontaktuj się z Marellim. Wydostanie nas stąd w czwartek. Proponuję taką wymianę: Franchini mnie przechowa, a ja załatwię mu ucieczkę z miasta. No i jak? Dogadamy się?

Uśmiechnęła się. Miała białe, równe zęby.

- Jaka z was piękna para zabójców - powiedziała. - Obaj na ucieczce i obaj sztywni ze strachu. - Popatrzyła do gazety. - Więc nawiałeś rzeką. I jak tu dotarłeś? Uprowadziłeś samochód?

Przytaknął.

- Rąbnąłem gościa w fordzie - odparł. - Myślę, że go załatwiłem na amen. Zarobił dwie kulki. Sporo teraz na mnie mają...

Nalała sobie kolejnego drinka i oddała mu butelkę.

- Czy spotkałeś w pierdlu kolesia nazwiskiem Lloyd Schrim? - spytała. - Młody dzieciak - jakieś dwadzieścia trzy lata. Dostał dożywocie za zabójstwo.

Przytaknął.

- Wiem - powiedział. - Dostał za sprzątnięcie Gerlina w domu przy Polecat Road. Mówił mi, że on tego nie zrobił. Wziął to na siebie za jakiegoś innego gościa. To dobry dzieciak. Jest chory. Nie ma szmalu, więc zabrali go do pracy w przędzalni juty. Złapał gruźlicę - to od tej przędzalni. Po mojemu został zrobiony na cacy przez tego, co wykonał robotę. Ale sypał nie będzie. To dlatego pastwią się nad nim i dają mu wycisk. Długo nie pociągnie. Nie, nie wydaje mi się.

Popatrzyła na niego.

- Dlaczego nie spróbuje uciec? - spytała. - Tobie się udało. Mogłoby i jemu?

Uśmiechnął się.

- Mam na zewnątrz przyjaciół - odrzekł - a oni mają szmal. Można się wyrwać, ale to kosztuje. Kilku moich kumpli wybuliło siedem kawalków za moje wyjście.

Teraz ona się uśmiechnęła.

- Ależ drogi z ciebie kociak - powiedziała. - Siedem kawałków, żeby cię wydostać, a teraz gliny oferują pięć, by cię mieć z powrotem. Musisz się czuć jak waśniak.

Zakaszła. Usłyszała chlupanie w bucie pod stołem.

- Posłuchaj, chłopcze - mówiła dalej. - Załatwię to. Zadekujesz się u Franchiniego, aż Marelli zabierze was stąd obu. Franchini nie ma takich kumpli jak ty - z forszą i znajomościami - i nie może wystawić nosa ze swej nory. Za niego też dają piątkę.

A teraz słuchaj. Wyjdę i złapię taksówkę. Naciągnij nisko kapelusz i wsiądź tak, żeby kierowca cię nie widział. Każ mu się wysadzić przy Tide Alley koło przystani Parata. Na drugim końcu alei jest opuszczony magazyn. Franchini zadekował się na najwyższym piętrze, ale uważaj. Jest gotów zastrzelić każdego, kogo nie zna.

Będę za pół godziny. Kiedy przyjdę, powiesz mi, gdzie się spotkać z Marellim, i ja załatwię sprawę. No to na razie, zabójco!

*

Franchini otworzył drzwi i popatrzył na kulejącego faceta. Sam był wysoki, szczupły i brudny. Nie golił się od tygodnia, a jego usta wciąż były wykrzywione od kokainy.

Uśmiechnął się.

- Wchodź - zaprosił. - To ty jesteś Fremer. Dziewczyna zatelefonowała do mnie. Pomysł, żeby wydostać się z tego bigosu, wydaje mi się w porządku. Jestem za Kanadą.

Drugi mężczyzna też się uśmiechnął.

- Ja też - powiedział.

Franchini zamknął i zaryglował za nim drzwi. Pociągnął łyk z butelki stojącej na stole. Obok niej leżał samopowtarzalny pistolet. Drugi, taki sam, Franchini trzymał w ręce.

Położył drugi pistolet obok pierwszego i usiadł tak, że oba leżały przed nim na wyciągnięcie dłoni. A dłonie oparł na blacie obok nich.

- Masz broń? - spytał.

Fremer wyciągnął policyjny pistolet z kieszeni i rzucił na stół.

- Zero nabojów - oznajmił lakonicznie. - Były dwa, ale zużyłem je na gościa w fordzie, którym przyjechałem do miasta.

Franchini skinął głową.

- W porządku - powiedział. - Poczekamy na pannę. Siedzieli tak, czekając i popijając z butelki na stole.

Było cicho. Franchini właśnie ciągnął z butelki, gdy usłyszeli na zewnątrz samochód wyjeżdżający zza rogu. Fremer, który trzymał palce pod krawędzią stołu, nagle uniósł go do

góry. Pistolety Franchiniego runęły na podłogę. Równocześnie Fremer przeskoczył ponad stołem i znalazł się przy Franchinim.

Drzwi otwarły się z hukiem. Pół tuzina gliniarzy pod dowództwem porucznika wpadło do środka z bronią gotową do strzału.

- Ręce do góry, chłopaki - rozkazał porucznik. - Czeka was obu randka na podgrzewanym krześle. Teraz spokojnie. - Zatrzasnął kajdanki na przegubach Franchiniego i zbliżył się do Fremera z drugą parą.

Fremer trzymał ręce w górze.

- W porządku, poruczniku - powiedział. - Niech pan pomaca podszewkę mojego płaszcza, a wyczuje pan odznakę. Jestem Lemmy Caution z nowojorskiego oddziału FBI. Tak to zaplanowaliśmy, by dorwać Franchiniego. Domyśliłem się, że dziewczyna pójdzie do was i puści farbę.

Porucznik odszukał odznakę. Caution opuścił ręce. Franchiniemu zrobiło się niedobrze.

- Jesteś palantem, Franchini - powiedział agent. - Powinieneś wiedzieć, że twoja kobieta zawsze była zakochana po uszy w Lloydzie Schrimie. Założyliśmy, że gdyby wymyślić historyjkę o gościu zwanym Fremer, który ucieka z pierdła i zmyka do Nowego Jorku, i gdyby do tego wywalić jego zdjęcie na pierwszych stronach gazet, panna nabierze się na to.

Jak, u licha, mogłeś się spodziewać, że zakochana kobieta, mając dwóch zabójców, zamkniętych w jednym pokoju, nie wsypie ich, skoro właśnie powiedziano jej, że jej chłopak umiera na gruźlicę, ponieważ pracuje w przędzalni juty; i że znęcają się nad nim, bo nie chce gadać o zabójstwie, o którym ona cholernie dobrze wie, że nie było jego dziełem?

Pomyślała sobie, że dziesięć kawałków za wydanie nas w ręce policji załatwi sprawę ucieczki dla niego. Spodziewałem się, że tak zrobi, i rzeczywiście skorzystała z tej szansy. Zabierzcie go, chłopcy.

Agent FBI utykał, schodząc po schodkach u Moksiego. Podeszedł do baru i zamówił żytnią. Moksie przepchnął butelkę przez kontuar.

Agent zabrał ją i podeszedł do narożnego stolika, przy którym siedziała skulona kobieta. Głowę skryła między ramionami. Płakała.

Usiadł naprzeciwko niej i postawił na stole butelkę. Ujął dłonią jej podbródek i uniosł do góry głowę. Kobieta opadła na oparcie fotela.

- Przestań, siostró - powiedział. - Bywa ciężko, wiem. Przypuszczam, że poinformowali cię, że nie będzie żadnej nagrody, co? Że to było dla zmyły? Cóż, tak to już

jest. Masz, napij się i zakręć te wodotryski. To denerwuje klientów.

Napiła się z butelki.

- Strasznie jesteś zabawny, gliniarzu, no nie? - odezwała się. - Kupa śmiechu, nie? Robisz mnie w balona, ja gadam wszystko jak głupia, mówię ci, gdzie ukrywa się Franchini; ty go usmażyłeś, a ja zostałam na lodzie.

Agent uśmiechnął się.

- Posłuchaj, skarbie - powiedział. - To nie była łatwa zagrywka. Przez kilka dni nic nie jadłem i chodziłem w tym pękniętym bucie, żeby zarobić uczciwego bąbla.

Inna rzecz, że sprawy nie mają się tak źle, jakby się mogło wydawać. Widzisz, zajmowałem się tą strzelaniną w Polecat Inn dawno temu. Nigdy nie wierzyłem, że twój chłopak to zrobił. Prawdę mówiąc, zrobił to Franchini, a Lloyd nie dość, że nie sypnął, to jeszcze wziął na siebie odpowiedzialność. Kiedy Franchini rąbnął tego ostatniego palanta i prysnął, nie wiedzieliśmy, gdzie jest; wymyśliłem tę całą hecę i zadziałało.

Napij się jeszcze i chodźmy coś zjeść. Przy Center Street czeka na ciebie pewien koleś nazwiskiem Lloyd Schrim. Pomogłem mu się wydostać dziś rano. Roi mu się, że chce się z tobą ożenić czy coś w tym stylu.

I nie ma potrzeby zadawać dużo pytań. Nigdy nie pracował w przędzalni juty i nie nabawił się gruźlicy.

Powiedz, znasz coś dobrego na bąble?

Mickey Spillane

Pani mówi: umrzyj!

Angielski historyk literatury kryminalnej H.R.F. Keating uważał Mike'a Hammera - najślynniejszą postać, stworzoną przez Mickeya Spillane'a - za „prawdopodobnie najpaskudniejszego detektywa-twardziela, jaki kiedykolwiek stąpał po stronicach książek i czasopism, który z upodobaniem kopie w krocze, strzela w brzuch, łamie kości, wydłubuje oczy i jak ogień unicestwia złoczyńców wszelkiej maści”. Nawet amerykańskie czasopismo „Time” wyraża podobną opinię, przyznając w specjalnym artykule, poświęconym tej postaci i jej twórcy, że „siły prawa, porządku i przyzwoitości nie mogą się równać z prywatnym detektywem, stworzonym przez Mickeya Spillane'a, którego niecierpliwość w egzekwowaniu tychże cnót urasta do miana krucjaty”. Takie poglądy jednak w najmniejszym stopniu nie umniejszyły popularności książek z Hammerem w roli głównej, poczynając od „I, the Jury”, opublikowanej w 1947 roku, której od tamtego czasu sprzedano miliony egzemplarzy. Niewiele innych opowieści o nieugiętych detektywach mogło dorównać książkom Spillane'a pod względem liczby sprzedanych egzemplarzy, te były jednakowoż potępiane za treści

seksualne - choć jak na dzisiejsze standardy opisy są raczej łagodne. Autor przyznawał, że jego inspiracją przy wymyślaniu postaci Mike'a Hammera był „praojciec” gatunku, Race Williams, co skłoniło historyka literatury zamieszczanej w popularnych czasopismach, Rona Goularta, do sformułowania raczej nieprzychylnego sądu: „Hammera można uznać za swego rodzaju przerysowaną karykaturę Williamsa, nawet jeśli nie próbuje, jak tamten, wyjaśniać wszystkiego w cokolwiek nieudolny sposób”.

Sukces serii o Mike'u Hammerze sprawił, że Frank Morrison (Mickey) Spillane (1918-2006) stał się jednym z najpopularniejszych powieściopisarzy lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, przebywszy daleką drogę od miejsc, gdzie dorastał, w brutalnej dzielnicy w New Jersey. Początkowo pisał do wydawnictw komiksowych i był jednym z twórców Kapitana Marvela i Kapitana America. W czasie drugiej wojny światowej służył w Amerykańskich Siłach Lotniczych i odbył wiele lotów bojowych, następnie pracował przez jakiś czas dla FBI i pomógł w rozbiciu gangu narkotykowego. Akty przemocy - łącznie z ranami postrzałowymi - jakich padł ofiarą podczas tych działań, były dlań źródłem bezpośrednich fizycznych i emocjonalnych doświadczeń, z których z takim powodzeniem czerpał w powieściach o Hammerze i w innych cyklach książkowych - o samotnym szpiegu Tigerze Mannie.

Gliniarze i stróże prawa odgrywają raczej drugoplanowe role w większości powieści Spillane'a i tylko w opowiadaniach stają w centrum wydarzeń. Jednym z najciekawszych spośród opisanych przez niego funkcjonariuszy jest inspektor Early - bystry, rozważny gliniarz, który w opowiadaniu „Pani mówi: umrzyj!” zostaje wciągnięty w sprawę zabójstwa w sferach finansjery. Historia ta pojawia się w antologii po raz pierwszy od czasu publikacji w miesięczniku „Manhunt Detective Story” w październiku 1953 roku i rzuca nieco inne światło na to, co powszechnie uważane jest za Spillane'owska tradycję.

*

Zwalisty mężczyzna wręczył swój płaszcz szatniarzowi i przez foyer wszedł do głównej sali klubu. Na ułamek sekundy zatrzymał się w przejściu, a w tym czasie jego oczy zarejestrowały wszystko, co było warte dostrzeżenia: partia szachów rozgrywana pod oknami, cztery osoby przy stoliku do kart i samotny mężczyzna, popijający drinka w głębi sali.

Przeszedł pomiędzy stolikami, skinął pośpiesznie głową w stronę graczy w karty i skierował się od razu ku tylnej części pomieszczenia. Siedzący tam mężczyzna podniósł wzrok znad szklanki i pozdrowił nadchodzącego z uśmiechem:

- Witam, inspektorze. Proszę usiąść. Coś do picia?

- Witaj, Dune. Poproszę to samo co ty.

Dune wykonał powolny, niemal senny gest ręką. Kelner skinął głową i wyszedł. Inspektor z westchnieniem usadowił się w fotelu. Był dużym, ciężkim mężczyzną, ale bez skłonności do tycia. Tylko wysokie, solidne buty zdradzały jego zawód. Spojrzał na Chestera

Duncana i skrzywił się w duchu; zazdrościł mu fasonu i pewności siebie, ale nie zamieniłby się z tamtym za żadne skarby.

„Oto jest człowiek” - pomyślał zadowolony z siebie - „który powinien mieć wszystko, a nie ma nic. Owszem, ma pieniądze i pozycję, ale rzeczy najpiękniejszej ze wszystkich - życia rodzinnego - los mu poskąpił”. Sam, mając w domu gromadkę pięciu dzieciaków na różnych etapach dorastania, inspektor czuł, że osiągnął w życiu to, czego pragnął.

Nadeszły drinki; inspektor sięgnął po swój i przez chwilę pił z gracją. Gdy odstawił szklanekę, odezwał się:

- Przyszedłem podziękować ci za, eee... wskazówkę. Bo wiesz, to był mój pierwszy raz - nigdy wcześniej nie grałem na giełdzie.

- Cieszę się, że mogłem pomóc - rzekł Duncan. Bawił się szklanką, kręcąc nią w otwartych dłoniach. Nagle uniósł brwi, jakby coś go rozbawiło. - Przypuszczam, że słyszałeś brzydkie plotki.

Rumieniec wypłynął na twarz inspektora.

- Mówiąc bez ogródek, tak. Niektóre były istotnie brzydkie.

- Upił drinka i lekko postukał papierosem o krawędź stołu.

- Wiesz - powiedział - gdyby śmierć Waltera Harrisona nie była w tak ewidentny sposób samobójstwem, niewykluczone, że właśnie byłbyś przesłuchiwany.

Duncan uśmiechnął się powoli.

- Daj spokój, inspektorze. Wiesz przecież, że na giełdzie drgnęło dopiero po jego śmierci.

- To prawda. Ale chodzą słuchy, że trochę przy tym majstrowałeś. - Zrobił pauzę dość długą, by przyjrzeć się twarzy Duncana.

- Powiedz, majstrowałeś?

- Dlaczego miałbym obciążać sam siebie?

- Sprawa jest zamknięta. Harrison zabił się, skacząc z okna hotelu. Drzwi były zamknięte na klucz, więc niepodobna, by ktoś dostał się do pokoju i go wypchnął. Nie, zadowala nas stwierdzenie faktu, że to było samobójstwo, a każdy, kto kiedykolwiek zetknął się z Harrisonem, przyzna, że ten, umierając, zrobił światu przysługę. Są jednak spekulacje, że ty maczałeś w tym palce.

- Powiedz mi, naprawdę myślisz, że miałbym dość odwagi i sprytu, by wystąpić przeciwko takiemu człowiekowi jak Harrison i jeszcze zmusić go, by się zabił?

Inspektor zmarszczył czoło, a następnie przytaknął.

- W gruncie rzeczy tak. Skorzystałeś na jego śmierci.

- Ty też. - Duncan zaśmiał się.

- Hm.

- Ale to nic wstydliwego - dodał Duncan. - Gdy zginął Harrison, świat finansowy w naturalny sposób uznał, że akcje, które tamten skupywał, nie są mocne, i w konsekwencji tego ludzie zaczęli się ich pozbywać. Tak się złożyło, że byłem jednym z nielicznych, którzy wiedzieli, że te akcje są mocne jak diabli; skupywałem je więc, dopóki mogłem. I oczywiście szepnąłem słówko przyjaciółom. Ktoś mógłby równie dobrze skorzystać na śmierci szczura.

Poprzez mgiełkę dymu inspektor Early zobaczył, że twarz tamtego tężeje. Ponownie rzucił mu chmurne spojrzenie i pochylił się w jego stronę.

- Duncan, jesteśmy przyjaciółmi ładny kawałek czasu. A ja, jak to gliniarz, jestem wścibski i myślę sobie, że nasz Harrison właśnie ciebie przeklinał w godzinie swojej śmierci.

Duncan pokręcił szklanką.

- Nie mam co do tego wątpliwości - powiedział. Jego oczy spotkały się z oczyma inspektora. - Czy naprawdę chcesz o tym usłyszeć?

- Nie, jeśli oznaczałoby to twoje przyznanie się do zabójstwa. Jeśli tak ma się stać, zdecydowanie wolałbym, żebyś rozmawiał bezpośrednio z prokuratorem rejonowym.

- Och, nic w tym rodzaju. Absolutnie nic, inspektorze. Choćby nie wiem jak się starali, nie mogą zrobić nic, co splamiłoby mój honor albo zaszkodziło mojej reputacji. Bo widzisz, Waltera Harrisona do śmierci doprowadziła jego własna zachłanność.

Inspektor rozsiadł się wygodnie w fotelu. Kelner przyniósł pełne szklanki na miejsce opróżnionych. Obaj mężczyźni spełnili toast w milczeniu.

- Część z tego, co powiem, jest ci zapewne znana, inspektorze - rzekł Duncan. - Zacznę jednak od początku i opowiem o wszystkim, co się wydarzyło. Walter i ja poznaliśmy się na studiach prawniczych. Obaj byliśmy młodzi i niezbyt pilni. Mieliśmy jedną cechę wspólną, i tylko tę jedną: tak samo jak i on byłem produktem nadgorliwości bogatych rodziców, którzy robili wszystko, żeby zepsuć swoje dzieci. Ponieważ wśród studentów my jedyni mogliśmy sobie pozwolić na pewne - eee... - przyjemności, w naturalny sposób ciążyliśmy ku sobie nawzajem, chociaż - jeśli sięgnę pamięcią wstecz - nawet wówczas niewiele w tym było prawdziwej przyjaźni.

Tak się złożyło, że studiowanie przychodziło mi z łatwością, Walter natomiast miał to wszystko gdzieś. W czasie sesji musiałem go ratować. Zakrawa to na żart, ale w rzeczywistości to ja odwaląłem całą robotę, podczas gdy on zabawiał się w najlepsze. Nie byłem jedynym, któremu narzucał się w ten sposób. Wielu studentom imponowało, że mogą uchodzić za jego przyjaciół, i z radością brali się do odrabiania jego prac pisemnych. Walter,

gdyby musiał, potrafiłby oczarować swoją osobą samego diabła.

I dość często musiał. Ileż to razy wymówił się przed spędzeniem tygodnia w więzieniu za jakieś drobne wykroczenia; widziałem nawet, jak Walter - by tak rzec - owinął sobie wokół palca samego dziekana. Och, ale niezmiennie pozostawałem jego lojalnym przyjacielem. Dzieliłem się z nim wszystkim, co miałem, także kobietami - uważałem nawet za zabawną sytuację, gdy będąc na randce, spotykałem Waltera, po to tylko, by on zabrał moją dziewczynę do siebie do domu.

Gdy byliśmy na ostatnim roku studiów, nastąpił krach. Dla mnie nie miało to większego znaczenia, bo mój ojciec spodziewał się kryzysu i jeszcze się na nim wzbogacił. Ojciec Waltera myślał, że jakoś przetrzyma, i poszedł na dno. Był jednym z tych, którzy popełnili samobójstwo tamtego dnia.

Walter, rzecz jasna, załamał się kompletnie. Wpadł w czarną rozpacz i pił na umór. Pogadaliśmy sobie wtedy poważnie; zamierzał natychmiast porzucić szkołę, ale przekonałem go, by przyjął moje pieniądze i ukończył studia. Gdy się nad tym zastanowił, nigdy w życiu nie zwrócił mi tamtej pożyczki. To jednak nie ma znaczenia.

Po ukończeniu studiów wszedłem do interesu mojego ojca, a po jego śmierci przejąłem firmę. W tym samym miesiącu zjawił się Walter. Wpadł z wizytą - i został na posadzie, mimo że ani przez moment nie zwodził mnie co do prawdziwego celu odwiedzin. Dostał to, po co przyjechał, i w pewnym sensie było mi to na rękę. Zatrudniłem zmyślnego biznesmena.

Jego kariera w świecie finansów była zaiste zawrotna. Zbyt przebiegły, by dłużej pozostać u kogoś na etacie, a do tego nazywany przez wszystkich, w niemal co drugim zdaniu, cudownym dzieckiem Wall Street, musiał prędzej czy później - wkrótce stało się to oczywiste - założyć własną firmę. Tak też zrobił, co w pewnym sensie uczyniło z nas konkurentów; nadal jednak pozostaliśmy przyjaciółmi.

O, przepraszam, powiedzmy raczej, że to ja byłem jego przyjacielem; on nigdy nie był moim. Jego bezwzględność bywała zatrważająca, ale potrafił do tego stopnia oczarować nieszczęsne ofiary, że przyjmowały swój los z uśmiechem. Raz, na przykład, udało mu się tak zagrać na giełdzie, że zarobił okrągły milion na transakcji, która o mało mnie nie wykończyła. Kilkakrotnie niemal doszczętnie zrujnował moją firmę, jednak nazajutrz nieodmiennie zjawiał się z uśmiechem na twarzy i przyjacielskim „cześć”, jakby chodziło zaledwie o wygraną w meczu tenisowym.

Jeśli ktoś śledził wzlot Waltera, nie jest mu obca towarzyska sfera jego życia. Zebrał na tym polu niemałe żniwo. Dwakroć omal nie został zabity przez rozwścieczonych mężów -

a gdyby im się udało, żadna ława przysięgłych na ziemi nie skazałaby ich za zabójstwo. Pewnego razu dziewczyna wolała odebrać sobie życie, niż pozwolić, by rodzice dowiedzieli się, że miała romans z Walterem i że wpadła. Okazał się wówczas bardzo hojny. Zaoferował jej pieniądze, pozwolił wybrać lekarzy, dawał jej wszystko, czego chciała - wszystko z wyjątkiem swojego nazwiska dla dziecka. Nie, nie był gotów na nadanie komukolwiek swego nazwiska. To przyszło kilka tygodni później.

Byłem wówczas zaręczony. Pokochałem Adriannę od pierwszego wejrzenia i nie mam słów na opisanie, jak szczęśliwy byłem, gdy powiedziała, że wyjdzie za mnie za męża. Większość czasu w ciągu dnia spędzaliśmy, snując plany na przyszłość. Wybraliśmy nawet miejsce na wyspie pod nasz dom i rozpoczęliśmy prace budowlane. Ustaliliśmy datę ślubu, tak by zbiegła się z zakończeniem budowy domu, i jeśli kiedykolwiek żyłem w świecie marzeń, to właśnie wtedy. Moje szczęście było pełne, i także było szczęście Adriannę - tak mi się przynajmniej wydawało. Fortuna wydawała się sprzyjać mi nie tylko pod tym względem. Z jakiegoś powodu moja kariera zawodowa nagle nabrała tempa i wszystko, czego dotknąłem, zamieniało się w złoto. Po niedługim czasie to ja - nie Harrison - dyktowałem warunki na Wall Street. Nie zdając sobie z tego sprawy, przeprowadziłem kilka transakcji, które rzuciły Waltera na kolana, choć wątpię, by wiele osób o tym wiedziało. On nigdy nie zrezygnowałby z zachowania pozorów, które w zdumiewający sposób potrafił stwarzać.

*

Tu Duncan przerwał i kontemlował przez chwilę swoją szklankę. Jego oczy zwęziły się. Inspektor Early siedział nieruchomo, czekając, aż jego rozmówca zacznie opowiadać dalej.

- Walter przyszedł mnie odwiedzić - powiedział Duncan. - Nigdy nie zapomnę tego dnia. Umówiłem się z Adrianną na obiad i zaprosiłem też Harrisona. Teraz wiem, że to, co zrobił, wzięło się z jego czystej złośliwości. Ale początkowo widziałem w tym moją winę albo Adriannę...

Wybacz, jeśli pominę szczegóły, inspektorze. Nie są to zbyt przyjemne wspomnienia. Musiałem tam siedzieć i patrzeć, jak Adriannę daje się do tego stopnia zniewolić temu czarującemu szczerowi, że ja, siedząc tak w krześle naprzeciwko niej, stawałem się zaledwie dekoracją, tłem. Musiałem się przyglądać, jak co dzień, co noc, przychodzi do nas, a następnie wysłuchiwać plotek, jakoby widziano ich razem beze mnie; w końcu samemu odkryć, że ona jest w nim zakochana.

Tak, to było niezłe doświadczenie. Przyszedł mi do głowy pomysł, by zabić ich oboje, a zaraz potem siebie. Lecz gdy zrozumiałem, że to nie rozwiązałoby problemu, porzuciłem

ów zamiar.

Adriannę zjawiała się u mnie pewnego wieczoru. Usiadła i powiedziała, jak bardzo boli ją to, że mnie krzywdzi, ale pokochała Waltera Harrisona i zamierza go poślubić. Cóż było robić? Naturalnie odegrałem rolę poczciwego frajera i odwołałem nasze zaręczyny. Nie czekali długo. Tydzień później byli małżeństwem, a ja stałem się pośmiewiskiem całej Wall Street.

Czas zapewne wyleczyłby wszystkie rany, gdyby sprawy nie potoczyły się tak, jak się potoczyły. Nie minęło dużo czasu, gdy dowiedziałem się o rozpadzie ich małżeństwa. Doszły mnie słuchy, że to Adriannę zmieniła zdanie, a wiedziałem doskonale, jak bardzo nieszczerzy był wobec niej Walter.

Widzisz, uświadomiłem sobie wówczas całą prawdę. Walter nigdy jej nie kochał. On nigdy nie kochał nikogo poza sobą samym. Ożenił się z Adriannę, ponieważ - bardziej niż czegokolwiek na świecie - pragnął mnie zranić. Nienawidził mnie, gdyż ja miałem coś, czego on nie miał - byłem szczęśliwy. Takiego właśnie szczęścia desperacko dla siebie szukał, a ono zawsze okazywało się poza jego zasięgiem.

W grudniu tamtego roku Adriannę zachorowała. Przez miesiąc traciła siły, aż w końcu zmarła. W ostatniej chwili zapragnęła mnie widzieć i prosić o przebaczenie; tyle dowiedziałem się od jej służby. Nawiasem mówiąc, Walter bawił się na jakimś przyjęciu, gdy umierała. Wrócił do domu tylko na pogrzeb i natychmiast poleciał na wakacje na Florydę w towarzystwie atrakcyjnej tancerki. Boże, jak ja nienawidziłem tego człowieka! Marzyłem, by go zabić! Czy zdajesz sobie sprawę, że ilekroć moje myśli nie były zaprzątnięte pracą, zawsze wyobrażałem sobie siebie stojącego nad jego zwłokami z nożem w ręku, śmiejącego się do rozpuku.

Od czasu do czasu docierały do mnie wieści o przeróżnych eskapadach Waltera, i wszystkie one zdały się przebiegać wedle określonego schematu. Zdobywanie coraz to nowych informacji na jego temat stało się dla mnie rutyną i wkrótce uświadomiłem sobie, że Walter jest niemal opętany pragnieniem znalezienia kobiety, którą mógłby naprawdę pokochać. Ponieważ stał się bajecznie bogatym człowiekiem, zawsze był podejrzliwy wobec kobiet pragnących go bardziej od jego bogactw, i właśnie ta podejrzliwość odpychała od niego owe kobiety.

Może ci się to wydać dziwne, ale pomimo mojego negatywnego doń nastawienia widywałem go regularnie. I rzecz nie mniej osobliwa: on nigdy nie zdał sobie sprawy z tego, jak bardzo go nienawidzę. Oczywiście wiedział, że żadną miarą nie może uchodzić za lubianego, ale nigdy nie podejrzewał mnie o nic innego poza głupią przyjaźnią. Jednakowoż

po nauce, jaką dostałem, nie dałem mu już nigdy więcej szansy wpływania na moje postępowanie; ale on też nie miał takiej potrzeby.

Z pewnością zacieka cię rozwiązanie, jakie znalazłem dla swojego problemu. Tkwiło we mnie właściwie przez cały czas i byłem tego świadom, jednak wykorzystanie pewnej okoliczności przyszło mi do głowy dopiero tego dnia, gdy siedząc na werandzie, czytałem notatkę od kierownika mojego biura. Napisał w niej, że Walter wykonał kolejne mistrzowskie posunięcie na giełdzie i zatrzęsł całą Wall Street. To był taki czas, kiedy każda najmniejsza zmiana na Wall Street wpływała na gospodarkę całego kraju, i to, co on uczynił, okazało się właśnie próbą podkopania struktury ekonomicznej Stanów Zjednoczonych. Z wielkim trudem udało nam się wrócić do normalności bez wywracania wszystkiego do góry nogami, ale w trakcie tych zawirowań wiele firm zostało zamkniętych. Harrison zaś podwoił swoje zasoby finansowe, choć i tak nigdy nie byłby w stanie wydać posiadanych pieniędzy.

Jak już mówiłem, siedziałem, czytając notatkę, kiedy ujrzałem ją w oknie domu po drugiej stronie ulicy. Światło słoneczne kładło się na jej włosach i wydobywało z nich złoty odblask, dając obraz urody tak doskonałej, że aż niewiarygodnej. Nadszedł służący z tacą, a kiedy zasiadła do posiłku i żywoplot przesłonił mi jej widok, zrozumiałem, jakie to wszystko może okazać się proste.

Następnego dnia umówiłem się z Walterem na lunch. Dość wylewnie opisywał swoje ostatnie wyczyny, traktując je jak dobry żart.

- Posłuchaj, nigdy nie byłeś w moim domu na wyspie, prawda? - zagadnąłem.

Zaśmiał się i dostrzegłem jakiś cień poczucia winy w jego oczach.

- Prawdę mówiąc - powiedział - nieraz bym wpadł, gdyby nie fakt, że wybudowałeś ten dom dla Adriannę. Mimo wszystko...

- Nie bądź śmieszny, Walterze. Co się stało, to się nie odstanie. Słuchaj, co byś powiedział na spędzenie kilku dni u mnie, zanim wszystko wróci do normy? Potrzebujesz odpoczynku.

- Świetnie, Duncan, naprawdę znakomity pomysł! Kiedy tylko zechcesz.

- W porządku, zabiorę cię jutro wieczorem.

Mieliśmy niezłą przejażdżkę, zatrzymując się w kilku miejscach na drinka i po raz któryś z rzędu wspominając nasze dawne szkolne czasy. Przy każdej innej okazji pewnie uśmiełbym się serdecznie, ale wszystkie te wspomnienia przesiąkły jakąś nieprzyjemną atmosferą. Gdy dojechaliśmy do mojego domu, czekało już w nim kilku znajomych, pragnących poznać legendarnego Waltera Harrisona; zostawiłem go, by mógł przyjąć od nich wyrazy uznania, i poszedłem spać.

Do śniadania zasiedliśmy na werandzie. Walter jadł ze smakiem i oddychał głęboko morskim powietrzem ze zwierzęcą niemal rozkoszą. Dokładnie o dziewiątej promienie słoneczne zamigotały, odbite od szyb w oknach sąsiedniego domu - to służący otwierał je, by wpuścić do wnętrza poranną bryzę.

Po chwili pojawiła się ona. Pomachałem jej, a ona pomachała do mnie. Walter odwrócił głowę, by spojrzeć w tamtym kierunku, i usłyszałem, jak oddech więźnie mu w gardle. Wyglądała cudownie: jej włosy złotą kaskadą spadały na ramiona, a promieniująca bielą bluzka podkreślała wypukłość piersi, mocno kontrastując z gładką, opaloną skórą ramion.

Walter wyglądał jak postać ze snu.

- Boże, jaka ona śliczna! - powiedział. - Kto to jest, Dunc? Sączyłem wolno swoją kawę.

- Sąsiadka - odparłem beztrąsko.

- Czy uważasz... czy uważasz, że mógłbym ją poznać?

- Może. Jest dość młoda i troszkę nieśmiała - chyba byłoby lepiej, gdyby ujrzała cię w moim towarzystwie jeszcze parę razy, zanim będzie możliwe przedstawienie was sobie.

Jego głos brzmiał chropowato. Twarz przybrała łakomy, pożądlivy wyraz.

- Zrobimy tak, jak mówisz, ale ja muszę ją poznać. - Odwrócił się do mnie z uśmiechem. - A niech to! Zostanę tutaj, dopóki jej nie poznam!

Zaśmialiśmy się z tego i wróciliśmy do naszych papierosów, ale od czasu do czasu łapałem go na spoglądaniu w stronę żywoplotu z wyrazem desperacji, wykrzywiającym mu twarz.

Znając rozkład dnia „sąsiadki”, wiedziałem, że Walter już nie ujrzy jej tego dnia, ale on nie miał o tym pojęcia. Próbował nie poruszać tego tematu, ale słowa same cisnęły mu się na usta. W końcu powiedział:

- Tak na marginesie, to kim ona jest?

- Nazywa się Evelyn Vaughn. Pochodzi z niezłe sytuowanej rodziny.

- Jest samotna?

- Nie, poza służbą ma do pomocy lekarza i pielęgniarkę. Nie czuje się ostatnio najlepiej.

- Diabła tam, wygląda na okaz zdrowia.

- O tak. Teraz tak - zgodziłem się.

Włączyłem telewizor i obejrzelismy walki. Po raz szósty ktoś zatelefonował do Waltera i jego odpowiedź znów była taka sama. Nie wraca do Nowego Jorku. Wyczułem nutę

oczekiwania w jego głosie i wiedząc, dlaczego postanowił zostać, musiałem skoncentrować się na ekranie telewizora, by powstrzymać się od śmiechu.

Evelyn pojawiła się następnego dnia, i jeszcze następnego. Walter zaczął jej machać na powitanie i kiedy odwzajemniała ten gest, jego twarz rozjaśniała się do tego stopnia, że wyglądała na niemal chłopięcą. Słońce zostawiło na jego skórze miłą dla oka opaleniznę, a on pysznił się i prężył jak żreback, zwłaszcza wtedy, kiedy ona mogła go widzieć. Zadręczał mnie pytaniami - i otrzymywał zdawkowe odpowiedzi. Jakoś ubzdurał sobie, że prestiż jego osoby domaga się, by ktoś z domu po drugiej stronie drogi złożył mu wizytę. Kiedy mu wyjaśniłem, że dla Evelyn ani pieniądze, ani pozycja nie mają znaczenia, przyjrzał mi się uważnie, sprawdzając, czy mówię prawdę. By stać się tym, czym się stał, musiał świetnie umieć czytać z ludzkich twarzy, widział więc teraz, że moje słowa *były* prawdziwe, ponad wszelką wątpliwość.

Siedziałem tam zatem dzień po dniu, obserwując, jak Walter Harrison zakochuje się beznadziejnie w kobiecie, której jeszcze nawet nie poznał osobiście. Pokochał sposób, w jaki machała dłonią na powitanie, i uwierzył, że każdy najmniejszy gest jej ręki jest przeznaczony wyłącznie dla niego. Pokochał oszałamiające piękno jej ciała - pozwalał swym oczom śledzić jej kroki, gdy szła z domu nad wodę, a on pragnął być blisko niej. Czasem odwracała się ku nam, wiedząc, że na nią patrzymy, i machała do nas ręką.

Nocą stał przy oknie, nie słuchając, co mówię, ponieważ obserwował jej okna w nadziei ujrzania choćby zarysu upragnionej sylwetki, i nieraz słyszałem, jak powoli powtarza imię Evelyn, jakby wypowiadał jakieś niezwykle cenne zaklęcie.

Lecz nie mogło to trwać w nieskończoność. Wiedziałem o tym i także on o tym wiedział. Właśnie wróciła z plaży i woda lśniła jeszcze na jej skórze. Zaśmiała się z czegoś, co powiedziała idąca obok niej kobieta, i odrzuciła głowę do tyłu, a włosy miękką falą spłynęły na jej plecy.

Walter zawołał i pomachał, a ona zaśmiała się ponownie i również pomachała ręką. Wiatr przyniósł jej głos i wtedy Walter stanął przede mną, tak blisko, że poczułem na twarzy jego gorący oddech.

- Słuchaj, Duncan. Idę się z nią przywitać. Nie zniosę tego czekania. Dobry Boże, przez co jeszcze musi przejść mężczyzna, żeby poznać kobietę?

- Nigdy wcześniej nie miałeś z tym kłopotów, prawda?

- Nigdy tak bardzo jak teraz! - odparł. - Zwykle padają u mych stóp. Nie zmieniłem się chyba? Nie ma we mnie nic odrażającego, jak myślisz?

Chciałem mu wyznać całą prawdę, ale zamiast tego się roześmiałem.

- Jesteś taki sam jak zawsze. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby ona też nie mogła doczekać się spotkania z tobą. Chyba mogę ci to powiedzieć... ona nigdy nie wychodziła z domu tak często jak teraz, kiedy ty tu jesteś.

Jego oczy zajaśniały jak u chłopca.

- Naprawdę, Dunc? Naprawdę tak uważasz?

- Tak uważam. I mogę cię o tym zapewnić. I jeśli ona wydaje się ciebie lubić, to tylko dla ciebie samego.

Strzał w dziesiątkę. Walter nigdy wcześniej tak bacznie mi się nie przyglądał. Dłuższą chwilę trwał zagubiony w swoich myślach, aż w końcu powiedział:

- Idę tam teraz, natychmiast, Duncan. Oszalałem na punkcie tej dziewczyny. Na Boga, ożenię się z nią, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

- Nie popsuj wszystkiego, Walter. Jutro, obiecuję ci, pójdę tam z tobą.

Jego niecierpliwość była żalosna. Myślę, że nie zmrzył oka tej nocy. Na długo przed śniadaniem czekał na mnie na werandzie. Zjedliśmy w milczeniu, każda chwila była dla niego wiecznością. Kilkakrotnie odwrócił się w stronę żywopłotu i zauważyłem błysk troski w jego oku, gdy ona się nie pojawiła.

Cienkie linie ukazały się w kącikach jego oczu. Wreszcie się odezwał:

- Gdzie ona jest, Dunc? Powinna już tam być, czyż nie?

- Nie wiem - odpowiedziałem. - To wygląda dziwnie. Chwileczkę. - Zadzwońłem dzwonkiem leżącym na stole i moja gospodyni zjawiała się w drzwiach. - Czy widziałaś kogoś od Vaughnów, Marto? - spytałem.

Skinęła z namysłem głową.

- O, tak, proszę pana. Wyjechali wcześniej dziś rano z powrotem do miasta.

Walter odwrócił się w moją stronę.

- Do diabła!

- No cóż, wróci - zapewniłem go.

- Cholera, Dunc, nie o to chodzi! - Wstał, rzucając serwetkę na siedzenie. - Czy nie zdajesz sobie sprawy, że jestem zakochany w tej dziewczynie? Nie potrafię czekać, aż wróci.

Jego twarz zapalała rumieńcem frustracji. Nie było w nim złości, tylko szalone pożądanie kobiety. Powstrzymałem uśmiech. Stało się. Stało się dokładnie to, co zaplanowałem. Walter Harrison zakochał się tak mocno, tak szczerze, że przestał panować nad sobą. Może i byłoby mi go żal w tamtej chwili, gdybym nie zadał tego pytania:

- Walter, mówiłem ci, że niewiele o niej wiem. A co będzie, jeśli, dajmy na to, jest zamężna?

Odpowiedział na moje pytanie wstrętnym grymasem.

- To się rozwiedzie, gdybym nawet miał posiekać faceta na kawałki. Zniszczę wszystko, co stanie mi na drodze, Duncan. Będę ją miał, choćby to była ostatnia rzecz, jaką zrobię!

Wyszedł do swego pokoju. Chwilę później usłyszałem odgłos jego auta na drodze.

Pojechałem do Nowego Jorku i byłem tam już od tygodnia, gdy moi informatorzy donieśli mi o przeprowadzonych przez niego bezowocnych poszukiwaniach. Użył wszelkich środków, jakimi dysponował, ale nie potrafił zlokalizować dziewczyny. Dałem mu siedem dni, dokładnie siedem dni. Bo widzisz, ów siódmy dzień był rocznicą dnia, w którym przedstawiłem go Adriannie. Nigdy tego nie zapomnę. Gdziekolwiek Walter jest teraz, też tego nie zapomni.

Gdy doń zadzwoniłem, zaskoczyła mnie zmiana w jego głosie. Brzmiał słabo, jak u kogoś przegranego. Wymieniliśmy uprzejmości, następnie spytałem:

- Znalazłeś już Evelyn?

Odczekał dłuższą chwilę, nim odpowiedział:

- Nie, przepadła jak kamień w wodę.

- Och, nie zgodziłbym się z tym - powiedziałem.

W pierwszej chwili nie zrozumiał. Było to zbyt wiele jak na tę resztkę nadziei, jaka mu pozostała.

- Chcesz... chcesz powiedzieć, że wiesz, gdzie ona jest?

- Zgadza się.

- Gdzie? Proszę cię, Dunc... gdzie ona jest? - Ożywił się w ułamku sekundy, tryskał życiem i energią, domagając się, bym mu odpowiedział na pytanie.

Roześmiałem się i wyjaśniłem, że odpowiem, jeśli da mi dojść do słowa. Wtedy zapadła złowroga cisza.

- Jest niedaleko stąd, w niedużym hotelu przy Piątej Alei.

Podaliśmy mu adres i nie skończyłem nawet mówić, gdy usłyszałem, jak jego słuchawka spada na blat biurka. Tak się śpieszył, że nie zwracał sobie głowy odkładaniem jej na widelki...

*

Duncan przerwał i opróżnił szklankę, po czym spojrzał na nią ponurym wzrokiem. Inspektor zakasłał lekko dla zwrócenia uwagi, ciekawość kazała mu się odezwać:

- I znalazł ją? - spytał niecierpliwie.

- O tak. Znalazł ją. Wtargnął tam od razu, nie bacząc na protesty; spodziewał się, że ją

od razu zauroczy.

Tym razem inspektor poruszył się nerwowo w fotelu.

- Mów dalej...

Duncan wykonał gest w stronę kelnera i po chwili uniósł do toastu nową szklankę. Inspektor zrobił to samo. Duncan uśmiechnął się łagodnie.

- Kiedy go ujrzała, zaśmiała się i pomachała mu ręką. Godzinę później Walter Harrison już nie żył... wyskoczył z okna w tym samym hotelu.

Tego było za wiele dla inspektora. Pochylił się w swoim krześle, na pomarszczonym czole wystąpiły mu węzłowate zgrubienia.

- Ale co tam zaszło? Kim ona była? Do cholery, Duncan... Duncan wziął głęboki wdech i wychylił drinka do dna.

- Evelyn Vaughn była bezradną kretynką - powiedział. - Miała urodę bogini i umysł dwulatki. Dbano o jej wygląd i ubiór, by nie wzbudzać niezdrowej ciekawości. Ale jedynym nawykiem, jakiego udało się ją nauczyć, było robienie ręką pa, pa...

Ed McBain

Raport powypadkowy

Słynny 87. posterunek, pozornie zlokalizowany na wyspie Isoli - choć nikt nie ma wątpliwości, że za tą nazwą kryje się, lekko tylko zakamuflowany, tętniący życiem nowojorski Manhattan - pojawił się u schyłku ery tanich czasopism jako miejsce akcji jednej z najbardziej znanych na świecie serii opowiadań policyjnych. Te jaskrawo realistyczne historie wszystkie opowiadają o grozie i brutalności ulicy, co jednak często łagodzone jest przez pomysły rodem ze slapstickowej komedii - rzecz unikalna na gruncie kryminalnej fikcji. Funkcjonariusze pracujący na 87. posterunku - wyjątkowo twardy detektyw Steve Carella, gigantyczny detektyw Cotton Hawes czy niepoprawny samochwała, detektyw Andy Parker - stali się powszechnie znani, a to dzięki długiej serii książek, wspieranej przez pół tuzina filmów i seriali telewizyjnych, której początek znaczą powieści „Cop Hater” i „Dusiciel” („The Mugger”) z 1956 roku. Ta saga, oparta na materiale z opowiadań kryminalnych i detektywistycznych, pisanych przez autora już od wczesnych lat pięćdziesiątych, powstała w następstwie olbrzymiego sukcesu „Szkolnej dżungli” („The Blackboard Jungle”, 1954), powieści o przemocy i napięciach rasowych w nowojorskich szkołach, należącej obecnie do klasyki gatunku, i niebawem po napisaniu przeniesionej na ekran, w wyniku czego powstał pierwszy film, ukazujący rockandrollowe szaleństwo nastolatków. Zamieszki wywołane przez młodą widownię w kinach Nowego Jorku i Londynu po premierowych pokazach filmu tylko umocniły legendarną pozycję książki.

Ed McBain (1926-2005) to literacki pseudonim Evana Huntera, urodzonego w Nowym Jorku,

który jako młody człowiek, a potem nauczyciel, bezpośrednio zetknął się ze zbrodnią, przede wszystkim z ulicznymi gangami, sprzedawcami narkotyków i drobnymi przestępcami. To oni znajdują się w centrum uwagi w jego wczesnych opowiadaniach, pisanych dla czasopism „Adventure”, „Manhunt” oraz „Bloodhound”. Zamiłowanie McBaina do prozy kryminalnej stało się oczywiste już po pierwszej serii, napisanej pod pseudonimem Curt Cannon, z takimi tytułami, jak „I Like'em Tough” (1958) i „J'm Cannon - for Hire” (1959). Opowiedziane w pierwszej osobie historie prawiły o wyczynach nieugiętego byłego prywatnego detektywa, mieszkającego w Bowery i uważającego samego siebie za degenerata. Czytelnicy szybko się zorientowali, że mają do czynienia z człowiekiem, z którym nawet najtwardsi spośród pozostałych literackich detektywów nie mieliby łatwego życia, ponadto przejawiającym skłonność do formułowania twierdzeń w rodzaju: „Piję przez dwadzieścia pięć godzin na dobę” albo: „Sypiam na ławkach w parku, kiedy nie mam pieniędzy na łóżko”. Policjanci z 87. posterunku są pewnie odrobinę bardziej towarzyscy od Cannona, ale z pewnością w każdym calu równie nieustraszeni. Sierżant detektyw Mike Jonas, narrator „Raportu powypadkowego” (zamieszczonego w „Manhunt” z 1953 roku), gliniarz realista, musi zmierzyć się z jedną z najtrudniejszych emocjonalnie spraw dla każdego policjanta, jaką jest brutalne zamordowanie innego stróża prawa.

*

Ciało martwego policjanta było już przykryte kocem, gdy dotarliśmy na miejsce. Odziany na biało lekarz stażysta stał obok ambulansu, paląc nerwowo.

Podniósł wzrok, gdy podszedłem do niego, i pstryknięciem odrzucił papierosa.

- Sierżant detektyw Jonas - przedstawiłem się.

- Miło mi - odparł lekarz. - Doktor Mailaby.

- Co zaszło?

- Złamany kark. Musiał to być duży samochód. Klatka piersiowa jest wgnieciona w miejscu, gdzie nastąpiło pierwsze uderzenie. Wygląda na to, że został potrącony, a następnie przejechany. Najprawdopodobniej to zderzak złamał mu kark. Taka w każdym razie była przyczyna zgonu.

Podszedł do nas Andy Larson. Pokiwał głową i powiedział:

- Cholerna sprawa, Mike.

- Uhm - przytaknąłem i zwróciłem się do lekarza: - Kiedy został potrącony?

- Trudno powiedzieć. Tak na oko, nie więcej niż pół godziny temu. Sekcja to wykaże.

- To by się zgadzało, Mike - rzucił Andy. - Policjant z patrolu zgłosił to około dwudziestu pięciu minut temu.

- Duży wóz, co?

- Tak bym to określił - odparł lekarz.

- Zastanawiam się, ile dużych wozów może być w tym mieście.

Andy pokiwał głową.

- Możecie go już zabrać, doktorze - powiedział. - Chłopcy zdążyli uwinąć się ze zdjęciami.

Lekarz zapalił kolejnego papierosa, a my obserwowaliśmy, jak wraz ze swym pomocnikiem kładzie na nosze, a następnie zabiera do ambulansu zwłoki policjanta. Lekarz i pomocnik wsiedli i ambulans odjechał w dół ulicy. Nie włączył syreny. Nie było dużego ruchu.

Kiedy oberwie gliniarz, mawia się: „Cóż, kurczę, przykra sprawa. Ale taki był jego zawód”. Zgadza się. Poza jednym: bycie gliniarzem nie wyklucza posiadania żony, a może i gromadki dzieci. Nie boli ich to ani trochę mniej, tylko dlatego, że jesteś gliną. Jesteś martwy, i już.

Razem z Andym przyjrzałem się raportowi z wypadku.

WYPADEK NUMER: 46A-3

IMIĘ I INICJAŁY: James C.

REJON Nr 032

PŁEĆ: M

NAZWISKO: Benson

ADRES: Crescent Ave 1812

WIEK: 28

Przeskoczyłem oczyma cały tekst do dołu karty, wyłapując datę, godzinę i miejsce zdarzenia.

RODZAJ DOLEGLIWOŚCI LUB RANY: Potrącenie i ucieczka z miejsca wypadku

SKUTEK:

ŚMIERTELNY

POWAŻNY

LEKKI

NIEZNANY

Czytałem dalej, aż dotarłem do zakreślonych ołówkiem danych poświadczających, że

ciało zostało zabrane do kostnicy i wydane rodzinie. Dalej szły rutynowe informacje, a przynajmniej można by je za takie uznać w każdym innym przypadku - tym razem brzmiały z lekka ironicznie.

POLICJANT KIERUJĄCY RUCHEM -

NAZWISKO: Posterunkowy James C. Benson

NUMER SŁUŻBOWY: 3685

RUCH STEROWANY PRZEZ ŚWIATŁA: Tak

ZARZĄD: Wydział Ruchu Drogowego

FUNKCJONOWANIE ŚWIATEŁ: Prawidłowe

Przeczytałem jeszcze dane techniczne, dotyczące kierunku ruchu drogowego, sterowanego przez światła, działań podjętych przez policję, zaangażowania władz miejskich, a następnie odwróciłem kartę. Pod nagłówkiem NAZWISKA I ADRESY ŚWADKÓW (W PRZYPADKU BRAKU ŚWIADKÓW WPISAĆ „BRAK”) ktoś nagryzmolił jedno słowo: „Brak”.

Policjantem, który zgłosił potrącenie i ucieczkę z miejsca wypadku, był posterunkowy P. Margolis. Podczas obchodu zatrzymał się na zwyczajną popołudniową pogawędkę z Bensonem - i znalazł gliniarza z drogówki w rynsztoku. Na asfalcie były ślady hamowania, ale w polu widzenia - ani żywej duszy.

- Co o tym sądzisz, Andy? - spytałem.

- Mam kilka teorii.

- Posłuchajmy ich.

- Facet mógł mieć coś na sumieniu. Benson pomachał mu lizakiem zapewne z jakiegoś całkiem innego powodu. Ale on spanikował i wjechał w niego.

- Co mógł mieć na sumieniu?

- Kto wie? Trefny towar w bagażniku. Trup na tylnym siedzeniu. No wiesz.

- I myślisz, że Benson zatrzymał go za przekroczenie prędkości lub za niesprawną wycieraczkę? Coś w tym rodzaju?

- Uhm, no wiesz.

- Nie kupuję tego.

- Cóż, mam drugą teorię.

- Jaką tym razem? Pijany kierowca?

Andy przytaknął.

- To jest to, o czym myślałem... Od czego zaczniemy?

- Poleciałem już sprawdzenie skradzionych samochodów, a chłopcy z laboratorium badają ślady opon. Wracajmy na miejsce wypadku, może uda się znaleźć jakichś świadków.

Podniosłem marynarkę z oparcia krzesła, włożyłem ją i poprawiłem kaburę pod pachą.

- Chodźmy.

*

Wypadek miał miejsce na przecięciu dwóch wąskich ulic. Na jednym z rogów znajdował się otynkowany dwurodzinny dom, a na pozostałych trzech - puste parcele. Na tym spokojnym skrzyżowaniu jedynym uzasadnieniem dla umieszczenia świateł drogowych była szkoła średnia dwie przecznice dalej. Policjant z drogówki miał wspomagać sygnalizację świetlną rano i po południu, gdy dzieciaki szły do szkoły lub z niej wracały. Benson został potrącony na dziesięć minut przed końcem lekcji. Szkoda, bo garść wracającej do domów młodzieży mogła uratować mu życie - a przynajmniej byłoby kilku świadków.

- Nie mamy wielkiego wyboru - powiedział Andy. Spojrzałem na otynkowany budynek.

- Nie, chyba nie. Chodźmy.

Wspięliśmy się po niskich schodach z cegieł, prowadzących do frontowych drzwi, i Andy nacisnął przycisk dzwonka. Czekaliśmy kilka chwil, następnie drzwi otwarły się na szerokość szczeliny i jakiś głos spytał:

- Tak?

Błysnąłem blachą.

- Policja - powiedziałem. - Chcielibyśmy zadać kilka pytań. Drzwi pozostały przymknięte, głos dochodził zza wąskiej szpary.

- Na jaki temat?

- Wypadku dziś po południu. Proszę otworzyć drzwi.

Drzwi otwarły się na oścież; ze środka spoglądał na nas chudy dzieciak w podkoszulku. Jego brwi zbliżyły się do siebie w grymasie wrogości.

- Macie nakaz rewizji? - spytał.

- A co masz do ukrycia, synku? - rzucił Andy.

- Nic. Nie lubię tylko, kiedy gliniarze wpychają się jak oddziały szturmowe.

- Nikt się do ciebie nie wpycha - wyjaśnił Andy. - Chcemy zadać kilka pytań, to wszystko. Jeśli będziesz chciał zgrywać ważniaka, pójdziemy po ten cholerny nakaz rewizji, a wtedy lepiej miej się na baczności.

- No dobra, czego chcecie?

- I już śpiewasz inaczej, co, synek?
 - Zostaw, Andy - powiedziałem. - Byłeś, kolego, w domu dziś po południu?
 - Uhm.
 - Przez całe popołudnie?
 - Uhm.
 - Słyszałeś jakiś hałas na ulicy?
 - Jaki hałas?
 - Pisk opon, na przykład? Coś w tym rodzaju?
 - Nie.
 - Czy zauważyłeś coś dziwnego?
 - Nic nie widziałem. Chodzi wam o tego przejechanego gliniarza, co?
 - Zgadza się, synu.
 - No więc nic nie widziałem.
 - Sam tu mieszkasz?
 - Nie. Z matką.
 - Gdzie ona teraz jest?
 - Nie czuje się zbyt dobrze. To dlatego zostałem z domu i nie chodzę do szkoły. Leży chora w łóżku. Ona też nic nie słyszała. Mąci się jej w głowie.
 - Sprowadziłeś lekarza?
 - Uhm, nic jej nie będzie.
 - Gdzie jest pokój twojej matki?
 - Z tyłu domu. Nie mogłaby stamtąd nic widzieć, nawet gdyby była w stanie.
- Obszczekujecie niewłaściwe drzewo.
- Od kiedy nie chodzisz do szkoły?
 - Bo co?
 - Od kiedy?
 - Od miesiąca.
 - Twoja matka choruje tak długo?
 - Uhm.
 - Ile masz lat?
 - Piętnaście.
 - Lepiej wracaj do szkoły - doradził Andy. - I to cholernie szybko. Powiedz władzom miejskim o twojej matce, a oni tam już coś zrobią. Słyszysz?
 - Słyszę.

- Przyślemy kogoś jutro, żeby cię sprawdził. Zapamiętaj to sobie, synek.

- Zapamiętam - odpowiedział chłopiec, przybierając bezczelny wyraz twarzy.

- Ktoś jeszcze tu mieszka z wami?

- Uhm. Mój pies. Może chcecie mu zadać kilka pytań? Zauważyłem, jak zaciskają się pięści Andy'ego, więc zakończyłem sprawę:

- To tyle, synek. Dzięki.

- Za co? - spytał dzieciak, po czym zatrzasnął drzwi.

- Wszawy smarkacz - skomentował Andy. - Mały skur...

- Daj spokój - powiedziałem. Zeszliśmy na dół. Spojrzałem na puste parcele na pozostałych rogach. Następnie odwróciłem się, by jeszcze raz rzucić okiem na dom.

- Nic tu więcej nie ma - odezwałem się. - Lepiej wracajmy.

Tego dnia skradziono w Nowym Jorku trzydzieści dziewięć samochodów. Z dużych aut były dwa buicki, cztery chryslery i cadillac. Jeden z chryslerów został skradziony w dzielnicy oddalonej około dwóch mil od miejsca wypadku.

- I co ty na to? - spytał Andy.

- Na co?

- Facet ukradł furkę i kiedy zobaczył, że Benson każe się zatrzymać, skóra mu ścierpła i go rozwalił.

- Jeśli Benson próbował go zatrzymać.

- Może Benson tylko wyciągnął rękę, by wstrzymać ruch. Facet źle zrozumiał i wjechał w niego.

- Zobaczymy - powiedziałem.

Sprawdziliśmy właściciela chryslera. Okazał się neurotyczną kobietą, na której oczywiste wrażenie zrobił fakt, że aż dwóch policjantów osobiście odwiedza ją w sprawie jej zaginionego auta.

- Cóż, nigdy nie oczekiwałam aż tak szybkich działań ze strony władz - oznajmiła. - Mam na myśli: naprawdę szybkich działań.

- To był chrysler, czy tak, proszę pani? - zapytałem.

- O tak - potwierdziła z emfazą. - Zawsze kupujemy wyłącznie chryslery.

- Który rocznik?

- Podałam wszystkie te informacje telefonicznie - zdziwiła się.

- Wiem, proszę pani. Po prostu sprawdzamy to jeszcze raz.

- To nowy samochód. Rocznik 1960.

- Kolor?

- Błękitny. Wie pan, błękit jaja drozda. To także powiedziałam mężczyźnie, który odebrał telefon.

- Numer rejestracyjny?

- Och, znowu? Chwileczkę. Wstała i poszła do kuchni, by po chwili wrócić z małą torebką. Pogrzebała w niej i wyłowiła portfel, w którym potem chwilę szperała, szukając dowodu rejestracyjnego.

- Jest - powiedziała.

- Jaki?

- 7T 8458.

Andy spojrzał na kobietę.

- To numery z okręgu Nassau, proszę pani.

- Tak, tak. Wiem.

- Tu w Bronksie? Jakim cudem?

- Cóż... Pomyśli pan, że to dziecinne.

- Proszę nam opowiedzieć.

- No cóż, tablice z Long Island robią po prostu o wiele większe wrażenie. To znaczy... Cóż, zamierzaliśmy się wkrótce przeprowadzić na Long Island - tak czy owak.

- I pojechała pani taki kawał do Nassau, żeby dostać te tablice?

- Tak.

Andy odchrząknął uprzejmie.

- Może to ułatwi sprawę.

- Sądzą panowie, że samochód się znajdzie?

- Mamy, oczywiście, taką nadzieję.

Znaleźliśmy ten samochód tego samego popołudnia. Był zaparkowany przy bocznej uliczce w Brooklynie. W doskonałym stanie, żadnych wgnieceń z przodu, żadnej krwi na kratownicy albo zderzaku. W laboratorium porównali opony ze śladami hamowania. Wynik był negatywny. To, w zestawieniu z faktem, że pojazd zabójcy niewątpliwie miałby trwałe uszkodzenia po gwałtownym uderzeniu, przekonało nas, że nadal nic nie mamy. Samochód zwróciliśmy właścicielce.

Była bardzo szczęśliwa.

Do końca tygodnia odzyskaliśmy wszystkie skradzione samochody z wyjątkiem jednego. Żaden z nich nie odpowiadał temu, czego szukaliśmy. Jedynym wciąż nieodnalezionym samochodem był cadillac. Ktoś buchnął go z parkingu w Queens; złodziej okazał parkingowemu kupon kontrolny. A zatem profesjonalny modus operandi, podczas gdy

tamto zabójstwo przypominało raczej wyczyn szaleńca. Kiedy następny cadillac został w ten sam sposób skradziony z parkingu w Jamaica, uznaliśmy to za zorganizowane działanie i zostawiliśmy sprawę specom z wydziału motoryzacyjnego.

Tymczasem zaś rozpoczęliśmy sprawdzanie wszystkich warsztatów blacharskich w mieście. Ewentualność, że był to skradziony samochód, zasadniczo nie wchodziła już w grę, a zatem jeśli auto było prywatną własnością, osoba, która przejechała Bensona, niewątpliwie spróbuje usunąć uszkodzenia.

Laboratorium zgłosiło odnalezienie okruchów szkła z żarówki, wbitych w koszulę Bensona razem z odpryskami czarnej farby. Na podstawie układu śladów hamowania ustalono, że został uderzony prawym bokiem samochodu, wobec czego po tej właśnie stronie pojazdu musiał znajdować się rozbity reflektor, podobnie jak najpoważniejsze uszkodzenia kratownicy.

Ponieważ Andy nadal trzymał się teorii, że kierowca zrobił coś paskudnego na moment przed wjechaniem w Bensona, popytaliśmy w odpowiednich wydziałach lokalnego komisariatu o wszelkie potencjalnie powiązane z wypadkiem napady i włamania, sprawdziliśmy także w wydziale do spraw sejfów, magazynów i ciężarówek. W dniu wypadku był napad z bronią w rękę na sklep spożywczy w bezpośrednim sąsiedztwie zdarzenia, ale złodziej został już aresztowany i jeździł fordem z lat pięćdziesiątych. Oba reflektory były nietknięte, a wszelkie uszkodzenia kratownicy pochodziły sprzed wielu lat.

Nadal sprawdzaliśmy warsztaty.

Kiedy nadeszła tamta skarga, rzuciliśmy się na nią bez zwłoki. Zlekceważyliśmy typowe bzdury w nagłówku raportu, przeskakując od razu do SZCZEGÓŁÓW:

*

Wiadomość telefoniczna od niejakiej pani Jamesowej Dailey, właścicielki i lokatorki prywatnej posesji przy Barnes Avenue numer 2389. Wysłano radiowy patrol zmotoryzowany nr 761. Pani Dailey po powrocie z dwutygodniowych wakacji stwierdziła, że parkan wokół jej domu jest zniszczony w północno-zachodnim narożniku. Ślady opon na grządce irysów wskazują, że sprawcą szkody mógł być ciężki samochód osobowy lub nieduża ciężarówka. Na palikach ogrodzenia znaleziono odpryski czarnej farby. Wyraźne ślady opon na mokrej ziemi na rabacie kwiatowej; odlewy wykonano. Rozmiar opony 7,60-15,4-ply. Szacunkowa waga 28 funtów. Dalsze badanie śladów bieżnika ujawniło, że opony zostały wyprodukowane przez Sears, Roebuck i Spółka i zarejestrowane pod nazwą handlową Allstate Tyres. Numer katalogowy 95K 01227K. Sprawa w toku, w oczekiwaniu na odbiór raportów i wyników śledztwa.

*

- Jest w toku, jak cholera jest w toku - powiedział Andy. - To może być to, Mike.

- Może - odparłem.

Nie było. Opon tych, bardzo chodliwych, hurtownia wysyłkowa sprzedawała tysiące każdego roku, zarówno drogą pocztową, jak i przy kontuarze. Sprawdzenie sprzedaży odręcznej jest niemożliwe, ale kontrola zamówień pocztowych ujawniła, że w promieniu dwu mil od miejsca wypadku nie dokonano żadnych zakupów. Rozszerzyliśmy promień poszukiwań, sprawdziliśmy wszystkich nabywców - i nie znaleźliśmy żadnego podejrzanego wyglądającego wozu, mimo iż wszystkie skontrolowane samochody były duże. Wśród nich nawet jeden czarny - ale bez najmniejszego zadrapania na karoserii.

Ale dom pani Dailey był usytuowany jakieś dziesięć przecznic od miejsca zabójstwa - zbyt blisko jak na dzieło czystego przypadku. Wzięliśmy samochód służbowy i pojechaliśmy pod wskazany adres.

Pani Dailey okazała się kobietą niespełna czterdziestoletnią; otworzyła nam drzwi ubrana w luźną podomkę i z wałkami we włosach.

- Policja - oznajmiłem.

Zbliżyła dłoń do włosów i powiedziała:

- O mój Boże. - Przejęła się trochę swoim wyglądem, zawiązała ciasniej szlafrok w talii, po czym rzekła: - Proszę, proszę dalej.

Wypyaliśmy ją co nieco o płot i o grządkę z irysami i otrzymaliśmy mniej więcej te same informacje, które były w raporcie. Potem wyszliśmy na zewnątrz, by obejrzeć zniszczenia. Właścicielka została w domu, a gdy chwilę później dołączyła do nas, miała na sobie czarne obcisłe spodnie i jasnozielony sweter. Włosy obwiązała chustką skrywającą lokówki.

Był to narożny dom przy bocznej uliczce, dochodzącej do Barnes Avenue, oraz zwirowej drodze, wcinającej się w nią przy następnym skrzyżowaniu. Ślady opon zdawały się sugerować, że samochód nadjechał drogą zwirową, a następnie usiłował tyłem wjechać w boczną uliczkę i podczas wykonywania tego manewru przewrócił parkan. Wszystko to wskazywało na pijanego kierowcę.

- No i jak to wygląda? - spytała właścicielka.

- Pracujemy nad tym - odparł Andy. - Czy któryś z sąsiadów był świadkiem zdarzenia?

- Nie. Popytałam, gdzie się dało. Nikt nie widział samochodu. Usłyszeli huk, więc wyszli ze swych domów; ujrzeli zniszczony płot, ale samochód zdążył do tego czasu

odjechać.

- Nie zauważyła pani, czy coś zginęło z domu lub ogródka?
- Nie. Wszystko dobrze pozamykaliśmy. Byliśmy na wakacjach, wie pan.
- Jakim samochodem jeździ pani mąż?
- Oldsmobilem rocznik pięćdziesiąty ósmy. Czemu pan pyta?
- Zwykła ciekawość.
- Przejedźmy się tą ulicą, Mike - powiedział Andy. - Bardzo pani dziękujemy.

Wsiadliśmy do samochodu, a pani Daily patrzyła w ślad za nami, stojąc w drzwiach swego domu w wystudiowanej pozie. Spojrzałem do tyłu i zobaczyłem, jak macha do któregoś ze swych sąsiadów, a następnie wchodzi do domu.

- Dokąd? - zapytałem Andy'ego.

- Na końcu zwirowej drogi, przy skrzyżowaniu, jest stacja obsługi. Jeśli samochód nadjechał z tej strony, może zatrzymał się na stacji, by zatankować. Nie mamy nic do stracenia.

Nic też nie zyskaliśmy. Obsługiwali tam setki czarnych samochodów każdego dnia. Nie pamiętali nic, co wydałoby się podejrzane. Podziękowaliśmy im i udaliśmy się do najbliższego baru na kawę. Kawa była gorąca, ale nasze śledztwo wciąż letnie jak cholera.

*

Wkurzało nas to. O, jak nas to wkurzało.

Ktoś trzymał czarny samochód ukryty w garażu - z uszkodzonym przodem, a być może wciąż ze śladami krwi na karoserii. Jeśli to był pijany kierowca, z pewnością dość szybko wytrzeźwiał - i na wystarczająco długo, by zdać sobie sprawę, że nie może trzymać auta na widoku. Dumaliśmy nad tym, koncentrowaliśmy się na tym, obchodziliśmy sprawę ze wszystkich stron, i wtedy nagle zadzwonił telefon. Odebrałem.

- Jonas, słucham.

- Mike, tu Charlie, oficer dyżurny. Miałem to przekazać do skarg i zażaleń, ale pomyślałem, że może wy będziecie chcieli się tym zająć.

- Czy to jest związane z zabójstwem Bensona?

- Być może.

- Zaraz tam będę. - Szybko odwiesiłem słuchawkę. - Ruszaj się, Andy.

Zeszliśmy do recepcji i Charlie przedstawił nas niejakiemu panu George'owi Sullivanowi i jego córce Grace, dziewczęciu około szesnastoletniemu. Zabraliśmy ich do najbliższego pustego biura, zostawiając Charliego za kontuarem.

- O co chodzi, panie Sullivan? - spytałem.

- Żądam lepszej ochrony - powiedział.

- Bo?

- To dla mojego dziecka. Tej oto Grace. A właściwie dla wszystkich dzieciaków z jej liceum.

- Co się stało, panie Sullivan?

- Ty im to powiedz, Grace.

Dziewczyna była ładną blondynką. Odziana w sweter i spódnicę, wyglądała świeżo i schludnie. Zwilżyła wargi i powiedziała:

- Tatusiu, ja nie...

- Śmiało, Grace, to dla twojego dobra.

- Co się wydarzyło, panienko? - zapytał łagodnie Andy.

- No więc...

- Dalej, Grace. Tak jak mi to opowiedziałaś. Śmiało.

- No więc, zdarzyło się to w zeszłym tygodniu. Ja...

- Gdzie to było?

- Przed szkołą. Urwałam się z ostatniej lekcji, z nauki własnej. Chciałam zrobić zakupy w centrum, poza tym godzina nauki własnej to nudy. Wie pan, nie są zbyt surowi, jeśli ktoś raz się urwie.

- Tak, panienko.

- Wysłałam więc ze szkoły wcześniej, jakieś pół godziny przed resztą dzieciaków. Przechodziłam właśnie na drugą stronę jezdni, kiedy ten samochód wyjechał zza rogu. Weszłam na chodnik, a on zwolnił i zaczął za mną jechać.

- Jaki to był samochód?

- Duży, czarny.

- Zauważyła panienka markę lub rocznik?

- Nie. Nie znam się za bardzo na samochodach.

- W porządku. I co się stało?

- No więc ten mężczyzna jechał cały czas za mną, zaczęłam więc iść szybciej, ale samochód też przyspieszył. Kierowca przechylił się w stronę okna pasażera i powiedział do mnie: „Chodź, ślicznotko, wezmę cię na przejażdżkę”. - Przerwała opowieść. - Tatusiu, czy muszę?...

- Powiedz im wszystko, Grace.

Z trudem przełknęła ślinę i popatrzyła na swe sznurowane buciki.

- Nie odpowiedziałam. Szłam dalej, a on zatrzymał się jakieś dziesięć stóp przede mną

i siedział, czekając, aż podejde. Gdy zrównałam się z autem, otworzył drzwiczki i wysiadł. On... on... złapał mnie... i ja zaczęłam krzyczeć.

- I co się wtedy stało?

- Przestraszył się. Wskoczył do samochodu i odbił od krawężnika. Jechał bardzo szybko. Przestałam krzyczeć, kiedy się oddalił, bo... bo nie chciałam, żeby ktoś tę scenę zauważył.

- Kiedy to się stało?

- W zeszłym tygodniu.

- W jaki dzień?

- To była środa - wtrącił pan Sullivan. - Kiedy wróciła do domu, wyglądała okropnie, a gdy spytałam, co się stało, nic nie odpowiedziała. Aż do dzisiejszego dnia nic od niej nie usłyszałam na ten temat.

- Powinna panienka zgłosić to wcześniej - zwrócił się do niej Andy.

- Ja... ja się wstydziałam.

- Zwróciła panienka uwagę na tablice rejestracyjne samochodu?

- Tak.

- Zapamiętała pani numer?

- Nie. To były takie zabawne tablice...

- Jak to zabawne?

- To były nowojorskie numery, ale było tam dużo literek.

- Dużo literek? Czy to były podmiejskie tablice? Czy może był to samochód kombi?

- Nie, nie kombi.

- Furgonetka?

- Nie, nie. Zwyczajny, nowy samochód.

- Nowy samochód - powtórzyłam za dziewczyną.

- Czy zajmiecie się tym? - spytał pan Sullivan.

- Będziemy próbować, proszę pana. Czy dobrze przyjrzała się pani temu mężczyźnie?

- Tak. Był stary. I gruby. Miał na sobie brązowy garnitur.

- Ile mógł mieć lat, panienko?

- Co najmniej czterdzieści.

Rozbawiło to pana Sullivana, lecz po chwili uśmiech zniknął z jego twarzy.

- W okolicy powinien być policjant. Zdecydowanie powinien tam być policjant.

- Czy byłaby pani w stanie rozpoznać tego mężczyznę, gdybyśmy go pani pokazali?

- Tak, ale... czy to konieczne? Nie chcę mieć kłopotów. Nie chcę, żeby inne dzieciaki

się dowiedziały.

- Nikt się nie dowie, panienko.
- Nie zdarzyłoby się to, gdyby tam w pobliżu był policjant - ciągnął pan Sullivan.
- Tam był policjant - odparłem. - Nie żyje.

Gdy wyszli, jeszcze raz, przy kawie, rozpatrzyliśmy całą sprawę.

- Nowy samochód - powiedział Andy.
- Z zabawną tablicą. O co, do diabła, chodziło z tą zabawną tablicą?
- Na nowym samochodzie. Zerwałem się na równe nogi.
- A niech mnie! - zawołałem.
- Co?
- Nowy samochód, Andy. Zabawna tablica. Nowojorska tablica z mnóstwem literek.

Na rany Chrystusa, to była dilerska tablica!

Andy strzelił palcami.

- Jasne. To wyjaśnia, w jaki sposób udało się draniowi tak dobrze schować samochód.

Prawdopodobnie stoi sobie w jakimś cholernym salonie, schowany za innymi autami wystawionymi na sprzedaż.

- Jedziemy, Andy - powiedziałem.

*

To nie było trudne. Niełatwo dostać licencję dilerską, więc w żadnej z dzielnic nie ma zbyt wielu salonów samochodowych. Spróbowaliśmy w dwóch, a za trzecim razem trafiliśmy w dziesiątkę.

Samochód stał w kącie dużego garażu. Podeszliśmy do niego. Był przy nim mechanik w wytłuszczonym kombinezonie roboczym i majstrował przy prawym reflektorze.

- Policja - powiedziałem. - Co tu się stało?

Nie przerywał pracy, najprawdopodobniej przyzwyczajony do okresowych kontroli z wydziału motoryzacyjnego.

- Stłuczona żarówka. Właśnie ją wymieniam.

- A co się stało z kratownicą?

- Och, mały wypadek. Strasznie szkoda. To nowy samochód. Andy obszedł wóz dookoła i zobaczył zarysowania lakieru na pokrywie bagażnika. Skinął do mnie głową, wróciwszy do miejsca, gdzie stałem.

- Tył też jest cały porysowany - zwrócił się do mechanika.
- Taa, ten cholerny samochód jest pechowy, odkąd się u nas znalazł.
- To znaczy?

- Co ja z nim mam! W dniu, w którym wzięliśmy go na próbę, głupi kierowca wjechał nim do rowu. Niezłe zdarł obie tylne opony. Musieliśmy założyć nowe. Wszystko to już w pierwszym tygodniu, zaraz jak dostaliśmy ten szmelc.

- Wymieniliście je na allstate'y?

Mechanik podniósł wzrok, nie kryjąc zaskoczenia.

- Taaa. Skąd pan wiedział?

- Gdzie twój szef? - spytał Andy.

- W biurze. - Mechanik podniósł się. - Hej, co tu jest grane?

- Nic, co mogłoby ciebie dotyczyć. Pracuj dalej, synu. Udaliśmy się do biura, małego sześciennego pomieszczenia z dwoma biurkami i dwoma skórzanymi fotelami dla klientów. Tęgi mężczyzna siedział za jednym z biurek ze słuchawką telefonu przy uchu. Oszacowałem jego wiek na jakieś czterdzieści dwa, czterdzieści trzy lata.

Kiedy weszliśmy, podniósł wzrok i uśmiechnął się, skinąwszy do nas głową, po czym kontynuował rozmowę.

- Tak... no więc dobrze, skoro tak twierdzisz. Posłuchaj, Sam, nie mogę sprzedawać samochodów, jeśli ich nie mam... Po prostu zrób, co się da. To wszystko. Dobra, świetnie.

Odwiesił słuchawkę, nie pożegnawszy się z rozmówcą, wstał z fotela i ruszył w naszą stronę.

- Czy mogę w czymś panom pomóc?

- Tak - powiedział Andy. - Jesteśmy zainteresowani kupnem samochodu. Czy rozmawiamy z właścicielem?

- Tak, to ja.

- Z kim zatem mamy przyjemność?

- Fred Whitaker - odparł. - Czy interesuje panów jakiś konkretny samochód?

- Tak. Ten czarny buick na hali.

- Piękny wóz - powiedział z uśmiechem Whitaker.

- Ten ze stłuczoną kratownicą i reflektorem - dodałem. Uśmiech zamarł na jego twarzy. Zbladł.

- C-c-co?

- To pan rozbił ten samochód? Whitaker z trudem przełknął ślinę.

- Nie... nie. Jeden z moich mechaników to zrobił.

- Który?

- Ja... zwolniłem go. On...

- Możemy to sprawdzić, panie Whitaker.

- Czy... czy panowie są z policji?

- Tak. Dobra, kończmy z tym. Mamy dziewczynę, która może pana zidentyfikować. Miałem wrażenie, że twarz Whitakera zaraz rozpadnie się na drobne kawałki.

- Tak... tak chyba będzie najlepiej, prawda?

- Tak będzie najlepiej - rzekł Andy.

- Nie chciałem go przejechać. Ale dziewczyna wrzeszczała, wie pan, i pomyślałem, że on mógł to słyszeć. Wyciągnął rękę i ja... ja... chyba się wystraszyłem, a poza tym nie było tam nikogo innego, więc go... więc... potrafiłem go. Czy z nim wszystko w porządku? To znaczy...

- Nie żyje - poinformowałem.

- Nie żyje? - Whitaker otworzył szeroko oczy. - Nie żyje...

- Czy to pan uszkodził tamten parkan? - spytał Andy.

Whitaker wciąż był oszołomiony.

- C-co? - powiedział bardzo wolno po chwili milczenia.

- Parkan. Przy Barnes Avenue.

- Och. Tak, tak. To było później. Wciąż byłem przerażony. I... źle wzięłem zakręt, zobaczyłem wóz policyjny i chciałem szybko odjechać. I... i wjechałem w ten płot.

- Dlaczego niepokoił pan dziewczynę, panie Whitaker? Osunął się na fotel.

- Nie wiem - odrzekł. - Naprawdę nie wiem.

- Jest pan w poważnych tarapatkach - oznajmił Andy. - Niech pan lepiej uda się z nami.

- Tak, tak. - Wstał, wziął kapelusz z wieszaka w kącie i ruszył ku drzwiom. W progu przystanął i wymamrotał: - Powinienem chyba powiadomić mechaników... powinienem ich powiadomić, że nie będzie mnie już dzisiaj.

Spojrzałem na Whitakera i pomyślałem o Bensonie. Moje oczy napotkały wzrok Andy'ego i powiedziałem w imieniu nas obu:

- Nie będzie pana znacznie dłużej, panie Whitaker.

Elmore Leonard

Baaardzo śmieszne

Kilku spośród najtwardszych gliniarzy współczesnej literatury znajdziemy na kartach kryminalnych powieści Elmore'a Leonarda, który od dwóch dekad ożywia starą tradycję, a równocześnie każdą nową książką zdobywa coraz liczniejsze rzesze czytelników. Jego bohaterami są tacy ludzie, jak Ray Cruz z pełnej przemocy opowieści „City Primeval: High Noon in Detroit” (1981), który bierze prawo w swoje ręce, by wymiarowi sprawiedliwości oddać zabójcę sędziego; Bryan

Hurd, który w „Split Image” (1983) staje w szranki z obłąkanym milionerem z Florydy; Vincent Mora, uwikłany w beznadziejny romans z prostytutką, zamordowaną niebawem w powieści „Blichtr” („Glitz”, 1985); a także szeryf Raylan Givens, stróż prawa z zamiłowaniem do kowbojskich butów i pojedynków rewolwerowych, opisany w „Pronto” (1993) i w „Riding the Rap” (1995). Ich antagonistami są równie barwni ludzie ulicy, których brutalne obyczaje i wulgarny język Elmore Leonard potrafi w błyskotliwy sposób oddać w swoim pisarstwie - są tu takie postaci, jak niechlujni bandyci Ernest „Stiuk” Stickley i Frank J. Ryan w „Swag” (1976); były donosiciel Ed Rosen, uciekający przed trzema płatnymi zabójcami w „The Hunter” (1978); Chilli Palmer, lichwiarz marzący, by zostać filmowym potentatem, w „Dorwać Małego” („Get Shorty”, 1990) oraz Bobby Deogracias, zwany Sekatorem, w swoim czasie łowca nagród, obecnie od czasu do czasu ogrodnik i - przez cały czas - psychopata, występujący w „Riding the Rap” i uznany przez recenzenta „Daily Telegraph” za „wstrętniejszego niż wszystko, co do tej pory zrodził umysł Leonarda”. O tych osobnikach Stephen Amidon tak napisał w „Sunday Times”: „Oprychy, zwyrodnialcy i naciągacze, zaludniający świat stworzony przez Elmore’a Leonarda, są amerykańscy aż do bólu”. Elmore Leonard (ur. 1925), ostatnio ogłoszony przez „Time Out” „królem prozy kryminalnej, który swoimi brutalnymi thrillerami wyniósł tę gałąź literatury popularnej na wyżyny sztuki”, pracował jako copywriter, a następnie członek kadry kierowniczej w agencji reklamowej, zanim w latach pięćdziesiątych został pisarzem. Jego wczesne prace to prawie wyłącznie książki o tematyce westernowej, wśród których najmocniejszym blaskiem świeci „15.10 do Yumy” - jej ekranizacja z 1957 roku z Van Heflinem i Glennem Fordem w rolach głównych przynależy do klasyki filmowego westernu. Choć jego książki sprzedawały się dość dobrze po obu stronach Atlantyku, dopiero gdy przeniósł się na powieści kryminalne, stał się obiektem kultu. Leonard, dla przyjaciół „Dutch”, często umiejscawia swe opowieści w Detroit, gdzie sam mieszka i ma wszelkie możliwości studiowania autentycznego języka i obyczaju pomniejszych gangsterów, drobnych złodziejasków i oszustów. To oni, stosownie zawałowani, pojawiają się jako dziwaczne postaci w jego książkach, skonfrontowani z równie niezapomnianymi gliniarzami. Opisy ich wyczynów w unikalny sposób łączą przemoc z niesfornym poczuciem humoru. „Freaky Deaky” (z 1988 roku) także dzieje się w Detroit, gdzie policjant Chris Mańkowski tropi grupę trzecioliigowych kryminalistów, którzy postanowili zostać terrorystami i rozpoczynają bombowe szaleństwo w całym mieście.

*

Ostatni dzień Chrisa Mańkowskiego w pracy, druga po południu, dwie godziny do wyjścia - i Chris zostaje wezwany do usunięcia bomby.

Oto co się stało: facet znany jako Booker, dwudziestopięcioletni supergoguś, dwukrotnie skazany za poważne przestępstwa, siedział w swoim jacuzzi, kiedy rozdzwonił się telefon. Wrzasnął do ochroniarza zwanego Soczyste Usteczka, aby tamten odebrał za niego.

- Hej, Soczysty?

Jego ochroniarz, kierowca i gospodarz powinni się kręcić gdzieś w pobliżu.

- Czy ktoś odbierze ten telefon?

Telefon dzwonił i dzwonił. Dzwonek w aparacie odezwał się chyba z piętnaście razy, zanim Booker wyszedł z jacuzzi, włożył zielony atłasowy szlafrok, dobrany pod kolor kolczyka ze szmaragdem w lewym uchu, podniósł słuchawkę i spytał: - Kto to?

A na to głos kobiety w słuchawce:

- Siedzisz?

Aparat telefoniczny stał na stoliku obok fotela z wysokim oparciem pokrytego zieloną skórą. Booker uwielbiał zielony kolor.

- Kochanie, czy to ty? - zapytał.

Głos w słuchawce brzmiał jak głos jego kobiety, Moselle. I ten głos mówił dalej:

- Siedzisz? Musisz siedzieć, kiedy ci to powiem. Na to Booker:

- Kochanie, twój głos brzmi jakoś inaczej. Co się stało?

Usiadł w zielonym skórzanym fotelu, zmarszczył czoło i popracował trochę tyłkiem, zanim znalazł wygodną pozycję. A kobiecie głos spytał ponownie:

- Siedzisz?

- Siedzę! - odparł Booker. - Właśnie, kurwa, usiadłem. Może teraz zechcesz ze mną gadać, co?

Wtedy głos Moselle powiedział:

- Mam ci przekazać, skarbie, że kiedy podniesiesz z fotela swoją dupę, to, co z niej zostanie, poszybuje w przestworza razem z sufitem.

*

Gdy Chris dotarł na miejsce, mundurowy wpuścił go do mieszkania. Przed budynkiem stały zaparkowane samochody z 13. posterunku i furgonetka z wydziału taktycznego. Booker zadzwonił pod 911, wyjaśnił Chrisowi mundurowy, który jako pierwszy - wezwany przez radio - zjawił się na miejscu. Gdy zobaczył, z kim ma do czynienia, powiadomił wydział narkotyków, a ci aż podskoczyli z radości - w końcu to świetna okazja pokręcić się z psem po otwartym na oścież domu tego gościa.

Facet z narkotyków wyglądał jak młody włóczęga. Opowiedział Chrisowi historię życiowych sukcesów Bookera: piął się coraz wyżej po drabinie kariery, przeszedł przez organizacje zajmujące się dilerką na ulicach, młodzieżowe gangi Young Boys Inc. i Pony Down, i teraz tylko trzy szczeble dzieliły go od szczytu. Rozejrzyj się - facet w wieku dwudziestu pięciu lat mieszka w domu przy Boston Boulevard, w rezydencji pierwotnie należącej do jednego z pionierów przemysłu motoryzacyjnego w Detroit. Chłopak z

narkotyków nie pamiętał którego. Popatrz tylko, jak Booker spieprzył ten dom, pomalował wszystkie stare, piękne dębowe boazerie na kolor zielonych rzygowin. Na koniec chłopak z narkotyków spytał Chrisa, jak to się stało, że przybył sam.

Chris wyjaśnił, że większość oddziału jest na akcji - przejmują nielegalne fajerwerki - ale ma przyjść jeszcze jeden koleś, Jerry Baker.

- Wiesz, co dzisiaj jest za dzień? - zapytał Chris. Począł, aż chłopak z narkotyków powie: „Nie, nie wiem. Jaki?”. - To mój ostatni dzień w brygadzie saperskiej. Przenoszą mnie w przyszłym tygodniu.

Znowu odczekał chwilę. Chłopak z narkotyków powiedział:

- Taa, czy to dobrze? Nie załapał.

- To ostatni raz, kiedy w ogóle mam do czynienia z bombą, jeśli to rzeczywiście bombę tu mamy, i pokładam nadzieję w Chrystusie, że nie popełnię błędu.

Chłopak nadal nie łapał.

- Tak mówi Booker. Jeśli spróbuje wstać, bomba wybuchnie. Co to może być za bomba?

- Nie będę wiedział, póki nie zobaczę - wyjaśnił Chris.

- Booker mówi, że to ci cholerni Włosi - ciągnął chłopak z narkotyków. - Że chcą mu w ten sposób coś dać do zrozumienia. To się nawet trzyma kupy, bo w przeciwnym razie, dlaczego by po prostu nie mieli zastrzelić skurwysyna? O ile nam wiadomo, to właśnie Booker załatwił tych gości, których znaleźliśmy na długoterminowym parkingu w śródmieściu. Jeden w bagażniku własnego auta, dwaj załatwieni strzałami w tył głowy. Człowieku, to jest, kurwa, niezły koleś, ten Booker. Gdyby istniało coś takiego jak sprawiedliwość na tym świecie, zostawilibyśmy jego dupę na tym, na czym siedzi, i niech sam sobie radzi.

- Wyprowadź swoich ludzi z budynku - powiedział Chris. - Kiedy mój partner tu dotrze, nie zatrzymuj go na pogawędkę, dobra? Dam ci znać, jeśli będziemy potrzebowali straży pożarnej albo pogotowia, albo jeśli trzeba będzie ewakuować sąsiednie domy. Gdzie jest Booker?

Chłopak z narkotyków zaprowadził Chrisa korytarzem do tylnej części domu, mówiąc:

- Poczekaj, aż zobaczysz, co ten potwór zrobił z biblioteką. Wygląda jak pieprzony namiot.

Rzeczywiście. Czasza spadochronu w biało-zielone pasy, podwieszona w centralnym punkcie sufitu, rozpięta była między czterema punktami u szczytu ścian. Pośrodku bulgotało

jacuzzi z wyłożonym zielonymi kafelkami obrzeżem. Booker siedział w swym zielonym fotelu z tyłu, za wpuszczoną w podłogę wanną. Trzymał się zaokrąglonych poręczy, kurczowo zaciskając na nich rozczapierzone palce. Za jego plecami otwarte drzwi balkonowe prowadziły na patio na tyłach domu.

- Czekam na was - powiedział Booker. - Wiesz, ile już na was czekam? Gdzie oni wszyscy się podzieli, wołam i wołam... Widziałeś Soczystego?

- Kto to jest Soczysty?

- Soczyste Usteczka. Zdaje się, miał mnie ochraniać. Człowieku, ja muszę do toalety.

Chris zbliżył się do niego, przyglądając się podstawie fotela.

- Powiedz, co mówiła ta kobieta przez telefon.

- A co, myślisz, że mi suka wyznała miłość?

- Co mówiła?

- Powiedziała: wstaniesz, wylatujesz w powietrze.

- I to wszystko?

- Czy to wszystko? Człowieku, jak dla mnie - wystarczy. Nic dodać, nic ująć.

- Taa, ale czy w to wierzysz? - spytał Chris.

- Spodziewasz się, dupku, że wstanę i sprawdzę?

Chris miał na sobie lekką marynarkę z beżowego tweedu, starą, z powypychanymi kieszeniami. Z lewej bocznej kieszeni wyciągnął latarkę Mini-Mag, położył się płasko na podłodze i skierował snop światła w czterocalowy prześwit pod fotelem. Prześwit był pusty. Podniósł się na klęczki, odłożył latarkę, a z prawej bocznej kieszeni wyjął składany nóż z blokadą ostrza firmy Spyder-Co. Otworzył go szybkim, wprawnym ruchem jednej ręki.

- Hej - odezwał się Booker, wciskając się w oparcie fotela.

- Przykryj się - powiedział Chris. - Nie chciałbym ci czegoś odciąć przez nieuwagę.

- Człowieku, ostrożnie tam - ostrzegł Booker, odrywając dłonie od poręczy fotela i wciskając poły płaszcza kąpielowego między nagie uda, by dokładnie przysłonić krocze.

- Wyczuwasz coś pod sobą?

- Kiedy siadałem, czułem coś... jakby coś było nie tak. Chris rozciął pokrycie do siedzenia, rozwarł brzegi rozcięcia, zajrzał do środka i powiedział:

- Hmmmmmmmmm.

- Co to znaczy: hmmmmmmmmm? - spytał Booker. - Nie wciskaj mi tu jakiegoś gównianego „hmmmmmmmmm”. Co tam jest?

Chris podniósł wzrok na Bookera i powiedział:

- Dziesięć lasek dynamitu.

Booker znów wpił się palcami w poręczę fotela, z ciałem sztywnym, wyprostowanym, i powiedział do Chrisa:

- Wyciągnij to cholerstwo spode mnie. Człowieku, wyciągnij to! Zabierz to stamtąd!

- Ktoś cię nie lubi, Booker. Dwie laski dynamitu - to już byłoby za dużo.

- Czy mógłbyś wyciągnąć to kurestwo? Zrób to - powiedział Booker.

Chris przysiadł na piętach, spoglądając w górę na Bookera.

- Obawiam się, że mamy problem.

- Jaki problem? O czym ty mówisz?

- W środku jest coś, co wygląda jak nadmuchiwana gumowa poduszka, dość płaska; leży na dynamicie.

- Więc wyciągnij to świństwo stamtąd. Widzisz je, to wyciągaj!

- Taa, ale nie widzę tego, co powoduje wybuch. Musi być w tylnej części, tam gdzie otwiera się zamek poduszki.

- No to france otwórz.

- Nie mogę, siedzisz na niej. To prawdopodobnie dwukierunkowy przełącznik ciśnieniowy. Nie mogę tego stwierdzić na pewno, ale myślę, że tak właśnie jest.

- Tak myślisz? - zdziwił się Booker. - Chcesz mi powiedzieć, że nie znasz się na tej robocie.

- Jest mnóstwo rodzajów zapalników - odparł Chris. - Będę wiedział, co to jest, jak zobaczę... a także czy uda się to rozbroić, czy nie. Rozumiesz?

- Poczekaj. Mówisz: jeśli uda się to usunąć?

- Jedynym sposobem, żeby się do tego dostać - oświadczył Chris - to ciąć tył fotela.

- No to tnijże, tnij. Mam gdzieś ten pieprzony fotel.

- Możemy natrafić na ramię, całe to ciężkie drewno, sprężyny... - Chris przerwał. - Sam nie wiem - dodał, kręcąc głową.

- Słuchaj, skurwielu - powiedział Booker. - Wydostaniesz to gówno spode mnie. Tniesz, robisz, co trzeba, wyciągasz.

- Z drugiej strony - mówił dalej Chris - to może wcale nie jest bomba. Po prostu sam dynamit. No wiesz, żeby cię postraszyć, utrzcć ci nosa. Czy jest jakiś powód, dla którego ktoś chciałby cię sprzątnąć?

- Znaczy się - odrzekł Booker - to tylko trochę tego dziadostwa, ale bez możliwości wysadzenia go w powietrze?

- Uhm.

- Jakby chcieli mi powiedzieć: patrz, co ci się może przytrafić?

- Niewykluczone.

- Więc mógłbym tak po prostu wstać, a wszystko to, co kazali tamtej powiedzieć, to była lipa? No wiesz, wtedy przez telefon?

- Możliwe - powiedział Chris. - Ale osobiście bym nie zaryzykował, żeby się przekonać... Zobaczymy, co powie mój partner, kiedy tu dotrze.

- Człowieku, chce mi się do toalety, bardzo.

*

Chris obserwował, jak Jerry Baker zostawia za sobą mundurowych i niebieskie radiowozy policji z Detroit, blokujące bulwar z obu stron, i jak idąc chodnikiem w stronę domu, szacuje jego rozmiary. To był wolny dzień Jerry'ego. Miał na sobie czarną popelinową kurtkę i baseballową czapkę drużyny Detroit Tigers: wysoki mężczyzna, większy i starszy od Chrisa, dwadzieścia pięć lat służby, w tym piętnaście jako saper. Pamiętał, jaki to dzień, więc powiedział do Chrisa:

- Nie powinno cię tu być.

Stojąc w drzwiach, Chris opowiedział mu o zielonym skórzanym fotelu Bookera.

A Jerry, spoglądając na zegarek, powtórzył:

- Nie powinno cię tu być. Nie. Czterdzieści minut i masz to z głowy.

Wyjrzał na zewnątrz, pomachał do chłopaka z narkotyków, czekającego na ganku, i kazał wezwać straż pożarną oraz pogotowie, a następnie wyprowadzić wszystkich z domu. Tamten zaś spytał:

- Co, chłopaki, nie dacie sobie z tym rady?

- Jeśli nie damy rady, na pewno usłyszysz - odparł Jerry, a Chrisa spytał, gdy szli do pokoju, w którym był Booker: - Jeśli uratujemy życie tego dupka, myślisz, że to doceni?

- Pytasz, czy powie „dziękuję”? - rzekł Chris. - Poczekaj, aż go poznasz.

Weszli do pokoju z jacuzzi; Jerry zapatrzył się na biało-zielony namiot, a Booker powiedział: - Wreszcie skurwysyny zdecydowały, że coś zrobią, ha?

Chris i Jerry spojrzeli na siebie niespiesznie. Nic nie powiedzieli. Jerry zniżył się, by zajrzeć przez rozcięcie w siedzisku fotela pomiędzy muskularnymi nogami Bookera i powiedział:

- Hmmmmmmmmm.

- Następny robi „hmmmmmmmmm”. Siedzę tu na materiałach wybuchowych, a skurwiel robi „hmmmmmmmmm”.

Jerry wstał i ponownie spojrzął na Chrisa.

- Facet jest w porządku. To dobrze.

- Tak, facet jest w porządku - zgodził się Chris.

Jerry przeszedł za oparcie zielonego skórzanego fotela. Booker, wyprostowany, uniósł głowę.

- Hej, facet, zrozum, muszę iść do toalety. Natychmiast. Jerry wyciągnął rękę nad oparciem fotela i położył dłoń na ramieniu Bookera.

- Lepiej z tym poczekaj. Obawiam się, że może ci to nie wyjść.

- Powiem ci, co mi wyjdzie. Serio.

Jerry zwrócił się ponad Bookerem do Chrisa:

- Chłopak wygląda na szybkiego.

- Jeden z biegających z dostawami chłopaczków z Pony Down, przyzwyczajony do uciekania przed tymi z narkotyków - powiedział Chris. - Taa, wyobrażam sobie, że musi być szybki.

Booker wciąż siedział sztywno, wyprostowany, z uniesioną głową.

- Chwila. Co to za gadka, czy jestem szybki? Człowieku, jasne, że jestem szybki.

- Nie chcielibyśmy - zaczął Chris - aby przyszło ci do głowy, że możesz skoczyć z fotela do twojego baseniku i że ci się to uda.

- Do jacuzzi? - spytał Booker. - Jak się tam dostanę, to będę bezpieczny?

- Wątpię - powiedział Chris. - Jeśli siedzisz tam, gdzie siedzisz, jeśli to rzeczywiście zostało podłączone i jeśli nie jest po prostu żart któregoś z twoich kolegów...

- Albo atrapa - dodał Jerry.

- To co? - spytał Booker. I Chris mu odpowiedział:

- Jeśli to kawał, no wiesz, albo swego rodzaju ostrzeżenie, wówczas nie ma się o co martwić. Ale jeśli ładunek jest uzbrojony, a ty wstaniesz - wybuchnie...

- I nie zdążyłbym wskoczyć do jacuzzi, co?

- Wątpię.

- Może jego stopy zostałyby na podłodze - zawahał się Jerry. - Zostałyby w domu.

Chris przytaknął:

- Tak, ale jego dupa pofrunęłaby nad Ohio.

Jerry odsunął się od fotela w stronę drzwi balkonowych.

- Lepiej obgadajmy to jeszcze trochę.

Booker odwrócił głowę za odchodzącym Chrisem.

- Dokąd to? Hej, do ciebie mówię, skurwielu!

Chris wyszedł na zewnątrz i zamknął za sobą drzwi. Poszedł za Jerryem do najbliższej części wykładanego łupkiem patio, po czym spojrzął za siebie, na skąpane w

popołudniowym słońcu drzwi balkonowe. Ze środka słychać było przytłumiony głos Bookera. Przeszli przez ogród. Jerry poczęstował Chrisa papierosem. Gdy ten wyciągnął jednego z paczki, Jerry podał mu ogień, następnie zaś doszli do podjazdu i zatrzymali się przy garażu na trzy samochody, wolno stojącym w ogrodzie na tyłach domu. Jerry podniósł wzrok i spojrzał na korony wiązów.

- Wreszcie zaczynają wypuszczać pąki - zauważył. - Już myślałem, że zima potrwa do końca maja.

- To mój ulubiony typ domu - powiedział Chris. - W stylu angielskich Tudorów, oczywiście, zanim Booker położył na nim łapę.

- Dlaczego nie kupicie z Phyllis takiego? - spytał Jerry.

- Ona woli mieszkania. To współgra z jej wizerunkiem zawodowym.

- Na pewno skacze z radości, w końcu ma to, co chciała. Chris nie odezwał się.

- Mówię o twoim odejściu z brygady.

- Wiem, o czym mówisz. Jeszcze jej nie powiedziałem. Czekam, aż dostanę nowy przydział.

- Może wydział zabójstw, co?

- Nie miałbym nic przeciwko temu.

- Taa, a Phyllis?

Chris nie odpowiedział. Palili papierosy i słuchali, jak nadjeżdża sprzęt strażacki. W końcu Jerry odezwał się:

- Hej, żartowałem. Nie bądź taki poważny.

- Wiem, co masz na myśli - powiedział Chris. - Phyllis jest typem osoby, która mówi to, co myśli. Jak tylko coś jej nie przypasuje, zaraz ci o tym powie.

- Wiem, wiem - przyznał Jerry.

- Ale nie ma w tym nic złego, no nie?

- Nie krytykuję jej.

- Rzecz w tym, że Phyllis czasem mówi takie rzeczy, jakich nie odważyliby się powiedzieć nawet niektórzy faceci, choć bardzo by chcieli.

- Taa, to dlatego, że jest kobietą - rzekł Jerry. - Nie musi się martwić, że oberwie po pysku.

Chris potrząsnął głową.

- Nie chodzi o to, że chce kogoś poniżyć czy obrazić. Na przykład, jesteśmy w restauracji, jednym z tych modnych miejsc, gdzie kelner przedstawia się gościom. No więc podchodzi do nas taki lalusz i zasuwa: „Cześć, jestem Wally i będę was obsługiwał dziś

wieczór. Czy mogę wam podać koktajl?”. A Phyllis na to: „Wally, czy kiedy skończymy jeść kolację, zabierzesz nas na zaplecze i przedstawiś zmywarce do naczyń?”. I jeszcze dodaje: „Nie obchodzi nas, jak się nazywasz, dopóki tu jesteś pod ręką, kiedy czegoś potrzebujemy”.

Jerry uśmiechnął się, poprawiając swoją baseballówkę Tigerów.

- Dobrze. Doceniam to. Tacy goście mnie dobijają. Zaciągnęli się papierosami. Chris miał zamiar coś powiedzieć - spojrzał na swój niedopałek, przesunął go między kciukiem i palcem wskazującym, by pstryknięciem się go pozbyć - i wtedy wybuch wypchnął na zewnątrz drzwi balkonowe i niektóre okna, spowite kłębamii szarego, lekko zabarwionego na żółto dymu. Stali, patrząc na strzaskane drzwi, na opadający dym i pył, na kawałki szkła i drewna, osmalone zielono-białe szczątki, zalegające całe patio, a cisza dzwoniła im w uszach. Po kilku chwilach ruszyli podjazdem w dół, by dać znać ludziom czekającym przed frontem, że nic im się nie stało.

- Taa, laluuś podchodzi do stolika i mówi, że będzie nas obsługiwał - powiedział Chris.

- Ale musisz zrozumieć, że Phyllis nie próbowała być zabawna, mówiła całkiem serio. Ona już taka jest.

III. ŁOBWZY Z ŻYCIA FERAJNY

W. R. Burnett

Podróżując bez bagażu

Pierwszym i przypuszczalnie wciąż najsławniejszym gangsterem w literaturze kryminalnej jest Cesare Bandello, znany jako Rico - twardy hultaj nikłej postury rodem z Chicago, którego dogłębny wpływ na kryminalną literaturę i film był widoczny przez wiele lat, od chwili gdy zadebiutował w 1929 roku jako bohater powieści W.R. Burnetta pod tytułem „Mały Cezar” („Little Cesar”). Książka ta była pierwszym ważnym dziełem literackim, opowiadającym o potędze świata przestępczego, i została uznana za jedną z najsłynniejszych realistycznych powieści kryminalnych. W osobie Rica, pomniejszego oszusta, który bezwzględnie eliminując swoich rywali, przejmuje kontrolę nad chicagowskim podziemiem, pisarze na całym świecie otrzymali pierwowzór gangstera; jego duch jest stale obecny w późniejszych dziełach spod znaku czarnego kryminału. Chociaż „Mały Cezar” stał się natychmiast bestsellerem, dopiero nakręcony rok później film z Edwardem G. Robinsonem w roli Rica potwierdził legendarny status powieści, a z odtwórcy głównej roli uczynił gwiazdę. Opowieść,

która dostarczyła w pełni przekonującego obrazu gangsterskiego życia, okazała się kolejnym punktem zwrotnym w historii literatury kryminalnej, a to dlatego, że narracja prowadzona była przede wszystkim z punktu widzenia kryminalisty. To rozwiązanie wielu pisarzy będzie naśladować.

William Riley Burnett (1899-1982) ciężko pracował na sukces „Małego Cezara”; pod koniec lat trzydziestych napisał pięć powieści, garść sztuk teatralnych i sporo opowiadań, bezskutecznie próbując je wydać, aż w końcu z rodzinnego Springfield w stanie Ohio przeniósł się do Chicago. Żyjąc w tym mieście w czasach Ala Capone, bez trudu znalazł inspirację dla mrocznych gangsterskich powieści - gatunku, który wkrótce uczyni go sławnym. Po pierwszym sukcesie przyszły następne. Napisał jeszcze kilka powieści i opowiadań, z których większość została sfilmowana: „Człowiek z blizną” („Scareface”, powieść oparta na życiu Ala Capone, zekranizowana w 1932 roku z Paulem Muni w roli głównej), „High Sierra” (filmowa wersja, z Humphreym Bogartem w roli głównej, powstała w 1941 roku) i „Asfaltowa dżungla” („The Asphalt Jungle”, po raz pierwszy sfilmowana w 1950 roku ze Sterlingiem Haydenem i Marilyn Monroe, a później zaadaptowana na potrzeby telewizji jako popularny serial telewizyjny z Jackiem Wardenem). Przez dwadzieścia lat Burnett był także jednym z najlepiej opłacanych scenarzystów w Hollywood, zaangażowanym przy takich produkcjach, jak „Pistolet do wynajęcia” („This Gun for Hire”) na podstawie fabuły Grahama Greene’a, „The Ranket” (1951) i „Sergeants Three” (1962). Zdobył kilka nominacji do Oscara, a w 1930 roku otrzymał nagrodę O. Henry Memorial za opowiadanie „Dressing Up”. W roku 1980 organizacja zrzeszająca autorów prozy kryminalnej Mystery Writers of America uhonorowała go tytułem Wielkiego Mistrza (Grand Master).

Przedrukowane tu opowiadanie „Podróżując bez bagażu” po raz pierwszy ujrzało światło dzienne w 1935 roku. Ta opowieść o młodym człowieku, który wpada w towarzystwo dwóch rabusiów, napadających na banki, a w chwili bieżącej uciekających przed wymiarem sprawiedliwości, mogła być przymiarką do słynnej powieści „High Sierra”, napisanej pięć lat później, w której były skazaniec, także podróżujący na zachód, zostaje wciągnięty w napaść rabunkową i dostaje się w ręce policji.

*

Johnny jadł powoli, rozkoszując się smaczną, gorącą kawą i kanapką drobiowo-wędlinowo-serowo-jarzynową. Początkowo zamierzał zamówić zwykłą kanapkę z szynką, ale zapach gotującego się jadła okazał się silniejszy od chęci zaoszczędzenia paru centów.

Barman podparł się łokciem i patrzył w przestrzeń za plecami Johnny’ego, na szeroką makadamową drogę, skąpaną w blasku zimowego słońca, wiszącego nad Arizoną. Dla barmana Johnny był po prostu jeszcze jednym autostopowiczem. Hordy ich przewijały się każdego dnia; niektórzy zmierzali do Kalifornii, inni na wschód. Tylko jedna rzecz zaciekała go w chłopaku: ubrany był w starą bluzę do gry w pifkę, a na wypłowiałej tkaninie na ramieniu wciąż dało się odcyfrować zarys siódemki, choć sam numer dawno

odpruto. Barman oderwał wzrok od szosy i zaczął sennie przyglądać się Johnny'emu.

- Z daleka?

- Zaledwie z Ohio. - Johnny uśmiechnął się niemrawo. Barman zagwizdał.

- Nosisz futbolową bluzę, zgadza się?

- Aha. Drużyna studentów pierwszego roku, stan Ohio.

- Uniwerek?

- Aha. Grałbym teraz na drugim roku. Jako pomocnik. Ale staremu skończył się szmal.

- Zasuwasz do południowej Kalifornii?

- Aha - odparł Johnny. - Los Angeles.

- Jak każdy.

Rozległ się głośny pisk opon i duży, elegancki sedan zjechał nagle z szosy i ostro zahamował przed stacją benzynową. Wsiadło z niego dwóch mężczyzn. Jeden był duży, barczysty i rudowłosy; drugi mały, wyglądał na wątego, miał wąską twarz i czarne włosy.

- Do pełna, szefuniu! - zawołał ten duży. - Wtrząchniemy co, nieco i za minutkę jesteśmy z powrotem.

- Spójrz, synek - odezwał się barman - gdzież to oni jeździli tą furką. Cała zakurzona.

Dwaj mężczyźni weszli i usiedli przy barze. Ich dobrze skrojone ubrania pokryte były kurzem; mieli przekrwione oczy i wyglądali na kompletnie wykończonych, zwłaszcza ten mniejszy.

- Hej, kolego - powiedział większy - chcemy dwie kanapki firmowe i dużo kawy. I ruszaj się z tym, jasne?

Barman poszedł przyrządzić kanapki. Mniejszy z mężczyzn gapił się przez chwilę na Johnny'ego; następnie nachylił się, by powiedzieć coś szeptem rudemu, a ten niebawem odwrócił się, popatrzył krótko na chłopaka i rzekł:

- Sie masz, mały. Zasuwasz na piechotę?

- Aha.

- Co byś powiedział na podwiezienie dwóch gości do El Portal?

- To mi po drodze.

- Dobra - powiedział duży. - Będziesz miał za to żarcie, jeśli jakieś będzie po drodze, i transport; może i skapnie trochę szmalu, jeśli wyświadczysz nam przysługę. Śpieszy nam się.

- Zrobię, co w mojej mocy. Rudy uśmiechnął się.

- Koleś, będziesz musiał wycisnąć z tej gabloty, ile się da, żeby gnała tak, jak my tego chcemy.

- Uhm - dodał mały. - W El Portal mam chorą żonę. Dostaliśmy telegram, że kto wie, czy nie kopnie w kalendarz, więc chcę się tam dostać jak najszybciej.

- Bardzo mi przykro - rzekł na to Johnny i zaraz dodał: - Nie boję się dać po garach.

- To dobrze - powiedział duży. - Poznajmy się. Mów mi Rudy; to praktycznie jedyne imię, jakie mam. Ten tu chudzielec, mój kolega, to George. A ty jak się nazywasz?

- Johnny.

- Dobra, Johnny. Szamiemy i jedziemy.

Przyszedł barman z kanapkami. Spłaszczowali je i wlali w siebie kawę. Barman obserwował ich z uniesionymi brwiami: nigdy w życiu nie widział nikogo, kto by jadł w takim pośpiechu. Wstali. Rudy rzucił na ladę dolara.

- W porządku? - spytał.

- Jeszcze będzie dla pana reszta.

- Zatrzymaj ją. Idź do jakiejś dobrej restauracji i zamów sobie lunch.

Tamci dwaj szli tak szybko, że Johnny ledwo mógł za nimi nadążyć.

Rudy zapłacił za benzynę, następnie on i George usiedli na tylnym siedzeniu. Johnny wskoczył za kierownicę i z rykiem zapuścił motor. Co to była za fura! Nie prowadził takiej od czasu, gdy był na pierwszym roku w college'u, kiedy jeszcze rynek nieruchomości miał się dobrze i jego tato dysponował kupą pieniędzy.

Barman stanął w drzwiach wejściowych, kiedy Johnny mijał budynek restauracji.

- Szczęściarz, co? - zawołał.

- Ma się rozumieć - odparł Johnny.

W kilka chwil Johnny zostawił to małe arizońskie miasteczko z przydrożną knajpą daleko za sobą. We wstecznym lusterku widział, jak Rudy i George, rozprostowawszy nogi, rozwalili się na poduszkach, z kapeluszami nasuniętymi na oczy. Oba ptaszki były rzeczywiście nieźle zmordowane; już prawie spali.

W pewnym momencie Rudy usiadł nagle i wychyliwszy się do przodu, rzucił okiem na deskę rozdzielczą.

- Dobra robota, koleś - powiedział. - George miał rację - nie wyglądasz na takiego, co to boi się, że mu opona eksploduje. No i bez obaw. To są świetne gumy. Pruj dalej.

Johnny przytaknął i Rudy ponownie ułożył się do snu. Johnny zwalniał, gdy przejeżdżali przez meksykańskie wioski. W kilku miejscach widział niskie indiańskie chaty i siedzące przed nimi grube kobiety. Nie było miast w tej wyludnionej okolicy; tylko garść Meksykan i Indian w gigantycznej dolinie, otoczonej pasmem gigantycznych lawendowych gór.

Z jakiegoś powodu ruch na międzystanowej drodze był niewielki i gdy Johnny zobaczył wolno jadący samochód, zmniejszył nieco szybkość, następnie zwalniał stopniowo, aż prawie stanął. George ani na moment nie przestał chrapać, ale Rudy usiadł natychmiast.

- Nie zatrzymuj się - polecił szorstko.

Johnny wskazał palcem: autostopowiczka w luźnych, brązowych spodniach i zielonym swetrze walczyła z dwoma mężczyznami, usiłującymi wciągnąć ją do swego auta. Za kierownicą siedział trzeci mężczyzna; prowadził wóz z minimalną prędkością, przyspieszając nieznacznie, ilekroć dziewczyna, próbując uciec, wyrwała się do przodu.

- Nieźle sobie radzi - skomentował Rudy. - Mała przejażdżka dobrze jej zrobi. Jedź dalej.

- Nie - odparł Johnny, wciskając pedał hamulca. - Nie pojedę dalej.

Odwrócił się i spojrzał prosto w chłodne, szare oczy Rudego. Ujrzał, jak zaciskają się pięści tamtego; jak falują olbrzymie mięśnie pod rękawem marynarki, ale nie przeląkł się. Dziewczyna potrzebuje pomocy i ją otrzyma.

- Dobra - powiedział Rudy ze znużeniem, odwracając głowę. Potem uśmiechnął się i dodał: - To twoja zabawa, Johnny, ty stary draniu. Zobaczymy, jak sobie dajesz radę.

Johnny wyskoczył z auta i pobiegł w stronę walczącej z napastnikami dziewczyny. Mężczyźni puścili ją, widząc, że Johnny się zbliża, i jeden z nich uniósł pięści.

- Trzymaj się od tego z dala, przyjacielu. Tak będzie lepiej dla ciebie - powiedział jeden z nich. - To moja dziewczyna i właśnie próbowała nawiać.

Johnny zawahał się. Mężczyźni wyglądali na twardych. Ale nie dziewczyna; wprost przeciwnie. Przypominała mu niektóre z tych dziewcząt, z którymi chodził do szkoły tam, w Ohio.

- Co ty na to, siostrzyczko? - zapytał.

- Nigdy wcześniej nie widziałam tych mężczyzn.

- To kłamstwo.

- Dobra - powiedział Johnny. - Zostawcie dziewczynę w spokoju. Spadajcie stąd.

- Co ty powiesz! - odezwał się mężczyzna w samochodzie. Dwaj, którzy zmagali się wcześniej z dziewczyną, doskoczyli teraz do Johnny'ego. Jeden uderzył go za uchem, aż nim obróciło o sto osiemdziesiąt stopni; drugi trzykrotnie mocno go kopnął. W pewnej chwili któryś z nich uderzył go w szczękę i Johnny upadł. Ale wszystko w nim już wrzało, podniósł się więc, by walczyć dalej. Trzeci mężczyzna wyskoczył z samochodu i przyłączył się do bójki. Johnny nigdy wcześniej nie widział tylu atakujących pięści naraz, ale w końcu udało mu się wyprowadzić solidny cios i jeden z mężczyzn wycofał się z walki, trzymając się za

brzuch. Johnny ponownie znalazł się na ziemi. Siedział oszołomiony, patrząc na rażący błękit nieba. Ku jego wielkiemu zaskoczeniu Rudy z szerokim uśmiechem na piegowatej twarzy pojawił się w polu widzenia.

- Niezbyt ci to wychodzi, Johnny - powiedział. Następnie zwrócił się do dwóch mężczyzn, czekających, aż Johnny wstanie: - Hola, hola. Wy dwaj, chłopcy, robicie się zbyt nieokrzesani. Nie wolno tak się bawić. - Odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem.

Mężczyźni spojrzeli po sobie niepewnie. Rudowłosy był wielki jak wół i sprawiał wrażenie niezłego twardziela.

- Ty, dziecinko - zwrócił się Rudy do dziewczyny - oświeć nas w kilku słowach. Sprzeczką rodzinną?

- Nigdy wcześniej nie widziałam tych mężczyzn.

- I nie chciałabyś odjechać z nimi w siną dal?

- Jasne, że nie.

- Nie da rady, chłopaki. Wskakujcie do waszego dzieciennego autka i spadajcie stąd.

- Co ty powiesz - odezwał się jeden z nich markotnie. Niespodzianie Rudy wyciągnął dłonie w ich kierunku, złapał obu mężczyzn za kołnierze marynarek i gwałtownym ruchem zderzył ich twarze ze sobą. Zatoczyli się do tyłu oszołomieni.

- To ci powiem.

Mężczyzna uderzony wcześniej w brzuch już siedział za kółkiem; pozostali wladowali się do środka, ledwo stojąc na nogach. Samochód ruszył.

Johnny, wciąż lekko skołowany; stał, pocierając sobie szczękę. Dziewczyna zbliżyła się i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Dzięki. Cieszę się, że się tu znalazłeś.

- Nie ma o czym mówić.

Rudy spojrział na nich, uśmiechając się sardonicznie; potem powiedział:

- Siostrzyczko, jedziemy aż do El Portal i bardzo się nam śpieszy. Wskakuj, nie mamy całej nocy.

- No cóż... ja... - Popatrzyła na Johnny'ego przez dłuższą chwilę, po czym powiedziała: - W porządku.

Kiedy wsiadali na powrót do samochodu, Johnny przytrzymał dla niej otwarte drzwi.

- Nie chciałabyś jechać tu, z tyłu, ze starym rudzielcem? - spytał Rudy.

Nic nie odrzekła. Nie wiedziała, co powiedzieć. Usiadła obok Johnny'ego.

Johnny długo prowadził w milczeniu. W kilka minut dogonił samochód z trójką mężczyzn i wyprzedził go, trąbiąc klaksonem. Dziewczyna spojrzała na prędkościomierz.

Wskazywał ponad sto dwadzieścia.

- Musisz jechać tak szybko? - spytała.

- Tak - odparł Johnny. - Żona małego jest bardzo chora. I on się boi, że ona może umrzeć. Jest w El Portal.

- Małego? - Spojrzała za siebie. - To zabawny sposób... Czy ci mężczyźni nie są twoimi przyjaciółmi?

- Nie. Podróżuję autostopem do słonecznej Kalifornii. Jestem tu tylko szoferem. Jechali całą noc i są wykończeni.

Znów odwróciła się do tyłu i Rudy obdarzył ją uśmiechem.

- Nie podziękowałam panu - powiedziała. - Dziękuję.

- Rutyna - wyjaśnił Rudy. - Zawsze walczę o damy. Albo one biją się o mnie. Wiesz, jak to jest. Chcesz tu przejść do tyłu?

- Dość - odezwał się George. - Daj małej spokój.

- Czy nie mogę się trochę zabawić?

- Już się zabawieś. Bicie facetów to twoja zabawa. - George jęknął i położył się. - Jestem zmęczony. Tylko półgłówki używają pięści. Jesteś półgłówkiem, Rudy.

Rudy ziewnął i wyprostował nogi, nasuwając kapelusz na oczy.

Zapadło długie milczenie. Monotonny, wypalony krajobraz mknął za oknami. Nagle dziewczyna pochyliła się do przodu i zaczęła płakać.

- Wybacz - powiedziała - ale to było niemal ponad moje siły.

Jadę stopem z Teksasu. Pierwszy raz w życiu. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że sprawy mogą potoczyć się aż tak źle.

Johnny pogłaskał ją po ramieniu. Próbowwała stłumić łkanie. Rudy pochylił się do przodu.

- Johnny! - wrzasnął. - Zostaw dziewczynę w spokoju. Gdzieżeś się wychował? Patrz, do jakiego stanu ją doprowadziłeś.

Johnny odwrócił się lekko w jego stronę.

- Słuchaj... ja...

Rudy wybuchnął śmiechem, zachwycony, opadł na siedzenie i położył sobie kapelusz na twarzy.

- Co za facet! - rzekł Johnny, kręcąc głową. I dodał w stronę nieco już spokojniejszej dziewczyny: - Daleko jedziesz?

- Do El Portal.

- To tam, gdzie my.

- Wiem. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

- Mieszkasz tam?

- Tak. Mój chłopak też tam mieszka. Jest prawnikiem, dopiero zaczyna.

- Każdemu teraz ciężko zacząć.

- Mieliśmy wziąć ślub, ale się pokłóciliśmy. Chciałam iść do pracy. On nie zarabiał dość, byśmy się mogli pobrać. Och, mieliśmy piękną sprzeczkę i ja uciekłam.

Johnny odwrócił głowę, by spojrzeć na nią.

- Taak? Chciałaś iść do pracy, a on ci nie pozwolił? Chętnie zobaczyłbym tego gościa.

- On wygrał. Poddaję się. Ale nigdy mu nie powiem, co przeżyłam.

Odwróciwszy głowę, Johnny wciąż zerkał kątem oka na dziewczynę. Była bardzo ładna ze swymi jasnobrązowymi, falistymi włosami, niebieskimi oczyma i twarzą o wyrazistych, szlachetnych rysach. Zaczynał zazdrościć prawnikowi.

Zbliżali się do granicy stanu Kalifornia i zanurzyli się w prawdziwie pustynny krajobraz. Wielkie piaszczyste wydmy wyrastały po obu stronach drogi. Całymi kilometrami jechali, nie widząc żadnej roślinności. Było wczesne popołudnie i słońce przypiekało z taką intensywnością, jakby to było lato.

George nadal spał spokojnie, natomiast Rudy stwierdził, że już wypoczął, chociaż wydawało się, że spał tylko krótką chwilę, i siedział teraz ze skrzyżowanymi nogami, paląc papierosa i pogwizdując.

Dziewczyna od czasu do czasu spoglądała na ciągnące się kilometr za kilometrem połacie oślepiającego pustkowia, sięgającego potężnych lawendowych gór na północy. W pewnej chwili wzdrygnęła się:

- Jaką idiotką byłam, sądząc, że uda mi się przejechać stopem przez to miejsce. Jest okropne.

- Dość paskudne - zgodził się Johnny, skinąwszy głową.

- Ciarki mnie przechodzą na samą myśl. Powinno być na to jakieś prawo.

- Za dużo już tych praw - wtrącił się Rudy, nachylając się ku nim. - Nigdy nie wiesz, kiedy jakieś złamiesz. No nie, dziecińko?

- Mam na imię Edna - powiedziała dziewczyna. - Nie lubię, jak mnie nazywają „dziecinką”.

- Nie lubisz, dziecińko? To przykre, dziecińko. Ja zawsze mówię do dziecińki „dziecinko”.

Dziewczyna odwróciła się i spojrzała Rudemu prosto w oczy.

- Dlaczego nie może być pan miły?

Rudy opuścił głowę i jego barki zatrzęsły się.

- George - powiedział, szturchając pięścią kompana - ona apeluje do mojej lepszej natury. To mnie wzrusza... Powiedz, Johnny, ile wyciągamy?

- Prawie setkę.

- To zwolnij, aż ten gliniarz nas minie.

Johnny zobaczył policjanta na motocyklu, nadjeżdżającego z przeciwnej strony. Zwolnił stopniowo. Zerknął w tylne lusterko - George siedział teraz wyprostowany, czujny; twarz Rudego była zacięta i groźna. Gdy go mijali, policjant posłał im świdrujące spojrzenie.

- Zawraca - powiedział Rudy. - Zwiej mu, Johnny.

- Mogą tu człowieka przyspilić za przekroczenie prędkości.

- Czujesz się już tak dobrze, Rudy. - George uśmiechnął się szyderczo. - Zmień chłopaka za kółkiem.

- Nie ma na to czasu - odpowiedział Rudy, nachylając się do przodu. - Zwiej mu, młody. Słyszysz? Pięćdziesiąt dolców, jeśli mu zwiejesz.

- To co innego.

Johnny wcisnął pedał gazu aż do samej deski podłogowej i samochód wystrzelił do przodu, z rykiem tocząc się po czarnym makadamie.

Dziewczyna dotknęła jego ramienia.

- Czy myślisz, że?...

- W obecnej sytuacji za pięćdziesiąt dolców wspiałbym się tym gruchotem na drzewo.

- Teraz gadasz jak gość - powiedział Johnny. - Gaz do dechy, chłopcze.

Mijali kilometr za kilometrem, a policjant wciąż jechał za nimi. Jeśli teren się obniżał, tracili go z oczu, ale na równym znów widzieli go za sobą. Napięcie zaczynało dawać się Johnny'emu we znaki; drobne klucia przebiegały w górę i w dół po jego plecach, zdrętwiała mu stopa na pedale przyspieszenia, a przez czubek buta czuł żar silnika.

- Zakręt! - zawołał Rudy. - Gliniarz przyspiesza. Tutaj możemy go zgubić.

Nim Rudy skończył mówić, motocykl policjanta zachwiał się. Albo złapał gumę, albo najechał na kamień na jezdni; motocykl obrócił się, po czym przekoziółkował, wyrzucając policjanta w powietrze, a ten zakreślił w powietrzu długi łuk i wylądował w gąszczu ciernistych krzewów.

- Hura! - zawył Rudy. - Skok na główkę. Piękna robota, Johnny.

- Ależ, na miłość boską... - zaczęła dziewczyna, ale Johnny szturchnął ją łokciem.

Już wiedział, że są w potrzasku. Rudy i George to byli naprawdę źli faceci; teraz był tego pewien.

- Jedź dalej - polecił Rudy. - Pozbyliśmy się szczura, ale jeszcze się może pozbierać.

Johnny spojrział ukradkiem na dziewczynę. Była bardzo zdenerwowana. Roześmiał się dla niepoznaki i spytał o pierwszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy:

- Ten twój chłopak czeka na ciebie? Dziewczyna wzdrygnęła się.

- Nie. To niespodzianka. Myśli, że wciąż jestem w Dallas.

- Cóż, mała niespodzianka. Wkrótce dojeżdżamy. Powodzenia.

- Dzięki. Zamierzasz zatrzymać się na jakiś czas w El Portal?

- Może zostanę na noc. Muszę dostać się do Los Angeles.

- Tobie też życzę powodzenia.

- Dzięki.

Byli już blisko El Portal. Dziewczyna rozpoznała znajomą poszarpaną linię wzgórz na północy i uśmiechnęła się. Zostawili za sobą pustynię i lawendowe góry.

Wtedy George odezwał się:

- Dobra, Rudy. Przejmij kierownicę - zbliżamy się. Johnny zwolnił, gdy mijali niewielką wioskę na obrzeżach miasta. Rudy zaczął przechodzić nad oparciem siedzenia, a Johnny, nadal trzymając stopę na pedale gazu i kierownicę w dłoniach, przesunął się na bok. Dziewczyna zrobiła dla nich obu miejsce.

Dokładnie w chwili, kiedy Rudy przejął kierownicę, usłyszeli ryk silników. Odwracając się, Johnny zobaczył kilka radiowozów wyskakujących z piskiem opon z bocznej drogi na główną szosę.

- To pułapka! - ryknął George. - Gaz do dechy, Rudy. Dziewczyna krzyknęła. George kolbą pistoletu rozbijał tylną szybę. Z trudem łapiąc powietrze, Johnny zepchnął dziewczynę w dół na podłogę, do pozycji klęczącej.

- Zostań tam, kochanie! - zawołał. - Zdaje, że oboje w to wdepnęliśmy.

Zbliżali się do przedmieść. Samochody zjeżdżały posłusznie na pobocze, gdy wielki sedan napierał na nie z prędkością prawie stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Rudy siedział z zaciśniętymi zębami i pedałem gazu wciśniętym do oporu; wykonując tylko nieznaczne ruchy kierownicą, w jakiś cudowny sposób omijał jeden samochód po drugim. Z tyłu za nimi syreny wyły pełną parą.

George podniósł tylne siedzenie i wyciągnął pistolet maszynowy; klęcząc, wystawił lufę przez wybite tylne okno.

- Dokąd prowadzi następna przecznica, dziecinko? - zawołał Rudy, klepiąc dziewczynę dłonią po plecach.

Podniosła wzrok. - Ja...

- Jesteś strasznie pomocna. Jeśli nie zjedziemy z głównej drogi, za chwilę będziemy w centrum miasta.

Dziewczyna wysunęła głowę ponad górną krawędź drzwiczek samochodu i rozglądnęła się po okolicy.

- Proszę skrócić w prawo, w następną przecnicę - powiedziała. - To przelotówka do San Diego.

- Zuch dziewczyna.

Prawie nie zmniejszając prędkości, Rudy wprowadził samochód w szeroki zakręt; opony zapiszczały przeraźliwie, wóz przechylił się, wpadł w poślizg, ale wyszedł na prostą. George'em rzuciło gwałtownie na podłogę.

- Pokaż im, kto tu rządzi, wielkoludzie! - zawołał, gramoląc się z powrotem na górę.

Patrząc wstecz, Johnny zobaczył, jak jeden z policyjnych samochodów, nie wyrabiając na zakręcie, wypada z szosy, a jakiś mężczyzna zostaje wyrzucony przez okno i ląduje na przylegającym do drogi polu. Drugi radiowóz wszedł jednak w zakręt. George zaczął strzelać z pistoletu maszynowego przez tylne okno.

- Facet wali ze strzelby - powiedział spokojnie.

Kula świsnęła tuż obok nich, i jeszcze jedna. Nagle usłyszeli głośny metaliczny brzęk; potem straszliwy odgłos wybuchu.

- No to po ptokach - oznajmił George. - Koniec pieśni.

Strzelający z broni o dalekim zasięgu trafił w tylną oponę. Samochód obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, przechylając się niebezpiecznie, potem wyskoczył z szosy i przekoziółkował na przyległe do drogi pole.

Kiedy Johnny odzyskał przytomność, wnosili go na noszach do więzienia okręgowego. Spojrzał do góry na Rudego, który siedł obok z rękami w kajdankach. Rudy wyszczerzył zęby.

- Niezły ubaw, co?

Johnny zobaczył surowe twarze zastępców szeryfa. Starszy mężczyzna z przebarwionymi od tytoniu wąsami spoglądał na niego z góry.

- W porządku, synu? - spytał, uśmiechając się.

- Chyba tak. Gdzie dziewczyna?

- Właśnie ją zabrali. Nie wiem, co ona z wami robi. To strasznie fajna dziewczyna. Znałem jej ojca.

Johnny usiadł.

- Proszę posłuchać...

- Nie trzeba, synu - powiedział szeryf. - To wszystko się później wyjaśni.

*

Rudy i Johnny zostali zamknięci w pierwszej z brzegu celi, więc przyciskając twarze do krat, mogli obserwować, co się dzieje w biurze szeryfa we frontowej części budynku. George był w celi obok. Z tyłu za George'em znajdowała się izba wytrzeźwień z kilkoma wrzeszczącymi i śmiejącymi się pijakami. Dziewczyny nie widzieli, gdyż zamknięto ją na drugim końcu aresztu, w którym cele ciągnęły się wzdłuż korytarza w kształcie litery L.

Biuro szeryfa było zatłoczone przez całe popołudnie. Prawnicy, zastępcy szeryfa, przeróżni oficjele z władz miejskich, dziennikarze, fotografowie kręcili się tu i tam, a robili przy tym tyle hałasu, że George wstawał co jakiś czas i darł się, żeby byli cicho, bo usiłuje odpocząć.

Areszt nie był oddzielony od biura szeryfa, ale stanowił jego przedłużenie, odgradzony od głównego holu jedynie niską barierką. Przez całe popołudnie różni ludzie tłoczyli się przy barierce, by popatrzeć na słynnych rabusiów, napadających na banki: Rudego Hammonda i George'a (Smutasa) Cooke'a.

Johnny siedział na pryczy, gapiąc się w podłogę.

- Rudy - powiedział - dlaczego nie wypuszczą mnie i dziewczyny? Przecież powiedziałeś im o nas wszystko.

- Marne szanse - odparł Rudy. - Wszyscy trzęsą się ze strachu. Daję dwa do jednego, że oboje staniecie przed sądem. Jasne, że będę zeznawał na twoją korzyść; lubię zeznawać. George też, a on to potrafi sprawić, że każdemu prokuratorowi zrzędzie mina. Bystrzak z niego. Wykaraskasz się, nie bój nic. Ale może czeka cię rozprawa.

- Dziwne, że jej chłopak się nie pokazał.

- A co ty na to, że ona jest już twoją dziewczyną, tylko ty o tym jeszcze nie wiesz?

Johnny nie odpowiedział.

Rudy oderwał się od krat i podszedł do pryczy.

- O co chodzi? - spytał Johnny.

- Nic. Myślałem, że to znowu szef policji. Ale to tylko jeden z woźnych sądowych. Nie poczułeś się lepiej przez tego szefa policji? Chłopcze, mamy tu przyjaciół w tym mieście. Wszystkie szychy chcą, byśmy przyszli i zostali z nimi. Szef policji chętnie by nas widział w tym swoim nowym, doskonale strzeżonym więzieniu. Chłopie, jak ten stary waźniak się nadymał, co nie? Byliśmy jego więźniami. Ha!

- Przymknij się, Rudy! - zawołał George.

- Dobra. - Rudy usiadł i zapalił papierosa.

- Ten szeryf jest w porządku - powiedział Johnny. - Nie traktuje cię jak śmiecia, tak jak wszyscy inni.

- Skądże, jest bardzo przyjazny. - Rudy się zaśmiał; po chwili dodał: - Niech Bóg pobłogosławi jego stare, złote serce.

Johnny nic nie powiedział.

- Kazałem ci się zamknąć. Twoja gęba wpędzi cię kiedyś w kłopoty! - zawołał George.

Rudy skoczył na równe nogi.

- Popatrz... - powiedział.

Strażniczka szła korytarzem, prowadząc dziewczynę. Johnny podbiegł do kraty. Zobaczył wysokiego, chudego, jasnowłosego młodzieńca, czekającego przy barierce.

- Jej chłopak - zauważył Johnny.

- Przegrałem - rzekł Rudy.

Dziewczyna odwróciła się do Johnny'ego i na jej twarzy pojawił się blady uśmiech. Podeszła do młodzieńca. Miał srogie oblicze. Zaczął na nią krzyżeć. Cofnęła się, przestraszona, po czym opuściła głowę. Johnny i Rudy nadstawili uszu, próbując usłyszeć, o czym tamci mówią. Od czasu do czasu udawało im się wyłapać pojedyncze zdanie lub kilka słów: „...Nie podobało ci się tutaj... taki kawał drogi do Teksasu... zadałaś się z gangsterami... co ludzie powiedzą?... Skąd mam wiedzieć, czy naprawdę podróżowałaś autostopem... w samochodzie z trzema obcymi mężczyznami... nawarzyłaś piwa, to je teraz wypijesz... Znieważylaś całą moją rodzinę...”.

Rudy zaśmiał się i zawołał:

- Ale pawianem się okazałeś! Słuchaj no, ta dziewczucha jest uczciwa.

- Twoi koledzy, jak widzę - powiedział młodzieniec, odwrócił się i wyszedł.

Dziewczyna ruszyła korytarzem w ślad za strażniczką.

- Uszy do góry! - zawołał za nią Johnny.

- No to zarwałaś dziewczynę - oznajmił Rudy. - Stary rudzielec miał rację. Widzisz? Już ci wskakuje na kolana.

Johnny usiadł na pryczy. Poczul się lepiej, dużo lepiej. Po chwili, nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął gwizdać.

*

Gdy zjedli i dozorca zebrał cynowe talerze, szeryf nadszedł korytarzem i zatrzymał się przed pierwszą celą.

- Jak leci, chłopaki? - zapytał, uśmiechając się do nich. Nie miał na sobie marynarki,

jako że był to dość gorący wieczór, i można było zobaczyć, że oprócz pistoletu na biodrze ma wielki rewolwer w kaburze pod pachą.

- Facet z dwiema spluwami, co, szeryfie? - powiedział Rudy, szczerząc zęby.

- Kiedyś tak - odparł szeryf. - Pamiętam czasy prawdziwych rewolwerowców. No cóż, chłopcy, śpijcie smacznie. Jedzenie w porządku? Naszym celem - dogadzać.

Zobaczyli, jak przechodzi do frontowej części budynku i siada za biurkiem. Obok niego urzędnik ślęczał nad maszyną do pisania, mozolnie wystukując jednym palcem jakiś list. Nowy dozorca przyszedł na służbę i usiadł przy biurku szeryfa, rozmawiał z nim przez chwilę, po czym się ulotnił.

George, odkąd zjadł, nie przestawał wyglądać przez okno swojej celi.

- Co jest? - spytał Rudy.

- Radiowóz krąży po dzielnicy. Tak jakby robił regularne rundy. Szef policji nie chce ryzykować, jak sądzę. Która?

Rudy przycisnął twarz do krat i zerknął w stronę frontowego biura.

- Dziesięć po szóstej.

Johnny obserwował ich uważnie. Wydawali się czymś podnieceni. Był niemal pewien, że coś planują; co - nie potrafił sobie wyobrazić. Oczywiście Rudy chwalił się, że mają przyjaciół w El Portal, ale Johnny pomyślał, że to pewnie żart. Poza tym „przyjaciele”, nawet jeśli rzeczywiście są jacyś, zwykle nie szturmują więzień. Lecz dlaczego tak spieszo im było do El Portal? Uciekali przed czymś czy raczej do czegoś? Johnny przyglądał się, jak Rudy spaceruje wolno tam i z powrotem.

- Ilu zostało? - spytał nagle George.

- Trzech - odpowiedział Rudy. - Ale urzędas się nie liczy, a klawisza nie widzę.

Zapadła długa cisza. Nagle Rudy podskoczył i wyszeptał:

- W porządku, George.

Przyciskając twarz do kraty, Johnny zobaczył trzech dobrze ubranych mężczyzn wchodzących szybkim krokiem do budynku. Szeryf, który właśnie czytał gazetę, stanął na równe nogi. Ale mężczyźni już trzymali w dłoniach wycelowaną w niego broń. Wytworny niewysoki człowieczek w dopasowanym, błękitnym garniturze wydawał się ich przywódcą.

- No więc, Buffalo Bill - odezwał się - łapy do góry. Wyżej, wyżej.

Szeryf stał z otwartymi ustami, ręce mu drżały.

- Gdzie jesteście, chłopaki? - wrzasnął jeden z mężczyzn.

- Zaraz z tyłu! - zawołał Rudy. - Dorwijcie klawisza. - W podnieceniu zaczął potrząsać drzwiami od celi, zupełnie zapominając o Johnnym, który wciąż trzymał twarz

przyciśniętą do kraty.

- Gdzie on jest?

- Poszukajcie go. Nie może być daleko.

Mężczyzna w błękitnym garniturze wrzasnął na szeryfa:

- Gdzie dozorca?

- Nie wiem.

- Przypomnij sobie szybko. Johnny wstrzymał oddech.

- Nie powiem ci.

- Szukajcie go, szukajcie go! - darł się Rudy.

Mężczyzna w błękitnym garniturze uderzył szeryfa w głowę lufą rewolweru, a ponieważ szeryf nie upadł, uderzył go ponownie.

Johnny zazgrzytał zębami.

Zataczając się, szeryf sięgnął po broń. Mężczyzna w brązowym garniturze skoczył natychmiast do przodu i uderzył szeryfa pięścią w szczękę. Szeryf opadł na krzesło. Pomimo jego brawury widać było, że jest starym człowiekiem; z głowy spadł mu kapelusz, a rzadkie siwe włosy sterczały we wszystkich kierunkach. Mężczyzna w brązowym garniturze rozbroił go, następnie pochylił się i jeszcze raz zdzielił go pięścią.

- Gadaj, stary capie!

Lecz wtedy mężczyzna w błękitnym garniturze zawołał:

- Tam jest klawisz!

Johnny usłyszał krzyk dozorca.

Po chwili zobaczył, jak dwaj mężczyźni ciągną go korytarzem. Urzędnik zemdlął i padł na blat biurka, przewracając kałamarz.

Johnny widział, jak atrament kapie na podłogę.

Dozorca, blady jak trup, ponaglany przez zdenerwowanych już teraz gości, niezdarnie otworzył drzwi celi Rudego, potem George'a. Rudy wyskoczył na korytarz. Mężczyzna w błękitnym garniturze wręczył Rudemu pistolet, po czym odwrócił się i uderzył dozorcę w głowę lufą rewolweru. Dozorca osunął się bezwładnie na podłogę. George odebrał pistolet maszynowy Thompsona od jednego z mężczyzn i wszyscy ruszyli korytarzem. Mężczyzna w błękitnym garniturze odwrócił się.

- A co z tym małpisonem? - spytał, wskazując kciukiem na Johnny'ego.

- Nie zwracaj na niego uwagi - zawołał Rudy - to mięczak! Zabierajmy się stąd.

Johnny stał przy drzwiach celi, nie wiedząc, co zrobić. Trząsł się cały z podniecenia i gniewu. Te wredne, godne pogardy bydlaki w taki sposób potraktowały miłego, starszego

człowieka; zwyczajne, bezmyślne okrucieństwo; całkiem niepotrzebne; mogli równie dobrze włamać się do więzienia bez całej tej przemocy.

Mężczyzna w brązowym garniturze zabawiał się, kilkakrotnie bardzo mocno bijąc szeryfa po twarzy. Johnny widział, jak cios odrzucił starego szeryfa; jak jego nos zaczął krwawić. Stracił głowę. Pognał korytarzem, zaatakował George'a od tyłu, a kiedy ten upadł, chwycił jego pistolet maszynowy i przyklękął. George'a atak zwałił z nóg i leżał teraz, jęcząc.

- Spadamy! - ryknął mężczyzna w błękitnym garniturze. - Czy to nie syreny słyszać?

Rudy popatrzył na George'a i oddał dwa strzały w stronę Johnny'ego, dwa strzały na chybił trafił - kule poszły daleko od celu. I wtedy pistolet maszynowy w rękach chłopaka zaczął żyć własnym życiem. Prawie nieprzytomny ze strachu i oszołomiony gwałtownym odrzutem broni, bezskutecznie próbował przestać strzelać; z lufą skierowaną ku górze, rozsiewał ołów po ścianach i suficie aresztu. Mężczyźni wybiegli, krzycząc. Rudy odwrócił się i ponownie wypalił, znów niecelnie; w końcu i on wybiegł. Pistolet maszynowy wysliznął się Johnny'emu z rąk i uderzył go w brzuch, przewracając na ziemię; wtedy zamilkł.

Johnny usłyszał wycie syren i ryk mocnego silnika uciekającego samochodu; podniósł się niezdarnie na nogi i podszedł do szeryfa.

- Czy wszystko w porządku? - zawołał.

- Cóż - odpowiedział szeryf, próbując się uśmiechnąć. - Że wszystko w porządku, tobym nie powiedział, ale wciąż tutaj jestem.

*

Sędzia pochylił się do przodu, by przyjrzeć się Johnny'emu i dziewczynie, którzy byli nieco zdenerwowani i stale spoglądali na siebie. Sędzia był młodym człowiekiem o twarzy komedianta.

- Sprawa umorzona - oznajmił, a następnie pogroził palcem. - Mógłbym teraz powiedzieć, że to winna być dla was nauczka. Ale wiem, że nie będzie. Nic nigdy nie jest nauczka dla nikogo, i jeśli to brzmi jak filozoficzne przesłanie, skorzystajcie z niego w pełni. To była bardzo ładna rzecz, to, co zrobiłeś, stając w obronie starego Jima Hughesa, ale dlaczego nie mogłeś po prostu użyć rewolweru! Doprowadzenie aresztu do porządku będzie nas kosztować pięćset dolarów i być może potracimy ci je z twojej nagrody.

Pomocnik sądowy odwrócił się do szeryfa i mrugnął porozumiewawczo, a wtedy obaj wybuchnęli śmiechem.

- Proszę uszanować powagę sądu - powiedział sędzia. - Inna sprawa, że gdyby Jim Hughes był demokratą, lubiłbym go bardziej, ale myślę, że po prostu pomylił się już na

samym początku. Jak mówiłem, sprawa umorzona.

- Dziękuję, wysoki sędzie - powiedział Johnny, uśmiechając się.

Szeryf stanął pomiędzy nim a dziewczyną i objął ich.

- Nie przypuszczam, abyś miał ochotę przejść się zobaczyć twoich przyjaciół w nowym więzieniu miejskim, co? - Zaśmiał się, lecz zaraz jęknął i potarł dłonią szczękę. - Tamten gościu rzeczywiście miał twardą rękę. Musiał zajmować się jakąś uczciwą robotą, zanim zaczął używać spluwy. A wy, dzieciaki, chodźcie zjeść lunch ze mną i z moją panią. Chce was poznać. Co wy na to?

- No cóż, wpiery muszę się zobaczyć z pewnym gościem.

- Jakim gościem? - spytała dziewczyna.

- No jak to? - powiedział Johnny. - Z tym twoim chłopakiem. Czuję się odpowiedzialny za to, że cię w to wszystko wciągnąłem, więc pomyślałem, że powinienem...

- Poprosić go, by przyjął mnie z powrotem?

- Cóż, myślałem...

Szeryf stał, patrząc na nich i uśmiechając się lekko.

- Co z ciebie za idiota! - powiedziała dziewczyna, po czym odwróciła się do szeryfa. - Tak, przyjdziemy na lunch.

James M. Cain

Sielanka

Pisarzem, który miał rozwinąć pomysł W.R. Burnetta, by snuć opowieść, przyjmując punkt widzenia kryminalisty, był James M. Cain, kolejny prawdziwie oryginalny twórca na polu kryminalnej fikcji. Już pierwsza powieść „Listonosz dzwoni zawsze dwa razy” („The Postman Always Rings Twice”), wydana w 1934 roku, zapewniła mu nieprzemijającą sławę. Ta historia młodego włóczęgi, który pożąda żony podstarzałego właściciela kawiarni, a następnie wraz z nią planuje zamordowanie jej męża, natychmiast stała się bestsellerem i wkrótce potem została sfilmowana. Cain różnił się od poprzedników - w szczególności Dashiella Hammetta i Raymonda Chandlera, uporczywie porównywanych z nim przez recenzentów - tym, że z większości, jeśli nie ze wszystkich swoich postaci, uczynił osobników prawdziwie nieprzyjemnych, ukazując emocje i działania, które miały doprowadzić ich w końcu do popełnienia zbrodni. Chris Steinbrunner i Otto Penzler tak to wyjaśniali w „Encyclopedia of Mystery and Detection” (1976): „Gdy Hammett lub Chandler pisali o dobrych i złych zarazem, wrażliwych, choć twardych detektywach, próbujących uporządkować zamęt wywołany przez czyjś akt przemocy lub czyjąś chciwość, Cain tworzy dwuwymiarowe postaci, zainteresowane tylko samymi sobą i motywowane przez pożądanie pieniędzy, seksu czy jakąś formę snobizmu. Są to

ludzie zepsuci, na wskroś źli, a Cain nie okazuje im litości”. Biograf pisarza, David Maddern, poszedł jeszcze dalej i nazwał Caina „podwójnie utwardzonym przedstawicielem szkoły twardego kryminału”.

James Mallahan Cain (1892-1977) zrazu zdawał się bardziej predestynowany do każdej innej profesji niż do tego, by stać się „poetą tabloidowych morderstw”, jak później nazwie go krytyk Edmund Wilson. Jego własną młodzieńczą ambicją było zostać śpiewakiem operowym, ale zamiast tego rodzice zachęcili go do zawodu nauczyciela; przez kilka lat nauczał matematyki i języka angielskiego, po czym zdecydował się rozpocząć karierę dziennikarską. Pisywał bezkompromisowe felietony do „Baltimore Sun”, potem do „New Yorker Word”, ale rozmaite redakcyjne ograniczenia do tego stopnia go drażniły, że przerzucił się na pisanie fikcji. Sukces powieści „Listonosz dzwoni zawsze dwa razy” (po raz pierwszy zekranizowanej w 1946 z Johnem Garfieldem i Laną Turner) zapewnił mu swobodę twórczej ekspresji i dał szansę wywarcia znaczącego wpływu na rozwój gatunku. Sam był równie twardym osobnikiem jak ludzie, o których pisał, co skomentował H.R.F. Keating w takich oto słowach: „Cain był człowiekiem wielkiego formatu, tak samo zapalczywym i stanowczym jak jego bohaterowie. Walczył o to, co uważał za słuszne, i był kimś, kogo w bójce chciałbyś mieć po swojej stronie”. Podobnie jak W.R. Burnett, został zaangażowany przez Hollywood do pisania scenariuszy, a także doczekał się chwili, kiedy ekranizacje dwu jego kolejnych książek „Podwójnego ubezpieczenia” („Double indemnity”) i „Mildred Pierce”, okazały się kasowymi hitami. Niemal do ostatnich lat uprawiał swój rodzaj kryminalnego pisarstwa z jego unikalną wizją natury ludzkiej. „Sielanka”, pomimo złudnego tytułu, nie powinna zwieść czytelnika - to opowieść o namiętności i zbrodni, napisana w 1945 roku w typowym dla Caina stylu. Jest fascynująca także z powodu niewątpliwych podobieństw do przełomowej powieści „Listonosz dzwoni zawsze dwa razy”, powstałej ponad dekadę wcześniej.

*

Cóż, widzi mi się, że Burbie zadynda. A jeśli zadynda, to wszystko przez to, że zawsze se myślał, jaki to on okropnie mądry.

Bo widzisz, ten Burbie, on miał ze szesnaście, jak wyjechał z miasta. Nawiał z jedną z tych wędrownych trup, „East Lynne” się chyba nazywała, i nie było go zaś jakie dziesięć lat. A jak wrócił, to mu się zdawało, że wszystkie rozumy pozjadał. Ten Burbie to miał takie wodniste, niebieskie ślipia, co mu z pyska prawie wyleźć na wierzch chciały, a dla zabicia czasu to siadał i słuchał, jak chłopaki gadają, w sali z bilardem albo u fryzjera, albo w paru jeszcze miejscach, gdzie wysiadywał, a potem mrugał tak do ciebie, że to niby oni wszyscy robią z siebie głupoli, albo gorzej, a on jeden o tym wie, nikt inny.

Jeśli idzie o to, co Burbie miał zaś pod sufitem, oj, tego nie było za dużo. Pewnie, że generalnie zawsze miał robotę, malowanie albo pomaganie przy nowym domu, takie tam, ale co lubiał robić, to grać w baseball z drużyną z ogólniaka. Mieli z tego niezłe zadymy, bo Burbie był taki stary, że nikt chyba nie wierzył, że on chodzi do szkoły, i tamte inne drużyny

cały czas podnosiły raban. Więc już nie mógł więcej grać. A druga rzecz, jaką lubiał robić, to śpiewać na festynach. To, zdaje mi się, lubiał najwięcej ze wszystkiego. Bo gadał, że cały ten czas, co go nie było, występował na scenie, i myślę, że tak właśnie było, bo całkiem dobrze mu szło, a najlepiej, jak się przebrał za głupiego Jasia w dawnym stylu i wychodził i mówił taki kawałek, co go dobrze znał.

Więc jak wrócił do miasta, to się spotykał z Lidą, i to było naturalne. Bo Lida była mniej więcej tym wśród kobiet, czym Burbie wśród mężczyzn. Pracowała w sklepie: sprzedawała kobietom pasmanterię, a na boku robiła jakieś tam kapelusze. Ale nie siedziała w tej pasmanterii dłużej, niż musiała, o nie. Zwykle leciała tam, gdzie chłopacy pili coca-colę i cały czas gruchała z nimi, a to, czy wolą pić z cytrynką, czy kropelką amoniaku, a to czy ona może wypić łyżeczka z ich szklanki. Ale myślała ino o ciuchach, które miała na sobie, i czy ma jaką randkę w sobotę wieczór. A te ciuchy to były prima sort, i sama se je robiła. A słyszałem też, jak mówili, że nietrudno było się z nią na randkę umówić, a jakżeś się już z nią umówił, ech, zawiedziony nie byłeś. A dlaczego Lida poślubiła starego człowieka, tego nie wiem; tyle wiem, że znużyła ją praca w sklepie i napatrzyła się na tę farmę, gdzie stary mieszkał, jakie dwie mile za miastem.

Kiedy Burbie wrócił, była już prawie rok po ślubie i przy nadziei. Więc ona i on jęli spotykać się ze sobą w sadzie za domem starego. Stary włożył do łóżka zaraz po kolacji, a wtedy ona wymykała się, i dawaj do sadu spotkać się z Burbiem. I nikt nie miał o tym wiedzieć. Tyle że wszyscy się i tak wywiedzieli, bo Burbie, jak wracał do miasta koło jedenastej w nocy, to wpadał do sali z bilardem i siadał se tam jakby nigdy nic. I wtedy ktoś pytał:

- Hej, Burbie, gdzieś ty się podziewał?

A Burbie tak się trochę porozglądał i wybierał se jednego i dalej mrugać do niego porozumiewawczo; i tak Burbie nagłośnił pięknie sprawę.

Więc, jak mówi Burbie, a gada teraz dużo, odkąd w więzieniu zrobił się religijny, nie minęło wiele czasu, gdy on i Lida wpadli na pomysł, żeby zabić starego. Wykoncypowali, że stary tak czy owak długo nie pociągnie, więc mógłby równie dobrze pójść do piachu teraz, zamiast czekać kilka lat. I jeszcze jedno: stary jakoś skapował, że coś jest na rzeczy, i oni zestrachali się, że jak wyrzuci Lidę, to nie będzie łatwa sprawa dorwać się do jego majątku, nawet jeśli by umarł w naturalny sposób. I jeszcze jedno: do tego czasu Klux coś jakby zaczął rozpowiadać to tu, to tam, więc Burbie pomyślał, że lepiej zrobi, jak ożeni się z Lidą, bo inaczej znów będzie musiał wyjechać z miasta.

Oto jak do tej roboty wciągnął Hutch. Bo widzisz, bał się sam zabić starego i

potrzebował pomocy. I wtedy wpadł jeszcze na to, żeby Lidy nie było nigdzie w pobliżu, gdy to się stanie, i żeby wyglądało to na rabunek. Gdybym to ja był na jego miejscu, nie mieszalbym do tego Hutcha. Bo Hutch - ten to był podły. Też go nie było jakiś czas w mieście, ale jego nieobecność to nie to samo, co jak Burbiego nie było. Hutch *musiał* wyjechać. Zabrali go za rozprucie worka z pocztą - bo wtedy jeździł wozem pocztowym ze stacji do miasta - i zanim wrócił, przesiedział dwa lata w Atlancie.

To mam więc na myśli, że był nie tylko nieuczciwy, ale że był też podły. I miał wredny wygląd również; jak zamówił se kilka sadzonych jaj w restauracji, siadał i jadł je z głową nisko zwieszoną i ramieniem wokół talerza, jakby bał się, że ktoś mu je ukradnie, a nóż trzymał tak z kciukiem przy końcu ostrza. Nikomu zaś nie chciało się gadać z Hutchem, i myślę, że dlatego nic nie słyszał o Burbiem i Lidzie; łyknął więc wszystko, co mu Burbie naopowiadał o starym i jego garnku pełnym grosza, schowanym w kominku w pokoju na tyłach domu.

Jednej nocy na początku marca Burbie i Hutch pojechali, gdzie trzeba, i zrobili robotę. Burbie to najpierw usunął Lidę z pola widzenia. Rozpowiedziała wszem wobec, że do dużego miasta jedzie kupić parę rzeczy, i pojechała linią numer sześć, tak żeby wszyscy widzieli, że jedzie. Widział też Hutch, i zaraz popędził do Burbiego, że teraz jest dobry czas, i o to właśnie Burbiemu chodziło. A ona i Burbie wcześniej wsadzili pieniądze do garnka, żeby Hutch nie pomyślał, że to lipna robota. Więc wsadzili dwadzieścia trzy dolary do garnka, wszystko w jedno-, pięcio - i dziesięćcentówkach, żeby wyglądało na kupę grosza, a poza tym to był cały pieniądz, jaki Burbie miał. Mógłbyś powiedzieć, że to były oszczędności jego życia.

I wtedy Burbie i Hutch wzięli konia i wóz, co to należały do Hutcha, bo Hutch wtedy na powrót zaczął powozić, i wyruszyli do domu starego. Tyle że pojechali tylną drogą i przywiązali konia z tyłu domu, coby nikt ich z drogi nie widział, i zapukali do tylnych drzwi, udając, że przejeżdżali tędy, wracając do miasta, i przystanęli się zagrzać, bo zimno było jak diabli. Więc stary ich wpuścił i dał im do picia, co tam miał mocnego cydru, i jeszcze trochę bardziej się wtedy ubzdryngolili. Bo nieźle ubzdryngoleni już przyszli, jako że obaj po pół litry zboża mieli po kieszeniach, tak na odwagę.

Wtedy Hutch zaszedł starego od tyłu i walnął go przez łeb kluczem nastawnym, co to go pod płaszczem był ukrył.

*

A potem Hutch rozeźlił się na Burbiego okropnie, bo w garnku nie więcej niż dwadzieścia trzy dolary było. Nic nie powiedział. Usiadł jeno i siedział tak, patrząc to na

wytrząsaną z garnka kupę pieniędzy na stole, to na Burbiego.

I wtedy Burbie dalejże go zmiękczać. Mówi, że niech ja skonam, ale myślał, że w garnku z tysiąc dolarów będzie, zakładając, że stary był taki bogaty, jak był. I mówi dalej, że niech ja skonam, ale to też jest dla niego wielka niespodzianka, co tak mało tam grosza. I mówi jeszcze, że niech ja skonam, ale źle się z tym czuje, bo to był jego pomysł. I mówi jeszcze, że niech ja skonam, ale to wszystko jego wina i że pozwala Hutchowi zatrzymać wszystkie pieniądze - niech go cholera, jeśli nie pozwala. On sam nic se nie weźmie, bo się tak źle z tym czuje. A Hutch nic nie mówi, ino patrzy na Burbiego i patrzy na pieniądze. I dokładnie w połowie tego mówienia Burbiego usłyszeli kupę wrzasku na zewnątrz przed domem, i jak ktoś trąbi klaksonem samochodu. Hutch skacze na równe nogi, zgarnia forszę i klucz nastawny ze stołu do kieszeni, a garnek chowa na powrót do komina. A potem chwytą starego i on i Burbie wynoszą go przez tylne drzwi, na wóz go ładują i odjeżdżają stamtąd. A jak to się stało, że odjechali niewidziani przez tych przed domem - ano tak, że przyjechali tylną drogą i tą samą drogą odjechali. A ci w samochodzie to była kupa staruchów z kościoła metodystów, co, to jakoś wywieźli się, że Lidy w domu nie ma - a nie byli zbyt dobrego mniemania o Lidzie - i przyszli się teraz przywitać ze starym. A kiedy weszli i nic nie zobaczyli, pomyśleli, że może stary pojechał do miasta, więc i oni się wrócili.

Tak więc Hutch i Burbie mieli kłopot jak diabli, bez dwóch zdań. No bo byli tam, gdzie byli, jechali ze starym na wozie, a dokąd jechać i co ze starym zrobić, na to nie mieli więcej pomysłu niż łysa kaczka. Więc Burbie ją pochlipywał, a Hutch, jak siadł na koźle, tak siedzi, koniem powozi i nie mówi nic.

Wkrótce zaś dojechali do miejsca, gdzie akurat budowali kawałek drogi powiatowej i wszystko było rozkopane, i całe mnóstwo skrzyń z narzędziami leżało na poboczu. Więc Hutch wysiada i kluczem nastawnym wrywa kłódkę u jednej skrzyni, i wyjmuje ze skrzyni kilof i łopatę, i rzuca je na wóz. Potem wsiadł na powrót i jechał kawałek, aż dojechał do Lasu Rzężącej Niani, co to go duch, jak powiadają, nawiedza w noc ciemną, a co to rośnie trzy mile od farmy starego. I Hutch skręca w las ów ciemny i wkrótce dojeżdża to jakowejś polany i tam staje. I wtedy pierwszy raz do Burbiego się ozwał, i mówi:

- Kop ten grób!

Więc Burbie grób kopał. Przez dwie godziny kopał, aż zmęczył się tak okrutnie, że ustać na nogach już nie mógł. A dziury tyle było co nic. Bo ziemia tam strasznie zmarznięta była i nawet kilofem ledwo szło się w tę grudę wgrzyźć. No to Hutch kazał mu przestać i wrzucili i przysypali starego. Ale jak go już przysypali, głowa wciąż wystawała. Więc Hutch wdeptał tę głowę w dół porządnie i zrobił na niej kopczyk z ziemi, a wtedy wsiedli na wóz i

pojechali.

A jak przejechali kawałek, Hutch ją przeklinać Burbiego. Potem powiedział, że Burbie go okłamał. A Burbie - Burbie przysięga, że nie kłamał. Wtedy Hutch - że Burbie jednak kłamał, i buch go w łeb. Potem powalił go na podłogę wozu i dalej go kopać, ale Burbie szybko wstał i powiedział mu o Lidzie. A kiedy Burbie skończył mówić mu o Lidzie, Hutch zawrócił konia. Burbie zapytał tedy, po co wracają, a Hutch na to, że wracają po prezent dla Lidy. Więc wrócili do grobu i Hutch kazał Burbiemu odrąbać łopatą głowę starego. Burbiemu zrobiło się niedobrze od tego, ale Hutch nie kazał przestawać i po chwili głowa była odrąbana. Więc Hutch rzucił ją na wóz i oni wsiedli, i jeszcze raz ruszyli z powrotem do miasta.

Cóż, ledwo wyjechali z lasu, gdy Hutch pociągnął zboża z butelki i począł się drzeć. Bredził sam do siebie, cały czas o tym, jak to każe Burbiemu wsadzić głowę starego do pudła, przewiązać sznurkiem i zanieść Lidzie w prezencie, coby miłą niespodziankę miała, gdy je otworzy. Zaraz jak Lida wróci, mówi, Burbie musi to zrobić, a potem on zabije Burbiego.

- Zabiję cię! - mówi. - Zabiję cię, cholero! Zabiję cię! - I powtarza to, jakby piosenkę jaką śpiewał, znowu i znowu.

A potem bierze jeszcze jeden haust zboża, wstaje i wyje. I okłada konia batem, a koń bieć zaczyna. Znaczy się, galopem rusza. A Hutch okłada go jeszcze bardziej. I dawaj wrzeszczeć, najgłośniejsz jak umie.

- Dalej, kowboju! - drze się. - Na wschód! Oto jedzie stary wyga! Heja-eja-eja-ho!

I ma się rozumieć, pędzą tak drogą, koń gna na złamanie karku, Hutch się wydziera, głowa się toczy po dnie wozu, i podskakuje, gdy wóz na wybój jaki najedzie, a Burbie umiera ze strachu, ilekroć głowa wpadnie na jego stopy.

Po jakimś czasie koń zmęczył się tak, że nie mógł już więcej bieć, i musieli zwolnić. Hutch usiadł i dalejże pojękiwać i stękać. No więc Burbie po łbie się czochra, co by tu, do cholery, zrobić z tą głową. I całkiem szybko przypomina se o potoku, przez który będą przejeżdżać, co to go nie mijali w tamtę stronę, bo inną jechali drogą. Wymyślił, że zrzuci głowę z mostu, jak Hutch patrzył nie będzie. I tak też zrobił. Dojechali do mostu, a jest tam wzgórze niewielkie, jak się do potoka dojeżdża, i gdy wóz się przechylił, z tego wzgórza niewielkiego zjeżdżając, a głowa potoczyła się Burbiemu między stopy, to on ją tam zatrzymał; a jak pośrodku mostu byli, sięgnął po nią i cisnął ponad deskami wozu.

Zaraz po tym Hutch wydał okrzyk i upadł na dno wozu. To, co usłyszał, brzmiało bowiem jak wystrzał z pistoletu. Bo widzisz, Burbie zapomniał se, że to zimna noc i potok skutu lodem. Nie bardzo był skutu - taka cienka warstewka lodu, na cal jeno gruba - ale dość,

bo jak weń głowa uderzyła, to rozpękł się z hukiem wielkim i w różnych kierunkach. Oto co przeraziło Hutcha. Więc kiedy podniósł się i zobaczył w świetle księżyca, że głowa siedzi tam na lodzie, od razu pojął, co Burbie zrobił, i oznajmił, że zabije go teraz zaraz, tak jak stoi. I sięgnął po kilof. Ale Burbie wyskoczył i zaczął uciekać, i nie zatrzymał się, aż dotarł do domu, do miejsca, gdzie mieszkał, i zamknął drzwi na klucz, i wlażł do łóżka, i naciągnął wszystkie pierzyny na łeb.

Cóż, następnego ranka chłop jeden przybiegł do miasta i mówi, że piekielna afera jakaś przy moście. Więc poszli my tam wszyscy i pierwsza rzecz, jaką widzimy, to głowa na lodzie, jakby trochę przekrzywiona na jedno ucho. Następną rzecz, jaką widzimy, to wóz i koń Hutcha, uwiązany do barierki mostu, a koń prawie zamarznięty na śmierć. A następną rzecz, jaką widzimy, to dziura w lodzie, przez którą przeleciał Hutch. A następną rzecz, jaką widzimy tam na dole, obok jednego z filarów mostu, to Hutch.

Więc pierwsza rzecz, za którą my się wzięli, to było wydostać głowę. I uwierz mi, głowa leżąca na cienkim lodzie to cholernie trudna sprawa do wydostania, i my musieli ją łapać na łąso. Następną rzecz, jaką my zrobili, to było wydostać Hutcha. A jak my go już wyłowili, to okazało się, że ma w kieszeniach klucz nastawny i dwadzieścia trzy dolary i pół litry zboża na biodrze, a sztywny był przy tym jak deska. I o ile domysł mnie nie zwodzi, stało się tak, że jak Burbie uciekł, to on spuszczał się po filarze mostu, by sięgnąć po głowę, i spadł.

Ale wtedy my o tym nic nie wiedzieli; lecz jak już wydostali my tę głowę i wiadome było, że stary nie żyje, a jeszcze kilku chłopaków znalazło tego popołudnia ciało, co nie miało głowy, a i garnek znaleziono, a i tamte stare z kościoła metodystów opowiedzieli swoją historię, to my po nitce do kłębka doszli, że Hutch to zrobił, zwłaszcza że ani chybi był pijany i kiedyś już siedział w zakładzie karnym, i wszystko nam pięknie spasowało, a nikt nawet nie pomyślał o Burbie. Mieli pogrzeb i Lida płakała jak diabli, a wszyscy zachodzili w głowę, o co to chodziło Hutchowi z tą głową, i sprawy tak się mniej więcej miały przez dobre trzy tygodnie.

Później, jednej nocy w sali z bilardem, rozmawiali my jeszcze o tej głowie, jeden mówił to, drugi tamto, a Benny Heath, co to był takim jakby konstabłem w mieście, zaczął długi i mylny wywód o tym, jak to Hutch musiał se umyślić, że jeśli nie znajdą głowy do ciała, nie mogą udowodnić zbrodni. I dokładnie w środku tego Burbie popatrzył dookoła po wszystkich, jak to miał w zwyczaju, i dalejże okiem znacząco mrugać. A Benny Heath mówił dalej, ale jak skończył, Burbie tak jakoś pochylił się i do niego przemówił. I za chwilę nie usłyszałbyś, że ktoś tu oddycha - tak wszyscy Burbiego słuchali.

Już ci mówiłem, że Burbie był niezły, jak przyszło zasunąć gadkę na festynie. To tutaj to też była niezła gadka. Burbie zasunął, jakby wyuczył się wszystkiego na pamięć. Głos mu się dygotał, a przez kilka minut to on nawet jakby płakał, i ocierał oczy, i udawał, że nie może powiedzieć nic więcej, lecz mówił dalej.

A główna myśl była taka, że cholernie wiele namarnował w swoim życiu. Że to picie i kobiety go zrujnowały. O wszystkich kobietach gadał, jakie znał, i o wszystkich barach, w jakich bywał, a część z tego to jawne kłamstwa były, bo jeśli wszystkie te bary naprawdę takie, jak mówił, eleganckie, to szybko by go z nich wyrzucili. A potem powiedział, jak mu przykro, że prowadził takie życie, i że niech ja skonom, ale przybył do swojego starego rodzinnego miasta skończyć z łajdaczeniem; i powiedział o Lidzie, i że to ona nie dała mu zerwać z tamtym życiem. A potem powiedział, że ona go tyle podpuszczała i podpuszczała, aż wpadł na pomysł, by zabić starego. A potem powiedział o tym, jak on i Hutch to zrobili, i wszystko o pieniądzu, i o głowie, i całą resztę.

A brzmiało to jak kawałek, który dobrze znał, zwany „Twarz na podłodze”, o takim dupku, co to wyrysował na podłodze w barze obrazek kobiety, która go zrujnowała. Tyle że to tutaj o tyle więcej śmieszne było, że Burbie ani trochę nie wstydził się za siebie, tak jak udawał. Pomyślałbyś nawet, że jest z siebie dumny. A był - był dumny z tych wszystkich kobiet, i wszystkiego alkoholu, jaki wypił, i dumny był, jeśli idzie o Lidę i starego, i głowę, i że był dość cwany, żeby nie wpaść do potoka razem z Hutchem. A kiedy skończył, zaskamlał i klapnął na podłogę i chyba roił se, tak myślę, że umrze na miejscu - jak ten dupek, co narysował twarz na podłodze w barze - ale nie umarł. Tak jakoś kilka minut leżał tam, póki Benny go nie podniósł i nie wsadził do auta, i nie zabrał do więzienia.

To tam właśnie jest teraz, i poszedł tam do pracy, i stał się religijny, i wszyscy ludzie, co przychodzą się z nim widzieć... śpiewa tym ludziom hymny, a potem zasunął im swoją gadkę. A słuchy mię doszły, że umie ją już całkiem dobrze, a płacz wychodzi mu doskonale. A Lida, ją też przymknęli, tyle że ona nic nie powie, poza tym, że zrobiła to samo co Hutch i Burbie. No więc Burbie zadynda, pewne jak diabli. A gdyby nie czuł się taki bystry, byłby wolnym człowiekiem wciąż.

A mi się widzi, że on tak długo z tym niemówieniem wytrzymał, że po prostu musiał coś chlapanąć.

Samuel Fuller

Błędne koło

Nazwisko Samuela Fullera nie od razu kojarzy się z literaturą kryminalną, już raczej z kontrowersyjną, pełną brutalnej przemocy twórczością filmową, która uczyniła zeń postać kultową, szczególnie we Francji, gdzie jest obecnie uważany za jednego z najbardziej wpływowych powojennych reżyserów. Fuller, sam będąc scenarzystą niejednego swojego filmu, karierę rozpoczynał jako autor opowiadań publikowanych w tanich czasopismach oraz kilku powieści, między innymi makabrycznej „Bum, Baby, Burn” (1953). Nakład dawno się wyczerpał i niektóre z tych prac trudno dziś odnaleźć, wszystkie jednak ukazują trwałą fascynację autora ludźmi zepsutymi i amoralnymi - temat ten powraca też w wielu jego filmach. Jak pisał Ephraim Katz w swej „International Film Encyclopedia” (1980), „dorobek Fullera - w znacznej mierze filmy akcji kategorii B, z całą swą dosłownością i brutalną przemocą - odzwierciedla osobiste doświadczenia, jakie Fuller zdobył, będąc reporterem od spraw kryminalnych, trampem czy żołnierzem [...] natomiast jego niewyszukane poglądy polityczne, zasadniczo konserwatywne i szowinistyczne, zraziły doń krytyków zarówno ze skrajnej prawicy, jak i skrajnej lewicy”. Po tych słowach niewiele nie zgodzi się z opinią, że Sam Fuller od dawna jest żywotną siłą w amerykańskim kinie; krytyk Andrew Sarris nazwał go „autentycznym amerykańskim prymitywistą”, wskazując na ekscytujący styl wizualny jego filmów, takich jak: „Kradzież na South Street” („Pickup on South Street”, 1953), „Underworld USA” (1961), „The Naked Kiss” (1965) i „Człowiek klanu” („The Klausman”, 1974).

Fuller, urodzony w Worcester w stanie Massachusetts w 1911 roku, zaczął pracować w wieku dwunastu lat jako chłopiec na posyłki w „New Yorker Journal”, a w wieku lat siedemnastu został reporterem kryminalnym dla „San Diego Sun”. Lata depresji gospodarczej spędził, włóczęąc się po kraju, podróżując z miejsca na miejsce pociągami towarowymi. Później, wykorzystując wrodzony talent do snucia opowieści, zaczął pisać do tanich czasopism. Jego pierwsze utwory ukazały się w „Underworld”, typowym, krzykliwym miesięczniku akcji, wydawanym w Springfield w stanie Massachusetts, niedaleko jego rodzinnej miejscowości: wydawca pisma podzielał fascynację Fullera ludźmi z marginesu amerykańskiego społeczeństwa. Utrzymując się z honorariów za opowiadania, Fuller zaczął masowo produkować kryminalne powieści, a w 1936 roku spróbował sił jako scenarzysta filmowy; dwa lata później współpracował z reżyserem Jamesem Cruze'em przy powstawaniu głośnych „Gangs of New York”. W czasie drugiej wojny światowej był przykładnym żołnierzem armii Stanów Zjednoczonych, walczył w Europie i północnej Afryce, gdzie zdobył kilka odznaczeń za odwagę, łącznie z Purpurowym Sercem. Po powrocie do Hollywood rozpoczął karierę filmową, która uczyniła go podziwianym przez jednych, wyklinanym przez innych.

Już wtedy gdy zajmował się wymyślaniem kryminalnych historii na potrzeby czasopism, obficie czerpał z własnych doświadczeń reportera działu kryminalnego oraz włóczęgi - co dobitnie pokazuje opowiadanie „Błędne koło”, napisane dla „Underworld” w maju 1934 roku. Mike Halpeny, okrutny i bezwzględny protagonista tej historii, jest typem bohatera, który będzie niejednokrotnie powracał pod różnymi nazwiskami w niezwyklej twórczości filmowej Fullera.

*

Mike Halpeny wyglądał nedorzecznie, gdy tak gnał porośniętym trawą duktem, przecinającym granicę z Kanadą, w miejscu najmniej w linii prostej oddalonym od Nowego Jorku. Drogę wytyczyli drwale i traperzy prawie sto lat temu. Potem zapomniana zmieniła się w szlak dzikiej zwierzyny, aż prohibicja w Ameryce przywróciła ją do łask, upatrując w niej doskonały szlak dla przemytników. Wiła się pośród niedostępnych, niemal pierwotnych lasów, od Adirondacks daleko w głąb Kanady. Mike Halpeny, nowojorski bandyta, podążał spiesznie tą drogą, na pół godziny przed zachodem słońca, ubrany tak, jak zapewne ubrałby się na przechadzkę po Piątej Alei, z jednym wyjątkiem: w prawej ręce dźwigał najnowszy model winchestera. Karabin był naładowany i odbezpieczony.

Mike zaparkował samochód ćwierć mili wcześniej.

Zamierzał zabić Jake'a Conntiego od jednego strzału. Niezgorzej znał starego Jake'a.

Przemaszerował jeszcze ćwierć mili, zanim dotarł do upatrzonego miejsca. Droga opadała tutaj gwałtownie ku wąskiej dolinie, na której dnie znajdowała się podłużna rozpadlina, jakby pęknięcie w ziemi. Młode brzozy i świerki, gdzie indziej gęsto porastające starą drogę, tutaj odchyliły się nieco do tyłu, zostawiając wąską otwartą przestrzeń, pokrytą skarłowaciałymi zaroślami i polodowcowymi głazami.

- Łatwizna. - Uśmiechnął się. - To pewne miejsce, by spotkać starego Jake'a.

*

Stary Jake Connti, na którego zaczął się Mike, robił osobliwe interesy. Przemyczał amerykański alkohol do Kanady, gdzie sprzedawał go ze skromnym, dwustuprocentowym zyskiem. Nie był rewolwerowcem, ba, nie był nawet gangsterem. W rzeczywistości był szanowanym, żonatym mężczyzną. Jego żona Dolly była od niego dużo młodsza, i to z jej powodu oraz kilku tysięcy dolarów stary Jake jechał teraz na spotkanie ze śmiercią. Mike Halpeny był kierowcą u Jake'a aż do ubiegłego miesiąca, kiedy to Jake dowiedział się, że młody Mike spotyka się z Dolly. Jake zaprowadził Mike'a do magazynu, gdzie sprawił mu niespieszne i bardzo solidne łanie.

Mike Halpeny dziwnie się prezentował, klęcząc tak, ukryty za korzeniami drzewa. Miał na sobie jasnobłękitny garnitur, skarpetki w jeszcze jaśniejszym odcieniu błękitu i białą koszulę w błękitne prążki. Nosił niskie półbuty z czarnej i białej skóry. Siedział w kucki w milczeniu, ale jego postać zdawała się krzykiem na tle dostojnej ciszy lasu.

Kilka minut później cisza została w grubiański sposób zmałowana przez hałas silnika.

Duża ciężarówka pojawiła się u szczytu przeciwległego wzniesienia. Toczyła się wolno w dół krótkiego zbocza, aż niemal stanęła, gdy kierowca zmieniał bieg przed mostem z drewnianych bali. Jake pochylał się nad kierownicą, patrząc w dół na nierówną nawierzchnię

mostu. W ustach miał wypalone do połowy cygaro i mówił sam do siebie, utyskując na coś, w sposób typowy dla samotnego człowieka. Już prawie minął most, już nawet zmienił bieg, gdy mała czarna dziurka pojawiła się, jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej, na samym środku jego czoła.

Ciężarówka zachowała się tak, jakby ktoś wymierzył jej silny cios. Przechyliła się i upadła na bok, wylatując z drogi. W czasie tej przewrotki ciało Jake'a zostało wyrzucone na zewnątrz; zatrzymało się na moment na krawędzi rozpadliny, po czym spadło na dno.

Mike zaklął. Dwadzieścia stóp pod sobą widział martwe ciało Jake'a, rozpostarte w wygodnej pozie na przeciwległej ścianie wąskiego parowu. Jake upadł w taki sposób, że oparł się plecami o zbocze; jego lewa ręka zaczepiła o skalny występ i przez to dłoń zastygła w dziwnym geście przywołania, którego sens umknął pozbawionemu wyobraźni Mike'owi.

Mike musiał pobiec prawie sto jardów w górę doliny, zanim zdołał zejść w dół do miejsca, gdzie leżał Jake, lecz gdy już tam dotarł, reszta okazało się prosta. Zwitek banknotów znalazł w skórzanej torebce pod lewą pachą zabitego. Przeliczył pieniądze pobieżnie, uśmiechnął się z zadowoleniem i wybiegł z parowu.

Przyszła teraz pora na najbliższą część planu Mike'a. Tak naprawdę był to pomysł Dolly. „Wyrzuć karabin tam, gdzie nikt go nigdy nie znajdzie” - powiedziała. Skoro więc Mike wydrapał się z rozpadliny, od razu ruszył w las. Kręcił się to tu, to tam bez celu, szukając miejsca, w którym kopanie nie sprawiłoby trudności. Nieco ponad sto jardów od skraju lasu znalazł niewielką polanę, pokrytą miękkimi, gnijącymi liśćmi. Własnymi dłońmi i za pomocą karabinu wykopał dołek na stopę lub więcej głęboki i starannie zagrzebał w nim broń.

Następnie, błyskając latarką pomiędzy widmowymi pniami brzoź, spiesznym krokiem ruszył w powrotną drogę. Klucząc wśród drzew, to w przód, to wstecz, podążał cały czas za plamą światła. Niebawem zaczął biec. Nie minęło pięć minut, gdy zorientował się, że dawno powinien był dotrzeć do drogi. Cóż, zaradził temu w prosty sposób. Pobiegł w przeciwnym kierunku. Wydawało mu się, że gna tak od godziny. A tu wciąż ani śladu drogi. Powoli zaczynał go ogarniać paniczny strach.

Mike Halpeny był bardzo bystrym młodzieńcem, ale nie wiedział, że istota ludzka nie jest w stanie przemieszczać się w linii prostej, jeśli niczym się nie kieruje albo nie podąża wyraźnie wytyczonym szlakiem, na przykład miejskim chodnikiem. Człowiek, który nie wie, że należy posuwać się od jednego dobrze wybranego obiektu do drugiego, będzie chodził w kółko albo zgubi kierunek przy każdej najmniejszej zmianie ukształtowania terenu.

Mike więc błędził bezrozumnie. Raz tylko, a był już środek nocy, zdobył się na dość

rozsądku, by usiąść i spróbować zastanowić się, jak wybrnąć z tego położenia; lecz im dłużej myślał, tym większy przestach go ogarniał. Wstał i licząc głośno, zaczął okrążyć drzewo. Przy liczbie dziesięć przystanął i rzucił się obłąkańczym biegiem w tę stronę, ku której akurat zwrócone było jego oblicze. Pędził tak aż do całkowitego wyczerpania sił. Tym razem, choć o tym nie wiedział, mniej niż dwadzieścia stóp dzieliło go od drogi i mniej niż pięćdziesiąt - od jego własnego samochodu. Ale niestety - gdy ruszył ponownie, odbił lekko w prawo. Potem wędrował tak aż do świtu, skręcając pod różnymi kątami i stopniowo zacieśniając krąg.

*

Dokładnie o wschodzie słońca wyszedł na małą polankę. Nie rozpoznawał miejsca, ale wyjść na moment z lasu było taką ulgą, że wydał z siebie chrapliwy okrzyk i rażno pobiegł w dół nierównym zboczem. Nagle ziemia zdała się otwierać pod jego stopami. Runął głową w dół w głąb skalnej rozpadliny.

Wiele godzin później Mike obudził się, czując gorące promienie słońca na swej gołej głowie. Leżał wśród niewielkich, poplamionych krwią głazów. Próbował powiedzieć: „Gdzie jestem?”, ale jego wargi wcale się nie poruszyły. Próbował poruszać nogami, ale choć je widział, miał wrażenie, jakby ich tam w ogóle nie było. Nie potrafił nawet ruszyć stopą. Odkrył natomiast, że może wykonywać powolne ruchy głową. Po jego lewej stronie rozciągało się dno wyschniętego, pokrytego głazami parowu. Zobaczył latającego wokół beztrudnie białego motyla. Następnie powoli obrócił głowę w prawo.

W odległości kilku stóp siedział Jake Connti, z lewą ręką wciąż zawieszoną na skalnym występie w dziwnym, zapraszającym geście.

Mike Halpeny zatoczył bowiem błędne koło, jak wszyscy zgubieni.

James Hadley Chase

Napatrzcie się do woli

Seks, przemoc i gangsterzy to także podstawowe składniki opowiadań pisanych przez Jamesa Hadleya Chase'a, który począwszy od 1939 roku, aż po wczesne lata osiemdziesiąte znany był jako „niezrównany brytyjski mistrz amerykańskiej szkoły czarnego kryminału”. Tytuł debiutanckiej powieści Chase'a, „Nie ma orchidei dla panny Blandish” („No Orchids for Miss Blandish”), jest dziś znany milionom ludzi, którzy być może nigdy nie słyszeli nazwiska autora - w dużej mierze z powodu złej sławy, jaką książka zyskała w chwili publikacji w przededniu drugiej wojny światowej. Niektórzy krytycy byli oburzeni opisem przeżyć córki milionera, porwanej przez szajkę brutalnych gangsterów, torturowanej przez nich i zgwałconej; żądano wręcz wycofania książki ze sprzedaży. Nawet prostolinijny George Orwell - który za kilka lat wyda kontrowersyjną powieść futurystyczną „1984” -

opublikował esej zatytułowany „Raffles and Miss Blandish” („Szumowiny i panna Blandish”), w którym nazywa powieść Chase’a „plugawą i brutalną”, zaznaczając przy tym, że: „książka zawiera osiem pełnowymiarowych morderstw, nieoszacowaną ilość przypadkowych zabójstw i zranień, ekshumacje (z drobiazgowym opisem zapachów), chłostanie panny Blandish, torturowanie innej kobiety rozżarzoną papierosem, striptiz, sceny przesłuchań o niesłychanym okrucieństwie i wiele innych pomysłów tego rodzaju”.

Nikogo zapewne nie zdziwi, że przy takiej reklamie, w dodatku w czasach trwogi wywołanej przez niemieckie bombardowania Wielkiej Brytanii, czasach sprzyjających poszukiwaniom wszelkich form eskapizmu, w ciągu kilku miesięcy sprzedano ponad milion egzemplarzy książki, a do końca następnej dekady osiągnięto oszałamiający (lecz bynajmniej nieostateczny) wynik pięciu milionów. Opowieść o przeżyciach panny Blandish stała się, jak napisano w pewnym artykule, „jedną z najlepiej sprzedających się powieści sensacyjnych, jakie kiedykolwiek opublikowano”, i przyniosła sławę jej autorowi.

Przy całym pozornym autentyzmie tej książki i jakichś osiemdziesięciu, które przysły po niej, pozostaje faktem, iż James Hadley Chase, a właściwie René Lodge Brabazon Raymond (1906-1985), nim zaczął pisać, nigdy nie był w Ameryce ani nawet nie spotkał prawdziwego gangstera. Urodzony w Ealing w zachodnim Londynie jako syn oficera, był przez krótki czas domokrążcą sprzedającym encyklopedie, a następnie pracował jako kierownik działu dystrybucji w hurtowni księgarskiej. To wówczas zdał sobie sprawę z popytu wśród brytyjskich czytelników na dreszczowce Hammetta i Chandlera, a po przeczytaniu książki Jamesa M. Caina „Listonosz dzwoni zawsze dwa razy” postanowił sam napisać powieść kryminalną. Inspiracji miał dostarczyć artykuł, na który przypadkiem się natknął, o niesławnej Ma Barker i jej synach zabójcach; po sześciu weekendach intensywnej pracy, korzystając z pomocy atlasu geograficznego Stanów Zjednoczonych, kilku przewodników i słownika amerykańskiego slangu, Chase ukończył „Nie ma orchidei dla panny Blandish” (tytuł ponoć przyszedł mu do głowy podczas kąpieli!). Sukces książki doprowadził w 1942 roku do adaptacji utworu na potrzeby londyńskiej sceny, a później do dwukrotnej ekranizacji: w 1946 i 1971 roku.

W ciągu następnych czterech lat pojawiły się tylko dwie książki, ponieważ pisarza powołano do służby wojskowej w RAF-ie, gdzie służył godnie i został dowódcą eskadry. Po wojnie zajął się regularną produkcją podobnych tytułów, a że wszystkie cieszyły się masową sprzedażą, autor mógł pozwolić sobie na opuszczenie rodzinnych stron i osiedlenie się w Szwajcarii. Tymczasem w Anglii cała szkoła twórców książek w tanich, broszurowych wydaniach skorzystała na jego popularności, produkując własne gangsterskie historie; byli to między innymi: Hank Janson (nb. ukarany za obsceniczność), Ben Sarto, Darcy Glinto oraz autor ukrywający się pod pseudonimem Griff. Ich książki były rozchwytywane przez czytelników przez cały okres powojenny aż do załamania się rynku w latach sześćdziesiątych, jednak żaden nie powtórzył sukcesu Chase’a, który cieszył się niesłabnącym powodzeniem wśród kupujących książki, zarówno te w twardych, jak i te w miękkich

okładkach.

James Hadley Chase stworzył szereg pamiętnych postaci złoczyńców, wśród nich Eddiego Schultza, gangstera z „Panny Blandish”, Hermana Radnitza, złowrogiego potentata, oraz wynajętego przezeń zabójcę Lu Silka z „This Is For Real” (1965), wreszcie sprzedawcę narkotyków Rabenera z „Napatrzcie się do woli” (1942) - jednego z niewielu napisanych przez Chase’a opowiadań.

*

Zdarza się niekiedy, że spotykasz damę, z której taki gorący kociak, że koniecznie chcesz się za nią obejrzeć. Jeśli przypadkiem prowadzisz wówczas samochód, niechybnie wjedziesz na krawężnik albo spowodujesz kraksę. Kiedy indziej, idąc sobie ulicą, odwracasz głowę, bo właśnie taka piękność przechodzi obok ciebie, no i wpadasz na kogoś, a ten ktoś jak nie zacznie na ciebie wrzeszczeć... Fanquist była właśnie taką damą, z tych spod znaku „spójrz na mnie jeszcze raz, chłopcze”. Wiesz, o czym mówię, no nie? Platynowa blondynka, zbudowana, że aż cię skręca na sam widok, z figurą, co osłabi twój opór w try miga.

Pierwszy raz ujrzałem ją, gdy pracowała u koleśka nazwiskiem Rabener. Facet prowadził szykowną restaurację z programem artystycznym na Broadwayu. Znałem go ze sporadycznych spotkań od kilku miesięcy. Był bystry. Może nazbyt bystry. W każdym razie nie lubiłem go. Był zimnym tytkiem o surowej twarzy i miał w sobie coś podłego. Zawsze zdumiewało mnie, jakim cudem udało mu się odnieść sukces ze swoją restauracją. Ale jakoś mu się udało.

Fanquist pozowała na jego sekretarkę. To dość dziwaczne imię, prawda? Później wydało się, że było jedynie efektownym wymysłem. Zapomniałem, jak się naprawdę nazywała, ale było to coś raczej okropnego. Tak czy owak, nie musimy sobie tym zawracać głowy.

Jak mówiłem, często widywałem ją, zachodząc do restauracji. Bywałem tam prawie co wieczór ze względu na moją pracę reportera działu plotkarskiego. To było idealne miejsce, by spotkać przemądrzałe towarzystwo, o jakim pisywałem. Fanquist nie zadawała się z gośćmi. Widywałem ją, jak przechodziła od czasu do czasu przez salę, zdążając do biura Rabenera. Jej wygląd na ogół sprawiał, że mężczyźni rozlewali zupę na koszule. Była tego rodzaju kobietą.

Nosiłem się z zamiarem poznania jej i domyślałem się, że nie byłem w tym osamotniony. Rabener nie okazał się pomocny. Gdy zasugerowałem, że chciałbym poznać Fanquist, popatrzył na mnie, jakbym był czymś, co wypełzło z rury wydechowej jego auta. Więc tak naprawdę nigdy z laską nie rozmawiałem. Co więcej, po tym, co się stało, nie przypuszczam, abym miał jeszcze kiedykolwiek okazję porozmawiać.

Bo widzisz, pewnego wieczoru ona zabiła Rabenera. To było dość spektakularne zabójstwo. I miało miejsce w restauracji - pif-paf na oczach wszystkich.

Rabener od pewnego czasu polował na sensację, która zrobiłaby mu reklamę. Nie był zadowolony z programu rozrywkowego w swoim lokalu. Sądził, że wszystkie inne nocne kluby pokazują dokładnie to samo co on. I oczywiście miał rację. Nawet prosił mnie o jakieś sugestie w tej sprawie, ale nie widziałem powodu, dla którego miałbym pomagać napełniać mu kieszenie, więc zgrywałem głupiego. Ale on wpadł na pomysł. Zainscenizował jedną z tych szalonych nocy z dreszczykiem, i to bez zapowiedzi. Wiesz, o czym mówię. Zafundowano nam przerażający balet: pojedynek rewolwerowy na niby, jakiś facet, udający, że go zasztyletowano, ktoś walący kolegę pięścią w oko, i takie tam nieszkodliwe zabawy, które szalenie przypadły do gustu skretyniałemu tłumowi. Wieczór miał się ku końcowi, gdy to się zdarzyło, i towarzystwo było już nieźle wstawione. Było mnóstwo strzelaniny i, uwierz mi, sprzedano dzięki temu morze alkoholu.

Rabener wszedł na salę i chodził między stolikami, tu i ówdzie zamieniając z gośćmi słówko. Nigdy nie potrafił się w pełni rozluźnić, ale zdążyliśmy się do tego przyzwyczaić, więc oklaskiwaliśmy sownie gry i zabawy, które dla nas zaaranżował.

Siedziałem w grupie znajomych nieopodal schodów prowadzących do biura. Gdy właściciel krążył po sali, Fanquist pojawiła się nagle u szczytu tychże schodów. W jednej chwili zapomniałem o Rabenerze i skupiłem całą uwagę na niej. Uwierz mi, była z pewnością pierwsza klasa. Tylko jedna rzecz powstrzymywała mnie od przedstawienia się jej. Wydawała się nieugięta. Kiedy mówię „nieugięta”, mam na myśli, że nie wyglądała na taką, co to ulega bez walki. Mój terminarz jest zaś tak napięty, że jeśli one nie ulegają od razu, muszę sobie odpuścić. To nie w porządku, wiem, ale tak właśnie żyję. Tak czy owak, nie powinienem się martwić. Wciąż jest mnóstwo lasek, nawet dzisiaj, które robią to po prostu dla przyjemności.

Fanquist schodziła wolno po schodkach. Jej wielkie oczy były jak dwa skrawki mroźnego, błękitnego nieba. Przeszła blisko mnie. Zobaczyłem, że trzyma w dłoni, tuż przy boku, mały pistolet. Przez moment pomyślałem, że przyłączyła się do gier i zabaw, ale było w niej coś, co kazało mi szybko zmienić zdanie. Przypuszczam, że powinienem wtedy wyrwać jej ten pistolet, ale tego nie zrobiłem. Zaciekawilo mnie, co ona, u licha, zamierza zrobić. Przeleciało mi przez myśl, że zaraz na moich oczach zrodzi się sensacyjna wiadomość prasowa. Byłem tego tak pewien, że chwyciłem za telefon zainstalowany na naszym stoliku. Zadzwoiłem do redaktora nocnego wydania.

Rabener uświadomił sobie jej obecność, gdy była w odległości około dwudziestu kroków od niego. Podniósł wzrok i ich spojrzenia spotkały się. Zareagował tak, jakby

nadepnął na grzechotnika. Myślę, że facet ujrzał śmierć zagładającą mu w oczy, i musiał się nieźle spocić! Twarz mu pożółkła i obwisła. Oczy wyszły na wierzch jak dwa muchomory.

Wszyscy patrzyli na nich z uwagą. Nie przypuszczam, by ktokolwiek na sali zdawał sobie sprawę, że to nie zabawa - oprócz mnie!

Nie spuściła wzroku z Rabenera. Podniosła powoli pistolet, aż czarny wylot lufy spojrzał Rabenerowi prosto w twarz. Chwilę przedtem, nim go zastrzeliła, zgłosił się nocny redaktor. Zdałem mu błyskawiczną relację z całego zajścia. Chłopie! Ależ facetem wstrząsnęło!

Pistolet wydał złowrogi, cichy trzask. Wystraszył nas tak, że podskoczyliśmy na pół stopy do góry. Na środku czoła Rabenera pojawiła się plamka krwi. Zachwiał się i rozłożył ramiona, jakby błagał ją, by tego nie robiła. Potem padł na twarz.

Odwróciła się i pomaszerowała z powrotem do biura, bez pośpiechu i nie oglądając się na nikogo. Było to najbardziej zuchwałe zabójstwo stulecia.

Wrzawa podniosła się, dopiero gdy Fanquist zniknęła nam z oczu. Wtedy zaczęło się piekło.

Siedziałem tam, karmiąc redaktora nocnego sprawozdaniem na gorąco, a on przelewał je na papier. W ciągu pół godziny można było o wszystkim przeczytać w gazetach na każdym rogu ulicy.

Dzięki natychmiastowemu zrelacjonowaniu tego morderstwa zyskałem reputację, z której staram się korzystać po dziś dzień.

Nie było kłopotów z aresztowaniem laski. Siedziała po prostu w biurze i czekała, aż zjawią się gliny. Z początku nie podobało im się to, że muszą tam do niej wejść, żeby ją zgarnąć. Bali się, że może znowu zacząć strzelać. W końcu jeden z odważniejszych wszedł do środka. Gdy ją znalazł, paliła papierosa, spokojna jak walec drogowy.

Kiedy wróciłem do domu, skakałem z nerwów niczym pchła; nie pomogło mi nawet kilka podwójnych żytnich. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, co mogło skłonić ją do takiego czynu. Nie wyglądało to na szalą zazdrości. Wszystko odbyło się z zachowaniem absolutnie zimnej krwi.

Smród, jaki nazajutrz podniosły gazety, mógłby udusić skunksa. Wszystkie wywaliły to na pierwszych stronach. Były zdjęcia Rabenera; były zdjęcia Fanquist za kratami. W areszcie wyglądała na równie opanowaną, jak w chwili zastrzelenia Rabenera. Myślę, że nie po tej stronie piekła nie byłoby w stanie wyprowadzić tej małej z równowagi. Ale nie chciała mówić; nie powiedziała, dlaczego zabiła. Zadręczali ją godzinami, tyle że w łagodny sposób. To jedno działało na jej korzyść. Wyglądała tak oszalamiająco, że żaden gliniarz nie miał

dość sił, by zagrać z nią twardo. Na mniej więcej tydzień przed procesem wpadłem na kapitana miejscowej policji. Przekąsał coś w barze „U Sammy’ego”. Dostrzegłem go przez okno. Wszedłem prosto do baru i zahaczyłem się na sąsiednim stołku.

Spojrzał na mnie chłodnym okiem, jakie gliniarze zawsze rezerwują dla dziennikarzy, i zaczął prędko łykać jedzenie, jakby się bardzo śpieszył.

- Żeby się pan nie zadławił, kapitanie - ostrzegłem. - Mam mnóstwo czasu i nie zamierzam uciekać.

- Wiem - powiedział, wpychając sobie kanapkę do gardła. - Ale ja nie mam nic dla pana.

- Proszę mi zdradzić jedną rzecz - nie dawałem za wygraną - czy zaczęła mówić?

- Ani słowa; ani jednego cholernego słowa.

- W porządku, kapitanie. Nie będę pana więcej niepokoił. - Ześliznąłem się ze stołka. - Milutka była ta ruda, którą wiódł pan na pokuszenie wczoraj wieczór; gratuluję gustu. No to ja spadam, kapitanie.

Kapitan wyglądał, jakby za chwilę miał mieć wylew. Szyja mu nabrzmiała, a oczy przypominały jajka na twardo.

- Hej! - wydusił z siebie. - Skąd wytrzasnąłeś jakąś rudą? Odczekałem chwilę.

- To nie ja ją skądś wytrzasnąłem, tylko pan, kapitanie.

- Posłuchaj więc - mówił gorączkowo - musisz trzymać głowę na kłódkę w tej sprawie. To było spotkanie w interesach - rozumiesz?

- Jest pan osobą publiczną - zaznaczyłem. - To musi pójść do druku. A jeśli przy okazji pana żona się wścieknie, cóż mnie to, do diabła, obchodzi?

Opadł na stołek jak pęknięty balon.

- Dobra - powiedział z goryczą - co chcesz wiedzieć? Usiadłem z powrotem i zamówiłem kanapkę firmową.

- Niech mi pan da cynk, kapitanie. I proszę mi nie mówić, że nie wydobył pan na światło dzienne mnóstwa informacji, które mogłyby mnie zainteresować. Nie wydrukuję tego, dopóki mi pan osobiście nie zezwoli. Siedzę w tym od początku, mogę wytrwać do końca.

Zajęło mi to trochę czasu, by się z nim dogadać, ale rudowłose zagrożenie podziałało jak zaklęcie.

Rabener, powiedział kapitan, był mózgiem jednego z największych gangów narkotykowych w kraju. Nocny klub stanowił tylko przykrywkę. Facet potrzebował jakiegoś miejsca, do którego dilerzy mogliby bez ryzyka przychodzić co miesiąc po towar. Jakież miejsce jest lepsze niż dobrze prosperujący, pełen gości nocny lokal? Rabener był też zabójcą.

Lata temu zaczynał jako drobny rabuś. Bezwzględność w zabijaniu powoli wywindowała go na szczyty gangsterskiej hierarchii. Inteligentny. Zawsze trzymał się w cieniu. Podczas gdy na inne grube ryby FBI robiło obławę, on pozostawał czysty. Gdy zniesiono prohibicję, postanowił wejść w narkotyki. Przygotowania były tak gruntowne, że nikt nawet nie podejrzewał, iż nocny klub może być centrum dystrybucji gangu narkotykowego.

W taki czy inny sposób Fanquist pasowała do tej układanki. Kapitan nie był tylko pewien, do którego miejsca. Z handlem narkotykami nie mogli jej powiązać. I nic z niej nie potrafili wydobyć. Pomniejsi członkowie gangu zniknęli. Fanquist była jedyną osobą, która mogłaby tu cokolwiek wyjaśnić, ale nie chciała mówić.

- Może myśli, że ktoś ją rąbnie, jeśli zacznie sypać - zasugerowałem.

- Taaa, to może być to; ale dlaczego zabiła Rabenera?

- Też chciałbym wiedzieć - odparłem. - Myśli pan, że się wywinie?

Kapitan wzruszył ramionami.

- Nie miałbym nic przeciwko temu - powiedział. - Apetyczny kąsek, nie?

Zgadzałem się z tym całkowicie.

W końcu wyznaczono termin rozprawy. Sala sądu była wypchana po sufit. By dostać się do środka, silni mężczyźni tratowali słabe kobiety; silne kobiety poddawały się w rozpacz. To był prawdziwy piknik dla mężczyzn, bez dwóch zdań. Przyszli zobaczyć Fanquist i nic chodzącego na dwóch nogach nie było w stanie ich powstrzymać.

Sędzia wyglądał jak ospały stary wyżeł. Prokurator okręgowy sprawiał wrażenie zdenerwowanego, za to obrońca oskarżonej był diabelnie pewny siebie. W ławie przysięgłych nie zasiadała ani jedna kobieta. Pomyślałem, że uniewinnienie Fanquist jest niemal pewne.

Miałem miejsce w pierwszym rzędzie, paczkę kanapek i flaszkę żyta. Nikt nie wypłoszyłby mnie stamtąd. Jackson, redaktor nocnego wydania, był ze mną. Wyczuwaliśmy w tej sprawie interes dla nas obu.

Fanquist wyglądała świetnie. Siedziała obok adwokata, wyciszona, opanowana i spokojna. Chłopie, ależ ona potrafiła się ubrać! Gdyby jakiś młody szczył chciał się dowiedzieć, jak wygląda sylwetka kobiety, wystarczyłoby, żeby się tu zjawił i rzucił okiem na Fanquist. Po jednym spojrzeniu wiedziałby więcej, niż wszystkie podręczniki do anatomii nauczyłyby go w ciągu roku.

- Jeśli będę musiał patrzeć na tę kobitkę przez cały dzień - wymamrotał redaktor nocnego wydania - ani chybi zwariuję.

Rozumiem, co czuł, mimo iż był prostackim flejtuchem. Miałem świadomość, że sala sądowa jest bliska wrzenia.

Prokurator okręgowy wstał, by wygłosić mowę otwierającą. Brakowało w niej podszyconej nienawiścią werwy, jaka zwykle cechowała jego mowy otwierające.

- Ten facet - wymamrotał redaktor nocnego wydania - nie może skupić się na swojej robocie. Gdyby mnie ktoś spytał, powiedziałbym, że przeszkadza mu jego niższa natura.

Nie miało znaczenia, jak bardzo prokurator umniejszał wagę zabójstwa, fakty były niepodważalne. Fanquist zastrzeliła Rabenera na oczach setki świadków. Nawet jeśli prokurator okręgowy nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za usmażenie jej ślicznego kuperka, niewiele był w stanie pomóc.

Adwokat wstał, by przemawiać.

- Wysoki sędzie - powiedział z kamienną twarzą - zanim posuniemy dalej tę sprawę, chciałbym zadać oskarżeniu jedno pytanie.

Sędzia wyraził zgodę.

Obrońca zwrócił się w stronę miejsca, gdzie siedział prokurator.

- Czy może pan potwierdzić - spytał - że kula znaleziona w głowie Rabenera została wystrzelona z pistoletu mojej klientki?

Na ciszy, która wówczas zapadła, mógłbyś zawiesić kapelusz. Prokurator okręgowy zaczął się mienić wszystkimi kolorami tęczy. Powstał z krzesła z niemrawym:

- Wysoki sędzie - zgłaszam sprzeciw!

Sędzia, który zerkał właśnie na Fanquist, spojrział na niego chłodno.

- Uważam, że to całkowicie w porządku. W gruncie rzeczy posunę się jeszcze dalej i stwierdzę, że to bardzo uzasadnione pytanie.

Obrońca uśmiechnął się.

- Przyjmuję zatem, że nie jest pan w stanie tego potwierdzić - powiedział łagodnie. - W takim razie muszę wniesić o odroczenie rozprawy do czasu, kiedy rzecz ta zostanie wyjaśniona.

Sędzia przyjrzał mu się uważnie.

- Dlaczego obrona podniosła tę kwestię? - spytał.

- Wysoki sędzie - odparł adwokat - moja klientka nie zabiła Rabenera. Okaze się, że kula w czaszce Rabenera nie mogła żadną miarą zostać wystrzelona z małego pistoletu. Jestem przekonany, że pocisk pochodził z rewolweru Smith & Wesson. Zapewne w tym miejscu powinienem zaczekać, aż zostanie przebadany.

Zatem sędzia odroczył rozprawę o dwie godziny.

To wywołało poruszenie. Nie znalazła się ani jedna osoba, która opuściłaby budynek w ciągu tych dwóch godzin oczekiwania; atmosfera była naelektryzowana.

Gdy sąd zasiadł ponownie, jedyną, jak mniemam, osobą, której nie udzieliło się powszechne podniecenie, pozostała Fanquist.

Sędzia spojrzał na oskarżyciela.

- Cóż zatem wykazało badanie? Prokurator wyglądał na człowieka chorego.

- Wysoki sędzie - odrzekł - obrona ma rację. Kula, która zabiła Rabenera, została wystrzelona z wojskowego rewolweru.

Kiedy ucichła wrzawa na sali, sędzia popatrzył gniewnie na obrońcę.

- Dlaczego w ogóle wniesiono tę sprawę? - zapytał. Adwokat wstał.

- Potrafię to wyjaśnić, wysoki sędzie, i zrobię to niezwłocznie. Przypominamy sobie, że w noc zabójstwa Rabener przygotował specjalną rozrywkową atrakcję. Pomysł polegał na tym, że jego zwyczajny program estradowy zostanie przerwany przez udawaną strzelaninę, sceny rodem z dreszczowców i tym podobne efekty. Rabener umówił się z Fanquist, że ta weźmie udział w pokazie, będącym formą promocji jego lokalu. Uznał, że będzie rzeczą zabawną, jeśli dziewczyna upozoruje zamordowanie własnego szefa. Dostała pistolet naładowany ślepych nabojami i postępowała zgodnie z instrukcją, jaką otrzymała. Nie miała pojęcia, że kiedy wypaliła ze swego pistoletu, Rabener zginął naprawdę, a tym bardziej nie spodziewała się, że ktoś, używając rewolweru z tłumikiem, wystrzelił w tym samym momencie co ona. Wróciła zatem do biura. A kiedy została aresztowana, natychmiast pomyślała, że jakimś zrzędzeniem losu jej pistolet - zamiast ślepakami - naładowano ostrą amunicją. Uświadomienie sobie, że właśnie zabiła człowieka, wywołało u niej taki szok, iż jej reakcje stały się nieco anormalne, czego właściwie należało się spodziewać. Rabener został zabity przez nieznaną osobę, posługującą się wojskowym rewolwerem z tłumikiem. To tylko czyste domysły, ale zadałem sobie trud obejrzenia rany i pomyślałem wówczas, że jest mało prawdopodobne, by tak mała kula mogła zrobić tak wielki otwór w głowie denata. Oskarżenie, dysponując tyloma świadkami, którzy rzeczywiście widzieli moją klientkę, pozornie zabijającą swego szefa, nie pomyślało o sprawdzeniu tego szczegółu ani nawet o przebadaniu broni Fanquist, w której w ogóle znajdował się tylko jeden ślepy nabój.

Gorąco o tym później dyskutowano, ale oczywiście Fanquist została uniewinniona. Nigdy nie odkryto, kto zabił Rabenera. W końcu denat był wrogiem publicznym i państwo nie zamierzało wydawać zbyt wielu pieniędzy podatników na wyśledzenie jego zabójcy.

Od tamtego czasu wiele o tym myślałem. Przyszło mi do głowy, że gdyby Fanquist miała kochanka, który chciałby z tego czy innego powodu pozbyć się Rabenera, ta metoda byłaby niesłychanie dobra. A może to ten kochanek wystąpił z sugestią zorganizowania szalonej nocy z dreszczykiem? Rabener nigdy nie miał takich pomysłów. Przypuśćmy, że

Fanquist i jej kochanek ustalili, że ona uda, jakoby mordowała Rabenera, a tymczasem on odda z ukrycia prawdziwy strzał, używając dużo cięższej broni. Gdy Fanquist przez dwa miesiące oczekiwała na proces, on miał mnóstwo czasu na opuszczenie kraju i zainstalowanie się tam, gdzie mogłaby do niego dołączyć, kiedy już będzie po wszystkim. Byłem pewien, pamiętając wyraz twarzy Rabenera, że nie spodziewał się, by Fanquist miała dołączyć do zabawy. Gdy do niego celowała, wiedział z całą pewnością, że umrze.

To tylko teoria. Najprawdopodobniej się mylę, ale wiesz, jak to jest, gdy faceci z gazet wywęszą jakąś historię. Osobiście słyszałem, że pożeglowała do Ameryki Południowej, a to miejsce dobre jak każde inne, jeśli ukrywasz się przed glinami. I co ty na to?

David Goodis

To mądry trup

Do ulubionych bohaterów czarnego kryminału należą policjanci, którzy zeszli na złą drogę lub zostali zwolnieni ze służby. Niejeden z tych byłych funkcjonariuszy zmuszony jest później zarabiać na życie jako prywatny detektyw lub związać swój los z gangsterami i złoczyńcami, których wcześniej ścigał i łapał. Temat ten szczególnie fascynował Davida Goodisa, niezwykle płodnego twórcę opowiadań pisanych dla tanich czasopism w latach trzydziestych i czterdziestych, a obecnie, po latach zapomnienia, na nowo odkrywanego: jego powieści wznawiane są po obu stronach Atlantyku. Al Reid, występujący w opowiadaniu „To mądry trup”, napisanym przez Goodisa dla „New Detective” w lipcu 1946 roku, jest typowym przedstawicielem swojego gatunku. Wydalony z nowojorskiej policji za jakies niesprecyzowane wykroczenie, tworzy własną niewielką agencję i bierze do współpracy innego byłego gliniarza, nazwiskiem Renner, także zwolnionego - za uderzenie sierżanta. W opowiadaniu obaj zostają wynajęci przez mafiosa Calotte do odszukania oszusta, który wyłudził od tamtego 10 000 dolarów. W „New Detective” pojawiło się jeszcze kilka opowiadań z tą samą parą bohaterów, wystąpili też w powieści „Behold This Woman”. Reid wyróżnia się błyskotliwością umysłu i ciętym dowcipem, zawsze szuka okazji do zarobienia pieniędzy - nieważne, po której stronie prawa taka okazja się znajdzie - i kieruje się prostą dewizą: „Nie ufaj nikomu”.

David Goodis (1917-1967) urodził się w Nowym Jorku i walczył o przetrwanie, imając się różnych zajęć. Obsesyjnie pragnął pisać i pierwszą powieść, którą zatytułował „The Igniter”, spłodził w wieku dwudziestu jeden lat. Jak sam później relacjonował, nie był zadowolony z rezultatu pracy i „wrzucił ją do pieca”, zwracając się w stronę tanich czasopism z opowieściami kryminalnymi. Dzięki opowiadaniom, jakie w nich zamieszczał, często skupiającym uwagę na kryminalistach i ludziach marginesu, mógł zacząć pisywać dla nowojorskiego radia, a później zostać scenarzystą w Hollywood. W 1947 roku przemysł filmowy zakupił prawa do ekranizacji jego powieści „Mroczne przejście” („Dark Passage”); film z Humphreym Bogartem i Lauren Bacali okazał się przebojem kasowym.

Cztery lata później inną powieść, „Nightfall”, zaadaptowano na potrzeby telewizji, a w 1960 roku na podstawie noweli „False Identity” wyprodukowano popularny serial stacji ABC, zatytułowany „Bourbon Street Beat”, z Richardem Longiem i Andrew Dugganem w rolach głównych. Na cztery lata przed śmiercią Goodisa spotkał niemały zaszczyt, gdy jego utwór został wykorzystany przez Alfreda Hitchcocka, a ponadto on sam napisał scenariusz na podstawie bestsellera „An Out for Oscar”, pióra innego powieściopisarza specjalisty od czarnego kryminału, Henry’ego Kane’a, z przeznaczeniem dla serialu telewizyjnego „Godzina z Alfredem Hitchcockiem” („The Alfred Hitchcock Hour”).

„To mądry trup” jest typowym dla Davida Goodisa opowiadaniem, z gatunku, który niewątpliwie pomógłby mu zdobyć jeszcze lepszą pisarską reputację, gdyby w rozwoju kariery nie przeszkodziła przedwczesna śmierć. Przedrukowanie tego opowiadania w niniejszym zbiorze, obok nowych (1993) edycji jego klasycznych powieści, takich jak „Mroczne przejście”, „Nightfall” czy „Down There”, przyczyni się do ugruntowania sławy pisarza.

*

Leżała na biurku, czekała tam na niego. Renner zaklął. Uwielbiał ten zwyczaj szefa, który wychodząc w teren, zostawiał mu jedną z tych swoich notatek z krótkim - zbyt krótkim - opisem sprawy i kilkoma zaledwie niedbałymi wskazówkami. Renner wziął z biurka zapisaną kartkę i spojrzał na nią spode łba.

W sprawie zabójstwa w Village - w grę wchodzi duży szmal. Nie wierz, jeśli nie chcesz, ale pracuję dla Calotty.

AI

I jeszcze adres - Renner zaklął ponownie i wyszedł ociężałym krokiem z niewielkiego biura, żując nieistniejącą gumę.

Jadąc w stronę centrum, zamartwiał się sobą, jak zwykle. Nie było ucieczki od faktu, że okazał się wystarczająco głupi, by zdzielić pięścią w twarz pewnego sierżanta na służbie. Ten niefortunny wypadek zdarzył się nieco ponad rok temu; w rezultacie Renner wyleciał z sił policyjnych i wpadł prosto w objęcia Ala Reida. Reid, mądry gość, został wydalony rok wcześniej, lub coś koło tego, i założył własną niewielką agencję. Usłyszawszy o kłopotach Rennera, zaproponował byłemu koledze współpracę, wychodząc z założenia, że dwóch może przymierać głodem za równie niewielkie pieniądze jak jeden.

Oderwał się od swych gorzkich myśli i powrócił do terażniejszości. *Jeśli Calotta wszedł z nami w układy i jeśli Reid pracuje dla Calotty, to dzień wypłaty jest bliski.*

Calotta, z prawnego i technicznego punktu widzenia, nie miał żadnych dochodów - ale ta formalna strona zagadnienia pozostawała w mocy jedynie dlatego, że policja od Miami po

Manhattan sumiennie przymykała oko na wszystko. Pięć lat temu Reid wdał się w pojedynek rewolwerowy z jednym z chłopaków Calotty i zabił go. Tydzień później Al Reid o włos uniknął podróży do kostnicy, kiedy to ktoś podłożył bombę zegarową w jego mieszkaniu - jeśli od tamtego czasu ci dwaj zostali serdecznymi przyjaciółmi i współpracownikami, to Renner nic o tym nie słyszał.

Ale czas leczy wszystkie rany.

Miejscem, do którego Renner zmierzał, była typowa czynszowa kamienica w Greenwich Village. Pełno dzieci na ulicy, pełno hałasu i gęste powietrze. Zobaczył kilku próżniaków stojących w bramie, mruknął więc pod nosem: „Calotta”, domyślając się, że to podziała jak hasło.

Podziałało; wprowadzili go do środka, powiedli w górę ciemną klatką schodową, potem przez ciemny korytarz, aż znalazł się w jakimś pokoju. Al już tam był, wraz z trzema wystraszonymi kobietami, wystraszonym starszym mężczyzną, młodszym, dobrze zbudowanym, który wyglądał na drażliwego i wrednego - no i ze zwłokami.

Zwłoki były rozciągnięte na podłodze i niemal pływały we własnej krwi. Krew ciekła z dużej dziury w głowie, a siekiera oparta o brudne łóżko dopowiadała resztę historii.

Al uśmiechnął się do Rennera i powiedział:

- Ten na podłodze to Dominie Varella. Inteligentny dwudziestoletni dzieciak, który wpadł na pomysł, żeby się szybko wzbogacić. Wyobraź sobie, w dzisiejszych czasach!

- Cóż zatem?

- Nie był zbyt oryginalny, nawet za życia. Opowiedział wielu miłym ludziom, że na dnie oceanu, na wysokości plaży Ashbury Park, leży łódź wyładowana po brzegi złotem, a on właśnie organizuje wyprawę nurków, zapytuje ich więc, czy zechcą mieć udział w zyskach?

- To stary numer - zgodził się Renner.

- Święta prawda - uśmiechnął się Al - ale Dominie miał nowatorskie podejście. Poszedł do drukarza i kazał sobie wydrukować fałszywy artykuł prasowy. Następnie przygotował całą literaturę, okraszoną fotografiami, na temat sukcesów, które jako nurek głębinowy rzekomo odniósł u wybrzeży Pacyfiku. Nieźle pomyślane i rzetelnie przygotowane, nie uważasz?

- Nie urzekło mnie jakoś - odparł Renner.

- A mnie owszem - burknął Calotta.

Renner przyjrzał mu się dokładnie. On i Calotta byli mniej więcej takiej samej postury - potężnej. Tamten był czterdziestoletni, na tyle przynajmniej wyglądał, i miał niskie czoło, gęstą, kruczoczną brodę, złamany nos oraz grube wargi. Z taką twarzą, pomyślał Renner,

człowiek nie może pozostać uczciwy.

Al mówił dalej:

- I co na to powiesz? Ten oto Dominie naciągnął naszego Calottę na dziesięć kawałków. Wyobrazasz to sobie? A jest parę osobistości, które oszukał na jeszcze większe sumy.

- Kto go zabił? - spytał Renner. Popatrzył na Calottę i w tym samym momencie zgasła przyjaźń między nimi.

- Oto co mi wiadomo - wyjaśnił Al. - Calotta wezwał mnie tutaj, do pokoju Dominica, twierdzi, że ktoś zabił chłopaka, i chce, bym odkrył kto. Nie życzy sobie mieszkania w to gliniarzy, bo ma z nimi na pieńku, a oni mają na pieńku z nim. Czy to się zgadza, panie Calotta?

- Aha - przytaknął gangster. - Chcę wiedzieć, kto zabił Dominica, ponieważ ktokolwiek to zrobił, wie to, co ja chciałbym wiedzieć.

- Czyli co? - spytał Renner.

- Rusz głową! - zawołał nagle Al. - Ten oto Dominie zadekował gdzieś całą forszę, jaką zgarnął na tamtym szwindlu, i Calotta chciałby się dowiedzieć, gdzie ona jest. Czy muszę ci to wyrysować?

Renner wzruszył ramionami.

- Co jeszcze mamy? - spytał.

Al gestem wskazał na trzy wystraszone kobiety i wystraszonego starszego mężczyznę.

- Te trzy dziewczyny wynajmują tu mieszkania. Wszystkie - po kilkaset dolarów każda - Dały się nabrać naszemu przyjacielowi na historię z Ashbury Park. Stary zaś jest drukarzem, który wyprodukował lipny artykuł.

- Czy to wszystko? - dopytywał się Renner. - Kto się dowiedział o drukarzu?

- Ja - odparł Al - i uwierz mi, przyjacielu, to był kawałek porządnej roboty. Ledwo Calotta wezwał mnie w tej sprawie i pokazał wycinki prasowe, dodałem dwa do dwóch i wyszło mi cztery. Odwiedziłem trzech drukarzy, działających w dogodnej odległości od tego miejsca, i jeden z nich okazał się tym szczęśliwym osobnikiem, który miał zaszczyt wykonać robotę dla naszego przyjaciela Dominika.

- To już coś - powiedział Renner, nie mając bladego pojęcia, o czym mówi.

Al odwrócił się do Calotty.

- Wiesz, co ci powiem - rzekł - będziemy potrzebowali trochę czasu, by się tym zająć. Wrócimy teraz do naszego biura i zastanowimy się nad tą sprawą. Do wieczora powinniśmy znać odpowiedź na twoje pytanie.

- W porządku - odrzekł Calotta. Na twarzy pojawił mu się przebiegły uśmiezek. - Wy idziecie z powrotem do biura i rozmyślcie nad sprawą, a ja zostaję tutaj i czekam na wasz powrót. Oczywiście, nie macie zamiaru iść z tym do glin?

- Oczywiście, nie pójde do glin - zapewnił Al.

On i Calotta po przyjacielsku wyszczerzali do siebie zęby. Twarz Calotty skojarzyła się Rennerowi z hienami, które widział kiedyś w zoo w Bronksie.

*

Renner, zanim ruszył swoim coupe, odezwał się do Ala:

- Oczywiście, pójdziemy do glin.

- Aha. I stamtąd od razu na cmentarz - odparł Al. - Jesteś idiotą.

- Dlaczego?

- Ponieważ dla Calotty gra idzie o coś więcej niż pieniądze. To powinno być jasne nawet dla ciebie. I nie będzie ryzykował, zwłaszcza z nami. Właśnie w tym momencie śledzą nas jego ludzie.

Renner spojrział w lusterko wsteczne i zobaczył, jak wielki czarny kabriolet rusza, ledwie on sam odbił od krawężnika. Zaklął szpetnie i rzekł:

- Posłuchaj, Al. Żartujesz sobie ze mnie czy jak?

- W jaki sposób?

- Wszystko wskazuje na Calottę. Na co tu jeszcze czekać? Zapomnij o samochodzie za nami. Jedźmy na policję i powiedzmy im, że Calotta zabił człowieka. To wszystko.

- Nazwałem cię idiotą - powiedział Al. - I nie żartowałem.

- Jak sobie chcesz - odrzekł Renner.

Przez resztę drogi prowadził w milczeniu. Zaparkował dwie przecznice od biura.

- Po prostu zachowuj się naturalnie i nic nie mów - poradził mu Al.

Weszli do biura i Al zamknął drzwi, po czym się odezwał:

- Są w holu i czekają na nas. Będą chcieli wiedzieć, co zrobimy, i dlatego nie podejmą żadnych działań, dopóki nie staną się podejrzliwi.

- To miło z ich strony - powiedział Renner. - To co robimy? Zostajemy tutaj i czekamy, aż oni coś zrobią?

- Ty zostajesz - odparł Al. - Ja tymczasem zaryzykuję wyjście przez okno. Wracam do Village. Odegrałem cały ten numer, aby usunąć z pola widzenia chłopców Calotty. Teraz tam wrócę i dokończę sprawę. Ty siądź tutaj i mów głośno, kłóć się ze mną.

- Ale ciebie tu nie będzie - zaproponował Renner.

- W tym właśnie rzecz. - Al uśmiechnął się. - Mnie tu nie będzie.

Podszedł do okna, otworzył je i spojrzął w dół. Następnie przesadził parapet i Renner usłyszał po chwili, jak Al schodzi po schodkach przeciwpożarowych.

*

Trzy wystraszone kobiety nadal tam były. Wystraszony mężczyzna też. Calotta był mistrzem ceremonii. W dłoni trzymał rewolwer. Nakazywał wystraszonej czwórce, by siedziała cicho. Taką właśnie scenkę ujrzał Al, wchodząc do pokoju. Calotta popatrzył na niego i powiedział:

- No więc?

- Wpadłem na coś - odparł Al. Spojrzął na rewolwer w dłoni Calotty. - Bądź miły.

- Nie graj na zwłokę - ostrzegł Calotta. Uniósł rewolwer na wysokość piersi Ala.

- Odłóż zabawkę albo nic nie powiem - zażądał Al. Westchnął i dodał: - Niezbyt ufny z ciebie pracodawca, co nie, Calotta? Mówię ci, że znalazłem rozwiązanie tej zagadki i jestem gotów odebrać mój czek z zapłatą, jak tylko odłożysz rewolwer.

Calotta zmarszczył brwi i włożył broń na powrót do kabury pod pachą. Gdy tylko Al zorientował się, że żelastwo jest na swoim miejscu, doskoczył do gangstera. Musiał to zrobić bardzo szybko; nie mógł też, ze względu na gabaryty Calotty, polegać na swoich pięściach. Kopnął więc tamtego kolanem w brzuch, a kiedy ciężki mężczyzna zgiął się wpół, kopnął go ponownie - w podbródek. Calotta runął, uderzając o ścianę, ale nie ustąpił. Wyrzucał pięści w powietrze, przeklinając i wypluwając zęby i krew, podczas gdy Al zadawał szybkie razy. Potem był jeszcze jeden cios z kolana - tym razem Calotta oberwał w czubek brody i padł bez czucia.

Podczas gdy trzy wystraszone kobiety i wystraszony starszy mężczyzna darli się jak pawie w czasie wichury, Al wyciągnął rewolwer z kabury Calotty. Machnął nim na kobiety, nakazując wyjść z pokoju. Potem powoli uniósł ramię i wycelował spluwę w wystraszonego starszego mężczyznę.

- To ty zabiłeś Dominica, no nie? Wystraszony starszy mężczyzna zaczął się trząść.

- Nie... nie... to nie ja. Ja...

- Och, daj sobie z tym spokój - powiedział Al. - Powinieneś się cieszyć, że uratowałem cię przed Calotta. Wiesz, co by z tobą zrobił? Odciałby ci nos, potem odciałby ci język, a potem wydłubałby ci oczy; i może to jeszcze zrobić, jeśli nie...

- W porządku - rzekł wystraszony starszy mężczyzna. - Powiem wszystko. Zabiłem Dominica. Miałem z nim umowę. Miałem spreparować wycinki z gazet, a w zamian on obiecał mi udział w zyskach. To w ogóle był mój pomysł. Powiedział mi, że ma pieniądze u siebie w pokoju...

- I ty w to uwierzyłeś - przerwał mu Al. - Przyszedłeś tu z siekierą, zabiłeś go, a kiedy szukałeś pieniędzy, do drzwi zapukał Calotta, uciekłeś więc, póki się jeszcze dało. Do tamtej chwili nie wiedziałeś, że Calotta był w to zaangażowany. Wróciłeś do swojej drukarni i zajmowałeś się swoimi sprawami przy prasie drukarskiej, kiedy ja przyszedłem.

Wystraszony starszy mężczyzna zapytał:

- Ale skąd... skąd może pan to wszystko wiedzieć?

- Jestem bystrym chłopakiem - odparł Al. - Ale to okazało się łatwe: wystarczyło przyjrzeć się siekierze. Jest cała czerwona od krwi Dominica. Ale oprócz tego ma mnóstwo czarnych plam na ostrzu i stylisku. To farba drukarska. Używałeś tej siekiery do otwierania beczek z farbą. Później byłeś na tyle głupi, by tą samą siekierą otworzyć czaszkę Dominica.

- Dominie nie był w porządku - nadużył zaufania starego człowieka - powiedział staruszek. - Calotta jest gangsterem - mordercą. Jeśli ujdzie wolno, wyrządzi więcej zła niż ja. Pozwól mi odejść.

- Jasne - rzekł Al, usuwając się na bok. - Mimo wszystko nie było żadnego istotnego powodu, by Dominie nie powiedział o twoim planie swojemu ojcu.

Staruszek wzdrygnął się, popatrzył osobliwie na Ala swymi wiele rozumiejącymi oczyma, po czym przeszedł obok niego szybkim krokiem.

*

Renner mówił sam do siebie od ponad godziny, kiedy wreszcie otworzyły się drzwi i stanął w nich Calotta. Razem z Alem. I kilkoma ostrymi chłopakami.

- A to co znaczy? - spytał Renner.

- Wypłata - odparł Al.

Calotta wyglądał na rozdrażnionego i wrednego, ale gdy wszedł do biura, wyciągnął książeczkę czekową. Wypisując czek na tysiąc dolarów, powiedział:

- Każdego innego rozwalilibym, Reid. Ale zawsze doceniałem siłę umysłu i dlatego załatwiam to w taki, a nie inny sposób. Zawarłem z tobą umowę i dotrzymam jej. Kazałem ci znaleźć zabójcę Dominica. I kazałem ci trzymać gliny z daleka.

- Jedynym sposobem, by trzymać gliny z daleka, było pozbawić cię przytomności, nim zaczniesz niegrzecznie bawić się swoją spluwą - wyjaśnił Al.

- Zgadza się - zgodził się Calotta. Wręczył Alowi czek. - Wykryłeś, kto zabił Dominica, trzymałeś gliny z dala od tego, i ja ci za to płacę. Ale teraz, Reid, wracam dorwać starego!

Wyszedł, a ostre chłopaki podążyły za nim.

Piętnaście sekund później Renner powiedział:

- Nie łapię.

- Ja to nazywam uczciwym interesem - rzekł Al. - Sprawa właśnie została zamknięta. Szkoda tylko, że Calotta nie wie o starym. Wyskoczył z piątego piętra na moment przed ocknięciem się Calotty.

Renner wzruszył ramionami.

- Szczegóły podasz mi później - powiedział. - Teraz lepiej chodźmy szybko zrealizować czek. Jakoś nie ufam tym łobuzom.

Jim Thompson

Cóż straszego

Termin *grifting* (naciąganie), opisujący typowo amerykańską formę oszustwa, polegającą na wykorzystaniu zaufania, jakim darzy nas ofiara - krótko mówiąc: sztukę życia na koszt łatwowiernych osób - stał się powszechnie znany dzięki cenionemu przez krytyków filmowi pod tytułem „Naciągacze” („The Grifters”, 1990) z Anjelią Huston, Johnem Cusackiem i Annette Bening w rolach głównych, który ponadto przyniósł długo oczekiwane międzynarodowe uznanie jeszcze jednemu znakomitemu autorowi fikcji kryminalnej, Jimowi Thompsonowi. Ignorowane przez lata prace Thompsona - opowieści zagubione gdzieś na kartach starych czasopism i dwudziestu dziewięciu tanich, efemerycznych wydań książkowych - są teraz na nowo odkrywane, a większość z nich wznawiana, i zbierają najwspanialsze pochwały. Nigel Algar, składając hołd pisarzowi w National Film Theatre w 1990 roku, oznajmił: „Jim Thompson nie tyle przekroczył granice literatury sensacyjnej, ile wstrząsnął jej konwencjami”, „Sunday Times” zaś uznał go za „wielkiego amerykańskiego indywidualistę”, Ian Penman z „The Independent” wyraził się jeszcze bardziej jednoznacznie, ogłaszając Thompsona „królem czarnego kryminału”.

Oprócz „Naciągaczy” sfilmowano jeszcze kilka innych powieści Thompsona: szczególnie wart przypomnienia jest „Pop 1280” o szaleństwie skorumpowanego i tchórzliwego policjanta, wyreżyserowany przez Bertranda Taverniera we Francji w 1972 roku jako „Coup de Torchon” (Francuzi jedni z pierwszych rozpoznali talent Thompsona); poza tym „The Killer Inside Me” (1975) ze Staceyem Keachem, uznany przez Stanleya Kubricka za „prawdopodobnie najbardziej przejmującą dreszczem i wiarygodną zarazem narrację w pierwszej osobie, prowadzoną przez zbrodniczo wypaczony umysł, na jaką kiedykolwiek natrafiłem”; a także „The Kill-Off” (1989), z Loretta Gross w roli niegodziwej kobiety, za pomocą rozsiewanych przez telefon plotek inspirującej zbrodni i występku w zaniedbanym nadmorskim kurorcie. Autor niegdyś lekceważony jako jeszcze jeden szmirowaty przedstawiciel „szkoły pisania kryminału spod szyldu » kopnąłem ją, było fajnie«,” (by znów zacytować „Sunday Timesa”) staje się obecnie przedmiotem akademickich dysertacji, a równocześnie rozpoznawany jest jako pierwszorzędne źródło natchnienia dla dzisiejszych mistrzów

czarnego kryminału, takich jak El-more Leonard, James Ellroy czy Quentin Tarantino.

James Thompson (1906-1977) urodził się w Anadarko w stanie Oklahoma, w rodzinie nafiara, który wydawał swe pieniądze równie szybko, jak je zarabiał, co wcześniej zmusiło młodego Jamesa do szukania pracy. Podejmował się różnych zajęć - był między innymi kierowcą ciężarówki, inkasentem długów, gońcem hotelowym i odźwiernym - aż zdecydował, wzorem wielu innych z jego pokolenia, pisać do tanich czasopism. Znalazł przychylnych wydawców w rozmaitych pismach, wyspecjalizowanych w tak różnej tematyce, jak western, wiejski dramat z amerykańskiego Południa czy kryminał. Swoją pierwszą powieść „Nothing More Than Murder” Thompson napisał dopiero w wieku czterdziestu trzech lat, i miała się okazać jego jedyną publikacją w twardych okładkach. W latach 1949-1959 wyprodukował natomiast ogromną liczbę tanich książek w miękkich okładkach - wliczając w to aż pięć powieści z 1953 roku i tyleż samo z następnego - równocześnie pisząc scenariusze filmowe, w tym dwa we współpracy ze Stanleyem Kubrickiem: „Zabójstwo” („The Kipling”, 1956) i „Ścieżki chwały” („Paths of Glory”, 1957), oraz epizody dla telewizji, na przykład „McKenzie Raiders”.

Po śmierci Thompsona nie tylko nastąpił renesans zainteresowania jego twórczością, ale narodziły się legendy na temat jego obyczajów pisarskich i... alkoholowych. (Jedną z takich historii głosi, że klasyczne dziś dzieło „Pop 1280” napisał w dwa tygodnie, dopasowując treść do wcześniej zamówionej okładki, i otrzymał za nie honorarium w wysokości tysiąca dolarów, które niezwłocznie przepił podczas jednej, niekończącej się popijawy). Zamieszczone tu opowiadanie ukazało się po raz pierwszy we wczesnej edycji „Alfred Hitchcock’s Magazine” (w lutym 1957 roku). Występuje w nim Mitch Allison, twardy, cyniczny oszust, na swój sposób równie zapadający w pamięć, jak każda inna postać ze stworzonej przez Jima Thompsona unikalnej galerii wyrzutków społecznych.

*

Po raz chyba setny tego dnia Mitch Allison wyprostował plecy, wykrzywił twarz w ujmującym uśmiechu i pomachał kciukiem w geście starym jak podróżowanie autostopem. I po raz chyba setny jego prośba została bezczelnie zignorowana. Samochody zbliżały się doń z rykiem i z rykiem jechały dalej, mdlącym wyziewem spalin zmazując uśmiech z jego twarzy.

Mitch przeklinał siarczyście i szedł dalej, ciskając gromy na producenta samochodu, jego właściciela i w końcu, najokrutniej, na samego siebie.

- Po prostu mało ci było, co? - użalał się gorzko. - Siedziałeś na szczycie, ale to ci nie wystarczało. No to jak ci się *to* podoba, ty głupi, tępy, debilny, bezmózgi palancie!

*

Mitch Allison nie był typem mazgaja. Dorastał w świecie, gdzie łyzy wywoływały raczej irytację niż współczucie, gdzie szlochając, najprawdopodobniej zarobiłby strzała w pysk. A jednak był bliski płaczu. Gdyby zostały w nim jeszcze jakieś łyzy, ryczałby teraz z gniewu na samego siebie i ze zwykłego wstydu.

Niecałą dobę wcześniej był posiadaczem prawie dwudziestu tysięcy dolarów, zysków z obrabowania własnej żony, wykiwania pewnej madame z domu rozrywki i zastosowania skomplikowanego podwójnego oszustwa wobec kilku współników w „interesach”. Co więcej, ponieważ zniknięcie z Los Angeles stało się dla niego koniecznością, wynajął luksusowy prywatny przedział w mknącym na wschód Super Chiefie. I wtedy...

To była para starszków. Emerytowani farmerzy - za takich chcieli uchodzić - świeżo po sprzedaży za pięciocyfrową sumę pomarańczowego gaju. Więc Mitch dołączył do nich, jak powiadają oszuści, sugerując przyjacielską partyjkę kart. To, co nastąpiło, można śmiało nazwać morderstwem.

Para miłych starszków pokonała go w stylu, w jakim Grant zdobywał Richmond. Ich rzekomo sparaliżowane dłonie wyczyniały takie cuda z kartami, że nawet Mitch, po tych wszystkich latach robienia z durni frajerów, uznałby je za niewykonalne. Nie wierzył własnym oczom ani własnemu rozumowi. Jego dwadzieścia kawałków przepadło, niedoszli frajerzy rzeli wesoło, i była to kwestia zaledwie dwóch godzin.

Mitch zagroził, że przerobi ich na hamburgery, jeśli nie zwrócą mu jego forsy. I to był, rzecz jasna, błąd - dopisanie jednej poważnej pomyłki do drugiej. Bo starsi państwo - w sztuce oszustwa o wiele bardziej biegli niż on - mieli nieskazitelne referencje i dokumenty, podczas gdy u niego sprawy te prezentowały się dosyć marnie.

Nie potrafiłby podać legalnego pochodzenia dwudziestu centów, co dopiero dwudziestu tysiaków. Z pewnością nie byłby władny wyjaśnić, jak wszedł w posiadanie tych dwudziestu patoli. Usiłował to jakoś wytłumaczyć, kiedy starsi państwo wezwali konduktora, ale skończyło się na steku łatwo wykrywalnych kłamstw. W końcu, by uniknąć aresztowania, musiał wyskoczyć z pociągu, bez zbędnych ceregieli i bez bagażu.

Tak oto znalazł się tam, gdzie był teraz. Spłukany, zniesmaczony, zdrożony, głodny jechał autostopem z powrotem do Los Angeles, gdzie prawdopodobnie zabiją go, gdy tylko go ujrzą. Nawet gdyby nikt inny nie starał się go zamordować, jego żonę Bette aż świerzbi ręka, by to uczynić. Jednak człowiek musi mieć gdzie się podziać, nie? Gdyby udało się nieco zmiękczyć Bette, może odpuściłaby mu jeszcze ten jeden raz? W każdym razie to była jakaś szansa - jego jedyna szansa.

Człowiek przedsiębiorczy powinien dobrze wyglądać. W chwili obecnej Mitch wyglądał jak król włóczęgów.

Ocierając pot ściekający na oczy, przystanął, by popatrzeć na tablicę przytwierdzoną do przydrożnego drzewa: Los Angeles - 125 mil. Spojrzał też na zachęcający cień rosnących w tle drzew... Ocean jest pewnie gdzieś tam, niezbyt daleko od szosy. Gdyby tak móc obmyć

się trochę, przepłukać koszulę i bieliznę...

Westchnął, potrząsnął głową i poszedł dalej. To nie byłoby bezpieczne. Przy jego obecnym szczęściu pewnie zaraz po wejściu do wody natrafiłby na ławicę rekinów.

Z oddali doleciał go odgłos kolejnego zbliżającego się samochodu. Pomimo znużenia Mitch wiedział, że musi próbować, odwrócił się więc i kiwnął kciukiem.

Był to cadillac - duży, czarny kabriolet. Gdy zaczął zwalniać, Mitch doznał uczucia, że nigdy dotąd żadna kobieta nie lustrowała go tak wnikliwie i z takim upodobaniem, jak ta siedząca obok kierowcy auta.

Samochód jechał coraz wolniej. Gdy zrównał się z nim, kobieta zapytała:

- Daleko do El Ciudad?

- El Ciudad? - Wóz toczył się obok niego; Mitch musiał truchtać przy jego boku, by odpowiedzieć na pytanie. - Chodzi pani o ten kurort? Jakies pięćdziesiąt mil, tak sędzę.

- Aha. - Kobieta przyglądała mu się badawczo. - Podrzucić pana gdzieś?

- No pewnie!

Mrugnęła do Mitcha i przemówiła do mężczyzny za kółkiem.

- No dobra, głupku. Zatrzymaj się. Podrzucimy tego gościa.

Mężczyzna wymamrotał jakieś pozbawione mocy przekleństwo. Samochód przystanął, a gdy tylko Mitch wgramolił się na tylne siedzenie, wystrzelił gwałtownie do przodu.

- Co za dupek! - Kobieta spojrzała z odrazą na swego towarzysza. - Nawet nie potrafi podwieźć faceta, nie próbując mu złamać przy tym karku!

- Stul pysk - powiedział mężczyzna znużonym głosem. - I odchrzań się ode mnie.

- To tak ostro teraz piszczysz! Gdybym tylko wiedziała, jaki jesteś, zanim wyszłam za ciebie za mąż!

- Jak wyżej.

Kobieta wyjęła ze schowka półlitrowkę whiskey, pociągnęła z gwinta i bezceremonialnie podała do tyłu Mitchowi. Wypił spory łyk, by ugasić pragnienie, i już miał oddać butelkę, lecz kobieta zdążyła się odwrócić, coraz bardziej pochłonięta dręczeniem swego męża.

Był trochę zakłopotany ich kłótnią, ale tylko trochę. Mitch Allison nie należał do takich, których bez trudu i na poważnie można było wprawić w zakłopotanie. Wypił jeszcze jeden łyk, i jeszcze jeden. Przepelniony wdzięcznością zanurzył się w suto polsterowanym fotelu, słuchając bez większego zainteresowania zniecierpliwionego głosu kobiety i replik jej męża.

- Dureń! Sknera! Samolubi... - mówiła.

- Och, daj spokój, Babe, proszę. To nasz miesiąc miodowy, a ja zabieram cię do najmilszego miejsca w tym kraju.

- O, pewnie! Zabierasz mnie, ale po sezonie! Bo jesteś zbyt tani i zazdrosny, by choćby przez chwilę nacieszyć się pełnią życia. Bo nie chcesz, by ktoś mnie oglądał!

- To nie tak, skarbie. Po prostu chcę być z tobą sam, i tyle.

- Ale ja nie chcę być z tobą sama! Jeden tydzień starczy mi na całe życie...

Mitch zastanawiał się, jakim strasznym durniem musi być ten gościu, że cierpliwie wysłuchuje tego typu bzdur od kobitki. Co innego on. Gdyby Bette kiedykolwiek odezwała się do niego w taki sposób... *Buch!* I przez rok cały wypluwałaby wybite zęby.

Głos kobiety stał się teraz mocniejszy, ostrzejszy. Barki jej męża zapadły się jeszcze bardziej. Mitch spróbował wyobrazić sobie, jak facio wyglądałby bez tych za dużych okularów słonecznych, które miał na nosie, i bez głęboko naciągniętego na głowę kaszkietu. Ale nie roztrząsał tego długo. Facet wyprostował się nagle, zjechał z szosy na trawiastą dróżkę i wcisnął pedał hamulca.

Mitcha omal nie wyrzuciło z fotela. Mąż wyskoczył z samochodu i pognał, człapiąc ciężko, w stronę drzew. Żona wołała coś zagniewana w jego kierunku - klnąc przy tym bezwstydnie. Nie odwróciwszy się za siebie, zniknął z pola widzenia.

Kobieta wzruszyła ramionami i spojrzała filuternie na Mitcha.

- Niezła zabawa, co nie, psze pana? Coś mi się zdaje, że przejechałam się po mężusiu trochę za ostro.

- Aha - zgodził się Mitch. - Zdaje się, że trochę za ostro.

- Ach, wróci za parę minut. Musi tylko wpierw nieco ochłonać.

Miała rude włosy i była piękna, w taki trochę surowy sposób. Ale za to w jej figurze nie było nic surowego. Miała te kształty, które faceci widują w snach, ale rzadko na jawie.

Mitch zawiesił na niej wzrok. Pochwyciła to spojrzenie.

- Podobam się panu? - spytała cicho. - Chcesz zostać ze mną?

- Hę? - Mitch oblizał wargi. - Proszę mi wybaczyć, ale widzi pani...

- Chciałbyś mieć ten samochód? I dwadzieścia pięć tysięcy dolarów?

Mitch zwykle łapał wszystko w lot, ale tym razem ta dziecinka trafiała daleko poza zasięg jego rozumienia.

- Widzi pani - powtórzył drżącym głosem - ja... ja...

- A ty widzisz? - powiedziała. - Dobrze się przyjrzyj.

Na przednim siedzeniu leżała niewielka walizeczka. Kobieta otwarła ją i podała

Mitchowi do tyłu. I Mitch się przyjrzał. Sięgnął do środka i wyciągnął garść tego, co tam było.

Walizeczka wypełniona była cała, a w każdym razie przynajmniej do połowy, czekami podróżnymi o wartości stu dolarów każdy. Należało je jeszcze kontrasygnować, ale to przecież...

- ...łatwizna - powiedziała kobieta przenikliwie. - Spójrz na ten podpis. Żadnych zawijasów, żadnych dziwactw. Wszystko, co trzeba zrobić, to podpisać je prosto i zwyczajnie - i jesteśmy w domu.

- Ale... - Mitch potrząsnął głową - ...ja nie jestem...

- Ale mógłbyś być Martinem Lonsdale'em - mógłbyś być moim mężem. Gdyby cię przebrać, gdybyś miał przy sobie jego papiery. - Jej głos osłabł pod wpływem spojrzenia, jakim obdarował ją Mitch, ale po chwili odzyskał siłę i zabrzmiała w nim nuta dziewczęcego nadąsania.

- W końcu dlaczego nie miałabym tak zrobić? Mam chyba jakieś prawa, nie? Obiecywał mi cały świat, jeśli go poślubię, a teraz nie mogę wydobyć od niego dziesięciocentówki. Nie mogę się nawet dostać do jego portfela, ponieważ cały szmal trzyma poza moim zasięgiem, korzystając z takich sztuczek jak ta.

- Ciężka sprawa - powiedział Mitch. - Naprawdę ciężka, bez dwóch zdań.

Włożył czeki z powrotem do walizeczki, zatrzasnął zamek i rzucił ją na przednie siedzenie.

- Jak mogę użyć jego papierów, skoro nie jest martwy? Myślisz, że pójdzie gdzieś spać i poczeka, aż ja zrealizuję czeki i się zwinę?

Dziewczyna poruszyła się nerwowo na fotelu. Potem wzruszyła ramionami i wysiadła.

- Cóż - powiedziała - skoro tak uważasz...

- Znajdziemy twojego mężusia, ha? - Mitch też wysiadł z samochodu. - Jasne, że znajdziemy - ty i ja razem. Upewnimy się, że wróci cało i bezpiecznie, prawda?

Odwróciła się ze złością i ruszyła przed siebie ciężkim krokiem. Mitch, uśmiechając się, szedł za nią wśród drzew i zarośli. Było coś uwodzicielskiego w ruchu jej bioder - coś celowo i przesadnie uwodzicielskiego. Podciągnęła nieco spódnicę ku górze, pod pretekstem przyśpieszenia kroku, i jej długie, doskonale kształtne nogi połyskiwały kusząco w nakrapianym cieniu światła słońca. Podziwiał ten widok beznamiętnie. Podziwiał go - bez najmniejszego ulegania pokusie.

Atakowała jego zmysły wszystkim, co posiadała, a było tego sporo. I on, Mitch Allison, pierwszy by to potwierdził. Jednakowoż była wredna i fałszywa - pięćdziesiąt pięć

kilo czystej trucizny. Mitch skrzywił się z niesmakiem. Wolałby, żeby mu odpyskowała, dała dobry powód, by jej przywalić, ale wiedział, że jest na to za sprytna. Wyszli pomiędzy drzew na skraj klifu nad oceanem. To tutaj prowadziły wyraźne ślady mężczyzny, lecz jego samego nigdzie nie było widać. Mitch spojrzał pytająco na dziewczynę. Wzruszyła ramionami, ale twarz miała bladą. Podszedł ostrożnie do krawędzi urwiska i zerknął w dół.

Daleko niżej - dobre trzydzieści metrów, jeśli nie więcej - widniał ocean: wzburzony, ciemny jak olej, dudniący od rozbijających się o brzeg, znaczonych pianą fal przyływu. Niemal pionowa ściana klifu opadała wprost do wody. Mniej więcej w połowie jej wysokości, zaczepiony na wyrastającym ze zbocza krzaku, widniał męski kaszkiet.

Mitch poczuł nagły przyływ nudności. Chwilę później podskoczył i odwrócił się gwałtownie, gdyż dziki wrzask rozdarł powietrze.

To dziewczyna. Klęczała, łkając histerycznie, u podnóża jednego z drzew. Na odłamanej gałęzi wisiała marynarka jej męża, a ona trzymała w dłoniach skrawek papieru.

- Ja nie chciałam - łkała. - Nie zrobiłabym tego. Byłam po prostu wściekła i...

Mitch nakazał jej szorstko, by się zamknęła. Wyjął karteczkę z jej rąk i przeczytał, zaciskając usta w pomieszeniu żalu i odrazy.

Nie wyglądało to z pewnością zbyt dobrze. Śmierć to zawsze coś przykrego, czy to zadana własną, czy cudzą ręką. Jednak facet, który skończył ze sobą z powodu babki takiej jak ta tutaj... Cóż, świat wiele nie stracił przez ten jego krok, a on sam - pewnie jeszcze mniej.

Zgniół kartkę papieru i cisnął ją z klifu. Przeszukał kieszenie marynarki i posłał ją w ślad za kartką. Następnie szybko przejrzał portfel i osobiste dokumenty świętej pamięci Martina Lonsdale'a.

Był tam telegram potwierdzający rezerwację w hotelu „El Ciudad” i w podmiejskim klubie. Znalazł też prawo jazdy i fotokopię pisma poświadczającego zwolnienie Martina z wojska. Mitch przyjrzał się tym dwóm ostatnim dokumentom szczególnie wnikliwie.

Brazowe włosy, szare oczy - tak, to się zgadzało, pasowało do opisu jego włosów i oczu. Waga: osiemdziesiąt kilogramów - znów jak w pysk strzeleń. Cera jasna - w porządku, też się zgadza. Metr osiemdziesiąt pięć wzrostu...

Mitch zmarszczył lekko brwi. Lonsdale nie wyglądał na kogoś, kto ma więcej niż metr siedemdziesiąt, może siedemdziesiąt pięć, a zatem... Cóż zatem? Nic. Lonsdale siedział z przygarbionymi plecami, a on, Mitch, widział go stojącego tylko przez kilka sekund. W każdym razie wzrost podany w tych papierach pasował do jego wymiarów, i to się naprawdę liczyło.

Dziewczyna wciąż klęczała i płakała. Mitch powiedział jej, by, na miłość boską,

przestała, a że się upierała, kopnął ją lekko w brzuch. To powstrzymało łzy, ale otwarło śluzy potokom najgorszego języka, jaki w życiu słyszał.

Słuchał tego przez chwilę, po czym wymierzył jej bolesny cios otwartą dłonią w szczękę.

- Przeszłaś pierwszy etap - wyjaśnił uprzejmie. - Od tej pory możesz dostać co najmniej cios pięścią. Chcesz spróbować czy zadowolisz się tym, co już otrzymałaś?

- Ty brudny, wszawy, marny krętaczu. - Patrzyła na niego ze złością. - Właśnie straciłam męża i...

- I właśnie tego chciałaś. - Mitch pokiwał głową. - Więc skończ z tym lipnym zawodzeniem. Chciałaś, żeby umarł. Spełniło się twoje życzenie, i to bez pomocy z mojej strony. Więc teraz spróbujmy zrobić razem mały interes, okej?

- Dlaczego, do cholery, miałabym robić z tobą interesy? Jestem wdową. Mam oficjalne prawo do samochodu i szmalu.

- Uhm - przytaknął Mitch roztropnie. - I pewnie będziesz też mogła odebrać te pieniądze, jeśli oczywiście zechcesz tak długo czekać - i jeśli nie będzie żadnych innych roszczeń do spadku. No i rzecz jasna, jeśli wciąż będziesz żywa.

- Żywa? O czym ty...

- Mówię o tym, że możesz zostać stracona. No wiesz - za morderstwo. Pewien wysoki i przystojny młody człowiek może zeznać, że widział, jak zepchnęłaś Martina z urwiska.

Uśmiechnął się do niej. Oczy dziewczyny zapłonęły, lecz szybko zgasił je cień rezygnacji.

- Dobrze - wymamrotała. - Dobrze. Ale czy musisz być taki wstrętny, taki okrutny? Nie możesz zachowywać się jak... eee...

Mitch zawahał się. Nie zależało mu na niej nic a nic i trudno byłoby ten fakt ukryć. Ale z drugiej strony, jeśli masz z kimś robić interesy, lepiej zachowaj pozory życzliwości.

- Będzie nam dobrze ze sobą, Babe. - Uśmiechnął się po chłopięcemu, mrugając do niej okiem. - W tym El Ciudad - czy oni znają tam Martina?

- Nawet nie był nigdy w Kalifornii.

- Super. To umacnia tylko moją tożsamość. Daje naszej operacji spieniężenia czeków solidne podstawy. Jest jednak jeszcze jedna rzecz... - Mitch spojrział na telegram. - Tu jest potwierdzenie rezerwacji wyłącznie dla Martina Lonsdale'a.

- I co z tego? Czy nazwisko żony koniecznie musi widnieć na potwierdzeniu rezerwacji? Mają mnóstwo wolnych miejsc o tej porze roku.

Mitch przytaknął.

- A teraz w kwestii ubrań. Może się mylę, ale Marty wyglądał na ciut mniejszego niż...

- Będą na ciebie pasować - zapewniła dziewczyna z przekonaniem. - Marty kupował sobie ubrania odrobinę za duże. Uważał, że tym sposobem da się je dłużej nosić, no wiesz.

Okazało się, że ma rację. Z wyjątkiem butów wszystkie ubrania zmarłego leżały na Mitchu jak ulał.

Zatrzymał więc swoje buty i skarpetki, a resztę własnej odzieży cisnął do oceanu. Przebrany w świeżą bieliznę, drogą białą koszulę, krawat i błękitny serżowy garnitur o tradycyjnym kroju, zasiadł za kierownicą swojego cadillaca. Dziewczyna, Babe, przytuliła się do niego. Wycofał na główną drogę i ruszył w stronę „El Ciudad”.

- Mmm... - Babe oparła głowę na jego ramieniu. - Jest cudownie, prawda, kochanie? A będzie o niebo lepiej, no nie, gdy przyjedziemy do hotelu?

Zadrzała rozkosznie. Mitch stłumił w sobie dreszcz emocji.

- Spieniężymy czekci - wymamrotała - i zmywamy się. Podzielimy wszystko po połowie, prawda, kochanie?... Prawda?

- O, tak. Naturalnie - powiedział Mitch pośpiesznie. - Możesz być tego pewna!

A w myślach dodał: *Jak cholera!*

*

Hotel „El Ciudad” leży zaledwie kilka mil od zewnętrznej granicy najdalszych przedmieść Los Angeles. Ośrodek wypoczynkowy, prawdziwa perła w sezonie turystycznym, teraz, w środku lata, był nie do poznania. Wspaniałe trawniki zbrązowiały, wyschły na wiór. Długie rzędy palm stały się równie nieapetyczne jak łodygi bananowców. Korty tenisowe były do połowy przysłonięte przez chwasty. Opróżniony z wody i prawie po brzegi wypełniony zeschniętymi liśćmi i gruzem basen wyglądał jak gigantyczny kompostownik. Jedynymi żywymi plamami w tym krajobrazie była czerwono-biała skrzynka pocztowa na początku drogi dojazdowej i zielona budka telefoniczna przy pierwszym paliku na polu golfowym.

Krótko mówiąc, otoczenie budynku było w przygnębiającym nieładzie, a jego wnętrze jeszcze mniej zachęcające. Meble przykryto chroniącymi przed kurzem pokrowcami. Marmurową podłogę zalegały płyty malarskiej folii ochronnej, stare deski i worki z gipsem. Rusztowania wznosiły się do sufitu, a tu i ówdzie stały oparte o ścianę drabiny.

Dyżurował zredukowany do minimum personel; wyglądali równie przygnębiająco jak otoczenie. Kierownik, pełniący też funkcje recepcjonisty, był nieogolony i sprawiał wrażenie mocno skacowanego. Przeprosił oschle za nieporządek, wyjaśniając, że robotnicy odnawiający budynek zastrajkowali.

- To nie robi wielkiej różnicy - dodał. - Oczywiście, przykro nam z powodu niewygód, na jakie to państwa naraża - nie sprawiał bynajmniej wrażenia kogoś, komu jest przykro - ale jesteście państwo naszymi jedynymi gośćmi.

Spieniżył Mitchowi jeden ze studolarowych czeków, a jego chciwe palce łakomie bawiły się banknotami. Boy w workowatej liberii zaprowadził „państwa Lonsdale” do ich apartamentu. Ten składał się z dwóch pokoi i łączącej je łazienki. Mitch obejrzał apartament, odprawił chłopaka z dolarowym napiwkem i opadł na krzesło naprzeciwko nawiewu klimatyzacji.

- Wiesz - powiedział do Babe - zacznym rozumieć twoją złość na Marty’ego. Jeśli to jego typowe zachowanie - wyjazd do zimowego kurortu w środku lata...

- Podwójnie zaprawiony palant - zgodziła się Babe. - Śmiertelnie przerażony, że ktoś mógłby do mnie wystartować.

- Hmmm, hmmm... - Mitch zmarszczył czoło w zadumie. - Jesteś pewna, że to był jedyny powód? Bez względu na to, jak bardzo bał się konkurencji, to posunięcie w ogóle nie ma sensu.

- Cóż... - Dziewczyna zawahała się. - Rzecz jasna, nie zdawał sobie sprawy, że będzie aż tak źle.

Kuchnie i jadalnia w „El Ciudad” nie funkcjonowały, ale boy przygotował i podał im rozmiękkłe kanapki i mętną kawę. Dostarczył też butelkę whiskey po cenie dwukrotnie przewyższającej detaliczną. Wypili kilka drinków i zjedli kanapki. Następnie, postawiwszy przed sobą jeszcze jedną pełną szklaneczkę, Mitch usiadł przy biurku i zaczął ćwiczyć podpis Martina Lonsdale’a.

Z tamtym czekiem, spieniężonym przez kierownika ośrodka, poszło dobrze. Chodziło, bądź co bądź, tylko o sto dolarów i kierownik nie miał powodu powątpiewać w wiarygodność podpisu. Ale jutro, kiedy uderzą do banków, to już będzie zupełnie inna historia. W końcu ma zamiar zrealizować pozostałe чеки u ludzi, których zawód polega na byciu podejrzliwym. Jego podróbki muszą być nieskazitelne, bo inaczej...

Ćwiczył więc i ćwiczył, od czasu do czasu przerywając, by pomasować sobie dłoń lub zamienić słówko z dziewczyną. Gdy wreszcie doszedł do perfekcji, zabrał się do podpisywania czeków. Babe przerwała mu natychmiast, czujna i przezorna.

- Dlaczego to robisz? Czy nie należy ich kontrasygnować na miejscu, przy realizacji?
Mitch wzruszył ramionami.

- Niekoniecznie. Mogę przecież złożyć podpis przy urzędniku bankowym, realizującym nasze чеки. Po to, by ustalić, no wiesz, że mój podpis jest taki sam jak na

czekach.

- Tak, ale dlaczego...

- By zaoszczędzić czasu, do cholery! To jest oszustwo, pamiętasz? Trzymamy wszystkie karty, ale nadal jest to oszustwo. Co oznacza, że musimy trafić od jednego strzału - spieniężyć czek i zniknąć. Ponieważ wcześniej czy później podniesie się wrzawa. Jeśli więc boisz się, że prysnę z tym towarem...

- Och nie, oczywiście, że nie, kochanie. - Trzymała się jednak blisko niego, dopóki nie skończył podpisywania czeków. W rzeczywistości była w pełni przygotowana, że trzeba będzie spędzić z nim całą noc. Ale Mitch nie miał na to ochoty. Wrzucił чеки z powrotem do walizeczki, zamknął ją na kluczyk i podał jej do rąk.

- Trzymaj - powiedział. - Wsadź ją sobie pod poduszkę. A teraz zmykaj stąd, bo chcę się trochę przespać.

Zaczął się rozbierać. Dziewczyna popatrzyła na niego z nadąsaną miną.

- Ależ, kochanie. Myślałam, że będziemy...ech...

- Oboje jesteśmy wykończeni - zauważył Mitch - a będzie jeszcze jedna noc.

Wszedł do łóżka i odwrócił się na bok. Babe wyszła z ociąganiem. Zabrała walizeczkę ze sobą, a drzwi po swojej stronie łazienki zamknęła na klucz.

Mitch odwrócił się na plecy. Wpatrując się w ciemność szeroko otwartymi oczyma, roztrząsał zagadnienie wykiwania Babe, na co zresztą w pełni sobie zasłużyła. Będzie to całkiem proste. Jutro, po udanym - jeśli takim się okaże - spieniężeniu czeków, musi jedynie zaskoczyć ją i unieszkodliwić na jedną noc. Związać i zakneblować, a potem zamknąć w szafie na ubrania. Do tego momentu wszystko było jasne, ale co zrobi potem - nie wiedział. Lub raczej wiedział, co należałoby uczynić, lecz nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać.

Nie mógł prysnąć w cadillacu. Taką furę i ślepy by wytropił. Z tego samego powodu nie mógł zwać taksówką - to znaczy, jeśli w ogóle możliwe byłoby znalezienie taksówki tak daleko od miasta.

Jak zatem ma to zrobić? I rzecz nie mniej ważna: gdzie się ukryje, jeśli już uda mu się stąd ulotnić? Było jasne jak słońce, że po takim numerze będzie się musiał naprawdę porządnie schować. Babe wścieknie się jak cholera. Nic jej to nie da, ale zacznie się pieklić. Ma delikatne i bujne ciało, ale wystarczy spojrzeć na ten odlany ze stali pysk i już wiesz, jak bardzo będzie zła.

Więc?...

Niewidoczna w ciemności twarz Mitcha przybrała chmurny wyraz. Zaraz, przecież Bette, jego żona, ma nierzucający się w oczy samochód. Mogłaby go stąd zabrać i mogłaby

też... Ale byłoby raczej niedorzecznością myśleć, że zechciałaby. Nie po tym ostatnim numerze, jaki jej wyciął.

Owszem, zamierzał prosić ją o przebaczenie - jeszcze przed spotkaniem Martina i Babe Lonsdale'ów. Ale sytuacja przedstawiała się wtedy inaczej. Nie było pięćdziesięciu tysiąków na stanie. Nie było ryzyka wieloletniej odsiadki. Jeśli teraz zwróciłby się do Bette, musiałby zdać jej pełną relację ze sprawy. Co oznaczałoby naturalnie, że byłby zdany na jej łaskę i niełaskę. A jeśli nie okazałaby się łaskawa, jeśli nie zdołałby jej przekonać, by mu odpuściła? No cóż, to byłby koniec pieśni.

Na scenę wchodzi gliny. Ze sceny schodzi Mitch Allison i pięćdziesiąt patyków.

Będę musiał przestać kantować wszystkich dookoła, myślał Mitch. Od teraz będę uczciwy, przynajmniej wobec jednej osoby.

Zasnął przy tych nabożnych myślach. Prawie natychmiast, jak mu się wydawało, nastał ranek, i oto Babe potrząsa nim, by go obudzić.

Ruszyli do Los Angeles, zatrzymując się na śniadanie w przydrożnej jadłodajni. Jedząc, Mitch przeglądał lokalną książkę telefoniczną i ustalał trasę dzisiejszej operacji. Ponieważ czynnik czasu odgrywał istotną rolę, cele - czyli banki - musiały znajdować się w rozsądnej odległości od siebie, nie za dużej, lecz i nie za małej, by tamci nie zauważyli, jak goni od jednego banku do drugiego. Nie trzeba dodawać, że w grę wchodziły wyłącznie niezależne banki. W sieciowych, z ich centralnym systemem informacji, oszusta takiego jak on przy dybaliby już przy drugiej próbie.

Babe obserwowała go w działaniu. Z podziwem w oczach - i wzrastającą ostrożnością. Oto naprawdę ostry zawodnik, myślała sobie. Tak ostry, jak ona twarda. O wiele za ostry, by mu kiedykolwiek mogła dorównać. Będąc kobietą takiego a nie innego pokroju, zdążyła rozważyć możliwość użycia nieczystego zagrania, by wyjść w tym interesie na swoje. Teraz wiedziała, że to nie przejdzie: musi go unieszkodliwić, zanim on zrobi to z nią.

Trzymała się na uboczu, kiedy podchodził do okienka kasjera w pierwszym banku. Przez cały dzień, jeden z najbardziej szarpiących nerwy w całej karierze Mitcha Allisona, ani na chwilę nie oddaliła się od niego na więcej niż kilka stóp.

Zaczął od upychania dziesięciu czeków - tysiąca dolców - naraz. Bajecznie proste z jego wyglądem i papierami. Zwykle sam kasjer przeprowadzał operację, a jeśli nie, potwierdzenie zwierzchnika było czystą formalnością. Niestety, jak Mitch się niebawem zorientował, te tysiąc dolarowe uderzenia nie załatwiały sprawy. Za mało miał czasu. Zabrakłoby mu banków, nim skończyłyby się czeki. Podniósł więc poprzeczkę do dwóch tysięcy, w końcu do trzech, i wtedy zrobiło się naprawdę gorąco.

Kasjerzy automatycznie odsyłali go do kierownictwa, kierownicy przekazywali go swoim zwierzchnikom. Był sprawdzany, przepytany, bacznie obserwowany. Za każdym razem od nowa badano wiarygodność jego dokumentów - zawarte w nich opisy kolacjonowano punkt po punkcie z jego wyglądem. Do za dziesiątą trzecią, gdy pozbył się ostatniego czeku, jego nerwy były w opłakanym stanie.

Razem z Babe zjechał do pobliskiego baru, gdzie wlał w siebie kilka głębszych. Znacznie po tym spokojniejszy, skierował samochód do „El Ciudad”.

- Posłuchaj, kochanie - Babe odwróciła się raptem w fotelu i spojrzała na niego - dlaczego właściwie wracamy do tamtej speluny? Mamy szmal. Czemu po prostu nie opchniemy tego auta za jakąkolwiek cenę i nie zwieziemy stąd?

- Tak po prostu wynieść się, zostawiając bagaże? I wzbudzając tym samym mnóstwo podejrzeń? - Mitch pokręcił głową stanowczo.

- No nie, myślę, że to nie byłby dobry pomysł. Ale sam mówiłeś, że powinniśmy szybko zniknąć. Kiedy to zrobimy?

Mitch spojrzał na nią z ukosa, zastanawiając się, co odpowiedzieć.

- Mogę załatwić z jednym gościem tutaj, w Los Angeles, by wysłał mi telegram z prośbą o natychmiastowe przybycie. Da nam to uzasadniony powód nagłego wyjazdu jutro rano.

Babe pokiwała niepewnie głową. Zasugerowała, by Mitch zaraz zadzwonił do znajomego, zamiast łączyć się z nim później przez centralkę w „El Ciudad”. Mitch odparł, że nie może.

- Facet pracuje do późna, rozumiesz? Nie będzie go jeszcze w domu. Zadzwonię do niego z tej budki na polu golfowym. Dzięki temu nikt nic nie usłyszy.

- Rozumiem - potwierdziła Babe. - Ależ ty potrafisz o wszystkim pomyśleć, kochanie.

Zjedli obiad w przydrożnym zajeździe. Zmierzchało, kiedy Mitch zatrzymał samochód na parkingu „El Ciudad”. Babe zawahała się, sięgając po walizeczkę. Powiedział, by zabrała ją i szła prosto do pokoju.

- I nie zapomnij, skarbie, że widzę oba wejścia do budynku i że to ja mam kluczyki do tej furki.

- Nie bój nic - uśmiechnęła się do niego pogodnie - będę czekać na ciebie w środku.

Ruszyła w stronę hotelu, machając doń ręką radośnie, nim zniknęła za wejściowymi drzwiami. Przeszedł wolno do budki telefonicznej i połączył się z Bette. Właściwie łączył się z nią trzy razy, gdyż ona dwukrotnie odkładała słuchawkę.

W końcu została na linii. I mógł jej zrelacjonować wydarzenia. Rezultat wcale nie był

pokrzepiający. Powiedziała, że zobaczy się z nim - wyruszy najszybciej, jak będzie mogła. I że on może na nią liczyć. Ale było coś złowrogiego w jej głosie, coś co nie pasowało do jego żony. Do żadnej żony. Zanim zdołał coś powiedzieć, rzuciła słuchawkę - po raz trzeci i ostatni.

Mocno zaniepokojony Mitch pomaszerował przez miejscami martwy, a miejscami dopiero umierający trawnik i wszedł do hotelu. Wzrok kierownika/recepcjonisty umknął w popłochu, gdy tylko go dostrzegł. Boy/windziarz był równie tajemniczy. Mitch, zafrasowany reakcją Bette, nic jednak nie zauważył. Wysiadł na swoim piętrze i ruszył wzdłuż korytarza, przemykając wśród rusztowań, torując sobie drogę przez zaśmieconą dzunglę puszek po farbie, worków gipsu i tapet.

Dotarł do drzwi pokoju, nacisnął klamkę, wszedł.

I coś runęło na jego głowę.

*

Było ciemno, gdy Mitch odzyskał przytomność. Usiadł, masując obolałą czaszkę, gapiąc się w pomieszaniu na potrząskane szkło na podłodze - pozostałości po rozbitej butelce whiskey. Wtedy przypomniał sobie; uświadomienie samo przyszło do niego. Miotając przekleństwa, podbiegł do okna.

Cadillac wciąż stał na parkingu. Tak, a kluczyki wciąż tkwiły w jego kieszeni. Mitch obrócił się wokół własnej osi, przebiegł przez łazienkę i kopnięciem otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju.

Był pusty, w nienagannym porządku, bez Babe i bez bagażu. Nic nie wskazywało, by ktoś tu w ogóle mieszkał. Mitch wrócił na chwiejnych nogach do swojego pokoju, i wtedy rozległo się pukanie do drzwi. Otworzył je gwałtownym ruchem.

Jakiś mężczyzna wszedł do pokoju, zamykając za sobą drzwi. Spojrzał na Mitcha. Popatrzył na potłuczoną butelkę na podłodze. Potrząsnął głową z lekką dezaprobatą.

- No cóż, podobno jesteś chorym człowiekiem, Marty - powiedział gardłowym głosem. - No i masz kupę pieniędzy - moich pieniędzy. No to nie powinieneś się upijać.

- Ha? C-co? - zdziwił się Mitch. - Kim ty, do cholery, jesteś?

- No więc jestem Świnia - odparł mężczyzna. - Któż by inny? Imię pasowało do niego. Połóż orzeszek na jajku, a będziesz miał wyobrażenie o wyglądzie tego typka. Miał jakiś metr pięćdziesiąt wzrostu, a ważył chyba ze sto czterdzieści kilo. Jego ramiona były krótkie, niemal na granicy deformacji. Głowa w rozmiarze sześć, talia w rozmiarze sześćdziesiąt.

Mitch gapił się na niego bezmyślnie, nie odzywając się ani słowem. Świnia prawdopodobnie źle zrozumiał jego milczenie.

- No cóż, nie jesteś mnie pewien - powiedział. - No to zacznę od początku, by rozwiązać twoje wątpliwości. No więc jesteś dobrym i wiernym sługą Człowieka, pomocnym we wszystkich jego kłopotach. No i otrzymałem od Człowieka wiadomość, że masz mi wypłacić pięćdziesiąt tysięcy dolarów za wyświadczone usługi.

No a ty jesteś bardzo chorym człowiekiem, i masz tym samym niewiele do stracenia, gdybyś został nakryty w czasie załatwiania sprawy...

- Hej, poczekaj - przerwał mu Mitch. - Ja... ja nie jestem...

- No więc masz przetransportować pieniądze w czekach podróźnych o niskich nominałach. No po to, żeby cię nie obrabowano. No i żeby można je było spieniężyć, nie wywołując niepożądanego zainteresowania. No więc miałeś na to dzień, by je spieniężyć. No więc - Świnia kontynuował stanowczym głosem - dasz mi teraz pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

W ustach Mitch czuł suchość, wielką suchość. Powoli poszczególne kawałki układanki zaczynały łączyć się w całość. To, co się z nich wyłoniło, to był jego koniec. Tym razem naprawdę wdepnął w coś strasznego - pierwszorzędne tarapaty, takie naprawdę uczciwe, dwa razy warzone coś. Następne słowa Świni potwierdziły ten fakt.

- No więc wiesz, jak zarobiłem tę pięćdziesiątkę, Marty. No więc nie będziesz chciał, żebym ci zademonstrował. Lepiej umrzeć naturalną śmiercią.

- D-dobrze, p-p-posłuchaj - wybełkotał Mitch. - Masz niewłaściwego faceta. Nie nazywam się Martin Lonsdale. Nazywam się... nazywam się... Spójrz, pokażę ci. - Chciał sięgnąć po swój portfel, ale jęknął tylko cichutko. Przypomniał sobie, że go wyrzucił. Istniało ryzyko bycia złapanym z dwoma zestawami dokumentów osobistych, a zatem...

- No więc? - powiedział Świnia.

- Ja! Posłuchaj! Zadzwoń do tego Człowieka, kimkolwiek on jest. Pozwól mi z nim pogadać. On może ci wyjaśnić, że ja nie jestem...

- No ale kto może - warknął Świnia - zadzwonić do Alcatraz? No więc... - dodał - dasz mi moje pieniądze, Marty.

- Nie mam ich! Moja żona... to znaczy, kobieta, razem z którą wynająłem ten apartament, je ma. Ma pokój przylegający do mojego i...

- No więc - nie. No więc sprawdziłem osobiście książkę meldunkową. No i nie było z tobą żadnej kobiety.

- Mówię ci, że była! Ci ludzie tutaj są chciwi jak diabli, a ona miała mnóstwo szmalu, by ich przekupić... - Przerwał, uświadomiwszy sobie, jak prawdziwe są jego słowa. Po chwili, zdesperowany, przemówił ponownie: - Pozwól mi opowiedzieć o wszystkim, co się zdarzyło, od samego początku! Chciałem złapać stopa, rozumiesz, i ten wielki cadillac zatrzymał się,

żeby mnie zabrać. I...

Mitch opowiedział mu całą historię. Na Świni nie zrobiła żadnego wrażenia.

- No i to jest opowieść za pięćdziesiąt tysięcy? No cóż, dostałbym lepszą za pięć centów.

- Ale to prawda! Nie wymyśliłbym nic aż tak absurdalnego! Czy przyjechałbym tutaj, wiedząc, że zjawisz się po pieniądze?

- No cóż, ludzie robią różne głupstwa. - Świnia wzruszył ramionami. - No i, poza wszystkim innym, jestem dzień wcześniej.

- Ależ, do cholery!...

Usłyszeli dyskretne pukanie do drzwi. Otworzyły się i do pokoju weszła Bette.

Ta Bette to był sam miódzik, może trochę skąpo uposażona od podbródka w górę, ale za to gdzie indziej miała, co trzeba. Striptizerka z varietés, której manieri, a czasami strój, powodowały, iż brano ją za przedstawicielkę znacznie starszej profesji.

Mitch przywitał ją z histeryczną niemal radością.

- Powiedz temu facetowi, kochanie! Powiedz mu, na miłość boską, kim jestem!

- Powiedzieć mu?... - Bette zawahała się, mrugając oczami. - Dlaczego? Przecież pan to Martin Lonsdale, jak sędzę. Jeśli to jest pański pokój. Czy to nie pan posłał po mnie, abym...

- Nnnnie! - zabalgotał Mitch. - Nie rób mi tego, kochanie! Powiedz mu, kim naprawdę jestem! Proszę!

Jedno z ramion Świni poruszyło się niedbale. Pięść na jego końcu zdzieliła Mitcha w twarz. To było jak walnięcie cegłą. Mitch zachwiał się i runął jak długi na łóżko. Oszołomiony słyszał, jakby z oddali, szmer rozmowy...

- ...byłam z nim umówiona, za sto dolarów. I przyjechałam tu aż z Los Angeles...

- No więc Marty ma inną randkę. No a ja zapłacę ci te sto dolarów...

Usłyszał suchy szelest, a następnie słodki głosik: „Och, ależ pan miły!”, potem drzwi otworzyły się i zamknęły, i Bette już nie było. Świnia powoli zbliżył się do łóżka. Z ręką w kieszeni. Wybrzuszenie kieszeni było zbyt duże jak na pustą pięść.

Mitch udawał nieprzytomnego, dopóki dłoń Świni nie zaczęła wynurzać się z kieszeni. Wtedy wyrzucił nogi w górę ruchem tak szybkim, że niemal niezauważalnym. Wykonał pełne salto w tył i wylądował po drugiej stronie łóżka, chwycił za jego brzeg i poderwał gwałtownie do góry.

Prędkość nie była mocną stroną Świni. Po prostu nie miał odpowiedniej budowy ciała. Próbował usunąć się z drogi, ale skończyło się na tym, że potknął się o własne stopy. Łóżko

runęło na niego, przygważdżając go do podłogi. Mitch ukołysał go do snu okrutnym kopniakiem w głowę.

Mitch zdał sobie sprawę, że wszystkie te ruchy wykonał jak we śnie, jak zahipnotyzowany. Ale teraz jego umysł był krystalicznie czysty, jaśniejszy niż kiedykolwiek do tej pory.

Gdzie podziała się Babe? Proste. Skoro nie odjechała samochodem, musiała odejść na piechotę. I Mitch wiedział, dokąd poszła.

Co zrobić ze Świnią? Też proste. Przydatne materiały poniewierały się wszędzie, gotowe do użycia.

Mitch odkręcił kurek z wodą w wannie. Wyszedł na korytarz i wrócił z dwoma workami szybko schnącego gipsu...

Zająwszy się sumiennie Świnią, zanurzonym teraz po brodę w gipsie, opuścił apartament. Spodzielając się, że tak będzie szybciej, pognął schodami w dół i wybiegł na parking, gdzie stał cadillac. Koła zakręciły się w miejscu, po czym z piskiem opon Mitch wyjechał na podjazd w kształcie podkowy i dalej na szosę.

Przejechawszy milę lub dwie, zwolnił nieco, bacznie obserwując teren po prawej stronie drogi: porośnięte chwastami pola naprzeciwko oceanu. Nagle skręcił gwałtownie, zjeżdżając na pobocze, i zatrzymał samochód. Wsiadł... i zmrużył oczy z ponurą satysfakcją.

Był teraz mniej więcej na wysokości miejsca, gdzie przybrał tożsamość Martina Lonsdale'a. Miejsca, w którym ów rzekomo popełnił samobójstwo. Nieco dalej, pośrodku jałowego pola, znajdowała się opuszczona szopa na produkty rolne.

Z drogi wyglądała na całkiem ciemną i opustoszałą. Ale gdy Mitch przeskoczył fosę i zbliżył się nieco, jego wzrok pochwycił słabe migotanie światła. Po cichu podszedł do budynku. Zajrzał przez szparę w opadających na zawiasach drzwiach.

W rogu pomieszczenia znajdował się niewielki kopiec artykułów żywnościowych, a także spory bukłak z wodą - jeden z tych, jakich używają na pustyni. W innym kącie rozłożono kilka koców. Na wprost drzwi puszcza fasoli podgrzewała się na alkoholowej kuchence turystycznej. Stał nad nią jakiś mężczyzna, niecierpliwie spoglądając na jedzenie.

Mitch wiedział, kim jest mężczyzna, mimo że ten nie miał teraz okularów ani czapki. Wiedział też, kim ów nie jest - był bowiem łysy i miał dużo mniej niż metr osiemdziesiąt wzrostu.

Mitch kopnięciem otworzył drzwi i wtargnął do środka. Facet wydał z siebie wystraszone: „Ach!” i, kołyszając ciałem na boki, ruszył przed siebie.

Nie powinien był tego robić. Mitch już dość się przez niego nadenerwował. Jeden

porządny hak i facet leci do góry aż pod sufit. Opadał w pozycji horyzontalnej, lądując na stercie żywności.

Mitch poderwał go na równe nogi i wymierzając policzek, przywrócił do przytomności.

- No dobra. Opowiedz mi historyjkę. Całą i w prostych słowach, jasne? I nie pytaj, jaką historyjkę, bo...

- N-n-nie będę... To znaczy, wszystko opowiem! - wybełkotał mężczyzna nieprzytomnie.

- Przyczepiliśmy się do Lonsdale'a w motelu. Wyczailiśmy, że ma kupę szmalu, więc Babe zaczęła jęczeć, żeby nas podwiózł. Chcieliśmy go tylko obrabować, no wiesz. Przysięgam na Boga, to wszystko! Ale... ale...

- Ale on zaczął walczyć i musieliście go sprzątnąć.

- Nie! Wcale nie tak! - zaprotestował mężczyzna. - Facet po prostu padł trupem! Przysięgam, że tak było! Wyciągnąłem nóż, by mu pogrozić - nawet go nie dotknąłem - a on wykorkował! Zgasł jak świeczka. Musiał mieć nie w porządku pompkę czy co, tak czy owak...

Mitch przytaknął ze zrozumieniem. Świnia sugerował, że Lonsdale był kiepskiego zdrowia.

- Okej. Śpiewaj dalej.

- W-więc nie miał przy sobie prawie żadnej gotówki, inaczej niż myśleliśmy. Tylko kupę czeków. Ale wcześniej pociągnęliśmy go nieźle za język i przyszło nam do głowy, że wystarczy znaleźć odpowiednio wyglądającego frajera - pan wybaczy - faceta, który mógłby uchodzić za Lonsdale'a...

- Więc pojeździliście sobie troszkę w tę i z powrotem po głównej drodze, aż znaleźliście takiego. I o mały włos nie doprowadziliście do mojej śmierci!

Facet zatrząsł się nerwowo. Zaczął skamleć przepraszająco.

- Nie mieliśmy takiego zamiaru. Tak naprawdę, byliśmy przekonani, że wyświadczamy panu przysługę, dając sposobność zarobienia paru groszy.

- No jasne. Ale przeskoczmy ten punkt. Gdzie jest Babe?

- W hotelu.

- Idiota! - Mitch wymierzył mu policzek. - Miałeś zamiar ukrywać się tu, aż sprawa przycichnie! No więc gdzie ona jest, do cholery?

Mężczyzna znów zaczął bełkotać. Babe nie potrafiła przewidzieć, jak szybko uda jej się ulotnić. Nie ustalili konkretnej daty spotkania. Powinna zatem być w hotelu. Jeśli jej tam

nie ma, to on nie wie, gdzie ona się podziewa.

- Może mnie wykiwała - dodał z goryczą w głosie. - Nigdy nie mogłem w pełni jej zaufać, gdy oddaliła się choćby na krok. Nie wiem, w jaki sposób miałyby uciec, ale...

Mitch wykonał szybki ruch pięścią w przód.

Kiedy facet odzyskał przytomność, był nagi, a w pomieszczeniu nie było już pożywienia, wody i innych zasobów. Jego ubranie, wraz z całą resztą, zostało zawinięte w koce, a Mitch właśnie taszczył te tobołki na zewnątrz.

- Poczekaj! - Mężczyzna spojrział za nim ze strachem. - Co zamierzasz zrobić?

Mitch wyszedł. Jakaś milę dalej wrzucił wszystko do rowu. Przybył do hotelu, zaparkował i pozwolił sobie na chwilę głębokiego zastanowienia.

Babe musi być w budynku. Zgłodniały pieniędzy personel ukrywa ją za stosowną opłatą. Ale gdzie dokładnie może się podziewać - w którym z niezliczonych pokoi, zakamarków, piwnic i lochów, jakich pełno w tego typu budynkach - tego nie był w stanie określić. Ani dowiedzieć się. Pracownicy z pewnością nic nie powiedzą. Po prostu schowają się przed nim, widząc, że nadchodzi. I naturalnie nie może przeszukać całego budynku od piwnic po strych. To zajęłoby zbyt dużo czasu. Dostawcy, być może jacyś inni goście, mogą się wkrótce pojawić. I jeszcze pozostawał Świnia. Ktoś musiał go tu przywieźć. Skoro nie zamierzał zatrzymać się dłużej niż do rana, ktoś po niego niebawem przyjedzie, a wtedy...

Mniejsza z tym. Musi odnaleźć Babe. I musi to zrobić szybko. A ponieważ nie znał miejsca jej ukrycia, można było uczynić tylko jedną rzecz. Zmusić ją, by sama wyszła.

Mitch przeszedł na tyły hotelu i zlokalizował wysypisko śmieci. Bez większych trudności znalazł dwudziestolitrową puszkę po smalcu i trochę szmat. Powrócił na parking. Wrzucił puszkę pod zbiornik paliwa w samochodzie i otworzył zawór. W czasie gdy puszka napelniała się paliwem, Mitch skręcił powróż ze szmat. Następnie, zamknąwszy dopływ paliwa, udał się do budki telefonicznej i wybrał numer hotelowej centrali.

Odebrał kierownik/recepcjonista. Poradził Mitchowi zmiatać, zanim wezwie policję.

- Wiem, że pan nie nazywa się Lonsdale, rozumie pan? Wiem, że jest pan oszustem. I jeśli nie opuści pan posesji w ciągu pięciu minut...

- I kto to mówi! - zadrwił Mitch. - Dalej, wezwij gliny! Chciałbym zobaczyć, jak to robisz, ty tchórzliwy, zestrachany...

Menedżer odłożył słuchawkę. Mitch zadzwonił do niego ponownie.

- A teraz posłuchaj - powiedział ostro. - Twierdzisz, że jestem oszustem. W porządku. Jestem oszustem i jestem niebezpieczny. Jestem specjalistą od materiałów wybuchowych. I mam tu ze sobą pełno ulubionych zabawek. Wysyłasz dziewczynę na zewnątrz, i to szybko,

albo wysadzę tę budę w powietrze!

- Naprawdę? O rany, rany! - Mężczyzna zaśmiał się szyderczo, ale nieco drżącym głosem. - Pomyślałby kto!

- Mówię ci - powiedział Mitch. - I mówię to po raz ostatni. Niech panna wyłazi z ukrycia albo nie pozostanie kamień na kamieniu.

- Nie odważy się pan! Jeśli myśli pan, że może tak blefować...

- Dokładnie za pięć minut - uciął Mitch - pierwszy ładunek zostanie odpalony na zewnątrz. Jeśli cizia nie wyjdzie, wasz budynek wyleci w powietrze.

Odłożył słuchawkę i wrócił do samochodu. Wziął szmaty i benzynę, zaniósł je do czerwono-białej skrzynki na listy. Stała w głębokim cieniu, rzucanym przez zadaszenie nad podjazdem, więc nikt nie mógł go tu widzieć. Poza tym pracownicy hotelu na pewno trzymali się z dala od wejścia.

Nasączył szmaciany powróż benzyną i wetknął jeden koniec do skrzynki na listy, po czym podniósł puszkę i wlał jej zawartość przez szparę do wrzucania listów. Benzyna wypełniła skrzynkę niemal po brzegi. Płyn wyciekał przez szczeliny w spojeniach i skapywał na ziemię.

Mitch dokładnie wytarł ręce chusteczką. Następnie zapaliwszy całe pudełko zapalek, rzucił je na koniec liny. I uciekł.

Ucieczka nie była konieczna. „Bomba” okazała się żenującą porażką. Rozległ się słaby pomruk, jakby warknięcie - żołądek głodnego człowieka, pomyślał Mitch z goryczą, narobiłby więcej hałasu. Buchnęło kilka kłębow dymu i skrzynka zatrzęsa się na podpórkach. I tyle. To był ten cały zapowiadany „wybuch”. Nie przestraszyłby znerwicowanego niemowlęcia. A co do tych szcurków w budynku, cóż, pewnie sikają ze śmiechu.

Och, rzecz jasna, ogień zniszczył skrzynkę - praktycznie stopiła się. I to sprawi im nieco zachu. Ale to w niczym nie pomogło Mitchowi Allisonowi.

Z odległego miejsca na trawniku spoglądał osowiały na dogasające płomienie, zastanawiając się, co zrobić. Westchnął i jego oczy nagle rozszerzyły się: zobaczył, jak dwie kobiety wybiegają przez główne wejście „El Ciudad”.

Jedna z nich - ta na przedzie - to była Babe, z gołymi nogami, boso, jedynie w biustonoszu i majtkach. Biegając, wrzeszczała, bijąc i drapiąc tę, która biegła za nią. I łatwo było pojąć dlaczego. Gdyż kobietą goniącą Babe była Bette, i Bette trzymała w dłoni buchający ogniem palnik.

Trzymała go przed sobą, a jego długi, błękitny płomień wycelowany był prosto w plecy miedzianowłosej. Babe przyspieszyła kroku. Lecz i Bette nie pozostała w tyle.

Biegły trawnikiem w jego kierunku. Nagle Bette potknęła się, wypuszczając palnik z rąk. Niemal w tym samym momencie, Babe zderzyła się ze stalowym słupem na flagę. Huknęła weń głową i od siły uderzenia straciła przytomność. Zostawiając Babe, by oglądała wszystkie gwiazdki, Mitch usiadł przy Bette i przyciągnął ją sobie na kolana. Objęła go ramionami, ściskając gorączkowo.

- Nic ci nie jest, kochanie? Tak się o ciebie martwiłam! Chyba nie myślisz, że to, co odegrałam, było na serio, prawda?

- Nie winiłbym cię za to, nawet gdyby było - zapewnił Mitch.

- Więc to nie było na serio. Oczywiście byłam strasznie wściekła na ciebie, ale jesteś moim mężem. Bardzo często sama mam ochotę cię zamordować, ale przecież nie pozwoliłabym na to nikomu innemu!

- Moja dziewczynka. - Mitch pocałował ją czule. - Tylko...

- Pomyślałam, że to najlepsze, co mogę zrobić, kochanie. Po prostu zgrywać głupią, a potem zorganizować jakąś pomoc. Cóż...

- Chwileczkę - przerwał jej Mitch. - Gdzie twój samochód?

- Nad oceanem. - Bette wskazała kierunek ręką i mówiła dalej: - A zatem zauważyłam ją, jak podsłuchuje na korytarzu. To znaczy, czmychnęła bardzo szybko, ale wiedziałam, że podsłuchiwała. Pomyślałam, że być może jakoś sobie poradzisz przez chwilę, więc ja powinnam raczej zająć się nią.

- Słusznie - przytaknął Mitch. - Zrobiłaś dokładnie to, co należało, skarbie.

- No cóż, miała pokój kilka numerów dalej, Mitch. Myślę, że musieli przenieść ją gdzieś blisko, bo nie mieli zbyt wiele czasu. W każdym razie weszła do pokoju, a ja weszłam zaraz za nią.

Wtedy poprosiła Babe o zdanie relacji z wydarzeń. Ta kazała jej się wypchać i Bette popracowała trochę nad nią, w trakcie tych czynności zdzierając z niej ubranie. Po chwili Babe zaczęła gadać. Bette dowiedziała się zatem, że dla Mitcha nie będzie ratunku, jeśli mu go nie zapewni.

- Zamknęłam ją więc na klucz i poszłam do twojego pokoju. Ale ciebie nie było, a po stanie rzeczy zorientowałam się, że musisz mieć się dobrze. Mam na myśli facia w wannie. - Bette zachichotała na wspomnienie tego widoku. - Wyglądał tak śmiesznie, Mitch! Jak ty, do cholery, wpadasz na te wszystkie pomysły?

- Samo przychodzi, tak sędzę - wymamrotał Mitch skromnie. - Mów dalej, skarbie.

- Wróciłam więc do jej pokoju i wtedy zadzwonił recepcjonista z informacją, że grozisz wysadzeniem budynku. Ale ona nie dała się na to nabrać. Powiedziała, że zostaje,

choćby nie wiem co, i że ty tylko blefujesz. Ja też byłam pewna, że blefujesz, ale domyśliłam się, że chcesz zmusić ją do wyjścia z budynku. Udałam się więc do holu i wygrzebałam gdzieś wielką zapalniczkę do cygar...

Mitch zaśmiał się cicho i znów ją pocałował.

- Dobra robota, dziecinko. Jestem z ciebie naprawdę dumny. Przypuszczam, że dobrze ją obszukałaś. Sprawdziłaś jej bagaż?

Bette przytaknęła, przygryzając wargę.

- Tak, Mitch. Ale ona nie ma pieniędzy.

- Nie zamartwiaj się tym... - Poklepał ją lekko. - Nie sądzę, by trzymała je przy sobie.

Zadekowała forszę gdzieś na zewnątrz.

- Ale, Mitch, ty nie rozumiesz. Rozmawiałam z nią i...

- Wiem. To uparta dziewczyna. - Mitch powstał. - Już ja to załatwię.

- Ale, Mitch... Ona powiedziała mi, gdzie schowała pieniądze. Kiedy goniłam ją z palnikiem.

- Powiedziała ci! Dlaczego nic nie mówisz? Gdzie one są, do diaska?

- Nie ma ich - powiedziała Bette żałośnie. - Ale były. - Wskazała w stronę hotelu. -

Tam były.

- Hej? O czym ty mówisz?

- Ona... wysłała je pocztą na swój adres.

*

Chory z obrzydzenia do samego siebie Mitch usiadł za kierownicą auta Bette i wyjechał na szosę. Bette obserwowała jego chmurną twarz. Poklepała go pocieszająco po kolanie.

- Hej, nie przejmuj się tym tak bardzo. To nie była twoja wina.

- Więc czyja? Jak ktoś może być tak głupi i żyć tak długo! Pięćdziesiąt tysięcy i sam się z nich wyrolowałem! Sam to zrobiłem, i to mnie dobija!

- Nie możesz oczekiwać, że będziesz doskonały. Nikt nie może być cały czas sprytny.

- Bzdura! - stęknął Mitch z bólem. - Kiedyż ja w ogóle byłem sprytny?

Bette oznajmiła z mocą, że był sprytny wiele razy. Wiele, wiele razy.

- Wiesz, że to prawda, kochanie! Tylko popatrz na te wszystkie przekręty, których dokonałeś! Pomyśl o tych wszystkich ludziach, którzy próbują cię znaleźć! Myślę, że nie próbowaliby, gdybyś ich wcześniej nie wykiwał, no nie?

- Cóż... - Plecy Mitcha wyprostowały się nieco. Bette zwiększyła dawkę pochwał.

- Hej, założę się, że jesteś najlepszym naciągaczem w historii! Założę się, że

potrafiłbyś facetowi z otartymi nogami ukraść skarpetki bez ściągnięcia mu butów!

- Ty... ach... ty naprawdę tak myślisz, kochanie?

- Jestem tego pewna! - przytaknęła żywo Bette. - Po prostu nie ma bardziej przebiegłych facetów od mojego Mitcha. No, no. Założę się, że jesteś największym łajdakiem na świecie!

Mitch westchnął z zadowolenia. Bette przytuliła się mocno do niego. Jechali tak przez noc, zbliżając się - rzecz ze wszech miar nieroztropna - do Miasta Aniołów.

Stephen King

Piąta ćwiartka

Nie ma obecnie większego admiratora prozy Jima Thompsona niż Stephen King, prawdopodobnie najlepiej sprzedający się pisarz na świecie. Gdy w 1990 roku wznowiono serię książek Thompsona, King napisał entuzjastyczną pochwałę, zachęcając nowych czytelników do sięgnięcia po te książki: „A teraz, przyjacielu, zapnij pasy i sięgnij po maskę przeciwigazową!”. Choć King często bywa klasyfikowany jako autor horrorów, w rzeczywistości swym pisarstwem obejmuje szerokie spektrum gatunkowe od fantasy po sensację, a sam jest też, jak wiadomo, zapalonym czytelnikiem utworów spod znaku czarnego kryminału. W świetle tego, co powyżej powiedziano, zaskakuje fakt, iż „Piąta ćwiartka” jest jego jedyną próbą pisarską w tym gatunku. Napisana w 1972 roku, ukazała się, rzecz ciekawa, w „Cavalier”, pikantnym piśmie dla panów, i była sygnowana przez niejakiego Johna Swithena. Pomimo swej obfitej twórczości King regularnie używał tylko jednego pseudonimu, Richard Bachman - dla serii pięciu tytułów wydanych w latach 1977-1984, co zostało ujawnione przez przedsiębiorczego pracownika waszyngtońskiej księgarni po ukazaniu się piątego tomu serii, zatytułowanego „Chudszy” („Thinner”). Od tamtej pory wszystkie wznowiono pod prawdziwym nazwiskiem autora. Z drugiej strony, „John Swithen” pojawił się (jak na razie) tylko ten jeden raz, i nie była to żadna próba mistyfikacji ze strony Kinga, gdyż ten chętnie zgodził się w 1986 roku na reedycję „Piątej ćwiartki” w lutym numerze pisma „Twilight Zone”. Opowiadanie zostało tam opatrzone nagłówkiem, który mógłby pochodzić wprost z kart taniego czasopisma z lat trzydziestych: „Podzielić placek między czterech facetów, to już jest ciężka sprawa. Piąty do podziału oznacza morderstwo”.

Stephen King (1946), urodzony w mieście Portland w stanie Maine, pracował w wielu zawodach - był dozorcą, pracownikiem młyna i pracownikiem biblioteki, odpowiedzialnym za odkładanie książek na półki - nim został nauczycielem, a później, po opublikowaniu w 1974 roku swojej pierwszej powieści „Carrie”, literackim fenomenem. Sfilmowano wiele jego dzieł - najsłynniejsze z tych ekranizacji to: „Lśnienie” („Shining”, 1980), „Christie” (1983), „Podpalaczka” („Firestarter”, 1984), „Smętarz dla zwierzaków” („Pet Sematary”, 1989) - i oszacowano, że sprzedał

dotychczas ponad sto milionów egzemplarzy swoich książek na całym świecie. Zamieszczone poniżej opowiadanie - bardzo odległe od pierwszego opublikowanego w „Comics Review!” utworu Kinga, zatytułowanego w manierze typowej dla zwykłej zawartości tanich czasopism: „I Was a Teenage Graverobber” („Byłem nastoletnim rabusiem grobów”) - mocno trzyma się tradycji Jima Thompsona; występuje w nim były skazaniec Flip Wilson, poszukujący pieniędzy z napadu na bank, które należały się jego nieżyjącemu już przyjacielowi. W „Twilight Zone” nazwano je „szybką, zimną jak lód opowieścią”. Na pewno pozostanie w pamięci czytelnika na długo po zamknięciu kart tej książki.

*

Zaparkowałem gruchota za rogiem domu Keenana, siedziałem chwilę w ciemności, po czym wyłączyłem silnik i wysiadłem. Kiedy zatrząskiwalem drzwiczki, usłyszałem, jak kawałki rdzy odpryskują od blachy na progach i spadają na jezdnię. Już dłużej tak nie będzie.

Pistolet spoczywał pewnie na mojej piersi. To była czterdziestka piątka - czterdziestka piątka Barneya. Powinna załatwić sprawę. I nadawała całemu przedsięwzięciu aurę surowej sprawiedliwości.

Dom Keenana był architektonicznym monstrum - cały w ostrych kątach, ze stromo opadającymi dachami, rozłożony na ponad połowie akra terenu za żeliwnym ogrodzeniem. Tak jak na to liczyłem, brama nie była zamknięta. Sierżant miał się zjawić nieco później.

Wszedłem na podjazd, trzymając się blisko zarośli i nasłuchując, czy jakiś niepokojący dźwięk nie dobiegnie spoza przesywających powietrze jęków styczniowego wiatru. Żadnych odgłosów. Był czwartkowy wieczór i służąca Keenana miała wychodne, spędzając wesoło czas na czyimś przyjęciu, zorganizowanym przez sprzedawców naczyń Tupperware. Nikogo zatem w domu oprócz tego łajdaka Keenana. Czekającego na Sierżanta. I na mnie.

Garaż był otwarty, więc wśliznąłem się do środka. Hebanowy cień chevroleta impali rysował się w mroku. Spróbowałem tylnych drzwiczek. Były otwarte. Wsiadłem i czekałem.

Usłyszałem cichy odgłos muzyki. Jazz, bardzo dyskretny i bardzo dobry. Chyba Miles Davis. Keenan słuchający Milesa Davisa ze szklaneczką dżinu w delikatnej dłoni - jak miło!

To było długie oczekiwanie. Wskazówki mojego zegarka przesunęły się najpierw z ósmej trzydzieści na dziewiątą trzydzieści, potem na dziesiątą. Mnóstwo czasu na myślenie. Pomyślałem o Barneyu. O tym, jak wyglądał w tej małej łódce, kiedy znalazłem go tamtego dnia pod koniec lata. Wpatrywał się we mnie i wydawał z siebie niezrozumiałe, skrzekliwe dźwięki. Dryfował przez dwa dni i wyglądał jak wyciągnięty z wrzątku homar. Na brzuchu, tam gdzie został postrzelony, widniała czarna plama zakrzepłej krwi.

Sterował w stronę chaty na brzegu najlepiej jak potrafił, ale tylko łut szczęścia

sprawił, że tam dotarł i że był jeszcze w stanie mówić przez krótką chwilę. Miałem w pogotowiu garść pigułek nasennych. Nie chciałem, żeby cierpiał. Chyba że miałby mi coś do powiedzenia.

Miał. Powiedział mi prawie wszystko.

Gdy umarł, wróciłem do łódki i zabrałem jego czterdziestkę piątkę. Ukryta była w małym schowku na rufie, zapakowana w nieprzemakalny woreczek. Następnie odholowałem łódź na głęboką wodę i zatopiłem. Gdybym mógł zostawić epitafium w sosnowym zagajniku, w którym go pochowałem, byłyby to słowa Barnuma: „Co minutę jeden się rodzi”. Zamiast tego ruszyłem dowiedzieć się, czego się da, o facetach, którzy go załatwili. Gromadzenie informacji na temat dwóch z nich zabrało mi sześć miesięcy i przywiodło mnie tutaj, do tego oto miejsca.

O dwudziestej drugiej dwadzieścia światła reflektorów załąły zakręt na drodze podjazdowej. Opadłem na podłogę w impali. Tamten samochód wjechał do garażu i zaparkował, przytulając się niemal do wozu Keenana. Sądząc po odgłosie - volkswagen. Niewielki silnik ucichł i usłyszałem Sierżanta posapującego cicho, gdy wysiadał ze swego autka. Zapaliło się światelko sufitowe w volkswagenie i usłyszałem kliknięcie otwieranych drzwiczek.

Głos Keenana:

- Czołem, Sierzancie! Spóźniłeś się! Wejdz i napij się.

- Szkocką.

Wcześniej opuściłem szybę w oknie. Teraz wystawiłem przez nie czterdziestkę piątkę Barneya, trzymając kolbę oburącz.

- Nie ruszać się - powiedziałem.

Sierżant był w połowie wysokości betonowych schodków. Keenan spoglądał na niego z góry. Doskonale widziałem ich sylwetki, czerniejące na tle światła wylewającego się przez uchylone drzwi domu. Nie przypuszczałem, by mogli mnie widzieć w ciemności, ale na pewno widzieli pistolet. To był duży pistolet.

- Kim jesteś, do cholery? - spytał Keenan.

- Flip Wilson - powiedziałem. - Jeden ruch i jesteś martwy. Zrobię w tobie dziurę dość dużą, by można było wstawić telewizor.

- Gadasz jak dzieciak - powiedział Sierżant. Jednak nie poruszył się.

- Po prostu nie ruszaj się. O nic innego nie musisz się martwić. - Otworzyłem tylne drzwiczki impali i wysiadłem ostrożnie. Sierżant patrzył na mnie przez ramię, widziałem błysk w jego małych oczkach. Jedna dłoń jak pajak wspinała się po klapie jego dwurzędowej

marynarki, model z 1943 roku.

- Ręce do góry.

Sierżant uniósł ręce. Keenan już wcześniej to zrobił. Instynktownie.

- Stań przy najniższym stopniu schodów. Obydwaj.

Zeszli ze schodów i w rozproszonym świetle ujrzałem ich twarze. Keenan wyglądał na przestraszonego, ale Sierżant był całkowicie opanowany. To prawdopodobnie on załatwił Barneya.

- Twarzą do ściany - rozkazałem. - Obydwaj.

- Jeśli chodzi ci o pieniądze...

Roześmiałem się. Zabrzmiało to jak zdrapywanie wystygłego żużlu z paleniska pieca.

- Tak, o to mi chodzi. O sto osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Zakopane na małej wysepce Carmen's Folly niedaleko Bar Harbor.

Keenan podskoczył, jakby go ktoś postrzelił, ale kamienna twarz Sierżanta ani drgnęła. Odwrócił się i położył dłonie na ścianie, opierając na nich ciężar ciała. Keenan z ociąganiem zrobił to samo. Przeszukałem najpierw jego i znalazłem śliczną małą trzydziestkę dwójkę z rękojeścią inkrustowaną mosiądzem.

Rzuciłem ją za siebie i usłyszałem, jak z hukiem spada na któryś samochód. Sierżant okazał się czysty - i to była duża ulga móc odsunąć się od niego.

- Wejdziemy teraz do domu. Ty pierwszy, Keenan, potem Sierżant, potem ja. Bez numerów, zgoda?

Wszyscy trzej wspięliśmy się po schodach i weszliśmy do kuchni.

Była to jedna z tych aseptycznych produkcji z kafelków i żaroodpornego plastiku, jakby w całości zdjęta z taśmy produkcyjnej jakiejś fabryki w Jokohamie. Literatka wypełniona do połowy brandy stała na kontuarze. Przedefilowaliśmy przez kuchnię do salonu Keenana. Salon zaprojektowany został chyba przez jakiegoś zniewieściałego projektanta wnętrz, który nigdy nie uwolnił się od miłości do Ernesta Hemingwaya. Był tam kominek z płaskich kamieni, nad kominkiem głowa łosia, wpatrzona swymi wiecznie skrzącymi się oczyma w mahoniowy bar po drugiej stronie pokoju. Na ścianie za barem wisiała przeszklona szafka z wieszakami na broń. Sprzęt stereo wyłączył się samoczynnie.

Machnąłem pistoletem w kierunku sofy.

- Po jednym na każdym krańcu.

Usiedli, Keenan po prawej, Sierżant po lewej. Sierżant, siedząc, wydawał się jeszcze większy. Spomiędzy trochę już przydługich włosów, strzyżonych zwykle na rekruta, prześwitywała brzydka, poplątana blizna. Oszacowałem jego wagę na jakieś sto dwadzieścia

kilogramów. Zastanowiło mnie, dlaczego jeździł volkswagenem.

Chwyciłem fotel i odciągnąłem go po dywaniku w kolorze lotnych piasków, aż znalazł się w bezpiecznej odległości od nich. Usiadłem i oparłem czterdziestkę piątkę o udo. Keenan patrzył na broń, tak jak ptak patrzy na węża. Sierżant patrzył na mnie jak na ptaka.

- Co teraz? - spytał beznamiętnie.

- Porozmawiajmy o mapach i pieniądzach - powiedziałem.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparł Sierżant. - Wszystko, co wiem, to to, że mali chłopcy nie powinni się bawić bronią.

- Jak się miewa Cappy MacFarland? - spytałem jakby od niechcienia.

Nie usłyszałem nic od Sierżanta, ale Keenan dostał szału.

- On wie. On wie. - Słowa wyskakiwały z niego jak pociski.

- Zamknij się! - huknął na niego Sierżant. - Zamknij tę swoją cholerną jadaczkę!

Keenan zamknął oczy i przez chwilę cicho pojękiwał. To była część kontraktu, o której nikt go nie poinformował. Uśmiechnąłem się.

- On ma rację, Sierżancie - powiedziałem. - Ja wiem. Wiem prawie wszystko.

- Kim jesteś, chłopcze?

- Nikim, kogo byś znał. Przyjacielem Barneya.

- Nie znam żadnego Barneya - powiedział obojętnie Sierżant.

- On nie był martwy, Sierżancie. Nie całkiem martwy. Posłał Keenanowi powolne, ale zabójcze spojrzenie. Keenan wzruszył ramionami i otworzył usta.

- Zamknij się - powiedział Sierżant. - Powinienem złamać ci ten cholerny kark. - Usta Keenana zamknęły się z kłapinięciem. Sierżant ponownie spojrzał na mnie. - Co znaczy prawie wszystko?

- Z wyjątkiem drobnych szczegółów - wszystko. O opancerzonym samochodzie. O wyspie. O Cappym MacFarlandzie. O tym, jak ty, Keenan i jeszcze jeden łajdak nazwiskiem Jagger zabiliście Barneya. I o mapie. Wiem o mapie.

- To nie było tak - zaprzeczył Sierżant. - Próbował nas wywieść w pole.

- Nie byłby w stanie wywieść w pole nawet owieczki - odparłem. - Był tylko naiwniakiem, który potrafi szybko prowadzić samochód.

Wzruszył ramionami; wyglądało to jak małe trzęsienie ziemi.

- Dobra. Bądź sobie takim durniem, na jakiego wyglądasz.

- Już od marca wiedziałem, że Barney ma coś nagrane, nie wiedziałem tylko co. I wtedy, pewnej nocy, zobaczyłem u niego pistolet. Ten pistolet. Jak znalazłeś Barneya, Sierżancie?

- Przez kogoś, kto odsiadywał ze mną wyrok - wyjaśnił Sierżant. - Potrzebowaliśmy kierowcy znającego wschodnią część stanu Maine i okolice Bar Harbor. Keenan i ja spotkaliśmy się z nim. Kupił pomysł.

- Ja siedziałem z nim w Portlandzie - powiedziałem. Uśmiechnąłem się do Sierżanta. - Lubilem go. To był głupi, ale dobry chłopak. Potrzebował opiekuna i wyglądało na to, że padło na mnie. Nie przeszkadzało mi to. Myśleliśmy o banku w Lewiston. Nie mógł się doczekać. Teraz jest pod ziemią.

- Bo się rozplącę - rzekł Sierżant.

Uniosłem broń i pokazałem mu wylot lufy, i po raz pierwszy to on był ptakiem, a ja wężem.

- Jeszcze jeden głupi dowcip i pošlę ci kulkę w bebechy. Wierzysz?

Wysunął język na ułamek sekundy, jak jaszczurka, i pokiwał głową. Keenan zeszytniał. Wyglądał, jakby chciał mu się wymiotować, ale nie śmiał tego uczynić.

- Wyjaśnił mi, że to wielki skok i że starczy mu na dziesięć lat. To wszystko, czego udało mi się dowiedzieć. Wyruszył trzeciego kwietnia. Dwa dni później czterech facetów na obrzeżach Carmel rozwalilo ciężarówkę z Portland-Bangor Brinks. Wszyscy trzej strażnicy nie żyją. Gazety pisały, że napastnicy pokonali dwie blokady drogowe w podrasowanym fordzie z pięćdziesiątego ósmego roku. Barney miał takiego forda w warsztacie, zamierzał przerobić go na szybki wóz. Założę się, że Keenan dał mu jakąś zaliczkę, by przerobił auto na coś trochę lepszego i dużo szybszego.

Popatrzyłem na nich. Żadnego komentarza. Twarz Keenana miała kolor sera.

- Szóstego maja dostałem kartkę pocztową ze stemplem z Bar Harbor, ale to mi nic nie mówiło - są dziesiątki małych wysepek, które przekazują swoją pocztę do Bar Harbor. Odbiera ją łódź pocztowa. Na kartce było: „Mama i rodzina zdrowi, interesy w sklepie idą dobrze. Do zobaczenia w lipcu”. Podpisane drugim imieniem Barneya... Wynająłem chatkę na wybrzeżu, ponieważ taka była umowa. Minął lipiec - po Barneyu ani śladu.

Rzuciłem im krótkie spojrzenie.

- Pokazał się na początku sierpnia. Dzięki uprzejmości twojego kumpla Keenana, Sierżancie, który zapomniał, że w łodzi jest pompa automatycznie usuwająca wodę z zęzy. Myślałeś, że z dziurą w kadłubie łódź szybko pójdzie na dno, co nie, Keenan? Ale myślałeś też, że Barney nie żyje. Codziennie rozkładałem żółty koc na Cyplu Francuza, widoczny z odległości wielu mil. Łatwy do zauważenia. A jednak udało mu się tam trafić tylko przez przypadek. I nie mógł długo mówić. Już go raz wykiwaliście, prawda, Sierżancie? Nie powiedzieliście mu, że pieniądze są nowiutkie, a wszystkie numery banknotów zapisane.

Nawet mający powiązania z mafią nie odważyliby się kupić ich przez dziesięć czy piętnaście lat.

- To było dla jego własnego dobra - burknął Sierżant. - Za dziesięć lat miałby trzydziestkę. Rany, ja będę miał wtedy sześćdziesiąt jeden.

- I może to on opłacił Cappy'ego MacFarlanda? Czy była to jeszcze jedna niespodzianka?

- Wszyscy musieliśmy go opłacić - powiedział Sierżant. - To był porządny gość. Profesjonalista. Zachorował w zeszłym roku na raka. Nieoperacyjnego. Poza tym był mi winien przysługę.

- Więc wszyscy czterej udaliście się na wyspę Cappy'ego - wtrąciłem. - Cappy zakopał pieniądze i sporządził mapę.

- To był pomysł Jaggera - mówił dalej Sierżant. - Nie moglibyśmy ukrywać się razem przez dziesięć lat. Żaden z nas nie zaufałby pozostałym, gdyby wszyscy wiedzieli, gdzie znajduje się łup - zbyt wielkie ryzyko, że któryś połasi się na całość. A jeśli po prostu podzielilibyśmy pieniądze i rozstali się, ktoś - na przykład twój kumpel - wymiękłby i wydał trochę przed czasem. Jeśli gliny położyłyby na nim łapę, mógłby wyśpiewać nazwiska pozostałych. Spędziliśmy więc popołudnie na plaży, a Cappy zajął się resztą.

- Powiedz mi o mapie.

- Wiedziałem, że do tego dojdziemy - powiedział Sierżant z chłodnym uśmiechem.

- Nie mów mu! - wrzasnął Keenan ochryplym głosem. W tym głosie pobrzmiwała czysta panika.

- Zamknij się - powiedział Sierżant brutalnie. - On wie wszystko, dzięki tobie. Jeśli on cię nie zabije, ja to zrobię.

- Twoje nazwisko jest w liście - rzucił gwałtownie Keenan. - Gdyby coś mi się stało!

- Cappy dobrze to narysował - ciągnął dalej Sierżant, jakby Keenana w ogóle nie było.

- Uczestniczył w zajęciach z rysunku w zakładzie karnym w Joliet. Przeciął mapę na cztery ćwiartki. Po jednej dla każdego z nas. Mielśmy spotkać się ponownie 4 lipca 1982 roku. Lecz pojawił się problem.

- Tak - zgodziłem się. Mój głos zabrzmiał jak z oddali.

- Jeśli poprawi ci to humor, był to wyczyn Keenana. Solowy. Musiało tak być, bo Jagger i ja opuściliśmy wyspę w łodzi Cappy'ego. Twój kumpel miał się dobrze, gdy odpływaliśmy.

- Ty cholerny kłamco! - zaskowyczał Keenan.

- A kto ma dwa kawałki mapy w swoim sejfie ściennym? - zapytał Sierżant. Popatrzył

na mnie ponownie. - To jeszcze było w porządku. Dwie ćwiartki mapy nie wystarczyłyby mi do znalezienia pieniędzy. A może i dobrze się stało, że twój kumpel nie żył. Trzech do podziału to zawsze lepiej niż czterech. Potem Keenan zadzwonił do mnie. Podał mi swój adres. Powiedział, żebym przyjechał pogadać. Dziś wieczorem. Oczywiście ubezpieczył się. Moje nazwisko jest w wysłanym do prawnika liście, który ma zostać otwarty na wypadek jego śmierci. Pomysł był taki, że dwóch do podziału to lepiej niż trzech. Keenan założył, że mając trzy ćwiartki mapy, możemy domyślić się reszty.

Twarz Keenana była jak księżyc dryfujący gdzieś wysoko, w górnej warstwie stratosfery strachu.

- Gdzie jest sejf? - spytałem go. Keenan nic nie odpowiedział.

Ćwiczyłem trochę czterdziestką piątką. To był dobry pistolet. Lubilem go. Trzymając broń oburącz, postrzeliłem Keenana w przedramię, zaraz poniżej łokcia. Sierżant nawet nie podskoczył. Keenan spadł z sofy i zwinął się w kulkę, trzymając się za przedramię i krzycząc.

- Gdzie jest sejf? - spytałem. Keenan nie przestawał krzyczeć.

- Przestrzele ci kolano - zapowiedziałem. - I wtedy Sierżant będzie cię musiał zanieść do sejfu.

- Za reprodukcją - wysapał. - Van Gogh. Nie strzelaj więcej do mnie, dobra? - Spojrzał na mnie z twarzą wykrzywioną bólem i pragnieniem pojednania.

Kiwnąłem pistoletem na Sierżanta.

- Stań twarzą do ściany.

Sierżant podniósł się i ze zwieszonymi luźno rękami podszedł do ściany.

- Teraz ty - powiedziałem do Keenana. - Idź otwórz sejf.

- Wykrwawię się na śmierć - jęknął Keenan. Podszedłem do niego i kolbą czterdziestki piątki przejechałem z dołu do góry po jego policzku, rozcinając skórę.

- Teraz krwawisz - powiedziałem. - Otwieraj sejf albo będziesz krwawił jeszcze bardziej.

Keenan podniósł się, trzymając się za przedramię i szlochając. Zdrową ręką zdjął reprodukcję z haków, odsłaniając szary ścienny sejf. Rzucił przerażone spojrzenie w moją stronę i zaczął manipulować pokrętłem zamka szyfrowego. Dwa razy się mylił i musiał zaczynać od nowa. Za trzecim razem udało mu się otworzyć. Były tam jakieś papiery i dwa pliki banknotów. Sięgnął do środka, pogrzebał trochę i wyciągnął dwa kwadratowe kawałki papieru o boku długości około ośmiu centymetrów.

Zamierzałem związać go i zostawić. Był raczej nieszkodliwy; nie odważyłby się wyjść z domu przez tydzień. Ale było tak, jak mówił Sierżant. Miał dwie ćwiartki mapy.

I na jednej z nich była krew.

Strzeliłem do niego ponownie, tym razem już nie celując w rękę. Osunął się na podłogę jak pusty wór na brudną bieliznę. Sierżant ani drgnął.

- Nie zalewałem. To Keenan załatwił twojego przyjaciela. Obaj byli amatorami. Amatorzy to głupcy.

Nie odpowiedziałem. Popatrzyłem na dwa kawałki papieru i wsunąłem je do kieszeni. Na żadnym z nich nie było znaczka X oznaczającego miejsce zakopania pieniędzy.

- I co teraz? - spytał Sierżant.

- Jedziemy do ciebie.

- Dlaczego myślisz, że mój kawałek tam jest?

- Nie sądzę, żebyś zaufał jakimukolwiek innemu miejscu. Ale jeśli go nie ma u ciebie, pojedziemy tam, gdzie jest.

- Masz na wszystko odpowiedź, co?

- Chodźmy.

Wyszliśmy do garażu. Usiadłem na tylnym siedzeniu volkswagena, w kącie, jak najdalej od Sierżanta. Rozmiary auta wręcz uniemożliwiały mu jakiegokolwiek niespodziewane zagranie. Samo odwrócenie się w moją stronę zabrałoby mu pięć minut.

Dwie minuty później byliśmy na drodze.

Zaczynał padać śnieg - dużymi, pozlepianymi płatkami, które przyklejały się do wycieraczek, a gdy osiadły na chodniku, natychmiast zamieniały w błoto. Nawierzchnia drogi była śliska, ale za to nie było dużego ruchu.

Po półgodzinnej jeździe drogą międzystanową numer 10 zjechaliśmy na drogę lokalną. Piętnaście minut później byliśmy na zrytej koleinami polnej drodze z uginającymi się pod śniegiem sosnami po obu stronach. Dwie mile dalej skręciliśmy na krótki, zaśmiecony podjazd.

W świetle reflektorów volkswagena dostrzegłem walącą się rudę, stojącą gdzieś na odludziu, z połatanym dachem i powyginaną anteną telewizyjną. W parowie po lewej stronie stał przykryty czapą śniegu stary studebaker. Dalej, z tyłu, był wychodek i sterta zużytych opon. Witamy w hotelu „Sheraton”.

- Nareszcie w domu - powiedział Sierżant i zgasił silnik.

- Jeśli to jakiś numer, zabiję cię.

Wydawał się zajmować trzy czwarte przestrzeni z przodu swojego malutkiego pojazdu.

- Wiem - powiedział.

- Wsiadaj.

Sierżant poprowadził do frontowych drzwi.

- Otwieraj - powiedziałem - i stój nieruchomo.

Otworzył drzwi i stanął bez ruchu. Staliśmy tak przez jakieś trzy minuty i nic się nie wydarzyło. Jedynym poruszającym się obiektem była tłusta szara wiewiórka, która odważyła się wyjść na środek podwórza, by nas przekląć.

- W porządku - oznajmiłem - wchodzimy.

To była szcurza nora. Jedna sześćdziesięciowatowa żarówka rzucała bladą poświatę na całe pomieszczenie; tylko w kątach zalegały cienie niczym zagłodzone nietoperze. Gazety leżały porozrzucane w bezładzie. Na obwisłym sznurze suszyło się pranie. W jednym rogu stał staroświecki telewizor Videomaster. Naprzeciw niego znajdował się zdezelowany zlew i niczym nieobudowana, pokryta rdzawymi plamami wanna na nóżkach w kształcie zwierzęcych łap. Myśliwska strzelba' stała oparta o jej bok. Straszliwie tłuste żółte kocisko spało na kuchennym stole. Całe pomieszczenie pachniało gnijącym drewnem i potem.

- To lepsze niż mieszkanie w surowych warunkach - powiedział Sierżant.

Mógłbym polemizować, ale nie zrobiłem tego.

- Gdzie jest twoja ćwiartka?

- W sypialni.

- Chodźmy po nią.

- Jeszcze nie teraz. - Odwrócił się do mnie powoli; była jakaś stanowczość w jego kamiennej twarzy. - Chcę, żebyś dał mi słowo, że mnie nie zabijesz, gdy ją będziesz miał.

- Jak masz zamiar zmusić mnie do dotrzymania słowa? Uśmiechnął się wolno, sennym uśmiechem, niby pęknięcie na lodowcu.

- Nie ma na to sposobu. Ale rozgryzłem cię.

- Tak? Słucham.

- Nie chodzi ci tylko o pieniądze. Gdyby tak było, już wcześniej próbowałbym się z tobą dogadać. Ale musiałeś wyrównać rachunki Barneya. Załatwione. Keenan go wykiwał i Keenan nie żyje. Jeśli chcesz cały szmal, w porządku. Może wystarczą ci trzy ćwiartki - a na mojej jest wielkie X. Ale jej nie dostaniesz, jeśli nie obiecasz nie odbierać mi tego, za co nią płacę - życia.

- Skąd będę wiedział, że nie ruszysz za mną w pogoń?

- Ruszę, synku - powiedział Sierżant łagodnie. - Z wielką spluwą. Bo wtedy to już będzie zupełnie nowa rozgrywka.

Roześmiałem się.

- W porządku. Dorzuć adres Jaggera i masz moje słowo. Dotrzymam go.

Sierżant pokręcił głową powoli.

- Nie będziesz chciał pogrywać z Jaggerem, kolego. Jagger zje cię żywcem.

Odciągnąłem kurek czterdziestki piątki.

- No dobra. Jest w Coleman w stanie Massachusetts. W domku narciarskim. Znajdziesz?

- Poradzę sobie. Chodźmy po twoją ćwiartkę, Sierzancie. Sierżant zlustrował mnie jeszcze raz uważnie. Następnie skinął głową. Weszliśmy do sypialni.

Wielkie łóżko z mosiężnymi poręczami, jeszcze więcej gazet, sterty czasopism - pokój pełną gębą, bez dwóch zdań. Ściany wytapetowane zdjęciami dziewcząt z rozkładówek. Wielki gramofon, taki z tubą, na podłodze.

Sierżant dłużej nie zwlekał. Podniósł lampę stojącą na nocnym stoliku i podważył jej podstawkę. Jego ćwiartka mapy była w środku, starannie zwinięta; podał mi ją bez słowa.

- Rzuć na podłogę - poleciłem.

Uśmiechnął się i cisnął rulonik w moim kierunku.

- Oto pieniądze.

- Dotrzymam obietnicy - powiedziałem. - Możesz uważać się za szczęściarza. A teraz do drugiego pokoju.

Coś zimnego zamigotało w jego oczach.

- Co zamierzasz zrobić?

- Upewnić się, że przez chwilę pozostaniesz w jednym miejscu. Ruszaj się.

Wróciliśmy do zaśmieczonej kuchni jak z domu wariatów, maszerując w ślicznym dwuosobowym pochodzie. Sierżant zatrzymał się pod nagą żarówką, zwrócony do mnie plecami, pochylony w przeczuciu, że wkrótce lufa pistoletu wyrznie go w głowę. Właśnie podnosiłem spluwę, by zadać cios, kiedy światło zamigotało i zgasło.

Rudera nagle pogrążyła się w czarnym jak smoła mroku.

Rzuciłem się w prawo. Sierżanta już przy mnie nie było; dał nura płasko na podłogę. Usłyszałem tylko tąpnięcie i szelest gazet. Potem nastąpiła cisza. Całkowita i nieprzenikniona.

Poczekalem, aż mój wzrok przyzwyczai się do ciemności, ale na niewiele się to zdało. To wewnątrz było jak mauzoleum, w którym majaczyły tysiące rozmazanych cieni. A Sierżant znał każdy z nich.

Wiedziałem co nieco o Sierzancie; wygrzebanie materiałów na jego temat nie było trudne. Podczas drugiej wojny światowej był sierżantem, i od tamtej pory nikt nawet nie zwracał sobie głowy jego prawdziwym nazwiskiem; pozostał Sierżantem - wielkim,

zabójczym i twardym. W czasie wojny był komandosem.

Gdzieś tu, w ciemnościach, skradał się w moim kierunku. Musiał znać to miejsce jak własną kieszeń, bo nie było słyhać najmniejszego dźwięku - żadnego skrzypnięcia deski podłogowej, żadnego szurania stopą. Ale czułem, że się zbliża, zachodząc mnie z lewej lub prawej flanki, albo podstępnie idąc na mnie na wprost.

Rękojeść pistoletu w mojej dłoni była śliska od potu i musiałem bronić się przed dziką chęcią wypalenia na oślep, na chybił trafił. Byłem w pełni świadom tego, że mam trzy ćwiartki mapy w kieszeni. Nie zawracałem sobie głowy pytaniem, dlaczego zgasła żarówka. Przynajmniej dopóty, dopóki snop światła z mocnej latarki nie przebił się z zewnątrz przez szybę w oknie, omiatając podłogę w nerwowy, chaotyczny sposób, i nie uchwycił, całkiem przypadkowo, sylwetki Sierżanta, siedzącego w kucki bez ruchu siedem stóp na lewo ode mnie. W jasnym stożku światła jego oczy jarzyły się zielono jak oczy kota.

W jego prawej dłoni zamigotało ostrze brzytwy. Nagle przypomniałem sobie rękę wędrującą w górę klapy marynarki w garażu Keenana. Brzytwa była ukryta w kołnierzu.

Sierżant wypowiedział tylko jedno słowo w stronę źródła światła.

- Jagger? Nie wiem, kto trafił go pierwszy. Ciężko brzmiący pistolet wypalił raz spoza świetlistego krążka latarki, podczas gdy ja dwa razy pociągnąłem za spust czterdziestki piątki Barneya; czysty odruch. Ciało Sierżanta obróciło się wokół własnej osi i runęło w tył na ścianę z siłą tak wielką, że jedna stopa wypadła z wysokiego buta.

Światło latarki zgasło.

Wystrzeliłem raz w stronę okna, ale trafiłem tylko w szkło. Leżałem na boku w ciemności i wtedy dotarło do mnie, że to Jagger był tam, na zewnątrz. I chociaż w samochodzie miałem jeszcze dwadzieścia sztuk amunicji, w moim pistolecie została tylko jedna.

Nie zadzieraj z Jaggerem, kolego. Tak brzmiały słowa Sierżanta. *Jagger zje cię żywcem.*

W głowie miałem już całkiem niezły obraz pomieszczenia. Podniosłem się z podłogi i skulony pomknąłem do kąta, po drodze przestępując przez rozłożone nogi Sierżanta. Wszedłem do wanny i wychyliłem głowę znad jej krawędzi. Nie usłyszałem żadnego dźwięku. Absolutna cisza. Zdawało się, że ustały nawet leśne hałasy. Na dnie wanny trzeszczały drobiny osadu, zniszczonego z jej nigdy nieczyszczonych ścianek. Czekałem.

Minęło około pięciu minut. Wydawało mi się, że to pięć godzin.

Następnie światło znów zamigotało, tym razem w oknie sypialni. Uchyliłem głowę, gdy snop wpadł przez drzwi. Penetrował teren przez krótką chwilę i zgasł.

Znów cisza. Długa, dudniąca cisza. Na brudnej powierzchni porcelanowej wanny Sierżanta ujrzałem raptem wszystko. Pokazał się Barney z zakrzepłą krwią na brzuchu. Sierżant zastygł w blasku latarki Jaggera, z brzytwą trzymaną profesjonalnie pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. I mroczny cień bez twarzy. Jagger. Piąta ćwiartka.

Nagle usłyszałem głos, tuż pod drzwiami. Był miękki i kulturalny, niemal kobiecy, ale nie zniewieściały. Nieubłagany i rzeczowy jak diabli.

- Hej, ty.

Nie odezwałem się. Nie miałem zamiaru ułatwiać mu sprawy. Gdy znów usłyszałem jego głos, dochodził zza okna.

- Zabiję cię, koleś. Przyszedłem zabić tamtych. Teraz tylko ty zostałeś.

Przerwa, podczas której jeszcze raz zmienił położenie. Gdy się odezwał, głos dobiegł zza okna tuż nad moją głową - zza tego nad wanną. Wnętrznosci podeszły mi do gardła. Gdyby zapalił teraz latarkę...

- Nikomu niepotrzebne piąte koło, koleś. Przykro mi. Ledwo słyszałem, jak się przemieszcza. Okazało się, że jest teraz za tylnymi drzwiami.

- Mam przy sobie moją ćwiartkę. Może chciałbyś ją dostać? Zachciało mi się kaszleć, ale się powstrzymałem.

- Chodź i weź ją sobie, koleś. - Jego głos brzmiał szyderczo. - Będziesz miał całość. Chodź i zabierz sobie.

Wcale nie musiałem. Miałem wszystkie asy w rękę. Mogłem teraz znaleźć pieniądze. Z jedną ćwiartką Jagger był bez szans.

Tym razem cisza trwała w nieskończoność. Pół godziny, godzinę, wieczność. Wieczność do kwadratu. Moje ciało zdrętwiało od tkwienia w bezruchu. Na zewnątrz wzmagał się wiatr, zagłuszając wszystko oprócz grzechotania śniegu o ściany. Było bardzo zimno. Moja lewa stopa opuściła mnie już dawno temu. Teraz moje nogi stawały się klockami z drewna.

Wtem, około pierwszej trzydzieści, usłyszałem jakieś upiorne poruszenie, jakby szmer szczurów pełzających w ciemności. Czyżby Jagger dostał się jakoś do wewnątrz? Był teraz dokładnie na środku pokoju...

Wówczas pojąłem. *Rigor mortis*, przyśpieszony przez chłód, poruszył ciałem Sierżanta po raz ostatni. Rozluźniłem się nieco.

To wtedy staranowane od zewnątrz drzwi stanęły otworem i Jagger wpadł do środka, widmowy, otulony białą opończę śniegu, wysoki, obwisły i tykowaty. Wypaliłem w jego kierunku i kula przeszła na wylot przez bok jego głowy. A w krótkim błysku ognia

zobaczyłem, że to, co przestrzeliłem, było pozbawionym twarzy strachem na wróble, ubranym w stare farmerskie spodnie i koszulę. Gdy runął na podłogę, głowa z jutowego worka odpadła od wykonanej z kija od miotły szyi. Wtedy Jagger otworzył ogień.

To, co trzymał w dłoni, to był półautomatyczny pistolet, i wewnątrz wanny nagle zamieniło się w wielki wydrążony perkusyjny talerz. Porcelana odpryskiwała od ścianek, jej kawałki latały w powietrzu, siekły mnie po twarzy. Z góry posypał się na mnie deszcz drzazg.

Przeładowywał broń i nie przestawał strzelać. Zamierzał zastrzelić mnie jak rybę w beczce. Nie mogłem nawet unieść głowy.

To Sierżant mnie uratował. Jagger potknął się na wielkiej, martwej stopie, zatoczył się i władował kilka kul w podłogę zamiast w przestrzeń nad moją głową. Natychmiast uniosłem się na kolanach. Pomyślałem sobie, że jestem Vida Blue, i wprawnym ruchem baseballisty rzuciłem czterdziestką piątką Barneya w głowę Jaggera.

Pistolet uderzył go, ale nie powstrzymał. Przerzuciłem ciało przez brzeg wanny, ruszając do walki wręcz, a Jagger oddał dwa bezładne strzały w lewo.

Jego niewyraźna sylwetka cofnęła się - próbował wycelować we mnie, jedną ręką trzymając się za ucho, w które przed chwilą uderzył go mój pistolet. Przestrzelił mi nadgarstek, druga kula rozcięła skórę na szyi. Wtedy - rzecz niewiarygodna - po raz drugi potknął się o stopę Sierżanta i upadł na plecy. Uniósł broń i wypalił w sufit. To była jego ostatnia szansa. Kopnięciem wytrąciłem mu pistolet z dłoni - usłyszałem przy tym chrzęst łamanych kości, jak trzask mokrego drewna. Kopnąłem go w krocze, co sprawiło, że zgiął się wpół. Kopnąłem go jeszcze raz, tym razem w tył głowy, i jego stopy zapębiły o podłogę w szybkim, nieprzytomnym tremolo. Był już martwy, ale nie przestawałem go kopać; kopałem go, aż zamienił się w krwawą miazgę, w dżem truskawkowy, w coś, czego nikt nie byłby w stanie zidentyfikować, nawet po zębach, po czymkolwiek. Kopałem go aż do chwili, gdy nie mogłem już więcej zamachnąć się nogą, a palce u stopy przestały się poruszać.

Zdałem sobie wówczas sprawę, że cały czas krzyczę, ale nie było nikogo, kto usłyszałby mój krzyk, oprócz dwóch martwych mężczyzn.

Otarłem usta i przyklęknąłem nad ciałem Jaggera.

*

Moja gablota stała dokładnie tam, gdzie ją zostawiłem, przecnicę dalej od domu Keenana, ale teraz była tylko upiorną kupą śniegu. Volkswagena Sierżanta porzuciłem jakąś milę wcześniej. Miałem nadzieję, że wciąż działa ogrzewanie w moim aucie. Byłem zdrętwiały z zimna.

Rozrusznik długo kręcił się bez rezultatu, ale w końcu silnik zaskoczył. Ogrzewanie

działało, a jedyna sprawna wycieraczka oczyściła ze śniegu szybę po stronie kierowcy. W kwestii swojej ćwiartki Jagger, rzecz jasna, kłamał - nie miał jej przy sobie; nie było jej też w niepozornym studebakerze larku, którym przyjechał. Ale miałem jego portfel. I jego adres. Na wszelki wypadek - choć jakoś nie zakładałem, że to będzie potrzebne. Wielkie X było na ćwiartce Sierżanta.

Ruszyłem ostrożnie. Postanowiłem być ostrożny przez długi czas. Sierżant miał rację co do jednego. Barney był głupim prostakiem. Fakt, że był moim przyjacielem, przestał się liczyć. Dług został spłacony.

Miałem niemały powód, by być ostrożnym.

Quentin Tarantino

Zegarek

Fenomenalny sukces filmu Quentina Tarantino „Pulp Fiction”, który pojawił się na ekranach w 1994 roku, wywołał nową falę zainteresowania czarnym kryminałem. Film osadzony w realiach półświatka Los Angeles opowiada o pechowych przygodach dwóch zawodowych zabójców (w ich rolach John Travolta i Sam Jackson), zamykając narrację w trzech epizodach, które śmiało mogłyby być zaczerpnięte z kart tanich czasopism. Tarantino, również autor scenariusza, zręcznie wplótł w fabułę motywy przemocy, rabunku, narkotyków, korupcji i zabaw bronią, tworząc obraz, który zdobył Oscara za scenariusz i Złotą Palmę na Festiwalu Filmowym w Cannes, a z młodego reżysera uczynił postać kultową, dowodząc tym samym, że jego wcześniejszy film - „Wściekle psy” („Reservoir Dogs”, 1992), gangsterski thriller o następstwach nieudanego napadu na bank - nie był jednorazowym sukcesem. Tarantino w obu filmach sięgnął po wysłużone wątki rodem z popularnej literatury kryminalnej i tchnął w nie nowe życie. W rezultacie oba filmy zachęciły całe nowe pokolenie do odkrywania twórczości wielu spośród prezentowanych w tej książce pisarzy - na co miał nadzieję ich reżyser, sam będąc wieloletnim miłośnikiem czarnego kryminału.

Quentin Tarantino (1963) urodził się w Knoxville w stanie Tennessee. Imię otrzymał po Quinde Asperze, granym przez Burta Reynoldsa bohaterze popularnego w latach sześćdziesiątych serialu telewizyjnego „Strzały w Dodge City” („Gunsmoke”). Po przeprowadzce z matką do Los Angeles w 1965 roku nie wydaje się zbyt szczęśliwy w szkolnych murach, ale rodzi się w nim fascynacja filmami kryminalnymi i horrorami - postanawia więc zostać aktorem i pisarzem. Pierwszy scenariusz, „Captain Peachfuzz and the Anchovy Pandit”, napisał, będąc jeszcze nastolatkiem, i na krótko pokazał się w filmie „Golden Girls”, wcielając się w postać Elvisa Presleya! Pierwszym scenariuszem jego autorstwa, który doczekał się realizacji, był „Prawdziwy romans” („True Romance”, 1991), kolejnym - niesławni „Urodzeni mordercy” („Natural Born Killers”) w reżyserii Olivera Stone’a. W wieku dwudziestu siedmiu lat zadebiutował jako reżyser obrazem „Wściekle psy”

- reszta to już historia. Dzieła Tarantina odzwierciedlają jego fascynację kryminalnymi i gangsterskimi opowieściami z lat trzydziestych i późniejszych, podczas gdy dialogi błyskotliwie oddają zbrutalizowaną rzeczywistość, w jakiej żyją współcześni bohaterowie. „Zegarek” jest ponadczasowym fragmentem kryminalnej prozy, który - gdyby pominąć nawiązania do wojny w Wietnamie - mógłby powstać w dowolnym momencie ostatnich sześćdziesięciu, siedemdziesięciu lat, a tak naprawdę pojawił się w jednym z epizodów filmu „Pulp Fiction”, jako opowieść zrelacjonowana przez kapitana Koonsa (Christopher Walken). Jest to kolejny przykład na poparcie tezy, że czarny kryminał nie tylko nadal ma się dobrze, ale jego przeznaczeniem jest przetrwać daleko poza kres wieku, w którym się narodził.

*

Witaj, mały człowieczku. Wiele o tobie słyszałem, chłopcze, a jakże.

Wiesz, byłem dobrym przyjacielem twojego taty. Przez ponad pięć lat tkwiliśmy obaj w piekle Hanoi.

Mam nadzieję, że nigdy nic podobnego ci się nie przytrafi. Ale jeśli dwaj mężczyźni znajdują się w takiej sytuacji, jak ja z twoim tatą, i na tak długo jak my, wtedy jeden bierze na siebie pewne zobowiązania drugiego.

Gdyby to mnie nie udało się przeżyć, twój tato rozmawiałby w tym momencie z moim synem Jimem. Ale wyszło na to, że to ja rozmawiam teraz z tobą, Butch.

Mam coś dla ciebie.

Ten zegarek, który tu trzymam, został zakupiony przez twojego pradziadka. Nabył go podczas pierwszej wojny światowej w małym sklepie wielobranżowym w Knoxville w stanie Tennessee.

Szeregowiec piechoty Erniego Coolidge’a kupił go w dniu, w którym wypływał do Paryża. To był wojenny zegarek twojego pradziadka, wyprodukowany przez pierwszą fabrykę, robiącą zegarki na rękę. Bo widzisz, do tamtej pory ludzie nosili wyłącznie zegarki kieszonkowe.

Póki twój pradziadek był na wojnie, nosił ten zegarek codziennie. Lecz gdy zakończył służbę, wrócił do domu do twojej prababki, zdjął zegarek z nadgarstka i włożył go do starej puszkki po kawie.

I w tej puszcze przeleżał on do dnia, gdy ojczyzna wezwała twojego dziadka Dane’a Coolidge’a, by płynął za morze i jeszcze raz walczył z Niemcami. Tym razem nazwali to drugą wojną światową. Twój pradziadek dał zegarek twojemu dziadkowi na szczęście.

Niestety, Dane nie miał tyle szczęścia, co niegdyś jego stary. Twój dziadek służył w piechocie morskiej i zginął w bitwie o wyspę Wake, podobnie jak wszyscy pozostali

żołnierze, biorący w niej udział.

Twój dziadek szedł na śmierć i wiedział o tym. Żaden z chłopców nie miał złudzeń, że opuści tę wyspę żywy.

Tak więc na trzy dni przed zdobyciem wyspy przez Japończyków twój dwudziestodwuletni dziadek poprosił kanoniera z jednostki transportowej Air Force, kompletnie nieznanego mu człowieka nazwiskiem Winocki, by przekazał ten złoty zegarek jego niedawno urodzonemu synkowi, którego sam nigdy nie miał okazji zobaczyć.

Trzy dni później twój dziadek już nie żył.

Ale Winocki dotrzymał słowa. Gdy wojna się skończyła, złożył wizytę twojej babce, przekazując twemu tacie, wówczas w wieku niemowlęcym, złoty zegarek jego ojca. Ten oto zegarek.

Twój tato miał ten zegarek na ręce, kiedy zestrzelono go nad Hanoi. Został schwytany i zamknięty w wietnamskim obozie jenieckim.

Wiedział, że gdyby tylko żołtki zobaczyły zegarek, natychmiast by go skonfiskowano. A twój tato uważał, że ty odziedziczyłeś ten zegarek w dniu swych narodzin. I szlag by go trafił, gdyby jacyś skośnoocy położyli swoje śliskie, żółte łapska na schedzie jego pierworodnego.

Schował go więc w jedynym miejscu, w którym mógł coś ukryć. W dupie.

Przez pięć długich lat nosił ten zegarek w dupie. Później, kiedy umierał na dyzenterię, przekazał go mnie. Przez dwa lata ukrywałem ten niewygodny kawał metalu w swojej dupie. Wreszcie, po siedmiu latach, zostałem odesłany do domu, do mojej rodziny.

A teraz, mały człowieczku, oddaję ten zegarek tobie.